

Spellman Cathy Cash

Próba sił

Z angielskiego przełożył Janusz Skowron

LiBROS

Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media

Tytuł oryginału Bkn the Child

Ilustracja na okładce Paramount Pictures

Redakcja Katarzyna Leieńska

Redakcja techniczna Lidia Lamparska

Korekta

Małgorzata Juras

Bogusława Kryspiak

Copyright © 1993 by The Wiki Harp and Company Incorporated All rights reserved. Copyright © for the Polish edition by Bertelsmann Media Sp. z o.o., Warszawa 2001

Bertelsmann Media Sp. z o.o. Libros, Warszawa 2001

Skład i łamanie (,ABOs.c, Milanówek

Druk i oprawa Finidr, Czechy

ISBN 83-73U.052-6 Nr 3144

CZĘŚĆ PIERWSZA

Kobiety

Na początku była Izyda. Najstarsza ze Starych.

Bogini, od której wywodzi się całe istnienie.

Wielka Dama. Pani Domu Życia. Pani Boskiego Słowa.

Niepowtarzalna. We wszystkich swych wielkich
i wspaniałych dziełach mądrzejsza i wspanialsza
niż jakikolwiek inny bóg.

Teby, Egipt Czternasty wiek przed Chrystusem

Za wszystkie przeczytane wiersze,

ukojone bóle,

przekazaną hojnie mądrość;

za wszystko, co wiem o odwadze, honorze,

sile i dobroci -

poświęcam tę książkę

mojemu mądrymu i dobremu ojcu:

Harry'emu Cashowi,

Z miłością i wdzięcznością,

których się nie da wyrazić słowami.

Niniejsza książka jest utworem literackim. Żadna

osoba ani instytucja w niej występujące nie powinny

być utożsamiane z rzeczywistymi postaciami.

Nie istnieje Amulet Izidy ani Kamień Sechmet.

O ile wiem.

Rozdział 1

Z łomocącym sercem Maggie O'Connor trzęsącymi się rękami nastawiła alarm przeciwwłamaniowy i obróciła klucz w drzwiach małego sklepu z antykami na rogu Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy i Madison

Avenue, który był jej jedynym źródłem utrzymania. Usiłowała odzyskać panowanie nad sobą, jednak wspomnienie usłyszanego przez telefon głosu całkowicie ją rozstroiło.

Zadzwoiła do niej Jenna, jej córka. Buntownicza, krnąbrna i wrogo nastawiona Jenna, która od prawie dwóch lat nie dawała znaku życia. Gorączkowy ton jej głosu, nie wydawał się Maggie znajomy, ale jego niemal dziecięce brzmienie wyzwoliło bolesne wspomnienia... brutalne znaki zapytania na temat tego, gdzie była... niepokojącą tajemnicę. Na dźwięk jej głosu wyobraźnię Maggie zalał przerażający kalejdoskop obrazów: Jenna, to dziecko, które kochała nad życie; Jenna, krnąbrna i pamiętliwa, przenosząca się z jednej bezskutecznej kuracji odwykowej do drugiej; Jenna, heroinistka, gotowa wyrwać człowiekowi serce, żeby zdobyć pieniądze na kolejną działkę. Maggie potrząsnęła głową, opędzając się od niepożądanych obrazów i wyszła na deszcz, żeby zatrzymać taksówkę.

- Muszę zobaczyć się z tobą dzisiaj wieczorem, mamó - oznaj

miła Jenna.

Jej odseparowany od ciała głos docierał gdzieś z daleka. Czy było w nim słycać wściekłość, czy skrajne podniecenie? A może rozpacz?

- W domu. O wpół do siódmej. Bądź w domu, na miłość bo

ską!

8

Potem już tylko przerywany sygnał, świadczący o tym, że jakaś rozmowa rzeczywiście się odbyła.

Kiedy zaczęło się psuć między nimi? Po raz milionowy Maggie zaczęła drążyć w swej duszy w poszukiwaniu odpowiedzi. Gdzie zniknęła cała miłość? Nie było wątpliwości, że mała dziewczynka, którą pamiętała tak wyraźnie, kochała ją dawno temu. To dziecko o połyskliwej szopie srebrnoblonde włosów i oczach zielonych jak Morze Irlandzkie, kiedyś trzymało ją za rękę i sepleniąc, opowiadało różne historie - kiedyś ją kochało.

Jenna miała czternaście lat, gdy przyszedł ten niepojęty czas, kiedy zniknęło urocze dziecko, a na jego miejscu pojawił się ponury i krnąbrny nastoletni odmieniec. Czternaście lat: wiek, w którym jej ukochana córka przepoczwarzyła się w niesympatyczną, zimną istotę. Ile razy Maggie wyciągała do niej rękę, po to tylko, by usłyszeć wrogie słowa i raniące wyrzuty?

- Jej uszy nie są nastrojone na twoją częstotliwość, kochanie -mówił przy takich okazjach jej mąż, Jack, kręcąc z konsternacją głową. - To bardzo przykre, Maggie, ale wygląda na to, że ona nie rozumie nic z tego, co mówisz. Pewnie to jakiś głupi freudowski problem z matką. Wyrośnie z tego, zobaczysz. Będziemy się wszyscy z tego śmiali, kiedy będziemy siwi i starzy.

Ból wywołany wspomnieniem tych słów niemal pozbawił ją tchu. Głos Jacka nadal brzmiał w jej

uszach. Jego twarz nadal tkwiła nienaruszona w jej pamięci. Czyż czas nie powinien leczyć ran? Czy z upływem czasu uczucie samotności nie powinno stawać się mniej intensywne?

Łzy zaczęły wzbierać jej w oczach, ale powstrzymała je. Cóż, nigdy już nie będą się wspólnie śmiać, nie zestarzeją się razem, nie zrozumieją, dlaczego życie potoczyło się w tak niepojętym kierunku: Jack nie żył. Mimo że nadal wyciągała do niego rękę na poduszce podczas długich, ciemnych godzin przed świtem... Mimo że rozmawiała z nim w myślach, kiedy potrzebowała pomocy. Mimo że czasami wyobrażała sobie, że on jej udziela. Jack odszedł.

Przynajmniej nie widział, jak jego mała dziewczynka, ze śladami po igle na rękach, sprzedaje swoje ciało na Ósmej Ulicy, żeby zdobyć pieniądze na heroinę. Maggie cierpiała w samotności.

9

Usiłując zmusić serce, by biło jakimś znośnym rytmem, zapłacała kierowcy i postawiła kołnierzyk, by ochronić się przed jednostajną szarą ulewą. Potrzebny był jej spokój comowego zacisza.

Jenna stanęła oparta o wejście, trzymając w ramionach tobołek ubrań. Tak się przynajmniej zdawało Maggie, dopóki zawiniątko nie zapłakało.

- Zimno tu na dworze! - rzuciła oskarżycielskim tonem Jenna, jakby to Maggie była odpowiedzialna za pogodę.

Żadnego przywitania. Żadnego: „Tęskniłam do ciebie, mamo. Jak ci się wiodło?”

- Przyjechałam tak szybko, jak tylko się dało, kochanie. Nie mogłam uwierzyć, że ty naprawdę ty dzwonił. Tak okropnie do ciebie tęskniłam!

Otoczyła ramionami przemoczoną postać, aby za chwilę ukryć ból, kiedy Jenna wysliznęła się z jej objęć.

Otworzyła niepewnymi rękami drzwi i wsunęła dłoń do środka, by odszukać włącznik światła. Łzy zdużyły wszelkie słowa, które, jak sądziła, powinna wypowiadać. Zamiast tego zapatrzyła się na małą istotkę w ramionach Jenny. Ona jest taka malutka, ale jak wiele ma w sobie z przeszłości i z przyszłości - pomyślała poruszona.

- Nie powiesz nic więcej, mamo? Myślałam, że się ucieszysz naszym widokiem.

Jenna, bladziutka jak opłatek, stała w przemoczonym ubraniu, z którego skapywała woda. Nadal pełna gniewu i urazy.

- Ucieszyłabym się, gdybym cię zobaczyła dwa lata temu - wybuchła Maggie, ściągając ociekający wodą płaszcz, ale od razu pożałowała swej porywczosci.

Ona jest w domu - uipomniała się w duchu - tylko to się liczy. Żyje. Wszystko inne da się załatwić.

- Oczywiście, cieszę się, że cię widzę, kochanie. Jestem po prostu oszołomiona tym, że naprawdę tu jesteś. Tak długo marzyłam o tej chwili! Och, Jenna, nie wiedziałam, czy żyjesz, czy nie... Tak bardzo się starałam cię odnaleźć - prywatny detektyw, policja. Ale powiedzieli, że nie ma śladu...

10

Jej słowa były wyrazem zaledwie maleńkiej części bólu i cierpienia, które na zawsze zapadły w jej sercu.

Jenna już nie słuchała. Ogarniała pośpiesznie wzrokiem pokój, oceniając sytuację.

- Jestem głodna - oznajmiła, kładąc dziecko na krześle takim ruchem, jakby to było paczka z zakupami.

Maggie wzdrygnęła się, by odpędzić wrażenie nierealności, poczucie nieuzasadnionego strachu.

- A to dziecko, Jenna? To twoje?

Co za głupie pytanie! Jakby się spodziewała, że córka powie: „Nie, mammo. Znalazłam je w metrze”.

Podniosła zawiniątko ostrożnie, jakby było zrobione z nadzwyczaj kruchego materiału. Potem odsunęła mokry koc osłaniający maleńką istotkę i, oszołomiona, zapatrzyła się na jej zapierającą dech w piersiach doskonałość.

- Boże, Jenna... Ono jest takie malutkie!

- Ma dziesięć dni. Jej świadectwo urodzenia jest przypięte do kocyka. Pomyślałam, że może ci się do czegoś przydać.

Maggie podniosła głowę i wpiła się wzrokiem w twarz córki.

- Może mi się przydać? Do czego, do diabła, miałyby mi się

przydać?

Jenna odwróciła wzrok, nie zainteresowana pytaniem.

- Dostanę coś do jedzenia? Nie jadłam od jakiegoś czasu. Mała

też jest głodna.

Nie dopuszczający sprzeciwu sposób mówienia jest typowy dla narkomanów, przypomniała sobie Maggie i na samą myśl o tym poczuła ścisnięcie w żołądku. Zachowują się tak, jakby ich mózg nastawiał się tylko na wybrane fragmenty, jak odtwarzacz płyt kompaktowych.

Usiłując stłumić niepokój, rozwinęła przemoknięty koc, ostrożnie wydobyla z niego maleństwo i przycisnęła je do piersi.

- To dziwne, ale człowiek nigdy nie zapomina, jak się trzyma

niemowlę, żeby nie wiem ile czasu upłynęło - wyszeptwała poruszo na ciepłym maleńkiego ciała.

Jenna patrzyła na matkę, nic nie rozumiejąc i mrugając oczami, jak siedząca na skale jaszczurka.

11

Niepewna, co robić dalej i niebezpiecznie bliska łez, Maggie ruszyła do kuchni.

- Problemy najlepiej rozwiązywać z pełnym żołądkiem - po

wiedziała cicho.

Wszystko było lepsze, niż stanie w miejscu pod spojrzeniem gniewnych, niewidzących oczu.

- Jak się nazywa twoja córka, kochanie? - zawołała przez ramię, usiłując nadać swojemu głosowi wesołe brzmienie.

- Cody. Nazwałam ją Cody.

Maggie uśmiechnęła się dopasowując imię do dziecka.

- To piękne imię... uważam, że pasuje do niej. To imię z rodziny jej ojca?

- Słuchaj - wyrzuciła z siebie dziewczyna. - Jestem tutaj tylko dlatego, że nie mam dokąd pójść.

Jej głos był napięty do jakiejś niebezpiecznej granicy. Maggie wzięła głęboki oddech i spróbowała jeszcze raz.

- Nie chciałam cię urazić, Jenna... chodzi tylko o to, że...

w ogóle nie wiem, o co chodzi. Wiem tylko tyle, że cię kocham i niezależnie od tego, w jakich jesteś kłopotach, możemy je rozwiązać...

Jenna uciszyła ją zniecierpliwionym gestem.

- Posłuchaj, mamę. Mam dziecko, ale nie mogę się nim zająć.

Muszę ją gdzieś zostawić. Na rany boskie, ona jest twoją wnuczką.

Wstrząśnięta Maggie odwróciła się ku córce, czując, jak wbrew jej woli wylewa się z niej potok słów.

- Nie mówisz tego poważnie, Jenna! Przychodzisz sobie po dwóch latach, w ciągu których nie odezwałaś się ani słowem, i próbujesz mi powiedzieć, że jesteś tu tylko dlatego, że chcesz zostawić mi swoje dziecko? To absolutnie oburzające! Gdzie byłaś do tej pory? Dlaczego nie dałaś znać, czy wszystko jest w porządku? Skąd się wzięło to dziecko? Jeśli potrzebujesz pomocy, to wiesz, że możesz na mnie liczyć...

- Potrzebuję jakiegoś miejsca, żeby zostawić dziecko - powtórzyła Jenna lodowatym tonem.

To wszystko się dzieje naprawdę - pomyślała Maggie. Krew pulsowała jej w żyłach tak mocno, że aż poczuła zawroty głowy. In-

12

stynktownie przycisnęła mocniej do siebie niemowlę, które zaczęło cichutko kwilić. Och, Jack, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję?

- Ona jest cała mokra, Jenna - powiedziała spokojnie.

Nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby dodać, żeby poprawić sytuację.

- Masz dla niej jakieś pieluchy? Nie chciałam na ciebie krzywić się. Zachowajmy spokój i spróbujmy rozwiązać ten problem. OK?

Jenna spojrzała uważnie na twarz matki. Podziałała na nią zmiana tonu.

- Na szafce w holu jest torba z pieluchami - odparła pośpiesznie. - Przyniosę je.

Myśląc o innych, lepszych czasach, Maggie usłyszała piszczące na parkiecie holu mokre pantofle, a

potem trzaśnięcie frontowych drzwi. Wiedziała, że Jenna odeszła.

Maggie siedziała w starym bujanym fotelu, który wyciągnęła z piwnicy, i śpiewała trzymanemu w ramionach niemowlęciu. Irlandzkie ballady rewolucyjne... takie z dwudziestoma siedmioma zwrotkami, wszystkie pełne uczucia. Śpiewała cicho od ponad godziny wspominając i wspominając... A życie trwa bez końca, jak podgryzanie przez mysz - napisała Millay. To nic nowego dla kobiety.

Już samo patrzenie na dziecko było balsamem dla jej" serca. Jego przejrzyste oczy były teraz zamknięte we śnie, a usta nadal wilgotne od odżywki, którą kupiła w pobliskim sklepie. Jedna maleńka piąstka zaciskała się na palcu Maggie chwytem, który zdawał się zapowiadać, że nie jest to nic tymczasowego.

Zaledwie przed chwilą czuła się jakby wyżęta przez gniew i neodparte poczucie przegranej, które ją opanowały po wyjściu Jenny. Wypłakała cicho swą frustrację, kołyszając dziecko. Czuła się tak jak wtedy, kiedy umarł Jack: przygniatana przez siły, nad którymi nie mogła zapanować. Ale teraz nic już nie było ważne. W jakiś dziwny sposób dziecko sprawiło, że wszystko wydawało się mało istotne. Cody była samą doskonałością. Cody była miłością. Zasługiwała na śmiech, a nie na łzy. Jakże można było nie być wdzięcznym za to, że ona jest na tym świecie?

13

Maggie podniosła się ostrożnie i ułożyła śpiące zawiniątko na środku swojego obszernego łóżka, a potem zgasiła światło i położyła się obok wnuczki, uważając, by jej nie obudzić. Musiała jutro załatwić kołyskę i jeszcze milion różnych innych rzeczy... Przyglądała się pojawiającym się na suficie zygzakom światła, zadowolona, że do ranka pozostało jeszcze wiele cichych godzin.

Musiała myśleć, a nie spać.

Musiała się również modlić.

Rozdział 2

Maggie zapukała energicznie w przeszklone drzwi sklepu, którego właścicielką była od dziesięciu lat. Chciała, żeby Amanda Brad-shaw jak najszybciej wpuściła ją do środka. O ósmej rano zazwyczaj pełna życia M.A. była pusta i - pogrążona w błogiej ciszy - sprawiała wprost surrealistyczne wrażenie.

- Chyba mi nie powiesz, że to, co masz na rękach, to niemow

łę! - powiedziała Amanda z nutą zaskoczenia i troski w głosie.

Dojrzała już w oczach Maggie objawy zmęczenia i braku snu. Pracowała u niej jako kierowniczka sklepu, ale to nie wykluczało prawdziwej przyjaźni, która narodziła się między kobietami na przestrzeni lat.

- Czyżbyś była zaskoczona? - zapytała nerwowo Maggie, zrzucając płaszcz. - Jenna zjawiła się ni stąd

ni zowąd, zostawiła mi dziecko i znowu zniknęła. Nie spałam całą noc...

- Dziecko było niespokojne?

- Nie. Ja byłam niespokojna! Nie mogłam przestać myśleć, Amando. Gdzie ona była przez cały ten czas? Czy wciąż bierze? Czy zamierza wrócić? Czuję się tak, jakbym wpadła do głębokiej studni i znalazła na jej dnie niemowlę.

Amanda była wysoka i smukła, i Maggie, widząc ją, zawsze odnosiła wrażenie, że jej przyjaciółka porusza się w rytm jakiejś

14

nieślyszalnej melodii, z tajemniczym wdziękiem, który, jak przypuszczała, był odziedziczony po całych pokoleniach przodków żyjących w luksusach. Jej starannie wypielęgnowane dłonie ostrożnie rozchyliły koc, odsłaniając ukryte w nim dziecko.

- Och, jakie śliczne, Maggie. Jak ktoś, kto bierze narkotyki, może w ogóle urodzić takie śliczne maleństwo?

Maggie spojrzała na trzymaną w ramionach maleńką istotę i westchnęła.

- Ona już mnie zawojowała, Amando. Nie trzeba więcej niż dziesięć minut, żeby się w niej zakochać.

- A jak tam urocza Jenna? - zapytała Amanda ironicznie. - Jaką historyjkę opowiedziała ci tym razem?

Zbyt często była świadkiem daremnych, chociaż rozpaczliwych i nieustannych wysiłków Maggie, zmierzających do uratowania Jenny, żeby mieć jakieś złudzenia co do tej dziewczyny. Lekarze mówią, że udaje się wyleczyć tylko jednego na trzydziestu sześciu heroini-stów, i Amanda raczej nie sądziła, że będzie nim właśnie Jenna.

- To, co się dzieje... czy działa... mogę się tego nigdy nie do wiedzieć. Znowu odeszła.

- Chcesz powiedzieć: zniknęła? Maggie ze znużeniem skinęła głową.

- Powiedziała, że musi zostawić gdzieś dziecko.

- I padło akurat na ciebie?

- Tak.

- No to super. I ty masz po prostu przewrócić swoje życie do góry nogami i zostać mateczką Cabrini?

- Chyba właśnie o to chodzi.

Amanda uniosła swoje wyraźnie zaznaczone brwi.

- A ta beztroska panienska po prostu rozmnaża się jak królik i rusza w drogę? Pewnie cię to nieźle wkurzyło.

- Amando! - oburzyła się Maggie. - Kocham Jennę! Chcę po prostu jej pomóc, ale ona mi się wymyka... Wyglądała wczoraj na naprawdę wymęczoną. Była taka zdesperowana i samotna. Boję się, że gdybyśmy ją nawet znaleźli, to nie byłaby w stanie zająć się tym maleństwem.

- A ty tak?

15

Maggie na dłuższą chwilę zatrzymała wzrok na dziecku i dopiero potem odpowiedziała przyjaciółce.

- Wydaje mi się, że tak - oznajmiła z wahaniem. - Czy to nie szaleństwo? Naprawdę sędzę, że mogłabym to zrobić.

Ona nie wygląda na swoje czterdzieści dwa lata - pomyślała Amanda - pomimo nieprzespanej nocy. Rzeczywiście, Maggie miała ładną, chociaż może nie piękną twarz, ale starzała się z wdziękiem, dzięki czemu młodzieńczy, zdecydowany zarys szczęki złagodniał, wyrażając teraz spokojną siłę, a radość w jej oczach jakoś przetrwała ciężkie próby i wydawało się, że drzemie w nich ukryty uśmiech. Mimo tego, widać było też w nich skrywany smutek. Ale z jej twarzy zawsze biła pogoda ducha.

Maggie wpatrzyła się w oczy przyjaciółki, szukając w nich zrozumienia.

- Minęło już tyle czasu, odkąd miałam kogoś, kto by mnie po
trzebował, Amando... Kogoś, kogo naprawdę można kochać. Trud
no mi to wytłumaczyć, ale ta mała i ja już się Kochamy w jakiś
szczególny sposób.

Amanda uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Ach, oczywiście, że tak, moja droga. W końcu jesteście ze sobą już co najmniej dwanaście godzin.

- O Boże! - westchnęła Maggie. - Mówię jak typowa babcia, prawda?

- Co za okropne słowo! Musimy wymyślić jakieś inne określenie twojej sytuacji. Wyglądasz na tyle młodo, by być jej mamą, moja droga... Wiele kobiet w twoim wieku rodzi dzieci.

Maggie uśmiechnęła się z satysfakcją, słysząc pochlebstwa przyjaciółki. Zatrudniła Amandę z powodu

jej nadzwyczajnej znajomości antyków i godnych podziwu towarzyskich powiązań, które ściągały do sklepu śmietankę klientów. Jednak nie potrzebowała wiele czasu, by odkryć jej głębiej ukryte cechy: autentyczną szczerość serca, rubaszne poczucie humoru, skrywane pod osłoną dobrych manier, czy wyrafinowany intelekt, który sprawiał, że potrafiła ukłuć słowem jak żądłem.

- Całą noc myślałam o tym, jak los czasami zmusza człowieka, żeby udzielił szczerzej odpowiedzi, Amando. Bez żadnego owijania

16

w bawełnę, bez żadnego krążenia, tylko pyta po prostu: Kim, do diabła, jesteś, Maggie? Moja mama mówiła: „charakter to jest to, kim się jest w ciemnościach”. Zaczynam rozumieć, co miała na myśli.

Amanda oparła się o krawędź dziewiętnastowiecznego stołu i uśmiechnęła się.

- Cóż, moja droga, przez ostatnich parę miesięcy bardzo nam brakowało czegoś podniecającego. Zdaje się, że teraz czeka nas trochę szaleństwa.

- Mam czterdzieści dwa lata - ciągnęła poważnym tonem Maggie - Jestem o wiele za stara, żeby wychowywać dziecko. Jack odszedł, a to nie w porządku wychowywać dziecko bez ojca. Więc mam przed sobą wielkie znaki zapytania...

Zawahala się na chwilę i zaraz podjęła na nowo.

- Po tym jak Jack umarł, a Jenna uciekła, czułam się spustoszona, Amando. Przez żal... poczucie winy... nawet chyba przez próby ekspiacji. I przez milion emocji, które mną targaly, więc nie jestem tą samą osobą, którą byłam przedtem.

- Nie jest ci łatwo z tym walczyć - powiedziała cichym głosem Amanda. - Ale chciałabyś spróbować... prawda? Pomimo wszelkich trudności, wbrew zdrowemu rozsądkowi i zdaniu większości... i niech diabli wezmą całą resztę - roześmiała się, ale w jej głosie brzmiała życzliwość. - Nic dziwnego, że cię kocham, Maggie. Wyglądasz tak normalnie i rozsądnie, ale gdzieś pod spodem jesteś miękka jak gąbka. Jak, jeśli mogę zapytać, masz zamiar opiekować się dzieckiem i pracować cały dzień? O ile wiem, Jack nie zostawił ci za wielkiej fortuny. Poza tym potrzebujesz tego sklepu, żeby utrzymać kontakt z ludźmi. W przeciwnym razie na pewno zamienisz się w pustelniczkę.

Maggie nie odpowiedziała.

- A może, co jeszcze ważniejsze, naraziłaś się już na gniew Marii Aparecidy? - drążyła dalej Amanda, jakby to było coś szczególnie niebezpiecznego.

Maggie skrzywiła twarz i pokręciła głową.

- Wiesz, że tak naprawdę ona jest dobra i łagodna. To nie jej wina, że wygląda jak Pilar w „Słońce też wschodzi”.

17

- I, o ile pamiętam, ma podobny temperament.

- Tylko wtedy, kiedy ma powody... no i może w co drugi czwartek... poza tym, od kiedy zostałam sama, jest dla mnie darem niebios. To, że Maria nadal prowadzi mi dom, jest jedyną rzeczą, która łączy mnie z dawnymi czasami.

- Nie potrzebujesz łączności z dawnymi czasami, Maggie. Potrzebujesz nowego życia, tu i teraz.

Dziecko otworzyło oczy i zakwiliło. Maggie utuliła je delikatnie w ramionach.

- Wygląda na to, że los właśnie mnie nim obdarzył - powiedziała z łagodnym uśmiechem.

- Oczywiście, pomieszało ci się w głowie - stwierdziła życzliwym tonem Amanda. - Ale jesteś bardzo dobrym człowiekiem.

Żartobliwie wypędziła ją ze sklepu i stanęła w drzwiach, patrząc, jak Maggie z dzieckiem na ręku idzie w kierunku taksówki. Może powodem było srebrzyste światło wczesnego nowojorskiego poranka, a może nieco za duża ilość wypitego do wczorajszej kolacji co-urvoisiera, ale Amanda gotowa była przysiąc, że zarówno Maggie jak i dziecko świecą łagodnym blaskiem w porannym słońcu.

* * *

- Nossa Senhora! Mogła mi pani powiedzieć, że się spodziewa dziecka - zawołała żartobliwie Maria.

Maggie roześmiała się, a masywnie zbudowana Maria wzięła dziecko z jej ramion i ułożyła na swym potężnym łonie, jak w kołysce. Cody zagruchała w odpowiedzi.

- Powiedziałabym, gdybym sama o tym wiedziała - odparła Maggie.

Zdjęła kapelusz, który chronił jej głowę przed chłodem poranka. Miała ciemne, kręcone włosy ze złotawymi pasemkami. W młodości starała się, jak mogła, żeby nad nimi zapanować, ale teraz była zadowolona, że wymagają tak mało zabiegów.

- Jenna? - mruknęła Maria, zdradzając domyślność właściwą

osobie służącej od wielu lat jednej rodzinie i znającej wszystkie jej sekrety.

18

- Przyszła wczoraj wieczorem i znowu sobie poszła.

- A narkotyki? Dalej bierze?

- Mogę się tylko domyślać, że tak.

- Więc ta kruszyna ma przynajmniej trochę naszej krwi - orzekła Maria z satysfakcją. - To dobrze, bo kiedy się adoptuje dziecko, to nie ma pewności.

Maggie roześmiała się głośno. Nigdy nie było wiadomo, czego się spodziewać po Marii. Miała życzliwe serce, porywczy temperament i była szczerą do bólu. Maggie nie pamiętała już, od ilu lat prowadzi jej dom. Chyba od dwudziestu paru. Pewnie kiedyś musiała być młoda, chociaż w oczach Maggie zawsze była w nieokreślonym wieku.

- Jeżeli dziecko zostanie u nas, to będzie mnóstwo dodatkowej pracy, Mario. Nie mogę wymagać od ciebie, żebyś...

- Co znaczy , jeżeli"? - przerwała Maria. - To nasza krew, co miałybyśmy zrobić innego? Oddać ją do schroniska dla bezdomnych zwierząt?

Przytuliła maleństwo ze znajomością rzeczy właściwą ludziom naturalnie do tego predysponowanym i nie pytając Maggie o pozwolenie, poczłapała do kuchni, tuląc dziecko do piersi.

- Coitadinha, Coitadinha! - mruzczała, idąc. - Biedne maleń

stwo!

Maggie nie znała portugalskiego, ale przebywając przez tyle lat z Marią Aparecidą, przyswoiła sobie kilkadziesiąt wyrażań. Patrzyła za nimi, myśląc, że może Bóg, mimo wszystko, wie, co robi.

Zrzuciła buty i usiadła z westchnieniem na łóżku, żeby przemyśleć to wszystko. Od śmierci Jacka kolekcja zdjęć w srebrnych ramkach, które stały koło jej łóżka, była ołtarzykiem, do którego zwracała się, gdy miała podjąć trudne decyzje. Podniosła swoje ulubione zdjęcie z jego uświęconego miejsca i spojrzała na twarz o roześmianych oczach, otoczonych delikatnymi zmarszczkami. Dziwne, że nie zauważyła srebrnych nitek w jego włosach, kiedy żył. Miał takie żywe, bujne włosy, w których można było zanurzać palce... Nagłe łzy przesłoniły jej obraz mężczyzny, którego kochała przez tak wiele lat. Otarła je, zirytowana, że tak łatwo się pojawiają.

19

- Masz pęcherz bardzo blisko oczu, dziecko - mawiał często jej pochodzący z Irlandii ojciec, kiedy była mała.

Za nim też tęskniła. Jak wielu z tych, których naprawdę kochała już odeszło? Jennę też straciła... może na zawsze.

Co takiego powiedział jej lekarz podczas ostatniego odwyku? - „Pani nie jest powodem uzależnienia córki, pani O'Connor. Nie może pani nad nim zapanować i nie może go uleczyć. Nie zazna pani spokoju, dopóki nie wbije pani sobie tego do głowy”.

Czy nie rozumiał, że wbicie sobie tego do głowy jest proste, ale serce się buntuje? I że dusza rwie się, by ratować Jennę? Dlatego nigdy nie zrezygnowała... nie zamierzała nigdy zrezygnować.

- Moja kochana, kochana Jenna - wyszeptwała Maggie do wysokiej, jasnowłosej dziewczyny ze zdjęcia w srebrnej ramce. - Tak do ciebie tęsknię. Tak cię Kocham.

Bądź wola Twoja, a nie moja, Panie - szeptała zapamiętaną z dzieciństwa modlitwę, pragnąc, by jej słowa znaczyły to, co znaczą.

- Musisz się nauczyć przyjmować wolę Bożą, Maggie - napominała ją wiele lat temu matka przełożona, kiedy pytała ją, dlaczego Bóg nie uleczył jej śmiertelnie chorej matki, chociaż tak bardzo się o to modliła. - Myślisz, że Bóg powinien słuchać twoich żądań? To jest grzech pychy, Maggie! Nie masz prawa mieszać się w boskie plany. Nie jesteś w stanie widzieć na tyle daleko ani szeroko, żeby wiedzieć, co On zamierza.

- Ale tak niewiele trzeba mu było, żeby ją uleczyć, matko. Dlaczego On nie dba o swoich przyjaciół?

Została za to posłana do dodatkowych prac w klasztorze. Szorowała kuchnię zakonną, aż odpokutowała swój wybuch, ale to wcale nie znaczyło, że zmieniła sposób myślenia.

Z westchnieniem przyłożyła ukochane zdjęcie do ust i odstawiła je na stolik.

- Coś ci powiem, Boże - powiedziała wprost, gdyż zwyczaj rozmawiania z Nim był dla niej równie naturalny jak oddychanie. - Zajmę się tym dzieckiem, a Ty za to zaopiekujesz się Jenną.

Rozdział 3

Maggie chodziła w tę i z powrotem z Cody na rękach. Starła się nie myśleć o narastającym w jej plecach, rękach i ramionach bólu, wywołanym ciężarem sporego, czternastomiesięcznego dziecka.

Ona nie jest ciężka, jest moją wnuczką - powiedziała sobie w myślach i omal się nie roześmiała na głos.

Cody właśnie ząbkowała, a na domiar złego miała grypę. Maggie słyszała rżący oddech dziecka, który stawał się coraz wyraźniejszy.

- Nie powinna się pani tak bardzo martwić, pani O'Connor - powiedział wczoraj pediatra. - Antybiotyki załatwią sprawę.

Ale Cody nie była jego dzieckiem, a która babcia nie martwiłaby się czymś tak ważnym, jak zdrowie? Przez dwie kolejne noce Maggie budziła się co pół godziny, by w ciemnościach posłuchać ciężkiego oddechu Cody. Tej nocy nawet.

Zimno od podłogi wciskało się pod jej szlafrok, a stopy zrobiły się lodowate, lecz nie mogła teraz przestać chodzić. Cody już prawie spała niespokojnym snem chorych dzieci, który mógł przerwać każdy najcichszy szelest czy chociażby zmiana rytmu kroków. Przycisnęła dziecko mocniej do siebie, jakby chciała odpędzić niebezpieczeństwo i chorobę samą siłą woli.

Poradzę sobie z tym! - myślała, zbierając siły, kiedy zmęczenie zaczynało już brać górę. Nic dziwnego, że Bóg daje dzieci ludziom mającym dwadzieścia parę lat. Zegar wskazywał trzecią trzydzieści osiem, a ona była już całkowicie wyczerpana. Mogę przeżyć bez snu - powiedziała sobie twardo. Święty Szymon siedział na słupie przez trzydzieści lat. Na pewno nie spał za dużo.

Ale święty Szymon nie musiał wstawać rano, żeby zarobić na życie - przypomniał jej jakiś wewnętrzny głos.

Westchnęła, nie przestając chodzić. Samotne wychowywanie Cody było najtrudniejszym zadaniem, jakiego kiedykolwiek się podjęła, a trudne zadania zawsze nocą wyglądają groźniej. Ząbkowanie i grypa to drobnostka w porównaniu z tym, co mnie czeka w przyszłości - pomyślała z przygnębieniem. - Różyczka i tablicz-

21

ka mnożenia, klasowe zabawy i szkolne wywiadówki w towarzystwie kobiet dwa razy ode mnie młodszych.

Wszystko to było jeszcze przed nią, nie wspominając już o opłatach za college i rachunku różniczkowym i o tym, że w międzyczasie trzeba robić jak należy wszystkie inne rzeczy. - Weź się w garść, Maggie - napomniała się, kładąc ostrożnie do zdobionej falbankami kołyski śpiącą już Cody. - Jesteś po

prostu zniechęcona ze zmęczenia. Rano wszystko będzie wyglądać lepiej. - Nakryła wnuczkę i zatrzymała się na moment, by popatrzeć na anielską buzię tak kochanego przez nią dziecka.

- Nieważne, jakie to trudne czy jaka jestem zmęczona - wy

szeptwała do śpiącego dziecka. - Jesteś tego warta.

* * *

Ziewając, Maggie sięgnęła po trzecią już tego ranka filiżankę kawy i wróciła do pracy nad dokumentacją dotyczącą londyńskiej transakcji. Mała, wykonana z brązu statuetka boga Ptaha była właśnie tym, co jeden z jej najlepszych klientów pragnął kupić od dziesięciu lat. Miała dużo szczęścia, że człowiek, który był jej poprzednim właścicielem, postanowił odchudzić swoją kolekcję.

- Właśnie rozwiązałam jedną z wielkich życiowych zagadek -

powiedziała wesoło do Amandy, która siedziała po drugiej stronie

niewielkiego biurowego pomieszczenia. - Na sukces w biznesie

składają się: talent, humor, dowcip, wytrzymałość, zaangażowanie,

ambicja, umiejętności handlowe, intuicja, przebojowość, ubiór, cięż

ka praca i odpowiednia ilość snu - to ostatnie jest najważniejsze.

Amanda z rozbawioną miną podniosła oczy znad papierów.

- Nie zaszkodzi jeszcze, jeśli się człowiek urodzi w odpowiedniej ro

dzinie, pójdzie do odpowiedniej szkoły, należy do najlepszych klubów

i jest płci męskiej albo ma obsesję na punkcie seksu i wielkie cycki.

Maggie roześmiała się głośno. Trudno było mieć ostatnie słowo w rozmowie z Amandą.

22

Rozdział 4

Maggie popychała huśtawkę, rozkoszując się pięknym dniem. Śmiech Cody zawsze ją zachwycał. Jak szybko potrafią umknąć trzy lata? - pomyślała, patrząc, jak maleńkie nóżki dziewczynki poruszają się sprawnie, żeby wspomóc rytm huśtawki. Trzy lata odzyskanego życia i odczuwanej na nowo radości. Trzy lata miłości i śmiechu, zapominania o sobie i pocałunków, nabywania nowych umiejętności i milion innych rzeczy związanych z macierzyństwem, które nadały nowy sens jej życiu.

Chłodna, słoneczna pogoda zachwycała ją, a niebo było bardziej niebieskie niż kiedykolwiek w ciągu

ostatnich tygodni. Zapięła guziki starego irlandzkiego swetra, który Jack najbardziej lubił, i dalej wśluchiwała się w wesoly śmiech Cody dzwoniący w styczniowym powietrzu.

- Ona panią kocha, donna Maggie - orzekła przy śniadaniu Maria Aparecida. - Kocha panią wielką miłością. Mnie traktuje jak przyjaciółkę, ale jej serce jest związane z pani sercem. Zobacz pani, to prawda.

Maggie wiedziała, że to prawda. Ona i Cody były jak para tancerzy poruszająca się we wspólnym rytmie. Kiedy były razem, świat wydawał się doskonały.

- Jak bardzo świat różni się od naszych wyobrażeń - powie diał w zamyśleniu Jack, kiedy leżał, czekając na śmierć...

Oczywiście, miał rację... ale czasami niespodzianki są miłe. Tak to śmiejące się, kochające dziecko, które tak niespodziewanie pojawiło się w jej opustoszałym świecie.

- Wyżej, Mim! Wyżej! - wołała cienkim głosem Cody pomiędzy atakami śmiechu.

Ale kierowana nagłym impulsem Maggie zatrzymała huśtawkę i gwałtownie porwała wnuczkę w objęcia. Stała nieruchomo, z Cody w ramionach, czując potrzebę przytulania jej i bycia przytulaną.

- Masz bubu, Mim? - zapytała dziewczynka, przejęta łzami w oczach Maggie.

23

Starła jedną z nich pulchnymi paluszkami.

- Nie, kochanie - skłamała Maggie, zmuszając się do uśmiechu. - To chyba od słońca.

- Pocałuję to - zaproponowała dziewczynka, zadowolona, że wie, jak zaradzić bólowi, i przywarła ustami do policzka Maggie.

- Chodźmy do domu, zobaczyć, jakie smakowitości upiekła nam dzisiaj Maria - zaproponowała Maggie, odzyskawszy dzięki dziecku siły. - Mam nadzieję, że ciasto z miodem.

Zapięła kurtkę Cody i pocałowała ją delikatnie w aksamitny policzek.

- Kocham cię, słoneczko - powiedziała, czując to każdym włóknem swej istoty.

- Ja też cię kocham - odpowiedziała wesoło dziewczynka i ruszyły w kierunku St. Luke's Place, trzymając się za ręce.

* * *

- Ta mała jest aż za mądra, donna Maggie. Jakby zjadła wszystkie rozumy.

Maria pokręciła swą wielką głową w szczerym geście ni to irytacji, ni to podziwu. Miała całkiem siwe włosy, które zbierała w gruby warkocz opadający na jej wyprostowane niemal młodzieńcze plecy. Przez te lata, kiedy pomagała w wychowaniu Cody, pokochała ją głęboką miłością.

- Powiedziała dzisiaj rzeźnikowi, żeby dał plasterki mielone, który jej proponował, biednym dzieciom w sierocińcu. Wyobraża to sobie pani? Jakby miała czterdzieści lat i wspierała biednych.

Maggie roześmiała się, wyobrażając sobie tę scenę

- Ona jest wprost niesamowita, Mario - powiedziała z zachwytem. - Pani w przedszkolu mówiła mi, że Cody zawsze stara się łączyć spory między dziećmi. „Można by pomyśleć, że jest członkiem Sądu Najwyższego, pani O'Connor” - Maggie naśladowała głos opiekunki. - „Inne maluchy zawsze zwracają się do niej ze swoimi kłopotami. Nigdy czegoś takiego nie widziałam”.

Maria pośpiesznie przeżegnała się.

24

- Ona ma w sobie jakiś urok. Zobtnij pani, donna Maggie. Ma dar boży. W mojej wsi był taki, co go miał- urodził się w czepku na głowie. Tacy z czepkiem mają dar koły>

- Tylko Jenna może wiedzieć, czy ta kruszyna miała czepkę, czy nie, Mario - powiedziała z westchnieniem Maggie. - Ale minęło już tyle czasu, że wątpię, czy kiedykolwiek wróci do domu, żeby nam o tym powiedzieć.

- Moja pani idzie codziennie spać smutna - mruknęła Mana z prawdziwym przejęciem. - Nie wie. -'/y

jej córka żyje, czy umar-

ła.

- Nie, Mario - zaprzeczyła pośpiesznie Maggie. - Ona żyje. -Tylko tej jednej rzeczy była pewna. - Wiedziałabym, gdyby się stało coś złego.

Była pewna, że śmierć przerwałaby psychiczną więź, która łączyła ją z Jenną. Ale nadal ją odczuwała, co pozwalało jej zachować

nadzieję.

Gospośia przeżegnała się i wykonała zabobonny gest od uroków.

Będę musiała mieć oko na przesady Marii, kiedy Cody podrośnie na tyle, żeby je rozumieć - pomyka Maggie w roztargnieniu.

Nie miała nic przeciwko chłopskiej religijności, nawet jeżeli bywała trochę fanatyczna, ale nie chciała, żeby Cody wystraszyła się niesamowitymi opowieściami o Nieznanym.

- Wiesz, Mario, że Cody dała wczoraj moje drugie śniadanie temu bezdomnemu na University Place - powiedziała Maggie, przypominając sobie nagle ten fakt. - Temu, który śpi w kartonowym pudle. Miałyśmy ze sobą kanapki z masłem fistaszkowym i galaretką. Szłyśmy na plac zabaw, kiedy Cody zobaczyła go i uznała, że wygląda na głodnego. Podbiegła do niego i wrzuciła mu do kapelusza torebkę z jedzeniem tak szybko, że ledwie się zorientowałam.

"1 wi.Me s.rcn i iag«M *•* *T ^ stwierdziła nabożnym .onem Maria. - To najw,cksz, dar. szczodr serce.

Stowa gospośi przypomniały Maggie jeszcze jedną niedawna sytuację. Roześmiała się na jej wspomnienie.

co się dzieje.

25

- Na placu zabaw jest taki mały blondynek. Od kilJcu tygodni przychodzi do mnie każdego dnia i wdrapuje się na kolana. Bawi się moimi włosami, przytula twarz do piersi, a potem schodzi, mówi do małej „dziękuję" i odchodzi. Więc w końcu zapytałam, o co chodzi, a ona mówi mi na to niewinnie: jego mamusia ma krótkie wło

sy i twardą pierś, więc pożyczyłam mu ciebie, żeby mu był* o dobrze.

Obie kobiety roześmiały się. Wymienianie się anegdotami na temat ukochanego dziecka stało się już zwyczajem. Ich maJeńka rodzina, chociaż odbiegająca od uznanych schematów, była wyjątkowo szczęśliwa.

* * *

Cody trzymała zranionego ptaszka w swych pulchnych, złożonych razem rączkach, które ledwie wystarczały, żeby go utrzymać. Wróbelek nie szarpał się, więc Maggie pomyślała, że musi być nieżywy.

- Potrafię go uzdrowić - powiedziała Cody bardziej do siebie niż do Maggie.

- Boję się, że ten ptaszek już umiera, bo w przeciwnym razie nie pozwoliłby się trzymać w ten sposób, kochanie - powiedziała Maggie ze smutkiem. - Nie wiem, czy możemy go uratować.

Cody spojrzała na babcię w zamyśleniu, jak dorosły, który usiłuje wywnioskować, jak dużo może powiedzieć niezbyt rozgarniętemu dziecku.

- Wiem, jak to zrobić, Mim - powiedziała cicho, ale z absolutnym przekonaniem. - Nie martw się. Potrafię uzdrawiać chore zwierzątka.

Zaskoczona Maggie zmarszczyła brwi. Nie wiedziała, jak zareagować.

- Potrafisz, kwiatuszku? - zapytała zaskoczona. - Jak się tego nauczyłaś?

Cody uśmiechnęła się, trzymając nadal ptaszka w jednej rączce i głaszcząc go delikatnie drugą.

- Nie nauczyłam się, Mim - powiedziała spokojnie. - Po prostu zawsze to umiałam - dodała i bez dalszych wyjaśnień poszła do domu, żeby poszukać Marii.

26

Maggie pomogła wnuczce umieścić wróbelka w pudełku po butach, a potem wzięła gospozię na bok.

- Wiesz coś o tym uzdrawianiu chorych zwierząt, Mario?

- O tak, dona Maggie. Ona ma uzdrawiające ręce, ta mała. Nie wiedziała pani o tym? Kiedy czuję reumatyzm w nodze, to ona kładzie mi na niej rączki i ból zaraz znika. Zobacz pani, jutro ten ptaszek

będzie latał.

Maria wróciła do pracy, a Maggie jeszcze przez chwilę stała w miejscu, zastanawiając się, co począć z tą piękną bajeczką o uzdrawianiu. W końcu uznała, że nie wygląda to na nic szkodliwego, więc zajęła się po prostu swoimi sprawami.

Rozdział 5

Żółty kolor płaszcza, przypominający kolor autobusu szkolnego, wprawił Maggie w dobry nastrój. Zarzuciła sobie na szyję czarnobiały, jedwabny szalik w nieregularne wzory, zawiązała go fantazyjnie i jeszcze raz rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze. Nieźle, jak na babcię w średnim wieku - pomyślała z uśmiechem. Fakt, że dwoje ludzi w parku wzięło ją wczoraj za matkę Cody, sprawił, iż znowu poczuła się młodo. Prawdę mówiąc, sama Cody sprawiała, że Maggie czuła się tak, jakby znowu była młoda i miała przed sobą szerokie perspektywy.

Z kuchni dobiegł ją wesoły śmiech Cody i Marii Aparecidy -delikatny i dźwięczny dziecka i głęboki, radosny starszej kobiety. Były bardzo zaprzyjaźnione, dzięki czemu Maggie mogła bez większych problemów pracować przez pół dnia w sklepie. A ponieważ Amanda bez żadnych oporów zgodziła się pracować dłużej, Maggie mogła wypełniać obowiązki zastępczej matki przez część każdego dnia, a także we wszystkie noce i weekendy. Sprawdziła, czy ma w torebce wszystkie potrzebne drobiazgi i, czując zadowolenie z życia, wyszła z domu.

27

Dotarła już do najniższego stopnia schodów, gdy przed domem zatrzymała się długa, czarna limuzyna. Popatrzyła na nią nieco zaskoczona, że taki wspaniały pojazd mógł się pokazać w tej okolicy. Pewnie przegapiła fakt, że syn któregoś z sąsiadów został gwiazdą rocka.

Umundurowany szofer, który wysiadł z samochodu, otworzył tylne drzwi, wypuszczając przystojnego, liczącego około czterdziestu lat mężczyznę. Ciekawość Maggie podsycał widok nieskazitelnie uszytego włoskiego garnituru przybysza i otaczająca go aura uładzonej pewności siebie, które sprawiały, że wyglądał bardzo europejsko. Poruszał się jak gracz w polo: pewny siebie, przyzwyczajony do zwracania na siebie uwagi. Spojrzał na Maggie, uśmiechając się, jakby ją rozpoznawał, i wyciągnął rękę do przyciemnionego wnętrza samochodu, żeby pomóc wysiąść młodej zgrabnej kobiecie o długich nogach. Wysoka, smukła jak trzcina, z blond włosami sięgającymi do ramion... Maggie zaparło dech w piersiach z zaskoczenia: to była jej córka.

- Proszę pozwolić, że się przedstawię, pani O'Connor - powiedział mężczyzna z lekko europejskim akcentem, którego Maggie nie była w stanie dokładnie zidentyfikować.

- Nazywam się Erie Vannier. Pani córka opowiedziała mi tak dużo o pani, że poznałbym panią nawet bez zdjęcia, które nosi przy sobie.

Wyciągnął ku niej wypielegnowaną dłoń. Maggie automatycznie podała mu rękę. Nie była w stanie oderwać oczu od Jenny. Kostium od Armaniego, torebka od Hermesa, włosy i makijaż przeniesione wprost z okładki „Vogue”, ale to jednak była Jenna. Te szarzielone oczy, otoczone ciemnymi rzęsami, blada owalna twarz, pełne usta. Wszystko tak przejmująco znajome.

Bez zastanowienia wyciągnęła rękę, by jej ostrożnie dotknąć. Jenna nie odwzajemniła gestu.

- Miło cię zobaczyć, mamó - powiedziała bez emocji, nerwowym ruchem odsuwając włosy z twarzy, jak żreback, który odgania się przed muchami. - Erie i ja wróciliśmy właśnie z naszej podróży po Europie i chcemy szybko odebrać Cody.

„Odebrać Cody” - te słowa uderzyły w Maggie jak grom. Odebrać Cody, tak jakby była paczką zostawioną gdzieś w metrze i te-

28

raz odbieraną z biura rzeczy znalezionych. Usiłowała zapanować nad sobą, żeby udzielić właściwej odpowiedzi, chociaż jeszcze nie wiedziała, co powiedzieć. Erie wyczuł jej napięcie i wtrącił się do rozmowy.

- Wprowadziliśmy się do rodzinnej posiadłości w Greenwich, pani O'Connor, niecałą godzinę drogi stąd. Byliśmy pewni, że ze chce pani nadal widywać Cody, więc postanowiliśmy zamieszkać na jakiś czas tutaj w Stanach, żeby ta zmiana była łatwiejsza dla nas wszystkich. Jenna mówiła mi, jakim pani była aniołem, opiekując się jej córką.

Widywać Cody... Zmiana... Na jakiś czas... Jego słowa rozbrzmiewały echem w jej mózgu... Kim są ci ludzie? Jak oni w ogóle mogą myśleć o zabraniu Cody?

- To dla mnie spory wstrząs - wydusiła z siebie. - Od lat nie miałam znaku życia od córki. Nawet nie wiedziałam, czy żyje... czy kiedykolwiek wróci... - przerwała, nie potrafiąc sobie nawet wyobrazić, jak powiedzieć wszystko to, o czym myśli.

Uśmiech Ericka był olśniewający: doskonale zęby, doskonała szczęka, doskonała pewność siebie... ale jednak było w tym wszystkim coś niedoskonałego. Maggie wyteńczyła rozgorączkowane myśli, by wykryć tę wadę, ale przeszkodziła jej w tym Jenna.

- Czy kiedykolwiek wrócę? Jak coś takiego mogło ci w ogóle przyjść do głowy, mamó? Po prostu nie byłam w formie. Przecież pamiętasz, że miałam problem z narkotykami, prawda?

- Czy pamiętam, że miałas problem z narkotykami? - wyrzuciła z siebie Maggie. - Masz coś nie tak z głową? Oczywiście, że wiem, że miałas problem z narkotykami! Czy z innego powodu, u diabła, zostawiłabyś mnie z dziesięciodniowym niemowlęciem i nie wróciłabyś przez trzy lata?

Nagle poczuła wściekłość na ich niezmałony spokój, na tę bezczelną ingerencję w jej życie.

- Zachowujesz się tak, jakbym była skrytką na pocztę, gdzie można coś wrzucić, a potem odebrać, kiedy cię najdzie ochota. Myślisz, że twoja córka jest przedmiotem, który można odebrać, bo tak jest wygodniej? Gdzie byłaś, do diabła? Co robiłaś ze swoim życiem? Dlaczego nigdy nie wysłałaś mi nawet pocztówki? Nie wy-

29

gląda na to, żeby nie było cię stać na znaczek. Myślę, że zasługuję na parę odpowiedzi, zanim zaczniemy rozmawiać o odebraniu czegokolwiek!

Jenna odwróciła się do Ericka. Cały jej spokój znikł, wyparty przez gniew.

- Mówiłam ci, że ona taka będzie, Erick. Samolubna i wrogo nastawiona.

Podniesione głosy wywabiły z domu Marię. Stała w drzwiach, a tuż za nią pojawiła się Cody. Erick skorzystał z okazji, by zmienić temat.

- Och, jakie z ciebie piękne maleństwo - powiedział do Cody ze szczerym zachwytem. - Masz piękne oczy babci i wspaniałe włosy mamy.

Schowana za plecami Marii Cody nie odwzajemniła jego olśniewającego uśmiechu.

Czując zamęt w głowie, Maggie ruszyła w górę po schodach, dając im ręką znak, by weszli za nią do domu.

- Mim? - wyszeptala goraczkowo Cody, ciagnac ja za rękaw. -

Kim jest ta pani?

Maggie nachyliła się do dziecka, szukając odpowiednich słów. Serce biło jej tak mocno, że ledwie była w stanie oddychać.

- Mam dla ciebie wspaniałą niespodziankę, kochanie - zdołała powiedzieć, zmuszając się do spokojnego tonu głosu. - Pamiętasz te wszystkie moje opowieści o twojej pięknej mamusi? O tej pani na zdjęciu przy moim łóżku?

Przerwała na chwilę, aż Cody skinęła głową.

- Mówiłam ci o tym, jak bardzo cię kocha i że kiedyś wróci, że by ci sama to powiedzieć.

Dziewczynka z wahaniem skinęła głową, bo coś w głosie Maggie napawało ją niepokojem.

- Moje kochanie - powiedziała łagodnie Maggie, usiłując stłu mić łzy. - Ta piękna pani jest twoją mamusią.

Cody odwróciła powoli głowę, poruszona tą oszałamiającą wiadomością, i popatrzyła na Jennę z uwagą. W jej spojrzeniu była czujność. I jeszcze coś nieokreślonego.

30

Jenna, oczarowana, patrzyła na córkę. Ruszyła ku niej z wyciągniętymi ramionami, ale Cody odwróciła twarz i ukryła ją w bezpiecznym schronieniu piersi Maggie. Odrzucona, Jenna zdecydowanym ruchem usiłowała odciągnąć dziewczynkę.

- Nie! - zawołała Cody, przywierając kurczowo do babci.

Wstrząśnięta Maggie też przywarła do dziecka. Zobaczyła, że

Erie przygląda się im, oceniając sytuację.

- To całkiem naturalne, że mała czuje się trochę obco wobec ciebie, kochanie - wtrącił ciepłym głosem.

Maggie musiała przyznać, że jest bardzo przystojny, zmysłowy jak hiszpański tancerz i wyniosły jak

wielki pan.

- Przejdzie jej to, jak tylko wrócimy do domu.

- Do domu? - wyrzuciła z siebie Maggie. - Chyba nie chcecie zabrać jej ze sobą już dzisiaj? To absurd! Tu jest jedyny dom, jaki kiedykolwiek znała!

- To moje dziecko, mamó, nie twoje - wtrąciła Jenna. - Zostawiłam je u ciebie na czas, kiedy byłam chora, a nie na zawsze. Teraz wróciłam i chcę odebrać córkę.

Maggie wyprostowała się, nadal trzymając przy swym łomoczącym sercu uczeploną jej kurczowo dziewczynkę.

- Możesz chcieć to zrobić, Jenna, ale to nie znaczy, że to jest właściwe rozwiązanie. To jest tak niespodziewane, że ja sama nie umiem sobie z tym poradzić, więc jak możesz się spodziewać, że małe dziecko dostosuje się do takiej zmiany? Musisz dać nam trochę czasu, żebyśmy mogły się z tym pogodzić.

Wzięła głęboki oddech, starając się zachować spokój.

- Mówi pan, że macie dom w Greenwich? I że jesteście małżeństwem? Czy są jeszcze jakieś inne niespodzianki, które mnie czekają? Na przykład takie, że jest pan prezesem General Motors, albo że dzisiaj po południu ma pan zamiar objąć władzę w jakimś kraju Trzeciego Świata?

Irlandzki temperament Maggie nie był łatwy do rozbudzenia, ale gdy już do tego dochodziło... Erie przerwał jej, żeby powstrzymać ten wybuch gniewu.

- Pani O'Connor, zapewniam panią, że zarówno Jenna, jak i ja całkowicie rozumiemy pani zaskoczenie i niechęć do rozstania się

31

z dzieckiem, z którym w tak oczywisty sposób się pani owiązała. Może uspokoję nieco panią, jeśli opowiem trochę o sobie... nie będę wtedy wydawał się pani tak tajemniczy.

Maggie skinęła głową poruszona jego grzecznością. Wskazała gestem ręki na kanapę i oboje goście usiedli.

- Moja stara i szanowana rodzina pochodzi z Europy, pani

O'Connor.

- A dokładnie?

Erie uśmiechnął się.

- Historycznie wywodzimy się z Bliskiego Wschodu, jednak wiele pokoleń temu Vannierowie przenieśli się do Paryża, więc chociaż posiadamy banki i instytucje charytatywne w całej Europie, to można nas śmiało uważać za Francuzów.

Niepokoilo ją coś w nadmiernej grzeczności Erica, coś, co tłumilo wyczuwaną przez nią jego pierwotną zwierzęcą energię.

- Jeżeli pozwoli mi pani kontynuować, to obiecuję na tyle zapoznać panią z moim życiorysem, żeby usmierzyć przynajmniej niektóre z pani obaw, pani O'Connor. Chociaż majątek naszej rodziny jest w głównej mierze umieszczony w międzynarodowych instytucjach bankowych, to do moich osobistych obowiązków należy prowadzenie Fundacji Vanniera, dość poważnej organizacji filantropijnej, która przekazuje dużo pieniędzy na godne tego cele. Natura mojej pracy zmusza mnie do częstych podróży, jednak, jak powiedziałem wcześniej, z uwagi na pani oczywiste poświęcenie dla dziecka mojej żony zamieszkałem w jednym z rodzinnych domów niedaleko stąd, żeby pani przejście od roli zastępczej matki do roli babci... - znowu uśmiechnął się przymilnie - doprawdy, słowo „babcia” brzmi absurdalnie, kiedy się panią widzi, pani O'Connor... było mniej traumatyczne.

Maggie przyjęła komplement lekkim skinieniem głowy, usiłując zająć bardziej obiektywną postawę. Był bez wątpienia dobrze wychowany, a więc może dałoby się z nim dyskutować.

- Czy mogę zapytać, gdzie pan spotkał moją córkę, panie Van-nier? Kiedy ostatnio widziałam Jennę, nie wyglądała na to, żeby się obracała w opisywanych przez pana kręgach.

- Proszę mówić do mnie Erie, pani O'Connor, jestem przecież pani zięciem - odparł, a w jego oczach pojawił się czarujący

32

uśmiech. - I może ja mógłbym mówić do pani Maggie? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: - To naprawdę szczęśliwy zbieg okoliczności, że Jenna i ja w ogóle się spotkaliśmy. Widzisz, miałem lekki uraz kręgosłupa, który odniosłem w wypadku podczas jazdy konnej w Central Parku, i zostałem przyjęty do szpitala imienia Roosevelta, gdzie, jak chciał los, Jenna akurat dochodziła do siebie po zerwaniu z nałogiem. Część jej terapii polegała na wykonywaniu ochotniczych prac na terenie szpitala. Opiekowała się na różne sposoby pacjentami. Była szczególnie miła dla mnie, kiedy leżałem wściekły jak tygrys w klatce. Uśmiechnął się wymownie do Jenny.

- Chyba zostałem przez nią oczarowany, bo kiedy stwierdziłem, że jestem w stanie uciec ze szpitala, poprosiłem Jennę, żeby pojechała ze mną do naszego chateau w Lucernie i pomagała mi podczas rekonwalescencji. Jenna oznajmiła, że nie ma żadnych zobowiązań, które by to wykluczały... no i cała reszta, jak mówią, to już historia. Obydwoje wyzdrowieliśmy... i, ku mojemu wielkiemu zadowoleniu, jesteśmy razem od tamtej pory.

Podczas tego nadzwyczajnego monologu Cody siedziała cicho na kolanach Maggie, przyglądając się z ciekawością wszystkim osobom w pokoju. Jenna usiłowała przyciągnąć jej uwagę, ale Cody obserwująca swoją matkę taksującym spojrzeniem, nawet nie poruszyła się w jej kierunku.

- Kocham moją córkę, mamó - oznajmiła nagle Jenna z błagalną nutą w głosie. - Bardzo. I bardzo do niej tęskniłam. Wiem, że nie masz wielu powodów, by mi wierzyć, ale musisz wiedzieć, że ze mną już wszystko w porządku. Jestem szczęśliwą żoną wspaniałego człowieka, który zaopiekuje się nami obiema. W końcu mam szansę, żeby zapewnić Cody szczęśliwe życie. Proszę, proszę, po

zwól mi ułożyć nasze życie, żeby było takie, jakim powinno było
być od samego początku. Dla mojego dobra i dla dobra Cody.

W jej wielkich oczach pojawiły się łzy i Maggie poczuła targające nią sprzeczne uczucia. A jeżeli Jenna naprawdę zerwała z uzależnieniem? A jeżeli naprawdę byłaby w stanie opiekować się Cody i chciała tego? A gdyby Cody w końcu mogła mieć nie tylko prawdziwą matkę i ojca, ale też wszelkie przywileje, jakie ten nie-

33

wątpliwie bogaty człowiek mógł jej zapewnić? Była winna wszystkim zainteresowanym próbę obiektywnego, a nie samolubnego podejścia.

Zachęciła Cody, by zsunęła się na podłogę, mając nadzieję, że mała okaże Jennie jakieś uczucie, ale opór dziecka był niewzruszony.

- Czuję, że muszę natychmiast wypić filiżankę herbaty - powiedziała w końcu Maggie, potrzebując wymówki, żeby uciec od nich i wszystko przemyśleć. - Jeżeli mi wybaczycie na moment, poproszę Marię, żeby nastawiła wodę.

W kuchni jest telefon - pomyślała desperacko. Mogła zadzwonić do Johna McCarthy'ego, adwokata, który prowadził sprawy jej rodziny, i poprosić go o radę. Nastawiła czajnik i wyszeptła pośpiesznie do Marii: - Jenna wyszła za mąż. Przyjechali zabrać dziecko.

- O meu Deus! Senhora... - Maggie nie była w stanie nadążyć za gwałtownie wyrzucanymi portugalskimi słowami, ale ich ton nie pozostawiał wątpliwości co do znaczenia. - Nie może pani pozwolić na tak grzeszną rzecz, dona Maggie. To jest robota szatana!

- Mario! - napomniwała ja ostro Maggie. - Przynajmniej postarajmy się podejść do tego rozsądnie. Proszę.

Wybrała pośpiesznie numer.

- John, dzięki Bogu, że jesteś! - wyrzuciła z siebie, kiedy adwokata, z którym od dawna pozostawała w przyjaźni, odebrał telefon. - Potrzebuję jakiejś mądrej rady, i to szybko. Jenna wróciła nie wiadomo skąd i chce zabrać Cody. Jest zamężna z bogatym Europejczykiem i mają dom w Greenwich i... o Boże, John, chcą zabrać dziecko dzisiaj... teraz! Co mam robić?

- Po pierwsze, musisz zwolnić na tyle, żebym zrozumiał, co mówisz, Maggie. Zacznijmy od początku: Jenna wróciła i, jak się domyślam, już nie bierze? Okay. Jest zamężna. To znacznie komplikuje sprawy, szczególnie, jeśli jej mąż jest bogaty. Prawo jest dość jednoznaczne w tego typu przypadkach, Maggie: dziecko należy do Jenny. Było z tobą tylko z powodu niedomagania matki, ale jeżeli ona jest teraz w dobrej formie... jest w stanie zaopiekować się Cody, to sądzę, że będziesz musiała ją oddać.

34

Maggie poczuła, że robi się jej słabo.

- Och John, wcale nie mam pewności, czy to jest słuszne. Jeżeli Jenna jest naprawdę zdrowa i nie bierze, to, oczywiście powinna wziąć Cody, niezależnie od tego, na ile to będzie bolesne dla mnie. Wiem, że tak trzeba. Ale oboje są dla niej obcymi ludźmi. Cody ich nie zna! Jest przerażona. Nie mogę pozwolić, żeby po prostu sobie z nią wyszli. Skąd mogę wiedzieć, że Jenna jest w porządku...? Skąd mogę wiedzieć, czy on nie jest jakimś mordercą? Co tu jest słuszne, John? Do diabła z prawem, chodzi o to, co jest dobre.

Usłyszała w słuchawce głębokie westchnienie Johna.

- Jeżeli pytasz mnie jako ojca i jako człowieka, który obserwował prowadzenie się twojej córki przez ostatnie parę lat, to powiedziałbym, że właściwym rozwiązaniem jest powiedzieć im, żeby się odpieprzyli. Ale jeżeli prosisz mnie o poradę prawną, to muszę ci powiedzieć, że prawo jest całkowicie po ich stronie. Jezu, Mag

gie, praktycznie trzeba niemal udowodnić, że dziecko jest dwa razy dziennie zanurzane we wrzącym oleju, żeby odebrać opiekę naturalnej matce... i od strony teoretycznej to jest dobre prawo.

W prawdziwym świecie... w tym przypadku... kto, do diabła, może wiedzieć, co jest właściwe? Na pewno nie prawnicy, możesz być tego pewna. Mogę ci powiedzieć tylko jedno: jeżeli ona zadzwoni na policję i powie, że chce zabrać Cody, to będziesz musiała oddać dziecko.

Maggie odłożyła słuchawkę i otarła z oczu łzy frustracji. Zobaczyła, że Maria stoi w drzwiach salonu, przyglądając się badawczo Ericowi. Jego czar wydawał się nie działać na pomoce domowe.

- Przynieś ubranie dziecka - rzucił rozkazująco do Marii.

O Boże, wychodzą! - pomyślała Maggie w panice.

Maria Aparecida skrzyżowała ramiona na swojej potężnej piersi, uniosła pytająco brwi i tkwiąc bez ruchu, czekała na sygnał od swojej pani.

- Błagam cię, Jenna -jęknęła Maggie, stając przed córką. - Po myśl w tym wszystkim najpierw o Cody! To wrażliwe dziecko, a wy jesteście dla niej całkowicie obcymi ludźmi. Czy nie możemy znaleźć jakiegoś łagodnego sposobu oddania jej, żeby miała czas na poznanie was obojga? Mogę przyprowadzać ją do was na weekend-

35

dy, albo możecie przychodzić tutaj w odwiedziny... Będę współpracować w każdy sposób, żeby pomóc wam pokochać się nawzajem...

- Moim zdaniem, wy, Amerykanie, rozpieszczacie swoje dzieci w oburzający sposób, Maggie - skarcił ją Erie. - W Europie uważamy, że im bardziej stanowcze zasady ustanawia się dla młodych ludzi, tym łatwiej jest im je wypełniać. Standardy zachowania, dyscyplina... z tego, co tu widziałem, macie niewielki szacunek dla takich rzeczy.

- Ale mamy wielki szacunek dla miłości i współczucia - odcięła się Maggie. - Może to rekompensuje

nasze niedostatki.

Uśmiech Erica przygasł.

- Tak czy inaczej, Maggie - dodał już zimniejszym tonem - mój pierwszy doktorat zrobiłem z zakresu prawa i zapewniam cię, że niezależnie od tego, jak mogą się różnić nasze postawy co do wychowywania dzieci, to prawo zadba o to, żebyśmy my, ja i Jenna, wychowywali Cody... według naszych własnych zasad. Wygląda na to, że przez jakiś czas byłaś zupełnie odpowiednią za stępczą matką, ale to już nie jest konieczne. Prawdziwa matka istnieje i chce odzyskać swoje dziecko. Dla twojego własnego dobra, i dobra Cody, nie próbuj stawać nam na drodze, bo po prostu zmusisz nas do tego, byśmy na zawsze usunęli ją spod twojego wpływu.

Groźba Erica zabrzmiała tak złowieszczo, że Maggie powstrzymała się od ostrej odpowiedzi i zdusiła w sobie ochotę poczęstowania go kopniakiem. Popatrzyła na Erica, a potem na Jennę, ale było pewne, że nie otrzyma od niej żadnego wsparcia.

- Przygotuję Cody - mruknęła wbrew samej sobie. - Maria spakuje jej rzeczy.

Maria pomstowała pod nosem, pakując małą walizeczkę. Maggie zrozumiała z tego tylko: „też mi ojciec i matka” i „złodziejskie nasienie”. Stała, trzymając Cody za rękę, czując, jak strach dziecka wzmaga jej własny strach. O Boże, nie mogę tego zrobić! Nie mogę pozwolić zabrać ją nie wiadomo dokąd. Nie mogę przestać cieszyć się razem z nią i łagodzić jej smutki. Och, słodki Jezu, skąd będą wiedzieli, że ma ukochaną poduszczkę, bez której nie potra-

36

fi zasnąć? Czy będzie ich obchodziło to, że xi owsianki swędzi ją skóra albo to, że kot Yehudi śpi na jej łóżki

- Nie podoba mi się ta pani - powiedziaa cicho Cody. - A ten

pan ma złe oczy.

Nie mogła pozwolić sobie na łzy, miała się opanować ze względu na Cody.

- Posłuchaj mnie, kochanie - poprosili. - Musisz mnie teraz posłuchać! Mamusia zostawiła mi ciebie, że*ym się tobą opiekowała, dawno, dawno temu... - w gardle dusił ją t>d płaczu, ale po wstrzymała łzy. - Była wtedy bardzo chora nie mogła się tobą zająć, więc poprosiła mnie, żebym się tobą opiekowała, żebyś tu była bezpieczna i kochana. Zrobiłam to, bo ko-iam cię całym sercem.

Teraz mamusia czuje się znowu dobrze, an^tku. i tęskniła do ciebie przez cały ten czas, więc chce, żebyś po echują do domu.

- Dom jest tutaj! - powiedziała z naciskiem Cody.

Maggie poczuła ściskanie w żołądku.

- Tak, kochanie, to zawsze będzie twój dom, ale twoja mamusia ma ładny, nowy dom, w którym chce z tobą mieszkać.

- Ty też możesz pojechać tam mieszkać!

- Nie, kochanie, muszę zostać tutaj z Marią.

- To ja też chcę zostać! - zawołała Cody

Jej wzrok wyrażał absolutny sprzeciw.

- Proszę, nie odsyłaj Cody, Mim - poprosiła, a łzy potoczyły się po jej policzkach. - Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym odeszła z tymi złymi ludźmi... Kocham cię! Będę grzeczna!

Zaczęła łkać, a Maggie spojrzała na Marię, której sroga twarz była już mokra od łez i podjęła decyzję: będzie z nimi walczyła, jeśli się nie da inaczej, ale nie pozwoli im zabrać dziecka. Przynajmniej nie dzisiaj.

Zeszła po schodach, przytulając do siebie Cody i czując przy swoim sercu bicie serca dziewczynki.

- Jenna, Erie - zaczęła, trzymając mocno (ody. - Proszę, po starajcie się zrozumieć to, co chcę powiedzieć, bo to jest bardzo,

bardzo ważne. Uważam, że Cody powinna być / matką, jeżeli Jen
na jest w stanie się nią zaopiekować, ale to nie jest właściwy spo-

37

sób, żeby to osiągnąć. Musicie widzieć, jakie to jest okropnie trudne dla mnie i dla Cody... nigdy nie znała
innego domu niż ten i żadnej innej rodziny, tylko mnie i Marię...

- Właśnie jesteśmy tu po to, żeby to naprawić - przerwał gładko Erie. - Przedłużanie pożegnań
niczego nie ułatwi, Maggie.

- Po co miałybyśmy się żegnać? Może pozwolilibyście, żeby nauczyła się was kochać, zanim
zabierzecie ją z miejsca, które daje jej poczucie bezpieczeństwa?

To, co stało się później, nastąpiło tak szybko, że wydarzenia zlały się w jeden zamazany ciąg. Cody z
krzykiem oplotła Maggie ramionami i nogami, a Jenna zaczęła ją od niej odrywać. Przeżrana
dziewczynka uderzyła ją prosto w szczękę, a Erie tylko czekał na dogodną sposobność, żeby brutalnie
oderwać dziecko od obydwu kobiet.

- Nie! - wrzasnęła Maggie - nie rób tego! Jednak Erie szedł już do drzwi.

- Ona ma tylko trzy lata! Nie rozumie, dlaczego to robicie!

- Zrozumie, Maggie! - zawołał przez ramię mężczyzna zbiega
jąc po schodach.

Cody szarpała się rozpaczliwie w jego uścisku.

Maggie zbiegła za nimi, chcąc wyrwać dziecko, ale Erie i Jenna byli szybsi: wielki samochód ruszył z
piskiem opon. Maggie zobaczyła tylko przyciśniętą do tylnej szyby przerażoną twarz Cody, która
krzyczała bezgłośnie.

Czując się tak, jakby ktoś jej wyrwał z piersi serce, chwyciła kurczowo poręcz schodów. Była
oszołomiona i oślepiona przez łzy. Nie zważała ani na zimno, ani na zaciekawione spojrzenia
przechodniów. Osunęła się na schody, ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

38

Rozdział 6

Minęło trzydzieści dni, odkąd przyszła kartka od Tiffany'ego wysłana przez Jenę. Jej córka podała adres
w Greenwich i dołączyła napomnienie, by Maggie nie pokazywała się tam przez miesiąc, „żeby Cody

mogła się przyzwyczaić do nowego otoczenia".

Maggie sprawdziła notatki dotyczące trasy, które przykleiła taśmą do deski rozdzielczej swojego volvo, i skręciła z autostrady 1-95 na Roundhill Road. Wyzerowała licznik odległości, żeby odmierzyć dwie i osiem dziesiątych mili do następnego zakrętu. „W lewo na światłach i jeszcze raz w lewo za kościołem" doprowadziło ją do sielskiej krainy. Maleńkie pączki na gałęziach usiłowały z miernym powodzeniem pokonać szarobrązową nagość zimy, ale zimny wiatr stracił nieco ze swojej ostrości. W normalnych okolicznościach Maggie odczuwałaby przyjemność, oglądając późnozimowy krajobraz i sycąc się atmosferą Connecticut. Dzisiaj liczyła się tylko jedna rzecz - Cody była gdzieś za następnym zakrętem drogi. Cody, której ukochanego głosu nie słyszała od miesiąca, wkrótce znowu miała znaleźć się w jej ramionach, śmiejąc się i rozmawiając, przepędzając lęki, które dręczyły ją dzień i noc od okropnego momentu powrotu Jenny. Jakże to tragiczne, że to, co powinno być radosnym spotkaniem po latach, miało tak opłakany przebieg. Musiał być jakiś sposób, by zagoić te rany.

Każde dziecko należy do swojej matki - napominała się tysiące razy od strasznego momentu rozstania. Jeżeli Jenna była czysta, tak jak na to wyglądało, to pokochałyby się z Cody i byłyby dla siebie dobre, jak Bóg przykazał. Maggie byłaby wtedy babcią jak inne babcie. Rozpuszczałyby wnuczkę, zabierając ją do sklepu z zabawkami F. A. O. Schwarz and Rumpelmayer's. Odwiedzałyby razem zoo i Muzeum Przyrodnicze. Uczylały ją i kochały z pełnym pobłażaniem, tak jak inne babcie, nie mając żadnych problemów i nie odczuwając odpowiedzialności właściwej rodzicom. Powtarzała sobie te absolutnie rozsądne argumenty już nie wiadomo który raz, ale wcale nie poprawiało to jej samopoczucia. Opieka nad Cody była dla niej bardziej błogosławieństwem niż obowiązkiem. Wiedziała, że będzie za nią tęsknić aż do śmierci.

39

Westchnęła i opuściła okno, żeby zimne powietrze ochłodziło jej głowę. Tu nie chodzi o ciebie, Maggie - napomniała się. - Chodzi o to, żeby Cody była już zawsze szczęśliwa.

- Żeby tylko była bezpieczna - powiedziała na głos pod adresem malowniczego krajobrazu, usiłując podbudować się na duchu. -

Tylko to jest ważne.

Krajobraz zaczął się zmieniać, a w miejsce stojących obok siebie domów zaczęły się pojawiać rezydencje, wzniesione na terenie dużych, prywatnych posiadłości. Maggie spojrzała na licznik i uświadomiła sobie, że wielka żelazna brama wprost przed nią musi prowadzić na teren posiadłości Vannierów. Wyglądało na to, że wrota są nie zamknięte i nie pilnowane.

Długi podjazd skręcał łagodnie w prawo i znikał wśród dorodnych sosen i klonów, które porastały posiadłość aż do zatoki. Maggie jechała nim bez końca, aż dotarła przed dom, chociaż to słowo nie wydawało się odpowiednim terminem dla wielkiej budowli, która ukazała się za ostatnim zadrzewionym

zakretem. Za trawnikiem, utrzymanym tak starannie, że wyglądał jak murawa na polu golfowym w St. Andrews, stał francuski zameczek w stylu późnogotyckim. Strzeliste wieżyczki, mansardowy dach i balkony o kamiennych balustradach nadawały budowli wygląd fortecy sprzed wieków. Pewnie wybudował ją jakiś obłąkany baron, żeby zapewnić sobie nieśmiertelność. No cóż, mogła się być tego spodziewać.

Zaparkowała pośrodku owalnego placu, oszołomiona niespodziewaną wspaniałością miejsca. Żelazne wrota, które broniły dostępu do liczących dwa i pół metra wysokości dwuskrzydłowych drzwi wejściowych, wcale nie pomogły uśmierzyć jej niepokoju.

Nacisnęła przycisk uruchamiający kuranty i po chwili weszła do holu o marmurowej posadzce, gdzie przyodziana w liberię służąca odebrała jej płaszcz.

- Madame przyjmie panią we Wschodnim Salonie - powiedzia
ła szeptem, dając gestem znak, by poszła za nią przez kolejne
wspaniałe pokoje.

Panująca we wnętrzu złowroga cisza napełniła ją niepokojem: nie było tu żadnych oznak życia, jak w mauzoleum. Brakowało

40

dziecięcych głosów i śmiechu, na ścianach nie było nawet najmniejszych śladów zostawionych przez lepkie paluszki... Nagły dźwięk wybijającego godzinę zegara wyrwał ją z tych rozmyślań. Rozejrzała się uważniej po salonie, do którego została przyprowadzona.

Jej spostrzegawcze oko dojrzało wyśmienitą kolekcję haczyków kultowych z Nowej Gwinei i zestaw noży typu kris. Nadproże drzwi pokryte było kultowymi rytami, typowymi, jak sobie przypomniła, dla plemion kanibali znad rzeki Sepik. Bardzo niezwykła kolekcja jak na Greenwich. Jej uwagę przyciągnął również zbiór dziwnych przedmiotów z metalu i skóry, które były umieszczone w szklanej gablocie. Wydały jej się w jakiś niejasny sposób znajome, ale kojarzyły się tylko z przyrządami do miażdżenia palców. Absurdalne.

- Dzień dobry, mamó - usłyszała.

Głos Jenny brzmiał tak, jakby brała lekcje dykcji u Katherine Hepburn. Obróciła się, by zobaczyć, jak córka wchodzi do salonu w szytym na miarę stroju od Ungaro. Buty na wysokich obcasach, pończochy, biżuteria - wszystko było doskonale dobrane, ale o tak wczesnej porze wyglądało zbyt oficjalnie.

- Wyglądasz na taką... dorosłą, Jenna - powiedziała Maggie,
zaskoczona jej wyglądem. - Trudno mi myśleć o tobie jak o kimś

innym niż nastolatce, którą zapamiętałam, a teraz... jesteś taka elegancka.

Uśmiechnęła się i podeszła ostrożnie do córki. Jenna pozwoliła się objąć, ale bez entuzjazmu. Maggie zaczerpnęła tchu i spróbowała znowu nawiązać rozmowę.

- Przez wszystkie te lata wierzyłam w to, że kiedyś przyjdiesz do domu, kochanie, ale chyba nigdy nie wyobrażałam sobie, że czeka mnie tyle niespodzianek.

- Mam teraz cudowne życie, mamo - odpowiedziała Jenna, ale Maggie nie usłyszała w jej słowach radości.

- To całkiem niezły dom, kochanie. Musicie chyba zostawiać za sobą ścieżkę z okruchów, żeby znaleźć wieczorem powrotną drogę do swojego pokoju.

Jenna odprężyła się nieco.

41

- Tu jest pięćdziesiąt parę pokoiów... nie widziałam jeszcze wszystkich. Dziadek Erica wybudował ten dom pod koniec ubiegłego wieku, na wzór tego, który mają w dolinie Loary.

- Te zbiory są oszałamiające - dodała Maggie, postanawiając sprawdzić, czy trochę humoru pomoże rozładować napięcie. - Kto tu jest dekoratorem wnętrz? Torquemada? Nie wszyscy kolekcjonują przyrządy do miażdżenia palców, prawda?

Jenna zamrugnęła oczami, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Dziadek i ojciec Erica jeździli na polowania po całym świecie, mamo, i zewsząd przywozili te rzeczy. Poproszę Erica, żeby cię oprowadził.

- A jak Cody daje sobie radę z tym całym przepychem?

Jenna wygląda na czystą i pozbieraną, dlaczego więc jestem taka nieufna? - zaniepokoiła się Maggie.

- Opowiedz mi o nim, Jenna. Jesteś z nim szczęśliwa?

- Erie jest wspaniały i czarujący, mamo. Bierze udział w nadzwyczajnych przedsięwzięciach. Jest wspaniałym mężem i ojcem. Cody go uwielbia.

Powiedziała to jak prawdziwa żona z filmu „Stepford Wives” -pomyślała Maggie z niepokojem. - Jak

nakręcana zabawka. Gdzie są te proste dziewczęce określenia miłości i uwielbienia? „Och, mamó, jest taki wspaniały! A widziałas te świetne dołeczki, kiedy się śmieje?” I, w dodatku, wcale nie było złudzeniem, że źrenice Jenny są odrobinę rozszerzone.

- Zaprowadzę cię do pokoju dziecięcego, mamó. Zobaczysz sama, jak dobrze Cody daje sobie radę.

Ruszyła płynnym krokiem, jak duch nawiedzający ciche salony.

- Pokój dziecięcy jest w zachodnim skrzydle - wyjaśniła, idąc przodem. - Rodzina Erica ma bardzo konkretny zestaw reguł co do zachowania i wychowania dzieci. Muszą je mieć, bo, oczywiście, w ich kręgach oczekuje się, że dzieci będą się zachowywały idealnie od najmłodszego wieku.

Maggie zdusiła w sobie spontaniczną odpowiedź, która przyszła jej do głowy. Szła za Jenną przez kolejne, bogato zdobione salony. W każdym z nich znajdowały się dzieła sztuki i historyczne przedmioty o niewyobrażalnej wartości. W jednym z holi zobaczyła ob-

42

raz wyglądający na Rafaela, a w innym Tycjana i Goyca. Wszystkie były wspaniałe, ale ich tematyka działała na nią przygnębiająco.

_ Spodoba ci się biblioteka, mamó - stwierdziła Jenna, wchodząc do olbrzymiej dwupoziomowej sali, której ściany, od podłogi po sufit, wypełnione były oprawionymi w skórę książkami.

Maggie, zadziwiona, weszła do oszałamiającej biblioteki i jej uwagę zaraz zwrócił wyglądający na starożytny tom w szklanej gablocie. Zatrzymała się, by mu się przyjrzeć.

- To nie może być „Clavicule Salomona”, prawda, Jenna? - za pytała, autentycznie poruszona.

Jedyny egzemplarz, o którym jej było wiadomo, był kiedyś własnością rodu Borgiów.

- Chodzi mi o to, że to musi być kopia... oryginał musi być bezcenny! To chyba jeszcze rzadsze niż Biblia Gutenberga.

- Będziesz musiała zapytać o szczegóły Erica, mamó, ale wątpię, żeby mieli tu coś nieoryginalnego. Mój mąż nie lubi podróbek.

Więc co, do diabła, musi myśleć o tobie? - przyszło na myśl Maggie, ale rozzłościła się sama na siebie i zachowała milczenie.

Weszły po schodach na końcu skrzydła i znalazły się w olbrzymim pokoju.

- To nie jest pokój dziecięcy, Jenna - powiedziała Maggie zaskoczona. - To cały pałac.

- Prawda? Jest tu pokój dziecięcy, pokoje niani, sypialnia Cody, jej salon, salon lekcyjny i mały gabinet. Nawet kuchnia i jadalnia. W sumie kompletne mieszkanie.

- I bardzo daleko od reszty domu.

- Erie nie lubi, by mu przeszkadzano, kiedy pracuje.

- Rozumiem. Więc kiedy Cody widuje ciebie i Erica? Podczas posiłku... w ciągu dnia?

- Cody, oczywiście, jada swoje posiłki tutaj. Jest o wiele za mała, by ją zapraszać do jadalni.

Nagle Maggie zobaczyła Cody, która siedziała w plamie bladego światła słonecznego na podłodze i pilnie kolorowała rysunki w książeczce.

- Kochanie! - zawołała z podnieceniem i wyciągnęła ku niej ramiona, spodziewając się, że dziecko rzuci się do niej.

43

Cody podniosła wzrok, a wyraz radości i ulgi pojawił się na jej buzi, ale zaraz zniknął, jak ustępujący przyptływ. Podniosła się i podeszła do nich z wielką powagą. W każdym jej ruchu widać było napięcie.

Maggie podbiegła i chwyciła wnuczkę w objęcia.

- Tak bardzo do ciebie tęskniłam, kwiatuszku - wyszeptała prosto w jej włosy, przyciskając Cody do siebie. - Myślałam o tobie w każdej chwili i cały czas tęskniłam! Pozwól mi na siebie popatrzeć, aniołku, musisz mi opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło w twoim nowym życiu...

Poczuła, jak drobne ciało dziecka sztywnieje w jej ramionach. Cody uniosła gwałtownie głowę i zapatrzyła się w przeciwległe drzwi.

Do pokoju weszła potężnie zbudowana czarnoskóra kobieta. Mierzyła dobrze ponad metr osiemdziesiąt, a tradycyjne plemienne nakrycie głowy czyniło ją jeszcze wyższą. Miała władcą postawę,

a przeszywające spojrzenie jej czarnych oczu skupiało się na dziecku, które Maggie trzymała w objęciach. U jej boku stały dwa potężne rottweilery, ciche i groźne. Cody wymknęła się z objęć Maggie i stanęła prawie na baczność przed nowo przybyłą, jakby oczekiwała rozkazów.

- Mamo, to jest Ghania, niania Cody. Nazywamy ją Amah -
wyjaśniła pośpiesznie Jenna. - Pochodzi z Madagaskaru i od wielu lat jest przy rodzinie Erica. Prawdę mówiąc, była też jego nianią. Wychowała go od niemowlęctwa. Mamy wielkie szczęście, że zajmuje się Cody.

He ona może mieć lat? - zastanowiła się automatycznie Maggie. - Jeżeli wychowywała Erica, który musiał mieć przynajmniej czterdzieści lat... Amah zdawała się nie mieć żadnego określonego wieku, jak skała na północnoatlantyckim wybrzeżu. Była też równie jak ona nieprzenikniona.

- Bardzo mi miło, Ghania - powiedziała grzecznie Maggie, chociaż w jej głowie kołatała się niepokojąca myśl: Och, moje biedne, kochane dziecko, co się z tobą stanie pod opieką tej kobiety?
- Pozdrawiam panią, madam - odparła Ghania.

44

Sposób mówienia kobiety był malgaską wersją francuskiego z jej wyspiarskiej ojczyzny.

- Tak bardzo tęskniłam do wnuczki - powiedziała Maggie. -
Czy dobrze się sprawowała?

Co, u diabła, mogła mówić do takiego stworzenia?

- Tak. Bo jakby tak nie było, to bym ją naprawiła.
- Tak jak stare krzesło? - odparowała zdenerwowana Maggie.

Jednak Amah najwyraźniej nie miała poczucia humoru, bo bez

słowa wykonała gest pod adresem Cody. Dziewczynka podeszła posłusznie do jej boku, jak pies nawykły do poleceń dawanych ręką.

Ta kobieta w niczym nie przypomina Mary Poppins - pomyślała Maggie z ciężkim sercem.

Dziewczynka odwróciła się niepewnie twarzą ku niej. Nie czekając na niczyje pozwolenie, Maggie podeszła do niej i wzięła na ręce, zanim Ghania zdołała jej przeszkodzić.

- Chodź, kochanie, pobawimy się na dworze - powiedziała.

- Dziecko powinno teraz odpoczywać - sprzeciwiła się Amah.

- Dziecko powinno teraz pobawić się z babcią - odparła słodkim głosem Maggie i ruszyła ku drzwiom. Zauważyła z ulgą, że córka idzie w jej ślady.

Przez resztę swojego pobytu Maggie próbowała na dziesiątki sposobów dotrzeć do serca Jenny, ale wszystkie prowadzące doń drogi wydawały się zamknięte. Fasada była piękna, ale kto krył się wewnątrz?

Jak tu wygląda życie codzienne? - wypytywała córkę. - Czy Jenna ma terapeutę albo doradcę, którzy pomagają jej zachować wstrzemięźliwość? Co robi całymi dniami? Czy spotyka starych przyjaciół?

Maggie zadawała pytania, a Jenna odpowiadała na nie zdawkowo. Wyglądało na to, że pomiędzy nią a dzieckiem istnieje tylko powierzchowna łączność, a wszystko, co mówiła o Ericu, brzmiało jak wiadomość nagrana na automatycznej sekretarce.

Maggie nie zgadzała się prawie z niczym, co dotyczyło przebiegu dnia Cody. Nie wolno jej było bawić się z innymi dziećmi, a przedszkole nawet nie wchodziło w grę. Amah miała być jej jedyną nauczycielką i towarzyszką. Jenna zachowywała się z pozobawio-

45

nym zainteresowania dystansem, zgadzając się w każdym punkcie z Ghanią.

Czy kiedykolwiek po prostu trzymasz swoje dziecko w ramionach, dziękując Bogu, że ono jest na świecie? - chciała zapytać Maggie, ale się powstrzymała. - Czy bawisz się z nią i śmiejesz, i pomagasz nauczyć się tego, co potrzebne, żeby była szczęśliwa? Czy teraz to Ghanią kontroluje każdy najdrobniejszy element życia Cody?

Ta ostatnia myśl zmroziła ją.

- Czy nie sądzisz, że Ghania jest odrobinę zbyt szorstka? - zapytała w końcu.

- Jest wspaniałą niańką, mamó - odparła Jenna beznamiętnie. - Przecież maniery Cody są teraz nieskazitelne, zaledwie po miesiącu. I nie jest już taka rozpuszczona.

Maggie przyjęła ten policzek bez komentarza. Gdyby zabroniono jej widywać Cody, dziewczynka całkowicie zostałaby połączona przez ten istic klasztorny, pozbawiony śmiechu świat. Świat strojących się na co dzień matek, ojców, których rozpraszają odgłosy zabawy dzieci i nianie, które wyglądają tak, że powinny opiekować się dziećmi rodziny Addamsów.

Przez całe popołudnie Maggie starała się przełamać dziwną rezerwę Cody. Proponowała wszystkie

ich stare zabawy i śpiewała piosenki z Gymboree. Zachowywała się jak psychoterapeuta, usiłujący rozbudzić pamięć osoby cierpiącej na amnezję za pomocą znanych tej osobie elementów. Późnym popołudniem dziewczynka zaczęła wreszcie nieco bardziej przypominać tę Cody, którą pamiętała. Potem nadeszła pora rozstania.

Maggie zwlekała z odjazdem. To, co widziała, nie przyniosło jej ulgi. Była nawet bardziej niespokojna niż przed przybyciem tutaj.

Cody stała posłusznie u boku Ghanii, przyglądając się przygotowaniom babki do odjazdu. Niepokój w oczach dziecka był lustrzanym odbiciem jej własnego niepokoju. Maggie nachyliła się, by pocałować dziewczynkę na do widzenia i przytrzymała ją dłużej przy sobie, chcąc tchnąć własną moc w każdą komórkę maleńkiego ciała. Czuła się tak, jakby popełniała zbrodnię, zostawiając wnuczkę w tym przerażającym miejscu, ale nie widziała innego wyjścia.

46

- Kocham cię, pchełko - powiedziała, unosząc jeszcze raz Cody w ramionach i przyciskając mocno. - Teraz muszę jechać do domu, ale obiecuję, że wrócę bardzo, bardzo szybko.

Poczuła, jak małe ramionka zaciskają się wokół niej w rozpaczliwym uścisku.

- Weź mnie ze sobą, Mim! - wyszeptano dziecko do jej ucha. -
Proszę, weź mnie do domu. Oni krzywdzą dziecko.

Maggie poczuła ściskanie w żołądku. To były słowa, których używały z Marią zawsze wtedy, gdy Cody uderzyła się w głowę czy skaleczyła sobie kolano.

Czy coś złego skrzywdziło dziecko? - pytały wtedy. - Nie martw się, pocałujemy to miejsce i przejdzie.

- Naprawdę powinnaś się pośpieszyć, żeby zdążyć przed godziną szczytu, mamó - ponagliła ją Jenna, spoglądając znacząco na zegarek marki Patek-Philippe.

Wyciągnęła ręce, by wziąć od niej dziecko. Maggie i Cody rozstali się z trudem.

- Mim! - krzyknęła Cody z rozpaczą, wyrывая się z rąk Jenny. Podbiegła do Maggie i przywarła do niej mocno.

- Nie zostawiaj mnie tutaj! - krzyczała. - Oni krzywdzą dziecko! Ghania ruszyła z niesamowitą szybkością, jak na kogoś o takiej

posturze. Niemal jednym krokiem znalazła się przy drzwiach i oderwała Cody od babki z taką gwałtownością, że Maggie musiała puścić dziecko, żeby nie zostało rozerwane.

- Pomocy, Mim! Pomocy! - krzyczała dziewczynka, bijąc i kopiąc odnoszącą ją Ghanie.

- Proszę, Jenna! Nie rób tego - zaczęła błagać Maggie z oczyma pełnymi łez. - Pozwól jej wrócić na trochę do Nowego Jorku. Tęsknię do niej tak bardzo. Przywiozę ją z powrotem za dzień czy dwa. Proszę, cię. Ona jest taka rozstrojona!

Odgłos wrzasków Cody niemal całkiem zagłuszał jej słowa.

- Najlepiej będzie, jak już pojedziesz, mamó - odparła lodowatym tonem Jenna.

- Jenna, proszę cię! Trzeba ją uspokoić - prosiła Maggie. -Przynajmniej pozwól mi spróbować...

- Mim! Pomóż mi!

47

Krzyki Cody odbijały się echem w długim korytarzu. Wyglądało na to, że jest już gdzieś bardzo daleko.

- O Boże, Jenna! - wyrzuciła z siebie Maggie jednocześnie wściekła i przerażona. - Czy to jest naprawdę konieczne?

- Jeżeli pani wizyty będą wywoływały taki rozstrój u dziecka, pani O'Connor... - przerwał jej męski głos.

Obróciła się, aby zobaczyć, że Erie wszedł do salonu. Był większy, niż go zapamiętała, a rysy jego twarzy bardziej toporne.

- Obawiam się, że nie będziemy mogli zgadzać się na pani odwiedziny, jeżeli będą wywierały tak niepokojący wpływ na Cody.

- Jak pan śmie mi grozić? - rzuciła ostro Maggie, śmiertelnie znużona makabryczną sytuacją. - To nie ja ją rozstroiłam. Ona po prostu za mną tęskni. Jestem jedyną rodziną, jaką kiedykolwiek miała. Na pewno rozumie pan, że tęskni do mnie, tak jak ja tęsknię do niej.

- A pani na pewno potrafi zrozumieć, że takie zakłócanie spokoju nie jest dobre dla psychiki dziecka. Nie groziłem pani, po prostu troszcę się o dobro Cody.

- A co z jej dobrem emocjonalnym? Co z poczuciem straty, jakie odczuwa, ponieważ jej świat został wywrócony do góry nogami?

Wszystko zostało już powiedziane i nie było żadnego powodu, żeby została tam chociaż minutę dłużej.

* * *

Po odejściu Maggie Cody siedziała na łóżku w surowej bawialni, z wystraszoną, ale jednocześnie buntowniczą miną. Widziała, jak Ghania i ten pan, którego mamusia kazała nazywać jej tatusiem, rozmawiają w drzwiach, ale nie obchodziło ją to. Chciała Mim. Bez względu na to, co by mówili czy robili, chciała Mim. Dwie wielkie łzy wezbrały w jej oczach i ściekły po pulchnych policzkach. Ma nie płakać - mówili. - Jeżeli będzie płakała, to nie pozwolą Mim wrócić. Bardzo starała się nie płakać, ale coś dusiło ją w środku i łzy same płynęły. Mim sprawiła, że znowu czuła się tak bezpiecznie przez cały dzień! Pierś Mim była tak miękka i ciepła, jak pamię-

48

tała. Jej włosy i skóra pachniały domem... a w oczach była cała miłość, jaka istnieje na świecie. Cody siedziała na krawędzi łóżka, usiłując wymyślić, co zrobić, żeby za wszelką cenę odzyskać Mim. - Musimy trzymać tę kobietę z daleka - doleciały do niej wypowiedziane z naciskiem słowa Ghanii. - Inaczej to dziecko zostanie skażone. Między nimi jest związek serc. Bardzo silny. Bardzo stary.

- Nie mamy czym się przejmować - odparł Erie z pewnością siebie. - Zostało tak mało czasu. Nawet jeżeli się dowie, to nic nie będzie mogła zrobić.

Zapatrzył się przez dłuższą chwilę na siedzącą na łóżku dziewczynkę.

- Czasami trudno uwierzyć, że taka mała istota może być tak ważna dla świata.

- Nie uważaj jej za dziecko, Erie, to złudzenie.

Mężczyzna skinął głową i wyszedł z pokoju.

Cody zobaczyła, że pan-tatuś zamyka za sobą drzwi, a Ghania uśmiecha się do niej złowieszczo.

- Zostaniesz tu aż do mojego powrotu. Wtedy postanowimy, jaka będzie twoja kara - powiedziała głosem, w którym nie było gniewu, tylko czyste zło.

Wchodząc do swojej sypialni, Ghania rzuciła okiem w lustro. Spod jej zawoju na głowie wydostało się kilka pojedynczych włosów, więc zatrzymała się, by je poprawić, a potem, czując nagłą potrzebę wolności, rzuciła go całkowicie. Uwolniona kaskada kruczoczarnych włosów sięgała jej do pasa. Przyjrzała się znowu sobie w lustrze. W jej taksującym spojrzeniu była wielka próżność. Rozpięła haftki swojej dżalabii i przypominający pelerynę ubiór osunął się bezładnie na podłogę. Ubrana tylko w

łędźwiową przepaskę „ibante”, z której kapłani ju-ju czerpią swą moc, stanęła przed lustrem, oddychając coraz głębiej, aż doszła do stanu przypominającego trans.

Podeszła zwinnie do wielkiej szafy, która przesłaniała dużą część ściany naprzeciwko łóżka. Obróciła klucz w zamku i otworzyła szeroko dwuskrzydłowe drzwi, odsłaniając ukryty we wnętrzu szafy ołtarz. Pośrodku niego widniała ucięta głowa kozła z po-

49

znaczonymi krwią rogami, którego czerwone oczy błyszcząły tle_ naturalnym światłem. W wykonanych z ludzkich czaszek świec nj. kach stały czarne świece, a w pobliżu wiekowego i noszącego a_ 'ly użycia kielicha leżały kości ułożone w jakieś wzory.

Z lubieżnego pyska kozła wystawała mała, szmaciana lalka. ;ej 'Irobne ramiona i nogi zwisały przy poźółkłych zębach i poczeriia-•ym języku zwierzęcia.

Lalka miała twarz Cody.

Maggie siedziała za kierownicą z twarzą mokrą od łez. Co, ia ^'oga, robili w tym domu z Cody? Te przerażone krzyki... ta desfe-r*icja w jej smutnych oczach...

Ryczący klakson dziewięcioosiowej ciężarówki zmusił ją to zwrócenia z powrotem uwagi na drogę. Szarpnęła kierownicę, y u'iiknąć czołowego zderzenia z barierą. Dzięki Bogu, że kierow a Clężarówki obudził ją tym klaksonem.

Autostrada numer 95 nie jest najlepszym miejscem na deko.v Ct<ntrowanie się. Trzymaj się w garści, do cholery! - napomniała s,ę w myślach.

Krzyki Cody nadal rozbrzmiewały jej w uszach. Co mogła zrobić, by uratować dziecko przed tym okropnym losem? I co, do diy-D"<i, działo się z Jenną, że nawet nie widziała tych niszczących przelań, jakie się dokonały w dziecku w ciągu zaledwie jednego mielca? Czy urodziła potwora, który nie wahał się gwałtownie wy-rw feć dziecko z ciepła rodzinnego domu i rzucić je do takiego zim-neKo, pozbawionego uczucia miejsca?

Z ulgą wjechała na parking i ledwie skinęła głową parkingowe -mi>, z którym zwykle wymieniała uprzejmości. Musiała wrócić do d°inu, żeby to wszystko przemyśleć.

W mieszkaniu było ciepło i przytulnie, ale Maggie zsunęła tył k° I siebie płaszcz i buty i niemal na oślep ruszyła do salonu. Prze chudZąC kofo barku, omal się nie zatrzymała, żeby nalać sobie drin ka- To było coś nienormalnego. Nie miała głowy do alkoholu i rząd ko piła coś mocniejszego od wina, ale tym razem czuła się dziwnie

50

rzemarnięta do szpiku kości. Tak jakby całe ciepło świata zniknęło i zostało tylko to, co jest lodowate i obce.

Minęła barek, podeszła do telefonu i wykręciła numer.

- Amanda? Tu Maggie. Jeździłam zobaczyć Cody - powiedziała i zrelacjonowała przyjaciółce przebieg wizyty.

- Z tego co mówisz, Ghania nie jest niańką z rodzaju tych, jakie kiedykolwiek widziałam - stwierdziła zaniepokojona Amanda. - Wygląda na to, że jest twarda jak kamień, jak mówią w naszych stronach.

Amanda uważała Maggie za osobę inteligentną i racjonalną, nie mającą tendencji do fantazjowania, więc sytuacja w Greenwich musiała być rzeczywiście niesamowita, skoro wywołała u niej taką reakcję.

- Jest coś takiego w tych czarnych z Madagaskaru, co mnie w jakiś nieokreślony sposób niepokoi - powiedziała. - Zdaje się, że moja niańka Erline mówiła mi coś o tym wiele lat temu... będę musiała się nad tym zastanowić... Jesteś pewna, że nie powinnaś zgłosić się z tym na policję?

- Wydaje mi się, że muszę porozmawiać z kimś, kto mógłby zebrać jakieś informacje o tych ludziach. Ale, po prostu, nie wiem, z kim...

- Tylko bądź ostrożna, moja droga, dobrze? - poprosiła Amanda zmartwionym głosem. - Mój tato zawsze mówił w podobnych sytuacjach: „Nie pozwól nigdy ludziom, żeby się dowiedzieli, że węszysz wokół nich, dopóki nie będziesz wiedziała, co to za ludzie”. Biorąc pod uwagę to, ile ma pieniędzy ten Vannier, musi mieć duże wpływy.

Maggie weszła do wypełnionej gorącą wodą wanny, chcąc się ogrzać i odprężyć, ale przed jej oczyma wciąż pojawiał się obraz małej dziewczynki rozpaczliwie błagającej o pomoc.

51

Rozdział 7

Cody stała przed Ghanią, bardzo starając się nie słuchać tego, co ona mówi. Minął ponad tydzień od wizyty Mim. Dni ciągnęły się nieznośnie, a noce były coraz gorsze. Ghania znowu mówiła jej niedobre rzeczy o Mim.

- Myślisz, że twoja babcia cię kocha? - zapytała z grymasem na twarzy. - Ona nawet nie przyjeżdża cię odwiedzać. Ciesz się, że sobie pojechałaś.

Cody poczuła, że łzy zaczynają napływać jej do oczu, ale zamrugowała gwałtownie, aby je powstrzymać.

- Mim mnie kocha - powiedziała z przekonaniem, ale było jej

coraz trudniej zorientować się, co jest prawdą.

Minęło osiem dni od odwiedzin Mim, ale do tej pory ani razu do niej nie zadzwoniła. A każdego dnia Ghania mówiła przykre rzeczy... nieprzyjemne rzeczy. Rzeczy, które sprawiały, że zaczynała się zastanawiać...

- Czy kiedykolwiek przyjechała by się znowu zobaczyć? - py

tała Ghania. - Czy w ogóle zadzwoniła do ciebie?

Dziewczynka ponuro pokręciła głową. Nie rozumiała, dlaczego Mim nie wróciła, żeby się z nią spotkać. Przecież obiecała, że przyjedzie. Nie wiedziała o tuzinie telefonów od Maggie, którą, na polecenie Ghanii, służba odprawiła z kwitkiem. Każdego wieczoru, kiedy szła do łóżka, modliła się i modliła, ale Mim nie wracała.

- Twoja babcia jest taka zadowolona, że poszłaś sobie od niej,

że mówi wszystkim znajomym: „Ta dziewczynka przez trzy lata

rujnowała mi życie, ale teraz mogę się zabawić”.

Ghania roześmiała się, ale wyraz jej oczu nie zmienił się. Cody nienawidziła oczu niani. Błyszcząły jak oczy zwierzęcia i wywoływały strach.

- Mim mnie kocha - mruknęła, bojąc się powiedzieć to głośno

i jednocześnie bojąc się tego nie powiedzieć.

Gdyby nie powtarzała tego, to może przestałaby w to wierzyć. Ghania podniosła głowę i roześmiała się.

52

- Głupie dziecko! Nawet nie wie, kto jest jego przyjacielem.

Ghania to magia. Ghania wie wszystko, co robisz i wszystko, co mówisz. Ghania wie nawet, co myślisz! Nie ma tajemnic przed Ghania, więc lepiej uważaj na każdą myśl, jaką masz w głowie, bo zaglądam ci tam do środka i widzę je wszystkie! Całkiem jakbyś była ze szkła.

Oczy Cody otworzyły się szeroko. A jeśli to prawda? Ghania wiedziałaby wtedy, jak bardzo jej nienawidzi i jak bardzo tęskni do Mim.

- W nocy, kiedy byłaś w łóżku, dziecko, Ghania zajrzała ci do głowy jak do kryształowej kuli. Ghania

słyszała, jak się modlisz do tego głupiego boga, który wcale się tobą nie przejmuje, ani trochę.

- Bóg mnie kocha - odparła zdecydowanie Cody. - Mim tak powiedziała.

- Kocha? - parsknęła Ghania. - Zabawne. A odpowiada na twoje modlitwy? Nie! Robi coś, żeby twoja babcia kochała cię na tyle, żeby cię zabrać? Nie! Nawet nie wie, że istniejesz, ten twój głupi bóg.

Amah uwięziła przerażony wzrok Cody swoim hipnotyzującym spojrzeniem.

- Ghania zna przyjaznych bogów, dziecko... Tych, którzy spełniają życzenia.

- Jest tylko jeden Bóg - stwierdziła uparcie dziewczynka -Mim mi powiedziała.

- A co ona wie! - wybuchła Ghania. - Na mojej wyspie są bogowie, o których twoja babcia nigdy nie słyszała. Bogowie, którzy zabijają człowieka, jeśli ich rozgniewa... Bogowie, którzy spełniają wszystkie marzenia, jeżeli się wie, jak ich poprosić. Słyszałam w nocy twoje modlitwy... prosiłaś, żeby Mim przyjechała. No i co, jest tutaj? Nie. Głupi bóg jej nie sprowadził! Powiem ci, do którego boga się modlić, jeżeli będziesz moją przyjaciółką, dziecko. Pokażę ci, jak potężny jest mój bóg. Dzisiaj będziesz modliła się do tego boga, którego imię szepnę ci do ucha. I o cokolwiek poprosisz, to będzie spełnione.

Cody miała niepewną minę. Może Bóg Ghanii był straszny, taki jak Ghania i pan-tatuś.

53

- Jeżeli poprosisz go, żeby przysłał tu jutro twoją babcie, to on

to zrobi - ciągnęła niania, wykorzystując swoją przewagę.

Poleciała Jennie, by trzymała Maggie na dystans, a teraz mogła odwołać swój rozkaz.

- Chcesz znać jego imię czy nie?

Cody zawahała się. Potężna, lecz zwinna Ghania ruszyła ku drzwiom.

- Zaczekaj! - zawołała za nią ze strachem dziewczynka. - Chcę

Mim!

Była gotowa na wszystko, żeby tylko odzyskać Mim. Mim na pewno zrozumie, że musiała to zrobić.

Ghania uśmiechnęła się z satysfakcją i pochyliła się, by trzykrotnie wyszeptać do ucha dziecka obco brzmiące imię. Nie brzmiało nawet jak imię, tylko jak syczący dźwięk. Cody chciała je powtórzyć, ale ręka Ghanii spoczęła na jej ustach, zanim zdążyła wypowiedzieć to słowo.

- Nigdy! - warknęła - To jest bóg mocy! Nigdy nie wypowia

daj jego imienia, chyba że w myślach.

Cody poczuła, jak przeszywają dreszcz strachu. A jeśli to jest zły bóg?

- Jutro da ci to, co chcesz.

To była kusząca perspektywa: obietnica powrotu Mim była zbyt atrakcyjna, by mogła się opierać. Kiedy Ghania wyszła, Cody wiele razy powtórzyła to imię w myślach, żeby go nie zapomnieć.

Rozdział 8

- Zaskoczyłaś mnie tym dzisiejszym nagłym zaproszeniem, Jenna - powiedziała Maggie, kiedy przyjechała do Greenwich po telefonie córki. - Usiłuję się dodzwonić do ciebie od wielu dni, aż tu nagle mnie wzywasz? Naprawdę martwiłam się o Cody po mojej ostatniej wizycie tutaj. Czy dobrze się czuje?

54

- Oczywiście, że dobrze, mamó - odparła Jenna z irytacją. - Dlaczego miałyby czuć się źle?

- Może dlatego, że została wyrwana ze znanego otoczenia i umieszczona w nowym, które trudno nazwać zwyczajnym. Może dlatego, że ma teraz nianię, która wygląda jak Jabba i ma tyle samo talentów opiekuńczych co doktor Mengele.

- Doprawdy, mamó... Nie uważasz, że zachowujesz się trochę melodramatycznie?

- Nie, Jenna, myślę, że oddajesz zbyt wiele władzy w ręce tej Amah. To ty jesteś matką, a nie Gnania. Musisz wiedzieć, jak wielkie zmiany zaszły w Cody w ciągu zaledwie miesiąca.

- Z pewnością tak, mamó, i myślę, że są to zmiany na lepsze.

Maggie westchnęła, ale nie miała zamiaru się poddawać.

- A czy ty się dobrze czujesz, Jenna? - zapytała, tłumiąc frustrację. - Wyglądasz na taką... odseparowaną. Czy nie mogłybyśmy wreszcie poważnie ze sobą porozmawiać?

- Słuchaj, mamó, nie chcę się z tobą kłócić - odparła dziewczyna - więc, proszę, nie zaczynaj. Jest nam tu doskonale, a ty nagle próbujesz wszystko poprzestawiać, jeżeli chodzi o Cody. To mnie okropnie denerwuje. To wszystko.

- Och, Jenna, jakie to smutne, że chyba już nie wiemy, jak ze sobą rozmawiać - westchnęła Maggie, załamana następnym niepowodzeniem. - Przepraszam bardzo, jeżeli nie zwracam się do ciebie odpowiednio, ale po prostu martwię się o ciebie, tak samo jak o Cody. Coś tu jest nie tak, Jenna! Ten dom... taki pusty, taki obcy... Czy na pewno jesteś tu szczęśliwa?

Na twarzy Jenny pojawił się lodowaty uśmiech.

- Jestem tu absolutnie szczęśliwa, mamó. Jak mogłabym nie być? Popatrz na wszystko, co mam.

- Materialne rzeczy nie czynią człowieka szczęśliwym, Jenna. To ludzie to sprawiają. I pożyteczna praca. I...

- Przestań, mamo! - przerwała jej Jenna. - Nie patrzę na świat tak jak ty. Nigdy tak nie było. I nigdy tak nie będzie. Zadzwoiłam, żebyś przyjechała, bo nie chciałam, żebyś się martwiła o Cody po tamtym dniu. Więc może byś poszła się z nią zobaczyć i dała sobie spokój z roztrząsaniem mojego życia, okay?

55

A więc kolejne zamknięte drzwi. Maggie przyjęła to ze stoickim spokojem. Przynajmniej tym razem zostało to zrobione w grzeczny sposób.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś. Bardzo nie lubię, kiedy coś się psuje między nami. I naprawdę chciałabym spędzić trochę czasu sam na sam z Cody, jeżeli to możliwe. Musisz zrozumieć, te odkąd mi ją odebrano prowadzę bardzo samotne życie.

Z twarzy Jenny odczytała: Może jeśli pozwolę jej spotkać się sam na sam z dzieckiem, to sobie pójdzie.

- W porządku, mamo. Jeżeli Cody teraz nie drzemie, to możesz spędzić z nią godzinę.

- Bez Ghanii?

- Jeśli to cię uszczęśliwi...

Jenna była zaskoczona, kiedy Ghania powiedziała jej, żeby się postarała, by Maggie przyjechała tego dnia. Do tej pory nie miała pojęcia, dlaczego Amah tego się domagała.

- Och, Jenna, oczywiście! Obiecuję, że nie wywołam żadnego zamieszania! Gdy Cody zobaczy, że wróciłam tak szybko, nie będzie zaniepokojona, że znowu odjeżdżam.

Jenna odeszła, a Maggie stanęła przy oknie i zapatrzyła się na obszerny trawnik. Źrenice Jenny były rozszerzone i nieruchome, a jej sposób mówienia odrobinę bełkotliwy. Wiedziała, że nie ma sensu dyskutować z narkomanem, który jest na prochach, ale zasmucało ją to głęboko. Nie zamierzała odjechać, dopóki się nie zorientuje, co się dzieje w tym dziwnym domostwie.

* * *

Kiedy Cody zobaczyła babcię, na jej twarzy odmalowały się najróżniejsze emocje. Było w niej widać

radość, niechęć, ulgę i coś jeszcze, czego Maggie nie potrafiła rozszyfrować. Coś okropnego i niezmiernego. Wzięła dziecko w ramiona i bez słowa przycisnęła na długą chwilę do serca. Czuła, jak ustępuje z niej napięcie, a w jego miejsce pojawia się uczucie ulgi.

- Kochanie, chodźmy na spacer, dobrze? - zaproponowała, kiedy już była pewna, że potrafi zapanować nad głosem. - Jest

56

ekna pogoda i będziemy miały okazję do długiej, przyjemnej rozmowy.

Cody skinęła potakująco, ale wyglądała na tak niespokojną, że Maggie czym prędzej wyszła z nią na dwór. Od razu poczuła się leniej, ale Cody obejrzała się dwa razy ze strachem w kierunku domu. Maggie spojrzała za jej wzrokiem i zobaczyła Ghanie, która stała jak posąg w oknie na piętrze.

Własnym ciałem przesłoniła Cody przed złym spojrzeniem Amah. Skręciła w lewo, schodząc z wielkiego trawnika, i klucząc, ruszyła w kierunku plaży. Musiało być jakieś miejsce na terenie tej ogromnej posiadłości, gdzie chociaż przez godzinę można by nie czuć obecności Ghanii.

Plaża była zimna, jak to w marcu, a na ołowianoszarej wodzie unosiły się strzępy piany. Maggie zapięła starannie kurtkę Cody, a potem własnym szalikiem otuliła głowę dziecka, żeby ochronić je przed zimnem oceanicznej bryzy.

- Kocham cię, aniołku - zaczęła, niezbyt pewna, jak postępować, żeby jeszcze bardziej nie wystraszyć dziecka. - Wiesz, że kocham cię całym sercem...

- Gnania mówi, że nie kochasz - wymamrotała Cody, nie patrząc na Maggie, ale na piasek pod nogami. - Mówi, że jakbyś mnie kochała, to wzięłabyś mnie do domu.

Okrucieństwo tego kłamstwa aż ścisnęło ją za serce.

- Nie kocham cię? - wybuchła. - Jak ona się ośmiela mówić takie okropne rzeczy? Posłuchaj mnie, kochanie, i posłuchaj bardzo uważnie, rozumiesz? - Cody skinęła głową, ale nadal nie patrzyła Maggie w oczy. - Nie wzięłam cię do domu tylko dlatego, że twoja mamusia i Erie mi nie pozwalają. Kocham cię tak bardzo, Cody, że każdego dnia i każdej nocy, każdej minuty, odkąd cię zabrali, tęsknię do ciebie, myślę o tobie i pragnę, żebyśmy byli razem! Jak mogłaś uwierzyć w takie kłamstwo, kochanie, skoro od maleńkości wiesz, jak bardzo cię kocham?

- Ghania wie dużo rzeczy, Mim - wyszeptwała Cody.

- Jakich rzeczy, kochanie? Co wie Ghania?

- Wie, jak zajrzeć do mojej głowy i zobaczyć, co myślę.

57

- Ona nie wie, jak to robić, Cody! - odparła wstrząśnięta Mag-gie. - Nikt nie wie.

- Ghania zna boga, Mim - powiedziała dziewczynka tak przejętym głosem, że poruszyło to Maggie do głębi.

- Co masz na myśli, kochanie? Wszyscy znamy Boga. Dlatego się modlimy do niego.

Cody pokręciła gwałtownie głową.

- To nie ten bóg, Mim. Ghania zna innego.

- Cody! - ton Maggie stał się bardzo poważny. - Jest tylko jeden Bóg i bez względu na to, co Ghania mówi, nie zna go wcale lepiej niż my!

- Właśnie, że tak - nie ustępowało dziecko.

- Skąd to wiesz?

- Bo modliłam się i modliłam, żebyś mnie uratowała, a ty nie przyszłaś. I potem Ghania powiedziała mi o bogu, który może sprawić, żebyś tu przyjechała. I modliłam się do niego wczoraj w nocy, i przyjechałaś.

Maggie poczuła, jak przepętnia ją gniew. Wzięła Cody za ramiona i obróciła tak, żeby nie mogła uniknąć wzrokiem jej oczu.

- Słuchaj mnie, kochanie - powiedziała tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. - Posłuchaj bardzo, bardzo uważnie. Po wiem ci, jak się możesz przekonać, że cię kocham: przypomnij sobie każdy dzień i każdą noc, jakie spędziłyśmy razem. Przypomnij sobie, jak się czułaś: byłaś bezpieczna i byłaś kochana. Przypomnij sobie każdą szczęśliwą chwilę, którą spędziłyśmy razem od czasu, kiedy byłaś małym dzieckiem. Nikt nie może pozbawić cię tych wspomnień, Cody. One są twoje. Na zawsze. I jeżeli ktoś kiedykolwiek spróbuje zamącić ci w głowie czy

okłamać cię, czy skłonić, żebyś uwierzyła w coś złego na mój temat, to po prostu zapytaj swego serca i będziesz znała prawdę. Rozumiesz mnie, Cody? Miłość się czuje. To coś bezpiecznego, ciepłego i dającego szczęście. Kiedy ktoś cię kocha, to tak się właśnie czujesz, rozumiesz? Możesz wierzyć własnym uczuciom, nawet kiedy ludzie próbują zamącić ci w głowie, okay? Cody z wahaniem skinęła głową.

58

- A teraz porozmawiajmy o Ghanii. Ona nie czyta w ludzkich myślach, bo nikt tego nie potrafi. Niektórzy ludzie po prostu udają, że to umieją. I dzisiaj nie przyjechałam tu dlatego, że jej bóg mnie wysłał, ale dlatego, że cię Kocham i tęsknię do ciebie. Chciałam sprawdzić, czy jesteś bezpieczna. Dzwoniłam codziennie, każdego dnia od mojej ostatniej wizyty, chcąc się z tobą spotkać, ale dopiero dzisiaj twoja mamusia mi pozwoliła.

Kolejne kiwnięcie głową.

- Słuchaj, Cody. To jest bardzo, bardzo ważne. Kiedy byłam tu poprzednim razem, powiedziałaś: oni krzywdzą dziecko. Możesz wyjaśnić, co to miało znaczyć?

Cody poruszyła się znowu w objęciach Maggie, starając się nie spotkać jej wzroku.

- Boję się - powiedziała w końcu słabiutkim, przerażonym szeptem.

- Czego, kochanie? Czego się boisz?

- Ktoś krzyczy - wyszeptwała niewyraźnie przez łzy. - W nocy. Słyszę ich. Kogoś naprawdę bardzo krzywdzą, a kiedy Ghania to słyszy, uśmiecha się, a ja się strasznie boję.

Maggie zmarszczyła brwi. Czyżby Cody słyszała telewizję i myliła filmy z rzeczywistością? A może

Erica lub Jenę? Nie brzmiało to logicznie.

- Jesteś pewna, kochanie? To bardzo ważne, Cody. Może to te lewizja?

Cody energicznie potrząsnęła głową.

- Raz - powiedziała tak cicho, że Maggie ledwie ją usłyszała -widziałam krew.

- Krew? Jaką krew?

- Tych, co krzyczą.

Serce łomotało w piersiach Maggie, starała się jednak mówić spokojnie.

- Skąd wiesz, że tych, co krzyczą, Cody? Skąd wiesz, że to by ła krew? Może to był ketchup?

Dziewczynka znowu zrobiła dziwną minę. Taką samą, jaką Maggie widziała nieco wcześniej.

59

- Ghania mi powiedziała . 0,w , t t, ? u w •

prawdę musiała wytężyć słuch tf ** " ^ * Maggie ""

ła mi krew tych, co krzywą. IJST n,*raeraM' W1*C Pokaz-

bić jedna z tych, co krzyczą. ^^ TM TM ^** m°Ze Zr°"

Głos dziewczynki załamał S1> iaL.. • , , . . .

wypowiedzieć tych słów. ?'J ^ memal me była W Stanie

Ze ściśniętym sercem Mattb nr. , ^ , ,

uktyćprzed nią własne łzy. MS^^ ^ ^ **

- Czy jest coś jeszcze Cod ^ WaFgC' ***" S1C °panOWad

- OnapróbujezZ?Z" dę ^^ 3,b° 1™*?

więc ona mnie4iwyręc ;;ebr.Piřak°ktaJLAlejaniechc^

- Kott.ii? ^"fca "Il rękę i to mnie boli.

tJZZSZT**M^ - -c° - - * k° -

Cody pokręciła przecząco głową piła"? A Wi?C? C° JCSt" ^ k°^ajlu i dlaczego ona chce, żebyś go

- Ghania mówi, że on zrobi /e m,- ? A

- Jedną z nich? Co to znaczy? mejednąZniCh-Cody wzruszyła ramionkami u, • • - • u .

i bezradność. Jej gescie było zagubienie

- Nie wiem, Mim. Ale naprawdę-,-. i .

trzymała mi nos i zmusiła, żeby^l TT""* > *""^

na nią, więc przestała. WyP ' ale zwymiot°wałam

- Dobrze zrobiłaś -pochwał,^, •

Co to wszystko mogło znaczyć C Jr~, •, u

ne? Nic, co mówiła, nie brzmiał li- Y Zmary ^

i okropne. Jologicznie, ale było przerażające

- Mogę pojechać teraz do donu, \f- o » • L ^

Obiecuję, że będę naprawdę wj^""""**,*? *? ^"

domu.

' Jesh t"1 Pozwolisz wrócić do

Boże, ona myśli, że jest tutaj, wł

Gorące łzy potoczyły się po hnii , . y "

gorączkowo zastanawia, si^nad ^t ^^ TM^«

musi tu pozostać. y ' Jak wyJasn,c wnuczce, że

- Och, Cody, tak bardzo chcc m^łmA ? A

cie bardziej „iż kogoko.wiek ??** ""*J° *""~ K°Cham

60

a rwiecie. Chcę, żebyś wiedziała

o tym... schowała to w swoim sercu. Tam właśnie będziemy trzymały wszystko, co nas łączy... w naszych sercach, dobrze? Więc jeżeli ktoś cię zapyta, o czym rozmawialiśmy, albo powie, że umie czytać w

twoich myślach, to będziesz wiedziała, że nasze sekrety są bezpieczne, bo nie są w twoich myślach, ale w twoim sercu. Okay?

- Okay - odparła Cody, zagryzając nerwowo dolną wargę.

Zawsze to robiła, kiedy była przestraszona.

- A teraz muszę ci powiedzieć coś przykrego, kochanie. Nie mogę cię zabrać dzisiaj do domu...

Twarz Cody wykrzywił grymas, a z jej oczu pociekły łzy.

- Nie... nie... posłuchaj mnie, dziecko! Musisz mnie posłuchać.

Pomogę ci, Cody. Daję słowo honoru, że nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić, rozumiesz? Nigdy nie złamałam danej ci obietnicy, prawda? Ani razu, odkąd się urodziłaś. W niczym drobnym ani w niczym wielkim. Och, proszę, kochanie, powiedz, że to rozumiesz!

Przywarły do siebie, a zimny wiatr zamieniał ich łzy w lodowate krople.

- Prawo mówi, że nie mogę cię dzisiaj zabrać, kochanie.

W odruchu przerażenia Cody zacisnęła ramiona na szyi Maggie.

- Ale obiecuję ci, że znajdę sposób, żebyś znowu była bezpieczna. Muszę po prostu porozmawiać z pewnymi ludźmi, którzy będą wiedzieli, jak to zrobić, a to może zająć mi trochę czasu.

Cody płakała już otwarcie: jej łkanie nie tłumili nawet płaszczy Maggie. Jednak, jak na dziecko, był to cichy, nienaturalny płacz. Bezdźwięczny i rozpaczliwy.

Maggie zobaczyła, że Jenna i Ghania idą ku nim plażą.

- Posłuchaj mnie, Cody, one już idą, więc muszę powiedzieć to szybko. Wrócę po ciebie. Bez względu na to, co ktokolwiek ci powie. Wrócę, żeby cię zabrać. Dlatego, że cię kocham. Bardziej niż cokolwiek na świecie! I ty kochasz mnie. Nic na całej ziemi

nie może tego zmienić. Wszystko, co powiedziałyśmy i wszystko, czym jesteśmy, jest teraz w naszych sercach i nikt, a szczególnie Ghania, nie może tego zobaczyć, ani się o tym dowiedzieć, rozumiesz?

61

Gorączkowy ton głosu Maggie dotarł do dziewczynki, przebijając się przez jej strach.

- Nie możemy zrobić kolejnej sceny, jak tamtego dnia... bo inaczej... - nie chciała powiedzieć, że nie pozwolą jej wrócić, bo dałoby to im zbyt wielką władzę nad umysłem dziecka. - Bo inaczej powiedzą, że moje odwiedziny cię denerwują, a my nie chcemy, żeby tak myśleli.

Pociągając nosem, Cody skinęła głową.

- Musimy być teraz bardzo dzielne, żeby pomóc sobie nawzajem. Pamiętaj, kocham cię. To jest najważniejsze. I wrócę. Przysięgam na Boga, że wrócę.

Wzięła dziecko na ręce i trzymając je w mocnym uścisku przeszła bez słowa obok Amah.

Rozdział 9

Następnego dnia o ósmej rano Maggie siedziała przy biurku bębniąc o blat swoimi krótkimi paznokciami i usiłując zdusić w sobie niepokój. Nie spała pół poprzedniej nocy, zastanawiając się, co robić. Musiał być ktoś, kto mógłby jej pomóc dotrzeć do sedna tego koszmaru.

Czy było możliwe, żeby któraś z przyjaciółek Jenny sprzed lat nadal utrzymywała z nią kontakt? Może był ktoś z przeszłości, komu Jenna chciałaby się pochwalić swoim nowym życiem. Przerzuciła kolekcję wizytówek, nie wiedząc, kogo ma szukać. Wykręciła sześć numerów telefonów, ale bez powodzenia. Nikt nie widział Jenny od lat, a jeżeli nawet widział, to się do tego nie przyznawał. Zniechęcona, spojrzała na ostatni numer.

Cheri Adams była z Jenną na jej ostatniej kuracji odwykowej. Zbliżyły się znacznie do siebie, a Maggie polubiła tę dziewczynę na tyle, żeby prosić ją o pomoc w poszukiwaniu Jenny, kiedy zniknęła po raz pierwszy. Utrzymywała nawet kontakt z Cheri przez pewien

czas po tym, jak poszukiwania zakończyły się niepowodzeniem. Później straciła ją z oczu, aż pewnego dnia przypadkiem natknęła się na nią w parku Washington Square, gdzie była razem z Cody.

Maggie wykręciła jej numer, bojąc się nawet żywić jakąkolwiek nadzieję. Głos Cheri, która odebrała telefon, zabrzmiał rozsądnie, spokojnie i bezpośrednio. Czy widziała ostatnio Jennę? Tak, ale Jenna nie była sobą. A czy wie, czy coś jest nie tak? Na drugim końcu linii zapadła dłuższa cisza: Cheri usiłowała rozstrzygnąć, komu jest winna większą lojalność.

- Widziałam ją dwa razy, pani O'Connor, od kiedy zamieszkała w Greenwich - powiedziała w końcu. - Chciała popisać się tym niesamowitym domem i tym dziwnym facetem, za którego wyszła.

Znowu moment zawahania.

- Myślę, że ona bierze, pani O'Connor, i to ostro - ciągnęła Cheri niepewnym, zmartwionym głosem. - Próbowałam namówić ją, żeby coś z tym zrobiła, ale jej się naprawdę zdaje, że złapała Pana Boga za nogi. Pewnie robi to, co musi, więc jej nie naciskałam. Ale powiedziała pewne rzeczy, które mnie przeraziły... to znaczy... może narkotyki to nie jedyna rzecz, w której siedzi. Mówię to pani tylko z powodu tej dziewczynki. Jenna ma prawo spieprzyć sobie własne życie, jeżeli ma na to ochotę, ale dziecko to co innego. Dzieci też mają swoje prawa.

- Cheri, co cię zaniepokoiło u Jenny? Czy Cody jest w niebezpieczeństwie?

- Czuję się tak, jakbym zdradzała zaufanie Jenny, samą nawet rozmową z panią, pani O'Connor, ale pani zawsze była dla mnie taka miła i pamiętam, jak sobie pomyślałam, kiedy spotkałyśmy się tego dnia w parku: jaka pani jest dobra dla dziecka Jenny. Zobaczyłam, że pani naprawdę ją kocha i w ogóle... - przerwała znowu i Maggie usłyszała, jak dziewczyna oddycha głęboko, usiłując zebrać się na odwagę.

- Niech pani posłucha, pani O'Connor. Proszę nie pytać, dlaczego tak mówię, ale myślę, że byłoby lepiej, jakby pani zabrała dziecko z tego domu.

- Dlaczego, Cheri? Co się dzieje? - zapytała Maggie z bijącym pospiesznie sercem.

- Nie mogę tego powiedzieć, pani O'Connor. Przysięgam na Boga, nie mogę! Po prostu wydaje mi się, że wiem od paru moich znajomych, w co się w mieszała. Naprawdę, nie jestem pewna i nie chcę narobić jej kłopotów, jeżeli się mylę... ale jeżeli mam rację, to jest to naprawdę niebezpieczne dla Cody.

- Proszę, Cheri. Proszę, powiedz mi, o co chodzi! Nie mogę po prostu zabrać Cody bez jakiegoś wytłumaczenia. To niezgodne z prawem.

- Jeżeli mam rację, pani O'Connor, Jenna i Erie zamieszani są w więcej spraw niezgodnych z prawem, niż może sobie pani wyobrazić. Niech pani wydostanie dziecko z tego domu.

W głosie Cheri słyhać było napięcie i niepokój spowodowane wagą tego, co właśnie mówiła.

- Niech pani tylko posłucha i zabierze stamtąd dziecko, do brze? Nawet Jenna chciałyby, żeby pani tak zrobiła, gdyby była przy zdrowych zmysłach. Ale z nią jest coś nie tak... Więcej niż nar kotyki. Jakby była kimś innym, nie sobą. Nie wiem, jak opisać, co mam na myśli... to jest takie niesamowite. Nie mogę powiedzieć nic więcej, pani O'Connor, naprawdę nie mogę!

Rozległo się stuknięcie odkładanej słuchawki i Maggie usłyszała monotony, uporczywy sygnał.

Wybrała numer prywatnej agencji detektywistycznej, z której usług korzystała, żeby odnaleźć Jenę. Może oni będą mogli w jakiś sposób mi pomóc - pomyślała rozpaczliwie. - Szef agencji, Bill Schmidt, były funkcjonariusz FBA, wysłuchał jej, od czasu do czasu przerywając pytaniami, a potem powiedział wprost:

- Proszę posłuchać, pani O'Connor, lubię panią i nie chcę pa ni wprowadzić w błąd. To nie jest tak, jak to pokazują w filmach. Nie możemy włamać się komuś do domu, tak jak to robi detektyw Magnum w telewizji. Jeżeli chce pani, żebyśmy zbadali sprawę na podstawie zebranych faktów, to zrobimy to, ale żeby zebrać infor macje na temat ludzi mieszkających w tak dobrze chronionym miejscu, będziemy musieli korzystać z elektronicznych środków obserwacji. Samochody, ludzie, sprzęt nagrywający, to będzie kosztowało panią co najmniej tysiąc dolarów za jedną noc, a mu szę pani powiedzieć szczerze, że sądy nie lubią uznawać za mate-

riał dowodowy informacji pochodzących od prywatnych detektywów, bo twierdzą, że takie materiały mogą być preparowane. Nie możemy też tam wpaść jak John Wayne i wyrwać im dziewczynkę. Naprawdę przykro mi, pani O'Connor, że jest pani w takim kłopotcie, ale według mnie wynajęcie nas byłoby wielką stratą pieniędzy. Może spróbowałaby pani w Biurze Praw Dziecka albo na policji.

Lokal Biura Praw Dziecka był równie surowy jak każde inne biuro w wielkim kompleksie władz miejskich. Ponura żółć i urzędowa szarość, żadnych postaci z filmów Disneya. Maggie skarciła się w myślach za tę negatywną ocenę; nie jest ważne, jak coś wygląda, ale czego może dokonać. Ktoś tu na pewno musi się przejąć losem małej dziewczynki, której grozi niebezpieczeństwo.

Ubrana w niebieski, źle leżący kostium kobieta wprowadziła ją do małego boksu z metalowym biurkiem i zajęła za nim miejsce.

- Czym mogę pani służyć? - zapytała znużonym głosem kogoś, kto pracuje w okienku życzeń i zażaleń.

- Moja córka jest uzależniona od heroiny - zaczęła Maggie, kuląc się w środku na dźwięk własnych słów. - Trzy lata temu urodziła dziecko i zostawiła je pod moją opieką, a sama wróciła na ulicę. Nie miałam od niej wiadomości, aż do chwili, kiedy wróciła miesiąc temu. Jest zamężna i ma dom w Greenwich...

- Jeżeli ma dom w Greenwich - przerwała jej kobieta z pierwszą oznaką zainteresowania - to jest pani w niewłaściwym miejscu. Nasza jurysdykcja nie sięga na obszar Greenwich.

- Ale ja mieszkam tu, w mieście - sprzeciwiła się Maggie. - Dziecko, ma na imię Cody, mieszkało całe życie w Nowym Jorku. Jest w Connecticut dopiero od miesiąca.

- Tak czy inaczej, pani O'Connor, jeżeli rodzice mieszkają w Connecticut, to przypadek nie podlega naszej jurysdykcji.

- Proszę... proszę pozwolić mi powiedzieć... - nie dawała się zniechęcić. - Jestem przerażona, bo moja wnuczka może być w niebezpieczeństwie. Myślę, że jej matka znowu bierze narkotyki...

65

- Czy może pani udowodnić to twierdzenie? Czy ostatnio była badana?

- Nie. To znaczy... nie wiem tak naprawdę. Ma dwadzieścia jeden lat, więc nie mogę zmusić jej, by poddała się badaniom, jeśli tego nie chce.

Kobieta pokręciła głową z dezaprobatą.

- Nawet jeżeli bierze narkotyki, pani O'Connor, to państwo nie może uznać samego uzależnienia od heroiny za dostateczny powód,

by mieszać się w sprawę wychowania dziecka.

Wyglądała na zirytowaną tym, że Maggie zajmuje jej niepotrzebnie czas.

- Czy są jakieś fizyczne oznaki złego traktowania: blizny, opa

rzenia, nie wyjaśnione siniaki?

Maggie potrząsnęła głową.

- To nie jest, niestety, takie proste. Szkody są głównie natury psychologicznej. Cody jest przerażona... zamknięta w sobie. Nigdy przedtem nie była taka. Nie wolno jej bawić się z innymi dziećmi, tylko z niańką, która wygląda jak postać z horroru. Grozi się jej i zmusza do picia jakiegoś specyfiku...

- Proszę posłuchać, pani O'Connor - przerwała jej niecierpliwie kobieta. - Oszczędźmy sobie czasu. Wiele babć przychodzi tu ostatnio z podobnymi opowieściami. Narkomanka porzuca dziecko i wraca po nie po latach, kiedy babcia się już do niego przywiązała. Prawo jest tutaj jednoznaczne: nie ma pani żadnych przywilejów. Dziecko należy do pani córki i sądy są zdecydowanie za tym, by dzieci pozostawały ze swoimi rodzonymi matkami, chyba że istnieją udokumentowane dowody fizycznego złego traktowania. Więc obawiam się, że nie może pani zrobić nic innego, tylko dać sobie spokój. Jeżeli jednak nadal będzie się pani upierać, to radziłabym pozwolić, żeby córka zatrzymała dziecko i dopuściła się złego traktowania. Wtedy będzie pani mogła zwrócić na to uwagę władz. Będzie pani miała uzasadnienie.

Maggie wyprostowała się w krześle, autentycznie wstrząśnięta.

- Mam pozwolić, żeby córka ją źle traktowała, bo będę miała

uzasadnienie? Pewnie jakbym pozwoliła córce ją zabić, to miała

bym jeszcze lepsze uzasadnienie!

66

Siedząca za biurkiem kobieta zeszytniała na chwilę i popatrzyła wrogo na Maggie. Kiedy się odezwała, słysząc było, że stara się panować nad głosem.

- Proszę posłuchać, pani O'Connor. Wierzę, że jest pani w wiel

kim stresie, więc postaram się nie uznać tej ostatniej uwagi za coś

obraźliwego. Ale taka jest rzeczywistość, z którą mam do czynienia

każdego dnia. Mam w papierach trzydzieści tysięcy przypadków

dzieci z mojego terenu, które naprawdę wykazują oznaki fizycznego

złego traktowania... dzieci, które ulegają oparzeniom albo są torturowane, albo związywane w wannie. Sądy nie mają ani środków, ani ludzi, ani czasu, żeby zająć się choćby jedną trzecią tych dzieci, nie mówiąc już o pani wnuczce. Zanim system opieki prawnej chociaż zbliży się do większości z nich, będzie już za późno na pomoc.

Wzięła głęboki oddech i westchnęła głośno. Ona też nie była wolna od frustracji.

- Pani nie ma żadnych szans na wniesienie sprawy. Nawet jeżeli li pani podejrzenia są słuszne, to nie ma pani szans.

Maggie stała na zewnątrz budynku władz miejskich, patrząc nie-widzącym wzrokiem na latające wokół gołębie. W końcu postanowiła, że następnego dnia z samego rana pójdzie na policję.

* * *

Kanapa w salonie, na której siedziała Maggie, była obłożona stosami papierów. Bardzo starała się skoncentrować przez cały wieczór, ale nie bardzo jej się to udawało. Jej szeroki niegdyś świat skurczył się do jednej sprawy: odebrano jej Cody, Cody była w niebezpieczeństwie. Te myśli przysłaniały wszystko inne.

- O Boże, dziecko, jak ja za tobą tęsknię! - powiedziała na głos do siebie.

Nagła fala tęsknoty przepełniła Maggie i zatopiła ją w poczuciu samotności, wciągając w przeszłość i wywołując przerażenie.

Starła się walczyć z tym uczuciem, wstrząśnięta jego mocą. Przecież podatki nie mogą już czekać - napomniała się w myślach. -Urząd podatkowy wcale się nie przejmuje tym, czy mam złamane serce. Życie toczy się dalej, tylko nie wiem po co.

67

Energicznie poprawiła okulary na nosie: nie znosiła tego prze. klętego rekwizytu średniego wieku. Kolejna słabość.

- Widzisz, jak rośnie trawa - słyszała w dzieciństwie od swojej babci.

Myślała, że zawsze tak będzie. Jednak została skazana na te okropne okulary, które zjeżdżały z nosa i

nigdy nie były na właściwym miejscu.

Z ulgą powitała dzwonek telefonu. Podeszła na bosaka do aparatu i podniosła słuchawkę.

- Wiem, co robi pani córka, pani O'Connor - usłyszała szorstki, kobiecy szept. Jej rozmówczyni musiała być przerażona. - Pani córka jest związana z Maa Kheru, niech ją Bóg ma w opiece.

Maggie natychmiast wróciła do rzeczywistości.

- Kim pani jest? Co pani wie o mojej córce?

- Nieważne, kim jestem. Ważne jest Maa Kheru!

- Co to, do licha, jest Maa Kheru?

- To bogata sekta pełna wpływowych ludzi. Mają wszystko w ręku! Policję... gazety... nie wie pani, jacy są niebezpieczni. O Boże... Wolałabym sama o tym nie wiedzieć!

Głos kobiety brzmiał prawie histerycznie.

- Oni czczą szatana, pani O'Connor. Sprzedali swoje dusze w zamian za powodzenie i pieniądze.

- Kim pani jest? - krzyknęła Maggie, już naprawdę przestraszona. - Skąd pani wie to wszystko?

- Byłam kiedyś z Maa Kheru... pani nie wie, do czego oni są zdolni... - w słuchawce rozległo się zduszone łkanie - zabili moje dziecko! Ukrywam się... Szukają mnie i znajdą. To tylko kwestia czasu, kiedy mnie zabiją. Zadzwońłam tylko po to, żeby mogła pani coś zrobić, żeby uratować to dziecko. Proszę, niech im pani nie pozwoli złożyć jej w ofierze, tak jak zrobili z moją Stacy. Obdarli ją żywcem ze skóry, pani O'Connor, rozumie pani? Obdarli ze skóry moją córkę i pili jej krew!

Zanim Maggie zdołała zdobyć się na odpowiedź, połączenie zostało przerwane.

Chwytiła płaszcz z szafy w holu i pobiegła na posterunek policji.

68

Rozdział 10

Siedziba Szóstego Posterunku mieściła się przy Zachodniej Dziesiątej Ulicy, pomiędzy ulicami Bleecker i Hudson. Maggie wbiegła po schodach, usiłując na tyle panować nad sobą, żeby policjanci zdołali ją zrozumieć. Sierżant dyżurny był przysadzistym mężczyzną z pociemniałą od świeżego zarostu twarzą. Widać było, że jest już bardzo zmęczony. Przerwał w połowie jej objaśnienia.

- Nie ma sensu, żeby mi pani wszystko opowiadała, proszę pa

ni. Potrzebuje pani detektywa - orzekł. - Zobaczą, kto jest wolny.

Wskazał jej drewnianą ławę pod ścianą, ale Maggie była zbyt roztrzęsiona, żeby usiąść. Sierżant dokończył wypełnianie formularzy i podniósł słuchawkę telefonu.

Po pewnym czasie w drzwiach prowadzących w głąb posterunku pokazał się masywnie zbudowany, ospale wyglądający mężczyzna. Był cały szary. Miał szare włosy, oczy, spodnie i krawat, nawet jego blada skóra miała szarawy odcień, właściwy ludziom, którzy rzadko widują światło słoneczne. Maggie jęknęła w duchu, idąc za nim przez labirynt korytarzy. Wyglądał na człowieka, który nie jest zbyt zadowolony ze swojej pracy. Detektyw Hillyer, tak brzmiało jego nazwisko, wskazał jej krzesło, a potem nie zwracał na nią wcale uwagi przez całe pięć minut, w ciągu których odebrał dwa telefony i sam wykręcił jakiś numer.

- Okay - powiedział w końcu, spoglądając na formularz, który wypełnił sierżant dyżurny. - Ma pani córkę narkomankę, która stwarza problemy, zgadza się? Jak wszyscy w Nowym Jorku.

Maggie poczuła, jak stroszy się wewnątrz, ale usiłowała zachować spokój. Zaczęła swoją skomplikowaną opowieść, starając się nie sprawić wrażenia nadwrażliwej babci. Podając daty i godziny, korzystała ze swojego notatnika. Hillyer rozparł się wygodnie w krześle, słuchając bez słowa. Odebrał jeszcze trzy kolejne telefony, za każdym razem zmuszając Maggie, żeby powtarzała ostatni fragment swojej opowieści dla zachowania ciągłości. W końcu podniósł dłoń, żeby przerwać coraz gwałtowniejszy strumień słów.

69

- Proszę posłuchać... pani O'Connor - zajął do papierów, żeby przypomnieć sobie jej nazwisko. - To nie jest sprawa dla policji. Nie ma przestępstwa, nie ma ofiary. Pani problem to rodzina, która się nie zgadza co do tego, jak wychowywać dziecko. Potrzebuje pani raczej doradcy...

- Czy słyszał pan chociaż słowo z tego, co powiedziałam? -zapytała ostro Maggie. - A może był pan zbyt zajęty rozmowami przez telefon, żeby mnie słyszeć? Przez ostatnie dwadzieścia minut rozmawiał pan ze wszystkimi w Nowym Jorku, z wyjątkiem swojego bukmachera, kiedy ja usiłowałam powiedzieć, że trzyletnie dziecko jest w wielkim niebezpieczeństwie i może potrzebować pomocy, a pan mówi mi tylko tyle, żebym znalazła sobie doradcę?

Jej głos zabrzmiał na tyle głośno, by przyciągnąć uwagę najbliższego otoczenia.

- Proszę posłuchać, pani O'Connor. Przychodzi pani tutaj z opowieścią o dziecku, które mieszka w luksusach w Greenwich, nawet nie na obszarze podlegającym temu posterunkowi, i spodziewa się, że wyciągnę królika z kapelusza.

- Spodziewam się, że posłucha pan, co mam do powiedzenia i udzieli mi jakiejś rozsądnej rady.

Spodziewam się, że zainteresuje się pan faktem, że małemu dziecku grozi niebezpieczeństwo. Jest pan policjantem, na rany boskie! Czy pana obowiązkiem nie jest pomaganie ludziom, którzy mają kłopoty?

Oczy wszystkich obecnych na posterunku zwróciły się na Maggie, jakby właśnie przemówił z telewizyjnej reklamy E. F. Hutton. Hillyer otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążył.

- Hank - odezwał się ktoś cichym, ale nawykłym do posłuchu

tonem - może ja bym się tym zajął?

Zaskoczona Maggie zwróciła twarz w kierunku, skąd doszedł ją ten głos.

W drzwiach za nią stał wysoki, szczupły mężczyzna w koszuli. Wyglądał na Irlandczyka, a jego twarz zdradzała zmęczenie. Temperament Maggie dorównał jej frustracji, więc nie miała nastroju na uprzejmości. Zaczerpnęła tchu i wycedziła:

70

- Chyba mogę to wszystko opowiedzieć jeszcze raz, zanim wy

buchnę. Ale potem trzech pierwszych z brzegu niech się lepiej cof

nie, do cholery.

Hillyer odsunął krzesło i posłał koledze spojrzenie mówiące: to prawdziwa wariatka, a potem wyszedł, zostawiając na biurku mały stosik papierów. Nowo przybyły detektyw wyglądał na nieco rozbawionego, co jeszcze bardziej rozgniewało Maggie.

- Proszę posłuchać!

- Devlin - powiedział - porucznik Malachy Devlin.

- Dobrze, poruczniku Devlin - powtórzyła szorstko. - Jak już mówiłam temu żałośnie nie zainteresowanemu detektywowi Hilly-erowi, mam wnuczkę, która, jak sądzę, jest w niebezpieczeństwie.

Zauważyła wyraźne zaskoczenie Devlina informacją, że jest babcią, ale nie obchodziło jej to.

- Przyszłam tutaj, mając nadzieję, że ktoś mi poradzi, co mam

zrobić, by ją uratować.

Devlin usłyszał skrywaną pod napiętym głosem rozpacz i wszelkie oznaki rozbawienia zniknęły z jego twarzy.

- Nie wiem. co robić, i Bóg jeden wie, że boję się śmiertelnie,

poruczniku, że prawo też nie wie, ale jeżeli nie znajdę sposobu, że

by jej pomóc, to trzyletnia dziewczynka, którą kocham, może nie dożyć czwartego roku życia...

Devlin zamknął drzwi, a potem przysiadł na krawędzi biurka przy Maggie i demonstracyjnie odsunął papiery. Dostrzegła, że pomimo zauważalnego zmęczenia porusza się z pełną pewnością siebie energią.

- Proszę posłuchać; usłyszałem na tyle dużo z pani opowieści, żeby chcieć pomóc - powiedział. - Ale nie na tyle dużo, żeby wiezieć, jak to zrobić. Przykro mi, że muszę panią prosić o powtórzenie wszystkiego od samego początku, pani O'Connor, ale gdyby pani zechciała spróbować jeszcze raz, to mogę przynajmniej obiecać moją niepodzielną uwagę i próbę udzielenia jak najlepszej rady.

Przerwał, jakby czekając, aż ona podejmie decyzję w sprawie jego propozycji. Maggie dopiero teraz zobaczyła go wyraźnie.

W oczach miał coś, co skłaniało do obdarzenia go zaufaniem. Były szare z plamkami w niezwykłym, jak dla ludzkich oczu, zło-

71

tawym kolorze. Nadawały jakiś niespodziewany wyraz duchowości jego, ogólnie rzecz biorąc, surowej irlandzkiej twarzy, która mówiła, że jej właściciel ma za sobą wiele zarówno dobrych, jak i złych momentów, a zwłaszcza, że otrzymał sporo porządnych ciosów. Patrzył przenikliwie wprost na nią.

Gniew Maggie nieco osłabł, ale poczuła wściekłość, gdy zauważyła, że zamiast tego jest gotowa się rozpłakać. Wzięła głęboki oddech i opowiedziała wszystko jeszcze raz. Devlin przerywał jej zadawanymi z rzadka, inteligentnymi pytaniami. Nie robił tego, by się upewnić, co do stanu jej zdrowia psychicznego, ale po to, żeby lepiej poznać relacjonowane fakty.

- Świat jest czasami przykrym miejscem, prawda, pani O'Connor? - rzucił niespodziewanie tonem sugerującym, że za wiele w życiu widział i za wiele wycierpiał. - Proszę mi pozwolić przedstawić sobie mój pogląd na to, o czym pani mówiła.

Westchnął głęboko i ciągnął dalej.

- To, co pani mówi, wcale nie brzmi nieprawdopodobnie.

W tym mieście źli ludzie krzywdzą małe dzieci każdego dnia w tygodniu. Prawdopodobnie w Greenwich również. Czasami źli ludzie są na tyle bogaci, że nikt niczego nie robi w tej sprawie. Przykro mi to powiedzieć, ale prawo nie da pani za wiele możliwości. Widzi pani, prawa pani córki będą chronione jako nadrzędne wobec praw pani wnuczki. Po pierwsze, zajmijmy się uzależnieniem od heroiny... nawet gdyby pani mogła to udowodnić... chociaż pani córka jest do rośnięta i nie może jej pani zmusić do poddania się badaniu wbrew jej woli... więc nawet gdyby pani mogła to udowodnić, to w oczach prawa uzależnienie od heroiny nie dyskwalifikuje jej jako matki.

Maggie chciała zaprotestować, ale Devlin gestem zmusił ją do milczenia.

- Mówimy tutaj o przepisach prawa, pani O'Connor. Nie oceniamy, co jest dobre czy złe, czy sprawiedliwe, tu chodzi o prawo.

W jego głosie słychać było współczucie. Wyczuwała też jego osobistą złość na niesprawiedliwości systemu.

- A jeżeli chodzi o satanizm - mogę się założyć, że nie ma żadnego przepisu, który by mówił, że satanista nie może wychowy-

72

wać dziecka według zasad swojej religii. Prawdopodobnie miałyby pani przeciw sobie obrońców praw człowieka, którzy opadliby panią jak pijawki, gdyby próbowała pani na tej podstawie uzyskać prawo opieki nad dzieckiem. Wolność religii, nawet jeżeli jest to satanizm, to kamień węgielny naszego ustroju. Mogę pani na przykład powiedzieć, że kapelanom w West Point daje się biblię satanistyczną po to, żeby ich podopieczni w armii mieli zagwarantowany równy dostęp do pociechy religijnej. To może brzmieć wariacko, ale taka jest prawda.

- Więc popatrzmy na to, co pani tu ma. Po pierwsze, musiałaby pani udowodnić, a nie tylko zarzucać

- udowodnić, że Cody jest zaniedbywana lub źle traktowana. Ale nie widzę sposobu, w jaki mogłaby pani to zrobić. Ten Vannier jest bogaty i w dodatku jest prawnikiem. Dziecko pozostaje pod opieką zawodowej niańki i swojej matki w jej własnym domu. Ma jedzenie, ubrania, zabawki, opiekę, wychowanie, nawet jeżeli to wychowanie nie jest w pani guście, więc nie można mówić o zaniedbaniu. A jeżeli chodzi o złe traktowanie... jak pani zamierza udowodnić złe traktowanie? Czy widziała pani na ciele dziecka jakieś obrażenia? Jeżeli nawet tak, to czy nadal tam będą, kiedy Biuro Praw Dziecka przekopie się przez swoje papierki i dźwignie dupę do roboty?

- A jej umysł? - przerwała mu Maggie, przygnębiona tą jawną niesprawiedliwością. - Oni jej robią pranie mózgu. Przy tej niańce zachowuje się jak zombie... i jest absolutnie przerażona.

- Pani O'Connor, widziałem dzieci narkomanów... i widziałem tyle przypadków złego traktowania dzieci, że sam święty Franciszek z Asyżu zwątpiłby w istnienie Boga, więc proszę mi wierzyć, że jestem po pani stronie. Ale popatrzmy na to z punktu widzenia sądu. Cody ma trzy lata. Jaki psychiatra, który nigdy nie widział jej, kiedy była pod pani opieką, przysięgnie w sądzie, że ci ludzie manipulują jej umysłem? Zmianie zachowań trzylatków jest uważane za normalny obowiązek rodzicielski.

Maggie uniosła ręce w geście rezygnacji. Wiedziała, że on ma rację.

- A co by było, gdybym po prostu ją zabrała, poruczniku De-
vlin? - zapytała rozpaczliwie. - Co by było, gdybym po prostu

73

wyjechała z miasta i zabrała ją gdzieś, gdziekolwiek, żeby ją chronić?

- Zostanie pani aresztowana za porwanie - odparł krótko. - To przestępstwo naruszające przepisy prawa federalnego, pani O'Connor. FBI. Więzienie. Pamięta pani tę kobietę, która powie działa, że jej mąż molestuje dziecko i odesłała je Bóg wie gdzie? Spędziła dwa lata w więzieniu, zanim prezydent ją ułaskawił. Mo że pani nie mieć tyle szczęścia, więc co stanie się z Cody, kiedy pani będzie w więzieniu? Wtedy nie będzie miała nikogo po swo jej stronie.

Maggie pochyliła nisko głowę, zbyt bliska łez, by mówić. De-vlin obserwował, jak usiłuje zapanować nad sobą, wiedząc instynktownie, że ona nie zrezygnuje, bez względu na to, co jej powie. Poruszyło go to.

- Jak daleko jest pani gotowa się posunąć, pani O'Connor? - za
pytał cicho. - Tego rodzaju sprawa może pochłonąć całe pani życie,
z bardzo nikłą nadzieją, że skończy się tak, jak pani sobie życzy.

Popatrzyła na niego przez kilka sekund, zanim odpowiedziała dobitnie: - Jestem gotowa na wszystko,
poruczniku.

Devlin stał z rękoma w kieszeniach, patrząc na nią uważnie. Było oczywiste, że rozmowa dobiegła
końca, więc Maggie wstała, żeby odejść.

- Pani też jest Irlandką, pani O'Connor-powiedział jakby bez
związku. Skinęła głową. - Więc słyszała pani o The Christopher*?
Pamięta pani przypadkiem ich motto?

Maggie popatrzyła na niego zdziwiona, ale powiedziała: - „Lepiej zapalić jedną świeczkę, niż przeklinać
ciemności”. Devlin uśmiechnął się.

- Oficjalnie nie mogę nic dla pani zrobić, pani O'Connor, ale
nieoficjalnie... jak Irlandczyk dla Irlandczyka... - zawiesił znaczą
co głos. - Zobaczą, czy uda mi się znaleźć jakąś świeczkę. Okay?
Może przynajmniej będę się mógł dowiedzieć, czy ta historia
o Maa Kheru jest prawdziwa czy nie. Tak czy inaczej, skontaktuję
się z panią.

* Nowojorska organizacja katolicka zajmująca się akcją misyjną w mediach.

74

Podał jej wizytówkę z nume~:m telefonu posterunku i dopi^ obok swój bezpośredni numer. Maggie
podziękowała mu i wys Devlin patrzył za nią z okna ob*urnego pokoju, myśląc o tym. * to ostatnia rzecz,
jakiej teraz potrzebował. Był obłożony po tffl sprawami, a jego szef pewnie romyślałby, że zabrakło mu
pi*1'.1 klepki, gdyby wspomniał mu o r m dziecku z Greenwich. Ale C* w tym było. Może troszkę pouczyć
- pomyślał z westchnienie"1 Wszyscy pomyłeńcy świata mieszkali na obszarze podlegający"1 Szóstemu
Posterunkowi.

Jednak instynkt podpowiada! mu, że ta kobieta nie jest jedm « z nich. Zawsze cenił umiejętność
zachowania się z godnością i O* wagą w obliczu niebezpieczeństwa, a wyglądało na to, że Ms±yc

O'Connor posiada obydwie te cechy. Sam nie wiedział, czy mllo cokolwiek wspólnego z tym, że ehciałby ją jeszcze raz zobaczy

* * *

Maggie poszła do domu mocno rozstrojona. Nie była w sttW8 zając się podatkami, więc rzuciła papiery na leżący już na kanapa stos i usiadła, wpatrując się nieruchomo w kominek. Nie miała pojęcia, co dalej robić.

Okolo jedenastej rozległ się dzwonek telefonu: dzwonił porucznik Devlin. Zauważyła, że mówiąc, starannie dobiera słowa.

- Proszę posłuchać, pani O'Connor, sprawdzałem sprawę W8°

Maa Kheru i mam parę informacji. Oficjalnie jest to tylko zwario

wany wymysł, ale nie jestem przekonany, czy to nie jest prawda-

Maggie wzięła głęboki oddech.

- Jeżeli Maa Kheru naprawdę istnieje - ciągnął Devlin - to jest

to grupa wpływowych ludzi, grubych ryb biznesu. Bankierzy, p"1'

tycy, wielu ludzi teatru, lekarze, prawnicy, kongresmeni, senato

rzy... zgodnie z tą wersją, której, oczywiście, nikt nie potwierdził1*

wszyscy praktykują czarną magię. Sataniści, wyznawcy voo#>°'

wyznawcy pało mayombe, coś w stylu ekumenicznego „Wh«

Who" wyznawców szatana. Sprzedali dusze szatanowi w zamiai' '*

sławę, majątek, władzę i tak dalej. Słowa „Maa Kheru" są sttfO*)^

nym zaklęciem, które ma otwierać wrota piekła. Dość trudno w

75

wszystko uwierzyć w dzisiejszych czasach, ale na świecie jest dużo niesamowitych rzeczy, więc może nie da się tego całkowicie odrzucić. Każdego roku zdarza się wiele brutalnych morderstw, które pozostają nie wyjaśnione tylko dlatego, że lokalna policja nie chce wywołać publicznej paniki przez określenie czegoś jako satanistyczne i w związku z tym nie jest w stanie nic z tym zrobić. Jak już pani mówiłem, satanizm jest pod ochroną konstytucji, tak jak każda inna religia.

- Nie wiem, co mam zrobić z tą informacją, poruczniku - powiedziała z naciskiem Maggie - poza tym,

że mnie przeraża.

- Nic nie może pani w tej chwili zrobić, pani O'Connor. Ale, według mnie, powinna się pani bać dalej, póki nie dowiemy się więcej. Jeżeli Jenna naprawdę żyje z szatanem, to nie tylko pani wnuczka jest w niebezpieczeństwie. Pani też.

Skończywszy rozmowę, Maggie była tak oszołomiona, że następny dzwonek telefonu wystraszył ją. Tym razem dzwoniła Amanda.

- W końcu przypominałam sobie, co jest takiego szczególnego, jeżeli chodzi o Malgaszow, kochanie, i pomyślałam, że lepiej ci to powiem, chociaż wcale cię to nie pocieszy. Ci czarni z Madagaskaru napętniają przerażeniem innych Afrykanów bo praktykują bardzo groźny rodzaj czarnej magii, Maggie. Coś naprawdę przerażającego, coś bardziej atawistycznego niż candomble i wszystkie te okropne plemienne rytuały z Ameryki Południowej. Mój informator powiedział, że z tej magii wywodzą się najbardziej okrutne elementy karaibskiego voodoo. Nie sądzę, żeby Jenna mogła być zamieszana w coś tak okropnego. A ty?

Satanizm. Czarna magia. Zło.

Wszystkie te przerażające słowa pulsowały w umyśle Maggie.

Dobry Jezu, co ja teraz zrobię?

76

Rozdział 11

Maggie upadła z rozmachem na matę, ale w ostatniej chwili udało się jej zadać mocne kopnięcie w zębra przeciwnika, blokując śmiertelny cios wymierzony w jej gardło. Pociła się obficie, częściowo z wysiłku a częściowo z emocji, które doprowadziły ją do dojo. Podniosła się na nogi i stanęła w bojowej postawie twarzą do przeciwnika.

- Wiem, Sifu - wydusiła z siebie - mrugnęłam oczami.

- Jak będziesz mrugać oczami podczas walki, to zamkniesz je na wieki - odpowiedział życzliwym tonem

przysadzisty Chińczyk.

On sam wcale nie oddychał ciężko. Maggie widziała, jak przed kilkoma miesiącami pokonał dziesięciu najlepszych adeptów z czarnymi pasami. Pan Wong nigdy nie oddychał ciężko, chyba że miał na to ochotę.

Z przykrością skinęła potakująco głową.

- Będę więcej ćwiczyć - powiedziała potulnie. - Jeszcze trzy

dzieści pięć lat i będę w tym dobra.

Pan Wong uśmiechnął się. Jego oczy o ciężkich powiekach patrzyły wesoło, mimo beznamiętnej miny. Nie był młodym człowiekiem, ale oczy miał żywe i energiczne.

- Tak szybko nauczysz się tego, Maggie? Bardzo dobrze. Więk

szość ludzi potrzebuje na to więcej czasu.

Maggie uśmiechnęła się do starca, którego podziwiała. Podczas długiej choroby Jacka były takie momenty, kiedy myślała, że zwariuje albo imploduje jak umierająca gwiazda. Ze strachu i smutku, z wyczerpania i z przymusu patrzenia, jak coś tak podstępnie niszczy kochanego przez nią człowieka. Zaczęła ćwiczyć karate w miejscowym klubie, żeby dać upust swoim frustracjom, i po roku ćwiczeń została przedstawiona panu Wongowi, by pod jego kierunkiem zacząć poważne zgłębianie tajników sztuki walki. Trening i dyscyplina uspokoiły ją, wyprostowały, pomogły w najgorszych momentach.

Otarła pot z czoła grzbietem dłoni, usiłując opanować oddech. Żeby nie rozczarować nauczyciela, a także dla samej siebie, zajęła

77

ponownie pozycję bojową i zepchnęła drobne niepowodzenie tam, gdzie było jego miejsce: do niebytu.

Była to jej jedyna słabostka, te niecałe dwie godziny dziennie spędzane na treningach czy w jej własnym dojo, które sobie urządziła w piwnicy. Robiła to między szóstą i ósmą rano, zanim inni się obudzili, w jedynych godzinach, które należały naprawdę do niej. Cios ręką, uderzenie nogą, balans ciałem, skupienie. Pełna siły gracia formy i skoncentrowana dyscyplina walki. Mądrość pana Wonga. To, co prowadziło ją każdego dnia z powrotem na trening, było czymś więcej niż fizyczną potrzebą.

- Ciało, umysł, duch - to wszystko musi pozostawać w harmonii - przypominał jej pan Wong. - Te techniki istniały na długo przedtem, zanim się urodziłaś i będą istniały długo po tym, jak odejdziesz. Pozwól im przepływać przez siebie i zachwycaj się ich pięknem.

Rozumiał wszechświat i rządzące nim różne rodzaje energii. Potrafił opowiadać przypowieści, które oczyszczały przed nią szlak, kiedy droga była ciemna i niewidoczna. Często pytano ją, czy ćwiczy sztuki

walki dla samoobrony i zawsze mówiła, że tak, ale wcale nie chodziło jej o to, co rozumieli przez to pytający. Prawdziwa samoobrona potrzebna w życiu dotyczy ducha.

Maggie rzuciła okiem na zegar: była prawie ósma, a ona była tu już od piątej trzydzieści. Skłoniła się panu Wongowi i poszła pospiesznie do domu, żeby wziąć prysznic. Wiedziała, że bibliotekę otwierają o dziewiątej. Dzisiaj miała zamiar dowiedzieć się wszystkiego, co się da, o szatanie.

Rozdział 12

Maggie zmarszczyła brwi, patrząc na słownik. Nie przyniósł jej żadnego oświecenia, ale przynajmniej skomputeryzowany indeks był pełen odsyłaczy. Zanotowała pierwszą dziesiątkę, odszukała książki na półkach i przystąpiła do czytania.

78

„Początkowo Szatan był wspaniałym aniołem, wodzem Serafinów, przywódcą Zakonu Cnót i był bardzo bliski tronu bożego.

Utracił łaskę przez bunt przeciwko Bogu, kiedy pomyślał, że jest Mu równy. Za ten grzech pychy został wypędzony z niebios razem ze wszystkimi swoimi legionami przez archanioła Michała i jego ognisty miecz”.

Maggie przejrzała pół tuzina tomów. Wszystko bardzo interesujące. Talmud, Księga Objawienia, pisma Tomasza z Akwinu -wszystkie źródła mówiły o szatanie... Więc ci wszyscy wielcy myśliciele wierzyli w jego istnienie...

Maggie wzięła kolejny tom i zaczęła czytać: „Szatan jest czasami zwany Lucyferem: dawcą światła, a Lucyfer z kolei nazywany jest czasami «głównym doradcą piekieł»”.

Uśmiechnęła się: nic dziwnego, że jest prawnikiem. Do cholery! Szkoda że, nie zapamiętała więcej na temat Antychrysta ze swoich zajęć z teologii. Wyglądało na to, że występuje pod wieloma różnymi imionami: Ahriman w perskiej teozofii, Belzebub w Biblii, Iblis w Koranie i Samael w pismach żydowskich. Najbardziej zastanawiające było to, że każda wielka religia uznaje istnienie szatana. Poza tym nie wydawał być się osamotniony, bo odnalazła wzmianki o dziesiątkach innych demonów. Sto trzy upadłe anioły były znane z imienia, a poza nimi istniały setki innych infernalnych imion, pochodzących z każdej kultury i każdego okresu: Babilonia, Chal-dea, Egipt, państwo Sumerów...

Maggie wróciła do półek po kolejny zestaw książek. W całej Ameryce istniało wiele grup otwarcie uprawiających kult szatana. Były to satanistyczne kościoły i różne satanistyczne sekty, takie jak: ju-ju, vo-odoo, palo mayombe i niektóre odmiany santerii. Nie znalazła nigdzie wzmianki o Maa Kheru, ale jedna z książek, pod tytułem „Mordercze sekty”, podawała: „Istnieją jeszcze inne ortodoksyjne grupy satanistyczne, których nazw nigdy się nie dowiemy, ponieważ nie są one ujawniane. W istocie, to one mogą być najgroźniejsze ze wszystkich”.

Ku swojemu zaskoczeniu, znalazła również dużo informacji na temat ofiar z ludzi. Wyglądało na to, że według teorii magii świeżo dokonane morderstwo wzmacnia szansę odprawiającego ceremonię na skuteczność rytuału.

79

Maggie oderwała oczy od książki, usiłując zdławić swoje wzburzenie. Cody była w rękach ludzi, którzy wierzyli w takie rzeczy. Wzięła kolejną książkę: zbiór wywiadów przeprowadzonych z pracownikami policji.

Kapitan Dale Griffis z policji w mieście Tiffin w stanie Ohio. „W rytuałach satanistycznych bardzo ważne jest wykorzystanie krwi. Zgodnie z wierzeniami, krew zawiera siłę życia. Jeśli się nią dysponuje, to ma się moc. Dlatego piją krew w trakcie swoich obrzędów i polewają się nią.

Podobnie ma się rzecz ze składaniem ofiar z ludzi. Kiedy się składa ofiarę z kogoś, to w chwili przed śmiercią ten ktoś rzekomo emituje swoją życiową energię. Sataniści uważają, że mogą przechwycić tę energię dla swojego użytku. Uważają, że najlepsze są małe dzieci, ponieważ są czyste, jeszcze nie zgrzeszyły ani nie zostały zepsute. Dysponują większą mocą niż dorośli. Kiedy składa się ofiarę z dziecka, to przechwytuje się większą moc niż wtedy, gdy składa się ofiarę z dorosłego. Jedną z najbardziej cenionych przez satanistę rzeczy jest świeca wykonana z tłuszczu nie ochrzczonego dziecka”.

Maggie już nie była w stanie oderwać wzroku od tekstu.

Detektyw Sandi Gallant z sekcji wywiadowczej policji w San Francisco: „Niektórzy sataniści uważają, że są w stanie przechwycić energię zawartą w pewnych częściach ciała. Głowa ma zawierać ducha, a serce duszę. Przechwycenie ich pozwala im na posiadanie mocy. Mówi się, że lubią mieć palec z lewej ręki. Nie wiem dokładnie, który. Wiem, o co chodzi z lewymi i prawymi częściami ciała, ale dlaczego palec? Kto wie?”.

Odłożyła książkę i odetchnęła głęboko. Sataniści naprawdę istnieli... Mieli kościoły... Odprawiali nabożeństwa... Obchodzili święta. To było o wiele gorsze, niż sobie wyobrażała.

Maggie odłożyła książki na biurko i przejrzała spis tematów wiadomości telewizyjnych, by sprawdzić, czy któreś z nich mogły się odnosić do tego zagadnienia. Odnalazła kilka zapisów tekstów z programów „talk show”, które wyglądały obiecująco, i zaczęła je czytać. Serce jej zamarło, gdy tylko przejrzała pierwsze przerażające strony.

80

W programach prowadzono wywiady z kobietami, które określały się jako rozplodowe. Mówiły, że rodziły dzieci przeznaczone do rytualnej ofiary. Każda kolejna opowieść była bardziej przerażająca niż poprzednia. Były wśród nich opowieści o niemowlętach składanych w ofierze i zjadanych podczas

satanistycznych obrzędów... o dzieciach żywcem obdzieranych ze skóry, torturowanych na różne sposoby... o krwi używanej podczas czarnych mszy jako przeciwieństwo komunii świętej. Czytała o kobietach poddawanych praniu mózgu i zmuszanych wbrew ich woli do brania udziału w morderstwach na ich własnych dzieciach. Groteskowo niewiarygodne opowieści o deprawacji i perwersji. Była nawet grupa samopomocy o nazwie „Zwycięskie” dla kobiet, którym udało się uciec z sekt i teraz chciały poskładać w całość strzępy swojego życia.

Czy naprawdę mogą istnieć całe miasta, w których wszyscy czczą szatana? Czy naprawdę mogą być lekarze, prawnicy i sędziowie budujący sieć terroru, którą nawet policja może zaledwie usiłować przeniknąć? Jeżeli te wszystkie opowieści były prawdziwe, to jak to było możliwe, że cały świat po prostu nie powstał i nie powstrzymał satanistów przed wyrządzaniem takich okropności innym ludziom?

Maggie czytała teksty przez prawie godzinę: wywiady prowadzone przez Geraldo, Donahue, Oprah Winfrey, Sally Jessy Rapha-el, programy 20/20 i 60/60 - wszystkie w jakiś sposób dotyczyły satanizmu. Kazirodztwo... dziecięca pornografia... rytualne morderstwo... hodowanie dzieci... składanie ofiary z ludzi. Wywoływane przez te słowa obrazy wypełniały umysł Maggie jak toksyczne śmieci.

Zamknęła ostatni tekst i wstała. Była zbyt roztrzęsiona, by tkwić nieruchomo. Ludzie naprawdę czcili szatana, torturowali, zabijali i krzywdzili innych w jego imię. I to teraz, w 1993 roku! Właśnie tutaj, w Nowym Jorku. W Kalifornii. W Teksasie. Wszędzie!

Tacy ludzie mieli Cody.

Wykorzystywali małe dzieci... niewinne dzieci były gwałcone,

I

kaleczone i wypaczone psychicznie w nieodwracalny sposób. Dzieci hodowane tylko po to, żeby potem zostały zjedzone... Mieli Cody! 81

Nagle zabrakło jej tchu. Nie była w stanie myśleć. Musiała wydostać się na powietrze... zrobiło się jej słabo. Zawroty głowy. Ciemności. Zimno. Upadek...

- Już w porządku, proszę pani? - usłyszała niespokojny głos

stojącego nad nią mężczyzny.

Usiłowała wyteńczyć wzrok, by zorientować się, dlaczego leży na podłodze. O Boże! Zemdlała. Usiadła z trudnością.

- Wszystko w porządku - wymamrotała, zakłopotana i zdezo

rientowana. - Musiałam zapomnieć dzisiaj o jedzeniu.

Nagle poczuła gwałtowne mdłości, ale zwalczyła odruch wymiotny i chwiejnie podniosła się na nogi.

Pytający ją mężczyzna nie wyglądał na przekonanego. Inni przyglądali się, co się dzieje. W bibliotece nie powinno być takich scen.

Maggie wzięła na ręce stosik książek, postanawiając godnie opuścić bibliotekę pomimo gapiących się ludzi.

Pieprzę ich, niech się gapią - pomyślała nagle, równie rozgniewana, jak chora. Oni krzywdzą dzieci i mają Cody! Muszę ją wydestać z tego domu.

Maggie przeszła pośpiesznie przez ulicę Bleecker. Uzyskała w bibliotece tyle przerażających informacji, że teraz huczało jej w głowie. Zimny wiatr był przyjemną odmianą. Zostało jej jeszcze wiele do przeczytania, ale wołała zrobić to na świeżym powietrzu, w parku przy Washington Square.

Przechodząc obok jakiegoś sklepu, spostrzegła na wystawie książkę noszącą tytuł „Psychiczna samoobrona”. Boże, właśnie to mi jest potrzebne - pomyślała z ciężkim westchnieniem i kierowana impulsem, weszła do środka. Wnętrze było ciepłe i przytulne, pełne połyskujących kryształów, od osobistych amuletów po elementy dekoracji wnętrza. Popołudniowe słońce błyszczało we wspaniałym kwarcowym kręgu, mającym co najmniej metr dwadzieścia obwodu, i załamywało się tęczą w dziesiątkach kryształów wiszących w oknie. Kryształy drżały w przeciągu, wykonując jakiś witrażowy taniec, który znacznie rozjaśniał wnętrze. Poza tym w sklepie były książki i dzwonki wietrzne, które zadźwięczały melodyj-

82

nie, gdy zamknęła za sobą drzwi. Ściany obwieszono plakatami dotyczącymi ezoteryki, a w jednym rogu stały dwa dość zużyte fotele obite perkalem. Na umieszczonym pomiędzy nimi stoliku błyszczała duża, kryształowa kula i srebrny serwis do herbaty.

Siedząca na jednym z foteli kobieta na pierwszy rzut oka wyglądała na młodą dziewczynę ubraną w nową wersję stroju dzieci--kwiatów, ale gdy Maggie spojrzała na nią powtórnie, dostrzegła, że musi mieć koło czterdziestki.

Kobieta podniosła wzrok znad książki i uśmiechnęła się pięknym, szczerym uśmiechem, tak niespodziewanym w Nowym Jorku.

- Jestem Ellie - powiedziała melodyjnym głosem, który sugerował zadowolenie z życia. - Gdybyś zechciała położyć tutaj swoje książki, kiedy będziesz się rozglądać po sklepie, to chętnie ich popilnuję.

Miała niezwykle oczy: fioletowoniebieskie i świetliście iskrzące. W jej emanującym inteligencją wzroku było coś z innego świata, tak jakby nie była do końca istotą ludzką, ale jakąś hybrydą. Ga-ladriel -

Królowa Elfów, prosto z Tolkiena. Maggie usiłowała się domyślić, jakie może być jej pochodzenie etniczne. Może słowiańskie? Masa ciemnych kręconych włosów splotła w cygańskim stylu na jej ramiona, a wokół szyi pobrzękiwały wszelkiego rodzaju koraliki oraz złote znaki szczęścia, znaki zodiaku i srebrny kartusz.

Wpadłam w szczelinę czasową i trafiłam do Woodstock - pomyślała Maggie, odwzajemniając uśmiech.

- Masz tu całkiem niezłą kolekcję - zauważyła Ellie, spoglądając na tytuły książek przyniesionych przez Maggie. - Zbierasz materiały do doktorskiej rozprawy na temat okultyzmu?

- Coś w tym rodzaju - odparła. - Ale trochę się w tym pogubiłam. To tak, jakbym próbowała nauczyć się fizyki jądrowej.

Ellie roześmiała się z prawdziwą radością

- Może mogłabym ci pomóc - zaproponowała. - Zajmuję się metafizyką od czasów nieco przed moim- narodzeniem. Nie chciałabym mówić, że jestem specjalistką cd czegokolwiek, ale pewnie wystarczę, zanim kogoś znajdziesz. Czego dokładnie szukasz?

83

- Próbuję dowiedzieć się wszystkiego, co się da, na temat czarnej magii. Chyba nazywają to satanizmem.

Oczy Ellie rozszerzyły się i zaraz zmarszczyła brwi.

- Mam nadzieję, że nie myślisz o maczaniu w tym palców. Chodzi mi o to, że nawet nie mam książek na ten temat, tylko na temat białej magii. Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? To tak, jakbyś chciała manipulować dla rozrywki reakcją rozszczepienia atomów. Na jej twarzy było widać autentyczną troskę.

- Wiesz co? Właśnie miałam zamknąć sklep i zrobić przerwę na herbatę. Może napijesz się ze mną?

Maggie uśmiechnęła się smutno.

- Moja mama zawsze mówiła, że filiżanka herbaty może uleczyć wszystkie dolegliwości Irlandczyka.

- Jestem pewna, że miała rację. Terapeutyczne możliwości pewnie już zostały zapisane w matrycy genetycznej.

Maggie odprężyła się nieco: wyczuwała w tej kobiecie coś, co ją pociągało. Ellie nałapała dwie parujące filiżanki czarnej herbaty, podała śmietankę i cukier, a potem usiadła z powrotem w swoim fotelu.

- No więc, wykładaj kawę na ławę. Skąd to zainteresowanie czarną magią? Jesteś jakimś badaczem czy po prostu przeciętnym poszukiwaczem satanistycznych emocji?

Maggie, nie potrafiła się powstrzymać od śmiechu.

- To niesamowita historia. Prawdę mówiąc, to brzmi całkiem nieprawdopodobnie, ale moja wnuczka znalazła się w dziwnej, niebezpiecznej sytuacji i ktoś zwrócił mi uwagę, że może mieć to jakiś związek z satanizmem. Więc pomyślałam, że lepiej będzie, dowiedzieć się, jakiego mam przeciwnika. Do dzisiejszego dnia myślałam, że to temat odpowiedni tylko dla tych gazet, które się widzi przy kasie w supermarketach. Ale teraz jestem naprawdę wystraszona.

- Rozumiem - powiedziała Ellie. - Może zdradziłabyś mi parę szczegółów, żebyś mogła ci odpowiednio doradzić? Naprawdę wiem, o czym mówię.

Maggie zawahała się, ale po chwili uległa. Zawsze była niezłym znawcą charakterów i wiedziała, że pomoże jej rozmowa z kimś znającym temat. Ellie wysłuchiwała jej uważnie.

84

_ Dobrze, że ze mną rozmawiasz, Maggie - powiedziała z wielką powagą. - Satanizm nie jest czymś, czym się można bawić. Jest o wiele powszechniejszy i lepiej zorganizowany, niż możesz to sobie wyobrazić. Magia, biała czy czarna, może być potężną siłą, więc lepiej, żebyś się o nich czegoś dowiedziała, jeżeli masz zamiar walczyć. Uwierz mi, wiem dużo na ten temat i nie tylko z tego marnego doczesnego życia. Wyznawca czarnej magii wysokiego stopnia, na przykład „magister templi” albo, Boże broń, „ipsissimus”, mógłby zaatakować cię na poziomie astralnym podczas snu. Albo mógłby rzucić przeciwko tobie energię całego czarnego sabatu. Nawet gdyby cię nie zabił, co też jest możliwe, to całkiem pomieszałoby ci się w głowie. W domach wariatów są tysiące ludzi, którzy tam trafili tylko dlatego, że, świadomie albo nieświadomie, nastąpili na odcisk wyznawcy czarnej magii.

Maggie pokręciła głową w niedowierzaniu.

- Nie wiem, co powiedzieć. To mnie przerasta...

Ellie spojrzała na nią badawczo.

- Ogólnie rzecz biorąc, ludzie nie zostają dotknięci przez magię, chyba że praktykowali ją w swoich poprzednich wcieleniach... Możesz odkryć, że wiesz więcej, niż ci się wydaje. Twoja dusza prawdopodobnie usiłuje przypomnieć sobie to, co już wiesz, żebyś mogła zwalczyć aktualne niebezpieczeństwo. Może powinnaś spróbować hipnotycznej regresji do poprzednich wcieleń, żeby zobaczyć, o co w tym wszystkim chodzi i gdzie spotkałyśmy się wcześniej.

- Co znaczy, gdzie spotkałyśmy się wcześniej?

- We wszechświecie nie ma przypadków, Maggie. Nie weszłaś tutaj dzisiaj przypadkiem... Raczej zostałaś tu ściągnięta z jakiegoś powodu... Może potrzebujesz sojusznika. Posłuchaj: idź teraz do domu i przeczytaj te książki, a potem jeszcze porozmawiamy. Muszę trochę zastanowić się nad historią, którą mi opowiedziałaś. Chodzi o to, że nie rzucam się bezmyślnie, żeby nadstawić astralnego karku dla dobra obcych ludzi... no, ale w końcu, jeżeli okaże się, że nie jesteś obca? Wiesz co... przyjdź do mnie dzisiaj wieczorem na kolację. Zobaczymy, czy uda się nam coś wypracować.

Maggie poszła do domu, zabierając jeszcze kilka dodatkowych książek wybranych przez Ellie. W głowie jej się kręciło na myśl

85

o tym, że może istnieć tak wiele informacji na temat, którego istnienia do tej pory nawet nie podejrzewała.

sfZ JfC 3jC

Ellie weszła na mały stołeczek, którego używała, żeby dosięgnąć najwyższych półek w swojej bibliotece, i podała Maggie dwa tomy. Jej wysokie mieszkanie miało urok przedwojennego Green-wich Village.

- To wspaniałe mieszkanie, Ellie - powiedziała Maggie z podziwem. - Wygląda jak dom kapitana żeglugi wielkiej... pełne egzotycznych skarbów.

- Niech Bogu będą dzięki za sztywne stawki czynszów - odparła Ellie. - Jakbym sobie mogła pozwolić na mieszkanie z dwoma sypialniami i kominkami, gdyby«czynsze nie były urzędowo regulowane? A jeżeli chodzi o skarby, to jestem zbyt przywiązana do rzeczy materialnych... pewnie z tego powodu, że jestem zodiakalnym Lwem. Mieszkałam w wielu miejscach i zabierałam stamtąd pamiątki.

Biblioteka mieściła się w pokoju, który był niegdyś sypialnią. Książki pokrywały wszystkie ściany i blaty, a kryształ, które nie mieściły się w sklepie, leżały obficie rozrzucone pod krzesłami, na stołach i w szafkach. W sypialni pod łóżkiem leżał wielki, różowy kwarc.

- Jest znakomity do otwierania czakry serca - wyjaśniła Ellie

z uśmiechem.

Wielki, brązowy gong wisiał pomiędzy dwoma wybornymi malowidłami t'ang-ka z Tybetu. Doświadczone oko Maggie dostrzegło wrażliwość gustu, z którym wybrano każdy element wystroju.

- Nie mogę pojąć, jak ułożyłaś te książki - stwierdziła, gdy jej uwagę przyciągnęły starannie uporządkowane półki. - Jak znajdujesz potrzebne tomy, skoro nie są ułożone alfabetycznie?

Ellie podała Maggie kolejne trzy książki i roześmiała się.

- Och, one są jak najbardziej ułożone alfabetycznie: według imienia autora. Po prostu odrobina intelektualnego snobizmu z mojej strony. Czasami wkurzam się, wiedząc, że ludzie biorą mnie za

86

półgłówka, bo zajmuję się metafizyką, więc odbijam to sobie na drobne sposoby dla własnej przyjemności. Pewnie też dlatego trzymam w górnej szufladzie biurka połowę mojej rozprawy doktorskiej.

Maggie pomyślała, że wszystko, co jest związane z Ellie, jest niespodzianką. Jej otwarta żywiołość klóciła się z wyrafinowaną inteligencją i intuicją, które pomagały jej poznawać świat.

- A gdzie zrobiłaś dyplom? - zapytała, czując sympatię do swojej rozmówczynie.

- W Berkeley, gdzież by indziej? - odparła Ellie, nalewając kieliszek wina ze schłodzonej butelki.

Gotowała coś „moskiewskiego”, jak powiedziała, gdy wyrecytowała nazwę tego dania z nieskazitelnym rosyjskim akcentem. Ostry aromat wypełniał kusząco mieszkanie, a melancholijne tony bałałajki wydobywały się z wieży stereofonicznej.

- Przeszłam przez wszystko, Mags, od końca lat sześćdziesiątych.

Maggie zauważyła z rozbawieniem, że Ellie bez żadnych ceregieli nadała jej nowe imię.

- Robiłam wszystko, co mogło robić intelektualne dziecko - kwiat. Przez trzy lata mieszkałam u jednego guru w Indiach, żeby studiować sanskryt, potem dwa lata spędziłam w rezerwacie Iroke-

zów, żeby doznać „wizji”. Przez półtora roku przebywałam w klasztorze Zen i codziennie od czwartej rano siedziałam w zazen, odmrażając sobie tyłek i odmawiając modlitwy - mówiąc, odliczałam każdy z tych etapów na palcach. - O tak, nie zapomnijmy, że włączyłam się przez osiemnaście miesięcy po Ameryce Południowej, odwiedzałam kopalnie kryształów i poznawałam capoię. Po tym wróciłam do domu i przez dwa lata byłam pomocnikiem chińskiego lekarza, żeby nauczyć się akupunktury.

Słuchając jej bezpośredniej opowieści, Maggie zauważyła, że Ellie ma uczciwą twarz o wyrazistych rysach: ładną, interesującą i nie zdradzającą wiele na temat jej wieku.

- Robiłam wszystko, co sobie można wyobrazić - powiedziała z sympatycznym uśmiechem. - Protestowałam przeciwko wojnie, trafiłam w Chicago do więzienia, pomagałam prowadzić ośrodki

87

doradztwa aborcyjnego w czasach, kiedy to się robiło wieszakiem do ubrań...

Wypiła łyk wina, pomieszała potrawę na kuchence, powąchała ją, dodała jakieś aromatyczne przyprawy i znowu usiadła na poduszeczce zafu pośrodku podłogi.

- I jeszcze pewnie parę innych rzeczy, których nie mogę sobie wyobrazić?

- Tak. Pewnie tak można by powiedzieć. Jestem półkrwi Rosjanką i półkrwi Irokezką, więc od dzieciństwa byłam skazana na to, że będę medium. Wizje, pozacielesne doznania, wspomnienia z przeszłego życia: bardziej wyraziste nawet niż wspomnienia z przedszkola. Doznawałam tego wszystkiego.

- Na szczęście byłam wychowywana głównie przez babcię, ponieważ moja matka pracowała, a ojciec wędrował po świecie. Przemieszczałam się w tę i z powrotem pomiędzy ich dwoma światami i nikt z rodziny nie uważał moich talentów za dziwne. W zasadzie, mniej czy bardziej, spodziewano się ich. Więc zamiast mnie zniechęcać, babcię uczyły mnie z jednej strony magii, a z drugiej, doskonalenia ducha. To były niesamowite kobiety: twarde jak rzemień, ale kobiece jak Moon Maidens. Co środę chodzę do przytułku Mother Hale's, żeby potrzymać w ramionach niemowlęta z AIDS. To forma zapłaty wszechświatowi za wszystko, co one dwie mi dały.

- To nadzwyczajne - powiedziała Maggie, myśląc o tym, jak konwencjonalne było jej własne dzieciństwo. - Ciekawe, co by się stało z twoimi talentami, gdybyś została umieszczona w zwykłej rodzinie?

- Och, nie sądzę, żeby świat pozwalał na takie błędy, Mags -odparła, poważnie. - Człowiek jest umieszczany tam, gdzie powinien być, po to, żeby odkryć swoją karmę. Nie odwiedzałam tych dwóch babć, ale kontynuowałam łączący mnie z nimi cykl.

Maggie zmarszczyła czoło.

- Nadal trudno mi zrozumieć, jak ktoś tak inteligentny i wykształcony, jak ty, może wierzyć w magię.

Pochylona dotychczas nad stolikiem Ellie wyprostowała się.

- Nie daj się złapać na terminologię, Mags. Magia jest po prostu słowem używanym na określanie niezrozumiałych sił. Musisz

88

7estać myśleć, wykorzystując nabyte dwudziestowieczne wiadomości i zacząć używać swojej intuicji, raczej wyczuwać nrawdę, niż przyjmować to, co ci podano, jak objawienie. Kiedyś myślano, że świat jest płaski. Uważano, że atom jest niepodzielny. Gdyby ktoś powiedział Izaakowi Newtonowi, że za kilkaset lat obrazy z satelitów będą przesyłane do salonów, to rzuciłby w niego swoim jabłkiem.

Maggie zrozumiała, co Ellie ma na myśli.

- Czy mogę ci zadać impertynenckie pytanie, Ellie?

- Jasne.

- Dlaczego ktoś mający połowę rozprawy doktorskiej w szufladzie, miałby się zadowolić sprzedawaniem kryształów i kadzidełek? Czy czasami nie masz ochoty wybrać innej ścieżki w życiu?

- Dobre pytanie - odparła Ellie.

Gestem zaprosiła Maggie, by usiadła razem z nią przy stole, który, w zależności od potrzeby, służył do spożywania posiłków albo jako warsztat pracy. Za ich plecami buzował w kominku ogień i Maggie pomyślała, że jest to jeden z najbardziej uroczych salonów, jakie kiedykolwiek odwiedziła.

- W bardzo młodym wieku dowiedziałam się od moich babć, że mam dary duchowe i że te dary niosą za sobą obowiązki. Pismo

Święte mówi: „będzie się wiele żądać od tych, którzy wiele otrzy mają”. Według mnie, to jest sprawiedliwe. Mówi się tam także: „Nie można służyć jednocześnie Bogu i mamonie”, i to też jest prawda, Mags. Trzeba coś wybrać w życiu. Gdybym była lekarzem albo prawnikiem czy dyrektorem do spraw marketingu, musiałabym poświęcić całą moją energię na dążenie do sukcesu... nie ma w tym nic złego, pamiętaj. Sama to robiłam w wielu wcieleniach. Ale tym razem potrzebowałam poznać inne rzeczy. Byłoby trochę trudno znaleźć ambitną pracę, która by dawała mi dość czasu na wszystkie ezoteryczne studia, jakich dokonałam.

Kiedy później Maggie pomagała sprzątać naczynia, pomyślała, że pomimo tak różnego pochodzenia naprawdę pasują do siebie. Charakter nie ma nic wspólnego z urodzeniem ani rachunkiem w banku, jak powiedziała jej ojciec. Ellie była autentyczną indywidualnością, taką jakich było kiedyś mnóstwo w Greenwich Villa-

89

ge, zanim Burger King wyparł kawiarnie, a SoHo stało się modne, żeby w końcu przerodzić się w atrakcję turystyczną. W tamtych czasach indywidualność i intelektualne poszukiwania ceniono, przynajmniej w równym stopniu jak sławę i majątek. To były lepsze czasy.

- Więc co proponujesz? Co powinnam teraz robić, Ellie? - zapytała Maggie znad filiżanki kawy.

- Czytaj książki, które ci dałam, i pozwól, że ja zapytam moich przewodników, co się dzieje. Mam wrażenie, że to, co teraz robisz, może mieć coś wspólnego ze sprzymierzeńcami. Wszelki świat nigdy nie posyła nas, zwykłych, śmiertelników, przeciwko siłom zła bez zapewnienia nam sprzymierzeńców. Tak samo tutaj, jak i w sferze wewnętrznej. Oczywiście, jedynymi sprzymierzeńcami, nad którymi mamy jakąkolwiek kontrolę, są ci, którzy są dla nas widzialni... być może tacy jak ja. Jeżeli mam rację, to napotkasz więcej takich ludzi.

Maggie skinęła głową bez przekonania.

- Dlaczego to robisz, Ellie? Dlaczego miałabyś sprowadzać na siebie niebezpieczeństwo dla całkiem nieznajomej osoby?

- Nie sądzę, że odbywałybyśmy tę rozmowę, gdybyśmy byli sobie całkiem obce, Mags. Też jestem w

to w jakiś sposób zamieszana. Po prostu jeszcze nie wiemy, w jaki.

- Ale co w tej okropnej sytuacji mogłoby sprawić, że warto by ci się było w to mieszać?

- Oświecenie - odparła Ellie z szerokim uśmiechem. - To jedyna nagroda, o którą warto walczyć.

Rozdział 13

Zaniepokojona Cody szła za służącą z kuchni do skrzydła dziecięcego. Czasami Ghania zostawiała ją na troszkę ze służącą i w takich przypadkach zawsze chodziły do kuchni. Na początku Cody próbo-

90

wała rozmawiać z tą dziewczyną, ale ona nie знаła wiele słów po angielsku. Ghania powiedziała, że służąca pochodzi ze Starego Kraju, ale Cody nie wiedziała, co to znaczy. A poza tym, dziewczyna nigdy się nie uśmiechała ani nie próbowała się zachowywać w przyjazny sposób.

Cody szła z opuszczoną głową, patrząc na wzory na podłodze, tylko po to, żeby zająć czymś myśli. Najpierw płytki terakoty w kuchni, potem parkiet w holu, następnie dywan w salonie, i w końcu czarno-biała marmurowa szachownica we foyer.

Postrzegąca to wszystko w taki właśnie sposób.

Nagle zobaczyła maleńki złoty guzik. Leżał pod kaloryferem przy drzwiach do foyer.

To guzik Mim!

Od żakietu, który miała na sobie tego dnia, gdy przyjechała z pierwszą wizytą. Serce Cody drgnęło na widok tego maleńkiego przedmiotu i nagle zrozumiała, dlaczego on tam jest: po to, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

Wysunęła błyskawicznie rękę i nakryła nią złoty skarb. Dał się wyciągnąć ze swojego kącika za pierwszym lekkim szarpnięciem i już był w jej dłoni, zanim służąca zdążyła się obrócić.

Czując gwałtowne bicie serca, dziewczynka wsunęła guzik do kieszeni swetra, nadal zaciskając na nim mocno palce.

Dosłownie czuła w nim miłość Mim, widziała jej twarz, słyszała jej głos... wszystko to ożyło teraz w maleńkim złotym przedmiocie.

Poszła schodami za służącą, do swojego znienawidzonego pokoju, ale to nie miało już żadnego znaczenia.

Miała w kieszeni część Mim. Musiała znaleźć miejsce, gdzie mogłaby ukryć guzik tak, żeby Ghania nigdy go nie znalazła. Pospiesznie obrzuciła wzrokiem pokój. Jeżeli udało jej się znaleźć guzik Mim, to może były też w domu inne rzeczy. Części Mim, których Ghania nie mogłaby zabrać. Teraz miała

nadzieję...

Cody odczekała, aż służąca odejdzie, a potem podeszła do niewielkiej półki, gdzie znajdowały się jej książki i zabawki. Zdjęła z niej obszarpanego misia, który już był w pokoju dzieciennym, gdy ją tam przywieziono. Był jedyną sympatyczną rze-

91

czą w tym okropnym miejscu. Przypominał jej misia, który Spaj z nią w łóżku w domu Mim. Pod starą, aksamitną przepaską na jego szyi była dziurka. Ukradkiem wsunęła guzik do dziurki i p0, spieszenie poprawiła opaskę, czując, jak bije jej serce, a potem ostrożnie odłożyła misia z powrotem na półkę. Wszyscy domownicy już poszli do łóżek, więc mogła zostać sam na sam ze swoją tajemnicą.

Rozdział 14

- Maggie? - zapytał ktoś w słuchawce telefonicznej i dopiero po chwili poznała, że to głos Devlina.

- Porucznik Devlin?

- Tak, myślałem, czy zechciałabyś zjeść ze mną kolację?

- Naprawdę?

Jego zaproszenie nie miało nic wspólnego z tym, co wypełniało jej myśli. Nie bardzo jej się to podobało.

- Czy to coś w sprawie Cody?

- Mam pewne informacje dla ciebie, Maggie - odparł - ale to nie jedyny powód, dla którego cię zapraszam. Proszę, powiedz, że tak. To by wiele dla mnie znaczyło.

Nie była w stanie wymyślić żadnej wiarygodnej wymówki, więc zgodziła się i dopiero wtedy dotarło do niej, że Devlin nie zwraca się do niej po nazwisku.

Restauracja przy Minetta Lane była mała i przytulna. W sztucznym miniogródki stały stoliki, a w całej restauracji panowała atmosfera śródmięskiej swojskości. Pary śmiały się lub też szeptały do siebie nad kieliszkami wina i wszyscy wyglądali na zadowolonych z tego, że tu są. Powitał ich właściciel, który najwyraźniej znał Devlina.

- Posadź nas gdzieś z boku, Dominie - poprosił detektyw, po dając mu dłoń. - Musimy porozmawiać o interesach.

92

O osobistych interesach, mam nadzieję, Malachy - powiedział Dominie z wesołym uśmiechem. - Taka piękna signora...

Mrugnął konspiracyjnie do Maggie, odprowadzając ich do stolika w przeciwległym rogu, na którego blacie stała paląca się świeczka. Maggie odsunęła krzesło, potrącając nim masę wielokolorowych kwiatów.

- Nigdy tu nie byłem - powiedziała, kiedy już usiedli. - Przyjemny lokal. Pewnie Dominie jest twoim kolegą?

- Razem dorastaliśmy w Południowym Bronksie - odparł De-vlin. - Można było tam wyrosnąć na policjanta, restauratora, księdza albo gangstera. Każdy inny wybór eliminował człowieka ze społeczności.

Mimo że nie składali jeszcze zamówienia, Dominie przyniósł butelkę wina. Maggie spostrzegła, że Devlin obserwuje ją uważnie, tak jakby wbijał sobie w pamięć każdy dotyczący jej szczegół. Czyżby to było rutynowe zachowanie detektywa?

- Dlaczego przyszedłeś mi na ratunek na posterunku, kiedy rozmawiałam z tym drugim detektywem? - spytała, kiedy już zamówili posiłek.

- Hank to porządny facet, naprawdę - odparł Devlin. - Po prostu trafiłaś na niego po trzech bezsennych nocach - dodał z uśmiechem. - Chyba dojrzałem w tobie coś znajomego... jakbym wszedł i zobaczył niespodziewanie starego przyjaciela. Nie wiem dokładnie. To nie chodzi po prostu o to, że pomyślałem, że jesteś ładna, tak zresztą było, i że bardzo nie pasujesz do tego wnętrza, czyli do posterunku. To było coś jeszcze. - Roześmiał się lekko. - Moja matka zarabiała na życie jako wróżka, może odziedziczyłem jej dar. W każdym razie trochę.

- A co myślał o tym twój ojciec? - zapytała zaskoczona Maggie.

- Nigdy się tego nie dowiedziałem. Umarł, kiedy miałem siedem lat, więc nie mam o nim zbyt wielu wyraźnych wspomnień. Mieszkaliśmy w dość ubogiej okolicy i po tym jak umarł, mama musiała jakoś kombinować, żeby zdobyć jedzenie. Nazwała się „czytającą przyszłość” i „doradcą”. Nosila wielki turban, który dość śmiesznie wyglądał przy jej irlandzkiej twarzy i piegach. Ale

93

była dobra w tym, co robiła. Chociaż na pewno nie była nieomylna. Jak wszystkie wróżki miała dni, kiedy jej antena się chowała, ale przez większość czasu jej talenty były autentyczne, więc dorastałem ze świadomością, że w życiu jest coś jeszcze poza tym, co się widzi gołym okiem. Zdaje mi się że granica pomiędzy światami jest dla nas, Celtów, cieńsza niż dla innych.

Co za niespodzianka - pomyślała Maggie, przyglądając mu się zaskoczona. Jego twarz była ni to szorstka, ni to gładka, o wiele bardziej interesująca i wrażliwa, niż dostrzegła na posterunku. Miał przy tym sympatyczne oczy. „Nie oszukuj, nie próbuj mnie nabierać” - mówiły. - „Ja to zobaczę”. Podobało jej

się, że zawsze patrzył wprost na rozmówcę.

- Jaka byłaś jako dziecko? - zapytał z autentycznym zainteresowaniem. - Byłaś podobna do Cody?

Widziała, że próbuje ją uspokoić.

- Och, już nie wiem tak naprawdę. To było tak dawno temu. Myślę, że byłam trochę dziwnym dzieckiem: siedziałam raczej w książkach i interesowałam się mistyką.

Wino zaczynało łagodzić jej dotkliwy niepokój. To uczucie bezpośredniej ulgi w samym środku koszmaru wydało się jej czymś dziwnym.

- Kiedy byłam mała, zawsze ciągnęło mnie do pustych kościołów. Mieszkaliśmy niedaleko kościoła Świętego Józefa. Miałam w zwyczaju wstępować tam każdego popołudnia w drodze ze szkoły, żeby powiedzieć Bogu „dzień dobry”.

Uśmiechnął się zachęcająco. Jego mina mówiła, że jest zaintrygowany i zainteresowany, więc ciągnęła swą opowieść.

- Klękałam tam, a migoczące świece i zapach kadzidła sprawiały, że czułam się święta i miałam niesamowite fantazje... a może to były jakiegoś rodzaju wizje. Przenosiłam się do celi świętej Teresy i odbywałam z nią długie, skomplikowane rozmowy na temat Boga. Pomagałam nawet świętemu Franciszkowi karmić ptaki - rozśmiała się lekko sama z siebie. - Musiałam mieć w dzieciństwie talent do przenoszenia się w jakiś odmienny stan świadomości, bo sporadycznie wydawało mi się, jakby czas się zawieszał i czułam obecność aniołów tuż na skraju mojego pola widzenia... - uśmiech-

nęła się ironicznie. - Pewnie wszyscy jesteśmy w jakiś sposób mistykami, tylko po prostu nie mówimy o tym za wiele.

Devlin obserwował ją uważnie. Na jego twarzy nie było nic z wyrachowania, malowała się na niej wyłącznie wewnętrzna wrażliwość.

- Nie - powiedział. - Wcale nie. Tylko niektórzy, tacy jak ty i ja. Dlatego pewnie piszę wiersze: żeby dotknąć tej drugiej sfery, gdzie większość ludzi nie potrafi dotrzeć.

- Jesteś poetą?

- To nie jest coś, o czym chciałbym powiedzieć kumplom z posterunku, ale tak, opublikowałem parę rzeczy... Zaskoczona?

- Zdziwiona - odparła szczerze. - Ale może już nie tak bardzo, jak byłabym przed godziną.

Devlin opierał przedramiona na stoliku. Zawinięte do łokci rękawy jego nieźle spranego swetra, odsłaniały mocne ręce. Wyćwiczone mięśnie - pomyślała - chociaż nie ot tak sobie. Wyraźnie zaznaczone od częstego wysiłku żyły. Jego twarz i ciało były w surowy sposób atrakcyjne, widać było, że dba o nie, ale nie z próżności. Wyciągnął kieszonkowy notes i znowu skierował rozmowę na Cody.

- Mam dla ciebie trochę informacji na temat męża Jenny - powiedział, kręcąc wymownie głową. - Twoja córka wydaje się być, oprócz innych rzeczy, obrzydliwie bogata, a przynajmniej taki jest jej mąż. Ten Vannier to interesująca postać, Maggie. Jego rodzinny interes bankowy jest prywatną korporacją, więc nie ma publicznego dostępu do jej dokumentów. Jedyną rzeczą, co do której wszyscy się zgadzają, jest to, że jej zasoby są olbrzymie. Vannier ma dyplom prawa z Harvardu, ale nigdy nie praktykował w zawodzie. To, co ci powiedział, jest prawdą - zarządza funduszami Fundacji Vannierów. To międzynarodowa instytucja dobroczynna, dysponująca masą pieniędzy. Wygląda na to, że ich fortuna ma stare korzenie i pochodzi z Bliskiego Wschodu, ale nie wiem jeszcze dokładnie, gdzie i jak została zdobyta. Twój zięć ma dojścia do najwyższych kręgów finansowych na kilku kontynentach. Jest wyśmienitym że

glarzem, jeźdźcem, sportowcem, co tylko chcesz, jeżeli coś jest drogie i niebezpieczne, to jest w tym znakomity. Więc nie próbuj dać mu po łbie, bo prawdopodobnie ma superkondycję. Zna wiel- 95

kich tego świata i prawie tylko wiel-h Al • ? ?
coś dziwnego. Po pierwsze- 2 ' J " ^ ^ ^ ^
wiernego nazwisko" ^ ni ^ * * * ^ f™ * | ' ° *
kontekśdezzadnakobiet ^ at Jert" r0ne " V rt ^
,,, , f. J "" tw° Jo :orka mogli się spotkać, chy-
ba ze przejechał ją swoim rollsem.
Po drugie: jest pewien fakt. któr v-, • -
problemem - dodał z zafrasowani MT ^ * ^
lem Erica od czasów kiedy21! * ~ ^ P ^ " 1 ™ « * > -
les t™ w ,yraKmb>'lj*'Choate, jest Nicholas Say-
les... ten, który prowadzi talk-show
Maggie zamrugęła oczami z zaskoczenia
jest ^ r ^ 6 Gera, d° ' M ^ ~ * « * Ale on Devlin skinęł głowę.
moZ ^ z T0kieiZnanyuyP-- * * - * » » i bardzo stem-
moZZo?ne3l b°St0dSkie- rodzin* która - « * tony
dT z t" sa" ' TyCh PiCniCd2>' ^ a dyplom prawa z Harvar
au, z tego samego roku co Erie i do ^ -
batali™ w,; r , . c rozumu- zęby mm obdziel ć
oatalion ludzi, ale sam zrobił majątek u , u u- ?
i znacząco zawiesił głos. ^ ^ blZneS1C ~ Powiedział

- Pewnie nie powinienem ci mówić nic z tych rzeczy Ma«rie bo to może cię tylko śmiertelnie wystra-
szyć, 7 g niHa sfilra™i. ^
wystred,Zyc, ale chodzi o to, że istnieją
starannie skrywane, a e stale nten-J ? • t , • . • zaangażowany w satanizm.
Utr2>mu^ce sie *>#**. ze jest

- Ale jak to możliwe? Przecież cała
waniem w telewizji sekt i wszelkLO n f" ^ "*" ^^

T, . . . iil,ego innego śmiecia.

- Tak, robi to, ale niektórzy mów™ * * ,

„„„)„„)? _ . . J ""wią, ze to jego sposób na wpro-

wadzenie pewnych okropnych rzeC7v *. 1 ? • ?, ?

WIPQ7 r.™™™™, • » , y do społecznej świadomości,

wiesz, promowanie zła pod przvk„„i / , •

<winhi 1..H,- , ^yfcrywką. demaskowania go. Mówi

światu, ludzie, wszystko jest do dySnn7v -, ,1 •

ha r. iict» , • > "^Pozycji, tylko napiszcie z proś-

bą o listę wampirów, przestępców sel™ „„ 1 u- u ,

ców lrtń™ „,-^ • • !- sek*>ualnych 1 seryjnych morder-

ców, którzy zjadają swoje ofiary, a mv i- A /

Pr,»„„ 1 Z; J-1 my ją wam dostarczymy.

Przerwał na chwilę, żeby zajrzeć do notatek - Ojciec Saylesa zajmuje się DrnH„u •

niecznie czysty jak łza, ale boga^jr^3 TSE "

eaia r7aCri „„ „„ • „ J Krezus. Początki firmy się-

96

gają czasów wojny o niepodległość. Nicholas był cudownym dziec-

kiem w najlepszej szkole dla chłopców na Wschodnim Wybrzeżu*,u, ale zawsze uważano, że sprawia
kłopoty wychowawcze. Jedn.ak dzięki temu, że bez problemu otrzymywał dobre stopnie, a darowizny

jego ojca wystarczyłyby na wyżywienie całego Afganistanu, nigdy nie był za bardzo nękanym przez nauczycieli. Kiedy skończył Harvard, zaczął piąć się do góry w branży dziennikarstwa telewizyjnego, ale prawdziwy sukces odniósł z kamerą, a nie przed nią. Tak jak Merv Griffin, Nicky jest geniuszem działań zakulisowych. Produkował programy z niesamowitym wyczuciem tego, co publiczność będzie chciała zobaczyć i dysponował wystarczającą ilością pieniędzy, żeby finansować ich produkcję, więc zbił nowy majątek, żeby go dodać do tego, który już odziedziczył. Nicky i Erie przez całą szkołę mieszkali razem i od tamtej pory pozostają w przyjaznych stosunkach. Odwiedzają się często, mają wspólne zainteresowania, wspólne inwestycje i wspólnych przyjaciół, pomimo pozornej różnicy, jeżeli chodzi o ich profesje. Maggie słuchała uważnie.

- Jak ktoś mógłby kiedykolwiek skojarzyć taki wzorzec cnót z czarną magią? - zapytała zdziwiona. - Nie wydaje się możliwe, żeby tak znana z mediów postać mogła uniknąć zdemaskowania, gdyby to była prawda, nie sądzisz?

- Nie wiem, Maggie - odparł Devlin. - Sukces jest skutecznym dezodorantem, a jak się ma dość pieniędzy, to można zatrzeć nawet całkiem wyraźne ślady. Na przykład pewien wypadek w szkole, kiedy byli na ostatnim roku. Jeden z uczniów zmarł w okolicznościach wskazujących na rytualny charakter śmierci. Policja uznała sprawę za nie wyjaśnioną. Potem pojawiły się plotki, że miało to coś wspólnego z grupą studentów, którzy maczali palce w czarnej magii. Jednak pewna suma pieniędzy przeszła z ręki do ręki i wszelkie plotki ustały. Potem, kiedy Sayles robił błyskawiczną karierę w telewizji, szeptało, że niektórzy z aktorów występujących w jego programach, sprzedawali dusze szatanowi w zamian za sukces w mediach, ale uznano, że to jest kolejny, spektakularny chwyt reklamowy, wymyślony przez genialnego showmana. Rzeczywiście, te pogłoski wyglądały tak niewiarygodnie, że wszyscy je po prostu zignorowali.

97

- A ty co myślisz? Jaka jest prawda? - zapytała Maggie, marszcząc czoło.

Devlin pomyślał, że te zmarszczki przydają jej dodatkowego uroku.

- Powiedziałbym, że ci faceci prawdopodobnie maczają palce w czymś ciemnym i ponurym, nie wiem, w czym, i dlatego chcą mieć Cody. Albo może Jennę. Kiedy mężczyzna ma masę pieniędzy, to zazwyczaj nie brakuje mu kobiet. Z kolei, jeżeli ci szaleńcy angażują się w jakieś satanistyczne bzdury, to jest im dość łatwo pozyskać dzieci do swoich rytuałów - porywają je z ulic albo kupują od dostawców ciał.

- Od kogo...?!

- Są takie firmy, które dostarczają ciała do szkół medycznych, ale bywają przypadki nadużyć...

- Nie mogę już tego słuchać! - przerwała mu Maggie.

Myśl o tym, że Cody mogłaby być wykorzystana w satanistycznym rytuale, przyprawiła ją o fizyczną słabość.

- To wszystko za bardzo mnie przytłacza...

- Posłuchaj, Maggie - powiedział cicho Devlin. - Nie da się długo pozostać w moim zawodzie, jeżeli człowiek nie nauczy się rozpoznawać charakteru innych ludzi. Według mnie, bez względu na to, czy będziesz miała pomoc, czy nie, nie jesteś takim typem człowieka, który mógłby zrezygnować z walki o dziecko i pójść na zakupy do Bergdorfa. Staram się zdobyć informacje, bo nie chciałbym, żebyś stawiała im czoło nie uzbrojona.

- Twój sposób myślenia spodobałby się mojemu nauczycielowi sztuk walki - odparła.

Tym razem to Devlin zrobił zaskoczoną minę.

- Ćwiczysz sztuki walki? Jaki styl?

- Goju-ryu i wing-chun. Ćwiczę karate i kung-fu od jakichś pięciu czy sześciu lat.

- Więc nie jesteś Bruceem Lee, ale potrafiłabyś się obronić, gdyby zaszła taka potrzeba, prawda?

- Pod warunkiem, że umiejętnie dobieierałabym sobie przeciwników - stwierdziła.

Roześmiali się oboje.

98

_ Ćwiczyłem trochę goju w Akademii Policyjnej. A na prawie miałem kolegę, który był naprawdę dobry. Trenowaliśmy razem w parku, kiedy robiło się gorąco i ciasno na zajęciach.

- Byłeś na prawie? - zapytała, szczerze zaintrygowana jego skomplikowanym życiorysem.

Devlin uśmiechnął się życzliwie.

- Teraz zastanawiasz się, co jest nie tak z tym facetem? Ma dyplom prawa, a brakuje mu rozumu, żeby z niego skorzystać. Pewnie ukończył na dwusetnej pozycji z dwustu sześćdziesięciu ośmiu studentów.

W jego oczach widać było wesołość. Maggie uświadomiła sobie, że bardzo dobrze czuje się w towarzystwie tego dziwnego mężczyzny; co więcej, nie uważała go już za kogoś obcego.

- Nie - odparła, kręcąc energicznie głową - myślałam tylko, że jesteś pełen niespodzianek.

Twarz Devlina z powrotem spoważniała.

- Wiesz, nie zrezygnowałbym, gdybyś dzisiaj wieczorem powiedziała „nie” - oznajmił.

Maggie spojrzała na niego z rozbawieniem.

- Dlaczego?

- Upór jest jedną z moich lepszych cech. Kiedy uznam, że coś jest dla mnie ważne, to trzeba by mnie przejechać walcem drogowym, żeby mnie powstrzymać przed zajmowaniem się tą sprawą.

- O Boże! - wyrzuciła z siebie gwałtownie. - Mam nadzieję, że nie myśli pan, że prowokowałam pana, zgadzając się na kolację, poruczniku Devlin? Nie myślałam... To znaczy... jestem teraz w samym środku dramatu i nie mogę pozwolić, by cokolwiek odciągnęło mnie od pomagania Cody. Proszę mi wybaczyć, jeżeli sprawiłam niewłaściwe wrażenie... - przerwała w środku zdania.

Była zakłopotana, nie wiedziała, jak się tłumaczyć, ale chciała być uczciwa.

- Posłuchaj, Maggie - powiedział Derlin cicho, bez śladu do tymczasowej wesołości. - Ożeniłem się z dziewczyną z sąsiedztwa, jak to mówią w Południowym Bronksie. Miła dziewczyna... serdeczna, ładna i za inteligentna, żeby zostać w tej dzielnicy. Do rastaliśmy razem pod wieloma względami. Byliśmy ze sobą prawie

99

dziewięć lat... - przerwał; Maggie słyszała w jego głosie wyraźny ból. - Kiedy się między nami poważnie popsuło, trochę mi odbiło i zacząłem robić dużo głupich rzeczy. Ryzykowałem, kiedy nie powinienem był tego robić, umawiałem się z kobietami, które miały ciało zamiast duszy, ale w ten sposób nie można wypełnić pustki w sercu. Kiedy w końcu doszedłem do siebie, stałem się tak cholernie rygorystycznie wymagający, że chyba tylko Maryja Panna mogłaby się przebić przez mój pancerz.

Pokręcił głową, poruszony własnymi wyznaniem.

- Kiedy zobaczyłem ciebie na posterunku, coś się stało. Nie chcę przez to powiedzieć, że wywarłaś na mnie takie wrażenie, jak

bym został porażony piorunem, Maggie, więc nie panikuj z tego powodu. Ale chciałem z tobą porozmawiać. Poznać ciebie. Nie po to, żeby cię wciągnąć do łóżka, chociaż nie mogę powiedzieć, że taka myśl nie przyszła mi do głowy. Ale to nie było najważniejsze, kiedy do ciebie zadzwoniłem.

Uśmiechnął się smutno. Wiedziała, że zależy mu na tym, by go zrozumiała.

- Pomyślałem... że chcę, żeby ta pani była moim przyjacielem.

Maggie wyprostowała się i spojrzała na niego uważnie. W jego oczach nie było widać nic poza szczerością.

- Mnie też przydałby się teraz przyjaciel - odpowiedziała, czując, że jej słowa mają jakąś pocieszającą moc. - Więc chyba lepiej zacznę mówić do ciebie po imieniu, Malachy.

- Prawdę mówiąc, prawie wszyscy nazywają mnie Dev - odpowiedział cicho. - Ale ty, Maggie... możesz mnie nazywać, jak tylko chcesz.

Rozdział 15

Malachy Devlin przeładował Glocka 17, zabezpieczył broń i bezceremonialnie wepchnął ją do znoszonej, skórzanej kabury przy pa-

100

sie. Potem przytwierdził do łydki krótką zapasową trzydziestkę ósemkę, której automat działał tak sprawnie, że prawie nie wymagało to myślenia. Obydwie sztuki broni były niemal przedłużeniem jego osoby. Postanowił wykorzystać swój wolny dzień, żeby trochę powęszyc.

Ciągle myślał o Maggie O'Connor. To było aż irytujące. Usiłował zachować rozsądek i pozbyć się jej ze swych myśli. Najmniej potrzebował tego, żeby przeżyć wielkie rozgoryczenie, a miał mało nadziei na szczęśliwe rozwiązanie. Mimo tego wszystkiego ta kobieta i jej opowieść pozostały w nim, dręcząc go gdzieś w podświadomości, gdzie nie mógł ich dosięgnąć.

Nie była niespełna rozumu, wiedział to instynktownie, a spotkanie przy kolacji potwierdziło to. Jednak był policjantem już od piętnastu lat i jeżeli czegokolwiek istotnego nauczył się w służbie, to tego, że niewiele rzeczy jest takich, na jakie wyglądają. Musiał więc wyjaśnić znaki zapytania. Porozmawiać z ludźmi. Powęszyc dookoła. Skontaktować się z paroma poufnymi źródłami. Wtedy mógłby podjąć jakąś decyzję.

Wciągnął kurtkę i wepchnął do kieszeni długopis i notes. Być może uda mu się dowiedzieć tego dnia czegoś, co zmieni jego postanowienie w sprawie pomocy Maggie O'Connor i jej wnuczce. Jednak wątpił w to.

Rozdział 16

Kościół św. Józefa na rogu Szóstej Alei i Zachodniej Czwartej Ulicy był pusty przez większość dnia. Zagorzali katolicy, przeważnie liczący powyżej pięćdziesiątki, pojawiali się na mszach o szóstej i siódmej rano. Później dwustuletni, znany w Greenwich Village kościół był przeważnie pusty, jeśli nie liczyć zaglądających czasami do niego zakonnicy czy szukającego schronienia włóczęgi. Maggie zawsze uwielbiała puste kościoły. Żadnych donośnych kazań,

101

żadnych pouczających duchownych, surowych przepisów ani grze chów, które mogą się podkraść do człowieka... tylko Maggie i Bóg Sam na sam w uświęconym półmroku.

Ukłęka przy ołtarzu z prostymi jak struna plecami i umysłem wędrującym gdzieś do jej dzieciństwa. Zakonnice mówiły, że to bardziej pobożne, jeżeli człowieka bolą kolana i uwiera w krzyżu. To przygotowanie do męczeństwa. Siostra Benedykta opowiadała jej o dzieciach z Chin, którym komuniści wyrwali paznokcie i wbijali do uszu kołki, żeby porzuciły swoją wiarę. Ból jest ważny. Ból uświęca. Cierpienie prowadzi bliżej Boga.

Święty Wawrzyniec został upieczony żywcem, świętemu Arde-nowi wylupiono oczy, Maria Goretti otrzymała dwanaście ciosów sztyletem, kiedy broniła swej czystości. Potem, przed śmiercią, wybaczyła napastnikowi, tak przynajmniej mówiły siostry. Teraz miała zostać świętą. Maggie nie bardzo to się podobało. Co za idiotka mogłaby przebaczyć komuś, kto dwanaście razy uderzył ją sztyletem?

Ta bezbożna myśl przywróciła ją z powrotem do teraźniejszości. Przecież przyszła tutaj, by modlić się o pomoc.

Poczuła pod ramionami barierkę prezbiterium. Miała wrażenie, że od dzieciństwa klęczała tam już z milion razy, prosząc Błogosławioną Panienkę i świętego Józefa, żeby wysłuchali jej modlitw. Teraz potrzebowała ich, żeby uratować dziecko, które kochała. Przecież specjalizowali się w sprawach rodzinnych. Co powinnam zrobić? - modliła się. - Dokąd mam pójść? Komu mogę zaufać? - Jej prośby płynęły nie kończącym się strumieniem w łagodnym, rozświetlanym przez świece półmroku.

Ojciec Peter Messenger. To nazwisko pojawiło się w jej głowie tak nagle i wyraźnie, jakby włączono neonowy napis. Ojciec Peter Messenger. Oczywiście! Jeżeli ktokolwiek mógł coś tu poradzić, to tylko on.

- Dzięki ci, dzięki - mruzczała gorączkowo, niemalże wybiegając z kościoła i kierując się w stronę sklepu, do Amandy.

* * *

102

_ Wiem, że o nim słyszałaś, Amando - rzuciła Maggie podnieconym głosem.

_ Messenger? - powtórzyła Amanda. - To ten słynny teolog, który podpadł Watykanowi z powodu swoich heretyckich pomysłów, prawda?

Maggie energicznie przytaknęła głową.

- Jest genialny i absolutnie obrazoburczy... najbardziej zadziwiający umysł, jaki kiedykolwiek spotkałam, Amando. Taki, który zapiera człowiekowi dech w piersiach. Pamiętam, że mówi siedemnastoma językami, z czego dziesięć to starożytne. Wykładał na Fordham, kiedy byłam na ostatnim roku, i miałam za szczyt być przez weekend jego przewodniczką po kampusie, więc prowadziłam go na wykłady i na herbatki. Był niesamowity, a przy tym dowcipny w taki wyniosły sposób. Jak miał dość uśmiechania się do wykładowców na wydziale, poprosił mnie, żebym go oprowadziła po mieście. Mało nie wyszłam z siebie z zachwyty.

Amanda roześmiała się lekko. Maggie miała skłonność do entuzjazmu, który był autentyczny i zaraźliwy. Kiedy ją coś ekscytowało, to wyglądała całkiem jak mała dziewczynka z podskakującymi lokami i tańczącymi oczami. Patrząc na nią, Amanda pomyślała, że Maggie ma w sobie tyle sprzecznych cech. Silna ale krucha, podatna na manipulację, jeżeli chodziło o jakąś łzawą historyjkę czy w przypadku spotkania z żebrakiem na ulicy, jednak mająca w sobie więcej, niż dało się dostrzec gołym okiem. Tak jak ten kluczyk korporacji Phi-Beta-Kappa, który trzymała w torebce bez żadnego szacunku, wśród kluczy do domu i kluczyków do samochodu. Amanda dowiedziała się o nim całkiem przypadkowo.

- To człowiek Renesansu - gorączkowała się Maggie. - Autorytet z zakresu teologii komparatywnej i starożytnych religii. Myślę, że ma też doktorat z antropologii.

- A dlaczego, jeśli można zapytać, rozmawiamy o nim teraz z takim przejęciem?

- Bo czytałam, że jest znawcą sztuk tajemnych... nie rozumiesz? Jeżeli go znajdę, to może mnie sobie

przypomni!

103

Maggie spojrzała z desperacją na pozbawioną emocji minę Amandy. Mówiła już przyjaciółce o możliwości zaangażowania Vanniera w praktyki satanistyczne.

- On się zna na okultyzmie. Wiem, że tak jest. Problem polega tylko na tym, że muszę go znaleźć i zapytać.

- Me ma gdzieś jakiegoś centralnego spisu duchownych? - zapytała Amanda. - Jakiegoś numeru 0-800: szukać księdza.

Maggie pokręciła głową.

- Może jest, o ile się wie, gdzie go szukać, a ja nie wiem. Ale myślę, że w pewnym sensie zszedł do podziemia.

- A ja myślałam, że wręcz przeciwnie. Intelktualne cudowne dziecko, które powinno zostać kardynałem w wieku pięćdziesięciu lat.

- To wszystko prawda. Robił szybką karierę w hierarchii kościelnej... studiował w Papieskim Instytucie Biblijnym w Rzymie, wykładał na Uniwersytecie Loyoli... ulubieniec inteligencji. Ale był tak obrazoburczy, że hierarchia kościelna postanowiła go wyciszyć. Nie pozwalają już nawet laikom czytać jego książek.

- Wygląda na to, że wiesz o nim bardzo dużo.

- Kiedyś uważnie śledziłam jego karierę, Amando. Chyba pod-kochiwałam się intelektualnie w tym człowieku, czy jak to można nazwać, kiedy obiekt fascynacji jest absolutnie nieosiągalny. W każdym razie, był jedynym naprawdę słynnym człowiekiem, którego wtedy znałam, więc za każdym razem, kiedy gdzieś pojawiał się artykuł o nim, pochłaniałam go. Ale zniknął mi z widoku kilka lat temu.

On jest jednocześnie mistykiem i geniuszem... i gorliwym chrześcijaninem. Nikt nigdy nie miał czelności powątpiewać w jego wiarę, o ile wiem, ale jego wizjonerska koncepcja ewolucji człowieka ku Bogu jest taka oszałamiająca i mistyczna, że zakrawa na herezję. I myślę, że nie zawsze miał ochotę ugiąć się przed władzami w kwestiach laickich. Więc wyciszyli go, usunęli z publicznego widoku. Przypuszczam, że papież wie, iż wizja Messenguera wychodzi daleko poza możliwości kontroli kościoła. To samo zrobili z Teilhardem de Chardin, pamiętasz?

Amanda skinęła głową.

104

- W każdym razie schowali go ^ieś'wiec chce> żebyś go znalazła.

- Ja? Ale mnie ledwie się udaje &9Ć baptystką, a co dopiero poszukiwaczem zaginionych księży, jacy aczego uważasz, że potrafiłabym go znaleźć? Poza tym, wygląda na takiego świętego, że może po prostu powinnaś go poszukać w ,»-* aszeJ hagiografii...

Spodziewała się, że Maggie się ro^eśmieje, ale twarz przyjaciółki była śmiertelnie poważna.

- Naprawdę jest mi potrzebny - ^wiedziała błagalnie Maggie.

- Przynajmniej można od niego zacząć w tym okropnym labiryn

cie. Zawsze się zna kogoś, kto zna k<ygos mnego...

Amanda skinęła głową, już poszu** w Pamięci nazwiska kogoś, kto miał na koncie jakieś chary^™6 działania na rzecz nowojorskiej diecezji.

- Daj mi parę godzin i telefon, m^a ^^ ~ Powiedziała, zasta
nawiając się. - Znajdę twojego idea«Ineg° ksi?dza' niezależnie od
tego, gdzie go ukryli.

Trzy godziny później zadzwoniła do M^[e z wiadomością.

- Dopadłam twojego mistyka. WÓ^ali go na kościelny odpo
wiednik Syberii, do jakiegoś składu *sia-żek niedaleko Rhinebeck.
Trzymają tam te wszystkie książki # indeksu' których kościoł za"
brania czytać katolikom. Zrobili z w<e&° szacownego kustosa bi
blioteki nie akceptowanych książek, <- 'ile Jesteś w stanie w t0 uwie"
rzyć. Pewnie gdyby mieli Stephena \ -awkinga, to powierzyliby mu
nauczanie arytmetyki w pierwszej k'Jasie " dodała irytowana. -
Chociaż, jak mówi Harriet McCarth:*' to Jest Praca "tak nasycona
intelektualnymi pokusami, że może Wć Powierzona tylko komuś,
kto jest wolny od pokus tego świata." Wiec wygła-da na to' że miał super szczęście!

W końcu Amanda poinformowała" «' że Peter Messenguer zgo-dził się z nią spotkać.

Rozdział 17

Peter Messenger nie wyglądał na księdza. Miał jakieś metr osiemdziesiąt pięć albo osiemdziesiąt siedem wzrostu i nosił skórzane iandały, które wolał od pantofli. Jego szczupłe, muskularne ciało, które odziedziczył po przodkach, należało do tych, które z wiekiem labierają uroku. Lata spędzone na archeologicznych stanowiskach » krajach o gorącym klimacie nadały jego cerze wygląd dobrze wyprawionej skóry, a liczne krzyżujące się na twarzy zmarszczki fałdy wskazywały na to, że śmieje się wesoło i często. Jego oczy natomiast miały odrobinę opuszczone zewnętrzne kąciaki, co sprawiało wrażenie stałego smutku. Tak, jakby patrząc na świat, odkrył, że jest on w jakiś nieokreślony sposób niepełny.

Jego orli nos był zbyt duży, żeby można go było uznać za przyojnego, ale surowa twarz była charakterystyczna i o wiele bardziej tęska niż można oczekiwać po kościelnym dostojniku. Była to twarz naznaczona przez życie, a przez to piękna i wyrazista. Wyglądał jak ktoś, kogo prędzej można by spotkać ubranego w wytarte, wędkarskie buty nad potokiem w Irlandii, albo na łodzi wikingów. Jednak jego oczy miały nieziemski wyraz kogoś, kto patrzy ponad tym światem ku rzeczom, których inni nie są w stanie dojrzeć.

W przetykanych siwizną włosach pozostały już tylko resztki blond pasemek. Były przy tym długie, tak jakby życiową zasadą Petera Messenguera było trzymanie się z daleka od fryzjerów i jakby nie troszczył się specjalnie o swój wygląd.

Uśmiechnął się do Maggie, witając ją, a coś w jego wzroku sprawiło, że zapytała się w myślach: czyżby spodziewał się, że mam nadal dziewiętnaście lat? A może jej starzenie się przypomniało mu o jego własnej śmiertelności?

- Pamiętam cię - powiedział z sympatią w głosie. - Spędziliśmy weekend w Fordham, trochę ponad jedno wcielenie temu, zmuszając kazuistów do poddania się i badając manichejską herezję. Myślałem, że byłeś jedyną czystą istotą, jaką spotkałem w Nowym Jorku.

106

Zaśmiał się krótko, jakby sobie przypomniawszy jakiś wielki sekret, a potem wziął ją mocno za łokieć i wprowadził do małego saloniku. Maggie uśmiechnęła się do siebie. Wcale nie chciała, by myślał o niej jako o „czystej istocie”.

- Napijesz się herbaty, prawda? - zapytał. - To jest moje jedyne uzależnienie. Spadek po irlandzkiej babci.

Jak wspaniały wydawał się jej ten ksiądz, kiedy miała dziewiętnaście lat. Ona: dziewczyna z katolickiej szkoły i on: tak genialny, tak uprzejmy, tak nieoczekiwanie ludzki. Poczuli na jego widok taki przyptyk młodzieńczego niepokoju, że aż ją to zdziwiło.

- A więc, droga Maggie - zaczął, gdy podano im tacę z herbatą - musisz mi powiedzieć, dlaczego odszukałaś mnie na moim zesłaniu. Na pewno nie było łatwo mnie znaleźć.

- Naprawdę, nie wiem, jak zacząć, proszę księdza. Nie wiem nawet, czy nie narażam księdza na stratę czasu. Mam powody sądzić, że moja wnuczka znalazła się pod wpływem osób uprawiających praktyki satanistyczne i próbuję dowiedzieć się wszystkiego, co tylko się da, na temat okultyzmu. Modliłam się o oświecenie i nagle przypomniałam sobie, że czytałam, iż ksiądz odprawia eg-zorczyzmy. Pomyślałam więc sobie, że może...

Nie dokończyła, bo sama nie wiedziała, o co ma prosić. Ojciec Peter siedział do tej pory wygodnie na krześle, trzymając w dłoni filiżankę z herbatą, jednak teraz w napięciu pochylił się do przodu, odstawił filiżankę na stół i spojrzał na Maggie przeszywającym wzrokiem.

- Może byś zaczęła tę opowieść od właściwego miejsca? - po prosił łagodnym głosem. -A zresztą; środek, początek, koniec - kto z nas może wiedzieć, co jest co? Twoja intuicja doprowadziła cię tutaj, więc może moja pozwoli odkryć, dlaczego tak się stało.

Maggie zaczerpnęła tchu i opowiedziała mu o tym, co wie, co myśli, że wie, i o tym, czego się boi. Przez większość jej wypowiedzi ksiądz milczał, lekko odchylając się z krzesłem i składając dłonie przed twarzą w taki sposób, że stykające się opuszkami palce tworzyły trójkąt. Pomyślała, że może brać ją za niespełna rozum.

- Co za niesamowita historia, Maggie - powiedział poważnie w zamyśleniu, kiedy skończyła. - Nic dziwnego, że jesteś rozstro-

107

jona. Pierwszy problem, który stoi przed nami, to pytanie, co ja mogę zrobić, żeby pomóc odplątać ten zawiły węzeł - oznajmił, wstając. - Lepiej myślę, kiedy chodzę. Może moglibyśmy wyjść na dwór i pospacerować, żebym roztrząsnął to, co wiem i to, co może być dla ciebie przydatne.

Bierz się do roboty, albo zrezygnuj, Peter - powiedział do siebie w myślach, zakładając płaszcz. - Jeżeli jej wysłuchałeś, to zaangażowałeś się w to... a jeśli jesteś zaangażowany, to już do samego końca. Zawsze jest tak samo. Najpierw dokonujesz wyboru, a potem ponosisz konsekwencje. I tylko sam diabeł wie, że nie odmówisz.

Poszli ścieżką prowadzącą od składu książek ku rzece Hudson. Srebrzystoszara woda przeświecała tu i ówdzie między drzewami.

- Mogę cię zapewnić, Maggie - powiedział ksiądz, kiedy już przeszli kawałek - że oddawanie czci

szatanowi jest na świecie równie autentyczne teraz, jak było od czasu upadku aniołów. Sekty czczące szatana często zwracają na siebie uwagę Kościoła. W konfesjonale, na przykład, ludzie czasami wyznają zbrodnie tak makabryczne, że trudno sobie wyobrazić, jaka pokuta mogłaby odkupić ich grzechy. Czasami kościoły lub cmentarze są bezczeszczone przez wyznawców szatana, ale policja prosi biskupów o zatajenie tych faktów, żeby zapobiec wybuchowi paniki. To samo dzieje się nawet w przypadku morderstw. Czasami mają miejsce bardzo okrutne przypadki, w których ofiara poddawana jest przed śmiercią rytualnym obrzędom, ale w związku z tym, że nikt nie chce otworzyć puszek Pandory, związek takich przypadków z satanizmem z reguły jest ukrywany przed prasą i opinią publiczną. Na przykład, niektórzy z najlepszych policjantów, których znam, twarde wierzą w to, że Syn Sama był satanistą i że dokonane przez niego morderstwa były zlecane przez hierarchię sekty satanistycznej. No i oczywiście jest Charles Manson...

- A Maa Kheru? - zapytała. - Czy ksiądz kiedykolwiek słyszał coś o tym?

Skinął potakująco głową.

- Od pewnego czasu Kościół zbiera informacje na temat tej odrażającej grupy. Według mnie, ona nie tylko istnieje, ale jest też bar-

108

dzo silnym i dobrze ukrytym narzędziem szatana działającym na całym świecie. Zdaje się przyciągać ludzi o wyższym poziomie inteligencji niż wiele innych sekt. Ludzi, którzy potencjalnie mogą być wpływowymi członkami społeczeństwa. Plotki głoszą, że już przeniknęli do rządu, przemysłu i tak dalej.

- Nie wiem, co powiedzieć, proszę księdza. To wszystko brzmi dla mnie tak niewiarygodnie.

- Ośmielam się zauważyć, że tak to brzmiało prawie dla wszystkich - odpowiedział z lekkim uśmiechem. - Ale pamiętaj, Maggie, że szatan jest upadłym archaniołem... musimy zakładać, że po upadku nie stracił nic ze swojej mocy. Stracił tylko łaskę i towarzystwo Boga. Musimy zakładać, że jego siła jest potężna, a jego wyznawcy liczni i bezlitośni.

- Przynajmniej ksiądz nie myśli, że walczę z wiatrakami.

- Wcale nie - odparł. - Ale jeżeli walczysz z Maa Kheru, możesz potrzebować o wiele skuteczniejszej broni niż kopia. Jest coś, co mnie niepokoi w twojej opowieści, Maggie. Wydaje mi się, że w całej tej zagadce brakuje jednego istotnego elementu: dlaczego tak bardzo im zależy akurat na tym właśnie dziecku? Bez wątplenia jest milion dzieci, które mogą dopaść, nie ryzykując, że się zdradzą. Z tego, co wiem, te czczące szatana sekty wykorzystują kobiety jako reproduktorki do hodowania dzieci do swych piekielnych rytuałów. Z kolei, z tego, co ty mówisz, wynika, że Vanniero-wie zdają się mieć do dyspozycji ogromne pieniądze. Dlaczego mieliby ryzykować, że zgłoszą się do władz i narobisz wokół nich zamieszania? Może prawdziwe pytanie, którym się musimy zająć, brzmi: czy Cody może się wyróżniać

czymś, czego jeszcze nie wykryliśmy?

Zwrócił pytające spojrzenie na Maggie.

- Czy znasz dokładne miejsce i czas urodzenia wnuczki?

Maggie odpowiedziała twierdząco.

- Więc wróc ze mną do biblioteki - zaproponował podekscytowany. - Sporządzimy astrologiczną kartę Cody i zobaczymy, co takiego szczególnego jest w twojej wnuczce.

- Astrologiczną kartę? - powtórzyła zaskoczona Maggie. - Nie myślałam, że Kościół aprobeje coś tak załatującego okultyzmem.

109

Ojciec Messenger skwitował jej delikatnym uśmiechem.

- Oczywiście, masz rację. Obawiam się, że sprawiam wielki kłopot moim zwierzchnikom - odparł wprost. - Ale widzisz, Maggie, starając się zrozumieć sekrety wspaniałego dzieła Bożego poznawałem w najdrobniejszych szczegółach wszystkie wielkie religie. Prawdę mówiąc, zostałem znawcą języków po to, żeby móc prowadzić moje poszukiwania w oryginalnych językach wielkich nauczycieli. W czasie tej podróży podchwyciłem całkiem sporo ezoterycznych umiejętności, które nie są wykładane w seminariach. Mieszkałem w różnych dziwnych i obcych miejscach, tam, gdzie duch nie jest ograniczony przez nasze paradygmaty. Niektóre z umiejętności, które posiadałem, takie jak znajomość astrologii, są traktowane dość niechętnie przez ojców Kościoła, przynajmniej w obecnym pokoleniu. Zapomnieli, być może, że trzech Mędrców ze Wschodu sami byli astrologami i że to właśnie nowa gwiazda zwiastowała narodziny naszego Zbawiciela. Wiedzę o gwiazdach przekazał mi stary hinduski mnich, którego uważam za świętego. Był bardzo mądry i bardzo, bardzo dobry, więc kiedy uczyłem się od niego, zrozumiałem że coś musi być w tej nauce. Przez długie lata, które minęły od tamtego czasu, moje empiryczne obserwacje potwierdziły, że większość z tego, co mówił, jest prawdą. Mówiąc szczerze, astrologia okazała się dla mnie całkiem użytecznym narzędziem, więc błogosławiłem go za ten dar przy wielu okazjach. Spodziewam się, że jej sensowność będzie w przyszłym wieku potwierdzona naukowo.

- Dlaczego ksiądz tak myśli? - zapytała Maggie bardzo poruszona jego stwierdzeniem.

- Widzisz, moja droga, fizyka kwantowa postrzega teraz wszechświat jako gigantyczną sieć połączonych ze sobą pól energii... osobistych, planetarnych i intergalaktycznych. Jeżeli tak jest, to dlaczego elektromagnetyczne pola planet nie miałyby wpływać na nas, ludzi, w sposób wielce podobny do tego, w jaki oddziałują na przyipyty i życie erotyczne skorupiaków? Zawsze uważałem za rozsądne przypominanie sobie, że magia z jednej epoki często staje się nauką w następnej epoce.

110

Duchowny mówił dalej, nieco bezładnie, ale z taką jasnością, że czuła się oszołomiona. Weszli do obszernej sali, która służyła za wielki skład książek świeckich wyznawców zakazanych przez Kościół do późnych lat sześćdziesiątych. Messenger zajął miejsce przy potężnym stole, który wyglądał jak przeniesiony z refektarza. Przez następną godzinę wyciągał książki z półek, wprowadzał dane do komputera i robił zapiski w żółtym notatniku, a Maggie przyglądała mu się jak oczarowana. Pracował z niemal chłopięcym entuzjazmem, rozmawiając z nią przy tym i wtajemniczając w to, co robi, a ona słuchała uważnie, zafascynowana możliwościami jego intelektu i zakresem zainteresowań. Nie mogła opędzić się od pytania, ile on może mieć lat. Może dobiega sześćdziesiątki? - pomyślała, obserwując jego sprawne ruchy. Wszystko w nim kojarzyło się z siłą i wigorem.

- Karta astrologiczna nie jest niczym innym, jak tylko mapą nieba w momencie narodzenia danej osoby - wyjaśnił. - Zakłada wzajemne powiązanie naszej indywidualnej energii z potężną energią kosmosu. Starożytni Celtowie porównywali te powiązania do sieci, która nas wszystkich oplątuje. Jeżeli ktokolwiek potrząśnie tą siecią, mówili, to wszyscy odczuwamy wibracje.

Według astrologów, mapa układu ciał niebieskich, który panował w momencie narodzin danej osoby, wyraziście pokazuje jej charakter: mocne punkty, słabości, talenty, obciążenia i tak dalej. Ja uważam, że również wykazuje bagaż, który przynieśliśmy na ten świat z tego strzępu continuum czasoprzestrzennego, który nazywamy przeszłością. I z całkowitą pewnością pokazuje, jakie wielkie wyzwania leżą przed nami w czasie danego istnienia.

Przerwał swoją rozprawę, włożył między zęby ołówek, którym robił notatki i opuścił Maggie, by wrócić po kilku minutach obładowany starymi książkami, które nosiły ślady częstego używania.

- Wykaż teraz trochę cierpliwości, dobrze? - wymamrotał, trzymając nadal w zębach ołówek. - Coś tu mogę mieć.

- Czy mogę jakoś pomóc? - zapytała Maggie, czując się jak Alicja na herbatce u Białej Królowej.

Duchowny zapisał coś na liniowanym papierze w jakimś nierozpoznawalnym języku.

111

- Możesz zrobić jeszcze trochę herbaty, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Pani O'Leary pozwoli na taką drobną ingerencję w jej

królestwo. To, co muszę przeczytać, jest napisane pismem hieroglificznym, więc tłumaczenie może zająć trochę czasu. Herbata zawsze pomaga - dodał z uśmiechem i Maggie pomyślała, że wcale nie wygląda na swój wiek.

Kiedy wróciła z kuchni, zobaczyła, że przygotował do przejrzania stos papierów i zaznaczył fragmenty w kilku książkach. Podniósł na nią wzrok. Usiłowała odczytać dziwny wyraz jego oczu, jednak nie mogła go rozszyfrować.

Zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się, jak powiedzieć o tym, co znalazł.

- To, co tu mamy, może być dla ciebie nieco trudne do strawienia, Maggie - zaczął ostrożnie. - Nie ma naprawdę sposobu, żeby to wytłumaczyć, używając terminologii zachodniego świata. Oba wiam się, że twoja wnuczka jest tym, kogo w pewnych odległych rejonach świata, tam, gdzie patrzy się na życie z całkiem innej perspektywy niż nasza, nazywa się „pokazującym szlak”.

Dostrzegła, że jest przygnębiony.

- Widzisz, moja droga, w tych częściach świata, w których reinkarnacja jest uznawanym zjawiskiem, uważa się, że niektóre dusze wyższego rzędu przyjmują czasami cielesną postać po to, by pomóc ludzkości uratować się z nadchodzących kataklizmów. Wydaje się, że Cody jest jedną z takich dusz. A z tego, co tu widzę, to dziecko nie ma w obecnym wcieleniu żadnej osobistej karmy, czy jak można by to ująć, nie ma żadnych długów do odpokutowania. Jest tutaj po to tylko, by służyć ludzkości. Wydaje się też, że nie ma żadnych ograniczeń czasowych, co znaczy, że może pozostać w swoim ciele lub je opuścić. Obawiam się, moja droga, że jeżeli twoje podejrzenia są naprawdę uzasadnione i jeżeli ci ludzie spróbują zaciągnąć ją zbyt głęboko w Ciemność, to po prostu umrze i odrodzi się na nowo gdzie indziej, żeby móc wypełniać swoje humanitarne przesłanie.

- Dlaczego Bóg miałby posyłać taką duszę, zakładając, że coś takiego rzeczywiście ma miejsce, po to tylko, by została zniszczona przez złych ludzi? To nie ma żadnego sensu.

112

Była wstrząśnięta, zarówno przez implikacje tego, co powiedział Messenger, jak i przez fakt, że najwyraźniej bez żadnych oporów uznaje istnienie reinkarnacji.

- Nie da się zniszczyć duszy, Maggie - odparł cierpliwie duchowny. - Jeżeli teoria reinkarnacji jest prawdziwa - a ja zawsze starałem się być otwarty wobec takiej możliwości, gdyż tak wielu duchowych mistrzów uznawało ją za prawdziwą - każdy wybiera przed narodzinami swoje następne życie. Albo ujmę to trochę bardziej naukowo: każdy jest przyciągany energetycznie do miejsca, które zapewni odpowiednie warunki do spełnienia jego przeznaczenia czy karmy, jak można to inaczej nazwać.

- Ale ksiądz powiedział, że Cody nie ma karmy - przypomniała mu Maggie, zafascynowana, ale jednocześnie zdezorientowana.

- Powiedziałem, że nie ma długów karmicznych - skorygował - ale wydaje się mieć misję do spełnienia. Podejrzewam, że może mieć powiązania z tobą, wykute z wielkiej miłości... więzy, które akceptuje ze swojej własnej woli. Jest też możliwe, że Cody może być tu po to, by pomóc ci rozwinąć twoje własne dary ducha... tak samo jak i po to, by pomóc ludzkości.

Maggie z trudem usiłowała przetrawić wszystko, co mówił duchowny, a on dalej przeglądał przygotowane wcześniej książki.

- Jej karta astrologiczna jest bardzo trudna do zinterpretowania... obawiam się, że będę musiał pogrzebać jeszcze w wielu ezoterycznych źródłach, zanim będę w stanie dotrzeć do informacji, których szukamy - oznajmił, przerywając na moment i za raz dodał: - może powinnaś podać mi podobne informacje na temat swoich własnych narodzin, Maggie... to może być pewną wskazówką co do twojej roli w tym dramacie.

Maggie opuściła duchownego późnym popołudniem, w stanie częściowego szoku. Nic dziwnego, że Kościół miał kłopoty z Peterem Messenguerem.

Ojciec Peter zadzwonił do niej wcześniej rano następnego dnia. W jego głosie słychać było niepokój. Czy mogłby odwiedzić ją w domu? - zapytał. Po dwóch godzinach stał już pod jej drzwiami.

113

- Sądzę, że wiem, o co w tym wszystkim chodzi - powiedział bez żadnych wstępów.

Przybył z naręczem książek i dwiema wypchanymi reklamówkami, które Maria wyjęła mu z rąk, mrucząc coś pod nosem po portugalsku na temat księdza, który chodzi w swetrze zamiast w sutannie.

Ojciec Peter z olśniewającym uśmiechem odpowiedział jej w tym samym języku i Maria, choć niechętnie, dała się na tyle rozbroić żeby odłożyć na później ostateczny osąd gościa.

Maggie zaprowadziła go do biblioteki - jej ulubionego pokoju w tym starym domu, w którym zachowała się oryginalna drewniana boazeria, a sufit zdobiły gipsowe cherubiny.

_ Myślę, że twoja wnuczka jest w ogromnym niebezpieczeństwie - powiedział cicho. - Może nawet w większym, niż sobie wyobrażałaś.

Maggie zeszywniała na swoim krześle.

- Znalazł ksiądz coś w jej karcie?

Wychylił się ku niej, wyraźnie poruszony tym, co musi przekazać.

- To trochę zwariowane - zaczął. -1 nawet nie jestem w stanie zaryzykować opinii, czy to, co powiem, jest faktem czy czystą fantazją ?• Ale czuję, że muszę cię poinformować o tym, czego się do wiedziałem.

Przerwał na chwilę, by zaczerpnąć tchu.

_ Istnieje pewna starożytna legenda, Maggie... muszę przyznać, że nic jestem znawcą egiptologii - przynajmniej co do interesującej nas tutaj dynastii - ale jednak posiadam pewną wiedzę i umiem czytać hieroglify, więc nie jestem całkowitym dyletantem.

Maggie dostrzegła, że ksiądz krąży wokół sedna sprawy, po chwili jednak powiedział prawie nabożnym tonem:

_ Cody może być Wyśłanniczką Izdy.

Słyszając te słowa, Maggie poczuła, jak grunt usuwa jej się spod nóg. Tak jak w nakładających się na siebie kłatkach filmu, coś nałożyło się na ułamek sekundy na jej postrzeganie. Zbyt ulotne, by rozpoznać. Ale stare. Boże, jakie to było stare! Trudno powiedzieć, co. I ten dźwięk. Jakby wysoki ton dzwonek na wietrze, ledwie

114

styszalny, ale jednak wprawiający w drżenie cały jej system nerwowy-

Zamrugnęła oczami, żeby odzyskać równowagę.

- Powiedział ksiądz: Wyśłanniczka Izdy?

Usiłowała zatrzymać to dziwne doznanie, które pojawiło się przed chwilą, ale już znikło.

- Kim, na rany boskie, jest Wysłanniczka Izydy?

Ksiądz nałożył okulary i zajrzał do trzymanyh w ręku notatek, ale widać było, że nie potrzebuje podpowiedzi.

- Istnieje starożytna legenda, Maggie - wzmianki na jej temat pojawiły się po raz pierwszy w Egipcie prawie pięć tysięcy lat temu - która mówi, że w jakimś nieokreślonym przyszłym czasie, kiedy ludzkość będzie w niebezpieczeństwie, zostanie zesłane na ziemię dziecko, dzięki któremu można wskrzesić Amulet Izydy.

Uniósł rękę, by powstrzymać lawinę pytań, które dojrzał w jej oczach.

- Dokładny kształt, który przyjmuje ten amulet, zatracił się gdzieś w mrokach historii, ale każde źródło, które kiedykolwiek się na ten temat wypowiadało, czyni to z nabożeństwem. Uważa no, że posiada on nieporównywalną z niczym okultystyczną moc, umieszczoną w nim przez samą boginię-matkę Izydę. Ma moc uratowania świata przed ostatecznym zniszczeniem przez wzmocnienie siły wszystkiego, co jest dobrem i osłabienie wszystkiego, co jest złem.

Maggie chciała mu przerwać, ale znowu nakazał jej gestem milczenie.

- Pozwól mi skończyć, moja droga, a wtedy, obiecuję, postaram się, jeśli tylko będę mógł, odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Znowu rzucił okiem na trzymaną w ręku kartkę.

- Według Hermesa Trismegistosa, który był największym w historii znawcą magii, jeżeli siły zła kiedykolwiek zdobędą Amulet Izydy, to wykorzystają go do przejęcia jego kosmicznego przeciwnictwa: Kamienia Sechmet. Mając Kamień Sechmet, można pa

nować nad wszystkimi mocami zniszczenia i wojny. - Przerwał na moment. - Musisz zrozumieć, Maggie, że tak jak chrześcijanie poszukiwali świętego Graala, a alchemicy kamienia filozoficznego,

115

tak mistrzowie białej i czarnej magii od wieków poszukują Amuletu Izdy i Kamienia Sechmet.

Westchnął i mówił dalej do oszołomionej Maggie.

- Według Hermesa i innych myślicieli, labirynt, który został skonstruowany przez moce uniwersalne, by utrzymać tę nieograniczoną moc z dala od niewłaściwych rąk, jest zawity i przepętniony niebezpieczeństwami. Po to, żeby zdobyć Kamień Sechmet, okultysta najwyższego stopnia musi najpierw wejść w posiadanie Amuletu Izdy... a tylko Wysłanniczka Izdy może doprowadzić do materializacji Amuletu. Jeżeli przez jakiś nieszczęśliwy wypadek siły zła wejdą w posiadanie obydwu talizmanów, Sechmet pomoże im na zawsze zniszczyć Amulet Izdy razem z potencjalnie niesionym przez niego dobrem. Nie muszę ci mówić, jaki to miałoby wpływ na ludzkość, gdyby całe dobro zostało zniszczone.

Popatrzył prosto w przejęte oczy Maggie.

- Jeśli moje podejrzenia są słuszne, droga Maggie, Cody jest Wysłanniczka, a ty Strażniczką wysłaną po to, żeby ją chronić.

- Tego już naprawdę za wiele! - nie wytrzymała Maggie. - Jak taka zwariowana historia w ogóle może być prawdziwa? Nie ma żadnych amuletów, które rządzą światem! Żadnych kamieni, które panują nad złem. To ludzie decydują o dobru i złu, a nie jakieś nieożywione rzeczy. To jakieś niedorzeczności!

- Nie rozumiesz, Maggie - odparł gorączkowo duchowny. - Jakie ma znaczenie, czy to wszystko jest prawdą? Jeżeli Vannierowie są członkami satanistycznej sekty i wierzą w taką możliwość, to Cody może być w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie trudno sobie wyobrazić, że podobnie jak ja, sporządzili jej kartę astrologiczną. A jeśli tak, to zobaczyli ten sam układ planet, który ja zobaczyłem.

Maggie usiłowała zachować spokój, ale kiedy odezwała się, jej głos drżał.

- Co by jej zrobili, gdyby wierzyli w cokolwiek z tego nonsensu?

- Nie wiem tego na sto procent, ale z tego, co do tej pory dojrzałem, albo złożą ją w ofierze, co będzie częścią rytuału materializacji, albo wypędzą z niej duszę i oddadzą jej ciało Sechmet.

116

- A kim, do diabła, jest Sechmet? - zapytała Maggie.

- To żeński odpowiednik Seta czy też Szatana, Maggie. Możesz ją nazywać Boginią Zła, chociaż to jest trochę bardziej skomplikowane. Wojna, głód, zaraza, śmierć, klęski żywiołowe, katastrofy geofizyczne - wszystkie te moce zdają się być pod jej władaniem.

- Och, cudownie! Bogini Zła... amulety, które rządzą światem -to naprawdę śmieszne! Niemożliwe, żebym w ogóle o czymś takim rozmawiała, a już całkiem, do cholery, niemożliwe, żebym rozmawiała o tym z księdzem.

Ojciec Peter wyciągnął rękę i uspokajającym gestem ujął dłoń Maggie. Widać było wyraźnie, że się o nią martwi.

- Posłuchaj mnie, droga Maggie! Jestem pewien, że nie jest istotne, czy wierzymy w tę starożytną legendę, czy nie. Liczy się fakt, że być może, znaleźliśmy klucz do tego, dlaczego Cody jest tak ważna dla Erica i Jenny. Całkowicie rozumiem twój strach i sceptycyzm - wiem, że każde słowo, jakie ci powiedziałem, brzmi jak bełkot szaleńca - ale wiesz, że ja nie jestem szaleńcem, Maggie. I musisz wiedzieć, że nie jechałbym z tak daleka, żeby ci przywieźć te wieści, gdybym nie uważał, że jest bardzo ważne, abyś je poznała. Te informacje mogą nam pomóc w rozwikłaniu tajemnicy, przed którą stoimy. Żeby ich pokonać, musimy wiedzieć, w jaki sposób rozumują. Widzisz w tym jakiś sens, prawda, Maggie?

Począł, aż odzyskała spokój na tyle, by skinąć potakująco głową i mówić dalej.

- Inni będą w stanie ci pomóc, moja droga, ale jeżeli cokolwiek z tego pozornego nonsensu jest

prawdą, to ty i Cody jesteście głównymi postaciami w tej rozgrywce. Nie możesz dopuścić do tego, żeby twój sceptycyzm uczynił cię słabą.

- Jak w ogóle mogę zrozumieć, co się dzieje, proszę księdza? -zapytała rozpaczliwym tonem. - Jak, na rany boskie, mogę przekonać władze, że cokolwiek z tego jest prawdą? Gdybym kiedykolwiek powiedziała o tym tej bezdusznej biurokratce, którą spotkałam w Biurze Praw Dziecka, to rzuciłaby się na mnie z kaftanem bezpieczeństwa. I wcale nie powiem, że mogłabym ją za to winić.

- Od świeckiej strony nie mogę ci oferować żadnej pomocy, Maggie. Ale od strony duchowej posiadam wiedzę, która może się

117

okazać cenna, więc chcę, żebyś zwróciła uwagę na to, co ci powiem. Mieszkałem w dziwnych miejscach i byłem świadkiem dziwniejszych zdarzeń, niż możesz sobie wyobrazić. Widziałem ciemnych, plemiennych szamanów, którzy wycinali raka brudnym nożem rodem z epoki kamienia łupanego i doprowadzali pacjentów do wyzdrowienia. Widziałem łowców głów, którzy trafnie przepowiadali przyszłość z czaszek swoich ofiar. Widziałem aborygenów, którzy umierali dlatego, że czarownik wskazał w ich kierunku kością. Podczas egzorcyzmów rozmawiałem z demonami, które płynnie mówią starożytnymi językami, o których nawet nie słyszała osoba poddawana tym egzorcyzmom. Błagam cię, żebyś podeszła do tego poważnie, Maggie. Na świecie istnieje o wiele więcej sił, niż zdaje sobie z tego sprawę współczesna nauka.

Przerwał, żeby odetchnąć głęboko. Widać było, że poważnie podchodzi do tego, co mówi i Maggie zrozumiała nagle, jak bardzo ten człowiek stara się jej pomóc.

- Słucham księdza - powiedziała cicho. - Naprawdę słucham.

Odetchnął z ulgą.

- Czy masz jakieś poświęcone przedmioty, Maggie? Różaniec, krzyżyk, wodę święconą?

Skinęła głową.

- Mam mój różaniec od bierzmowania i zachowałam krzyżyk z pogrzebu męża, ale nie mam wody święconej.

Sięgnął do przyniesionej ze sobą torby i wyjął z niej dwie butelki.

- Podczas egzorcyzmów łatwo zauważyć, Maggie, że święcone rzeczy, takie jak woda święcona czy olej święty, sprawiają, że de

moniczne istoty słabną. Trzymaj je przy sobie. Postaraj się przeka-
zać którąś z nich Cody. Przyniosłem ten cudowny święcony meda-
lik, żebyś założyła go jej na szyję, jeśli ci się uda. Pamiętaj: widać
na nim Maryję, która miażdży głowę węża. Ten medalik został po-
święcony przed laty w Rzymie przez Jana XXIII, który był blisko
Boga.

Przerwał, zastanawiając się, czy nie zapomniał czegoś powiedzieć.

- Musisz zrozumieć, Maggie, że ja nigdy nie przeprowadzałem
rytuałów magicznych - powiedział. - Po prostu je badałem, co jest

118

zupełnie inną sprawą. Jednak darzę szacunkiem moc rytuałów i nigdy bym nawet nie pomyślał o tym, by
nie doceniać ich potencjału. Dlatego przygotowałem też dla ciebie kilka modlitw do obrony. Wręczył jej
modlitewnik z zaznaczonymi miejscami, a potem sięgnął do torby na zakupy i wyciągnął garść czegoś, co
wyglądało jak siano i roztaczało ostrą woń.

- Nie mam pojęcia, czy to się przyda, ale przyniosłem. To jest
trawa asafoetida z Ameryki Południowej, Maggie. Pewien zaprzy-
jaźniony ze mną szaman z plemienia Apaczów powiedział mi, że
ma zdolność odpędzania złego.

Wyprostował się i Maggie dojrzała w jego oczach zmartwienie.

- Sądzę, że mam rację co do tego, jak ważne jest dla nich to
dziecko. Jeżeli Cody jest Wysłanniczką Izdy, to moce ciemności
nie powstrzymają się przed niczym, żeby ją pojmać i wykorzystać.
Maggie patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Czy ksiądz naprawdę wierzy, że to jest możliwe? Wszystko,
co wiem na temat racjonalnego świata, burzy się na myśl o amule-
tach, które rządzą dobrem i złem, lub o dzieciach obdarzonych nad

przyrodzonymi mocami. Szczerze mówiąc, jestem absolutnie za
szokowana tym, że ksiądz daje wiarę takim rzeczom.

Messenguer stał przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Kiedy byłem młody - powiedział wreszcie - myślałem, że
wiem wszystko, co tylko można, na temat tego „racjonalnego świa
ta”. Teraz wiem tylko jedno... to, że działania Boże są tajemnicą
i stanowią część wielkiego planu, który wybiega daleko poza nasze
pojmowanie. Wiem, że ci, których On wybiera na swoje narzędzia,
nigdy nie są tymi, których byśmy się spodziewali na tym miejscu.
Wiem, że wszystko, co wiem albo sądzę, że wiem, jest błahostką
w porównaniu z tym, czego się jeszcze można nauczyć.

To, czy Cody jest Wystanniczką Izdy albo czy Wystanniczką posiada jakiegokolwiek magiczne moce, nie
jest w gruncie rzeczy istotną sprawą. Ważne jest to, że jacyś bardzo źli i zdegenerowani ludzie mogą
myśleć, iż posiada te moce. Z tego powodu Cody jest w wielkim niebezpieczeństwie... i ty,
najprawdopodobniej, też.

- Dlatego, że ją kocham?

119

- Dlatego, że jesteś jej Strażniczką, i czy rozumiesz to w sensie
metafizycznym, czy w sensie pokrewieństwa z wnuczką, to oni i tak
wiedzą, że będziesz o nią walczyć za wszelką cenę.

Maggie odprowadziła księdza do drzwi, a potem oparła się o nie, usiłując dojść do siebie. Czuli się
tak, jakby ziemia usuwała się jej spod nóg.

* * *

Maggie doszła spieszonym krokiem do sklepu Ellie i, mimo wywieszonej za szybą tabliczki z napisem
„zamknięte”, zastukała do drzwi. W środku paliło się światło. Odetchnęła z ulgą, słysząc zbliżające się
kroki.

Ellie była ubrana w jakąś długą szatę, a na twarzy miała bardzo oszczędny makijaż, jednak wyglądała

łagodnie i pięknie. Maggie pomyślała, że może właśnie oddawała się medytacjom.

- Muszę z tobą porozmawiać - wyrzuciła z siebie pospiesznie, pokazując karty astrologiczne, które jej dał ksiądz Peter.

- Skąd to wzięłaś? - zapytała Ellie, odsuwając się, by ją wpuścić do środka.

- Od ojca Petera Messenguera. Potrafisz je czytać? Ellie uśmiechnęła się tajemniczo, sięgając po karty.

- A czy papież jest katolikiem?

- Opowiedział mi coś niesamowitego, Ellie. Jeszcze teraz kręci mi się od tego w głowie! To ma coś wspólnego z pewną starożytną egipską legendą.

Jednak Ellie nie słuchała jej, tylko z otwartymi ustami zapatrzyła się w karty.

- Dobry Jezu, Maggie! - wyrzuciła z siebie. - Ona jest Wysłaniczką!

Ramiona Ellie pokryły się gęsią skórką, a jej serce zaczęło bić mocniej. Jedno wcielenie. Tysiąc wcieleń oczekiwania na ten moment. Marzenie każdej kapłanki od początku wszechczasów... żeby być powołaną przez Boginię! Ale co robić? Walczyć? Złożyć z siebie ofiarę? Być świadkiem? Serce łomotało jej w piersiach, ale zmuszała się do zachowania spokoju. Nigdy nie wiadomo, w jak

120

dziwnej postaci nadejdzie wezwanie, tak samo jak nie wiadomo, czy się jest gotowym. Wyzwanie rzucone przez nieśmiertelnych jest największym wyobraźalnym honorem. I jest śmiertelnie niebezpieczne.

- Och, Mags - jęknęła, nakazując jej gestem, by odeszła od drzwi. - Musimy o tym pomyśleć spokojnie... możesz być w ogromnym niebezpieczeństwie.

Maggie spojrzała na nią zszokowana. Skoro ona też to wie...

- Nie mogę uwierzyć, że też wiesz o tych historiach z Izydą - wtrąciła zdenerwowana. - Czy jest gdzieś jakiś biuletyn na ten te

mat, którego ja nie kupuję, a wszyscy inni tak? Jak udało mi się przeżyć czterdzieści dwa lata, myśląc, że świat jest racjonalnym miejscem, skoro nim nie jest?

Ellie usiadła i pokazała Maggie, by poszła w jej ślady.

- Słuchaj, Mags - powiedziała ze współczuciem. - Być może zostałeś wplątana w coś wielkiego, coś bardzo ważnego. Całe życie znam legendę o Wysłanniczce Izidy. Słyszałam może ze szesnastu jej wersji, pochodzących z szesnastu różnych kultur. Ale jej sedno jest zawsze takie samo: ten, kto pojmie Wysłanniczkę, posiada Amulety, a ten, kto zdobędzie Amulety, zawładnie światem.

Maggie zakryła sobie usta dłonią i zacisnęła zęby na palcu wskazującym, jakby chcąc powstrzymać jakieś słowa lub przeraźliwy krzyk.

- I ty w to wierzysz?

- Tak samo, jak wierzę w świętego Graala lub kamień filozoficzny. Wszystkie legendy, które przetrwały tysiąclecia, mają w sobie ziarno prawdy, nawet jeżeli jest przytłumione przez ich poetykę. Co jest prawdą? Kto to może wiedzieć? Ale jeżeli Cody jest Wy-słanniczką, a ty jej Strażniczką, to obie jesteście zagrożone... ponieważ, czy to prawda, czy nie, jest wielu, wielu ludzi, którzy chcą zapanować nad tą mocą.

- Co mam robić, Ellie? - zapytała Maggie. -1 co muszę wiedzieć?

Ellie wyprostowała się i popatrzyła z uwagą na swą nową przyjaciółkę,

- Chcę, żebyś wyłączyła na jakiś czas to, co uważasz za racjonalny umysł, i po prostu słuchała mnie intuicyjnie, kierując się swą

121

wewnętrzną wiedzą. Nic z tego, co ci powiem, nie jest uznawane przez Kościół twojego przyjaciela-księdza czy przez większość ludzi, w każdym razie nie na tym kontynencie, ale ci, którzy uprawiają rytualną magię czy jakkolwiek jej wariant, uznają to za mądrość. Więc błagam cię, żebyś mnie wysłuchała.

Powaga Ellie i jej życzliwość poruszyły Maggie.

- Wybacz mi moje niedowierzenie - powiedziała skruszona. -Po prostu sytuacja wydawała mi się i tak już wystarczająco okropna, kiedy myślałam, że chodzi po prostu o przypadek naruszania praw dziecka... ale coś takiego...

- Z twojej karty, Maggie, wynika - odparła Ellie w niezmiennie poważny sposób - iż w wielu przeszłych wcieleniach uprawiałaś rytualną magię wysokiego stopnia.

Wyciągnęła ku niej rękę, w której trzymała astrologiczną kartę i wskazała kilka znaków na górze kręgu.

- W centrum nieba masz Neptuna, o jedną trzecią nieboskłonu od Saturna, co oznacza, że jesteś nie tylko osobą uprawiającą Wyższą Magię i poszukiwaczem będącym daleko na ścieżce do Iluminacji, ale również, że w obecnym wcieleniu masz możliwość zostania Adeptem.

- Wybacz mi, Ellie, ale jestem równie bliska zostania Adeptem, jak papieżem Małgorzatą Pierwszą.

Ellie uśmiechnęła się takim uśmiechem, jakim obdarza się bystre, ale krnąbrne dziecko.

- Więc porozmawiajmy o tym - powiedziała cierpliwie. - Jesteś jasnowidzem, prawda? A może używasz na to innego określenia: intuicja, przeczucie? Może wiesz pewne rzeczy, zanim dowiadują się o nich inni ludzie, albo miałaś jakieś wizjonerskie przeżycia? Pomyśl, Mags! Pomóż mi w tym dla samego intelektualnego ćwiczenia. Nie próbuję mącić ci w głowie. Poruszasz się bardzo blisko Wielkich Tajemnic, a nie można podchodzić do nich z lekceważeniem.

- Wydaje mi się, że wiem o rzeczach, o których nie wiedzą inni ludzie - zaczęła z wahaniem Maggie. - Zdaje się, że wiem je gdzieś ze swojego wnętrza. Jakbym była podłączona do jakiegoś źródła, którego nie mają inni ludzie. Myślałam, że to ma związek

122

z moim irlandzkim pochodzeniem. Wiesz, jak te wizje, których my, Celtowie, doznajemy czasami podczas modlitwy... albo fakt, że zakochałam się w handlu antykami, bo dysponuję jakimś zrozumieniem starych przedmiotów w biologiczny, a nie intelektualny sposób. Kierowniczka mojego sklepu, Amanda, stroi sobie żarty na ten temat... mówi, że nigdy nie muszę sprawdzać pochodzenia przedmiotu: wystarczy, żebym pottrzymała go przez chwilę w rękach. Czy chodzi ci o coś takiego? Ellie skinęła energicznie głową.

- Właśnie o to, Mags. A w przypadku Cody? Czy to, co do niej czujesz, jest po prostu babciną miłością? Czy może to być coś więcej? Może jest w tym coś szczególnego, nie całkiem zwyczajnego?

Co mówi ta twoja gosposia? Po tym, jak mi ją opisałaś, widzę, że

pochodzi ze środowiska na tyle bliskiego naturze, by nadal mieć kontakt z uniwersalnymi prawdami, które zostały zatracone przez bardziej wyrafinowane kultury.

Maggie zmarszczyła brwi skonsternowana.

- Maria mówi, że mnie i Cody łączy jakaś więź, która przekracza normalne granice. Myśli, że mała ma w sobie coś magicznego. Uważam to po prostu za wiejski przesąd - powiedziała i dodała z niepewną miną: - Ale jest coś pomiędzy Cody i mną, nie wiem, jak to wyjaśnić... może odczuwają to wszystkie babcie i ich wnuczęta, ale zdaje się być tak, jakbyśmy czytały sobie nawzajem w myślach, jakbyśmy mieszkały nawzajem w swoim ciele. Rzeczywiście, talenty Cody pod pewnymi względami wyglądają na niezwykle. Jej umiejętności wypowiedzi, zdolność rozumienia idei wykraczają poza jej wiek... och, nie wiem, Ellie, czy nie przemawia teraz przeze mnie babcina duma.

- Słuchaj, Mags - odparła autorytatywnie Ellie - nie ma czasu na fałszywą skromność czy jakieś inne głupie słabości. Jeżeli jesteś jej Strażniczką w jakimś karmicznym planie walki, którego jeszcze nie rozumiemy, to koniecznie będziesz musiała przypomnieć sobie rzeczy, których do tej pory nie znałaś w swoim obecnym wcieleniu. Nie możesz tracić czasu na sceptycyzm, a już na pewno, do diabła, nie masz czasu na stawianie oporu. Myślę, że będziesz musiała działać tak, jakbyś posiadała wiarę, jak to mówią na zajęciach z teo-

123

logii, i będziesz musiała być twarda jak stal. Na rany boskie, Mag-gie, to nie jest po prostu ćwiczenie w szkółce niedzielnej. Stajesz do cholery, do walki z Księciem Ciemności!

Maggie była wstrząśnięta, ale jej oczy mówiły, że akceptuje argumenty Ellie.

- Powiedz mi, co robić - poprosiła. - Powiedz, czego mam się nauczyć.

Rozdział 18

t

- Na pewno pan wie, co pan robi w tej sprawie, poruczniku? - zapytał detektyw Gino Garibaldi, podając Devlinowi parujący kubek kawy z greckiej kawiarni przy Hudson Street.

Garibaldi był tylko troszkę więcej niż średniego wzrostu, ale był tak krępy, że wyglądał jak siłacz z wesołego miasteczka z początków stulecia. Ciemne, potargane włosy otaczały jego twarz, którą kobiety z pewnością uznawały za atrakcyjną i seksowną.

Devlin spojrzał na niego z irytacją, ale przypomniał sobie od razu, od jak dawna są przyjaciółmi.

- Jestem pewien.

- Więc mówi mi pan, że to jest sprawa, i to nie sprawa świerzbienia małego?

Devlin uśmiechnął się mimowolnie. Garibaldi wiedział, tak jak wszyscy inni, że można sobie zrobić krzywdę, jeżeli dopuści się do tego, żeby emocje albo cielesne żądze przestoniły jasność myślenia.

- Jestem pewien.

- Okay. Okay. Musiałem tylko zapytać. Więc potrzebuje pan mojej pomocy? To znaczy w tej sprawie?

Devlin roześmiał się, pociągnął łyk gorącej kawy.

- Smakuje jak kwas z akumulatora - mruknął, krzywiąc się.

124

- Zgadza się, właśnie dlatego tylu Greków ma kawiarnie w Nowym Jorku, bo nikt w Grecji nie piłby takiego gówna.

- Jakbyś znalazł trochę czasu, Gino, to mógłbyś sprawdzić parę tropów w tej sprawie.

Garibaldi miał dobrą intuicję i niewiele było rzeczy dotyczących ciemnej strony Greenwich Village, które nie byłyby mu znane.

- Trochę czasu? Jasne, poruczniku. A który nowojorski policjant nie ma masy wolnego czasu?

Wyciągnął rękę po podany mu przez Devlina plik papierów.

- To nieoficjalne, prawda, poruczniku? - zapytał ścisząc głos.

- Na razie tak, ale może nie na zawsze. Garibaldi przejrzał pośpiesznie notatki.

- Co by pan powiedział, jakbyśmy strzelili sobie parę głębszych u Clancy'ego po pracy? Oświeciłby mnie pan w tym temacie.

- Tak jakby w naszej robocie istniało coś takiego jak „po pracy” - odparł z sarkazmem Devlin.

Po pracy, przed pracą, w czasie pracy - pomyślał. Jeżeli jest się detektywem i coś człowieka pochłonie, to nigdy tak naprawdę nie jest się wolnym od tej sprawy.

Garibaldi słuchał jego relacji. Devlinowi zawsze podobało się w nim to, że potrafi słuchać z taką uwagą. Niemal słyszał pracę jego mózgu porządkującego, konfrontującego i przesiewającego informacje.

Gino był świetnym kawalarzem, pełnym poczucia humoru w dobrym starym stylu, ale nie wtedy, kiedy słuchał.

- Sukinsyn - mruknął, kiedy Devlin skończył. - Wie pan, mo że to pana zaskoczyć, ale, prawdę mówiąc, w Nowym Jorku są ko biety, które są super w łóżku i wcale nie trzeba walczyć z siłami zła, żeby je tam wciągnąć. Wychodzi z tego, poruczniku, że ta sprawa jest bardziej skomplikowana.

Devlin pokiwał głową.

- To jest skomplikowana sprawa i może być brudna, Gino, więc zrozumieć, jeżeli po prostu nie będziesz chciał się w to mie szać.

125

- A kto tu mówi o niemieszaniu? Przemawia przeze mnie tylko, kurwa, głos rozsądku. Więc co mam robić?

- W tej chwili mam tylko dwie możliwości: Jenna i telefon. Jeżeli udałoby ci się wyciągnąć od firmy telefonicznej rejestr rozmów z tej nocy, kiedy Maggie odebrała ten anonimowy telefon, to może udałoby się nam przycisnąć osobę, która dzwoniła.

Gino chrząknął znacząco. Wydobicie nieoficjalnej listy połączeń od firmy telekomunikacyjnej mogło kosztować wielkie pieniądze albo wyrzucenie z pracy. Oczywiście, nie było to niemożliwe.

- Co mamy o tej dziewczynie? Ma pan zdjęcie?

Devlin podał mu fotografię szczupłej, szesnastoletniej blondynki w dżinsach.

- A jak wygląda teraz?

- Według Maggie, jakby ją wzięli prosto z magazynami „Town and Country”. Długie, doskonale utrzymane włosy, garderoba kupowana w paryskich domach mody, wyszukany styl, prawdziwa dama z Greenwich.

- Zawsze mówiłem, że ci sataniści znają się na dobrym wychowaniu.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że narkomani zostawiają za sobą ślady, Gino. Robią zamieszanie, kradną, trafiają do aresztu. Na pewno brała, kiedy była na ulicy. Maggie mówi, że przez jakiś czas była

dziwką. Może są gdzieś jej odciski palców albo jacyś starzy przyjaciele. Mógłbyś zadzwonić do Biura Kryminalistycznego i wyciągnąć listę powiązanych z nią ludzi, to ich sprawdzimy. Zobacz, czy nie ma ich w rejestrze notowanych sprawców napadów, a potem skonfrontuj to wszystko z centralnym rejestrem.

- Tak, tak, tak. Nie ucz ojca dzieci robić. Pozbieram papiery i walę na ulicę. - Pociągnął długi łyk piwa i dodał: - Chyba nie muszę pytać, poruczniku, czy sprawdził pan tę Maggie? Sąsiedzi, przyjaciele, wydział ruchu drogowego i tak dalej. To niemożliwe, żeby była atrakcyjnie wyglądającą wariatką, prawda?

- Sprawdziłem ją. Nie jest notowana. Żadnych mandatów za przekroczenie prędkości ani wypadów do Bellevue. Jest bardzo po-

126

rzadną kobietą, która wpadła w paskudne kłopoty i nikt jej nie może w tym pomóc. A ja chciałbym to zrobić, o ile się da, bo jestem trochę stuknięty. A tak w ogóle, tobie też się spodoba.

- Musi być niezła, jeśli pana rusza, poruczniku... To znaczy, nie próbuję sugerować, że myśli pan swoim małym. Po prostu mam nadzieję, że, mówiąc między nami, sprawa nie zrobi się za paskudna, żeby się nią zajmować. Z tego, co pan mówi, wygląda, że może mieć na pieńku z ważnymi figurami. A porządne kobiety przeważnie nie wiedzą, jak się do tego zabrać.

Devlin spojrzał mu prosto w oczy.

- Po to właśnie ma nas - powiedział.

Rozdział 19

Nicholas Sayles był niemal piękny, jeżeli by nie brać pod uwagę jego duszy. Zuchwały kształt nosa, arystokratyczne czoło, zmysłowe usta i chmurne, ciemne oczy nie były czymś powszednim nawet w przypadku gwiazdy telewizyjnej. Wyraziste kości policzkowe madziarskiego wodza i ciemne, męskie brwi jeszcze wzmocniały wrażenie. Były wybitnie męskim elementem w wygładzonej całości i świadczyły o sile mężczyzny: zdecydowanej i niebezpiecznej. Jego czarne włosy spadały nonszalancko poniżej ramion. Kiedy były związane w długi kucyk, podkreślały zwierzęcą męskość, a kiedy były rozpuszczone, Nicky Sayles robił wrażenie skrzyżowania lwa z panterą. Wyglądał na kogoś więcej i zarazem mniej, niż po prostu człowiek. Był to jeden z powodów jego powodzenia w świecie telewizji.

Drugim był intelekt. Jego gładka, grzeczna powierzchowność szła w parze z wybitnym umysłem. Poza tym, pozbawiony był zupełnie sumienia, chociaż nauczył się skrywać ten fakt w obecności ludzi, którzy

nadal byli przywiązani do iluzji moralności i etyki. Odnosił sukcesy dzięki swoim umiejętnościom, urokowi i brakowi

127

skrupułów, a także praktykowaniu magii, chociaż tylko garstka ludzi wiedziała o tej sekretnej broni.

Nicky rozsiadł się wygodnie na długiej skórzanej kanapie w gabinecie Vanniera. Erie był jego jedynym przyjacielem, w obecności którego był naprawdę sobą.

- Jak ten dzieciak daje sobie radę z Ghanią? - zapytał z ironicznym grymasem.

- Opieka tej starej wiedźmy nie jest losem, którego bym życzył nawet mojemu producentowi.

Erie zmarszczył brwi. Irytowało go takie niepoważne podejście Saylesa do zagadnienia.

- Ghania jest mistrzynią „przebudzenia”. Dobrze o tym wiesz, Nicky. Dręczy ją i napełnia zachwytem. Uczy ją strachu, ale nie łamie ducha. Przynajmniej na razie. Jest strażnikiem, od którego woli zależy życie przetrzymywanych i katem z sennych koszmarów potępieńców. I

- Daj już sobie spokój z tą Ulicą Sezamkowa - odparł Nicky ze śmiechem. - Przecież to, co ona próbuje przeprowadzić, wykracza daleko poza pranie mózgu, Erie. Nie może rozbudzić zbyt szybko mocy tego dziecka, bo nie będziemy w stanie nad nią zapanować.

- Zgoda. Ghania stara się zachować bardzo kruchą równowagę... napina strunę niemal do pęknięcia i wycofuje się. Napina strunę i powstrzymuje się. Napina i przekształcają. Ghania jest najlepsza... nie ma nikogo innego na ziemi, komu powierzyłbym to zadanie. Dziecko będzie gotowe we właściwym czasie.

Sayles skinął głową bez przekonania i opuścił długie nogi na podłogę.

- Chciałbym być równie przekonany do tego rytualnego gówna jak ty. W dalszym ciągu uważam, że byłoby łatwiej, gdybyśmy po prostu zabili dzieciaka. Dziewicza siła życia daje cholernego kopa. Moglibyśmy wykorzystać przedśmiertne drgawki, żeby doprowadzić do materializacji.

- Czyli zabić kurę, która znosi złote jajka - odparł Erie.

- Myślisz, że będziemy musieli utrzymać ją przy życiu, kiedy już zdobędziemy amulety? Moim zdaniem, wpakujemy się przez nią w jakąś kurewską pułapkę - bogini zawsze miała wariackie po-

128

czucie humoru. To byłby cholerny kawał, nie sądzisz, Erie? Materializujemy amulety, zabijamy małą, a

potem okazuje się, że jest nam potrzebna, żeby pchać wózek dalej - roześmiał się z potencjalnego paradoksu.

- Nie sądzę, żeby zabicie dziecka służyło naszemu celowi - powiedział Erie, wcale nie poruszony możliwością morderstwa. -
Spodziewam się, że Sechmet będzie chciała mieć jej ciało dla swoich własnych celów. Co o tym myślisz? Zapewne niełatwo być kwintesencją lubieżności i nie mieć sposobu na zaspokojenie swojego głodu. Nawet bogowie mają potrzeby.

Sayles uniósł brew.

- Więc przepędzimy jej Ka i oddamy ciało demonom, aż Sechmet będzie na tyle rozgrzana, żeby je wykorzystała - zaproponował. - Ale co tam, do diabła, to tylko kwestia wieczności, prawda?

- Cody jest zaledwie pionkiem w grze bogów, Nicky. Jej karma sprawia, że jest słaba.

- Tak, ale jednocześnie daje jej siłę. Nie zapominaj, że do tej pory będzie „przebudzona”. Nie możemy przewidzieć, jakiego dokładnie rodzaju moc będzie posiadać, jak już się otworzą tamy. Lzy-da jako wróg, to nie przelewki.

- Sechmet też nie. Pamiętaj, że to Lzyda wymyśliła tę próbę. Nie może interweniować na rzecz jednego ze swoich graczy bez wypaczenia własnej gry.

Sayles wyjął usta w zamyśleniu.

- Wiesz, Erie, jesteś naprawdę niezwykły. Skąd masz tyle pewności w tej sprawie? O ile wiem, mamy tylko jedną możliwość spróbowania tej materializacji, a cała ta klątwa jest kurewską plątaniną dwuznaczności i zawilego pieprzenia, której nikt nie wykorzystywał od paru tysięcy lat, a przynajmniej nikt nie wykorzystał jej poprawnie...

Na twarzy Erica pokazała się irytacja.

- Magia jest nauką, Nicky. Niczym więcej ani niczym mniej. Jest określona przez prawa naturalne i nienaturalne... jeśli wykorzysty

stamy je odpowiednio, to dzięki temu wszechświat podporządkuje się naszym zamiarom. Przestań zgrywać przede mną mistyka i za chowywać się tak, jakby mogło się nam nie powieść przez jakiś ka-

129

prys okoliczności. To my będziemy panować nad losem i naginać go według własnej woli. Pamiętaj słowa Crowleya: To, co czynicie, będzie stanowić całe prawo.

- Pieprzę Crowleya, Erie. Skończył jako stary piernik, mamroczący o mocy, którą kiedyś posiadał. Istnieją pewne prawa, zgadzam się z tobą, ale, do cholery, nie wiemy, jakie one są. Jasne, możemy naginać naturę do swojej woli, ale dopiero wtedy, gdy będziemy mieli do dyspozycji odpowiednie sposoby. A jest jeszcze kupa magii, co do której nadal nie wiemy, jak działa i, pozwól mi przy okazji przypomnieć, teraz nie mamy do czynienia z pospolitymi demonami... te skurwysyny są bogami.

Erie podniósł się zza biurka, by spojrzeć przyjacielowi prosto w oczy.

- Nasza Rada Trzynastu składa się z najpotężniejszych magów na ziemi - powiedział zimnym tonem. - Reprezentują każdą główną dziedzinę Szlaku Lewej Ręki. Pozwól mi przypomnieć sobie, Nicky, że my też jesteśmy bogami. Przekroczyliśmy Otchłań... możemy rozpieprzyć wszystko, co tylko nam się spodoba.

Sayles podniósł do góry ręce gestem, który mówił: dosyć.

- Drobną różnicą opinii, stary - stwierdził. - Nie spodziewam się żadnych sęków... po prostu, nie chcę nabrać takiej pewności siebie, przez którą staniemy się nieostrożni. Jesteśmy parę centymetrów od beczki złota... nie chcę, by ktokolwiek nam

przeszkodził.

Nicky wstał i przeciągnął się. Jego szczupłe ciało było silniejsze i zwinniejsze, niż się wydawało, kiedy siedział.

- Prawdziwym problemem, o którym powinniśmy myśleć, jest to, komu z naszego kręgu mamy ufać najmniej? Który z naszych szacownych kolegów spróbuje przechwycić amulety, gdy tylko się zmaterializują?

- Prawie każdy mający jakieś znaczenie. Ghania już szykuje listę tych do sprzątnięcia. To nie jest, oczywiście, proste, bo każdy, kto ma dość talentu, żeby próbować dokonać zamachu, ma również dość talentu, by ukryć swoje zamiary. Niemniej jednak, Ghania będzie ich obserwowała w planie astralnym, i, jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie zabijać.

130

- A może podsunie im wszystkim na próbie generalnej jedną z tych powoli działających chińskich trucizn Ghanii? A potem wybierzemy, komu dać antidotum...

Erie Vannier roześmiał się głośno.

- Mówiłem ci, że jesteśmy bogami, Nicky... życie, śmierć, los, ziemia - wszystko to jest teraz w naszych rękach. Och, to jest na wet lepsze niż bycie w partii republikańskiej!

Rozdział 20

Dwie młode kapłanki stały naprzeciw siebie po przeciwnych stronach wnętrza wielkiej świątyni. Efemeryczny blask słońca prześwitywał przez szyby z półszlachetnego kryształu, oblewając wykonane z piaskowca wnętrza plamami kolorowego światła, które pulsowało jak powierzchnia wody podczas przypływu.

To był sen, jednak jakaś część świadomości Maggie wiedziała, że to ona sama w jakimś innym czasie jest tą ciemnowłosą kapłanką, a Cody tą jasnowłosą, która szła ku niej z wyciągniętymi w błagalnym geście rękami.

- Pamiętasz mnie, Mim? - zawołała młoda dziewczyna. - Pamiętasz mnie?

Maggie ze snu wyciągnęła rękę, by ująć jej dłoń.

Nagle w posadzce pojawiła się szczelina i z przepętnionej siarką otchłani wyłonił się z sykiem

demoniczny stwór. Ryknął okropnym głosem nie z tego świata, a z jego mokrej paszczy wylała się przypominająca lawę substancja. W ciele stwora było coś przypominającego człowieka, jednak miał rozszczerzone kopyta i byczy zad. Kozuch splątanych włosów i pierza sięgał aż do przypominających szpony palców. Miał kołyszające się samice piersi i potężny członek w stanie erekcji. Demon porwał kapłankę - Cody - krwawymi pazurami i zaczął wlec ją ku rozwartej szczelinie, która sięgała głęboko w ziemię. Kapłanka Maggie dojrzała prowadzące w dół

131

schody - sięgały aż do otchłani, w której kotłowały się płomień' i siarka, a wyrzucane rytmicznie obłoki pary wyglądały tak, jakby były wypluwane przez olbrzymi miech.

Maggie wiedziała, że zajrzała w paszczę piekła.

Dużo, dużo niżej, na dole nie kończącego się korytarza pogrążyła na w transie Jenna zstępowała po schodach. Cody ze snu walczyła z demonem. Czuła jego obrzydliwy dech i dotyk odrażających łap które przesuwały się po jej czystym ciele. Maggie ze snu usiłowała rozpaczliwie dobiec do walczącej kapłanki, ale jej stopy grzęzły w ruchomym piasku, który wciągał ją za każdym krokiem. Rozwścieczone demony wypadły z rozpadliny całymi rojami, żeby ją powstrzymać, żądając, uderzając pazurami i parząc rozgrzanymi do czerwoności kleszczami, kiedy ona brnęła ku...

Cody!

Maggie obudziła się i usiadła w łóżku. Sen wypełnił jej duszę okropną wiedzą: Cody była w śmiertelnym, bezpośrednim niebezpieczeństwie, a Jenna zdążyła ku potępieniu.

Całe życie miała prorocze sny. Czasami były alegoryczne, ale zawsze na tyle dokładne, że potrafiła odróżnić wizjonerskie sny od zwyczajnych.

Jej mokre od potu ciało pokryło się gęsią skórką. Musiała zacisnąć zęby, by nie dzwoniły. To był prawdziwy sen. To było bliskie w czasie.

Musiała wydostać Cody z tego domu.

Dzisiaj.

Maggie wypła filiżankę kawy i ruszyła w drogę. Nie było jeszcze ósmej rano, kiedy dotarła do posiadłości Vannierów i zażądała widzenia z córką. Jenna przywitała matkę ubrana w szlafrok. Miała tylko na wpół otwarte oczy, a jej głos brzmiał, jak odtwarzany z pracującego na zwolnionych obrotach gramofonu. Serce Maggie ścisnęło się na ten widok: nie mogła tym razem nie dostrzec wpływu narkotyków.

132

- Co tu robisz, mamó? - wybełkotała Jenna. - Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj.

Nadal wstrząśnięta swym koszmarnym snem Maggie podeszła do Jenny i położyła dłonie na jej ramionach. Objęłyby ją, gdyby powiedziała, że córka na to pozwoli.

- Jenna, kochanie, musisz mnie posłuchać - powiedziała pośpiesznie. - Wiesz o moich snach... tych prawdziwych. Miałam w nocy sen, w którym zobaczyłam, że ja, ty i Cody jesteśmy w jakimś okropnym niebezpieczeństwie. Dlatego przyjechałam, żeby cię nabrać. Musisz ze mną jechać, Jenna! W tej chwili. Dzisiaj.

Umieszczę cię w najlepszym szpitalu odwykowym - zorganizuję najlepszą opiekę medyczną. Będziemy razem z tym walczyć, kochanie. Proszę, pozwól mi pomóc, zanim będzie za późno!

Jenna z trudnością zdołała się skoncentrować. Oderwała się od matki, odpychając ją gwałtownie od siebie.

- Jesteś śmieszna! Zawsze myślisz, że wszystko ma coś wspólnego z narkotykami! Nie jestem na prochach. Nie widzisz, jakie mam tu doskonałe życie? Jestem bogata... zamężna ze wspaniałym mężczyzną... moja córka ma opiekę najlepszą z możliwych.

Głos Jenny brzmiał przeszywająco, a na jej twarzy pojawił się brzydki grymas nagłego gniewu.

- Nie możesz po prostu znieść tego, że jestem taka szczęśliwa. Tylko o to chodzi. Po prostu nie możesz uwierzyć, że mi się udało, prawda?

Maggie patrzyła na nią wstrząśnięta.

- Jak możesz w ogóle myśleć, że coś takiego jest możliwe, Jenna? - zawołała błagalnie, zraniona gniewem córki. - Czy nie wiesz, jak bardzo cię kocham?

Jak mogła w ogóle nazwać niebezpieczeństwo, które, jak czuła, gęstniało wokół nich? Zbliżało do nich swe paszcze, gotowe pochłonąć ich świat...

- Wiem, że jesteś na prochach, Jenna. Widzę to w twojej twarzy - masz źrenice rozszerzone jak spodki i mówisz bełkotliwie.

Ale to mi wcale nie przeszkadza! Ja ciebie nie oceniam - próbuję ci pomóc! Nie rozumiesz, że narkotyki uniemożliwiają ci zobaczyć nie tego, co się dzieje wokół ciebie? Cody jest w okropnym niebez-

133

pieczeństwie, Jenna. W tej chwili. Czuję to każdym zmysłem. Jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie... i ty też!

Jenna wyprostowała się gwałtownie i osłoniła szczelniej szlafrokiem.

- To całkowity absurd. Cody ma się świetnie, mamó. Ghania zajmowała się całymi pokoleniami Vannierów i popatrz, na jakich ludzi wyrosli.

- Więc pozwól mi ją zobaczyć - zażądała Maggie.

To mówią narkotyki, nie Jenna - napomniała się w myślach. Może ta Jenna, którą kochała, już nawet nie mieszkała w swoim ciele. Modliła się do Boga, żeby nie było za późno na uratowanie dziecka, patrząc, jak Jenna kalkuluje swój następny ruch.

- W porządku... - powiedziała w końcu. - Jeżeli obiecasz, że od razu potem odjedziesz.

Maggie wzięła głęboki oddech i zgodziła się. Jenna decydowała za siebie, chociaż trudno to jej było zaakceptować... decydowała za siebie, więc musiała się temu podporządkować. Ale nie mogła pozwolić, by Cody utonął razem ze swoją matką.

Cody siedziała przy stole w bawialni jak mała kamienna figurka: doskonale ułożona i mająca nieskazitelne maniery. Przed nią stało nietknięte śniadanie. Wyglądała tak, jakby popadła w katatonię, jakby cofnęła się do własnego wnętrza, by odseparować się od tego, co jej groziło.

Podniosła wzrok, gdy Maggie weszła do pokoju, i łyż od razu wypełniły jej oczy, ale nie ruszyła się ze swojego miejsca.

Maggie podeszła do niej szybko i porwała w objęcia. Dziewczynka oparła letargicznie głowę o jej ramię i kilka razy wyszeptała cichutko: Cody kocha Mim.

Brzmiało to jak jakaś mechaniczna litania.

- Co, na rany boskie, zrobiliście z tym dzieckiem? - zapytała Maggie ze złością i przerażeniem. - Jest tu dopiero sześć tygodni, a popatrz, jak pogorszył się jej stan. Ma szklane oczy i wygląda jak w letargu. Przypomina szmacianą lalkę... co jej zrobiliście?

- Cody jest moim dzieckiem, mamó, i teraz ja kieruję jej życiem, czy to akceptujesz, czy nie.

134

- Więc kieruj jej życiem, na rany boskie! Zaprowadź ją do lekarza. Coś jest z nią okropnie nie tak!

- Ona nie potrzebuje lekarza. Ghania doskonale potrafi ją wyleczyć.

- Jeżeli tak doskonale ją leczy, to dlaczego mała jest w takim stanie?

- Idź już, mamó - powiedziała Jenna, zdecydowanie sięgając po Cody. - Chcę, żebyś natychmiast poszła!

Chciała wyrwać dziecko z jej objęć, ale tym razem Maggie była gotowa na odparcie ataku.

Przyciskając Cody do serca, przedarła się obok córki i pobiegła do schodów ścigana wrzaskami Jenny, która wzywała Ghania. Przebiegła przez parter i zaczęła szarpać klamkę przy drzwiach wejściowych. Do diabła! Te głupie drzwi muszą ważyć z tysiąc kilo! - przeleciało jej przez myśl. Otworzyła je mocnym szarpnięciem i rzuciła się do swojego samochodu. Cody przywarła do niej tak mocno, że bała się, iż nie będzie w stanie oderwać od siebie dziecka, żeby usiąść za kierownicą.

Zabezpieczyła od środka drzwi, trzęsącymi się palcami wepchnęła kluczyk do stacyjki i z rykiem silnika wyjechała z podjazdu, akurat gdy Ghania, Jenna i dwaj służący o aparycji goryli wybiegli na podjazd. Rzucili się za nią, krzycząc coś, czego nie była w stanie usłyszeć.

Było pewne, że ruszą w pościg. Maggie usiłowała myśleć jasno pomimo bijącego szaleńczo serca i napiętych do granic wytrzymałości nerwów. Zabierze dziecko do Amandy - Jenna nie wpadnie na to, by jej tam szukać. Potem znajdzie najlepszego w Nowym Jorku dziecięcego psychologa, żeby ją zbadał. Amanda zna wszystkich. Amanda znajdzie kogoś, kto będzie mógł pomóc.

Cody leżała na siedzeniu obok, w embrionalnej pozycji, i ssała kciuk. Nigdy przedtem tego nie robiła! Leżała zupełnie nieruchomo z podkulonymi obronnie nogami.

- Już wszystko w porządku, kochanie - powiedziała uspokaja

jąco Maggie, cały czas zerkając we wsteczne lusterko, by wypa

trzyć pościg. - Wszystko już będzie w porządku.

Jednak nawet kiedy mówiła te słowa, wiedziała, że to nieprawda.

Pediatra Cody wyjechał z miasta. Cholera! Maggie usiłowała wyjaśnić sprawę zastępującemu go lekarzowi, ale wyglądało, że ten boi się mieszać w sprawę, która może skończyć się w sądzie. Na szczęście Amanda zadzwoniła z informacją, że umówiła na następny rano wizytę u lekarza o nazwisku Engle.

Usłyszała natarczywy dźwięk dzwonka u drzwi i od razu wiedziała, że to Erie. Dzięki Bogu, Cody była w bezpiecznym miejscu.

Gdy Maria Aparecida otworzyła drzwi, Erie usiłował wtargnąć do środka, ale potężna gosposia skutecznie zablokowała przejście. Stojąc u szczytu schodów, Maggie zobaczyła, że Maria trzyma w ręku wielką żelazną patelnię. W jej postawie było coś cudownie bohaterskiego.

- Gdzie jest dziecko? - zapytał Erie.

- Nie ma jej tutaj - oznajmiła Maria, nie ruszając się z miejsca.

- Zejdź mi z drogi, wieśniaczko - rzucił z pogardą. - Bo jak nie, to przejdę po tobie. ^

- Spróbuj, senhor - odparła Maria niskim, groźnym tonem - to napluję na twój grób!

- W porządku, Maria - zawołała pośpiesznie Maggie, zbiegając ku nim po schodach. - Porozmawiam z nim.

- Jak sobie pani życzy, dona Maggie - mruknęła Maria, ale cofnęła się tylko parę kroków, nadal trzymając w ręku patelnię.

- Gdzie ona jest? - zawołał Erie, nie siląc się na żadne grzeczności. Maggie zatrzymała się tylko parę kroków od niego: wyglądał o wiele groźniej, niż go pamiętała.

- Nie ma jej tutaj.

Przysunął się bliżej, jakby chciał ją wystraszyć. Jego ciemne oczy zwężyły się.

- Jesteś na tyle głupia, żeby myśleć, że zatrzymasz dziecko. Mam wpływowych przyjaciół, Maggie, a procedura adopcyjna już jest w toku. Postaram się, żeby z powodu tego twojego drobnego błędu Cody wkrótce znalazła się na zawsze poza twoim zasięgiem.

- Nie groź mi, Erie - powiedziała opanowanym głosem. -Wiem, kim jesteś. Wiem nawet, czym jesteś. I nigdy nie pozwolę ci wykorzystać małej według twoich zamiarów.

Erie spojrzał na nią badawczo.

_ Nie wiesz nic o tym, co zamierzam, Maggie, a nawet gdybyś wiedziała, to nikt by ci nie uwierzył. Jesteś głupia, jeśli mylisz, że możesz utrzymać to dziecko z dala ode mnie. Jeżeli twoje wyobrażenia na mój temat są prawdziwe, musisz zdawać sobie sprawę z tego, że są tu zaangażowane takie moce, które mogą rozgnieść takiego natrętnego robaka jak ty, a świat nawet nie mrugnie okiem.

Uśmiechnął się, a jego oczy przybrały złowrogi wyraz, właściwy dla zbrodniczej natury.

- Czy wiesz, co to ból, Maggie? Mogę sprawić, żebyś umarła w takich męczarniach, których żaden lekarz nie jest w stanie złagodzić. A czy możesz sobie wyobrazić szaleństwo? Są na tym świecie istoty, które na moje skinienie odbiorą ci zdrowy umysł po prostu dla zabawy i zostawią cię, żebyś spędziła resztę swojego żalostnego życia w zakładzie dla psychicznie chorych.

- Nie walcz przeciwko temu, czego nie jesteś w stanie zrozumieć - dorzucił pogardliwie, nie skrywając już swej złej natury pod pozorami ogłady i uroku. - Po prostu nie możesz wygrać. Więc, gdzie jest dziecko?

- Nie ma jej tutaj.

- Sam to sprawdzę.

Maggie bez słowa zagroziła mu drogę. Próbował ją wyminąć, ale uprzedzała jego ruchy.

- Naprawdę, Maggie - powiedział z pogardliwym grymasem. -

Myślisz, że twoje żalostne sztuki walki ochronią ją przede mną?

Zejdź mi z drogi!

Maggie starała się utrzymać swój gniew na możliwym do opanowania poziomie.

„Wykorzystuj swój gniew, Maggie - rozbrzmiały w jej głowie słowa pana Wonga. - Ale nigdy nie pozwól, żeby gniew wykorzystał ciebie”.

- Ty parszywy, zboczony sukinsynu - powiedziała takim głosem, jakiego jeszcze nie słyszał. - Może nie jestem w stanie cię wykończyć, ale możesz mi wierzyć, że przetrzęcę cię, zanim będzie po wszystkim. Możesz być pewien, że poleje się twoja krew. Lis walczy o obiad, a królik o życie.

Erie zmrużył oczy. Ghania ostrzegła go, żeby nie lekceważył tej kobiety, a poza tym była jeszcze wieśniaczka z patelnią.

Popatrzył przez chwilę na Maggie groźnym wzrokiem, a potem zdecydował się i odwrócił do drzwi.

- Prześlę ci dzisiaj wieczorem wiadomość - rzucił, wychodząc.

Kiedy Maggie spojrzała na Marię, zobaczyła, że jej gosposia czyni w powietrzu znak krzyża, by odegnać złe moce.

Rozdział 21

Od zapadnięcia zmierzchu Maggie już drugi raz sprawdziła zamki we wszystkich drzwiach i oknach. Była coraz bardziej niespokojna, mając w perspektywie zbliżającą się noc, a w dodatku przez całe popołudnie nie udało się jej skontaktować z Ellie.

- Jestem jak dziecko, które boi się ciemności! - napomniała się na głos, usiłując wstydem odegnać bezlitosny strach, który sączył się do jej całego ciała.

Dzięki Bogu, Cody była we własnym pokoju i, jak za dawnych czasów, grała z Marią w grę planszową.

Maggie podniosła słuchawkę i kolejny raz wybrała numer telefonu Ellie. Żadnej odpowiedzi. Cholera! Zawahała się na chwilę, a potem zdecydowanie podeszła do półki, gdzie położyła książki na temat psychicznej obrony.

- Nie mogę uwierzyć, że robię coś takiego - mruknęła, przeglądając indeks w poszukiwaniu interesującej ją rzeczy.

Skoro nie mogła znaleźć Ellie, musiała zrobić to sama. Cały ten pomysł pewnie i tak był absurdalny... ale przynajmniej dałby jej psychologiczne wsparcie, by przetrwać w nocy trudne chwile.

- Okay - mruknęła podniesiona na duchu swoją decyzją i czując potrzebę usłyszenia czyjegoś głosu, chociażby własnego. - Proszę bardzo, jest: „Jak zbudować ochronny pentagram”.

138

Przejrzała listę potrzebnych rzeczy: czyste koce, poduszki, ciepłe ubrania... wszystko świeżo po praniu, albo nowe.

- Ciekawe, dlaczego? - powiedziała i zabrała się do czytania.

„Wszystko, co jest brudne lub się psuje, jak magnes przyciąga negatywną energię. Osoba, która potrzebuje ochrony, nie może dostarczyć astralnemu napastnikowi niczego, co zawiera jej osobiste zapachy. Wiadomo powszechnie, że czarownicy voodoo używają włosów i ścinków paznokci, kiedy robią swoje lalki. Robią tak, ponieważ odpadki z naszego ciała zawierają wystarczającą ilość indywidualnej esencji, by uzyskać połączenie energii. Takie połączenie tworzy coś w rodzaju eterycznego urządzenia naprowadzającego, które napastnik może wykorzystać, by podłączyć się do źródła energii ofiary”.

Zapisała pozostałe potrzebne rzeczy: kreda, sznurek, woda święcona, filiżanki, białe świece... przypominając sobie z ulgą, że ma już wodę święconą i trawę asafoetida, które dał jej Peter. Miała nawet dwie z potrzebnych pięciu końskich podków, które przywiozła wiele lat temu z wycieczki do wsi Amiszów. Jednak nie miała szans na zdobycie korzeni mandragory: czterech żeńskich i jednego męskiego. Zawahała się, ale uznała, że obejdzie się bez nich: może nawet nie dokończony pentagram jest czymś lepszym niż nic. Czując się niezręcznie i głupio, powiedziała Marii, że na wypadek, gdyby Erie próbował tej nocy spowodować jakieś problemy, postanowiła zbudować dla siebie i Cody chronione miejsce, do którego zło nie mogłoby wniknąć,

Maria przeżegnała się gwałtownie.

- Bardzo dobrze, dona Maggie - odparła z wielką powagą. -

Saipra la Satanas! Nie wolno złemu pozwolić wejść. Będę trzyma

ła dziecko przy sobie, aż pani skończy.

Maggie położyła dłoń na ręce gospoisi.

- Mario, czy ty osobiście nie czujesz się zagrożona, będąc tu z nami w takich okolicznościach?

- Dona Maggie - odparła Maria z przekonaniem w głosie. - Mam w sypialni ołtarzyk Najświętszej Panienki... a na łóżku wisi różaniec

139

poświęcony w Rzymie przez Ojca Świętego. Sam Szatan nie jest w stanie pokonać takiej obrony - gospoisi ruszyła ku drzwiom, ale znowu odwróciła się do Maggie. - Dla tej małej, dona Maggie, będę walczyła aż do śmierci przeciwko każdemu na tym czy tamtym świecie.

- Bardzo ci za to dziękuję, Mario - odparła Maggie wzruszona

jej słowami.

Odwróciła się, czując, że wilgotnieją jej oczy.

Wzięła ze spiżarki wiadro z mopem i zaniósła do biblioteki całe zebrane przez siebie wyposażenie. Ten pokój był jej ulubionym schronieniem, a poza tym łatwiej było tu niż w innych pokojach po-odsuwać

stare skórzane fotele. Sprzątanie, wymagane przez książkę, pochłonęło trochę czasu, ale mycie podłogi uspokoiło ją, bo było to wyraźnie konkretne działanie w świecie groźnych, ruchomych piasków. Znowu zajrzała do książki.

„Odmierzyć na środku pokoju wewnętrzny krąg o średnicy siedmiu stóp i zewnętrzny o średnicy dziewięciu stóp. Następnie zbudować pięcioramienną gwiazdę, której czubki dotykają zewnętrznego kręgu, a wcięcia wewnętrznego. Kąty muszą być dokładnie wymierzone, gdyż geometryczna dokładność ma zasadnicze znaczenie dla zapewnianej przez pentagram ochronnej mocy”.

- Och, świetnie - mruknęła Maggie, odmierzając odpowiedni odcinek sznurka, żeby nakreślić pierwszy krąg. - W końcu przez ostatnie trzydzieści lat naprawdę dbałam o to, by doskonalić swoje umiejętności geometryczne.

Na umieszczonym w książce rysunku widać było wypisane pomiędzy dwoma kręgami starożytne słowa i znaki. Według książki, były to Słowa Mocy, które potrafią odegnąć zło.

Maggie przyjrzała się im uważnie, przygotowując się do ich napisania, a potem zaczęła przepisywać słowa na swój pentagram:

In nomine Pa + tris et Fi + lii et Spiritus + Sancti! + El Elohum + Sother + Emmanuel + Saboath + Agia + Tetragrammaton + Agyos + Otheos + Ischiros +...

Pisząc, starała się odtworzyć elegancki krój znaków. Rozpoznała wśród nich oko Horusa i inne egipskie symbole, które niegdyś

140

widziała, ale niektóre z rysunków były jej całkowicie obce, więc odtworzenie ich złożonej kompozycji wymagało od niej maksymalnej koncentracji. Rzuciła okiem do książki, a potem na podłogę, i znowu na podłogę i do książki, gdy w pewnym momencie dostrzegła, że ma na palcach nie swoje pierścionki.

Co więcej, dłoń i cała ręka, na które patrzyła, nie były jej własnymi, chociaż wydawały się być z nią zrośnięte. Długie, szczupłe palce trzymające kredę były ciemniejsze, a zwężające się paznokcie pokrywał niebieski lakier. Masywny pierścionek z szafirem przesłaniał knykciec palca wskazującego, niniejszy pierścionek z rubinem i ametystem zdobił palec serdeczny, a na ramieniu wiła się wyrafinowana bransoleta w kształcie węża...

Maggie szarpnęła rękę, jakby włożyła ją w ogień, i kreda upadła. Wyprostowała się na klęczkach, tak wstrząśnięta, że nie mogła się poruszyć, i osłoniła drugą ręką dłoń, która ją tak przeraziła. Jednak to była jej własna ręka. Ta obca już zniknęła. Maggie potrząsnęła energicznie głową: halucynacje. Właśnie. - uznała. - Jestem śmiertelnie przerażona i widzę jakieś dziwne rzeczy. O Boże, to naprawdę poważne...

Zmusiła się, żeby znowu wziąć kredę. Gdyby nie miała jakiejś ochrony, na której mogłaby polegać tej nocy, to równie dobrze mogłaby się zgłosić do Bellevue. Powinna szybko skończyć z tą cholerną rzeczą i pójść spać. Ten pentagram był jak białe piórko słonika Dumbo. Magiczne placebo, które miało jej pomóc przetrwać noc.

Maggie w pośpiechu dokończyła rysunek. Nie miała wszystkich niezbędnych składników, więc improwizowała, wykorzystując to, co się jej udało znaleźć. Postawiła filiżanki ze święconą wodą we wcięciach gwiazdy, a na każdym czubku zapaliła białe świece. Książka wymagała użycia pięciu końskich podków, które należało położyć otwartą stroną do zewnątrz kręgu, ale miała tylko dwie, więc położyła je po każdej stronie pentagramu.

Przeczytała też, że należy narysować znaki krzyża, aby broniły dostępu z każdej strony świata. Nakreśliła je z ulgą.

- Chrystus był bez wątpienia największym nauczycielem naszej epoki - przeczytała na głos. - Jego następcy stworzyli przez

MO!

141

dwa tysiące lat olbrzymią zbiorową podświadomość - pewnego rodzaju skarbiec modlitw i świętych intencji, które są potężną ochroną przed złym. Przez wypowiedzenie imienia bożego i zwrócenie się o jego ochronę, człowiek umieszcza się energetycznie w strumieniu energii Boga.

Maggie uśmiechnęła się do siebie na myśl o tym, co siostra Magdalena powiedziałaaby o poglądzie, że Chrystus ma wspaniały strumień energii.

„Można wewnątrz kręgu umieścić święconą wodę, ale nie wolno jej pić bez konieczności. Pamiętaj, nie można opuszczać kręgu, żeby pójść do łazienki. Gdyby nawet następnego ranka miała wybuchnąć wojna atomowa, to też nie wolno go opuścić”.

Na zakończenie Maggie podłożyła drewno do kominka: bez wątpienia nie było szansy na to, by podsycać ogień przed nastaniem świtu. Potem zaniósła Cody na prowizoryczne postanie, które ułożyła w środku kręgu, zastanawiając się, czy dziecko nie będzie narażone na wielki wstrząs, kiedy się obudzi i zobaczy wokół siebie te dziwactwa. Uznała, że dla złagodzenia wrażenia będzie musiała przedstawić to jako zabawę. Cody i tak przeżyła wielki stres podczas ucieczki z posiadłości, nie mówiąc już o tym wszystkim, co się wydarzyło, kiedy tam mieszkała, więc z pewnością kolejny dziwny epizod nie mógł wyrządzić jej jakiejś nieodwracalnej krzywdy.

Maggie wymruczała, jak potrafiła najlepiej, ceremonialne modlitwy z książki, mając nadzieję, że wymowa nie jest zbyt istotna, bo były napisane w języku, którego nie rozpoznawała.

Przyłożyła do ust srebrny różaniec, który matka dała jej na bierzmowanie i owinęła nim nadgarstek, by go nie zgubić oraz przypięła do koszuli medalik ze świętym Benedyktem.

- On trzyma w jednej ręce krzyż, a w drugiej księgę reguły zakonu - powiedział jej Peter. - Mówi się, że istoty ciemności boją się go.

Maggie dotknęła delikatnie aksamitnego policzka Cody, ośmielona jej łagodnym, normalnym oddechem. Wyglądała w śnie tak

142

anielsko, że łzy wezbrały w oczach Maggie. Och Boże, proszę, pozwól mi ochronić ją przed krzywdą. Ostatni raz rzuciła okiem na książkę.

„Niezależnie od tego, co zobaczysz czy usłyszysz albo wyczujesz tej nocy - pozostań w kręgu. Twoje życie i zdrowie umysłowe zależą od tego! Sam szatan nie jest w stanie pokonać tej obrony, chyba że sam go wpuścisz. Jeżeli naruszysz konstrukcję kręgu, twoje schronienie już nie będzie bezpieczne”.

Maggie zagryzła dolną wargę. Nigdy nie czuła się tak przeraźliwie samotna. Na ścianach przesuwały się cienie, a raz na jakiś czas przez okno wpadało światło przejeżdżających samochodów. Wiatr kołatał nieustannie okiennicami, kiedy ułożyła się obok kochanego dziecka. Wzięła w dłoń pulchną rączkę Cody i zaczęła się modlić, aż zapadła w niespokojny sen.

Obudziło ją dotkliwie zimno i nieodparte wrażenie, że coś dostało się do biblioteki. Jakaś książka spadła na podłogę z wysokiej półki. Maggie obróciła szybko głowę, żeby zobaczyć, co ją strąciło. Niczego tam nie było. Wciągnęła nosem powietrze i poczuła wpeł-zającą do pokoju, przyprawiającą o mdłości woń zepsucia, jak odór z zablokowanego kanału ściekowego. Żarówka w stojącej w kącie pokoju lampie nagle wybuchła, jakby trafił ją piorun. Maggie chwyciła w ramiona śpiącą Cody i przyciągnęła ją bliżej do siebie. Dziewczynka otworzyła na moment oczy przestraszona hałasami, ale zaraz zapadła z powrotem w sen.

Wiszący na ścianie obraz spadł z hukiem, a jego ciężka rama rozpadła się na kawałki, ale Maggie ledwie to zauważyła, bo w tym samym momencie kanapa podniosła się do góry i zaczęła kotuszać na boki.

- Tego nie ma. To nie jest prawdziwe - powiedziała głośno, ale strach w jej głosie przeraził ją samą.

Syczący odgłos przyciągnął jej wzrok do kominka: płomienie zajaśniały na moment, jakby polane wodą z niewidocznego naczynia, a potem zasyczały i zgasły do ostatniego węgielka. Wtedy właśnie zobaczyła t o.

143

Olbrzymi, czarny, cuchnący piekłem stwór patrzący na i błyszczącymi w półmroku żółtymi ślepiami. Nie miał żadnej ko ^ kretnej postaci, jak jakiś amorficzny wór zła. Pulsował i przeleu się na krawędzi pentagramu. Jezu! To Złe. Nie człowiek. Nie z te^ świata. Z jakiegoś innego. Coś okropnego.

To coś przekształcało się na jej oczach. Galaretowata post . przemieniła się w istotę płci męskiej, obdarzoną urodą z pieki., Pan. Dionizjusz. Lucyfer. Jezu, jaki piękny. Jego oczy wpiły s;c w jej oczy, przywołując ją, hipnotyzując. Przepętniona złem intejj. gencja promieniująca z jego twarzy była oszałamiająca. Zmysłów. a Ociekała seksualnością, która w jakiś dziwny, niewystawiony sp<,,_ sób kusiła jak samo piekło. Maggie poczuła gwałtowny impuls sin. rowej, nieokiełznanej seksualności, szarpiący jej łono, napierający i pulsujący, napełniający ją pożądaniem... pożądaniem seksu, nie miłości. Pożądaniem nienaturalnych aktów. Przepętnionych przemocą okropnych czynów, o których nigdy nawet nie śniła. Chuć targała nią. Te oczy; nie potrafiła oderwać wzroku od tych przepętnionych złem oczu. Przyciągały ją. Rządziły nią. Ciągnęły na skraj kręgu. Pomocy...

- Dobry Jezu, pomocy! - krzyknęła rozpaczliwie i... stwór znowu się przemienił.

Rozpłynął się w ropiejące, obleśne strumyki zepsucia. Jego demoniczna energia zdawała się narastać, pulsując i ociekając śluzem z tysiąca okropnych ran.

Paszczka, która ociekała śliną skapującą z żółtych kłów, przekształciła się w jakąś pozbawioną kości pulsującą rzecz i wyszczerzyła w opętańczym uśmiechu. Otworzyła się i stwór zawołał d<> niej bezdźwięcznie, drapiąc pazurami obrzeża pentagramu. Cody usiadła gwałtownie i wyciągnęła ręce, by sięgnąć bestii. Maggu-rzuciła się na nią i przycisnęła do swej piersi, ale miała zaczęła wal czyć, by wyrwać się z jej uścisku z siłą o wiele większą niż sił; trzyletniego dziecka. Stwór przyciągał Cody jakąś potężną mocą Maggie czuła, jak ciągnie, omal nie wyrywając dziecka z jej uści sku.

Cody wyciągała ręce ku krawędzi pentagramu i okładała pię ściami babkę, która przyciągała ją z powrotem ku sobie. Szarpała

144

ie Za włosy i drapała ją po twarzy. Była jak dzikie zwierzę, • i oczy wyglądały jak zrobione ze szkła. Maggie wiedziała, że . utrzyma jej zbyt długo w kręgu. Stwór śmiał się potwornym, rzerażającym głosem, który nie miał nic wspólnego z radością. Jego demoniczny wzrok więził Maggie w swojej mocy, a siła dziecka była coraz większa.

_ W imię Jezusa Chrystusa, pomocy! Nich ktoś mi pomoże! -wrzasnęła Maggie.

Stwór zadrzał i zawahał się. A może tylko jej się zdawało, że się cofnął?

- Święta Maryjo, broń mnie! - zawołała, odyskując siły. Stwór cofnął się z rykiem, a Cody w śpiączce opadła na podłogę. Nagle w głowie Maggie pojawiły się słowa psalmu dziewięćdziesiątego pierwszego, o

którym nawet nie myślała od dzieciństwa:

Kto przebywa w pieczy Najwyższego i w cieniu Wszechmocnego mieszka...

Wykrzyczała te słowa.

Mówi do Pana: „Ucieczko moja i Twierdzo, mój Boże, któremu ufam”. Bo on sam cię wyzwoli z sideł myśliwego i od zgubnego słowa.*

Stwór skurczył się, jakby zapadając w siebie.

Maggie odmówiła wszystkie modlitwy, jakie знаła, a potem odśpiewała pieśni, które pamiętała ze swojego krótkiego zetknięcia z kościelnym chórem. Kiedy skończyła Tantum Ergo, nagle w jej głowie pojawiły się dalsze słowa psalmu, których nigdy wcześniej nie znała. Wykrzyczała je, dziwiąc się temu, skąd się pojawiły:

* Ps. (1-3) cyt. za: Biblia Tysiąclecia, wyd. trzecie poprawione, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1990.

145

Okryje cię swymi piórami

I schronisz się pod jego skrzydła:

Jego wierność to puklerz i tarcza.

W nocy nie ulęknieś się strachu ani za dnia - lecącej strzały, ani zarazy, co idzie w mroku, ni moru, co niszczy w południe. *

Stwór zniknął równie gwałtownie, jak się pojawił. Sparaliżowana i drżąca od nieznośnego zimna Maggie trzęsącymi się rękami dotknęła Cody. Dziecko zapadło w stan podobny do letargu i niemal nie oddychało. Łkając, podniosła pogrążoną w śpiączce wnuczkę i przycisnęła ją do siebie, patrząc w przerażającą pustkę na zewnątrz kręgu. Modliła się i modliła... starając się nie zasnąć.

W końcu, już blisko świtu, Maggie poczuła, jak powieki jej opadają. Walczyła, by nie zasnąć, gryzła sobie ręce do krwi i wygrażała pięścią nadciągającemu zimnu. To nie było tylko wyczerpanie. Czowała się oszołomiona, zdezorientowana. Usiłowała walczyć z ogarniającą ją drętwotą, ale już nie była w stanie. Światło gasło w niej jak przygasający płomień. Ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem nakryła Cody własnym ciałem.

Potem zasnęła.

Kiedy obudziła się, wnuczki nie było. Zobaczyła tylko wywrócone do góry dnem filiżanki po święconej wodzie i porzucone na podłodze wieniec z czosnku i różaniec, które miała na sobie Cody. W jakiś sposób

wywabili ją z obronnego kręgu.

Pentagram został naruszony od wewnątrz.

Wypełniła ją straszna świadomość porażki i strach. Teraz już dobrze wiedziała, przeciw jakim siłom walczy. Zwiesiła głowę i wybuchła płaczem.

Potem zadzwoniła do Petera i Ellie.

* Ps. (4-6), op. cit.

146

CZĘŚĆ DRUGA

Pokonać Szatana

Boże, wysłuchaj mnie, wysłuchaj mnie dzisiaj; droga do Ciebie jest tak bardzo długa.

Theodore Roethke

Rozdał 22

Ellie siedziała po turku na podłozie swojej biblioteki, a ojciec Peter chodził w tę i z zwrotem. fciwne z czerwonymi oczami skuliła się na kanapie « :ogu pokój"u Właśnie skończyła opowiadać o tym, co się stało.

- To nie twoja wi.,a> ze środka" ronne nie wystarczyły, Mags
- powiedziała ze mp<Ączuclcm E'Jh - Zrobiłaś wszystko, co było
w twojej mocy. Po prostu nie mt^ś świadomej wiedzy lub ko
niecnych nar/ędzi. ft cu^ ze cj->.10 roczę powstrzymałaś to coś!
Musieli wystać przecinko tobie w c»snie Saiitii. Trudno jest sobie
z nim poradzić, nawet jak się r ^ loświadczenie. - Przeniosła
wzrok na Petera. - Pe*nie ojciec c0 ia jako „przesłanie". Jest bar

dzo groźne... Maggie musiała od**1?: jakąś wiedzę z przeszłości,
gdy robiła pentagram, bo inaczej t**^twór by ją zabił.

Ojciec Peter skinął głową.

- Widziałem podobne napaści c>nionów w Afryce i Ameryce Południowej - powiedział. - Nie |
P''dnnaś się obwiniać, Maggie. Stawiłaś czoło potężnemu wrogów71-

- Erie wezwał demona z piekieł.. fc" cię gnębił, Mags - dodała Ellie. -1 prawdopodobnie dlatego, że
tvija obrona nie była dostateczna, zahipnotyzował cię, gdy tylko ogśa'ięło cię zmęczenie, i potem jakoś
wydostał Cody. Przypuszczam, z' Gnania ma krew, włosy i paznokcie dziecka, żeby łatwiej było n»awiązać
kontakt. Pewnie zmusili małą, żeby wylała wodę święconą i kłóciła ochronną energię pentagramu...
założę *>ię, że ie sukinsyny cykaty na nią zaraz za drzwiami.

- Po tym, co przeżyłarn tej noc7> wiem, że nie cofną się przed zabójstwem, jeżeli będzie to służy/ł<-
ich celom. To coś' żywi się przemocą.

- Zło zawsze się Q|ą żyw^ Magg" - wtrącił ojciec Peter. - My-sterium iniquitus jest brutalne i ul<**t i
żeruje na tym wszystkim, co jest w nas najgors/, -

- Myślisz, że mani rację, Peter" zapytała Ellie. - Mogę mówić ci po imieniu, prawda? Jesteś
/d,cydowanie za młody, by być moim ojcem.

148

Peter uśmiechnął się.

- Będzie mi miło, jeżeli obydwie zaczniecie nć.wić mi po imieniu.

- Musi być jakieś wytłumaczenie, dlaczego .o wszystko dzieje się właśnie teraz - stwierdziła Ellie. -
Musi ismiieć jakiś powód, dlaczego czekali tak długo, żeby Jenna zabrała Cody.

- Myślisz, że czekali, aż nadejdzie momen: bliski ich rytuału, prawda, Ellie? I że z jakiegoś powodu nie
mogli je ?, po prostu uprowadzić i dokonać swojej ceremonii zaraz nas.jpmeo dnia, więc musimy
założyć, że chcieli ją w jakiś sposób priy gotować.

Podoba mi się ten ksiądz - pomyślała Ellie. - Ma otwarty umysł.

- Jeżeli naprawdę zamierzają wykorzystać Codły - podjęła - że
by zdobyć Amulet i Kamień, Mags, to będzie te wymagało tego ro
dzaju ceremonii Wyższej Magii, które chyba nigdy nie były
odprawiane w tym stuleciu. Uważa się, że Ale.steir Crowley usiło

wał dokonać ewokacji w 1929 roku i omal przy tym nie zginął, gdyż nie potrafił zapanować nad siłami, które przywołał. Ktoś w Maa Kheru musi być Czarnym Adeptem. Żeby chociaż próbować takiej materializacji, muszą wezwać na pomoc coś o wiele potężniejszego niż zwykły szatan. Przypuszczam, że któregoś z upadłych aniołów lub samego Lucyfera. Jego egipskim odpowiednikiem jest Set albo Sechmet, więc na pewno wezwą jedno z nich albo oboje.

Widzisz, Mags, cała ceremonialna magia polega na tym, że Adept zawiera pakt z konkretnymi demonami, które potem są na jego usługach. To niebezpieczna gra: magowi grozi bardzo wiele, jeżeli nie zdoła zapanować nad demonem i odesłać go na końcu ceremonii z powrotem do piekła. Jeśli popełni się błąd, to nie tylko zła moc zostanie wypuszczona na świat, ale sam mag może postradać zmysły albo zginąć, a jego dusz.* zostanie oddana szatanowi.

- Maggie - wtrącił Peter poważnym tonem. - Dużo myślałem o tej trójwymiarowej rozgrywce w szachy, którą postawił przed nami wszechświat. Wysłuchaj mnie, dobrze?

Amulet Izdydy i Kamień Sechmet są metaforami. To przedstawienie wiecznie walczących ze sobą dobra i zła we wszystkich ich różnych przejawach. Jako takie, stanowią ostateczny egzamin

149

sprawdzający, czy ludzkość jest w stani; kierować siłami, które do tej pory były kierowane tylko przez Boga - uśmiechnął się do Ellie z pobłażaniem. - Albo przez bogó.s... jakby to mogli ująć inni.

Odwzajemniła uśmiech, czując, jak rod;; się pomiędzy nimi nić sympatii.

- Na tym kosmicznym polu bitwy, dla ikichś powodów, które przekraczają nasze rozumienie, ty, Maggie. zostałeś chyba wyznaczona na wojownika po stronie dobra. Tak samo jak Erie zdaje się nosić barwy zła.

- A jeśli nie mam dość siły na taką walkę? - zapytała Maggie. - Nie wiem, co z tym wszystkim robić...

- Podejrzewam, że Peter i ja doszliśmy do takich samych wniosków, Mags - wtrąciła pośpiesznie Ellie. - Jesteśmy twoimi doradcami. Sądzę, że po tym, co zaszło ostatniej nocy, zgodzisz się, iż potrzebujesz trochę przeszkolenia. Już nasza w tym głowa, byś nabrała więcej siły.

- Jak?

- Nauczmy cię, Maggie - odparł duchowny. - Ja nauczę cię tego, co wiem o Bogu... teologii... dobru i złu. O herezjach, które one spłodziły, i o świętych, których stworzyły. Ellie przeprowadzi przyspieszony kurs metafizyki i magii. Razem dołożymy starań, jeżeli chodzi o egiptologię. Na wypadek, gdybyś to ty była osobą, która musi stanąć na arenie, dołożymy starań, byś nie stanęła przed Goliatem nieprzygotowana.

Ellie i Peter wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Peter przemilczał to, że każde z nich również zostało wezwane do walki.

- Nie wiem, co powiedzieć - odparła zmartwiona Maggie - z wyjątkiem tego, że... postaram się, jak tylko będę mogła. Uważam, że zaprzyjaźniając się ze mną, wystawiacie się oboje na wielkie niebezpieczeństwo, a jednak oddajecie mi swój czas i mądrość z taką szczodrością, chociaż wiecie, że nigdy nie będę w stanie na leżycie się wam odpłacić.

„Nawet w czasach ciemności jest czas na miłość” - zacytował cichym głosem Peter - „gdyż akt miłości może przechylić szalę”. Ajschylos - rozpoznała Ellie. - On się na tym dobrze znał.

150

* * *

Opuściwszy mieszkanie Ellie, Peter postawił kołnierz płaszcza, by osłonić się przed chłodnym, nocnym powietrzem. Droj:-i do domu Maggie nie była długa, a on musiał się ochłodzić, żeby otrząsnąć się z narastającego w jego myślach chaosu.

Rzucił okiem na idącą obok kobietę, usiłując sobie w>orjrazić, co musi czuć w związku z tym wszystkim, co zakłóciło jej życie. W świetle księżycy wyglądała na kruchą, zmartwioną i ml^dą- Coś w niej dotykało samej głębi jego jestestwa. Zawsze myślał, że jeżeli jakaś kobieta przetamie jego obronną tarczę, powodem będzie seks. Jednak to „coś” było znacznie subtelniejsze i dlatego stanowiło o wiele bardziej niebezpieczną pokusę.

- Chciałabyś gdzieś wstąpić, Maggie? - zapytał nagle. - Może na filiżankę kawy? Mam nadzieję, że nie wszystkie kawiarnie w Greenwich Village zostały zamienione w bary szybkiej obsługi.

Maggie wydawała się zaskoczona: jej myśli błędziły gdzieś tysiące mil stąd.

- Kawy? - powtórzyła. - Bardzo chętnie...

Spojrzała z zafrasowaniem na zegarek.

- Ale czy nie jest już zbyt późno, Peter? Jeżeli jedziesz dzisiaj z powrotem do Rhinebeck...

- Nie. Wynająłem na kilka dni mieszkanie od przyjaciela. Postanowiłem zatrzymać się w mieście, aż trochę uporządkujemy te sprawy.

- Możesz tak zrobić? Tak po prostu wyjechać? - zaśmiała się ze swojej własnej naiwności. - Wybacz mi, Peter, chyba myślałam o tobie, jak o żołnierzu, który podlega rozkazom.

Roześmiał się lekko.

- Mam przyjaciół w Catholic Worker, którzy z przyjemnością przyjmą kolejnego księdza, żeby odprawiał msze przy Bowery. Inny stary kolega prowadzi hospicjum dla chorych na AIDS przy Trzynastej Ulicy i zawsze przyda mu się dodatkowy ksiądz, jeżeli nie miałbym innego wyjścia. Obecnie jestem raczej na własnym rozrachunku, Maggie. Wszelkie obowiązki, jakie mam, mogę sobie jakiś czas poczekać.

151

Uśmiechnęła się niespodziewanie szczerym uśmiechem.

- U „Figara” jest nadal cudownie, Peter - powiedziała, skręcając w kierunku Bleeker Street. - Prawie jak za dawnych czasów.

Słynna kawiarnia była skąpo oświetlona, a jej wnętrze pachniało kusząco. Kawa i przyjaźń - pomyślała, wspominając dobre, dawno minione dni.

Usiedli przy stoliku w rogu, złożyli zamówienie i po kilku minutach pili parującą kawę z ekspresu. Maggie spojrzała na poznaczoną bruzdami twarz Petera. Ma dobrą twarz - pomyślała. - Skomplikowaną.

- Co sprawiło, że zostałeś duchownym, Peter? - zapytała, poruszając się w krześle i rozglądając wokół.

Boże! To miejsce kojarzy się z tak dobrymi wspomnieniami -pomyślała przelotnie. - Młodość i beztroska tak szybko mijają... ale, dzięki Bogu, nie znikają wspomnienia. Czuła się dobrze w tej kawiarni i z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła określić, czuła się dobrze, będąc z Peterem.

- Oczarował mnie Bóg, Maggie - odparł. - Kiedy byłem jeszcze bardzo młody, oczarował mnie Jego wszechświat, Jego moc, Jego majestat. Potem, kiedy zacząłem intelektualnie rozwijać skrzydła, zostałem uwiedziony przez to nie mające końca poznawanie, jakie rozciągało się przede mną w drodze do Niego. Pamiętasz może poemat „The Hound of Heaven”?

Maggie uśmiechnęła się, przymknęła oczy i odchyliła nieco w krześle.

- „Umykałem przed nim nocami i dniami” - zaczęła recytować z przejęciem osoby, która naprawdę kocha poezję.

Niemalże słyszała w swym własnym głosie głęboki baryton ojca. Tak miłe były wspomnienia tego, jak czytał poezję.

- „Umykałem przed nim pokrętnymi ścieżkami własnego umysłu i we mgle łąz, ukrywałem się przed nim...”

Peter uśmiechnął się, zaskoczony jej doskonałą znajomością starego poematu, który miał tak wielkie znaczenie w jego życiu... ale był to smutny uśmiech, mówiący o utraconych możliwościach.

152

- „Wszystkie rzeczy zdradzają tego, który zdradza Mnie”* - zacytował. - Och, moja droga Maggie, to była śmiertelna linijka dla Petera Messenguera. Widzisz, od tamtej chwili nie chciałem Go nigdy zawieść, nigdy zdradzić. Chciałem dążyć za Nim do tajemnic wszechświata... rozwikływać z Nim wszystkie wielkie tajemnice...

Wzruszył ramionami, świadomy nieopisywalności tych pragnień.

- Więc to było uwiedzenie intelektualne? - zapytała.

Intrygował ją ten mężczyzna, chciała go poznać.

- W kim ktoś tak utalentowany jak ty znalazłby godnego spa ringowego partnera, jeśli nie w Bogu?

Spojrzał na nią z rozbawieniem i uwagą, autentycznie zaskoczony jej przenikliwym spostrzeżeniem.

- Inni, którzy słuchali mojej opowieści, byli wstrząśnięci... a ty widzisz tylko to, co jest istotne. Duma była zawsze moim największym grzechem, Maggie. Intelektualna arogancja. Świadomość tego, że jestem w stanie ogarnąć rzeczy, które wprawiały w konfuzję pomniejszych umysły. Byłem jak chłopak ze slumsów, który ma nadzwyczajny talent do koszykówki, z tym że ja dysponowałem darem intelektu, a nie ciała.

Roześmiał się krótko ze swojego własnego sformułowania.

- Trudno nie być dumnym, jeśli ma się wrodzone talenty, a z drugiej strony, kto ma mniej powodów do dumy niż ten, który wcale nie musi się wysilać, by osiągnąć takie rezultaty.

- Jestem pewna, że wystarczająco się wysilałeś, Peter - odparła poważnym tonem. - Talenty są tylko początkiem. Potem nadchodzi czas na pracę, by pokazać, że się jest ich wartym.

Skinął potakująco głową, a ona mówiła dalej, rozgrzewając się analizą jego osoby.

- Więc wybrałeś najwyższą z możliwych lig, żeby zbadać swoje możliwości, tak? Polityka, armia i kościół - to jedyne bastiony prawdziwej władzy, jakie jeszcze zostały na świecie, prawda?

* Francis Thompson, *The Hound offieaven*, przekł. tłum.

153

Peter roześmiał się głośno. Jej bezpośredniość w jakiś cudowny sposób powodowała, że czuł się wolny. Wszyscy inni traktowali go jak świętego albo jak odszczepieńca, ale nie Maggie. Odświeżała go i sprawiała, że czuł się znowu młody.

- A czy nigdy się nie bałeś, Peter, jak ten człowiek z poematu, że „mając Jego, możesz nie mieć nic innego?”.

Przyłapał się na tym, że wpatruje się nad swoją filiżanką w jej oczy. Nie był wcale pewien, czego w nich szuka.

- W tamtych czasach samo Jego istnienie wydawało mi się czymś wystarczającym - odparł z namysłem. - I, szczerze mówiąc, tego rodzaju życie znakomicie mi odpowiadało. Sposobności intelektualnego folgowania sobie, oszałamiająca edukacja, towarzystwo błyskotliwych współbraci, stała arystokratyczność Rzymskiego Kościoła. Byłem chłopcem z biednej rodziny, Maggie, i nigdy nie byłoby mnie stać na tego rodzaju wykształcenie i kontakty. Rozkoszowałem się wolnością podróżowania i drążenia zagadnień, o których marzyłem jako mały chłopiec w nijakim miasteczku zagubionym gdzieś w głuszy.

- A kobiety? A dzieci? - nie ustawała w pytaniach. - Czy utrata rodziny... i seksualności i wszystkie związane z tym obowiązki wydawały ci się wielkim poświęceniem? Trudno jest komukolwiek spoza kościoła wyobrazić sobie celibat, Peter - wygląda to na pewnego rodzaju abnegację. Wybacz mi, jeżeli to jest zbyt osobiste pytanie... - dodała, dziwiąc się swojej własnej śmiałości. - Pytam, bo naprawdę chciałabym zrozumieć...

Musiła poczekać chwilę, zanim odpowiedział.

- Chyba wydawało mi się, że wystarcz"y samo to, iż zbliżam się tak bardzo do Boga. Zdawało się to być o oktawę wyżej niż miłość pomiędzy kobietą a mężczyzną... bardziej niebiańskim wyborem. A msza... Och, Maggie, kiedy każdego ranka trzymałem uniesioną wysoko hostię, czułem się bardziej obdarzony łaską niż jakikolwiek człowiek na ziemi i bardziej spełniony. Nie mogłem sobie wyobrazić, by jakakolwiek ludzka miłość kiedykolwiek przepełniła mnie taką nieziemską ekstazą - uśmiechnął się z lekką autoironią. - Byłem wtedy młody. Liturgia... Kościół... To wszystko było tak olśniewająco majestatyczne i pełne magii.

- A kiedy byłeś starszy?

154

Zaczerpnął tchu, przygotowując się do odpowiedzi.

- Wtedy lepiej rozumiałem, co porzuciłem - rzekł. - Życie doświadcza człowieka... oskrobuje mięso z kości. Kiedy jest się młodym, to się uważa, że celibat jest wielkim wyrzeczeniem, ale kiedy człowiek się starzeje, to zaczyna rozumieć, że o wiele większym wyrzeczeniem jest utrata towarzystwa ukochanej osoby. Samotność ma swoją gradację, Maggie. Początkowo byłem sam z Bogiem i moim dążeniem do mądrości i to była wspaniała, elitarna samotność. Potem, gdzieś po drodze, dotarłem do kryzysu wyrzeczeń. Zacząłem się czuć odizolowany. Jednak po pewnym czasie nawet i to było do przyjęcia, bo

dawało mi szansę na myślenie, snucie hipotez, spełnianie mojego pragnienia mistycyzmu.

- A teraz? Na pewno kara wymierzona ci przez Kościół musiała sprawić, że poczułeś się porzucony?

Spotkali się wzrokiem i Maggie zobaczyła w jego oczach buntowniczy żal. I głód. Wiedziała, jaki to głód.

- Cóż, Maggie - powiedział powoli, ważąc słowa - obawiam się, że być może dotarłem do najbardziej nieprzyjemnego stanu całkowitej samotności. Obawiam się, że jestem po prostu samotny i, oczywiście, starzeję się, co jest o wiele bardziej przykrą dolegliwością, niż sobie człowiek wyobraża w młodości.

Maggie roześmiała się. Podobał mu się ten śmiech, gdyż płynął wprost z serca.

- Kiedyś narzekałam przed ojcem na to, że się starzeję - przypomniawszy sobie. - Skończyłam trzydzieści pięć lat i odkryłam, że jestem śmiertelna. Powiedziałam mu: „Nie odkryłam niczego dobrego w tym głupim starzeniu się, tato... mogłabym się równie dobrze obejść bez tej mądrości, którą zdobywam z wiekiem”. Wtedy on tylko się zaśmiał i odparł: „Poczekaj, moja droga, aż dożyjesz mojego wieku. Wtedy pamięć słabnie i człowiek nie pamięta nawet tej nabytej z wiekiem mądrości”.

Roześmiali się oboje, ale Peter dostrzegł, że Maggie ma wilgotne oczy.

- Opowiedz mi o nim - zachęcił ją.

Milczała przez chwilę. Jak mogła w odpowiedni sposób opisać miłość tak głęboką, tak wpływającą na człowieka?

155

„Mój ojciec przez zgubę szedł miłości - powiedziała wreszcie - przez samość jestem, przez miłość dawania, śpiewając rankiem po każdej nocy, mój ojciec szedł przez głębię wysokości”.

Peter uśmiechnął się. Było w niej tak wiele sprzeczności.

- Więc e. e. cummings najlepiej rozumiał, jak bardzo go kocha

łaś i podziwiałaś?

Skinęła głową potakująco.

„Choć to nienawiść sprawia, że człek oddychać chce, to ojciec całą duszą żył, więc miłość wszystkim jest”.

Uśmiechnęła się na wspomnienie tej miłości, a potem westchnęła.

- Więc miałaś w życiu szczęście, jeśli chodzi o mężczyzn? -

zapytał, poruszony jej dziwną odmianą nastroju.

Chciał wiedzieć o niej więcej, niż kiedykolwiek o jakiegokolwiek kobiecie.

Maggie uśmiechnęła się ciepłym uśmiechem, unosząc twarz do góry.

- Mój ojciec i mąż byli cudownymi ludźmi, Peter. Bardzo ludzkimi, bardzo porządnymi i obydwaj, jak sądzę, posiadali bardzo rzadką zaletę: czułą dobroć. Bez nich świat jest pustym i dziwnym miejscem.

- I Cody wypełnia tę pustkę?

- Tak; radością, treścią i ciągłością - odparła. - Oczywiście, widzę w niej ich wszystkich. Szybkie podrzucenie głowy, jak blask słońca przenikający pomiędzy drzewami... uśmiech, gest - to wszystko pozwala mi przez ułamek sekundy zobaczyć ich wszystkich żywymi. Często widzę w niej Jennę, chociaż są tak do siebie niepodobne.

Zobaczył, jak cień smutku przysłania jej twarz.

- Co się zepsuło? - zapytał delikatnie, współczująco. - Jeśli to

zbyt osobista sprawa, to nie odpowiadaj.

Gwałtownie podniosła wzrok, by napotkać jego spojrzenie.

- To nie jest zbyt osobiste, Peter, tylko zbyt niepojęte. Kiedy była mała, byliśmy sobie bardzo bliskie. Nie mogłam mieć więcej dzieci, więc obdarowałam Jennę całą swoją miłością i uwagą. Cza sami myślałam, po tym wszystkim, że za bardzo, może dla kogoś

tak bardzo rozpieszczonego świat nigdy już nie wygląda tak, jak pamięta to z dzieciństwa. - Wzruszyła bezradnie ramionami. -Przekonałam się już, że takie spekulacje potrafią być zdradliwe jak bagno bez dna.

Westchnęła wymownie. Najwyraźniej nieraz zapuszczała się na to bagno.

- Potem nastął okres dojrzewania: zrobiła się okropnie buntownicza i nieprzystępna. Myśleliśmy, mieliśmy nadzieję, że to minie.

Jack pocieszał mnie, kiedy ponosiłam porażki... byłam taka nie szczęśliwa, gdy mnie od siebie odpychała...

Umknęła przed jego wzrokiem, tak jakby zatapiała się w przypominanym bólu. Kiedy podjęła na nowo swą opowieść, jej głos był już mniej opanowany.

- Potem Jack zachorował i poczułam, jak staczamy się w dół... jakby z nie kończącej się równi pochyłej... Rak... Diagnoza, nie możliwość uwierzenia, rozpaczliwe poszukiwanie cudu... wiesz, jak to się odbywa. Potem te wszystkie okropne kuracje, które zamieniły życie w piekło. Naświetlania. Chemioterapia. Ból, cierpienie, strach. Złość na lekarzy. Złość na los...

Podniosła na niego wzrok, pragnąc pocieszenia i, być może, rozgrzeszenia. Widywał taką prośbę w oczach ludzi na tyle często, że ją rozumiał.

- Umieranie Jacka trwało trzy lata. Okropne, ponure lata. Po tem... kiedy Jenna odeszła, gnębiłam się myślą, że powinnam była szybciej zauważyć jej uzależnienie i jakoś sobie z nim poradzić. Gdybym nie próbowała tak rozpaczliwie ratować Jacka... Zamilkła, nie kończąc zdania.

- Czy w twojej rodzinie były przypadki uzależnień? - zapytał, chcąc ulżyć jej bólowi, osłonić ją przed niemożliwym do udźwignięcia ciężarem tego, co mogło być się stać.

- Oboje byliśmy pochodzenia irlandzkiego, Peter - odparła, skinąwszy głową. - Która irlandzka rodzina nie ma w swojej historii alkoholików?

- Wiesz, że istnieje czynnik dziedziczny, Maggie. Genetyczny związek, który zdaje się obejmować

uzależnienie od narkotyków, alkoholizmu, cukrzycy, depresji i pewnego rodzaju choroby psy-

157

chicznej. Niektórzy bardzo poważni naukowcy przypuszczają, że chodzi o jakiś biochemiczny brak równowagi, który wywołuje pre. dyspozycję niektórych ludzi do uzależniających substancji, a być może i do uzależniających zachowań.

Maggie skinęła głową. Widział po niej, jaką cenę zapłaciła za uzależnienie Jenny.

- Czy myślisz, że kochasz Cody tak bardzo dlatego, że masz poczucie winy w związku z jej matką, Maggie?

- Jestem pewna, że ludzie tak myślą - odparła smutno. - Ale nie, nie sędzę - uśmiechnęła się. - Kocham Cody dla niej samej... gdybyś ją znał, to byś zrozumiał. Dla jej miłości i śmiechu. Dla jej dobroci. Dla jej reakcji na każdy strzęp miłości, który mam do zaoferowania. Myślenie, że moja miłość do niej oparta jest na poczuciu winy, poniżałoby nas obie.

Słuchając jej uważnie, Peter Messenguer wyprostował się za stolikiem. To kobiety są silne. Przekonał się o tym na początku swojego kaptłaństwa. Kobiety trwają, cierpią, opiekują się, znoszą niesprawiedliwość. A jednak w jakiś sposób są mocniejsze. Dziwił się, że mężczyźni podtrzymują kłamtwo, że to oni są silniejszą płcią. To kobiety od narodzin do śmierci walczą z brudami świata, usiłując stawić im czoła w nierównej grze. Pchają świat pod górę, wydobywając go z bagna. Uporczywie starają się poprawić sytuację i zaprzeczają opinii mówiącej, że są na drugim miejscu. Wystarczyłoby zapytać jakiegokolwiek duchownego, jaki panowałby na świecie system wartości, gdyby był zależny od mężczyzny, żeby usłyszeć, kto jest kucharzem, a kto kartoflenj, jakby to ujęła jego pochodząca z Irlandii matka.

- Zawsze podziwiałem kobiety - powiedział na głos, bardziej do siebie niż do Maggie. - Potrafią odczuwać mimo swych blizn, potrafią mimo nich kochać. My, mężczyźni, jak przypuszczam, mylnie bierzemy ich dobroć za słabość, a może dostrzegamy ich siłę i boimy się jej tak bardzo, że musimy się okłamywać i oczerniać to, czemu nie umiemy dorównać. Mężczyźni nierzadko są głupcami.

Maggie dosłyszała w jego głosie żal. Skąd on się bierze? - pomyślała.

158

- Ale ty nie pasujesz do tego wszystkiego, Peter - odparła ła godnym tonem. - Wiedziałam to już wiele lat temu, kiedy byliśmy młodzi. Nie pasujesz do żadnego schematu.

Roześmiał się.

- Myślę, że właśnie to samo mówił papież, kiedy udzielił mi re prymenty.

Zauważył, że dobrze mu się rozmawia z tą kobietą. Tak łatwo było dzielić się z nią własnymi słabościami. Uważaj, Peter - napomniął się w myślach. - Bardzo, bardzo uważaj.

Godzinę później podwiózł ją pod jej dom przy St. Lukę Place.

- Dokąd teraz jedziesz? - zapytała, przejęta późną porą.

- Zadawałem sobie to samo pytanie cały wieczór - odparł cicho.

Nie było już nic więcej do dodania, więc Maggie powiedziała mu dobranoc i weszła do ciemnego domu. Stała na chwilę tuż za drzwiami, usiłując się uspokoić. Dlaczego on ją tak rozstroił? Ten wspaniały, samotny, interesujący człowiek... Kapłan. Mężczyzna. Gdyby nie był księdzem... - zawahała się, nie wiedząc sama, gdzie się zakończy ta myśl, jeśli jej nie przerwie. Bała się tego dowiedzieć.

- Ale on jest księdzem - powiedziała na głos i poszła na górę, do łóżka.

Jakie to dziwne... Co robi na podłodze sypialni miś Cody? Tak jakby chwilę wcześniej został upuszczony przez małą rączkę... Zdziwiona Maggie podniosła pluszowego zwierzaczka, którego futerko było wytarte od nadmiaru pieszczot, i usiadła na łóżku, czując ogarniającą ją falę wspomnień. Zapatrzyła się na misia przez ły.

Och, moja kochana, gdzie teraz jesteś? Kto cię utuli w nocy i rozwieje twoje obawy? Jak uda ci się zasnąć bez ukochanego misia?

Maggie przytuliła zabawkę i zaczęła się kołysać do tyłu i do przodu, do tyłu i do przodu, tak jak od wieków robią to wszystkie matki, chcąc ukołysać do snu swe dzieci. Niemal czuła ciężar Cody w swoich ramionach. Pełne ufności i miłości ciało przytulone do jej serca.

- O Boże - powiedziała głośno. - Nigdy nie pozwolę, by stała się jej krzywda.

Nie rozbierając się, położyła się na łóżku, czując się w jakiś sposób zespolona z misiem. Nie mogła go wypuścić z rąk... był jedynym ogniwem łączącym ją z ukochaną wnuczką. Skuliła się w pozycji embrionalnej, z misiem przy piersiach, jakby osłaniając jego i wspomnienia o dziecku, które go kochało.

Rozdział 23

Maggie wyglądała przez okno kuchni, wypatrując oznak wiosny, która usiłowała przebić się przez okowy zimy. Boże, jak pragnęła zobaczyć oznaki życia. Cokolwiek, co podtrzymałoby nadzieję.

Przez ostatnie trzy dni każdego ranka dzwoniła do Cody. Za każdym razem z drugiej strony odkładano słuchawkę. Prawdę mówiąc, nie spodziewała się, że uda jej się porozmawiać z dziewczynką, ale myśl o zrozpaczonej, samotnym dziecku była tak dręcząca, że nawet daremne próby dodzwonienia się były jakimś, choć bardzo nikłym, nawiązaniem kontaktu. Wciąż próbuję, kochanie - powtarzała w myślach. - Nigdy nie przestanę próbować.

Strach, przerażenie... jak zwykłe słowa mogły wyrazić obawę, która ją dręczyła? Lęk o Cody. I o samą siebie.

Jestem na to za słaba, Boże! Nie żądaj tego ode mnie. Nie wiem, co robić.

Odwróciła się od okna. Musiała iść już do sklepu. Tego dnia miało przyjść do niej dwóch poważnych kolekcjonerów. Nie mogła sobie pozwolić na ignorowanie ich życzeń. Jedna pokazna prowizja mogła pozwolić jej nadrobić cały ten czas, podczas którego zaniedbywała interesy.

Po wyjściu pierwszego z klientów siedziała przy biurku, usiłując wziąć się w garść. Spotkanie było udane: właściwie miała pew-

160

ność, że uda jej się zdobyć przynajmniej dwa przedmioty z tych, które miał na oku pan Cox, nawet gdyby miało to trochę potrwać. Zawsze poruszało ją spotkanie z kolekcjonerem, który naprawdę kocha kupowane przedmioty, tak jak ten czarujący człowieczek.

- My, którzy jesteśmy obdarzeni przez los wystarczającą ilością pieniędzy, by pozwalać sobie na zaspokajanie naszych zachcianek, jesteśmy na swój sposób muzealnikami, Maggie - mawiał pan Cox.
- Jesteśmy opiekunami bożego skarbcza i musimy używać go po to, by zachować i chronić to, co jest rzadkie i piękne.

Spojrzała na Amandę, która siedziała przy swoim biurku po drugiej stronie pokoju, królewskim

gestem trzymając pióro marki Mont Blanc, jakby była gotowa do podpisania międzynarodowego traktatu. Maggie potrzebowała rozmowy z jakąś przyjazną duszą.

- Muszę sobie ciągle powtarzać, że Jenna cierpi na chorobę, która powoduje, że robi takie straszne rzeczy, Amando - powiedziała niespodziewanie, a jej przyjaciółka, zaskoczona, podniosła wzrok. - Ale po prostu wściekam się na nią, kiedy myślę o tym, jak krzywdzi Cody. Zapominam, że nałóg jest chorobą.

- Zgadza się: to jest choroba - odparła Amanda bez śladu jej zwykłego dobrego humoru. - Choroba kręgosłupa.

O Boże! - przypomniała sobie zbyt późno Maggie - były mąż Amandy był alkoholikiem. No cóż, to jest choroba, która na pewno pozostawia blizny. Z bólem przypomniała sobie odyseję Jenny przez kuracje odwykowe: trzy cykle w ciągu jednego roku. Początkowo dawały jej nadzieję, a potem tylko świadomość tego, jak niewielu uzależnionych od narkotyków kiedykolwiek pozbywa się nałogu.

- Nikt nie jest w stanie zmienić nałogowca, z wyjątkiem jego samego - powiedział jej kiedyś autorytatywnie pewien terapeuta.

Maggie wiedziała z doświadczenia, że to nierozwiązywalny problem. Pokusa tkwiąca w heroinie jest tak kusząca, że większość osób uzależnionych nigdy nie przestaje pożądać jej bardziej niż czegokolwiek innego.

- Myślisz o prochach, jakby to był jad żmii! - wrzasnęła raz Jenna podczas sesji terapeutycznej. - A ja myślę, że to najlepsza

161

ambrozja na świecie. Nie będzie ani jednego dnia w moim życiu żebym jej nie chciała!

To właśnie to okropne pożądanie wciągało ich wszystkich z powrotem. Tylko jeden narkoman na trzydziestu sześciu zostaje na stałe wyleczony. Przy żadnym innym nałogu rokowania nie są tak złe.

- Heroina zmienia człowieka, pani O'Connor - powiedział jej jeden z terapeutów. - Wysysa siłę witalną i zastępuje ją czymś innym. Po pewnym czasie po prostu już nie jest się tym, kim się było przedtem. Na zewnątrz ma się to samo ciało. Ale wewnątrz jest się kimś innym.

Właśnie to musiało zdarzyć się Jennie - pomyślała Maggie ze łzami w oczach, które zwróciły troskliwą uwagę Amandy. Jej córka już opuściła swoje ciało.

- Wiesz, nie powiedziałaś mi nigdy, dlaczego zdecydowałaś się zostawić męża - powiedziała cicho Maggie, pragnąc dzielić swój smutek z kimś, kto miał podobne przeżycia. - Czy to z powodu jego picia?

Amanda wyprostowała się na krześle i odłożyła pióro.

- Był alkoholikiem przez wiele lat naszego małżeństwa, Maggie - odparła wyważonym tonem. - Widziałam, jak przechodzi ciężkie chwile: utrata firmy, pieniędzy, zdrowia, szacunku dla samego siebie, przyjaciół, rodziny - typowy zjazd w dół. W końcu stanął z powrotem na nogi, w dużej mierze dzięki moim nadludzkim wysiłkom, żeby utrzymać go w trzeźwości. Po tem opanowała go obsesja robienia pieniędzy, podobna do tej, jaką miał na punkcie picia. Wtedy właśnie znalazł sobie „towa rzyszkę życia”.

Dowiedziałam się o niej przypadkiem i, oczywiście, zapytałam go o to. Powiedział mi całkiem poważnie, że kocha nas obie w równym stopniu. Potrzebowałam całej doby, żeby dotarła do mnie ta dość zadziwiająca informacja... starałam się zachować swoją godność, chociaż w duchu wykrwawiałam się na śmierć.

Zamilkła. Widać było, że to wspomnienie narusza jej zwykle opanowanie. Przez chwilę patrzyła na splecione przed sobą ręce i znowu przeniosła wzrok na Maggie.

162

#

- Następnego wieczoru nasza kucharka miała wolne. Z jakiegoś dziwnego powodu postanowiłam przygotować kotlety z baraniny,

pomyślałam zdaje się, że domowy nastrój wznieca na nowo płomień uczucia. W każdy razie... kiedy się piekły, Frederick czepiał się mnie o wszystko... o moje włosy, o budżet domowy, o moją pracę... w końcu przypiął się do dymu w kuchni z powodu moich kulinarynych wyczynów. To było naprawdę absurdalne po tym wszystkim, co przeszliśmy. Taka drobna sprawa... ale okazała się ostatnią. Zostawiłam włączony piekarnik, wyszłam z domu i nigdy już nie wróciłam.

Amanda wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się lekko.

- To był kotlet, który przepelnił czarę goryczy, co? - powie dzieła Maggie, myśląc o tym, że nikt nie przechodzi przez życie bez ran. Życie łamie każdego, jednak niektórzy dzięki temu robią się jeszcze silniejsi.

Amanda skinęła głową, a w jej oczach pojawiły się wesołe, psotne iskierki.

- Dobre wyjście jest najlepszą zemstą - powiedziała.

Rozdział 24

Ghania schodziła energicznie i z gracją, jak na kogoś jej postury, po kamiennych schodach wiodących do piwnic w rezydencji Vannie-rów. Idąc, z rozmysłem tupiała nogami. Biały abisyński kot podążał cicho za nią, a obydwie rottweilery, potulne jak pudle, zamykały tę małą procesję.

Weszła do przypominającej loch komnaty przy końcu długiej klatki schodowej. Pomieszczenie było ciemne i wilgotne, odmienne od gustownego splendoru leżących wyżej pomieszczeń. Temperatura na dole była niższa o około dziesięć stopni niż na górze, więc zdjęła z wieszaka przypominające pelerynę okrycie i otuliła się nim.

163

Nacisnęła włącznik małej lampki, oświetlając wnętrze na tyle aby było widać rzędy dużych klatek, i dała znak swoim pupilom, by poszli za nią. Więziennicze klatki były zajęte przez okaleczonych, ale nadal żywych więźniów. Część z nich stanowiły zwierzęta, ale większość była ludźmi. Ze stanu otępienia, w jakim się znajdowali, można było poznać, że wszyscy przeszli okropne tortury. Ich otwarte rany jątrzyły

się, a nogi wykrzywiały pod nienaturalnym kątem. Rozłożone ramiona więźniów były przywiązane do drewnianych płyt, by uniemożliwić im ruszanie kończynami, co mogłoby naruszyć igły i podłączone do nich rurki. Każdy z uwięzionych mężczyzn i chłopców był ludzkim bankiem krwi. To oni byli Tymi, Którzy Krzyczą.

Więźniowie byli za słabi, by się ruszać czy stawiać opór, a jednak paru młodszych mężczyzn zdołało wycharczeć przekleństwa pod adresem przechodzącej Ghanii. Niektórzy nawet niemrawo stukali w pręty klatek w żalonym akcie oporu. Rottweilery rzuciły się na kraty, kłapiąc paszczami i gryząc, ale ich pani przystąpiła do pracy, nie zwracając wcale uwagi na to zamieszanie.

Sprawdziła uważnie każdą butelkę, od czasu do czasu trącając małą wydajnych dawców krwi, żeby sprawdzić ich stan. Ignorowała wszystkie prośby, przekleństwa i błagania o łaskę, jakby w ogóle ich nie słyszała. Większość ofiar była za bardzo umęczona, żeby chociaż jęczeć z bólu, ale ich udręczone oczy śledziły ruchy kobiety, kiedy przechodziła wzdłuż rzędów klatek. Więźniowie wiedzieli, że czasami na chybił trafił otwiera klatki tych, którzy już nie oddają krwi i podrzyna nieszczęśnikom gardła. Niektórzy lękali się tego, ale inni modlili się o szybkie uwolnienie od cierpienia.

W końcu, zadowolona z przeglądu Ghania podeszła do wielkiej szafy chłodniczej na końcu rzędu klatek i otworzyła ją. W środku, niczym w szpitalnym banku krwi, stały ustawione równymi rzędami butelki z ludzką krwią. Wzięła jedną z nich i otworzyła, wachając zawartość, jak koneser badający wino z dobrego rocznika. Uznavszy z zadowoleniem, że zawartość butelki jest świeża, odstawiła ją na miejsce. Rottweilery łąsiły się do jej nóg i skomlały błagalnie, ale je zignorowała. Karmienie krwią należących do czarowników zwie-

164

t domowych było starożytnym zwyczajem, ale w nowożytnych zasach niewielu magów rozpieszczało swoje zwierzaki.

Zamknęła szafę z westchnieniem: musiała znaleźć jakiś sposób, by nakłonić Cody do picia be/ wymiotów koktajlu z krwią. Rytualna uczta obniżyłaby częstotliwość jej wibracji i wzmocniła jej związek z domem. Nikt do tej pory nie potrafił długo się jej opierać. No, ale, oczywiście, nikt inny nie był Wyśłannikiem Izdydy.

Podeszła do wielkiej lodówki, która stała obok szafy do przechowywania krwi. Wyjęła z niej mały kawałek mięsa, wzięła do ręki swoje rzeźnicze narzędzia i sprawnie pocięła mięso na porcje na kolację dla swoich pupilków.

Obdarte ze skóry małe dzieci zawsze były ich ulubionym przysmakiem - pomyślała, kładąc do jednej miski małą nogę, a do drugiej równie małe ręce i barki. Szkoda, że serce i nerki były tak małe, że wystarczały zaledwie na kęs dla kota. Czasami trudno było o stałe zapasy świeżych dzieci, a poza tym najlepsze z nich zawsze były wykorzystywane do komunii, ale ostatnie rozplodowe sztuki okazały się wydajne i mieli dużo zapasów. Nie szkodziło więc tym razem urządzić zwierzakom ucztę w starym stylu,

by przypomniały sobie ojczyznę.

Rozdział 25

Kiedy Malachy Devlin odwiesił słuchawkę telefonu po rozmowie z Maggie, był zaskoczony swoim radosnym podnieceniem. Już nie pamiętał, żeby cokolwiek nastrajało go w podobnie pozytywny sposób. Nie miał pojęcia, dlaczego ona tak na niego działa, ale sama świadomość tego, że zobaczy się z nią tego wieczoru, dodawała mu skrzydeł.

Do tej pory spotkał się z nią jakieś pięć razy. Zadawał jej wtedy pytania lub sam odpowiadał, starając się pojąć, jak ktoś taki jak ona w ogóle mógł trafić w takie l>ajmo. Rozważał z tuzin zmyślonych

165

powodów, by ją odwiedzić. Były to raczej zwiadowcze misje duchowe niż policyjna procedura: okazja do lepszego poznania jej głębi, gdzie ludzie są prawdziwi, wrażliwi, odważni i interesujący. Była w niej jakaś łagodność, która go poruszała, być może dlatego, że wyczuwał, iż maskuje ona autentyczną siłę.

Jak w ogóle można zdefiniować takie przyciąganie? Dlaczego dodawała mu sił i sprawiała, że na nowo myślał pozytywnie o świecie? Tak, jakby niektóre rzeczy, z których już zrezygnował, mogły być znowu możliwe.

Podobała mu się bezpośredniość Maggie i gotowość do walki z trudnościami oraz specyficzne poczucie humoru, które go zawsze trochę zaskakiwało. Gdyby się spotkali w innych okolicznościach, byłoby mu łatwiej zdecydować się, co robić dalej... jak rozegrać tę znaną od wieków grę, jak mieć z tego trochę przyjemności. Z drugiej strony, w innych okolicznościach w ogóle by się nie spotkali.

Uśmiechnął się do swych własnych rozmyślań: minęło już wiele czasu, odkąd myślał o pokochaniu kogokolwiek. Czego od niej chciał? Pocieszenia, ciepła, wzajemnej bliskości? Zwierzęcego zaspokojenia, zerwania z przeszłością, afirmacji życia w twardym, bezlitosnym świecie? Może wszystkich tych rzeczy? A może jeszcze dużo więcej...

Był świadom tego, że odczuwa pragnienie dania jej czegoś. Ale jeszcze nie wiedział, co to może być.

Rozdział 26

Sekcja egiptologiczna Metropolitan Museum była ulubionym celem jej wypraw z Jenną w deszczowe niedziele - przypomniała sobie Maggie z gorzko-słodkim ukłuciem, przechodząc pomiędzy starożytnymi eksponatami w drodze na spotkanie z doktorem Hazre-dem. Zadzwoiła do kustosa muzeum z prośbą o umożliwienie jej spotkania ze znawcą starożytnej magii egipskiej i w odpowiedzi

166

otrzymała propozycję spotkania z doktorem Hazredem o dziesiątej rano. Może autentyczny znawca starożytnego Egiptu mógłby rzucić nieco światła na legendę o amulecie?

Zatrzymała się na kilka minut w świątyni z Dendera, pozwalając, by przeniknął ją dziwny magnetyzm tego miejsca. Celowo przyszła na spotkanie przed czasem, by móc jeszcze raz obejrzeć te ruiny. Zawsze przyciągały ją w jakiś dziwny sposób, o wiele poniżej poziomu świadomości... całkiem jak wtedy, gdy była dzieckiem i podczas wycieczki do Wielkiej Brytanii doznawała dziwnych wizji, w których była w stanie „zobaczyć” historię danego miejsca w jakiś ponadmysłowy sposób, którego nie rozumiała. Teraz, w tej starożytnej świątyni znowu czuła jakieś psychiczne przyciąganie, które szarpało jej podświadomość i wprawiało w niepokój.

Stała unieruchomiona przez to niesamowite doznanie na wprost reliefu, przedstawiającego nubijskich bogów Arensnufisa i Mandu-lisa, kiedy tuż za swoimi plecami wyczuła czyjaś obecność.

- Pani może się nazywa O'Connor? - usłyszała męski głos.

Obróciła się zaskoczona, ale jeszcze bardziej wstrząsnął nią widok jego twarzy. Mężczyzna, który ją zagadnął, wyglądał jak jeden z otaczających ją kamiennych faraonów, tyle, że miał pomniejszone do ludzkich proporcji autokratyczne rysy twarzy. Udało jej się zapanować nad sobą i wyciągnęła ku niemu dłonie.

- Czy doktor Hazred?

- Do usług.

- Mógłby pan pozować do niektórych z tych posągów.

- Być może jacyś moi przodkowie to robili - odparł wprost, prowadząc ją do swojego gabinetu. - Wyglądała pani na oczarowaną świątynią, w której panią znalazłem, pani O'Connor - ciągnął, otwierając przed nią drzwi. - Została rozebrana w 1963 roku i przewieziona tutaj z Dendera, gdzie stała przez tysiące lat. Rząd Egiptu przekazał ją jako dar Stanom Zjednoczonym. Oczywiście, wielu ludzi uważa, że było to po prostu kolejne zbezczeszczenie egipskich starożytności dla politycznych zysków. Niestety, Zachód ma długą historię rabowania skarbów moich przodków.

- Naprawdę? - odparła, strosząc się nieco wewnątrz na ten polityczny wtręt. - Bez wątplenia sami Egipcjanie byli rabusiami

167

królewskich grobowców na długo przedtem, zanim Zachód próbował cokolwiek z nimi robić, doktorze Hazred. Zdawało mi się, że świątynia została rozebrana z powodu powiększania jeziora Nasse-ra, które groziło jej zniszczeniem.

Abdul Hazred uniósł aprobująco brwi.

- Jest pani egiptologiem-amatorem? - zapytał z wyraźnym zainteresowaniem.

- Z zawodu jestem antykwariuszem, więc posiadam pewną wiedzę na temat egipskich antyków, ale, niestety, nie aż taką, by zaspokoić moje obecne potrzeby i dlatego przyszłam prosić pana o pomoc.

Skinął nieznacznie głową.

- Postaram się okazać kompetentny.

- Interesuję się magicznymi amuletami i talizmanami, doktorze Hazred - zaczęła. - Gdyby mógł pan podać mi nieco podstawowych informacji na ten temat, wywodzących się ze starożytności, bardzo by mi się to przydało.

- Czytała pani Petriego?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Jego praca zdaje się raczej tworzyć katalog, niż wyjaśniać -odparła. - Poza tym jego związki z jakąkolwiek metafizyką wyglądają na nieistotne. Miałam nadzieję dowiedzieć się czegoś na temat ich rzekomej mocy w bardziej przystępny sposób.

- Rozumiem - powiedział, zastanawiając się nad sformułowaniem odpowiedzi. - Jak z pewnością pani wie, wiara w magiczne własności przedmiotów nieożywionych dotyczy nie tylko starożytnych Egipcjan. Używanie amuletów i talizmanów jako środków leczniczych lub ochronnych, które odpędzały zło, zawsze było czymś powszechnym. Można dzięki nim oddać daną osobę pod opiekę konkretnego bóstwa... katolicy noszą w tym celu krzyżyki lub cudowne medaliki. Można powiedzieć, że stani-wią one opium dla mas, tylko w łatwiejszej do przenoszenia formie.

Maggie nie miała zamiaru pozwolić mu, by skierował rozmowę na nie interesujące ją tory; ten mężczyzna mógł mieć wiedzę, której potrzebowała.

168

- Rzecz jasna, istnieje wiele prawdopodobnych wytłumaczeń upartego przywiązania ludzkości do takich amuletów, pani O'Connor. Postfreudyści mogą powiedzieć, że noszenie przedmiotu, który podobno zapewnia szczęście lub ochronę, dodaje człowiekowi pewności siebie. Oczywiście, że pewność siebie rozwiązuje sprawę, ale zasługa spływa na talizman - wyjaśnił z uśmiechem.

Współczesna psychologia dopuszcza także możliwość, że medyczne amulety działają przez

skierowanie pozytywnej energii myśli na obszar choroby, co powoduje, że mózg uwalnia do organizmu endorfiny lub inne korzystnie działające substancje. Pośród ludów prymitywnych istnieje też powszechny pogląd, że przedmiot może dodać mocy osobie go noszącej przez to, że ucieleśnia pewne pożądane cechy... ząb niedźwiedzia użyczą siły, skóra węża maskuje, ogon lisa uczy przebiegłości et cetera, et cetera.

Rozparł się w krześle, wyraźnie rozkoszując się tematem.

- Czy uważa się, że te przedmioty są uświęcone przez jakieś konkretne bóstwa? - zapytała Maggie.

- Jak najbardziej. Horus, Min, Ozyrys i inni byli uważani za potężnych opiekunów talizmanów. Z pewnością widziała pani przedstawienia Oka Horusa, które noszono, by zaglądało w serca przybyszów i w ten sposób chroniło noszącą je osobę od złych zamiarów.

Maggie poprawiła się na krześle i pochyliła ku niemu.

- Doktorze Hazred, interesuje mnie szczególnie sprawa dwóch konkretnych amuletów, o których czytałam, a które zdają się być pod opieką dwóch konkretnych bóstw. Są to Amulet Izdy i Kamień Sechmet.

- Wy, Amerykanie, uwielbiacie historie o starożytnych klątwach i inne nonsensy, o których nic nie wiecie - odparł Hazred, a jego dotychczasowe życzliwe nastawienie przerodziło się w niechęć. - Pewnie ma pani jakiegoś zwariowanie bogatego kolekcjonera, chcącego teraz dodać do kolekcji świecidełko, który pozwoli mu rządzić światem?

Nagła zmiana w nastroju rozmówcy niezmiernie zaskoczyła Maggie.

- Widzę, doktorze Hazred, że trafiłam na pana czuły punkt,

choć nie było to moim zamiarem. Jako antykwariusz nie mo-

169

głam nie być zaintrygowana tak pełną magii opowieścią. Ktoś kogo kocham, zetknął się z nią w dość szczególny sposób, więc uznałam, że powinnam dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

- Proszę mi wybaczyć, pani O'Connor. Często jestem nagabywany przez Amerykanów, których w istocie nie interesuje nasza historia, ale tylko co bardziej sensacyjne fragmenty naszych wierzeń. Takie wypaczone podejście obraża mnie jako poważnego badacza, ale oczywiście, to nie ma miejsca w pani przypadku. - Spojrzał na

Maggie badawczo i dodał: - Powiem pani, co wiem o tej legendzie, chociaż wątpię, czy to pani wystarczy.

Według starożytnych, w czasach panowania faraona Dżosera z Trzeciej Dynastii bogini Izyda doprowadziła do stworzenia amuletu, który obdarzyła niezmierną mocą swojej własnej dobroci. Posiada on władzę zarówno nad tym, co jest dobre w rodzaju ludzkim jak i nad tym, co jest złe w przyrodzie, więc każdy śmiertelnik, który posiadałby ten skarb, panowałby nad wszystkim, co jest dobre na ziemi.

- Czy legenda tłumaczy, dlaczego Izyda stworzyła taki przedmiot?

- Pomimo naszych słabości, Wielka Matka zawsze okazywała niezmierną miłość dla rodzaju ludzkiego. Bogini powiedziała, że w bardzo odległej przyszłości nadejdzie czas, kiedy rodzaj ludzki będzie uwikłany w walkę pomiędzy dobrem i złem tak niebezpieczną, że zagrażającą naszemu istnieniu. Z punktu widzenia bogów, jesteśmy eksperymentem, pani O'Connor. Nasze życie to szkoła, w której przechodzimy - albo i nie - z klasy do klasy, i przypuszczalnie jest całkiem możliwe, że poniesiemy klęskę.

Według legendy, kiedy nadejdzie ten niebezpieczny moment w historii ludzkości, na ziemię trafi wystanniczka... emisariuszka dobrej woli Wielkiej Matki, że tak powiem. Ta wystanniczka będzie posiadała moc materializacji Amuletu Izydy. W rękach sprawiedliwych Amulet będzie mógł zmienić los ludzkości przez wzmocnienie wszystkiego, co dobre w naszej planetarnej matrycy. Krótko mówiąc, dobro zatriumfuje i Ziemia będzie uratowana.

- A Kamień Sechmet? Jak on się ma do tej legendy?

170

_ I tu jest cały problem, pani O'Connor. Gdyby Amulet Izydy wpadł w ręce złych ludzi, Adeptów, to mogliby go prawdopodobnie użyć do wskrzeszenia Kamienia Sechmet.

- To znaczy?

- Wcielenia wszelkiego zła... Kosmicznego przeciwieństwa Amuletu Izydy. To jak Yin i Yang, pani O'Connor. Światło i ciemność. Ekstaza i rozpacz. Bogowie mają w zwyczaju dawać człowiekowi szansę złego wyboru.

- Ale dlaczego człowiek miałby to zrobić, doktorze Hazred, gdyby w rezultacie groziło mu unicestwienie?

- Oczywiście z chciwości! Jeżeli ktoś ma Kamień Sechmet, to panuje nad całym Złem i Chaosem. Proszę pomyśleć o całej nieograniczonej władzy, jaką by to dawało. Panowanie nad klęskami żywiołowymi oznacza, że panuje się nad światowymi giełdami, panowanie nad armiami i arsenałami broni daje panowanie nad całymi narodami. Ludzie zabijali się, kaleczyli i rozgniatali w pył dla o wiele mniejszych stawek. Mając do dyspozycji taką moc, nie miałyby się nad sobą żadnych reguł ani

ograniczeń.

- Więc Izyda ustanowiła ostateczny test - powiedziała Maggie z zastanowieniem. - Zmaterializowaną metaforę odbijającą przedwieczną walkę pomiędzy dobrem i złem. Ostatnią szansę na to, by zobaczyć, w którym kierunku pójdzie ludzkość, jeżeli cała władza we wszechświecie znajdzie się w naszych rękach zamiast w rękach bogów.

Hazred uśmiechnął się.

- Mówi pani o tej legendzie, jakby pani wierzyła, że to prawda, a nie jedynie przerośnia.

- Muszę panu powiedzieć - odparła Maggie z wielką powagą - że w tym momencie jestem w stanie uwierzyć we wszystko.

Przerwała na chwilę i uśmiechnęła się. Hazred zauważył, że jest naprawdę atrakcyjną kobietą.

- Proszę mi powiedzieć, gdyby to była prawda... jak pan myśli, w którą stronę poszłaby ludzkość? Która strona by zatriumfowała?

- Natura ludzka jest zepsuta, pani O'Connor - odparł bez wahania. - Widziałem wiele razy, jak absolutna władza doprowadza

171

do zepsucia wszystkiego i nie dostrzegłem żadnych dowodów na to że pokorni zawładną ziemią. Jeden bezwzględny człowiek, dysponujący olbrzymimi sumami pieniędzy, może bardzo łatwo podporządkować sobie swych pokorniejszych braci, którzy nadstawiają drugi policzek.

- Gandhi mógłby się z panem nie zgodzić, doktorze Hazred, a już na pewno Chrystus, ale to temat na debatę filozoficzną, która zajęłaby o wiele więcej czasu, niż mamy do dyspozycji - powie działa Maggie, wstając z krzesła i wyciągając do niego rękę. - Gdyby mógł mi pan polecić jakieś książki, żeby pogłębiła moją wiedzę, byłabym bardzo wdzięczna. To, co pan powiedział, dało mi wiele do myślenia.

Opuściła muzeum, próbując uporządkować w głowie uzyskane informacje.

* * *

Abdul Hazred podniósł słuchawkę i wybrał numer.

- Gra się zaczęła. Interesujący wybór Strażniczki - powiedział.

Nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę i pozbierał

z biurka papiery, łącznie z małą plaketką z brązu z wygrawerowanym na niej jego własnym nazwiskiem. Wkładał je akurat do teczki, gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich nieduży mężczyzna, wyglądający na zaniepokojonego. Widząc, że Hazred szykuje się do wyjścia, od razu zaczął mówić.

- Uważam, że postąpiłem właściwie, informując nasz rząd o jej

dociekaniach, doktorze Hazred - oświadczył.

Mówiąc to, sięgnął do środkowej szuflady biurka, wyjął z niej tabliczkę ze swoim nazwiskiem, umieścił na biurku i usiadł w skórzanym fotelu na wprost Hazreda.

- Kiedy powiedziała przez telefon o Amulecie Izdy, wydawa

ło mi się to konieczne, biorąc pod uwagę czas.

Hazred skinął głową.

- Dobra robota, doktorze Gerard. Bez wątplenia postąpił pan we właściwy sposób.

- Więc ta kobieta jest oczekiwaną osobą?

172

Hazred pokręcił głową.

- Przykro mi, doktorze Gerard, ale nie wolno mi omawiać tej kwestii, gdyż ma ona związek z narodowym bezpieczeństwem. Mogę tylko zapewnić, że pańskie działania na rzecz Egiptu nie pozostaną nie zauważone lub nie nagrodzone. - Uśmiechnął się. - Oczywiście, nie będzie pan o tym z nikim rozmawiał, ani z żoną, ani z dziećmi, ani z kochanką, jeżeli pan ją ma. Ktoś się z panem skontaktuje, jeżeli nadal będą nam potrzebne pańskie usługi.

Usta kustosza były nadal pełne nie zadanych pytań, gdy Hazred pośpiesznie opuścił gabinet. Gdyby referencje Abdula Hazreda jako egiptologa nie były tak nieskazitelne, to Gerard skarciłby go za nieuprzejmość. Jednak w tej sytuacji czuł ulgę, że rząd nie powierzył tej sprawy jakiemuś kretynowi z tajnej policji, ale wybrał naukowca tej miary co Hazred, by zajął się tak delikatną kwestią.

Rozdział 27

O jedenastej rano Gino Garibaldi wsunął głowę do gabinetu Devli-na.

- Niech pan zgadnie, skąd był ten anonimowy telefon, poruczniku - zaproponował z wesołym uśmiechem.

- Z domu Cheri Adams - odparł Devlin. - Maggie została ostrzeżona przez telefon zbyt szybko po jej rozmowie z Cheri, żeby to mógł być zbieg okoliczności. Może powinniśmy usłyszeć, co ona ma nam do powiedzenia na ten temat.

Włożyli notesy do kieszeni i ruszyli do domu na Zachodniej Dziewiątej Ulicy.

Po czterdziestu minutach straszenia, przeplatane go zachętami, Cheri z oporami podała im nazwisko tej osoby.

- Allie Roberts - powiedziała, pragnąc zrzucić z siebie ten ciężar, a jednocześnie bojąc się. - Była moją najlepszą przyjaciółką

173

jeszcze w dzieciństwie. Opowiedziałam jej o pani O'Connor i zadzwoniła ode mnie.

- Dlaczego chciałaś, żeby Allie zadzwoniła do pani O'Connor, Cheri? - zapytał Devlin, pragnąc, by dziewczyna nie przestała mówić. - Dlaczego uznałaś, że ona i Jenna są w to zamieszane?

- Tamtego dnia w Greenwich - zaczęła niepewnie Cheri - Jenna popisywała się tymi wszystkimi superrzeczami, które ma. Wie pan... pieniądze, ubrania, biżuteria. Zaprowadziła mnie do sypialni, żebym zobaczyła jej szafę. Była większa niż całe to mieszkanie. No i zaczęła przymierzać przy mnie te ciuchy. Wtedy zobaczyłam na jej ramieniu dziwny tatuaż - taki sam jak Maa Kheru zrobili Allie na plecach. Pomyślałam: cholera, może wszystkie pieniądze Jenny pochodzą z tego samego miejsca, co pieniądze Allie. To znaczy, Allie mówiła, że ci z Maa Kheru są nadziani. Rolls-royce'y, pieniądze, pałace i takie różne.

Właśnie wtedy zadzwoniła do mnie pani O'Connor. Była taka zrozpaczona i w ogóle no i pomyślałam, że jakbym namówiła Allie, żeby z nią porozmawiała, to może mogłabym uratować dziecko Jenny przed tymi wariatami. Nie myślałam, że można sprawdzić, skąd się dzwoni - dodała z niezadowoleniem.

- Gdzie jest teraz twoja przyjaciółka, Cheri? - włączył się do rozmowy Garibaldi.

- Nie mogę wam tego powiedzieć. Obiecałam. Ona mówi, że ją zabiją.

- Słuchaj, Cheri - powiedział spokojnie Devlin. - Jeżeli Allie jest w takich kłopotach, jak mówisz, to powinniśmy ją znaleźć, i to szybko. Ma większe szanse na zostanie przy życiu pod naszą opieką, niż gdy jest gdzieś tam sama.

Cheri zastanowiła się nad słusznością tego stwierdzenia i powiedziała z wahaniem: - Jest w kwartale artystów przy Great Jones Street, w jednym z tych starych budynków ze strychami, które dzielą na tysiąc tanich pracowni. O Boże! Mam nadzieję, że dobrze robię, że wam to mówię.

*

Devlin i Garibaldi weszli razem do brudnego holu. Budynek wyglądał na opuszczony. Klatka schodowa cuchnęła tak, jakby nie była myta od lat sześćdziesiątych, a niegdyś białe, marmurowe stopnie, teraz ciemnoszare, były mocno wytarte przez buty chodzących tędy od dziesiątków lat ludzi.

Zapukali do drzwi z podanym przez Cheri numerem, ale nikt nie zareagował.

- Oślaniaj mnie - mruknął Devlin, trzymając glocka w jednej ręce, a drugą kładąc na klamce.

Stare drzwi uchyliły się ze skrzypieniem. Otworzył je szeroko kopniakiem i, przysiadając w pozycji strzeleckiej, wsunął przez nie pistolet. Obrzucili wyćwiczonym spojrzeniem wnętrze: brudny materac w jednym rogu, rój karaluchów w pudełku po pizzy, tekturowa komoda od Woolwortha z wybebeszonymi szufladami. Czyste, chociaż tandetne ubrania wylewające się z szuflad. Garibaldi ruszył w prawo, a Devlin w lewo. Jedynym dodatkiem do dużego, otwartego pomieszczenia była maleńka ubikacja po stronie Devlina.

- Tutaj, poruczniku! - zawołał Gino, zatrzymując się przy łóżku.

Było przesiąknięte krwią.

- Cheri mówiła, że ona wiedziała, że ją znajdą - mruknął Devlin, przyglądając się śladom zbrodni.
- To nie rokuje Cheri perspektyw na długie życie, poruczniku.
- Wezwij ekipę techniczną, Gino - polecił ten, chowając pistolet. - Chociaż nie bardzo nam to pomoże, skoro nie ma ciała.

Garibaldi pokręcił wymownie głową.

- Tak, ale może zachęci Cheri do przypomnienia sobie jeszcze paru ważnych dla nas faktów.
- Może. No i jeszcze trzeba będzie zbadać sprawę tatuażu. Niech ona narysuje, jak to wygląda, albo może znajdziesz jakiegoś rysownika.
- Myśli pan, że nadeszła pora, żeby to zrobić bardziej oficjalnie, poruczniku?

Devlin zmarszczył brwi.

Devlin i Garibaldi czekali w mieszkaniu Cheri, aż dziewczyna wyjdzie z łazienki. Zza drzwi słychać było wyraźne odgłosy wymiotowania. Przeraziła ją informacja o zniknięciu Allie, ale kiedy usłyszała o krwi na łóżku, ogarnął ją również strach o samą siebie.

- Posłuchaj, Cheri - powiedział Devlin, kiedy wróciła do pokoju z czerwonymi od płaczu oczami i nosem. - Jeżeli Allie podzieliła się z tobą tym, co zdradziła pani O'Connor, to jestem pewien, że powiedziała ci o wiele więcej.

Cheri potrząsnęła przecząco głową.

- To, co wiedziała, pewnie doprowadziło do jej śmierci - powtórzyła z uporem. - Nie chcę być następną na ich liście.

- Możemy ci pomóc przeżyć, Cheri - powiedział z naciskiem Devlin. - Ale tylko jeżeli będziesz z nami szczerą. Słuchaj, mała, jeśli zachowasz tylko dla siebie wszystko, co wiesz, to będziemy potrzebowali o wiele więcej czasu, żeby przyskrzynić tych sukinsynów, którzy załatwili twoją koleżankę. Nie chcę cię straszyc, ale może z ciebie zostać wielka, czerwona plama na łóżku, a wolałbym, żeby do tego nie doszło.

Poczekał, aż dotrze do niej ta ponura perspektywa. Niemalże słyszeli przerażone myśli w głowie dziewczyny.

- Co chcecie wiedzieć? - zapytała w końcu zrezygnowanym szeptem.

Devlin i Garibaldi wymienili spojrzenia.

- Wszystko, co Allie powiedziała ci na temat Maa Kheru - odparł Garibaldi. - Po pierwsze, jak nawiązała z nimi kontakt?

Cheri wzięła głęboki oddech.

- Allie była narkomanką, tak jak ja... wiecie, jak to jest, gdy człowiek jest na haju... dzieją się różne rzeczy. Pracowała w tym

176

klubie przy Christopher, w Loopy Jupiter. Allie była naprawdę dobrą tancerką i nie miało dla niej wielkiego znaczenia czy wychodziła topless, czy bez dołu. Po prostu uwielbiała tańczyć i miała takie super

ciało... robiła sobie taką specjalną mieszankę z herą, żeby móc tańczyć całą noc.

- Kokaina z heroiną? - zapytał Garibaldi.

- I coś jeszcze. Nie wiem dokładnie, co. W każdym razie, jednej nocy przyszedł tam facet... wcale nie wyglądał na lumpa, wiecie: garnitur, krawat i tak w ogóle. Wziął ją na bok i powiedział, że jest łowcą talentów i pracuje dla jakiejś specjalnej grupy ludzi, którym naprawdę się podoba jej taniec. Powiedział, że jeśli to ją interesuje, to będzie miała masę prochów, jedzenia, ubrań i co tylko chce, i nie będzie nic robić, tylko imprezować z jego kumplami i robić to, co trzeba. Więc poszła z nim, jak skończyła robotę. Zabrał ją do jakiegoś mieszkania na przedmieściach: bardzo bajeranckie i drogie i było tam pełno ludzi, którzy wyglądali na bogatych. Allie powiedziała, że to była trochę niesamowita sytuacja, jakby jakiś casting czy coś takiego. Pozwolili jej się naszprycować superdobrymi prochami i potem kazali jej tańczyć. Mówiła, że muzyka była ekstra i tańczyła jak głupia. Potem dali jej jeszcze trochę koki, kazali zdjąć ubranie i wszyscy stanęli dookoła, żeby ją oglądać. Mówiła, że wyglądało na to, że interesują się jej ciałem, coś jak lekarze czy ktoś taki i wszyscy mówili, jaka jest super, jakie ma znakomite cycki i takie tam rzeczy. Więc pewnie czuła się ważna...

W każdym razie, załapała się do nich na jakiś czas... tańczyła na przyjęciach i spała z każdym, z kim kazali. Żyła całkiem nieźle: ubrania z domów mody, kupa forsy. Zdawało się jej, że złapała pana Boga za nogi. Opowiadała o tych wszystkich ważnych facetach, z którymi spała. To naprawdę były duże nazwiska: z telewizji, z polityki...

- Wierzyłaś jej? - zapytał Devlin.

- Tak, wierzyłam. Wie pan, poruczniku, wystarczy oglądać wiadomości w telewizji, żeby wiedzieć, jak te grube ryby się pieprzą dookoła.

Obydwoj policjanci musieli powstrzymać uśmiech.

177

- /Je to była naprawdę dziwna sytuacja i trochę się tego bała. Tak ją wtedy, kiedy kazali jej zrobić ten egipski tatuaż...

- Potrafiłabyś go narysować? - wtrącił Garibaldi.

- hwnie tak. To był taki dziwny, egipski krzyż z pętelką na górze...

- Ankh?

- Iik. Właśnie to! I miał różne starożytne napisy... no, wiecie, hierogify jak na piramidach, tak mówiła.

W każdym razie, Allie mieszkała z tymi ludźmi ponad rok, no i potem zaszła w ciążę. Pomyślała, że sieprzyła całą zabawę. Ale stało se coś dziwnego, bo kiedy poprosiła gościa, który kierował całym ym cyrkiem, o skrobankę, powiedział, że nie chce, żeby ją sobie zrobiła. Powiedział, że ludzie w jego klubie

lubią małe dzieci i, że jak ona chce, to może urodzić dziecko, a oni zajmą się nią w czafie ciąży. Allie zadzwoniła wtedy do mnie i powiedziała „Kurcze, Cheri, to wygląda tak, jakby mieli jakiś system opieki dla pracownic, które zajądą w ciążę. Mają nawet dom, gdzie można mieszkać. Gdzieś na północy stanu koło Bear Mountain”.

De\lin i Garibaldi znów spojrzeli po sobie.

- V< ięc dalej pracowała, aż było po niej widać, ale nawet wtedy ten facet nie chciał, żeby przestała, tylko dostarczał gości, których brał sejs z ciężarną.

- Jtzu! - mruknął Garibaldi. - Co za ludzkie panisko.

DeV.in gestem nakazał Cheri, by nie przerywała.

- V"" końcu, kiedy już prawie był czas, żeby urodziła, wysłali ją do tego domu. Nie powiedziała mi, gdzie to dokładnie było, tylko że gdzKŚ w pobliżu Bear Mountain.

No : tutaj wszystko zrobiło się jeszcze bardziej niesamowite -ciągnęła Cheri, zatopiona w swej opowieści, czując ulgę, że może się tyrr. z kimś podzielić. - To był taki pensjonat i dawali jej tam każdego dnia jakiś obrzydliwy napój. Nie chciała go pić, ale powiedzieli, że musi to robić dla dobra dziecka, że ma drożdże piwne i witarany, ale Cheri mówiła, że to miało metaliczny smak, coś jak krew, i śmierdział jak gównno, więc nie chciała pić, ale mieli fioła na tym punkcie i w końcu dwóch facetów zmusiło ją, żeby piła. Powiedzieli, że jak będzie im robiła jeszcze jakieś kłopoty, to będzie mu-

178

siała się stamtąd wynieść. I wtedy zaczęło ją ruszać... wiecie, zaczęła coś podejrzewać i próbowała przewąchac sprawę, bo to wszystko nie wyglądało normalnie. W każdym razie, w tym domu były inne dziewczyny i niektóre wiedziały to i owo o całej sytuacji. Właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszała, że ten klub nazywa się Maa Kheru.

Potem, jakieś dwa dni przedtem, zanim urodziło się jej dziecko, inna dziewczyna zaczęła rodzić i Cheri słyszała te wszystkie wrzaski. Cholerne to ją wystraszyło. Najpierw myślała, że to po prostu bóle porodowe i tak dalej, ale potem usłyszała, jak mówią, że zabierają gdzieś dziecko i słyszała, jak matka błaga, żeby tego nie robili. Potem ktoś wyjaśnił im, że są rozródowe.

Powiedział „Ty głupia cipo, nawet mi nie mów, że nie wiedziałas, że dzieci są tu hodowane na stół szatana”.

Twarz Devlina była jak skamieniała. Garibaldi na tyle często widział u niego taką minę, by wiedzieć, że myśli teraz o wnuczce Maggie.

- Czy ona przedtem słyszała coś o satanizmie, Cheri? - zapytał

z napięciem w głosie.

Odwróciła od niego wzrok. Było oczywiste, że nie ma chęci odpowiadać,

- No, Cheri. Tu chodzi też o twoje życie.

Dziewczyna przegarnęła palcami swoje i tak już potargane włosy.

- Słyszała różne rzeczy od tych fagasów i innych dziewczyn.

O tym, że ci faceci należą do jakiegoś ekskluzywnego klubu, który czci szatana. Mówiła, że to wszystko taki wygłup... wiecie, jak ci faceci, co wstępują do Moose Club, nakładają głupie kapelusze i wyobrażają sobie, że są nie wiadomo kim. Myślała, że to coś po dobrego, tylko że dla bogatych gości.

Garibaldi zobaczył, jak usta Devlina drgają w kącikach.

- I co zrobiła potem?

- Próbowała uciec, ale złapali ją i przywlekli z powrotem. Była prawie pewna, że ją zabiją czy coś podobnego, ale powiedzieli, że będzie z niej wspaniała matka. Mówili, że ta dziewczyna, która krzyczała, była prawdziwą suką, która i tak by nie kochała dziecka.

179

W każdym razie powiedzieli, że Allie może zatrzymać dziecko tak długo, jak długo będzie robiła to, co jej każą. Za bardzo się bała, żeby robić cokolwiek innego.

- Jak długo to trwało?

- Prawie rok. Trafiłam do Areba...

- Do tej kliniki odwykowej przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy? - przerwał jej Devlin.

- Tak - odparła. - Więc byłam czysta, zanim spotkałam się znowu z Allie. Potem jednej nocy zadzwoniła do mnie rozhisteryzowana. Błagała, żebym spotkała się z nią w SoHo na rogu Spring i West Broadway. Nie widziałam jej tak długo, myślałam, że nie żyje, więc cieszyłam się, że mam okazję ją

spotkać, ale tak wyglądała, że chyba byłoby lepiej, gdyby nie żyła. To znaczy, nie mogłam uwierzyć w to, jak wygląda. Wychudzona i jak zwariowana. Ciągłe się rozglądała, w lewo i w prawo, jakby się bała... jak szalona. Powiedziała, że wykorzystali Stacy w jakiejś ofierze, coś jak czarna msza. Podobno zmusili ją do patrzenia, kiedy żywcem ściągali skórę z dziecka.

Oczy Devlina napotkały wzrok Garibaldiego.

- Pokazała mi miejsce na brzuchu, gdzie też zerwali jej kawałek skóry, żeby wiedziała, jak to jest. Miało jakieś cztery cale kwadratowe powierzchni i wyglądało naprawdę okropnie.

- Jak się stamtąd wydostała? - zapytał Devlin, zastanawiając się, jak wiele z tego mogło być prawdą. Jak każdy policjant, był pewien jednego: każdy kłamie.

- Już mówiłam, że Allie była tancerką. Potrafiła robić te wszystkie akrobacje. Była giętka jak guma, miała jakieś podwójne stawy czy coś takiego. W każdym razie powiedziała, że wepchnęli ją do takiego pokoju na najwyższym piętrze, z malutkim okienkiem, ale udało się jej przez nie przecisnąć. Wywichnęła sobie ramię, ale zeszła na dół po jakiś pęczkach i po rynnie i przyjechała stopem do miasta. Dostała od jakiegoś znajomego artysty to mieszkanie przy Great Jones, tam, gdzie znaleźliście tę krew. Ale bała się śmiertelnie. Mówiła, że w końcu ją znajdą, bo wszyscy są czarownikami, i powiedzieli jej, że ta skóra, którą jej zerwali, da im kontakt z nią, żeby nie wiem co robiła.

180

Kiedy Jenna skontaktowała się z tobą, Cheri? - zapytał śmiertelnie poważnym tonem Devlin.

- Po tym, jak przeprowadziła się do Greenwich... może sześć tygodni temu... chyba chciała się popisać tym domem i facetem.

- I czy tylko z powodu tatuażu pomyślałaś, że ma coś wspólnego z Maa Kheru?

- Częściowo tak. Allie powiedziała, że wszyscy go mają. A poza tym wszystko z Jenną było takie nienormalne. To znaczy, dlaczego taki facet miałby się z nią żenić? Nawet jakby pochodziła z dobrej

rodziny to i tak była ćpunem... a tu nagle robi się bogata i jedzie do Europy? Może jakby była czysta, to mogłabym uwierzyć, że bajki są możliwe - ale ona dalej jest na prochach.

- Jesteś pewna?

- Tak, jestem pewna. Dawła mi, jak tam byłam. Powiedziała, że wszyscy jej znajomi z wyższych sfer biorą.

- Więc w jaki sposób dziecko Jenny mogło się urodzić bez uzależnienia? Pani O'Connor zajmowała się dzieckiem od kiedy miało dziesięć dni i mówiła, że nie musiało być odtruwane.

Cheri zmarszczyła brwi.

- Tak, być może. Allie mówiła, że odstawiali rozplodowym heroinę i na czas ciąży przestawiali je na met. Może Jenna też tak robiła.

- Metadon? - powtórzył zaskoczony Devlin. - Po co mieliby to robić?

- Nie wiem. Mówiła, że oni nie zabijają dzieci od razu, może inaczej mieliby problemy...

- Jeszcze jedna rzecz, Cheri - powiedział Devlin, zamykając notes. - Pamiętasz jakieś nazwiska, które wymieniła Allie? Tych fagasów, którzy czcili szatana.

Cheri uśmiechnęła się chytrze. Widać było, że opowiadając o wszystkim, trochę się odprężyła.

- Pewnie. Pamiętam niektóre nazwiska. Ale jaką mi dacie

ochronę, jeśli wam powiem?

Po odwiezieniu dziewczyny do domu jej ciotki, gdzie miała znaleźć tymczasowe schronienie, Devlin i Garibaldi siedzieli w samo-

181

chodzie, patrząc to na listę prominentnych nazwisk, które im dostarczyła, to na siebie nawzajem.

- Niemożliwe, prawda, poruczniku? - orzekł wreszcie Garibaldi. - Ta mała to była narkomanka z bujną wyobraźnią, która pomyślała sobie, że jak nam nie wstawi jakiegoś dobrego kitu, to nie będziemy jej chronić, prawda?

- Nigdy się tego nie dowiemy, siedząc tutaj - odparł Devlin. -Przynajmniej nie będzie ich trudno znaleźć. Wystarczy codziennie czytać „Timesa”, żeby wiedzieć, gdzie oni są.

Wrzucił bieg i wycofał samochód ze stanowiska na parkingu.

- Wie pan, poruczniku, zawsze podejrzewałem, że trzeba się

z kimś pieprzyć, żeby stać się takim sławnym i bogatym - stwierdził w zamyśleniu Garibaldi. - Ale nie wiedziałem, że trzeba się pieprzyć z samym diabłem.

Rozdział 28

Devlin rozmyślał przez całą noc, jak wiele z tego, czego się dowiedział, ma powiedzieć Maggie. W normalnych okolicznościach zachowałby większość tych informacji dla siebie. Ale to nie była normalna policyjna sprawa. Nie mógł zaoferować jej żadnej innej ochrony poza informacją. Gdyby wiedziała, przeciw czemu występuje, mogłaby przynajmniej bardziej na siebie uważać.

- Biedna, biedna dziewczyna - wyszeptła przerażona Maggie, starając się panować nad sobą. - Myślisz, że ona nie żyje, Dev?

- Faceci z laboratorium powiedzieli, że ilość krwi wskazuje na śmiertelną ranę i że grupa krwi się zgadza, ale poza tym nie mamy żadnego dowodu, że to była krew Allie. Pozytywne jest w tym to, że mogę teraz liczyć na trochę pomocy ze strony policji.

- Jeżeli cokolwiek z relacji Cheri jest prawdziwe, to oni nie są ludźmi - powiedziała Maggie, wypatrując w jego oczach potwier-

182

dzenia. - I teraz mają Cody, Dev. Ona już teraz może nie żyć, albo może być torturowana.

Devlin widział, że z trudem zdobyła się na wypowiedzenie tych słów.

- I Jenna. O Boże, co z nią będzie? Na zmianę boję się o jej bezpieczeństwo albo chcę ją zabić za to, że naraziła Cody na takie straszne rzeczy.

Wstała i zaczęła chodzić w tę i z powrotem.

- Tak mnie to dręczy, Dev! - powiedziała, zbyt poruszona, żeby siedzieć bez ruchu. - Jak mogłam tak bardzo zawieść moją córkę, że tak upadła? Leżę i nie śpię po nocach, myśląc o moim życiu. Czego zapomniałam powiedzieć? Czego zapomniałam zrobić?

Uniosła ku niemu twarz. Jej oczy były przyćmione od bólu i zwątpienia w samą siebie.

Devlin z trudem powstrzymał się od otoczenia jej ramionami. Wykorzystanie takiej chwili słabości byłoby nie fair. Tak często widywał niszczące poczucie winy, drążące dusze rodziców narkomanów. W dawnych czasach każda rodzina ukrywała gdzieś kogoś, kto był alkoholikiem. Alkoholicy byli czymś równie powszechnym jak chwasty, stanowili stały element krajobrazu. Nikt nie winił ich rodziców ani współmałżonków, nikt nie potęgował ich rozpacz przez obrzucanie kochanych przez nich, cierpiących od dawna osób psychiatrycznym bełkotem. Jednak teraz sprawy przedstawiały się inaczej: pełno było klinik odwykowych, które nie oduczały brania i teoretyków, którzy nie musieli żyć na co dzień w tworzonych przez narkomanów atmosferze egoizmu i emocjonalnego zniszczenia.

- Posłuchaj, Maggie - powiedział stanowczym głosem. - Mu

sze ci coś powiedzieć i chcę, żebyś mnie wysłuchała.

Przysunął krzesło bliżej do siebie, zachęcając ją, by na nim usiadła, tak by nie mogła uniknąć jego wzroku.

- Widziałem w swojej pracy wielu narkomanów, wystarczająco

wielu, bym mógł sobie pozwolić na wygłoszenie opinii na ten te

mat. Widzę to w ten sposób, Maggie: narkomani sami dokonują

wyboru, a ich rodziny, społeczeństwo i cały ten pieprzony kraj cier

pi z powodu konsekwencji. Oczywiście, są narkomani, którzy zo

stali wypaczeni przez rodzinę: bici, wykorzystywani, gwałceni i co

183

tam tylko można sobie wyobrazić. Ale tak nie było w przypadku Jenny i nie jest tak w piekielnie wielu sytuacjach, które widuję. Czasami można to przypisać słabości, czasami lenistwu, a czasami głupocie, ale zawsze jest to wybór.

Wiem, że uważasz, że nie zrobiłaś wszystkiego dla swojego dziecka. Ale przez cały czas chciałaś jak najlepiej, w każdej minucie jego życia. Ale to nierealne marzenie. Na rany boskie! Żeby tak było, musiałabyś kierować losem, szczęściem i dziedzicznością, i wszystkim innym, co kiedykolwiek miało na nią wpływ. Musiałabyś móc kierować wszelkimi ambicjami, z jakimi się narodziła i znać wszystkie sposoby, jakie na jej oczach stosowali jej znajomi, żeby spełnić swoje marzenia. Musiałabyś być na topie, niezależnie od tego, czy na ulicach Nowego Jorku toczy się wojna narkotykowa, czy nie i niezależnie od tego, jakie śmiertelne pokusy mają do zaoferowania nasze czasy.

Uwierz, Maggie, że twoje możliwości w tym względzie są ograniczone... Już cię poznałem. Widzę, za każdym razem, kiedy się spotykamy, jaki jest twój charakter. Jesteś dobra, pracowita, inteligentna i kochająca, i zrobiłaś, do cholery, wszystko, co się dało, dla Jenny. Rany boskie, Maggie, jesteś gotowa

zrobić wszystko dla swojej wnuczki. Czy naprawdę myślisz, że mogłaś z rozmysłem źle potraktować swoją córkę?

Maggie wyglądała tak niepewnie, tak smutno, że to jeszcze bardziej zachęciło go do mówienia.

- Więc starałaś się, jak mogłaś - powiedział twardym, bezlitosnym głosem. - Ale nie wyszło. Tak czasami jest w życiu: parszywie i niesprawiedliwie. Koniec historii. Nie jesteś Bogiem, Maggie. A ona nie jest Najświętszą Panienką. Jeżeli jesteś tak dobra w rozpoznawaniu swoich własnych win, to dlaczego mielibyśmy się nie przyjrzeć dokładniej Jennie? Życie nie było takie, jak chciała - więc co postanowiła z nim zrobić? Odejść z domu i wypruć żyły, żeby zmienić świat na lepsze? A może walczyła ze swoim niezadowolaniem i z tym niesprawiedliwym światem przynosząc posiłki jakiejś dziewięćdziesięcioletniej babci, która była zbyt stara i wymęczona, żeby sobie ugotować owsiankę? Nie! Brała narkotyki. Prostytuowała się. Znieczuliła sobie sumienie środ-

184

kiem, który skradł jej duszę. A potem sprzedała swoją córeczkę szatanowi.

Daj, kurwa, spokój, Maggie! Jeżeli ty i ja jesteśmy odpowiedzialni za nasze czyny, to na rany boskie, Jenna też. Tak samo Erie i Sayles, i te wszystkie inne sukinsyny, które są gotowe wyrwać człowiekowi serce, żeby tylko dorwać kolejny jacht albo trochę więcej władzy.

Maggie wpatrywała się w twarz Devlina, wstrząśnięta gwałtownością jego wybuchu.

- Można czuć się winnym, jeśli się nie zrobiło wszystkiego, co było możliwe - powiedział naładowanym emocjami głosem. - Wtedy, kiedy można było coś zrobić, ale się nie zrobiło.

Spojrzała na niego przenikliwie, uświadamiając sobie, że nie chodzi mu tylko o Jennę.

- Co masz na myśli, Dev? - wyszeptała. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Mieliśmy syna, Maggie - wyznał w końcu pełnym napięcia głosem. - Miał na imię Daniel.

Wstrząsnęło ją to, że używa czasu przeszłego. Odwrócił głowę, więc nie widziała jego twarzy.

- W tamtych czasach nie bywałem za często w domu - powiedział jakby do siebie. - Byłem młody... myślałem, że jestem w stanie sam zmienić świat. Postawić wszystkich złych ludzi przed obliczem sprawiedliwości, zlikwidować zepsucie... Batman z Południa

wego Bronxu.... Miałem zrobić to wszystko sam...

Potrząsnął głową, chcąc się pozbyć bolesnych wspomnień.

- Narobiłem sobie mnóstwo wrogów w mieście...

- Nie musisz mi tego mówić, Dev - przerwała mu niespokojnie. Pokręcił tylko ponuro głową i mówił dalej.

- Jednej nocy pokłóciliśmy się z żoną o moje godziny pracy.

Mieliśmy oboje gorący temperament i żyliśmy w wielkim napięciu.

Powiedziała, że jestem wielkim narwańcem, że spędzam więcej

czasu z przestępcami niż z nią i Danielem. Nie myliła się, ale

wściekłem się, że nie rozumie, jak bardzo się staram, żeby było ina

czej. W każdym razie powiedziałem jej, mniej więcej, żeby się od

pieprzyła...

185

Przerwał, a w jego oczach pojawiła się pustka, jakby patrzył w przeszłość. Zacerpnął tchu, wyjął policzki i wypust powoli powietrze.

- Więc pokłóciliśmy się i dostałem mojego irlandzkiego szału...

„Chcesz, żebym się więcej bawił z dzieckiem? - wrzasr^em - To

musisz go wyciągnąć z łóżka, kiedy wracam z pracy!”.

Mówił cichym głosem, niemal szeptem, patrząc na N.tggie jak grzesznik, szukający rozgrzeszenia.

- Wiesz, najdziwniejsze było to, że go uwielbiałem, lanny był

najwspanialszym dzieckiem na świecie. Chciałbym być i nim cały

czas. Marzyłem, że nauczę go rzucać piłkę, jeździć r.werem...

Wiesz, jak człowiek potrafi fantazjować...

Zawiesił na chwilę głos.

- W każdym razie byłem taki wściekły po tej awanturze z Jan,

że wyciągnąłem Danny'ego z łóżka. Był w pizamie... Ch-yste, pa

miętam, że jego maleńkie klapki były na niego za duż[^] i kiedy wstał, taki senny, ale zadowolony, że mnie widzi, to kiwnął się jak clown.

Zagryzł górną wargę, jakby chciał powstrzymać dalsze słowa.

- Nałożyłem mu kurtkę, wsadziłem czapkę na głowę i wypakowałem z mieszkania...

Maggie, patrząc na niego, poczuła okropny niepokój.

- Nawet nie doszliśmy do ulicy - powiedział nie znośnym sprzeciwu monotonnym głosem. - Na podeście schodów. siedział brat chłopaka, którego posadziłem. Byłem taki pochłonięty moim własnym gniewem i świętym oburzeniem, że nie zobaczyłem, że ta w jego rękę. Był ostro naprany i trafił mnie tylko raz. Kula przeszła przez ciało mojego dziecka, zanim uderzyła we mnie. Danny tylko westchnął jak ptak... czasami słyszę to w myślach... a potem wszędzie była krew...

Devlin zacisnął pięści i zaraz je rozwarł, przyglądając się swoim dłoniom.

- Po chwili już nie żył, a ja nie mogłem, kurwa, nic z tym zrobić. Więc tylko trzymałem go i patrzyłem w te jego oczy, proszące, żeby mi pomógł... Chryste! Wciąż widzę jego oczy. Był taki pewien, że potrafię temu zaradzić...

186

Odwrocił głowę od Maggie, ale zobaczyła jego łzy. Podała mu chusteczkę, którą dała jej wcześniej, żeby je otarł.

- Och, Dev - wyszeptwała. - Wybacz mi, że zmusiłam cię do tej opowieści...

- Nie! - powiedział szybko. - Nie mów tak. Chciałem ci powie-
dzieć. Znałem wiele kobiet po Jan, Maggie. Próbowałem je wyko-
rzystać, żeby zapełnić pustkę w moim życiu po tym, jak mnie opu-
ściła. Nie winię jej za to, że nie chciała mnie więcej widzieć, ale tak
bardzo brakowało mi ich obojga.

Jego głos załamał się, ale usiłował pokryć to kaszlem. Więc w ten sposób chciał odkupić swoje winy.
Dziecko za dziecko. Jedno stracone i jedno do uratowania. Wstrząśnięta głębią jego bólu i poczucia winy,
Maggie objęła go ramionami. Siedzieli pogrążeni we wzajemnym cierpieniu jak dwoje uciekinierów przed
kosmicznym kataklizmem, którego nie byli w stanie ani powstrzymać, ani zrozumieć.

Rozdział 29

Wielki bukiet z kwiaciarni „Florales” wprost przytłaczał stolik we foyer. Maggie odczytała ze zdziwieniem
dołączony do niego bilecik: Abdul Hazred. Ten egiptolog. Jakże to dziwne.

.Jestem przekonany, że mogę pani pomóc” - napisał.

Każdy port jest dobry podczas sztormu - pomyślała z westchnieniem, postanawiając zadzwonić do
niego. Po chwili wybiegła z domu, zatrzymała jadącą w kierunku centrum taksówkę i udała
się do muzeum.

Dotarłszy na miejsce, pośpiesznie przeszła pomiędzy egipskimi eksponatami do pokoju
konferencyjnego obok gabinetu Hazreda. Zaskoczył ją widok jego samego, siedzącego przed
komputerem i obłożonego papirusami i książkami. Wyglądał na wymęczonego i rozgorączkowanego, tak
jakby nie spał całą noc, szukając czegoś

187

szczególnego. Widać było, że potrafi równie sprawnie korzystać ze starożytnych źródeł, jak i z
supernowoczesnych materiałów.

- Proszę usiąść, pani O'Connor - powiedział, wskazując ge-
stem na krzesła stojące wokół stołu.

Wyglądał zwyczajniej niż podczas pierwszego spotkania.

- Kwiaty były piękne, doktorze Hazred, i całkiem niespodziewane.

- Żałuję, że nie były bardziej odpowiednie do naszych poszukiwań - odparł. - Na przykład złocenie

albo lotosy. Egipskie kwiaty są nadzwyczaj piękne o tej porze roku.

Maggie uśmiechnęła się, zastanawiając nad tym, ku czemu zmierza.

- Po tym, jak pani wyszła, pani O'Connor - ciągnął życzliwym tonem - dodałem dwa do dwóch... Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale zrozumiałem, że informacja, której pani poszukuje, ma dla pani wielkie znaczenie - oznajmił, unosząc pytająco brwi. - Chciałbym zaproponować zawarcie porozumienia, pani O'Connor. Jeżeli powie mi pani szczerze, dlaczego zajmuje się tą sprawą, to może będziemy w stanie pomóc sobie nawzajem w rozwiązaniu sporego fragmentu zagadki, która frapuje badaczy od tysięcy lat.

Maggie usiłowała wyczytać intencje Hazreda z jego twarzy, ale miał nieprzeniknioną minę. Mógł być równie dobrze po stronie Eri-ca, a może miał w tym jakiś własny interes.

Od nocy „przesłania” cały czas odczuwała chorobliwą podejrzliwość wobec wszystkich. Jednak wydawało się, że on coś wie, a na tym etapie każda pomoc mogła się przydać, dlatego opowiedziała mu nieco ocenzurowaną wersję swojej historii. Hazred słuchał uważnie, zadając dociekliwe pytania i drążąc delikatnie sprawę. W końcu wskazał jej notatki, nad którymi pracował.

- Musi pani wiedzieć, pani O'Connor, że szanse na to, żeby pani wnuczka nie była Wysłanniczką Izdy są jak pięćdziesiąt milionów do jednego...

- Może mi pan wierzyć, doktorze Hazred - odparła - iż byłabym zachwycona, gdyby mógł pan udowodnić, że nią nie jest.

- Jednak tym, co skłoniło mnie do ponownego rozważenia pani prośby, pani O'Connor - ciągnął poważnie - jest to, że w mo-

• 188

nিয়ে materializacji muszą zaistnieć pewne bardzo specyficzne warunki. Wielka Matka nie jest głupia: skonstruowała niemal niemożliwy do pokonania tor przeszkód, złożony z czynników koniecznych do zmaterializowania Amuletu. Moje badania napęłniły mnie przekonaniem, że właśnie obecnie we wszechświecie podnoszą się pewne siły, które zamierzają podjąć na nowo starożytną rozgrywkę. Wygląda na to, że została pani wciągnięta w ten kosmiczny konflikt.

Zamilkł, przyglądając się jej badawczo.

- Uważam, że pani wnuczka jest Wysłanniczką a pani Straż

niczka, co skłania mnie do złożenia pewnej propozycji.

Znowu zamilkł na chwilę.

- Musimy przynajmniej trochę ufać sobie nawzajem, bo jeżeli pani rzeczywiście jest Strażniczką, to moja karma może wymagać tego, żebym dostarczył pani klucz do strategii tej walki. Tamtego dnia nie byłem wobec pani całkiem uczciwy. Chodzi o to, że poświęciłem wielką część mojego życia badaniu legendy o Amulecie Izydy. Studiowałem zarówno źródła naukowe, jak i źródła z zakresu nauk tajemnych, czasami wystawiając się na wielkie niebezpieczeństwo... - zawiesił głos, zatopiony we wspomnieniach swoich dokonań. - Całkowicie rozumiem pani opory przed powierzeniem mi tych informacji, jednak muszę panią poinformować, że nie przyjmując mojej pomocy, naraża się pani na dość istotne niebezpieczeństwo.

- W jaki sposób?

- Stawka jest tutaj, niestety, o wiele większa niż po prostu życie tego dziecka. Czy rozumie pani pojęcie Ka, pani O'Connor? Może to pani nazwać duszą czy duchem, ale w rzeczywistości to o wiele więcej. Ka to jest animus, zawierający siłę życia, prawdziwe istnienie: umysłowe i duchowe, które daje ciału życie. To właśnie Ka starożytni karmili i odziewali po śmierci w swoich wyrafinowanych obrzędach pogrzebowych.

Maggie skinęła głową.

- Starożytne teksty podają, że Ciemne Siły będą pragnęły pojąć Wysłanniczkę Izydy po to, by odtworzyć Kamień Sechmet, ale ponieważ te siły mogą być użyte jako pionki przez o wiele potęż-

189

niejszego gracza - sama Bogini Sechmet może mieć ukryty plan. O ile poprawnie interpretuję te papirusy, Bogini śpi, śpi już od tysiącleci jak dżin w butelce. Ale jeżeli Czarny Adept będzie rzeczywiście w stanie odtworzyć Kamień, który skupia w sobie jej siłę zniszczenia, to może postanowić zamieszkać w ciele śmiertelnika, żeby doświadczać rozkoszy ciała, za którymi przez długi czas tak tęskniła.

Obawiam się, pani O'Connor, że mąż pani córki pragnie uwięzić Ka pani wnuczki i zastąpić ją Ka Bogini Sechmet. Gdyby do tego miało dojść, to dusza Cody będzie błąkała się w podziemnym świecie na wieki, a Sechmet uwolni z piekieł demony. Oznacza to koniec życia w tej formie, jaką znamy.

Maggie potrząsnęła głową.

- Boginie, klątwy, demony - powiedziała, usiłując wzbudzić w sobie racjonalizm. - Ciągle mam

wrażenie, jakbym nagle znalazła się na herbatce u Szalonego Kapelusznika. Co takiego, dokładnie, pan mi sugeruje?

- Sugeruję, że pani wnuczka może być zagrożona nie tylko przez tych ze Szlaku Lewej Ręki, pani O'Connor. Jeżeli wszystko inne zawiedzie, to podejrzewam, że ci inni będą zmuszeni ją zabić, żeby powstrzymać reinkarnację Sechmet.

- Chce mi pan powiedzieć, że jest w niebezpieczeństwie, niezależnie od tego, która strona ją pojmie?

Wstała rozdrażniona z krzesła. Hazred zobaczył, że połknęła haczyk.

- Myślę, że potrzebuje pani porady kogoś, kto w pełni rozumie złożoność tej sytuacji - oznajmił. - Wszechświat jest olbrzymim systemem energii, pani O'Connor. Wszystko w nim, łącznie z nami, wibruje na określonych częstotliwościach. Cała magia zależy od manipulacji tymi wzorcami energii. Przecież bomba atomowa jest drobnym zakłóceniem tego wzorca.

Jeżeli Cody jest naprawdę Wysłanniczką Izydy, to jest kamertonem, pani O'Connor. Jedynym kamertonem. To właśnie jej częstotliwość, połączona z pewnymi magicznymi właściwościami dźwięku i rytuału, będzie wprawiać w wibrację sieć wszechświata, by skłonić ją do oddania wielkiego skarbu.

190

Maggie niepokoił upór, z jakim Hazred oferował swą pomoc. Poszła do domu, rozmyślając, co takiego spodziewa się on zyskać dla samego siebie.

Rozdział 30

Peter znowu przyjdzie ze mną pracować - pomyślała z ulgą Maggie, spoglądając na zegar. Ellie powiedziała jej tak dużo, że musiała jeszcze raz wszystko rozważyć, i najlepiej razem z kimś innym. Nie mówiąc już o hipotezie Hazreda...

Rzuciła okiem na karteczki z zapiskami dotyczącymi spraw związanych ze sklepem, którymi do tej pory się nie zajęła. Chrzańć to! Najważniejsza jest Cody i tyle. Od drzwi dobiegł dźwięk dzwonka i odgłosy prowadzonej po portugalsku rozmowy. Ojciec Peter powiększył już elitarną grupkę tych, którzy cieszyli się aprobatą Marii Aparecidy.

- Jak już tak wszystko przemyśleć, dona Maggie - oznajmiła z namysłem któregoś wieczoru - to można wierzyć temu księdzu.

- Nawet jeżeli nie zawsze nosi koloratkę? - zapytała przekornie Maggie.

- Bóg widzi serce, a nie garderobę - odparła gospoia.

- Ciągłe zadaję sobie pytanie - zaczął Peter, kiedy wszedł do biblioteki i położył teczkę na biurku. - Czy cokolwiek z tego, czego cię uczę, ma jakiegokolwiek praktyczne zastosowanie?

- To, czego mnie uczysz, pozwala mi zachować zdrowy umysł - odparła poważnie. - Czy to się liczy?

Wyglądała na zmęczoną narastającym wciąż napięciem, jednak wyczuwał, że w swym wnętrzu jest jeszcze silniejsza niż dotychczas.

- Twoje zdrowie umysłowe ani twoja dzielność nie podlegają żadnym wątpliwościom, droga Maggie - rzekł. - Ten rodzaj stresu, jaki musisz znosić, zniszczyłby większość ludzi, a ty zdajesz się co-

191

raz silniejsza i bardziej zdecydowana za każdym razem, gdy cię widzę. Mówiąc szczerze, nie mogę wyjść z podziwu.

- Nie pozwól, żeby moja powierzchowna wesołość cię zmyliła, Peter. Jestem śmiertelnie przerażona, ale to, czego mnie uczysz, sprawia, że czuję się mniej bezradna... tak jakbym mogła zrobić coś jeszcze poza zajmowaniem się drobnostkami, kiedy wszystko wokół się wali.

- Więc zaczynamy - powiedział, wyciągając z wytartej teczki stary, oprawiony w skórę notatnik. - Dzisiaj, Maggie, postanowiłem opowiedzieć ci o moich własnych spotkaniach z tym, co egzorcyści zwą „obecnością”... Wielkim Adwersarzem człowieka i Boga - ciągnął z niezmierną powagą. - Nie potrafię stwierdzić, jakie nadprzyrodzone siły mają do dyspozycji Erie i jego siepacze, ale ucieleśnienie Saiittii, które wysłali, by uprowadziło Cody, wskazuje na to, że są w stanie wzywać demoniczne istoty według własnej woli. Mam nadzieję, że moje doświadczenie pomoże ci przynajmniej przygotować się.

Maggie usiadła na kanapie i obronnym ruchem podciągnęła pod siebie stopy.

- Zawsze ciekawiło mnie, czym tak naprawdę jest opętanie i jak egzorcysta z nim walczy - oznajmiła.

Wychylił się ku niej, opierając łokcie o kolana i splatając przed sobą dłonie. Czuła napięcie, jakie wywołał w nim ten temat. Widać było wyraźnie, że egzorcyzmy nie są rzeczą, do której Peter Mes-senguer odnosiłby się z lekceważeniem.

- Wiele wskazuje na to, że jest kilka poziomów oddziaływania

demonów na ludzkość - powiedział. - Mniej skrajne sytuacje, w których kobieta lub mężczyzna prześladowani są przez jedno lub dwa demoniczne stwory, od których jak się zdaje, nie mogą uciec, są nazywane „nękaniem” lub „dręczeniem”. Większość przypadków, którymi zajmuje się Kościół - przy założeniu, że są czymś więcej niż tylko psychozą, neurotycznymi złudzeniami czy halucynacjami związanymi z narkotykami - mieści się w tej kategorii. Prawdziwe opętanie jest równie rzadkie, co niebezpieczne.

Maggie zmarszczyła brwi. To wszystko wywoływało w niej wielki niepokój.

192

I, można określić tę różnicę?

M. prostszym testem jest próba umieszczenia poświęconego przty, |mj(,iu na ciele danej osoby. W przypadku prawdziwego opętani., ^gjiioniczna „obecność” po prostu na to nie pozwoli. Widziałem j^ ludzie wpadają w konwulsje, wymiotują, lewitują i miotają niemożliwy™ ao przesunięcia meblami jak zabawkami...

Pokręcił głową, jakby chciał podkreślić niewyobrażalną naturę taki |, p, /.ypadków.

- jaka jest, Peter, ta „obecność”? - zapytała zafascynowana. -

Skąd w ogóle wiadomo, że istnieje?

duchowny wyprostował się i wyciągnął swe długie nogi. Widać było, że robi to dla złagodzenia napięcia. Westchnął głęboko.

- Ta „obecność” chce, żeby człowiek wiedział, iż ona istnieje, Maggie. Jej działania zdają się zawsze wynikać z jakiejś okropnej, niszczycielskiej dumy.

- A czy nie jest tak, że po prostu przemawia do człowieka jego wypaczony umysł?

- Kościół dokłada wszelkich starań, żeby wykluczyć demencję, syndrom Tourette'a i wszystkie znane typy psychozy. Zanim zezwoli się na wezwanie egzorcysty, muszą być spełnione bardzo surowe kryteria psychologiczne i medyczne - oznajmił i zamilkł na moment. - Ale potem, kiedy już wszyscy lekarze i psychiatrzy zakończą swoje badania, sporadycznie napotyka się przypadki, w których po prostu nie można wyjaśnić odbiegającego od normy zachowania inaczej niż jako spowodowane przez coś innego niż

ludzki czynnik.

- Na przykład co?

- Na przykład przez demona, Maggie. Przez wrogą inteligentną istotę z jakiejś innej sfery. Ze sfery, której nie rozumiemy...

Maggie zmarszczyła brwi.

- Jak w ogóle można mieć co do tego pewność, Peter?

- Istnieją bardzo szczegółowe kryteria... Porażona osoba musi wykonywać rzeczy, których nie potrafią robić zwykli ludzie: mówić w nieznanym języku, lewitować, okazywać nadludzką siłę czy też posiadać umiejętność telekinezy albo czytania w myślach innych ludzi. Czasami potrafi nawet poznać najbardziej skrywane grzechy ludzi, których uważa za swoich wrogów.

193

- I widziałeś to na własne oczy?

- Kiedyś pewien wędrowny robotnik rolny rozmawiał ze mną w starożytnym dialekcie sumeryjskim, nie używanym od czterech tysięcy lat. Mogliśmy wykluczyć kryptomnezję, czyli ukryte wspomnienia z dzieciństwa lub niemowlęstwa, ponieważ jego dostęp do edukacji był bardzo ograniczony. Widywałem też demony, które okazywały się jakimś zapomnianym chaldejskim Bogiem Zła, o którym nie pamiętali już nawet badacze.

Maggie zagryzała mocno dolną wargę, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Widząc jej dziecięcą reakcję na opisywane okropności, Peter omal się nie uśmiechnął.

- Dlaczego, do licha, ktoś się staje opętany, Peter? Przecież z pewnością nikt nie zaprasza diabła i nie mówi: cześć, chciałbym z tobą zawrzeć umowę?

- Ach, Maggie, nie bądź tego taka pewna. Przecież zdarza się, że człowiek w swej chciwości myśli, iż dobra tego świata warte są takiego paktu. I pamiętaj, człowiek może Złu poddać się na wiele bardziej subtelnych sposobów. Kłamstwo, oszustwo, kradzież i tym podobne czyny mogą całkiem skutecznie naruszyć obronę człowieka. Drobne występki otwierają drogę większym.

Narkotyki i alkohol też zdają się otwierać drogę do miejsca, w którym przebywają piekielne istoty w oczekiwaniu na dostęp do ludzkości. Również każdy uraz fizyczny czy psychiczny, który pozbawia człowieka panowania nad własną wolą, może ułatwić taki dostęp. - Przerwał na moment, by zastanowić się, czy o czymś nie zapomniał, i dodał: - Zdarza się, że już przy narodzinach dzieci są oddawane przez rodziców diabłu, więc ich wolna wola nie jest rozbudzona.

- Chcesz powiedzieć - zapytała wstrząśnięta Maggie - że można komuś odebrać duszę i ją sprzedać?

- Podczas chrztu, my, chrześcijanie, oddajemy dusze naszych dzieci Chrystusowi, odrzucając Szatana i wszystkie jego złe czyny. Wolna wola dziecka nie jest brana pod uwagę. Druga strona robi to samo, ale odwrotnie.

Uśmiechnął się lekko. Zmarszczki na jego twarzy sprawiły, że wyglądał tak, jakby mrużył oczy w słońcu.

194

Maggie pokręciła głową, aż jej ciemne włosy zakołysały się w powietrzu.

- Po przeżyciu „przesłania” Erka, w najmniejszym stopniu nie wątpię w to, co mi mówisz, ale nie mogę peścić, jak zwykły człowiek może chociażby mieć nadzieję walczyć z taką Złą Istotą?

- Uważaj, Maggie - odparł z naciskiem. - Och. bardzo uważaj. Widzisz, to ona usiłuje człowieka sprowokować... wciągnąć w spory i kontrowersje, a nawet wzbudzić w nim takie poczucie dumy, które mówi: mogę zwyciężyć. Oczywiście, jest to pewna forma szaleństwa, ale staje się dla człowieka ostatecznym w\ zwaniem, rozumiesz?

- Więc w jaki sposób można ją pokonać, Peter”

Zaśmiał się krótko.

- Oczywiście, nie można. Ty nie możesz. Ale Chrystus może. „W imię Jezusa Chrystusa biorę władzę nad tobą” - wygłosił grzmiącym głosem, aż się wystraszyła. - Tak się mówi - dodał. - „W imię Jezusa Chrystusa nakazuję ci, potępiam, wypędzam...” tylko powołanie się na Imię Pańskie pozwala na stawianie czoła Wielkiemu Wrogowi. Samemu jest się absolutnie bezsilnym.

- Jak ktoś w ogóle może ośmielać się podejmować taką próbę? - wyszeptała i uśmiechnęła się smutno.

- Tylko dzięki przedziwnej kombinacji pokory i dumy, które są specjalnym przywilejem egzorcystów, Maggie. Rzucamy się tam, gdzie inni boją się zapuszczać, bo tak bardzo wierzymy w moc i dobro Boga.

Maggie skinęła głową, zaczynając rozumieć.

- A ta wroga inteligencja, Peter - powiedziała w zamyśleniu. -

W jaki sposób ona się przejawia?

Wykonał ręką gest mówiący, że nie ma odpowiednich słów, żeby to wyrazić.

- Nie można jej nie dostrzec... jest potężna i skrajnie zła. Wykorzystuje przeciwko człowiekowi jego najbardziej skryte słabo

ści... czasami bawi się w kotka i myszkę, chwytając pazurami za psychikę jak kot chwyta mysz... ale zawsze wiadomo, że się poja-
wiła.

195

I trzeba być skrajnie ostrożnym we wszystkich kontaktach z nią, ponieważ ryzykuje się wiarą oraz zdrowiem fizycznym i psychicznym, swoim i pacjenta, a niebezpieczeństwo jest całkiem realne.

- Więc jak mogę chronić siebie i Cody, Peter? Przypuśćmy, że Erie wezwie jakąś okropną demoniczną moc z otchłani. Nie mogę cały czas żyć w pentagramie, nawet jeżeli zbuduję go poprawnie!

- Modlitwa, Maggie. Musisz przyłączyć się do dwóch tysięcy lat chrześcijaństwa i zbiorowej podświadomości, którą ono stworzyło. I nigdy nie wolno angażować się w spór z tą istotą... tak mnie zawsze ostrzegał pewien mądry i stary egzorcysta: „Nigdy nie podejmuj sporu, chłopcze... Jeśli to zrobisz, pokona cię za każdym razem”. Nie wolno nigdy jej zapraszać, nie wolno nigdy uznać jej mocy, nie wolno nigdy wątpić w jej istnienie. I nie wolno odczuwać strachu...

- W jaki sposób mogę zapanować nad strachem? - zapytała rozpaczliwie. - Jeżeli pójdę do tego okropnego domu, żeby uratować Cody, będę śmiertelnie przerażona.

- Musisz panować nad swoim strachem jak wojownik, gdy wkracza na pole walki. Jeżeli tego nie potrafisz, to nawet nie próbuj jej ratować. Złe nie postępuje fair i też jest wspomagane przez zbiorową siłę, która liczy tysiące lat. Strach osłabia ciebie, a wzmacnia tę istotę. Musisz zawsze ufać w moc dobra i musisz powierzyć swój los Bogu. Doskonała miłość usuwa strach, Maggie. Jeżeli tak się nie stanie, nie będziesz mogła zwyciężyć.

Westchnęła wymownie. Człowiek rozpoznaje prawdę, kiedy ją słyszy, nawet jeśli nie jest pewien, czy jest w stanie sprostać jej wymogom. Pan Wong mówił coś bardzo podobnego: „Kiedy pozbędziesz się strachu przed śmiercią, będziesz niezwyciężona, Maggie. Czym wtedy można ci zagrozić?”

* * *

Nauka przeciągnęła się aż do późnego popołudnia. Opowieści o demonach wypełniały umysł Maggie, nie zostawiając miejsca na nic innego.

196

- Potrzebuję przerwy, Peter... - poprosiła Maggie znużonym głosem. - Chyba potrzeba mi świeżego powietrza i rozmowy na ja

kikolwiek inny temat.

Przeszli do maleńkiego ogrodu na tyłach domu, który w lecie dostarczał jej tyle radości.

Wyciągnęła dwa leżaki i usiedli na nich w resztkach popołudniowego słońca. Peter też był zadowolony z przerwy, gdyż dzisiejsza rozmowa wzbudziła w nim wiele dręczących wspomnień. Opart głowę na leżaku i postawił kołnierz. Było jeszcze zbyt chłodno, żeby czuć się na dworze całkiem przyjemnie, ale powietrze dodawało sił. Miał na sobie stary sweter Jacka, który okazał się na niego za mały.

- Powiedz mi, jak to było - zaczęła Maggie, z trudem odrywając myśli od poprzedniej rozmowy i szukając neutralnego tematu, który zapewniłby jej moment wytchnienia - kiedy byłeś młody i zacząłeś karierę kościelną...?

- Och, Maggie - odparł ze znużonym uśmiechem - to było tak dawno temu... ale to był jeden z najwspanialszych okresów w moim życiu.

- Jak to wszystko się zaczęło?

- Jeżeli miało się wykraczające powyżej normy zdolności intelektualne, nauczyciele dostrzegali to i informacja trafiała do biskupa. Dla młodego człowieka wstępującego w stan duchowny filozofia była jedynym przedmiotem dającym dyplom, a jeżeli miało się wysokie aspiracje, to jedynym celem był Rzym.

Zostałem wysłany na studia do Kolegium Amerykańskiego... myślałem, że nawet niebo jest mniej niezwykle niż Wieczne Miasto. Możesz sobie wyobrazić, jak odbierałem pobyt w Rzymie. Byłem biednym chłopcem z prowincjonalnego środowiska robotniczego, a to był Rzym cesarów i świętych! Byłem absolutnie olśniony, oczarowany majestatem, rytuałem, historią. Także faktem, że mogłem dostać się do Greg!

Zwrócił do niej twarz, pragnąc, by go zrozumiała. Włosy opadały mu na czoło. Pomyślała, że są bardzo romantyczne: długie, nie uporządkowane i żywotne.

- Co to jest Greg?

197

- Uniwersytet Gregoriański, wylęgarnia intelektualnej śmietanki Kościoła. Jeżeli człowiek nie dawał tam sobie rady, to był wysyłany do Angelica, ale Greg był miejscem, o którym się marzyło.

- Jaki był Greg? - zapytała, usiłując wyobrazić sobie świat, w którym żyli tylko duchowni.

- Oszołamiający, intelektualny, rygorystyczny. Całe nauczanie odbywało się, oczywiście, po łacinie. Wszystkie seminaria, wykłady - wszystko po łacinie. Większość amerykańskich studentów miało tak niewielkie pojęcie o językach starożytnych, że najlepsi z łaciny robili notatki dla wszystkich. Byli nawet amerykańscy księża, zwani repetytorami, których przysyłano ze Stanów do poduczania pozostających w

tyle po to, by Amerykanie przeszli przez egzaminy, nie wychodząc na idiotów razem ze wspierającymi ich biskupami. Ja miałem szczęście: łacina była dla mnie jak język ojczysty.

- Więc presja była duża? - zapytała Maggie.

- O Boże, tak. Każdy był utalentowany, każdy chciał wypaść jak najlepiej, a stawka była wysoka. Poza tym, oczywiście, trzeba było podejmować ważne decyzje, na przykład, czy poświęcić się studiowaniu prawa kanonicznego, czy teologii.

- A ty co wybrałeś?

Peter uśmiechnął się szeroko.

- Najskuteczniejszą drogą prowadzącą do biskupstwa albo jeszcze wyżej było, bez wątpienia, prawo kanoniczne. A jeśli ktoś nie chciał być biurokratą, ale myślicielem, to zmierzał w kierunku teologii. Założyłem, że jeżeli wyróżnię się w przedmiocie akademickim, to może uda mi się znaleźć miejsce w jakiejś dużej diecezji, której biskup jest znawcą prawa kanonicznego, ale potrzebuje biskupa pomocniczego - teologa. Wiedziałem, że to może mi dać wstęp na wyżyny.

Maggie zmarszczyła brwi, słysząc o tych wyrachowanych kalkulacjach i Peter dostrzegł w jej oczach błysk rozczarowania.

- Nie zapominaj, Maggie, że byłem młodym, nie uświadomionym chłopakiem spod Pittsburga i dopiero zaczynałem dostrzegać, jak funkcjonuje wielki świat. Byłem urzeczony splendorem Rzymu i arystokratyzmem, intelektem i doświadczeniem tamtejszych du-

chownych. To wcale nie byli jacyś prowincjonalni prałaci: to byli książęta w służbie największego z monarchów. W dodatku, bycie duchownym w tym zadziwiającym mieście miało w sobie taki zawracający w głowie romantyzm - historia, przepych, ceremoniał katolicyzmu: nikt nie robi tego lepiej niż Rzymianie. Cała zabawa nazywała się Romanita - znaczyło to, że trzeba być duchem i zachowaniem bardziej Rzymianinem niż sami Rzymianie. Romanita mnie urzekła... i kazała uprawiać tę grę.

- Więc w tym surowym, intelektualnym otoczeniu było też miejsce na intensywne namiętności?

- Rzeczywiście tak, Maggie. W ludzkich sercach zawsze są namiętności. Zwłaszcza, jeśli należą do inteligentnych, dynamicznych osób, jakich było mnóstwo w Greg.

- To, co mi opisujesz, jest klasztorną, elitarną społecznością mężczyzn. Ostatnim bastionem. Więc idźmy tym tropem - zaproponowała wesoło. - Skoro wszystkie kryteria sukcesu były męskie, to władza musiała być substytutem seksu - stwierdziła podekscytowana, jakby właśnie odkryła wielki sekret.

- Zawsze zmierzasz do sedna, prawda Maggie? - Peter odstawił filiżankę na stół i uśmiechnął się do niej. - Władza rzeczywiście była dla nas seksem, wyrażeniem wszystkich naszych namiętności.

Uśmiechnęła się, akceptując to interesujące stwierdzenie.

- A sednem tego księżowskiego dylematu musiało być to, któ

re z przykrych wyborów podejmiesz, żeby wspinać się do góry?

Peter skinął głową.

- Zacząłem dostrzegać, że życie jest bardziej przykre i twardsze niż myślałem i że najlepiej dają sobie w nim radę ci, którzy mają najmniej skrupułów. Zacząłem się zastanawiać: jak, na Boga, mogę przejść po tej rozpiętej w powietrzu linie i nadal realizować zarówno moje intelektualne talenty, jak i potrzebę sukcesu, bez naruszenia zasad mojego duchowego powołania? To było nadzwyczaj trudne zadanie, Maggie. Czas doskonalenia, przesiewania i lawirowania pomiędzy Scyllą i Charybdą.

- Mężczyźni często płacą za sukces zniszczeniem w sobie dobra i łagodności, prawda, Peter? Nawet wewnątrz Kościoła?

199

władz Z -W1Ct d°wiaduJeń< ° ludzkich słabościach struktury jednocz ' ' . kiwaJ^c
Potakująco głową - ucząc się n°CZeSnie ° nieuniknionej wspaniałości dobra, które jest główną
motywacją ICJ struktury w}.ldzy _ czyli Q przechowaniu doktry y i ducha Chlystusa Widzi^ u aby
trwać w mn

doskonałym sw;»™ „ v ? ?,, • . -

. ^'ecie, Kościół musi akceptować pewne niedosko-

e rozwiązana a jednak... Och, Maggie, przecież Kościół jest
świętą składn . r^u . . „
, . v 4 Chrystusowej nauki, Bożego dzieła! To wielki,
4zywa | ay problem dl;i chłopaka z prowincji, nawet wy-
tyzys^tenin Widką inteligenCJ?- Później- kiedy przeżywałem y , en sam probiem ogromnie pogłębiał
moją rozterkę. Wie-la em, ze om ,eż są niedoskonaj ale> b ć moz nig tak . d skonali jak ja.
Żadne z nich „:„ j
. „ nie odzywało -ię przez dłuższy czas, aż w końcu
Maggie przerwa | a ciszę
władzK^Śdo^'; riedZif C° * Stał° PetCr- jak Utradłes'łaski uul- Ale nie chcę otwierać starych ran.
tak iakbfnafr^^ OCZaCh ^^ Si? WymZ jakiegOŚ zagubienia,
Poszedfe "a Odkgły krąi°braZ gdiCS P°Za "ią-osze em ,a Bogiem za r^g - powiedział tajemniczo
cichym
M " JUZ n<gdy "^ zna,az,em drogi Powrotnej. agglC czekl,'a, żeby coś do.łał, ale już nic nie
powiedział.
™™,t jZy P™ Mczyłam tym p5taniem granicę przyjaźni, Peter? -
zapytała ze sknu ha r> „,K • ? „?
prawa być wS " ?' "" J tak" * *****
życia więc chyb f° ^^<Y ^ ^^ ' ^ m°Jeg0
stopniu CZU m' ŻC tól mUSZ? d? P°ZnaĆ W tym samym
,7, ph3(Zył° 8°leJ zainteresowailie- Z^zymał na niej przez dłuższą chwilę swój Przenikliwy wzrok.
od ł y N' ZC d'* naSZe"i przyJa:>ni Chyba nie ma 8ran'c, Maggie -tobieM^ływar^: dlaczeg0 ^
Jes^Cza^a™ czułem się przy
Martwiła ją rtjbość i smutek tego człowieka, który niegdyś zda-
uczyciCeJJeJ ^ doskonały- B?ł duchownym, przyjacielem, na-
e em... a tet az kim jeschcz; sic stawał? Nie mogła nie do_
20>

strzegąc łączących ich skomplikowanych więzów, które wzmacniały się z każdym spotkaniem. Niepokoiła ją świadomość, że on również o tym wie.

- Pewnego razu, kiedy byłam w college'u - zaczęła niepewnie
- byłam na spotkaniu towarzyskim w szkole dla chłopców. Pewien młody chłopak poprosił mnie do tańca i od chwili, kiedy wziął mnie w ramiona, wiedziałam, że zostaliśmy stworzeni do tego, żeby tańczyć razem. Fred i Ginger, Marge i Gower, Pawłowa i Niżyński... nie wiem, jak to jeszcze można by określić. Przez jakiś krótki moment, na jakąś bardzo małą skalę, byliśmy nimi. On znał moje ruchy, a ja jego. Wszyscy odsunęli się z parkietu, by się nam przyglądać, a ja wykonywałam takie taneczne figury, jakich nie robiłam nigdy wcześniej ani nigdy potem. Już więcej go nie spotkałam, ale przez chwilę, w czasie tego tańca byliśmy jednością. Nigdy nie zapomnę tego magicznego momentu.

Wzięła głęboki oddech i ciągnęła dalej.

- Z jakiegoś powodu zdaje mi się, że tak właśnie jest w przypadku ciebie i mnie, ale nasza łączność jest łącznością ducha. Przemieniłeś mnie, uniosłeś... zmieniłeś sposób, w jaki widzę świat i życie, Peter. To tak, jakbym cię zawsze znała, zawsze ci ufała, zawsze...

- Moja droga, kochana Maggie - powstrzymał jej potok słów. - Obawiam się, że możemy być tylko pionkami w boskiej grze... i żadne z nas nie wie jeszcze, jakie są reguły tej gry.

- Ależ my znamy te reguły - odparła twardo. - Nie możemy uciec przed faktem, że oboje je znamy.

Splotła przed sobą ramiona, by ochronić się przed nagłym wewnętrznym chłodem i wstała z leżaka, czując potrzebę ruchu.

- Myślę, że się robi za zimno, żeby tu siedzieć. Może będzie lepiej, jeśli pójdziemy do środka.

Przyjął z zadowoleniem tę próbę zmiany tematu. Podeszli jednocześnie do drzwi ogrodowych i, kiedy Peter wychylił się, żeby je otworzyć, Maggie otarła się o niego. Wiedziała, że on pragnie jej dotknąć, tak

samo jak ona pragnęła być dotykana. Trwało to przez ułamek sekundy, zanim weszli do środka.

Teraz znowu byli nauczycielem i uczennicą.

201

Peter szedł z rękami głęboko zanurzonymi w kieszeniach płaszcza. Ulica Bowery była opustoszała i ponura, a ludzkie odpadki zaśmiecały ją jeszcze bardziej niż zwykle. Bezdomni. Jak wiele znaczyło to słowo: utrata ciepła i wygody, utrata rodziny, utrata godności, utrata nadziei. Słowo-otchłań, wołające o pomstę do niebios.

Odprawił właśnie poranną mszę, co było zadaniem, które w dawnych czasach rygorystycznego postu przypadało najstarszemu księdzu. Rozbawiło go spostrzeżenie, że młodszy ksiądz automatycznie przekazali to zadanie właśnie jemu. Na mszy byli oczywiście obecni księża-ochotnicy z organizacji Catholic Worker - szlachetne, zaprawione w pracy dusze, usiłujące wykonywać dzieło boże za grosze. Większość obecnych, zajmujących całe rzędy krzesel, stanowili jednak bezdomni, którzy, szurając nogami, przychodzili tam ze swoją rozpaczą, by spędzić godzinę z Bogiem. Praca u tych Dobrych Samarytan zawsze napełniała go smutkiem i radością zarazem.

Idąc teraz z kościoła, poczuł, że jest w nim ciągły cichy ból.

I

Dziwny głód, który w przeszłości nie domagał się zaspokojenia.

Maggie była w jego sercu, pulsowała w nim i krążyła razem z jego własną krwią. Wystarczyło zamknąć oczy, by zobaczyć jej twarz. Tęsknił za jej towarzystwem, pragnął jej. Odepchnął od siebie tę niepożądaną, niemożliwą do zaakceptowania myśl.

t

Co było w niej takiego, że przełamało niepostrzeżenie jego obronę? Była w niej radość, której nie potrafił zgasić nawet przeżywany horror. Ta radość wypływała na powierzchnię przy każdej okazji. Może pragnął się zanurzyć w tej niewiarygodnej afirmacji życia, którą w niej wyczuwał.

O Panie, błagamy cię - zaczął modlić się w duchu - porusz Swą moc i zstąp do nas, żebyśmy pod Twą ochroną zastuli na ratunek przed zgubą naszych grzechów.

Jego matka była taka jak Maggie: radosna mimo ciężkiego życia. Dobra mimo biedy i smutku. Zawsze w niego wierzyła. W jego talenty, w jego oddanie Bogu. Ojciec czuł się skrzywdzony, zagrożony tym, że jego syn wybrał stan duchowny.

202

- To nie jest miejsce dla mężczyzny, synu. To wszystko, cholera, eunuchy! Jak, do diabła, mogą rozkazywać prawdziwym mężczyznom w jakiegokolwiek sprawie, już nie mówiąc o seksie, małżeństwie i dzieciach?!

Jaques Messenguer był zakłopotany, kiedy musiał powiedzieć swoim kompanom, że jego mierzący metr dziewięćdziesiąt wzrostu, wyglądający na prawdziwego mężczyznę syn zamierza podjąć życie eunucha.

Ale matka go rozumiała. Nie tylko dlatego, że było to dla niego drogą ucieczki z tego ograniczonego świata, który nie przystawał do jego intelektu, ale też dlatego, że nie odrzucał miłości, tylko poszukiwał jej wyższej formy.

Pobłogosławił w duchu jej pamięć, tak jak to już robił tysiące razy od jej odejścia. Aż do tej chwili nie przyszło mu jednak do głowy, jak bardzo brakowało mu jej przez te wszystkie lata.

Och, Maggie, Maggie. Co ja mam z tobą zrobić? Nawet gdybym był wolny, to też bym tego nie wiedział. W dodatku nawet nie wiem, czy chcę być wolny.

Skręcił za róg Czwartej Zachodniej Ulicy i ruszył ku rzece. Musiał pozbyć się z myśli Maggie-kobiety, by pomóc Maggie-uczennicy, która musiała się nauczyć koniecznych rzeczy. Uczył ją teraz codziennie. Był dobrym nauczycielem, wiedział o tym od czasów uniwersytetu. Jeśli chodzi o pewien zakres trudnych tematów, mógł się chyba nawet uważać za wspaniałego nauczyciela.

Maggie z kolei była wspaniałą uczennicą. Uwielbiała się uczyć, pragnęła wiedzy, rozkoszowała się intelektualnymi łamigłówkami, koniecznymi do zrozumienia przedstawianych przez niego tematów. Miała też niesamowitą pamięć. Podczas ich wspólnej pracy nie powodowała żadnych problemów.

Problem polegał tylko na tym, czego miał ją uczyć. Już wprowadził ją w swoje doświadczenia w zakresie egzorcyzmów, żeby nie była zupełnie nie przygotowana, gdyby spotkała Wroga w jakiegokolwiek postaci. Jednak nawet teraz czuł rozpaczliwy niedostatek swego nauczania, bo nikt nie może przygotować innej osoby na tak potworny atak. Nikt nie jest w stanie wyjaśnić ogromu negatywnej

203

energii... energii mającej własne korzenie, własny intelekt, własne jestestwo.

W następnej kolejności zamierzał uczyć ją tego, co wielcy myśliciele mówili o dobru i złu, ale oboje doskonale wiedzieli, że zło nie jest niczym teoretycznym. Jest podstępne i potrafi się doskonale maskować. Moment konfrontacji następuje na ulicy albo w biurze czy też w małżeńskim łożu, gdzie trzeba podejmować decyzje na zwykłym, ludzkim poziomie, a nie poziomie teologii. Przekazał jej to, co, jak sądził, sam wiedział o człowieku i Bogu. Dostrzegał jednak, że jej własna odyseja w rzeczywistym świecie życia, miłości, pracy i małżeństwa upoważnia ją do tego, żeby to ona z kolei była jego

nauczycielem.

- Błagamy Cię, Panie, zechciej wysłuchać naszych modlitw,

i rozjaśnij mrok naszego umysłu, nawiedzając nas swą łaską - wy

szeptał w duchu.

Postanowił wrócić następnego dnia do Rhinebeck, żeby skorzystać z biblioteki. Było tam parę książek, które pomogłyby mu spojrzeć jaśniej na sprawy. Był tam również James. W trudnych momentach rozmowa z przyjacielem jest najlepszym remedium.

Rzeka była ciemna i brudna. Biedny Hudson - pomyślał. - Ludzie wyrządzili ci zło przez swoje pragnienie pieniądza. Zło dominowało. Było wszędzie. W oportunizmie, w ambicji, w chciwości i pożądaniu. I prawie zawsze ukrywało się pod jakąś trudno rozpoznawalną postacią. Nawet pod postacią zaniechania.

- Do triumfu złego wystarczy choćby to, że dobrzy ludzie nic

nie robią - powiedział niegdyś Burkę.

Peter westchnął i zaczął modlić się o wspomnienie.

- Et clamor meus ad te veniat - wyszeptał. - Niech moje woła

nie do ciebie dotrze.

Mógł tylko nauczyć ją tego, co sam wiedział i zostawić resztę w ręku Boga.

* * *

Wstrzymując oddech, Cody odczekała, aż umilkną odgłosy kroków Ghanii... Potem odczekała jeszcze trochę, bo czasami Ghania

204

pojawiła się, kiedy wcale nie słyszała jej kroków. Musiała być naprawdę ostrożna. Patrząc z obawą na drzwi, wyjęła swojego misia i pomacała jego szyję, szukając swoich skarbów. Nadal tam były. Odetchnęła z ulgą. Złoty guzik, wełniana nitka, która mogła pochodzić ze swetra Mim, a przynajmniej miała ten sam kolor, więc może... maleńka muszelka z tego miejsca na plaży, gdzie stała Mim, kiedy mówiła jej o sekretnym miejscu w ich sercach. W misiu było dość miejsca na jeszcze więcej rzeczy, gdyby tylko zdołała je znaleźć.

Wyjęła swoje skarby jeden po drugim i potarła nimi policzek. Za każdym razem, kiedy to robiła, w jej głowie pojawiały się obrazy. Obrazy Mim. Czasami były to sceny, które pamiętała z przeszłości, ale nie zawsze. Ostatnio były też nowe obrazy. Dwa razy widziała, jak Mim płacze. Raz widziała, jak idzie ulicą z

wysokim mężczyzną. Słyszała nawet jej głos...

Wystraszył ją jakiś dźwięk dobiegający z holu, więc pośpiesznie schowała swoje skarby i ukryła misia pod posłaniem. Słyszała, jak serce bije jej w piersiach: bum, bum, bum. Zawsze je słyszała, kiedy była naprawdę przestraszona. Drzwi otworzyły się i Ghania obrzuciła pokój czujnym spojrzeniem. Po chwili, uznawszy, że wszystko jest jak należy, odeszła, zamykając drzwi.

Cody uśmiechnęła się pod kocem. Miała teraz swoje magiczne skarby, które pozwalały jej dostrzec Mim. Miała też miejsce w swoim wnętrzu, gdzie skrywała tajemnice.

A w dodatku Ghania nic o tym nie wiedziała.

Rozdział 31

Abdul Hazred zadzwonił do drzwi Maggie. W jednej ręce trzymał książkę, a w drugiej butelkę wina.

Maria Apericida z wiele mówiącym zmarszczeniem brwi Wpuściła go do domu i odeszła poszukać Maggie.

205

- Ten Egipcjanin. Zaprowadziłam go do salonu, dona Maggie -oznajmiła z niechęcią.
 - Nie przypadł ci do gustu, co? - zapytała rozbawiona Maggie.
 - Możesz też nie lubić jego plemienia - orzekła Maria autorytatywnie.
- Idąc na spotkanie gościa, Maggie musiała powstrzymać się od śmiechu.
- Dobry wieczór, doktorze Hazred - przywitała go - zaskoczył mnie pański telefon.
 - Gdyby była pani tak miła i mówiła mi po imieniu, to czułbym, że już nie jest mi pani nieprzychylna i przyjmie moją pomoc w sprawie tych amuletów.
 - Dobrze, Abdul - zgodziła się. - Niestety, nie jestem jeszcze pewna, jakiego rodzaju pomoc możesz mi, twoim zdaniem, oferować.

Podał jej przyniesioną butelkę.

- Z przykrością muszę przyznać, że mój kraj nie ma znakomitych osiągnięć w produkcji wina, więc musiałem, przynajmniej w tym przypadku, z niechęcią zawrzeć rozejm z Francuzami. To moja ulubiona marka... pomyślałem, że może będzie przyjemnie

wypić po kieliszku, kiedy będziemy rozmawiali o tym, w jaki sposób mogą być pomocny.

Maggie uznała, że Hazred ma, bez wątpienia, czarujące maniery. Może więc powinna złożyć swą antypatię na karb jakichś niedorzecznych wymysłów i wysłuchać go.

- Może lepiej to zrozumieć, jeżeli siądziesz i powiesz, co masz na myśli, Abdul - zaproponowała, wskazując fotel.

Usiadł, a ona podeszła do barku i otworzyła wino.

- Jak już ci mówiłem, Maggie, od lat zajmuję się legendą o Amulecie Izydy i Kamieniu Sechmet. To wystarczająco wiele czasu, żeby to zagadnienie stało się pewnego rodzaju osobistą obsesją, oczywiście naukowej natury. Zawsze wiedziałem, że materializacja dokona się za mojego życia. Badałem wszelkie możliwe ślady właśnie pod tym kątem. Kiedy skontaktowałeś się ze mną w muzeum, instynkt podpowiedział mi, że wśród nas pojawiła się Wyśnawiczka. Nie muszę chyba dodawać, że pragnę ją spotkać.

206

Kozumiem. Więc po prostu chcesz być przedstawiony Cody... nie chodzi o to, że masz jakieś informacje, które, twoim zdaniem, mogłyby mi pomóc?

Hazred zrobił urażoną minę.

- Och nie, Maggie. Wręcz/ przeciwnie... jeżeli twoja wnuczka jest właśnie tą wybraną, to będzie potrzebowała przygotowania do swojej misji. W terminologii sztuk tajemnych nazywamy to przebudzeniem. Widzisz, wbrew popularnym wierzeniom, wybrańcy bogów nie przybywają;) na ten poziom istnienia wyposażeni w pełną władzę nad swoimi mocami. Tak jak Budda, Kriszna, Chrystus - muszą stopniowo przebudzić się do swojej wielkiej wizji, a po drodze muszą być przygotowywani zarówno przez samo życie, jak i przez mistrzów, którzy są umieszczani na ich ścieżce. Jednak w przypadku twojej wnuczki jest mało czasu na to, by dorosła do swych talentów, gdyż najbardziej odpowiedni moment do materializacji nadejdzie, gdy ona będzie jeszcze dzieckiem - oznajmił, przerywając na moment swój długi monolog. - Dlatego pokornie oferuję ci moje usługi jako duchowy nauczyciel twojej wnuczki. Wśród moich przodków byli zarówno władcy, jak i kapłani. Sadzę, że będę

miał jej bardzo wiele do zaoferowania.

Maggie zmarszczyła brwi.

- Najwyraźniej nie wiesz, Abdul, że Cody nie jest już ze mną.

- Już nie jest z tobą...? Co to znaczy?

- To znaczy, że jej matka uprowadziła ją... nie ma na to lepszego określenia., j ^t niestety, uznano mnie w domu Vannierów za Persona non grata.

Zauważyła że ta informacja w zaskakujący sposób poruszyła Hazreda-

Ten przecięty Vannier złamał swoje uroczyste dane słowo -

ysłał w tej samej chwili Hazred - chociaż obiecał, że przed doko-

aniem iytulnj umożliwi mi prace nacj „przebudzeniem" Wystan-

1 "ttiał wykraść dziecko i nie poinformować o tym swo-

wspo P^teowników? To na pewno robota tej wiedźmy, chce do-

nac "Prz^budzenia" własnymi metodami. Niech bogini ma

W SWEJ °,,e' e to nieszczęsne dziecko.

907

- Jestem dogłębnie rozczarowany tą wiadomością, Maggie -powiedział, usiłując naprowadzić swe myśli z powrotem na ich rozmowę. - Mówiąc szczerze, napawa mnie to wielką obawą o bezpieczeństwo twojej wnuczki. To są delikatne kwestie...

- Nikt się nie boi bardziej niż ja, zapewniam cię. Gdybym myślała, że istnieje sposób, żeby ją odzyskać, to wierz mi, że bym to zrobiła.

Nie mieli już sobie wiele do powiedzenia, więc Hazred opuścił jej dom. Maggie natomiast zaczęła się zastanawiać, czego Egipcjanin mógłby nauczyć Cody, gdyby miał do niej dostęp.

* * *

- Dałeś mi słowo, Erie - rzucił ostro Hazred. - Wiesz równie

dobrze, jak ja, że „przebudzenie" jest najważniejszym momen-

tem.

Vannier słuchał Egipcjanina ze spokojem.

- Okoliczności się zmieniły, Abdul. Ta O'Connor nastęrcza za dużo kłopotów, więc postanowiłem całkowicie odsunąć dziecko od jej wpływów.

- Jak śmiesz podejmować takie decyzje bez konsultacji z Radą Trzynastu?

- Śmiem w ten sam dokładnie sposób, w jaki będę śmiał decydować, kto odgrywa jaką rolę podczas Materializacji - odparł Erie z cieniem irytacji. - Demokracja nie jest w najmniejszym stopniu tak wydajna jak autokracja, możesz być tego pewien. Na przykład, wybrałem ciebie, byś mi asystował na ołtarzu podczas Ceremonii, mimo faktu, że jest dwanaścioro innych, którzy uważają siebie za równie uprawnionych.

- Więc rzucasz mi ochłap - odparł z pogardą Hazred. - To moje pochodzenie i moje talenty zdecydują o tym, że będę tej nocy przy ołtarzu, a nie twoje szlachetne maniery.

- Jak sobie życzysz, Abdul, ale skoro kości już zostały rzucone, jeżeli chodzi o dziecko, to oczekuję, że dostrzeżesz potrzebę zaniechania tych drobnych sporów, zanim dojdzie między nami do poważnego konfliktu.

208

Hazred był wściekły, ale widział daremność swoich wysiłków. Załagodził więc spór na tyle, na ile potrafił i opuścił posiadłość Vannierów.

Najwyraźniej Erie miał w tej sprawie swoje własne plany.

On sam, oczywiście, też.

Rozdział 32

Od wczesnego ranka Peter pracował w bibliotece. Przepisywał, notował i porównywał źródła w różnych językach. Cała powierzchnia wielkiego stołu była zastana stosikami papierów, a sterty materiałów pokrywały podłogę. Im więcej czytał, tym gorzej się czuł. Nie wiedział już, w co wierzyć. Prawda, mit, archetypowa fantazja. Wszystko to sprowadzało się do dobra i zła. Do przedwiecznej walki. Zniszczenia herezji. Oczywiście, dziecko było tutaj centralną postacią. I Maggie... Podparł dłońmi twarz, żeby odpocząć i zgarbił ramiona, jakby złożono mu na nie wielki ciężar.

W końcu wstał z bólem i przeciągnął się. Czuł bardziej znużenie ducha niż ciała. Potrzebował regeneracji, takiej, która może pochodzić wyłącznie od Boga. Poszedł długim korytarzem do kaplicy. Lubił jej niewielkie rozmiary i nastrój intymności. To dziwne, ale zawsze czuł się najbliżej Boga w małych kaplicach czy biednych kościółkach misyjnych. Bóg nie czuł się chyba dobrze w katedrach. Zbyt głośno krzyczały o władzy i mamonie. Chrystus bardziej lubił prostych ludzi niż królów „łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi wejść do królestwa niebieskiego”. To było,

oczywiście, błędne tłumaczenie: w miejsce wielbłąda powinna być lina, ale co to miało za znaczenie? Prawda była ta sama. Dziwne, jakimi ścieżkami błąkają się myśli, jeżeli nie czuwa się nad nimi uważnie. Westchnął i ukląkł przy balustradzie prezbiterium, żeby się pomodlić.

209

Każdy, kto b] g0 tam zobaczył od razu dostrzegłby, że coś go głęboko trapi: opłaszczony ramiona, pochylona nisko głowa, złożone ręce c/towiek< modlącego się o wspomnienie lub wybaczenie.

Po długiej chwijij Wstał, przeżegnał się i podążył przez labirynt korytarzy do mit halnej części budynku. Zatrzymał się przy jednym z wielu drz. j j zapukał z pewnym wahaniem.

- Jarries - za „Ołał, nie doczekawszy się żadnej reakcji. - Wy

śłuchasz mojej sj,iwiedzi?

Drzwi otwórz#,}y sje j stanął w nich czarnoskóry ojciec James Kebede wywo1zający się z Etiopii, wysoki i dość przystojny ksiądz. J<'8° mini wyrażała nieme zapytanie. James Kebede był najbardziej zaufanym przyjacielem, jakiego Peter kiedykolwiek miał. Samotność jeS{ zawsze ceną geniuszu i obrazobórstwa. Niewiele umysłów pstrafi na tyle dorównać geniuszowi, by się z nim przyjaźnić, a jesz< ze mniej jest na tyle apolitycznych, by wspierać prawie heretyka.

James • Peter Wykuwali swoją przyjaźń ostrożnie, przy grze w szachy- Potem Wzeszli do rozmów, które dotyczyły wiary, moralności, kondycji ludzkiej i badały tajemnice zadziwiającego dzieła bożego. P<"ter odki yj w tym młodszym od siebie człowieku prawdziwego wyznawcę J»Oga. W Kościele trudno jest znaleźć kogoś obdarzonego absolutni) wiarą. Ich przyjaźń odświeżyła go tak, jakby otrzymał znak od Boga. James wierzył w różnicę pomiędzy złem i dobrem, w rzec2Vwiste istnienie demonów i w niezmierną, oszałamiającą moc Bogii i me dlatego, żeby był głupcem czy prostakiem, ale wręcz przeciwnie, ue peter lubił i podziwiał go bardzo i już cztery razy zwracał się d,, niego, by wspomógł go w egzorcyzmach.

- Potrzebujesz spowiedzi, mój przyjacielu? - zapytał James

z łagodnym uśmiechem _ cZy kogoś, z kim można badać ten

wspañały • zadzi\vjająCy świat, który Bóg nam powierzył?

Był wyższy od petera i zbudowany jak masajski wojownik. Jednak porus/ał się z lakąs delikatną nieśmiałością, jakby przechodząc przez świ;,c> me c*>ciał zakłócać jego spokoju.

- Być może jednego i drugiego - odparł Peter, i James do

strzegł, że jego pi zyjaciel wygląda na znużonego i strapionego. -

Przydałyby nu się twoje dobre rady, James.

_ Na ile moje rady są dobre, pozostaje kwestią otwartą - odrarł Kebede i roześmiał się wesoło. - Na pewno jednak chętnie się nimi

podzielę.

Przeszli razem do dużej kuchni i Peter usiadł przy stole, podczas gdy James zajął się zawiłym procesem przygotowania herbaty. Najpierw ogrzał na angielską modłę imbryk gorącą wodą, a potem zaczął obserwować parzące się liście, czekając, aż napój będzie gotowy. Powiedział kiedyś Peterowi, że skrupulatnie podchodzi do przygotowywania jedzenia, bo jest go tak mało w jego kraju i uważa, że zawsze powinno się je traktować z szacunkiem i wdzięcznością. Mówił mu także o szakalach, które schodzą nocami ze wzgórz, żeby pożerać głodujące dzieci, śpiące na ulicach Addis Abeby....

- Cieszę cię najdrobniejsze elementy stworzenia - zauważy Peter, przyglądając się mu.

- Ach, widzisz, jak zręcznie Bóg podzielił obowiązki tego świata. Ja zajmuję się drobnymi rzeczami, a ty wielkimi... na przykład rozwikłaniem bożego planu. Czy to właśnie cię dzisiaj trapi, przyjacielu?

Peter roześmiał się zgodnie z oczekiwaniem przyjaciela i pokręcił głową. Jednak mimo śmiechu z każdego jego gestu przebijał do tkliwy smutek.

- Nic aż tak wielkiego, James - odparł cicho - ale jednak coś.

trudnego. Chodzi o pewne dziecko... i kobietę... oboje potrzebuje pomocy, której ja mogę być w stanie im udzielić. I chcę pomóc, bardzo tego pragnę, bardziej niż chciałem czegokolwiek od bardz.^ dawna. Czuję się tak, jakby to było niemal celem mojego życia Ale...

James podniósł pytający wzrok znad imbryka, a Peter spojrzył mu prosto w oczy.

- Ona pociąga mnie w taki sposób, co do którego byłem pewny, że dawno go pokonałem. Myślałem, że w tym zaawansowanym wieku będę wolny od pokus ciała, ale coś w tej kobiecie mnie poruszyło.

James podniósł wymownie brwi. Nie był to temat do lekkiej pogawędki, to było wyzwanie, które każdy musi podjąć. Walka, którą trzeba toczyć w samotności.

- Jesteś zarówno mężczyzną, jak i księdzem, Peter - powiedział wyrozumiale Kebede. - Dopóki nasz duch przebywa w ciele, dopóty jesteśmy ciałem. Wybrałeś drogę, która stawia sumieniu wielkie wymagania.

Zamilkł na chwilę. Mógł powiedzieć tak wiele, ale tak mało z tego mogło być rzeczywiście pomocne.

- Pamiętasz Szatana w Szóstym Kręgu, przyjacielu? - zapytał w końcu.

Peter skinął głową.

- Według chińskich legend - odparł ze smutnym uśmiechem - gdy człowiek zbliża się do Oświecenia, musi przejść ostateczny egzamin, zanim posiędzie znajomość Boga. Jest to próba, w której trzeba stawić czoła Szatanowi w Szóstym Kręgu. To jest najbardziej sprytny szatan, bo wykorzystuje przeciwko nam zarówno nasze zalety, jak i słabości. On nie stosuje się do żadnych dżentelmeńskich reguł... kłamie, oszukuje, wciąga nas w dwuznaczne sytuacje... i zna nas lepiej, niż my znamy siebie samych.

- Ale musisz pamiętać, Peter - wtrącił łagodnym głosem jego przyjaciel - że on jest nie tylko wrogiem, ale i przyjacielem, bo to on właśnie dostarcza nam bodźca do dokonywania najwspanialszych czynów w duchowym rozwoju. Żeby go pokonać, musimy być czymś więcej niż sumą naszych części ciała. Musimy być sługami, wojownikami, nauczycielami, kapłanami i mędrkami. Musimy być wszystkim, co tylko możliwe, Peter. Dlatego, że on jest ostatnim wrogiem.

- Co chcesz przez to powiedzieć, James? - zapytał Messengner śmiertelnie poważnym głosem.

- Ta kobieta, mój przyjacielu - odparł James. - Wydaje mi się, że ona może być dla ciebie Szatanem w Szóstym Kręgu, a ty możesz być już blisko końca swojej podróży.

Peter spojrzał uważnie na młodego księdza, rozważając implikacje tego, co usłyszał.

- Wspieraj mnie w tym, James - powiedział wreszcie głosem pełnym napięcia. - Czuję, że Pan wkrótce będzie domagał się ode mnie rzeczy, które będzie mi trudno spełnić. Mogę potrzebować przyjaciela.

- Możesz być o to spokojny - oznajmił James z cichą stanowczością.

Rozmawiali do późna w nocy. Peter opowiedział przyjacielowi dziwną historię tego, co go teraz gnębiło. Później, kiedy już wrócił do swojego pokoju, zdjął książkę z umieszczonej przy łóżku półki i przekartkował ją, szukając zapamiętanego fragmentu. Odnalazłszy go, usiadł na łóżku i zaczął czytać.

„Szatan w Szóstym Kręgu jest najpotężniejszym ze wszystkich szatanów. Potrafi opętać twojego władcę, rodziców, żonę lub dzieci, współwyznawców lub złych ludzi i przez nich pod pozorem przyjaźni będzie usiłował zawrócić cię ze ścieżki Oświecenia. Może też w sposób otwarty stanąć ci na drodze.

Jest ostatnim wrogiem, ale najgroźniejszym”.

lii I

(!il!

CZĘŚĆ TRZECIA

Konflikt

Człowiek jest liną rozpiętą pomiędzy zwierzęciem i nadczłowiekiem - liną nad otchłanią.

Fryderyk Nietzsche

Rozdział 33

- Pomyślałem, że po prostu zajrzę zobaczyć, jak ci leci, Maggie - powiedział Devlin, wchodząc do sieni.

Uśmiechnęła się blado i poprowadziła go do salonu.

- Powiem ci, jak leci, Dev - odparła smutnym tonem. - Zaczynam się czuć tak, jakby moje życie było opisane pod jednym z tych nagłówek w gazetach. Wiesz: „Dwugłowe dziecko zabija osiem

naście osób a potem siebie". Jest w tym wszystkim jeden ciąg nie możliwych absurdów.

Roześmiał się krótko.

- Jeżeli odpowiednio długo jest się policjantem, Maggie, to człowiek dostrzega, że właśnie takie jest życie każdego człowieka. Jak to napisał ktoś sławny: życie jest opowieścią idioty. Tragedią czy triumfem, to zależy od dnia... ale nigdy tym, czego się oczekuje. Spójrz na moje życie - to nie jest historia z książki „Tato wie najlepiej”.

Maggie uśmiechnęła się do niego z sympatią. W tym krótkim okresie, w jakim się znali, zdążyła już go polubić.

- Jakie było twoje życie, kiedy byłeś chłopcem, Dev?

Usiadła po turecku na kanapie, wskazując mu ręką, by również usiadł.

- Jesteś taką niezwykłą krzyżówką - dodała. - Wyobrażałam sobie wszelkiego rodzaju interesujące początki twojego życia.

Uśmiechnął się. Jego uśmiech zawsze kojarzył się jej ze słońcem, które niespodziewanie przebiło się przez chmury. Czy w jego życiu było wiele rzeczy, które mogły wywoływać uśmiech?

- Dorastałem w Południowym Bronxie. Można powiedzieć, że moja edukacja składała się w równych proporcjach z seksu, religii i dżentelmeńskiej sztuki samoobrony. Religia była zasługą zakonnic, seks lat sześćdziesiątych, a walczyć nauczyłem się dzięki temu, że chodziłem do szkoły, która była osiem przecznic dalej i po drodze musiałem przechodzić przez osiedla zamieszkane przez Włochów i Polaków, dla których irlandzki urok nie jest czymś szczególnie atrakcyjnym.

Maggie roześmiała się. On zawsze potrafił ją rozbawić.

Moja rodzina, oczywiście, popierała demokratów, bo to Partia Demokratyczna karmiła nas w ciężkich czasach i zapewniała oracę dla wszystkich chłopaków w rodzinie. W ubogiej dzielnicy popieranie demokratów nie jest wyborem politycznym, ale naturalnym odruchem. Nikt tam nigdy nie słyszał o republikanie, który przyszedłby do wdowy z koszykiem jedzenia, albo który wyciągnąłby jej dzieciaka z pudła - powiedział ze śmiechem. - Prawdę mówiąc, nikt tam nie słyszał o żadnym republikanie.

Lubiła go słuchać, jego sposób mówienia stanowił intrygującą mieszaninę ulicznego cwaniactwa i niespodziewanej poezji... naturalną piosenkę ulicznego minstrela.

- Dorosłem... pojechałem do Wietnamu, bo myślałem, że tak należy i dlatego, że inni też jechali. Wtedy właśnie dowiedziałem się czegoś o świecie.

Pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że nawet Bronx nie był w stanie przygotować człowieka do tego horroru.

- Byłem po prostu chłopakiem... przy tym dość idealistycznym - ciągnął. - Naprawdę wstrząsało mną, w jak nieludzki sposób człowiek może traktować innego człowieka. Wiesz, kiedy się przejdzie przez taki koszmar jak Wietnam, to potem człowiek zawsze daje sobie pytanie, dlaczego przeżył. Dlaczego ja, Boże, a nie Jimmy, Fredo czy Petrie? Dlaczego ja się stamtąd wydostałem? Czego chcesz w zamian, Boże? Może to brzmi idiotycznie, ale właśnie takie pytania doprowadziły mnie do poezji. W tym zapomnianym przez Boga bagnie to był jedyny sposób afirmacji życia i podtrzymanie nadziei, że gdzieś tam może nadal istnieć piękno.

Znowu pokręcił głową. Jego wzrok pełen był bólu wspomnień.

- Zawsze byłem napalony na czytanie i wyobrażałem sobie, że sprawy przedstawiają się inaczej, niż my to odbieramy. Odziedzi

czyłem to pewnie po mojej matce... jakieś poczucie, że bieda nie jest wszystkim w życiu i że wszystko jest możliwe.

Zamilkł na chwilę.

- W każdym razie, kiedy wróciłem, poszedłem do szkoły i prawdę mówiąc, całkiem nieźle mi szło. Po tym całym umieraniu, jakie widziałem, uznałem, że trzeba wykorzystać uciekający czas.

217

Kiedy ożeniłem się z Jan, miałem już za sobą rok prawa. Wtedy właśnie wstąpiłem do policji. Umiejętności wyniesione z wojska wydawały się być przydatne. Dawało mi to pewnego rodzaju stabilizację... i szansę zrobienia czegoś dobrego na tym podłym świecie - dodał z westchnieniem -

Dalej, kiedy tylko mogłem, chodziłem na zajęcia wieczorowe. Długo to trwało. Korzystna przy tym dyscyplina pomagała mi w pewnym sensie przerwać, kiedy sprawy przybierały zły obrót., pomagała zachować -rzeźwość myślenia, kiedy wokół panował chaos.

- Czy kiedykolwiek zamierzałeś pracować jako prawnik? - za pytała poruszona i zakłopotana.

Spojrzał na nią w milczeniu. W jego oczach była jakaś moc, pragnienie, żeby być zrozumianym bez przymusu tłumaczenia. Poznasz mnie, jeżeli jest... właśnie tą - mówiło to spojrzenie. - Zrozumiesz to, czego nie możesz wytłumaczyć.

- Nie wiem, Maggie. Kochałem prawo... jego porządek, inteligencję i cywilizującą rolę, ale jego praktyczne wykorzystanie naprawdę mnie odstręczało. Będąc w policji, ma się takie biologiczne poczucie satysfakcji. Nie chcę być detektywem. Jestem w tym dobry. Czasami nawet doprośzę adwokatów do tego, żeby wymierzono sprawiedliwość. Nigdy nie czuję czegoś takiego w przypadku prawa. Wygląda na to, że sprawiedliwość zawsze tkwiła po uszy w bagnie.

- Więc jako detektyw masz wrażenie, że pomagasz sprawiedliwości, a gdybyś był prawnikiem, to by tak nie było?

- Coś w tym rodzaju-

- Czy to jest dla Ciebie dobre życie, Dev? Kiedy się patrzy na nie z zewnątrz, wygląda na trudne i bezlitosne.

Oparł się o poduszkę kanapy, jeszcze głębiej wciskając ręce w kieszenie. Jego wzrok był pełen wspomnień.

- Czasami... - zac/-4ł x westchnął głęboko. - Był taki jeden przypadek - ciągnął z wahaniem. - Każdy policjant ma taki przypadek, którego nie zapomni Maggie... Wezwali nas do tego mieszkania, bo sąsiedzi usłyszeli krzyki. W pokoju znaleźliśmy to, co zostało z młodej kobiety. Zabita, zgwałcona, zmasakrowana. Byłem pierwszym, który wszedł do tej sypialni... zamilkł na chwilę. - Był

218

wielki misiek, taki, jakiego się wygrywa w wesołym miasteczku. Sedział na łóżku cały mokry od krwi. Ruszał się. Za nim było małe dziecko. Mała dziewczynka. Może trzyletnia. Chowiała się za nim, łkając. Nie miała siły, żeby płakać, ale nadal usiłowała się chować przed „złym człowiekiem”. Została uderzona tuzin razy nożem i miała rozpruty brzuch.

Widziała wyraźnie, jak bardzo jest wstrząśnięty tym wspomnieniem.

- Chryste, pamiętam, jak chciałem ją wziąć w ramiona, powie dzieć, że wszystko będzie w porządku... ale bałem się jej dotknąć, była tak strasznie poraniona. Wziąłem ją więc za rękę i trzymałem. Nie uwierzyłybyś, ile było siły w tych małych paluszkach... W jego oczach pokazały się łzy. Otarł je grzbietem dłoni.

- Chodziłem codziennie po pracy, żeby odwiedzić ją w szpitalu. Była taka malutka w tym szpitalnym łóżku, podłączona do mnóstwa rurek i czujników. Cały czas była w śpiączce, ale ja z nią rozmawiałem. Śpiewałem jej. Przypuszczałem, że koledzy uznają, że zwariowałem, ale nie. Umierała tak przez tydzień - dodał z głębokim westchnieniem. - Kiedy to już się stało, byłem wdzięczny Bogu, bo nikt nie może żyć po czymś takim. Nikt nie powinien być do tego zmuszany.

Oparł głowę o zagłówek kanapy i zapatrzył się w sufit.

- Zajął nam bardzo dużo czasu, zanim dopadliśmy tego, który to zrobił - dorzucił.

- W jakim ty okropnym świecie żyjesz, Dev - westchnęła Maggie, wstrząśnięta i zasmucona. - Ale jednak wydaje mi się, że potrafisz wierzyć w szczęśliwe zakończenie.

Uśmiechnął się niespodziewanie i popatrzył wprost na nią.

- Co ważniejsze, wierzę nawet w szczęśliwy środek.

- Co masz na myśli?

- To, że nie można ciągle żyć przeszłością. W mojej robocie, Maggie, chwila obecna jest wszystkim. Człowiek musi się nauczyć czerpać z niej całą możliwą radość.

Patrzyła na niego, zastanawiając się, co takiego czuje w stosunku do niego. Drażnił ją w niepokojący, niespodziewany sposób, ale też sprawiał, że czuła się chroniona, bo kogoś znowu obchodził jej

219

los. Dostrzegała charakter w tym człowieku uformowanym przez mądrość, która przychodzi z cierpieniem: głęboko osadzoną siłę i niezłomność.

Zdawała sobie sprawę z tego, że, kiedy są razem, zawsze przygląda mu się uważnie, chcąc się więcej o nim dowiedzieć, ale jednocześnie bojąc się, że może ją to zranić do głębi. Jego potargane ciemne włosy były w jakiś sposób atrakcyjne, bo przydawały mu chłopięcego wyglądu mimo zewnętrznej szorstkości. Podobała się jej też przenikliwość jego umysłu, który nie dawał się zwieść pozorom.

Wiedziała, jaki jest w łóżku, chociaż nigdy z nim nie spała. Była w nim spontaniczna siła i namiętność, skrywana pod przemieszaną z zamyśleniem wesołością. Ich rozmowy miały już pewien schemat: zawsze zaczynały się w tym punkcie, w którym zostały ostatnio przerwane. Tak samo byłoby w łóżku.

Te myśli poruszyły ją do tego stopnia, że zmusiła się do zawrócenia ze ścieżki. Jak takie rozmyślenia miały się do tego, co czuła do Petera?

- Jak myślisz, Dev, co powinnam teraz zrobić? - zapytała, odpychając od siebie wszystko inne. - Jak mogę się wydobyć z tego labiryntu?

Słyszał w jej głosie pragnienie, ból i coś jeszcze, coś nie do końca możliwego do określenia.

- Myślę, że powinnaś pozwolić mi robić to, na czym się znam, Maggie - powiedział zdecydowanie. - Prawo nie będzie w tej kwe

stii po twojej stronie, chyba że uda mi się udowodnić parę zarzutów, które zbieram przeciwko Vannierowi. Kiedy to zrobię, będziesz mogła wnieść do sądu sprawę o odzyskanie Cody. Bez dowodów nie masz szans.

- Czy odkryłeś już coś, co może nam pomóc?

Odwrocił od niej wzrok.

- Odkryłem na tyle dużo, żeby wiedzieć, co mam przed sobą, ale nie na tyle dużo, by można to było uznać za dowody. Praca śledcza zajmuje dużo czasu. Szczególnie, jeżeli to nie jest oficjalne śledztwo. Wiem, jakie to trudne dla ciebie, Maggie, ale musisz być cierpliwa. Cody nie ma dopiero od ośmiu tygodni, chociaż tobie może się to wydawać wiecznością.

220

Maggie była tak cicho, że wydawało się jej, iż on słyszy bicie jej serca.

Każdego dnia - powiedziała cicho i z namysłem - budzę się,

myśląc: czy ona cierpi? Czy żyje? Czy teraz jest Tym, Który Krzyczy? Jaki długi musi się jej wydawać każdy dzień? Jaka przerażająca jest każda noc?

Devlin spojrzał prosto w jej oczy.

- Rozumiem cię, Maggie - oznajmił ponuro. - Naprawdę cię rozumiem.

Rozdział 34

Jenna siedziała nago przy swej wyszukanej toalecie. To, co widziała w antycznym lustrze, było rzeczywiście godne podziwu. Była może odrobinę za szczupła, ale jej pełne dumne piersi wydawały się wystarczającą rekompensatą tej niedoskonałości. Cięża nie rozluźniła mięśni jej brzucha, a ślady po igle już nie były takie widoczne, odkąd zaczęli ją kłuć pomiędzy palce u nóg i inne wymyślne miejsca. Spędziła większość poranka na eksperymentach z włosami i makijażem. Wydęła usta, by podziwiać ich błyszczące kształty, a potem skrzywiła się, gdyż dostrzegła jeden nieprzystrzyżony włosik brwi.

Wyrwała go i z uwagą neurochirurga, który poszukuje mikroskopijnego zakończenia nerwowego, przyjrzała się brwiom. Miała do dyspozycji nieograniczoną ilość czasu, który mogła poświęcać na toaletę i makijaż.

Ghania wpadła bez pukania do pokoju i podeszła do jej toaletki. Wydawała się ignorować nagość pani domu, ale w rzeczywistości obrzuciła wprawnym spojrzeniem to niemal doskonałe ciało. To ona zawsze wybierała ciała do łóżka Erica, od czasu, kiedy od niej odszedł, a to było jednym z najdoskonalszych, jakie znalazła na kontynencie.

221

Podprowadziła Cody do ławy, na której siedziała Jenna. Dziecko podskoczyło radośnie do matki i wgramoliło się jej na kolana w poszukiwaniu pociechy.

- Witaj, moje piękne maleństwo! - zawołała Jenna słodkim głosem, pełnym teatralnego entuzjazmu.

Ścisnęła dziecko i całowała je głośno, pokazując, jak jest zachwycona jego przybyciem. Ghania stała cierpliwie obok, przyglądając się im. Wiedziała, że to minie.

- Czy mam zostawić córkę z panią, madame Vannier? - zapytała z udawaną służalczością, ale Jenna tego nie zauważyła.

- Och, bardzo bym chciała się nią zająć. Naprawdę bym chciała - odparła z leniwym uśmiechem - ale jestem teraz okropnie zajęta. Wiesz, jak bardzo zależy Ericowi, żebym cały czas wyglądała doskonale, a moje paznokcie są w okropnym stanie. Nie mogłabyś mnie zastąpić i zająć się nią?

Zrozumiawszy, że mamusia chce ją odesłać, Cody otoczyła Jennę ramionami i mocno ją ścisnęła. Prawie nie widywała matki, ale kiedy do tego dochodziło, było jej przyjemnie. Chociaż przez parę minut. I mamusia była nieskończenie lepszym towarzyszem niż Ghania. Mamusia nigdy jej nie krzywdziła... z wyjątkiem tego, że czasami było jej przez nią smutno.

- Chcę się z tobą bawić, mamusiu - powiedziała błagalnie Coda - proszę, mamusiu. Proszę, pozwól mi ze sobą zostać!

Jenna uniosła dziewczynkę do góry i obsypała ją gorączkowymi pocałunkami, uważając przy tym, żeby nie zepsuć sobie makijażu.

- Kocham cię bardzo, moja droga - zawołała dramatycznym głosem - ale mamusia jest w tej chwili okropnie zajęta. Lada moment wróci tatuś, a wieczorem mamy duże przyjęcie i mamusia

musi odpowiednio wyglądać.

Mówiąc to, sprawnie uwalniała się od córki, odczepiając od siebie jej ręce i nogi i odpychając ją do niańki. Ghania sięgnęła po dziecko, ocierając dłonią brodawkę piersi Jenny. Wyglądało to na przypadkowe dotknięcie.

Rozumiejąc daremność dalszego oporu, Cody pozwoliła się oddać Ghanii. Jej mina wyrażała ból odrzucenia.

222

Kii-dy odchodziły, Jenna postąpiła jej w powietrzu pocałunek i odetchnęła z ulgą, słysząc zanikający odgłos kroków. Przeciągnęła i leniwie i przyłożyła dłoń do piersi. Dotyk Ghanii rozbudził jej waśnienia. Postanowiła, że później zażyczy sobie masażu. Nikt inny nie potrafił robić masażu tak zmysłowo jak Ghania.

Sama myśl o tym podnieciła ją tak, że poczuła, jak robi się wilgotna. Jednak teraz miała przed sobą inne, pilniejsze sprawy.

Otworzyła szufladę nocnej szafki, odsłaniając leżące w niej w przyjemnym bałaganie wszystkie utensylia jej uzależnienia: przypaloną łyżeczkę, biały proszek, wodę mineralną evian i mały palnik naftowy. Przyjrzała się uważnie swoim dłoniom i ramionom, szukając odpowiedniej żyły, a potem, przypomniawszy sobie, że Erie wpadłby we wściekłość, gdyby ślad po zastrzyku był widoczny, zdecydowała się na zwykle niewidoczną żyłę w nodze. Wstrzyknęła sobie dostateczną dawkę heroiny, żeby wymazać wszystko, co nie było do końca doskonałe w jej nowym życiu.

Słyszała już krzyki Cody, dręczonej przez Ghanie... bywała w piwnicy... brała udział w rytuałach, o których wołała nie pamiętać.

Nie mogę teraz nic na to poradzić - myślała, osuwając się w przyjemną błogość. Poza tym, życie z mężem dostarczało jej rekompensaty za te niedogodności.

Minuta mijała po minucie. Czuła się już silniejsza... i bardziej wolna. I bardzo, bardzo mądra. Wystarczająco mądra, by rozgryźć to wszystko. Może trochę później...

Rozdział 35

- Będziesz robiła, co ci każę! - oznajmiła surowo Ghania.

W jej oczach pojawiły się groźne błyski. Nie lubiła, kiedy ktoś się jej sprzeciwiał.

- Nie - powtórzyła Cody, kręcąc gwałtownie głową.

223

Zagryzła wargę i cofnęła się, rozpaczliwie starając się połączyć myślami z Mim. Gdyby tylko miała ze sobą ten guzik!

- Zrobisz, co każe, bo jak nie, to będziesz znowu spała z Mali-

kali. W ciemnościach. Całkiem sama.

Zaciśnięte w ponurym uporze usta dziecka drgnęły na wzmiankę o wielkim wężu. Był zimny i przerażający, nie taki śluzowaty, jak sobie wyobrażała, ale mimo to o wiele gorszy. Zimny jak śmierć i taki silny, że jakby ścisnął człowieka, to pozbawiłby go tchu. Mimo tego, że Ghania zostawiła węża zamkniętego w klatce przy jej łóżku, to jednak tamta kara była najgorszą z udręk, jakich do tej pory doznała. Leżała wtedy zbyt przerażona, żeby się poruszać czy oddychać, słuchając, jak wąż się przesuwa i rozciąga, napierając na pręty klatki. Pokręciła głową już z mniejszym przekonaniem, usiłując cofnąć się, ale za jej plecami była tylko ściana: nie miała dokąd uciec. Wtuliła się w kąt, kiedy Ghania znowu podsunęła ku niej ten obrzydliwy napój.

- Robi mi się niedobrze - powiedziała Cody, bardzo się stara

jąc nie krzyczeć. - Wymiotuję od niego.

Z pokrytego pianą płynu w kubku wydobywał się zapach krwi i czegoś o wiele bardziej gorszego. Już po pierwszym łyku Cody wiedziała, że już nigdy, przenigdy nie wolno jej pić tego preparatu.

Ghania zakląła złowrogim, syczącym szeptem. Potem z gniewnym mruknięciem postawiła kubek na stole i chwyciła stalowym uściskiem ramię dziewczynki. Cody krzyknęła z okropnego bólu wywołanego przez ten niespodziewany atak. Ghania powlokła ją bez słowa przez pokój i potem w dół po schodach, prowadzących z bawialni. Objając się boleśnie o ściany, dziewczynka wykręcała się i machała rękami, chcąc odzyskać równowagę. Jej małe nóżki usiłowały utrzymać ciało w pionowej pozycji, ale Ghania maszerowała szybko przez pomieszczenia mieszkalne, nie zwracając uwagi na cierpienia Cody. Dotarła do schodów do piwnicy i powlokła ją w dół w absolutną ciemność.

Gdzieś w tej ciemności rozlegały się odgłosy cierpienia.

Szarpnęła łkające i przerażone dziecko, zatrzymując się w miejscu i nacisnęła przycisk światła. Cody usiłowała się rozejrzeć przez łyzy. Przed nią były duże klatki, takie jak w zoo. Zamrugnęła oczami

224

• ddech zamarł jej w gardle z przerażenia,. Klatki były pełne cier-iacych zwierząt o pustych, krwawiących oc/odołach po wyhjpio-n h OCZach i odciętych kończynach. Dojrzała przerażone psy, koty i króliki, przytwierdzone do narzędzi tortur. To wszystko było zbyt okropne, żeby się dało ogarnąć umysłem. Zaciśnęła mocno powieki, żeby odepchnąć od siebie te okropności.

_ Popatrz, ty uparciuchu - powiedziała triumfującym głosem Ghania, popychając ją dalej, by stanęła przed klatkami z nagimi, cierpiącymi mężczyznami i chłopcami.

- To Ci, Którzy Krzyczą!

Oczy Cody otworzyły się automatycznie w szoku. Zobaczyła ich: skulonych i zakrwawionych w więziennych klatkach. Po chwili już nie tylko widziała - czuła. Ich cierpienie ogarnęło ją jak rzeka płomienia. Nigdy nie doznała tak wyrazistego bólu. Wszędzie: w ramionach, w brzuchu, w sercu. Było to nawet coś więcej niż ból. Przenikały ją okropne emocje, rozdzierające emocje dorosłego człowieka, zbyt intensywne, by mogło je znieść dziecko...

- Nie! - wrzasnęła, machając rękami, żeby odepchnąć od siebie

to nieznośne cierpienie. - Nie! Nie! Nie!

Jej wołania odbijały się od kamiennych ścian przeraźliwym echem. Wrzask po wrzasku, wypełnione cierpieniem. Śmiech Ghanii mieszał się z przeraźliwym płaczem Cody-

Ghania zaciągnęła dziecko z powrotem do bawialni. Bezwładna, szmaciana lalka, którą była teraz Cody, pozwoliła się wlec bez żadnych protestów. Ból, który w niej osiadł. I\ za wielki, by mogła to wyrazić głosem. Rozrywał ją, pękał w mej, przenikał do głębi. Była z nim jednością i tylko to się liczyło.

Ghania bez słowa cisnęła ją na łóżko: wyszła, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Cody leżała tam, gdzie została rzucona, a strumyczki łez spływały jej po policzkach. Wewnętrzny ból nie pozwalał jej ruszać się, myśleć ani oddychać. Minęło sporo czasu, /anim uświadomiła sobie, że obok niej leży miś ze skarbami. Resztkami sił sięgnęła po znajomy kształt i czując w dłoniach jego ciepło, przyciągnęła go bliżej do serca. Płacząc, zaczęła usypać. Czuła, jak osuwa się

w sen...

225

Była w dziwnym, gorącym kraju o piaszczystych terenach i dziwnie skonstruowanych budynkach. Nie była już małą dziewczynką, ale młodą kobietą w sięgającej do kostek białej sukni z purpurowym obszyciem. Spieszyła do wielkiej budowli, na której schodach stała przyzywająca ją kobieta. Wiedziała, że tą kobietą jest Mim.

- Pośpiesz się - powiedziała Mim. - On cię wzywa.

Zaprowadzono je do wielkiej komnaty. Po drodze mijaly żołnierzy. Zobaczyły mężczyznę leżącego w otoczonego parawanami wspaniałym łożu pośrodku komnaty. Wszyscy w komnacie coś szeptali, ale Cody nie zwracała na to uwagi, bo czuła wyraźnie cierpienie tego mężczyzny i musiała mu pomóc.

Położyła sprawnie dłonie na jego głowie i sercu i dojrzała, że Mim staje przy jego nogach, kładąc ręce

na jego stopach. Strumień siły życia zaczął przepływać przez nie obydwie, szukając śmiertelnego bólu, który rozszarpał ciało mężczyzny, i zmieniał ten ból w coś łatwiejszego do zniesienia. Czuła, jak ta energia narasta, uzdrawia i przemienia wszystko na swojej ścieżce... czuła elektryczne ciepło... ożywczy strumień życia.

To był jej dar, a Mim uczyła ją, jak go używać.

Mim była....

Mim była...

Teraz.

Mim stała w sypialni ich domu w nocnej koszuli. Wyglądała na bardzo, bardzo przerażoną.

Maggie stała zdezorientowana przy łóżku. Coś zmusiło ją do zerwania się na równe nogi. Czuła przeszywający strach, ogarniający stopniowo jej ciało i umysł.

Czuła Cody każdą komórką swojego ciała.

Była chora.

Była przerażona.

Była zupełnie sama.

226

Rozdział 36

Następnego dnia poranek był tak przejrzysty, jakby nic niezwykłego się nie wydarzyło. Po śniadaniu Erie i Ghania zabrali Cody z jej pokoju i teraz przechadzali się wolnym krokiem po brukowanej ścieżce w labiryncie na terenie posiadłości. Dziewczynka wybiegła przed nich i sama ostrożnie chodziła pomiędzy żywopłotami. Była przerażona zachowaniem Ghanii, a równocześnie bardzo, bardzo zdezorientowana. W niektóre dni Amah była niemalże miła, a potem, tak jak ostatniej nocy, robiła się gorsza od złej czarownicy w „Królowie Śnieżce”. I nigdy nie było wiadomo, jaka będzie. Cody nigdy nie mogła czuć się bezpiecznie. Po płaczu piekły ją oczy i nadal odczuwała w sobie resztkę bólu, którego doznała w piwnicy. Odczuwała ból od samego dotyku. Bardzo chciała porozmawiać z kimś, kto nie jest zły.

Labirynt był bardzo piękny, ale wysoki, gęsty żywopłot wywoływał poczucie zagrożenia. Wiedziała, że gdyby ją tam zostawili, to nigdy nie znalazłaby drogi na zewnątrz. W tym okropnym domu wszystko co złe było możliwe i nikt by jej nie pomógł.

- Czy ta kobieta sprawia ci przyjemność, Erie? - zapytała Ghania swobodnie, tonem o wiele za bardzo poufałym jak na służącą. - Czy chcesz, żebym wyszkoliła ją, jeśli chodzi o twoje specjalne potrzeby?

- Jest nieskończenie nudna w konwersacji, moja Amah - odparł z chytrym uśmiechem. - Ale jej ciało jest wspaniałe i Bóg wie, że jest wystarczająco chętna, jeśli chodzi o przyjemności ciała, chociaż według naszych standardów jest, oczywiście, nie wyszkolona. Może byłoby przyjemnie przekonać się, czy ma jakieś ukryte talenty. Materiał jest piękny: kto wie, co można z niego wyrzeźbić?

Vannier przeszedł w milczeniu kilka kroków i spojrzał z rozbawieniem na Ghanie.

- Czy pytasz o to w jakimś celu, moja ty mądra, czy też chcesz

sama zapewnić mi szczęście, jak kiedyś?

Ghania roześmiała się lubieżnie.

227

- Trudno mnie zapomnieć, prawda, mój młody uczniu?

- Nikt nie miał nigdy lepszego nauczyciela, jeśli chodzi o przyjemności zmysłowe. Dobrze o tym wiesz.

- Przyjemność jest również po mojej stronie. Masz cudowne ciało i wyobraźnię równie rozbudzoną jak najlepsi, których szkoliłam. Ale mądrze zakładasz, że zadaję to pytanie w pewnym celu. Jenna nie będzie zbyt dobrą ofiarą, jeżeli pójdzie na tyle głęboko w narkotyki, żeby nie odczuwać prawdziwego strachu, a poza tym już wypełniła zadanie, do którego tak uważnie ją wybraliśmy. Dziecko jest doskonałe, tak jak mówiłam.

Erie skinął głową, zgadzając się z nią w zupełności.

- Rzeczywiście, bardzo umiejętnie pracowałaś nad słabościami Jenny. Chociaż muszę przyznać, że kiedy mi powiedziałaś, że muszę się z nią ożenić, by zapewnić sobie przejście tego dziecka, miałem pewne wątpliwości.

- Na pewno twoje cierpienie zostało trochę złagodzone, kiedy zobaczyłeś jej ciało - stwierdziła ironicznie Ghania.

Znała Erica jak siebie samą.

- Niemniej jednak - powiedział, ignorując jej napomnienie - trudno się nie zastanawiać nad tym, co dawni mistrzowie mieli na myśli, kiedy wybrali tak dziurawe naczynie.

- Starzy mistrzowie są znani z poczucia humoru, Erie. Wiesz, że matka Wybranej też musi być wybrana, i to bardzo precyzyjnie. Książę musiał przeszukać całą ziemię, a nasi przeciwnicy ze Sfery Światła usiłowali ukryć przed nami jej możliwości. To dobrze, że on jest entuzjastą i lubi tę zabawę. Jakie to dowcipne, że zrobił z niej narkomankę i prostytutkę. Musiała nasikać na Święty Płomień w świątyni Wielkiej Matki, żeby zasłużyć na taką karmę.

Erie uśmiechnął się potwierdzająco. Było wyraźnie widać, że darzy Ghanie szacunkiem i równie widoczne było to, że on jest panem, a ona zaufanym zausznikiem.

- Wyszkolę ją w sztukach Erosa, jeżeli tego pragniesz... w zamian za twoje przyzwolenie na pozbycie się jej według mojego uznania. Wykorzystamy jej śmierć do odsunięcia dociekań jej matki, gdyby zbliżyły się za bardzo do naszego dzieła. Jenna jest jedynym ogniwem pomiędzy dzieckiem i jej babcią, więc proponuję,

228

żebyśmy po zakończeniu procedury adopcyjnej pozbyli się twojej żony w takim czasie i w taki sposób, żeby okazała się dla nas jak najbardziej przydatna.

- I jak to ma być, według ciebie, zrobione, ty mistrzyni podstępu?

- Jeżeli babcia w jakikolwiek sposób zagrozi naszym planom, wymyślimy tej dziewczynie taką śmierć, żeby na wieczność została w koszmarach jej matki. I postaramy się, żeby tylko ona wiedziała dokładnie, jak to się stało. Niech próbuje przekonać o tym innych, to uznają ją za wariatkę. Musimy napełnić ją strachem, a potem podtrzymywać go, bo, jak dobrze wiesz, strach uczyni ją słabą w Sferze Wewnętrznej. Ona ma silny umysł i wolę, ta Maggie O'Connor, i moc, której nie pamięta, jak używać. Przypuszczam, że to będzie ciekawa rozgrywka.

- W tej chwili wygląda na dość bezsilną - zauważył Erie.

- To się może zmienić w mgnieniu oka. Wiele partii kończy się przegraną z powodu nadmiernego zadufania, Erie. Ona jest Strażniczką, nie zapominaj o tym. Nie została wybrana dlatego, że się do tego nie nadaje.

- Dziecko wygląda dzisiaj na smutne, Ghania - powiedział Erie zmęczony tematem: nigdy nie lubił, kiedy wskazywano na jego własne błędy w rozumowaniu. - Czy jest jakiś powód?

- Uczę ją bólu, mój panie, tak jak kiedyś uczyłam ciebie. Sprzeciwia się picciu koktajlu z krwią. Ma ogromnie silnego ducha, jak na kogoś tak młodego. Sprzeciwia mi się nie ze strachu, ale z wewnętrznej mocy. Jest dla mnie bardzo trudną adeptką, ale oczywiście Wysłanniczka musi być taka. Nie mogę zniszczyć jej zewnętrznego pancerza, ale musimy postarać się, żeby do czasu ofiary była gotowa do przeżywania skrajnego strachu. Energia wytworzona przez przerażenie dziewiczego dziecka jest niezrównana dla naszych potrzeb.

- Nie możemy tym razem popełnić błędów, Erie. Mistrz srogo by nas ukarał za niepowodzenie, skoro doszliśmy już tak daleko. Czekanie na to, kiedy gwiazdy będą na tyle hojne, by stworzyć kolejne takie

dziecko, może zająć całe stulecia, a mnie męczy czekanie. Crowley poniósł klęskę, ponieważ usiłował dokonać materialii-

229

zacji przy pomocy dziecka, którego układ planet nie był dokładnie taki, jak jest to wymagane przez wzorzec. Przeżył resztę życia jako bezsilny głupiec, a wszystko z powodu tego błędu.

Erie pokręcił głową.

- My nie poniesiemy klęski, Ghania. I masz moją zgodę na zrobienie tego, co chcesz, z dziewczyną, która uważa się za moją żonę. Ale zanim pozbędziesz się tak wybornego egzemplarza, moja Amah, pozwól mi przekonać się, jakie skutki może wywołać twoje szkolenie.

Wyciągnął rękę i wsunął ją pod ubiór Ghanii, żeby dotknąć jej piersi. Ghania uśmiechnęła się wszystkowiedzącym uśmiechem. Rozbudzona seksualność Erica była jednocześnie jego zaletą i wadą: wykorzystywała te obydwie strony od lat. Erie odsunął na bok jej dżelabiję, żeby mieć lepszy dostęp.

Cody odwróciła się i spojrzała wystraszona na oboje dorosłych. Dlaczego pan-tatuś dotyka Ghanie tam? I dlaczego jest dla niej taki dobry, skoro ona jest taką złą osobą? Pan-tatuś pokazał jej gestem, by podeszła do nich, ale stanęła w miejscu, odstręczona tym widokiem. On nie był prawdziwym tatusiem... prawdziwy tatuś nigdy by nie pozwolił nikomu, żeby robił takie złe, bolesne rzeczy jego córeczce. Cody odwróciła się gwałtownie i pobięła ścieżką tak szybko, jak tylko potrafiła... ale nie miała dokąd uciec.

Rozdział 37

Jenna leżała na stole do masażu, pozwalając, aby przyjemność wywoływana przez umiejętny dotyk Ghanii wypełniała całe jej ciało. Długie ugniatające dotknięcia usuwały napięcie z jej pleców i ramion i uwalniały naprężenie pozostałe po nie kończących się ćwiczeniach, które Erie kazał jej codziennie wykonywać, żeby zachowała dobrą formę. Był fanatykiem ćwiczeń fizycznych i każdego ranka wysiłał się ponad ludzką miarę jak olimpijski bóg. Gdyby nie

230

koka, nie byłaby w stanie dotrzymać mu kroku. Bieganie, ćwiczenia na schodkach, jazda rowerem, wiosłowanie, wyciskanie na ławce, nożyce nogami - wyczerpujące ćwiczenia, które byłyby ciężkie dla profesjonalnego sportowca. Ghania była jego trenerem. Ghania była jego wszystkim - pomyślała z nagłą goryczą. Co za dziwny związek łączył tych oboje? - nie potrafiła jeszcze tego rozgryźć. Służąca i pan, powiernicy i towarzysze. Łączyły ich sekrety i coś mrocznego, seksualnego. Codziennie po ćwiczeniach Ghania robiła Ericowi masaż i nikomu nie wolno było patrzeć, co się dzieje, ale dochodzące dźwięki sugerowały, że było to coś więcej niż masaż.

Ta myśl zaniepokoiła Jennę, która drgnęła nieco pod dotykiem Ghanii.

- Jest drobny problem z miednicą - powiedziała Ghania z wszystkowiedzącym uśmiechem. - Musimy się nim zająć.

Mówiąc to, odsunęła mały ręcznik, który zakrywał pośladki Jenny i położyła swą dużą dłoń u podstawy jej kręgosłupa, a drugą zaczęła rozsuwać jej nogi. Jenna poczuła, jak chłodne powietrze dosięga jej intymnych narządów. Ciekawiło ją, co będzie dalej. Ghania miewała różne pomysły.

Zaczęła masować jej pośladki zdecydowanym okrężnym ruchem... Jenna czuła, jak jej nogi rozsuwają się coraz bardziej, a mocne palce masażystki przesuwają się po wewnętrznej stronie ud, sięgając do kości miedniczej i rytmicznie naciskając jej krawędź. Czuła, jak pokrywają ją gęsia skórka wywołana impulsami pochodzącymi z dotykanych miejsc i jak nabrzmięwa z oczekiwania. Na polecenie Ghanii odwróciła się na plecy i czekała w mgle seksualnego podniecenia, kiedy jedna ręka rytmicznie masowała okolice miednicy, a druga odszukała pierś.

Ghania uśmiechnęła się do uległego, leżącego na stole ciała. Tak łatwo jest zapanować nad tymi o słabej woli. Narkotyki i seks wystarczą nawet do tego, żeby kupić dziecko od podobnych tej bezwartościowej istocie: śmiecia z umysłem przytępionym narkotykami. Ale to ciało... przesunęła rękę do miejsca, którego dotyk musiał wywoływać niesłychaną przyjemność - mało było takich miejsc, których nie знаła - i zajęła się podziwianiem leżącej na stole

231

dziewczyny. Jej ciało było rzeczywiście nadzwyczajne. Gdyby odpowiednio wcześniej ją odszukała, to mogłaby ją uformować na seksualną maszynę nadzwyczajnej jakości. Westchnęła zmartwiona straconą okazją... takie ciała nie pojawiają się codziennie. Mężczyźni są skłonni zapłacić każdą cenę za perfekcyjnie uformowane ciało. Ale nawet w obecnym stanie rzeczy istniały pewne możliwości...

Erie wszedł do pokoju i zaczął się przyglądać Jennie, która wyginała się zmysłowo na stole pod umiejętnymi dłońmi masażystki. Ghania dała mu znak, by dołączył do nich. Zbliżył się bezszelestnie.

Jego ręce dołączyły do rąk Ghanii na ciele Jenny, a Ghania pozwoliła swej szacie, by zsunęła się na podłogę. Sięgnęła do jego paska wyćwiczonym ruchem, ujęła jego wyprężony organ i zaczęła pieścić z niezmierną wprawą, aż dał jej znak, żeby przerwała. Podniósł Jennę i zaniósł ją do łóżka. Może tego dnia Ghania nauczy ich oboje czegoś nowego... zawsze uwielbiał się uczyć.

Rozdział 38

Maggie starała się jak mogła, ale wyglądało na to, że nie ma sposobu, aby zapanowała nad ogarniającym ją chaosem. Rozkład dnia Cody był spoiwem życia ich obu. Wspólne śniadanie przy kuchennym stole, potem praca w sklepie aż do trzeciej po południu, powrót do domu, spacer z wnuczką do parku albo do YMCA, albo jakieś inne drobne atrakcje, jakie tego dnia można było znaleźć w Greenwich Village, i

wreszcie wspólna kolacja w jadalni albo przed kominkiem w bibliotece. Wieczory spędzane na zabawie, czytaniu lub po prostu bycie rodziną aż do chwili gdy Cody szła spać. Wielki cykl życia w mniejszej skali, zapewniającej przyjemność i bezpieczeństwo. Nic już teraz nie było takie jak kiedyś, na-

232

wet nie bardzo się starała pokazywać w sklepie. Było oczywiste, że jej uwaga nie skupia się na antykach.

Peter zaglądał do niej każdego popołudnia, by ją dokszałcać. Czasami przynosił książkę, czasami przychodził z jakimś pomysłem, który, jak sądził, miał wartość, a czasami odkopywał coś nowego na temat legendy Izdy. Wiedziała, że pracuje nad tym, by ustalić, kiedy dokładnie ma nastąpić rytuał materializacji. To samo, chociaż przy użyciu innych sposobów, robiła Ellie.

Maggie westchnęła. Tęskniła tak bardzo do Cody, że było dziwne, iż ta rana nie krwawi. Czuła w sobie fizyczny ból, tak jakby cała miłość i radość zostały wyrwane z jej serca. Kocham cię, moja droga! - przesyłała jej myślami tę wiadomość setki razy dziennie. Gdyby tylko mogła do niej dotrzeć, dotknąć, pocieszyć. Przekazać jej, że jest kochana i nie została zapomniana.

Czas upływał, a w jej wnętrzu narastało napięcie, grożąc wybuchem jak bomba zegarowa. Kiedy będzie mogła coś zrobić? Kiedy dowie się czegoś, co okaże się pomocne?

Spojrzała na stos książek i gazet na biurku, które Peter zostawił poprzedniego dnia. Część jej duszy pytała: Jaki jest pożytek z tego absurdałnego studiowania?, podczas gdy druga mówiła - A może gdzieś w tych książkach jest jakiś klucz?

Poznawanie tych zagadnień przynajmniej zajmowało jej myśli. Bez Ellie i Petera, i bez nadziei, że Devlin może jakoś skłonić policję do pomocy, nie byłaby w ogóle w stanie wstawać rano z łóżka. Jednak czas mijał nieubłaganie i nic, absolutnie nic nie przybliżyło jej nawet o krok do Cody.

Chwyciła gniewnie książki i cisnęła je na kanapę. Jeśli Peter i Ellie nie dojdą wkrótce do ustalenia daty materializacji, to będzie musiała sama wyznaczyć sobie nieprzekraczalny termin. Postanowiła poświęcić na to przekłętą czytanie jeszcze jeden tydzień, najwyżej dwa. Potem musi wymyślić jakiś plan... jakiś sposób na wydostanie Cody z tego domu wariatów. Jak długo jakiegokolwiek dziecko mogłoby tam przetrwać? Była taka maleńka i tak krucha... Na myśl o tej okropnej perspektywie przeszył ją zimny dreszcz.

- Słuchaj, Panie! - powiedziała na głos. - Proście, a będzie Wam dane - tak nam powiedziałaś - szukajcie, a znajdziecie, pukaj-

233

cie, a będzie wam otworzone... no cóż, ja proszę, szukam i pukam i dobrze by było, gdybyś dotrzymał

swojej obietnicy, bo nie mam nic poza nią!

Gniewnym ruchem otarła gromadzące się w jej oczach łzy, a potem podniosła leżący najbliżej tom i zmusiła się do skupienia uwagi na tekście. Godzinę później poszła spać z głową pełną prawdopodobnie nieistotnych informacji.

Sen podkraść się do niej, tak jakby czekał na jej przybycie...

Piękna, młoda kapłanka usiłowała zachować wpojoną jej w świątyni spokojną postawę, ale widok domu i rodziny sprawił, że zapragnęła pobiec do niego i skakać z radości. Objęła swoją starą nianię i ścisnęła ją mocno, nie zważając na etykietę, jednocześnie śmiejąc się i płacząc.

- Mamy dzisiaj znakomitych gości, moja mała - powiedziała

konspiracyjnie jej niania, Kipa - twoi rodzice doznali łaski Bogini.

Ta wiadomość zaciekała Mim, ale jej nie zaskoczyła. Jej ojciec, Senuset, był artystą tej rangi, że nawet kapłani Ptaha konsultowali się z nim, jeżeli chodzi o projekty amuletów, talizmanów i wszelkich innych magicznych instrumentów. Był tak obeznany z magią, że wszyscy w królestwie, którzy mieli wielki talent albo wielkie aspiracje, marzyli o zaszczytcie zostania czeladnikami w warsztacie Senuseta.

Jej matka, Niyohma, była jasnovidzącą szanowaną w całej krainie Chemu-Amenti - ojczyźnie ukrytego Boga. Oboje rodzice należeli do elitarnego klanu kapłańskiego i dzięki ich wielkiemu talentowi artystycznemu i duchowemu rodzina cieszyła się wysokim standardem życia. Dom, do którego Mim właśnie wróciła, był wyposażony w wiele wygod i często widywano w nim wysokich rangą gości.

- Czy znowu przybył wysłannik faraona, by zamówić błyskotkę na królewski palec? - zapytała żartobliwie starą piastunkę, którą kochała od dzieciństwa.

- Nie, dziecko - odparła niania pełnym przejęcia szeptem. - To Najwyższa Kapłanka we własnej osobie zaszczyca nasze domostwo.

234

- Ale Czcigodna Matka nigdy nie opuszcza swego sanktuarium!

_ wyrzuciła z siebie zaskoczona Mim.

Stara kobieta cmoknęła tylko i pokręciła głową, wskazując swą starczą ręką drzwi warsztatu Senuseta.

- Przekonaj się sama, dziecko - powiedziała z uśmiechem i zajęła się swoimi sprawami.

Mim została sama na środku dziedzińca, niepewna, co robić dalej.

Zapukała nieśmiało do drzwi warsztatu ojca i strzegący ich niewolnik wprowadził ją do obszernego wnętrza. Twarz ojca pojaśniała radośnie, kiedy ją zobaczył.

- Córko! - zawołał, nie zwracając uwagi na swego czcigodnego gościa. - Jak szczęśliwie się składa, że przybywasz właśnie dzisiaj.

Senuset był silnie zbudowanym, energicznym mężczyzną, który darzył swą rodzinę niemal legendarną miłością. Wyciągnął ku córce potężne ramiona i objął ją, a potem podprowadził ją do boku

Czcigodnej Matki.

Mim wykonała wdzięczny dyg i nakreśliła sekretny znak, wskazujący stopień jej wtajemniczenia.

- Święta Matko - wydusiła z siebie sparaliżowana nieśmiałością wobec tak dostojnej osoby. - Proszę, wybacz mi, że przeszkadzam. Przyjechałam do domu, do Mennofer, na uroczystości i nie zdawałam sobie sprawy z tego, że moja wizyta przeszkodzi w twojej.

Wiecznie młoda kapłanka skinęła głową na znak, że przyjmuje przeprosiny.

- To dobrze, że przybywasz akurat w tej chwili, moja córko - powtórzył Senuset.

Mówił w łagodny sposób, gdyż pomimo swych wielkich talentów był skromnym człowiekiem.

- Czcigodna Matka przybyła, żeby wygłosić swe ostateczne błogosławieństwo amuletu, nad którego doskonaleniem pracowałem od tak wielu lat.

Mim oczywiście wiedziała o Amulecie Izydy - ojciec pracował nad jego zawiłą formą tak długo, że prawie już zaczęła wie-

rzyć, iż nigdy go nie ukończy, chociaż miał być dziełem koronującym osiągnięcia jego wspaniałego życia. Senuset podniósł coś ze swojego warsztatu i z przejściem otoczył dłonią. Słońce odbiło się w złotej powierzchni przedmiotu i promienie świetlne rozeszły się od niego, tak jakby był żywym źródłem energii o niezwyklej naturze.

- Sekret tego Amuletu został po raz pierwszy ujawniony przed Najwyższą Kapłanką Izdydy w Atlantydzie - powiedziała niespodziewanie Czcigodna Matka.

Była tak surowa, jak wymagał tego jej tytuł, i nigdy przedtem nie mówiła wprost do Mim czy kogokolwiek jej rangi. Brzmienie jej głosu napełniło dziewczynę przerażeniem, bo choć sama kapłanka była chuda jak szkielet, to jej głos mógł z pewnością zgruchotać kamień.

- To była ta Najwyższa Kapłanka, która przyniosła tajemnicę Bogini do krainy Chemu - dodała. - Powierzono jej sekret Amuletu Izdydy, ale powiedziano, że nie będzie wykonany, aż do czasu, kiedy pojawi się ktoś, kto będzie jednocześnie znakomitym rzemieślnikiem i kapłanem Melchizedeka. Sekret miał być przekazywany od jednej Czcigodnej Matki do następnej, aż w końcu dotarł do mnie. Twój ojciec, Senuset, został wybrany przez Boginię do tego wzbudzającego grozę dzieła.

Senuset uśmiechnął się pobłaźliwie, widząc zmieszanie Mim i położył swoją wielką dłoń na jej ramieniu.

- Nie drzyj tak, moja mała kapłanko - powiedział. - Ten Amulet jest najwspanialszym darem, jaki kiedykolwiek został dany ludzkości.

Zaskoczona dziewczyna spojrzała na Najwyższą Kapłankę, oczekując jej reakcji. Kapłanka skinęła głową.

- Amulet Izdydy został nasycony mocą panowania nad wszystkim, co jest dobre na tej planecie, Mim-Atet-Ra - wyjaśniła. - Siły zła są bezradne wobec niego.

Mim otworzyła szeroko oczy. To, że Czcigodna Matka darzyła ją swym zaufaniem, było już samo w sobie niezmiernie poruszające, ale jeszcze bardziej oszałamiająca była informacja, że jej ojcu powierzono losy świata.

236

_ Najwięksi kapłani każdej s'wiątyni pilnowali przygotowania Amuletu Izydy, by nasycić go swoją osobistą mocą - ciągnęła Czcigodna Matka. - Każdy drogocenny kamień został przyozdobiony wrytym na nim magicznym znakiem, wykonanym w odpowiednim astrologicznym momencie i pod właściwym wpływem księżyca. Jeżeli wykonaliśmy naszą pracę z wymaganą precyzją, to ten, kto posiada Amulet, będzie miał moc panowania nad światem. Ale tylko

w imię dobra.

- Ale komu można powierzyć taki skarb, Czcigodna Matko? -

zapytała oszołomiona Mim. - Czy wszyscy królowie i księżęta tego świata, i wszyscy szaleńcy, i żądni władzy nie będą pragnęli wziąć go w posiadanie? Kto może być na tyle silny, by chronić skarb Wielkiej Matki?

Jej ojciec i Najwyższa Kapłanka wymienili spojrzenia.

- Jedna z kapłanek zostanie wybrana na Strażniczkę, Mim. Będzie czuwała nad nim przez całe swoje życie, wyrzekając się wszystkiego innego. Ponieważ jest to najwyższy wyobraźalny honor i najbardziej przerażająca odpowiedzialność, sama Wielka Matka wybiera Strażniczkę Amuletu Izydy, gdy tylko zostaną dokonane ostatnie magiczne rytuały.

Porażająca odpowiedzialność tego zadania tak zmroziła młodą kapłankę, że nie potrafiła nawet o tym myśleć. W duchu dziękowała swym gwiazdom za to, że jest młoda i nie sprawdzona i dlatego nie może nawet być kandydatką do tak przerażającego losu.

- Jak można zapobiec, by źli ludzie po prostu nie zabili Strażniczki i nie zabrali Amuletu? - zapytała cicho.

- Strażniczka nie będzie posiadała Amuletu na tym poziomie istnienia, Mim. Będzie przechowywany w

Wewnętrznych Sferach, w bezpiecznym miejscu, aż do czasu, kiedy zostanie wezwany.

Inna kapłanka zostanie wybrana Wysłanniczką Wielkiej Matki i tylko ona będzie znała sekret materializacji. Nikt nie będzie znał jej tożsamości. Jeżeli w ciągu dziejów ludzkości Bogini uzna, że Amulet musi być zesłany, Wysłanniczką przyjmie ludzką postać. Obowiązkiem Strażniczki będzie wtedy ochrona Wysłanniczki i jej tajemnego skarbu.

237

Mim patrzyła wprost w nieruchome oczy Czcigodnej Matki, Za stanawiając się, jak można odpowiedzieć na to, co wykraczało n0. za granice ludzkiego pojmowania.

- Czy mogę na niego popatrzeć, Czcigodna Matko? - zapytała

w końcu prawie szeptem.

Najwyższa Kapłanka skinęła głową w ten królewski sposób, który nie dopuszcza żadnych sprzeciwów, a Senuset położył Amulet Izdy na dłoni Mim.

Był to najpiękniejszy przedmiot, jaki kiedykolwiek widziała. Zdobilo go dwanaście wspaniałych klejnotów: rubin, szmaragd, diament, szafir, chalcedon, sard, topaz, agat, onyks, beryl, ametyst i jaspis. Każdy z nich był przyozdobiony wygrawerowanymi znakami - talizmanami. Rozpoznała część z nich, ale niektóre hieroglify nigdy się jej nawet nie śniły. Każdy klejnot pulsował mocą swojego własnego promienia, aktywując czakry osobistego pola człowieka i te, które przenikały ciało. Były dostrojone do pulsu serca ziemi i do czegoś o wiele potężniejszego i nieodpartego. Ten przedmiot oddychał w dłoni Mim jak żywy organizm, ale nie z tego świata. Spojrzała w oczy ojca i wyczytała w nich niepokój twórcy, nie kończącą się walkę o osiągnięcie doskonałości przedmiotu nie należącego do człowieka, ale zawierającego esencję tożsamości Bogini.

- Wielka Matka jeszcze nie poświęciła Amuletu - wyszeptała

Mim bardziej do siebie niż do innych obecnych w pomieszczeniu.

Jej słowa zaskoczyły zarówno rzemieślnika, jak i kapłankę.

- Skąd to wiesz? - zapytała ostro Czcigodna Matka.

Mim podniosła wzrok, zdziwiona, że kapłanka pyta, skoro jest to tak oczywiste.

- Cóż, ktoś, kto chociaż raz został dotknięty przez jej energię, za wsze ją rozpozna, Czcigodna Matko - odparła wprost. - Jej energia aktywuje tygiel miedniczy i łączy nas ze wszystkimi żeńskimi istotami w czasie i przestrzeni. W tym cudownym amulecie jest już umiesz

czona niezmierna moc, ale nie jest w nim obecna moc Izidy.

Czcigodna Matka spojrzała w zamyśleniu na dziewczynę.

- Więc ty rozmawiasz z Boginią? - zapytała.

Mim potwierdziła, zakładając, że robią to wszyscy przygotowujący do poznania tajemnic Wielkiej Matki.

238

_ jeszcze porozmawiamy - stwierdziła Czcigodna Matka uwym tonem, jakiego używa się podczas ceremonii. Zamknęła oczy, by nawiązać kontakt z Wewnętrznymi Sferami, ? Mim zorientowała się, że audyencja dobiegła końca. Odwróciła •. ty poprosić ojca o pozwolenie odejścia, ale Najwyższa Kapłanka znowu się odezwała.

_ Jesteś przyjaciółką Karadena, czyż nie? - zapytała krótko.

Mim potwierdziła.

- Strzeż się! - ostrzegła kapłanka.

I to było wszystko.

Maggie przewracała się niespokojnie w łóżku. Właściwie już nie spała, a sen zaległ na obrzeżach jej świadomości. Senuset... Kara-den... dlaczego te imiona były nasycone takimi emocjami? Dlaczego wydawały jej się znane i tak pełne bólu?

Usiłowała przypomnieć sobie szczegóły snu, ale już zniknął, jak mgła pod dotknięciem słońca.

Przewracała się pod kocem, usiłując znaleźć wygodną pozycję, a w końcu osunęła się znowu w niespokojny sen.

Rozdział 39

Ellie uśmiechnęła się na do widzenia do ostatniej klientki i wskazała Maggie, by usiadła. Gdy tylko kobieta wyszła, Ellie zamknęła za nią drzwi i zaciągnęła zasłonę.

- Jak ci leci, mała? - zapytała, siadając blisko Maggie.

- Cienko przędę - odparła szczerze Maggie. - Miałam dziwaczne sny, które nie do końca pamiętam. Wydaje się, że rzecz się dzieła w Egipcie czy w jakimś innym starożytnym kraju, nie jestem pewna. Ale to poruszające sny, Ellie. Ten, który miałam ostatniej nocy, jest gdzieś tuż za krawędzią mojej pamięci. Tak jakbym potrzebowała go sobie przypomnieć, ale nie mogę.

239

Pokręciła głową w rozterce.

- I nie mogę dotrzeć do Cody... nadal dzwonię każdego dnia ale to strata czasu, więc myślę tylko o tym, że coś okropnego może się jej wydarzyć, zanim tam dotrę... - wzruszyła ramionami, by pokazać, że jest to zbyt przytłaczające, by dało się wyrazić słowami. -1 jest w tych snach coś, co naprawdę mnie gnębi.

- Oświecenie nie jest niczym bolesnym - odparła Ellie - ale proces dotarcia do niego to prawdziwa męka, prawda? - Popatrzyła dłuższą chwilę w zamyśleniu na Maggie i dodała: - Myślę, że za dzień, czy coś koło tego, będziemy znali datę materializacji. Wygląda na to, że Peter i ja zmierzamy do podobnych konkluzji. Sądzę, że on zamierza skonsultować się z tym Egipcjaninem w muzeum, żeby zobaczyć, czy się z nami zgadza. Czy przemyślałaś, co zrobisz, kiedy już będziemy to wiedzieli?

- Wymyśliłam tylko tyle, że niezależnie od tego, jaką datę oboje odkryjecie, nie mogę czekać już zbyt długo, żeby spróbować wydobyć Cody z tego piekła.

Ellie zmarszczyła brwi.

- Naprawdę chciałabym, żebyś poddała się pewnego rodzaju regresji do zeszłego życia, zanim spróbujesz to zrobić, Mags - powiedziała poważnym tonem. - Dzieje się tutaj wiele rzeczy, które nie w pełni rozumiemy. Za każdym razem, kiedy medytuję nad tym, słyszę, że to ty musisz odsłonić tajemnicę, zanim ja będę mogła próbować ją zinterpretować.

- Słuchaj, Ellie, ja po prostu nie jestem do tego gotowa. I tak trudno mi stać mocno nogami na ziemi, bez regresji w jakiś bajkowy świat.

- Wiedza jest siłą, Mags - nie poddawała się Ellie - jestem przekonana, że aby uratować Cody będziesz musiała znaleźć moc, której sobie nawet nie wyobrażasz. Te twoje sny są prawdopodobnie wysiłkiem podświadomości, żeby ci przekazać potrzebne informacje. Tylko obiecaj, że pomyślisz o mojej sugestii.

Maggie skinęła bez przekonania głową.

- I jeszcze jedna rzecz...

- Tak?

240

_ Obiecaj, że postarasz się trochę zabawić, chociaż to może brzmieć wariacko. A przynajmniej, że trochę się pośmiejesz. To jest kwestia równowagi, Mags... wszelkie negatywne emocje osłabiają cię wywołują u ciebie chorobę. Nawet w naj gorszej sytuacji musisz starać się znaleźć nieco radości. Choćby najbardziej ulotnej.

_ Jak mogę się bawić, wiedząc, w jakim niebezpieczeństwie jest Cody?

_ Czasami, kiedy człowiek jest obciążony przez los, konieczna jest przeciwwaga, trzeba pozwolić sobie na odrobinę śmiechu i przyjemności, pomimo szalejących wokół tragedii. To dlatego, żeby zrównoważyć szale. Bez tej odrobiny radości, Mags, ludzkie serce słabnie... a bez równowagi cały organizm się rozsypuje. Ktoś powiedział „umysł żywi się sercem, tak jak każdy pasożyt”. To był ktoś mądry.

Popatrzyła wymownie na Maggie.

- Niech Dev albo Peter zabierze cię na kolację i porozmawiajcie o czymś innym niż Cody lub teologia — dodała z miłym uśmiechem. - Pan Wong udzieliłby ci tej samej rady, gdybyś go zapytała. Chińczycy lepiej niż ktokolwiek inny rozumieją związek pomiędzy ciałem, umysłem i duchem. Pamiętaj o równowadze, Mags, i nie próbuj czuć się winna z tego powodu. Wywieszanie czarnej krepki dwadzieścia cztery godziny na dobę wcale nie pomoże Cody. Pamiętaj, jeżeli ty wypadniesz z walki, to me będzie miała nikogo.

Idąc do domu, Maggie wielokrotnie odtworzyła sobie w myślach rady Ellie, a potem, zamiast pójść do sniegu, skierowała się do domu pana Wonga.

* * *

Stary Chińczyk powitał ją ciepło. Było czymś przyjętym, że adepci odwiedzali swojego Sifu o różnych porach, by z nim porozmawiać. Pan Wong mieszkał sam od śmierci żony.

- Twoja przyjaciółka jest mądra, Maggie - powiedział, kiedy powtórzyła mu słowa Ellie. - Dobra przyjaciółka broni cię przed burzą. Już wiesz ze swoich zajęć ze mną, co się dzieje, kiedy zakłóca się harmonię Qi. Duch słabnie, a siła rozmywa się.

241

- Rozumiem, jak ważna jest równowaga, Sifu - odparła wprost - ale realnie rzecz biorąc, jak mogę zapanować nad moimi emocjami

mi? Jak mogę się nie bać o Cody i siebie samą? Jak mogę nie czuć gniewu z powodu tego wszystkiego, co nam się wydarzyło? Jak mogę nie czuć bólu serca wobec tego wszystkiego?

Uśmiechnął się lekko. Pergaminowe zmarszczki wokół jego oczu i uszu sprawiały, że wyglądał jak jakiś dziwny elf.

- Nie można powstrzymać życia, Maggie. Drzewa wolą spokój, ale przez to nie osłabnie wiatr! I nie można zmienić swojej natury. Łatwiej zmienić rzeki i góry niż ludzką naturę. Tym, co możesz zrobić, jest dojrzenie jasno twojej ścieżki i praca nad tym, by stawić czoło wyzwaniu. Przyjrzyj się swojemu gniewowi... zobacz, co jest w nim przydatnego i porzuć resztę. Spójrz na swój strach. On nie ma dla ciebie żadnej wartości. Porzuć go. Zaakceptuj swój smutek: jest czymś właściwym. Ale potem zostaw go za sobą, bo też nie ma wartości w twoich planach.

Te rzeczy, których nie potrafisz zrównoważyć w samej sobie, musisz przynieść do tych, którzy mogą ci pomóc... poddam cię dzisiaj kuracji, żeby zharmonizować twoją energię. Ale jednak musisz planować jutro. Mój mistrz mawiał: nie czekaj z kopaniem studni, aż będziesz spragniony.

Położyła się na niedużej leżance, której pan Wong używał do zabiegów akupunktury. Wiedziała, że Chińczycy uważają, iż ciało jest wielkim układem elektrycznym o skomplikowanym systemie przewodów, które można powiązać tak, by doprowadzić ciało, umysł i ducha do równowagi i zdrowia.

Prawdę mówiąc, przez te lata nauczył ją wiele na temat tradycyjnej chińskiej medycyny. Przekazał wiedzę o jej liczących pięć tysięcy lat korzeniach i filozoficznych podstawach. Wiedziała, że południki i punkty kreślone na karcie akupunktury są oddaniem siatki energii, która przenosi siłę witalną do narządów i że pan Wong zna starożytne sekrety manipulowania tymi obwodami, tak żeby dodawać siły i uzdrawiać.

Chińczyk ujął swą silną ręką lewy nadgarstek Maggie i zaczął „nasłuchiwać” wyczulonymi palcami dziesięciu uderzeń pulsu, które miały go poinformować o stanie jej serca, wątroby i nerek.

rzęła, jak jego mądre palce sprawdzają jej energię na różnych po-iomach, aż uznali, że to wystarczy, a potem poczuła, jak przesuwa rękę do jej prawego nadgarstka, który przekazuje informacje o płucach, żołądka i śledzionie, a potem na „potrójny palnik”, czyli wielki punkt energetyczny, który nie ma odpowiednika w medycynie zachodniej.

Wiedziała, że w zależności od tego, co odkryje w trakcie badania, pan Wong wybierze cienkie jak włos jednorazowe igły i umieści je w kilku punktach jej ciała, żeby rozładować lub złagodzić napięcie. Wiedziała także, że zabieg będzie bezbolesny, więc pozwoliła swemu ciału na odprężenie, które zawsze przychodziło podczas zabiegu, gdyż endorfiny wypełniały organizm, przynosząc ulgę od bólu i niepokoju.

Zagłębiając się w błogich rozmyślaniach, Maggie zobaczyła pojawiający się nagle wyrazisty obraz szczupłej ciemnowłosej dziewczynki. Kroczyła w uroczystej procesji długą nawą świątyni, trzymając mocno dłonie rodziców.

Skąd wiedziała, że rodzice dziewczynki są kapłanem i kapłanką? Poczwała, jak stapia się w jedno z dziewczynką ze swojego sennego marzenia, czuje jej podniecone drżenie i zachwyty. Trudno się nie bać, chociaż bycie wybranym jest wielkim honorem.

Mim-Atet-Ra była wychowywana w świątyni, odkąd skończyła trzy lata, a teraz miała prawie siedem, więc dobrze znała zasady ceremonii. Do tej pory miała oparcie w domu i rodzinie, ale teraz miała być zostawiona całkiem sama tutaj, w Sakkarze, w wielkim kompleksie piramid poświęconych bogom. Miały minąć lata, zanim będzie jej wolno stamtąd wyjść, ale nawet wtedy nie będzie już dzieckiem Senuseta, rzemieślnika, i Niyohmy, jasnowidzącej z Menno-fer. Będzie kapłanką-adeptką Świętej Matki Izydy, a każda jej myśl i czyn będą obserwowane i osądzone.

Mim nie sprzeciwiała się swojemu losowi: urodziła się w świętym czepku osłaniającym jej twarz, więc od pierwszych chwil życia była przeznaczona Bogini. Była też posłusznym dzieckiem, chcącym sprawić zadowolenie rodzicom, których kochała, i swoim bogom, których jednocześnie kochała i bała się. Wiedziała, że od jutra jej nauka będzie coraz bardziej rygorystyczna.

243

Nie można było być przyjętym jako kandydat do obrządku Melchizedeka, jeżeli się na to nie założyło. Nawet sam faraon nie mógł kupić sobie dostępu do Wielkich Tajemnic. Przyjmowano wielu adeptów do poznawania Mniejszych Tajemnic, bo każda świątynia potrzebowała kapłanów, ale Wielkie Tajemnice były sferą sekretnej hierarchii, która odpowiadała tylko przed bogami. Strach był czymś zrozumiałym, jak powiedział jej ojciec, i miał ustąpić w ciągu lat nauki. Ale teraz to wszystko rozciągało się przed nią: bezkresne jak pustyne pustkowia za bramami Piramidy Schodkowej; nie kończące się, przerażające i niewystawienie samotne.

Kim są ci ludzie? - zapytała się w duchu Maggie, leżąc w półśnie, w który zapadła dzięki odprężeniu wywołanemu przez igły. - Kim są ci ludzie i dlaczego nawiedzają moje sny? - Usnęła na chwilę i przebudziła się całkiem odświeżona.

Zabieg pana Wonga ożywił ją. Był zręcznym lekarzem, wyszkolonym przez swego mistrza w starych sztukach. W Chinach medycyna i sztuki walki idą w parze. Zawsze zadziwiało ją to, że zrównoważenie energii ciała daje też jasność umysłu. Pan Wong i Ellie mieli rację: to wszystko pozbawiło ją równowagi.

Rozdział 40

Maggie zamknęła z hukiem Nowy Testament.

- Ta opowieść o Marcie i Marii zawsze doprowadzała mnie do pasji - powiedziała, pocierając sobie skronie, by pozbyć się bólu głowy.

Pracowali tego dnia już od wielu godzin. Peter spojrzał na nią i uśmiechnął się pomimo zmęczenia.

- Jesteś w dobrym towarzystwie. Denerwowała również Kiplinga.

Siedział w swym ulubionym fotelu przy kominku, jakby był u siebie w domu. Niepokoiło ją trochę to, że tak łatwo zblżyli się do siebie.

244

- Najpierw Chrystus wpada na herbatę, kiedy jest w okolicy - podjęła - a Marta gotuje, sprząta, zamiata, szyje i Bóg wie co jeszcze, kiedy Maria nic nie robi, tylko siedzi na podłodze i słucha opowieści Mistrza. Potem, kiedy Marta prosi o odrobinę pomocy, Pan udziela jej reprimendy za to, że nie dba o „najlepszą cząstkę”.

- I to cię denerwuje, co?

- Tak, denerwuje! Ja bez wątpienia pochodzę od Marty. A myślałam, że Pan ma pomagać tym, którzy pomagają samym sobie. Jeżeli się rozsiądziemy i będziemy czekali, aż Pan uratuje Cody, to czy on to zrobi?

- Myślę, że Arabowie mają najbardziej praktyczną teologię - odparł rozbawiony Peter. - Ufaj Allahowi... ale przy wiąz wielbłą da do drzewa.

Roześmiali się oboje i Messenger uświadomił sobie z ukłuciem bólu, że przebywanie z tą kobietą jest dla niego wielką radością. Doszło do tego, że określał porę dnia według jej obecności lub nieobecności... tęsknił do jej dziwnie pozbawionego powagi szacunku i poufałości, jakimi wydawała się obdarzać Boga i które nie miały nic wspólnego z dogmatyzmem.

- Kiedy rozmawiasz z Bogiem, Maggie - zapytał nagle - to o czym mówisz?

- Och, nie wiem dokładnie. Chyba o wszystkim, co się wydaje odpowiednie. Witaj, Panie, mówi Maggie. Zrobiłeś naprawdę piękne drzewo, albo: super robota nad tym zachodem słońca, dziękuję, że pozwoliłeś mi go zobaczyć... lubię się z nim kontaktować, kiedy go o nic nie proszę, żeby nie myślał, że szukam przyjaźni, tylko będąc w potrzebie.

Czasami, oczywiście, pyskuję - dodała. - Miałam parę rzeczy do powiedzenia o tym całym okropnym podawaniu rąk i całowaniu nieznajomych podczas mszy w języku angielskim. Uwielbiałam mszę po łacinie, Peter. Miała taką godność, tajemniczość, dramatyzm, ceremonialność. Angielska msza brzmi dla mnie nijako i nudnie. Ten język ma w sobie urok cementu. To tak, jakby wymienić katedrę Notre Dame na budynek z pustaków.

Peter roześmiał się głośno, zgodnie z oczekiwaniem Maggie. Tak dobrze jest mieć z kim się pośmiać.

245

- Potrafię sobie wyobrazić twoje konwersacje z Bogiem na r temat, Maggie - zauważył i dodał, naśladując jej sposób mówienj. - Słuchaj, Boże, lepiej miej oko na to, co robią z twoim Kościoł W To znaczy, nie chcę cię uczyć, jak masz prowadzić twój własny jn' teres, ale kto nadal mógłby go brać poważnie?

- Peter - powiedziała cicho Maggie, nagle pragnąc dowiedzieć się więcej, zrozumieć lepiej tego niezwykłego człowieka, który za, plątał się w jej życie w tak dziwny sposób. - Powiedziałeś mi kie. dyś, że poszedłeś za róg i nie potrafiłeś znaleźć drogi powrotnej...

Skinął głową. Miała prawo to wiedzieć... róg... punkt zwrotny... czy on sam znał prawdę o tym, dokąd się zabłąkał?

- To skomplikowana historia, droga Maggie - powiedział z na głym smutkiem. - Spróbuję znaleźć początek... - Zamilkł na dłuższą chwilę. - Zostałem antropologiem, jak wiesz, a zarazem lingwistą. Obydwie profesje dawały mi możliwość nie tylko podróżowa

nia do egzotycznych miejsc, ale życia przez dłuższy czas wśród lu

dzi o innej kulturze, blisko nich samych i ich wiary.

W moich włóczęgach natrafiałem na powtarzające się informacje, że istnieją istoty zwane awatarami - twory jakiegoś wyższego rzędu - które właśnie teraz żyją na świecie. Postanowiłem, że będę ich szukał. Nie wyglądało to na nic dziwnego: po prostu rozwinięcie moich studiów w zakresie teologii komparatywnej. Czyż nie poszukiwałbyś Chrystusa, gdybyś wiedział, gdzie go znaleźć? - pytałem sam siebie. Więc zacząłem moje poszukiwania.

- I znalazłeś takie niesamowite istoty?

- Znalazłem dwie, chociaż powiedziano mi, że obecnie na ziemi jest ich pięć. Potem wymyśliłem uzasadnienie, dlaczego muszę spędzić jakiś czas w ich towarzystwie. Ująłem to w teologicznym języku, będącym do przyjęcia dzięki nowej pobłażliwości Kościoła wobec ekumenizmu, oczywiście po to, by moi zwierzchnicy, którzy musieli patrzeć na to bardzo podejrzliwie, nie próbowali mnie powstrzymać.

Przerwał, nie wiedząc, jak wyrazić ogrom tego, co rozpętała ta buntownicza inicjatywa.

- Jak już mówiłem, mieszkałem w miejscach, gdzie nasze para
dygmaty rzeczywistości nie bardzo się liczą. Na przykład, w Ama-

246

z0nii jest plemię Indian, którzy uważają za realne tylko to, co przebywa się w snach. Życie w stanie przebudzenia jest, według nich, zbyt absurdalne, by było uznawane za prawdziwe. Moje doświadczenia zaczynały zmieniać mój sposób spostrzegania w niemal równie radykalny sposób.

Spotkałem pierwszego z tych rzekomych awatarów i doznałem obsesji na jego punkcie. Studiowałem go tak, jakby był okazem antropologicznym. Byłem zdecydowany sprawdzić go, odsłonić jego wady, przekonać siebie, że nie może być tym, czym wydaje się być -uśmiechnął się enigmatycznie.

- Zamiast tego, on pozbawił mnie mojego celu. Wyzwał mnie
do wałki. Upokorzył. Zmienił mnie. „Jesteś w sieci Boga” - mówił.

- „Doprowadzi cię to do ekstazy”. Był pierwszym, który spowodował we mnie przebłyski zmian w rozumowaniu, jakie mój kościół uznałby za heretyckie, a ja uznałem je za początek mądrości. Myślałem, że odnalazłem Świętego Graala.

Maggie milczała, więc Peter ciągnął dalej.

- Zawsze miałem jakieś mistyczne skrzywienie, Maggie... Ten nauczyciel otworzył moją psychę na niewidzialny świat, który wcześniej widywałem tylko przelotnie. Zacząłem mieć wyraźne wizjonerskie doznania, dostrzegałem porządek w bożym dziele. Piorun oświeca, a ja byłem porażony przez wizje ludzkości zdążającej do góry w drodze do ostatecznego połączenia się z Istotą Bożą. Jedno pokolenie czy tysiąc pokoleń, niezależnie od tego, ile czasu nam to zajmie: widziałem, że zdążamy do domu. Kurtyna została podniesiona i ja zobaczyłem to, co ego zapomina, ale dusza pamięta. Morze Światła wszystkich mistyków we wszystkich czasach, Szunrata w terminologii Tybetańczyków, Twarz Chwały u sufistów, Punkt Omega u Teilharda de Chardin... Moje życie zostało roztrzaskane przez duchową błyskawicę. Boskość ujawniała się moim oczom.

Kiedy wróciłem do Stanów, promieniujący światłem, które zostało mi pokazane, opublikowałem, a raczej wprowadziłem do obiegu bez imprimatur książkę, która jednocześnie uczyniła mnie sławnym i niesławnym. Byłem wychwalany przez intelektualną laicką prasę i potępiany przez konserwatywne grupy wewnątrz kościoła.

247

Byłem ganiony przez strażników wiary, ale z powodu wielkiej popularności, którą cieszyłem się wtedy wśród świeckich, dano mi szansę na uratowanie mojej duszy.

Zostałem wzięty przez moich przełożonych na bardzo krótką smycz i wysłany na duchową Syberię w biednej parafii na północy kraju. Kara, którą dla mnie zaplanowano, była bardzo mądra, chociaż wtedy tego nie wiedziałem. Peter Messenguer: cudowne dziecko i dumny intelektualista, został skromnym wikarym w wiejskim kościele. Miałem być upokarzany i przepracowany. Miałem nie mieć czasu na intelektualne pretensje. I, jak się spodziewam, myśleli, że nie będzie nikogo w tym konkretnym probostwie z odpowiednim ilorazem inteligencji lub poziomem wykształcenia, żeby mi dostarczyć okazji do grzechu.

Roześmiał się krótko.

- Mylili się. Przez sześć lat harowałem wśród ubogich, niepiśmiennych i rozgoryczonych... i to nauczyło mnie, co znaczy być kapłanem. Tego, moja droga Maggie, nie można nauczyć się na wydziale teologii ani na rzymskich korytarzach kościelnej władzy. Tylko ludzie poszukujący Boga i cierpiący mogą przekazać ten szczególny dar. Na początku byłem rozgniewany, czułem się poniżony, pragnąłem uwolnienia z mojego czyścca. Po pewnym czasie zrozumiałem, jak Bóg wykorzystał swą mądrość w moim życiu, pomimo, a nawet poprzez małość moich przełożonych.

Przerwał na chwilę i westchnął głęboko.

- Pamiętam szczególnie odwiedzin w pewnym domu. Były dziesiątki podobnych, które ilustrują ten sam problem, ale przypuszczam, że jest zawsze jeden najbardziej charakterystyczny przykład... - ściszył głos do niemal nabożnego szeptu. - Odwiedziłem kobietę, która mieszkała z mężem-inwalidą w rozsypującej się runderze. Prosiła o spowiedź i przyniesienie komunii. Kiedy zapytałem, czy ma dzieci, pokazała mi swoje dziewięcioletnie bliźniaczki, które cierpiały na mukowiscydozę. Och, Maggie, jak przypominę sobie ich kruche piękno... tę dziwną jasność tych, którzy są już na progu wieczności. Były spokojne, cierpliwe i dzielne: widziałem w ich oczach, jak blisko obcują ze śmiercią.

Ta kobieta spędzała całe noce i dni, oczyszczając ich płuca flegmy, która na koniec musiała je zabić... Herkules nie miał cięższej pracy w stajniach Augiasza. Od wypadku męża nie mieli prawie wcale pieniędzy, oczywiście jego też pielęgnowała. 1 mimo tego wszystkiego, co cierpiała, Maggie, mimo tego, prosiła mnie, żebym przyniósł jej Najświętszy Sakrament i wysłuchał spowiedzi. Jaki grzech mógł skazić taką duszę? Pamiętam, że zadawałem sobie to pytanie, kiedy patrzyłem na jej cierpliwą odwagę.

Znowu zamilkł na chwilę.

- Zanim ją wyspowiadałem, powiedziała mi nieśmiało, że gnębi ją problem kontroli narodzin. Kochała męża, jak powiedziała nieśmiało, i tak mało było rzeczy, które dawały im radość, ale nie przeżyliby, gdyby narodziło się im kolejne kalekie dziecko, a że nie chcieli nawet myśleć o aborcji, to nie mieli wyboru, mogli tylko powstrzymać się od seksu.

Wzrok Petera był zatopiony gdzieś w oddali.

- Żyjący w celibacie mówią na to: kwestie świeckie. Odpowiedzialna kontrola narodzin... dopuszczanie homoseksualistów do przyjmowania sakramentu... rozwód... problemy kruchej, cierpliwiej ludzkości starającej się być blisko Boga mimo przeciwności.

Znowu przerwał z westchnieniem.

- Zarówno ona, jak i ja wiedzieliśmy, że jeżeli wyzna na spowiedzi, że stosuje środki antykoncepcyjne i nie ma mocnego postanowienia poprawy, to nie mogę jej udzielić rozgrzeszenia. Więc postanowiła najpierw podnieść ten problem, żeby zobaczyć, jakie jest moje stanowisko. W moich oczach wyglądała na tak kruchą, jakby była ze szkła. Prosiłem wtedy Boga: nie czyń mnie narzędziem, które złoży kolejny ciężar na barki tej kobiety.

Czy naprawdę potępiłbyś te walczące z przeciwnościami losu dusze za tak odpowiedzialną postawę? - zapytałem go. - Przekaż mi, co mam im powiedzieć! Pomóż mi pomóc tym cierpiącym dzieciom. Prowadź mnie, dokąd chcesz, a pójdę za tobą... - Opuściłem jej dom z sumieniem pełnym znaków

zapytania.

Była dla mnie początkiem. Poszedłem do domu, by pościć i modlić się... i to wszystko zaczęło w moich oczach tworzyć jedną całość. Objawienia w Afryce i Indiach, ludzkie potrzeby, moje własne

249

przekonanie o miłości i sprawiedliwości bożej, moja wielka n ba kosmicznego zrozumienia - na podstawie tego wszystkie I nych źródeł, w których pojawia się iskra boskiej inspiracji, wv " cowałem hipotezę o naszej ewolucji ku Bogu. Emily Dickinson wiedziała: „Prawda musi oślepić stopniowo, bo inaczej świat b by ślepy", ale kiedy prawda już zaczyna oślepić, to człowiek n' może jej nie widzieć. Zaczyna się szalona podróż, Maggie, a cz}0 wiek nie jest w stanie zejść z tego roller-coastera.

Znalazłem się w szaleńczych objęciach wizjonerskich doznań wykraczających daleko poza to, co kiedykolwiek uważałem za możliwe. Pracowałem dla mojej „sprawy" za dnia, a nocami pisałem. W Kościele byli też inni wątpiący. Prasa nadała mi przydomek „Płonący" i rzeczywiście byłem w płomieniach, Maggie, bo naprawdę wierzyłem, że zostałem zainspirowany, by zmienić tory ludzkiej tęsknoty do Boga. I byłem taki młody! Och Maggie, nadal miałem w sobie dość zapalu, by umacniać moją wizję. Pisałem więc o tym zapale.

Tym razem nie było żadnych ostrzegawczych pomruków ze strony diecezji. Żadnych: „Słyszę, że nauczasz kontrowersyjnych rzeczy, ojczu, czy nie myślisz, że nie powinieneś tak mieszać w umysłach twoich parafian?".

Tym razem moja praca nie tylko że nie została dopuszczana do publikacji - została natychmiast zakazana. „Nie publikować. Nie rozpowszechniać. Nie mówić nawet o tej herezji pod groźbą ekskomuniki".

Zostałem wezwany przed oblicze Świętej Inkwizycji, która obecnie nosi nazwę Świętej Kongregacji Doktryny Wiary. Nawet nie wiedziałem, że jestem przedmiotem dyskusji na tak dostojnych wyżynach. Zostałem ostrzeżony przed bezwstydnym nadużywaniem intelektualnej dumy: „Teologia jest służebnicą Kościoła, ojczu, a nie publicznym forum dla twojej arogancji".

Oczywiście, nie było możliwości, żebym zajął jakąś kompromisową pozycję. Zostałem zawieszony na krzyżu paradoksu: czy jestem w zgodzie z Bogiem, bo podążam za moim własnym sumieniem? - zapytałem siebie w bólu - czy może Pan domaga się, bym złożył Mu ofiarę, poddając siebie i moje teorie kościelnej dyscyph-

250

\<> Tak mam Ci służyć?" było moim ukrzyżowaniem. -* ^ pytanie MJ(MV

nrzvm jest Twoja wola dla mnie?".

n ublikowałem w świeckiej prasie artykuł „Długa droga z Kal-

•" nie w odruchu buntu, ale kierując się rozpacziwą wiarą.

ałem albo odszukać Boga, albo zginąć. Zupełnie poważnie

"ekiwałem obłożenia mnie ekskomuniką.

_ Mój Boże, Peter - powiedziała cicho Maggie. - To musiało być dla ciebie strasznie niszczące.

Los człowieka zależy od tego, w jakim czasie żyje. Papież wezwał mnie do Rzymu.

Był bardziej dobrotliwy i bardziej sprawiedliwy, niż miałem prawo oczekiwać po mojej klęsce w spotkaniu ze Świętą Kongregacją. Spotykaliśmy się w przeszłości, kiedy jeszcze byłem studentem. Mój ulubiony moralista, Guiseppe Pontinelli, genialny Rzymianin o patrycjuszowskim pochodzeniu, był bliskim przyjacielem ówczesnego kardynała, więc kiedy moja pierwsza książka zdobyła sławę, kardynał, który później został papieżem, przeczytał ją i zapamiętał mnie.

Dowiedziałem się, że przeczytał też moją najnowszą pracę. Omawiał ją szczegółowo z Pontinellim. Papież pytał mnie o każdy niuans mojej teorii, badał każdy krok, który mnie do niej doprowadził, sprawdzał nie moją wiedzę teologiczną, jak oczekiwałem wcześniej, ale szczerść i miłość do Boga. Było to bez wątpienia najbardziej niezwykle przesłuchanie, jakiemu kiedykolwiek zostałem poddany.

Nie ujawnił mi, jakie są jego wnioski, ale później Pontinelli powiadomił mnie, że papież precyzyjnie ocenił moją osobę. „Ten człowiek nie jest heretykiem" - powiedział Ojciec Święty. - „Jest Po prostu mistykiem, który w drodze do Boga poszedł za róg i któremu nie pokazano drogi do domu. Wierzę, że ta droga będzie mu jasno pokazana we właściwym czasie. Musimy go chronić, Guisep-Pe, aż Bóg uzna za stosowne zdjąć z nas ten ciężar".

Peter uśmiechnął się ze smutkiem, a Maggie zobaczyła w jego oczach łzy.

- Nie zostałem ekskomunikowany. Zamiast tego wysłano mnie tam, gdzie mnie znalazłaś, żebym się skrył w kurzu dzieł innych za-

251

kazanych myślicieli. Cudownie okrutny żart ze strony Świętej Kon gregacji. Skoro nie mogli mnie ekskomunikować, być może postanowili pokazać mi, w jakim zapomnieniu muszą nieodwołalnie znaleźć się takie myśli jak moje. To lepsze niż łamanie kołem, ale oczywiście, miałem szczęście, że zostałem heretykiem w tak liberalnych czasach.

Maggie zauważyła, że przez większość jego przemowy powstrzymywała oddech.

- A czy takie wygnanie, jakie opisujesz, jest lepsze niż po prostu opuszczenie Kościoła na zawsze, Peter? Bez wątplenia mógłbyś prowadzić nadal swoje poszukiwania i zajmować się pisaniem, będąc poza Kościołem! Zdobyłeś międzynarodowe uznanie zarówno dzięki swojemu umysłowi, jak i uczciwości.

- Zastanawiałem się nad tym, Maggie - odparł szczerze. -A potem przypomniałem sobie, jak gniewałem się podczas mojego pierwszego zesłania do pracy w parafii i jak bardzo się myliłem w pierwszej ocenie. Moi zwierzchnicy przepisali odpowiednie lekarstwo dla niespokojnej duszy, chociaż w mojej ignorancji buntowałem się przeciwko jego gorzkiemu smakowi.

Zacząłem postrzegać moje najnowsze wygnanie i ciszę jako odpowiednią karę, którą na mnie nałożono za grzechy... za te, o których wiedziała Święta Kongregacja i te, o których nie wiedziała.

Osiadłem w tym nowym czyścicu, Maggie, aby czekać na iluminację wyjaśniającą mi, dlaczego Bóg umieścił mnie w tym trudnym miejscu. Jak ma zamiar działać przeze mnie i we mnie? Praca bibliotekarza stała się dla mnie czasem oddzielania w sobie plew od ziarna: od moich teorii, mojego kapłaństwa, mojego człowieczeństwa. Prawdę mówiąc, dowiadywanie się o tym, jak wielu przede mną poniosło porażkę, było zarówno upokarzające, jak i oświecające... pomagało mi zachować szczerą samoocenę. Oczywiście, nadal pisałem i dalej pracowałem nad moją hipotezą. W najgorszym przypadku będą musieli zająć się moimi teoriami po mojej śmierci.

- Albo schowają je w lochu pod Watykanem, żeby już nikt o nich nigdy nie usłyszał! - powiedziała, czując złość na taką nie sprawiedliwość.

252

To czy którakolwiek z moich następnych prac zobaczy świat-dzienne, jest teraz wyłącznie w bożych rękach, Maggie. Przy-uszczam, że tak właśnie powinno być. Zamilkli oboje na pewien czas. Mam przyjaciela - oznajmił nagle Peter nieco weselej. - To ojciec James Kebede... ma wyrafinowany umysł i wielką miłość do Boga. Chciałbym, żebyś poznała jego spojrzenie na twoje problemy. Czy zechciałabyś się z nim spotkać? To by było dla mnie bardzo ważne.

Zmieniał temat, ale nie mogła go za to winić.

- Też chciałam, żebyś poznał kilkoro moich przyjaciół, Peter
- odparła powoli. - Może to dobry pomysł, byśmy połączyli nasze wysiłki.

Peter podszedł do biurka i wziął do ręki gruby plik notatek. Wyglądało na to, że daje do zrozumienia, iż powinni wracać do pracy.

Podał jej papiery i Maggie westchnęła w duchu: wszystkie były po łacinie. Uczyła się tego języka przez pięć lat w szkole, ale to było dawno temu.

- Łacina może jest drugim ojczystym językiem, ale tylko dla ciebie - powiedziała, biorąc papiery z grymasem.

- Nie przejmuj się - odparł Peter z uśmiechem. - Będę tłumaczył. Chcę, żebyś coś zobaczyła.

Po wyjściu Petera Maggie stanęła w oknie salonu, patrząc, jak oddala się pustą ulicą. Był taką złożoną mieszanką wyrafinowanego intelektu i staromodnej pobożności. Co takiego czuję do niego?

- pomyślała. - Czy to można nazwać miłością? Czuła się przy nim zawsze dziwnie spełniona, jakby jakaś nieokreślona, brakująca cząsteczka została wprowadzona do jej organizmu. Nie tak, jak brakujący element układanki, ale raczej jak chemiczny składnik dodany do zlewki, który powoduje przemianę zawartej w niej substancji.

Nie miała poczucia nowości, jakie towarzyszy zakochiwaniu się. Dominowało jakieś dziwne wrażenie, jakby usłyszała dawno zapomniany strzęp melodii, który pojawia się w myślach i już nie można się od niego opędzić.

253

Nie potrafiła nawet zdecydować się, czy jest to przyjemne uczucie. I to było najdziwniejsze. To, co ich łączyło, wyglądało na konieczne i nieuniknione.

Świadomość, że go pragnie, niepokoiła ją, więc odepchnęła od siebie tę myśl i poszła do łóżka.

* * *

Cody stała w wyłożonej białymi kafelkami łazience, łkając żałośnie. Podłoga wokół jej stóp była pokryta wymiocinami. Ghania przytrzymała jej nos, aż nie mogła oddychać, a gdy jej usta same się otworzyły, chociaż tego nie chciała, wlała w nią ten okropny koktajl. Zaczął ją dusić, rozlewać się po jej twarzy, wpływać do nosa i oczu i ściekać po sukience. Nawet skarpetki miała mokre od tego płynu. A potem zaczęła wymiotować i Ghania wymierzyła jej policzek w twarz tak mocno, że dziewczynka uderzyła głową o wannę i pociemniało jej w oczach. Ghania wybiegła, przeklinając i krzycząc na służącą, żeby posprzątała, zostawiając w łazience mokre i przerażone dziecko.

Łkanie Cody było teraz konwulsyjne, połykała hausty powietrza usiłując oddychać. Stała pośrodku odrażającej kałuży, nie wiedząc, co robić, i do kogo się zwrócić.

Ghania na razie przestała to robić, ale na pewno nie na zawsze.

Cody podeszła do okna i przez łyżę zapatrzyła się na morze. W jej świecie nie było miejsca, gdzie czułaby się bezpieczna. Tylko razem z Mim. Ale jej nie było. Widziała miejsce na plaży, gdzie Mim stała, kiedy powiedziała, że ją uratuje. Odczuła bolesne ściskanie w sercu, bo Mim wcale po nią nie wróciła. Może już nigdy nie wróci. Może została ranna w wypadku, a może zachorowała albo umarła. Albo może kochała jakąś inną małą dziewczynkę.

Może miała zostać sama na zawsze w tym okropnym miejscu.

- Kocham cię, Mim - wyszeptała do widzianej w wyobraźni postaci na plaży.

Czasami widziała w snach piasek. Ale nie taki, jak na plaży -jakiś inny piasek. Taki gorący, że parzył stopy i powodował ból oczu.

254

Wj gorący, że parzył, kiedy się oddychało. I Mim była w tamtym innym piaszczystym miejscu, trzymając Cody za rękę.

Biegły-

Były bardzo, bardzo przestraszone.

* * *

Sen dopadł Maggie, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki.

Stała na krawędzi wielkiej pustyni, a nie kończące się morze ruchomych piasków rozpościerało się groźnie przed nią i przed małą dziewczynką, która ze strachu trzymała ją mocno za rękę.

Były ścigane.

Gdzieś niedaleko za nimi podążali mordercy. Bezkresna pustynia była teraz ich jedyną ucieczką. Dwie przerażone postaci pobiegły ku rozgrzanej, bezkresnej przestrzeni i jak fatamorgana zniknęły stopniowo z oczu.

Maggie obudziła się i usiadła niepewnie. Nadal czuła w sobie tęsknotę i strach tej kobiety i dziecka... A może tym dzieckiem była Cody i był to po prostu kolejny przejaw okropnego strachu, który ją otaczał?

Odwróciła się na bok, zmuszając oczy do patrzenia na sprzęty w pokoju.

I wtedy zrozumiała tę niewyobrażalną prawdę: to ona i Cody uciekały gdzieś w jakimś innym czasie.

Rozdział 41

Maggie rozejrzała się po małej gromadce przyjaciół z nadzieją, że Amanda miała rację, nalegając na spotkanie wszystkich jej sojuszników. Co za dziwaczna mała armia do tak wielkiej bitwy! - pomyślała. - Czuję się jak Frodo.

Peter stał przy kominku, a Amanda, wystrojona jak zwykle, siedziała na fotelu. Devlin z poluzowanym krawatem usadowił się na

255

kanapie koło Maggie. Jego marynarka wisiała na stojącym obok krześle. Wyglądał tak, jakby nie spał całą noc.

- Powiedziałaabym, że to całkiem imponujące zgromadzenie -zauważyła Ellie, podając tacę z drinkami.

- Z którego, jak się zdaje, jestem najmniej wykwalifikowana -stwierdziła Amanda, wstając i sięgając po tacę. - Będę miała najmniej do powiedzenia i dlatego postaram się być przydatna w bardziej przyziemny sposób.

Uśmiechnęła się do Ellie, która oddała jej tacę i usiadła na podłodze.

- Czasami wtrącę jakieś pytanie, jeśli to nie będzie przeszkadzało - dodała Amanda, co wszyscy powitali aprobującym pomrukiem.

- Wszyscy mamy tutaj jakąś rolę do spełnienia, Amando - zapewniła ją Ellie. - Twoje kwalifikacje również się przydadzą.

- Ellie i ja jesteśmy zdania - zaczął Peter - że Maa Kheru spróbuje dokonać materializacji Amuletu w nocy trzydziestego kwietnia.

Serce Maggie załomotało w piersiach. Trzy i pół tygodnia... wybijało rytmicznie... trzy i pół tygodnia.

- Na czym opieracie to założenie? - zapytał Devlin.

Maggie i Ellie wymieniły spojrzenia. Widać było wyraźnie, że

nieufność obydwu mężczyzn względem siebie jest tylko początkiem antagonizmu. Cholera - pomyślała Maggie w napięciu - powinnam była doprowadzić do ich spotkania w jakiś inny sposób. Jak nierozsądne było wyobrażenie, że dogadają się ze sobą.

- Na tym, że może potrafię odczytać starożytne pisma - odrzekł

Peter - a pozwolę sobie zauważyć, że jest to wyrażone z bardzo nie

wielką dozą pewności, ponieważ wszystko w tych papirusach jest

wyrażone w przerośnięciach. Ale wygląda na to, że do zmaterializowa

nia Amuletu są potrzebne dwie rzeczy... po pierwsze, musi być, oczywiście, Wysłanniczka, urodzona w odpowiednim momencie astrologicznym. Poza tym, żeby zaistniały elektromagnetyczne częstotliwości sprzyjające materializacji, musi mieć miejsce koniunkcja Saturna z Neptunem występująca w jednej trzeciej nieboskłonu od Plutona i Urana. Będzie to miało miejsce trzydziestego kwietnia tego roku.

256

- Kiedy się doda, że trzydziesty kwietnia jest nocą Walpurgii - wtrąciła Ellie - kiedy złe formy energii osiągają największą moc, to można bezpiecznie zakładać, że jest to ich docelowa data.

Devlin skrzywił się na ten cały mistyczny żargon i Ellie od razu dojrzała jego nieprzychylnosć.

- Jak się wpadnie między wrony, Dev... - powiedziała z naciśnięciem.

Roześmiał się, słysząc to napomnienie.

- OK, OK. Otrzymałem reprimendę. Macie tylko poszlaki. Policjanci nie znoszą zgadywanek.

Ellie uśmiechnęła się. Był całkiem taki, jak to wynikało ze szczegółowego opisu, który przedstawiła jej Maggie.

- Nie znosisz zgadywanek dlatego, że jesteś poetą, Dev, a nie dlatego, że jesteś policjantem. Przynajmniej tak powiedziałaby Rilke.

Devlin musiał się roześmiać. Ellie była ciekawszą osobą, niż wskazywał na to jej wygląd.

- OK - zgodził się - skupmy się więc tymczasem na trzydziestym kwietniu. Daje nam to mniej niż miesiąc na wyciągnięcie królika z kapelusza.

Ellie dostrzegła, że Devlin prawie nie odrywa wzroku od Petera.

- Tak w kwestii formalnej, proszę księdza, na czym dokładnie polega ta materializacja?

- Wszyscy tutaj mówią do mnie Peter - odparł cicho Messenger. - Byłoby mi przyjemnie, gdybyś zwracał się do mnie tak samo.

Devlin zaśmiał się, kręcąc głową.

- Nic z tego, proszę księdza. Jestem IKB.

- IKB?

- Irlandzki Katolik z Bronxu. Mamy swoje własne zwyczaje, jeśli chodzi o księży.

Sprytnie to rozegrał - pomyślała Maggie, rzucając okiem na Ellie, by zobaczyć, czy dostrzegła ten niuans. Devlin na pewno chciał Przez to powiedzieć: Jesteś przyjacielem Maggie, nie moim. W dalszym ciągu jesteś pod obserwacją.

- Jak sobie chcesz - odparł Peter. - Powiem wam, czego do tej

Pory udało mi się dowiedzieć. Ale przestrzegam, żebyście pamięta-

257

li, iż jest to spekulacja oparta na zaszyfrowanych informacjach z dziedziny sztuk tajemnych, które przeszły przez wiele błędnych tłumaczeń w ciągu prawie pięciu tysięcy lat.

Nawet Biblia różni się w istotnym zakresie, kiedy się ją czyta w oryginale hebrajskim lub greckim albo aramejskim z czasów Chrystusa czy w wersji Króla Jakuba...

Devlin wykonał ręką gest mówiący, że zgadza się w tej kwestii.

- Przywykłem do spreparowanych dowodów, proszę księdza.

Proszę mi tylko ujawnić swoje domysły.

Peter zaczerpnął tchu, zastanawiając się, jak w krótkiej formie przekazać to, co wie.

- Popatrzmy na ten proces tak, jakby mógł popatrzeć fizyk - zaczął. - Musimy pamiętać, że to, o czym myślimy jako o swojej fizycznej istocie i, w gruncie rzeczy, o naszym całym świecie, nie jest w ogóle żadną stałą materią, ale raczej zbiorowiskiem miliard

dów molekuł, które są w ciągłym ruchu. Jeżeli Cody jest Wystaniczką Izydy, to jest pewnego rodzaju kosmicznym kamertonem. Musimy zakładać, że jej niepowtarzalne tempo drgań może w pewnych sprzyjających okolicznościach odpowiadać starożytnemu wzorcowi energii świata, co może doprowadzić do danych efektów. W tym przypadku chodzi o powołanie do materialnej egzystencji innej molekularnej struktury, czyli Amuletu Izydy. Podobnie jak nasza galaktyka została powołana do istnienia z niebytu, a przynajmniej z pierwotnego tygla molekuł, podobnie też będzie powołany do istnienia Amulet.

Kiedy tylko materializacja się dokona, świeżo zmaterializowany Amulet pobudzi inną częstotliwość rezonansu elektromagnetycznego. Ten drugi rezonans przerodzi się w materię: Kamień Sechmet.

W tej chwili można by powiedzieć, że te dwa amulety istnieją tylko w „potencjalnym bycie”, jak święty Augustyn nazwał dzieło stworzenia, które wyprzedzało dzieło stworzenia przedstawione w Księdze Rodzaju. Po trzydziestym kwietnia będziemy musieli zakładać, że Amulet i Kamień mogą rzeczywiście istnieć w naszej materialnej sferze.

Rozejrzał się, by zobaczyć, czy wszyscy nadążają za tokiem jego wypowiedzi.

258

Może warto byłoby przypomnieć, że, z punktu widzenia fizyki światło jest formą energii, która nie ma ładunku elektrycznego ni masy, jednak może tworzyć protony i elektrony będące składnikami atomu i, co za tym idzie, elementami budulcowymi materii. Godnie z teorią kwantową Plancka, światło jest przesyłane w „porcjach” lub kwantach, które są także nazywane fotonami. Fotony mają skłonność do zachowywania się jak inteligentne ludzkie istoty... na przykład, fotony, które tworzą promień światła, zawsze wybierają taką ścieżkę przez atmosferę, która najszybciej zaprowadzi je do celu.

- Więc o co chodzi? - przerwał Devlin.

- Po prostu sugeruję, że chociaż stworzenie materii z niematerii wydaje się nam czymś bardzo mało możliwym, to może nie być całkowicie nierealne z punktu widzenia fizyki.

- Peter chce powiedzieć, że możemy nie wiedzieć jeszcze wszystkiego, co wiedzieli starożytni - wtrąciła pojednawczo Ellie.

- A więc jak mieliby wykorzystać Cody? Co jej się stanie? -nie przestawał się dopytywać Devlin.

Peter pokręcił głową z głębokim grymasem na twarzy.

- Teksty mówią tylko, że jej Ka musi opuścić ciało i odbyć podróż w czasoprzestrzeni do miejsca, gdzie są przechowywane Amulety. Potem musi odbyć pomyślnie podróż z powrotem - wyjaśnił i wskazał na Ellie. - Nasz firmowy metafizyk, czyli Ellie, mówi mi, że zgodnie z przekazami wyroczeni, Wysłanniczka będzie w poważnym niebezpieczeństwie podczas swej podróży poza ciałem. Może zechciałabyś to wyjaśnić?

- Kiedy duch ludzkiej istoty - podjęła Ellie - nazwijmy go tymczasem Ka - opuszcza ciało, by wędrować w sferze astralnej, anielskiej czy buddyjskiej, czy w jakiegokolwiek innej sferze istnienia, to pozostaje w łączności z ciałem fizycznym dzięki czemuś, co się nazywa Srebrną Nicią, czyli eteryczną pępowiną, która zdaje się mieć możliwość rozciągania bez końca.

- Słyszałam o tym! - odezwała się entuzjastycznie Amanda. -Shirley MacLaine podróżuje nocami po świecie i znajduje drogę z powrotem dzięki tej Srebrnej Nici. Tak?

259

Ellie roześmiała się.

- Jak najbardziej, Amando. Więc prawdopodobnie wiesz także, że astralny podróżnik musi bardzo uważać, by nie przerwać tej nici i nie pozwolić, aby cokolwiek złego stało się ciału, które jest w domu, ponieważ ciało fizyczne jest bardzo wrażliwe wtedy, gdy dżin jest poza butelką, że tak powiem.

Amanda skinęła głową wyraźnie zaintrygowana.

- Zakładając, że cokolwiek z tej zadziwiającej opowieści jest prawdą, musimy martwić się o Cody nie tylko na tym świecie, ale też w czterech czy pięciu innych? Boże Wszechmogący, wygląda na to, że to robota w sam raz dla nas.

- Niebezpieczeństwa są, prawdę mówiąc, różnorakie - ciągnęła Ellie. - Czarni magowie mogą zniszczyć fizyczne ciało Cody, żeby nie mogła wrócić... jej Ka może być zaatakowana lub uwięziona przez demony podczas pobytu w sferze astralnej... może się wydarzyć nawet coś jeszcze gorszego...

Spojrzała zatroskana na Petera, który podchwycił wątek.

- Istnieje pewien bardzo niejasny tekst z papirusu odkrytego

w Mari. Jest tak bezładny, że nikt nie zwraca na niego zbyt wielkiej uwagi. Ale jeżeli się go przeczyta w kontekście tej legendy o Izydzie i Sechmet, to można przyjąć, że mówi on, iż Sechmet może chcieć opanować ciało Cody, by podążać za swym Kamieniem do świata materialnego. Żeby do tego doprowadzić, Ka dziecka musiałaby być uprowadzona na poziomie astralnym i uwięziona przez jakichś demonicznych strażników.

Uniósł rękę pojednawczym gestem w reakcji na pogardliwe parsknięcie Devlina.

- Ja tylko przedstawiam to, co sugeruje ten tekst, poruczniku - powiedział, usiłując powstrzymać się od gniewu. - Nie potrafię po dać żadnego naukowego potwierdzenia takiej opinii. Zamilkł na chwilę i dodał: - Jednak przeżywałem empirycznie obecność demonicznej istoty, tak samo jak Maggie w noc przesłania. Nie mogę więc od razu odrzucić również takiej możliwości.

Nic na to nie poradysz - pomyślała Ellie ze skrywanym uśmiechem. Było oczywiste, iż Devlin wyczuł, że coś łączy Maggie z Peterem i wzbudzało to jego niechęć. Postanowiła postarać się załago-

260

rtzić sytuację, bo nieporozumienia pomiędzy sojusznikami nie leżały w niczym interesie.

_ Czy Peter albo Ellie mogliby opowiedzieć trochę o Izydzie i Sechmet? - zapytała pośpiesznie Amanda, by rozładować panujące w pokoju napięcie. - Przypuszczam, że Dev i ja nie jesteśmy na bieżąco, jeżeli chodzi o te boginie.

Uśmiechnęła się rozbrajająco do Devlina, który, jak zauważyła, postanowił być uprzejmy.

- Amanda ma rację - zgodził się. - W Bronxie odczuwamy nie dobór bogiń.

Peter spojrział na Ellie, ale gestem dała mu do zrozumienia, że ustępuje, więc odchrząknął i zaczął mówić.

- Na początku była Izyda. Najstarsza ze starych. Bogini, od której wywodzi się całe istnienie. Wielka Dama, Pani Domu Życia, Pani Boskiego Słowa. Niepowtarzalna. We wszystkich swych wielkich i wspaniałych dziełach była mądrzejsza i wybitniejsza niż ja kkolwiek inny bóg - wygłosił i dodał z uśmiechem: - To wszystko jest wzięte z manuskryptu z Teb napisanego w czternastym wieku przed Chrystusem.

Jak zauważycie, ci wszyscy starzy bogowie są związani z jakąś alegoryczną opowieścią dotyczącą czasu, kiedy chodzili po świecie i odbywali rozmowy z ludźmi.

Prawdopodobnie najlepszym opisem legendy Izydy jest ten sporządzony przez Plutarcha w jego traktacie *De Iside et Osiride* - ciągnął. - Został napisany po grecku około połowy pierwszego wieku naszej ery i później znalazł potwierdzenie w pewnych egipskich tekstach hieroglificznych. Niezależnie od tego, czy uznacie go za dzieło historyczne, czy za alegorię, jest to nadzwyczajna opowieść, jeśli chodzi o jej dogłębne zrozumienie ludzkiej natury. Nie chcę was zanudzać, więc podam tylko istotne szczegóły.

Ozyrys był egipskim królem dysponującym zapierającą dech w piersiach mądrością, który postawił sobie za cel ucywilizowanie ludzi i wydobywanie ich z dotychczasowego stanu barbarzyństwa. On i jego znakomita żona, królowa Izyda, nauczyli ludzi uprawy ziemi, dali im prawa i nauczyli ich oddawania czci bogom.

261

Uczyniwszy swoją krainę zasobną, Ozyrys wyruszył, by nauczać inne ludy na świecie, zostawiając Izydę, by rządziła pod jego nieobecność. Rządziła tak wybornie, że przeszkodziła złemu bratu Ozyrysa, Setowi, w jego niecznych planach w stosunku do królestwa. Wzburzyło to Seta tak bardzo, że kiedy jego brat powrócił, namówił siedemdziesięciu dwóch malkontentów, by zawiązali z nim spisek mający na celu zabójstwo Ozyrysa. Zabili go w podstępny sposób, poćwiartowali jego ciało na czternaście części i rozrzucili je po całym Egipcie, czyli, jak wtedy nazywano ten kraj, po Chemu-Amenti.

Chemu-Amenti! Dźwięk tej nazwy poruszył Maggie. To była nazwa z jej snu, ta nazwa, która jej się wymykała. I znowu rozległ się ten dźwięk... jakby niesiony wiatrem ulotny odgłos dzwonów. Dzwony świątynne... musiały mieć coś wspólnego z obecnością świątyni... - uświadomiła sobie, ale zmusiła swe myśli do śledzenia tego, co mówił Peter.

- Ozyrys został królem świata podziemnego, a Izyda zajęła przysługujące jej prawem miejsce jako królowa niebios. Była, oczywiście, archetypem wszystkich żeńskich atrybutów: miłości, obowiązku, wytrzymałości, odwagi, poświęcenia i sprawiedliwości.

- Chciałabym coś dodać - przerwała mu Ellie. - Według Szkoły Magii, Izyda jest obdarzona pewnymi wyjątkowymi atrybutami, które powinniśmy brać pod uwagę, kiedy rozważamy wagę jej Amuletu.

Izyda jest najwyższą kapłanką, która reprezentuje wewnętrzne i najczęściej ukryte sanclum sanctorum. Jest związana z księżycem, jednak czerpie swą moc ze słońca i jest Duchową Wybranką Sprawiedliwego. Symbolizuje wszystkie intelektualne, psychiczne i duchowe dary i jest posiadaczką wszelkich kosmicznych tajemnic... tylko ludzie o czystym sercu mogą je poznać, ponieważ kryje je przed profanami.

Jest Najwyższą Adeptką i siedzi z lewą stopą opartą o sierp księżyca, symbolizując żeńską zasadę, która oznacza panowanie nad księżycową, emocjonalną sferą jej natury. W naukach tajemnych żeńskie intuicyjne cechy umysłu są bardziej cenione niż mentalna męska wola władzy.

262

My, ludzie, zawdzięczamy jej bardzo wiele. To właśnie Izyda zarządziła, żeby starsi byli kochani przez dzieci, i żeby sprawiedliwość była potężniejsza niż złoto i srebro. Doprowadziła do tego, żeby mężczyźni kochali kobiety i do tego, by prawda była uważana za piękno.

Każdy fragment dotyczącej jej opowieści jest zakodowaną tajemnicą, przedstawia osąd duszy przez Panów Karmy. Zgodnie z Tajemnicami Egipskimi, jeżeli stwierdzono, że dusza jest całkowicie czysta, to pozwalano jej przechodzić dalej do nieśmiertelności, a jeżeli nie miała „prawdziwego głosu”, oddawano ją potworowi Amemitowi: „pożeraczowi”, który połykał ją po to, aby narodziło się na nowo na ziemi w innym ciele.

- Chyba przydałby mi się kolejny drink, zanim przejdziemy do

Sechmet - wtrąciła żartobliwie Amanda. - Ci starożytni byli ostrzy.

Napełniła wszystkie szklanki łącznie ze swoją i usiadła.

- Ellie - poprosił Peter. - Może byś nam powiedziała, co wiesz

o Sechmet.

Skinęła głową i wstała, a Messenger usiadł. Przez chwilę milczała koncentrując się, a potem zawołała ceremonialnym głosem:

- Jestem władczynią,

która rządzi pustkowiami...

moje imię jest wspaniałe i przerażające.

- Tak Sechmet określa siebie samą - wyjaśniła.

- Jestem potężniejsza niż Izyda

I silniejsza niż wszyscy inni bogowie. Imię moje jest zakazane.

- To jest tylko odrobina jej curriculum vitae - powiedziała z szerokim uśmiechem, wracając do swojego normalnego głosu. -

Nieźla z niej dziewczyna. Jej imię pochodzi od rdzenia „sechem”, co oznacza: „silny, potężny, gwałtowny”. Przeważnie ukazuje się swoim wyznawcom w postaci wspaniałego czarnego kota wielkości Pantery, który ma złotą obrożę wysadzaną rubinami i ceremonialną

263

laskę zwieńczoną krzyżem Ankh. Jej głowę zdobi masywny k i święty wąż, więc wygląda istic królewsko. Nie bez powodu n wiście, gdyż Ra, bóg słońca, był jej ojcem. Sechmet była jego ni grzecznym dzieckiem.

Dojrzała powstrzymywany uśmiech Petera i odpowiedziała m tym samym.

- Należy pamiętać o tym, że nie jest wcale taka zła. Sechmet jest niszczycielką, ale zniszczenie jest często konieczne, żeby przygotować ścieżkę dla nowego porządku. Ona reprezentuje pierwotny chaos i pragnie krwi, ale są tacy, którzy mówią, że bez energii zniszczenia na świecie panowałyby zastój i nic nie mogłoby się nigdy zmienić na lepsze.

- To delikatne rozróżnienie - wtrąciła żartobliwie Amanda -ale można je dostrzec tylko wtedy, kiedy jednocześnie człowiek nie zostaje sam zniszczony.

Ellie roześmiała się.

- Tu jest właśnie pies pogrzebany. Według alegorycznej legendy, ponieważ była „mocą, przeciwko której żadna inna moc nie mogła wystąpić”, Ra poprosił ją raz, by ukarała pewnych ziemian, którzy zasłużyli na jego gniew. Wzięła się ostro do roboty, unieszko

dliwiła sprawców, jakby to ujął Dev, czy się to komu podobało, czy nie, dokonując rzezi i z przyjemnością pijąc krew ofiar. Tak jej się to spodobało, że zagroziła zniszczeniem całej ludzkiej rasy.

Wtedy zdesperowany Ra zebrał trochę roślin, które podobno pochodziły z rodziny psiankowatych, i trochę opium i wysłał to wszystko do boga Sekti w Heliopolis. Ten szybko dodał je do siedmiu tysięcy dzbanów napoju zrobionego z ludzkiej krwi i piwa. Sechmet zobaczyła napój, uznała, że wygląda smacznie i wychłep-tała wszystkie siedem tysięcy dzbanów, i, cytuję, „jej serce napełniło się radością”. Popadła też w głębokie otępienie i kiedy się obudziła, nie pamiętała już, że chciała zabić resztę rodzaju ludzkiego.

- To prawdziwy pean na cześć upijania się! - stwierdziła, śmiejąc się, Amanda. - Co za wspaniała historia.

- I dobrze opowiedziana - zauważył z podziwem Peter. - Widzę, że większość badaczy egipskiej starożytności, których znam, skorzystałaby na tym, gdyby rozmawiali o swoich bóstwach z tobą, Ellie.

264

Bardzo to miłe z twojej strony, Peter. Ale właśnie przypomniałem mi, że jest tu jeszcze jedna uczona myśl do dodania. Gerald Sneyd, który był dziewiętnastowiecznym badaczem i medium, zoznał Sechmet w Wielkiej Nierządniczy z Księgi Objawienia. Macierz nierządnic i obrzydliwości ziemi" - tak to chyba brzmi. Więc nawet Je' Sechmet przejawia się zarówno w dobrych, jak i w złych formach, to jest wysoce niewiarygodna, jeżeli chodzi o ludzkość. Podobnie jak celtycka bogini Morrigan, może w ostateczności przynieść nam dobro, ale dokona się to za sprawą bólu i zniszczenia.

_ To wszystko jest bardzo ciekawe - powiedział Devlin, żegnając się wkrótce potem z Maggie - ale mało prawdopodobne, żeby doprowadziło do odzyskania Cody.

- Ten, kto zamyka swój umysł, zamyka drzwi do przyszłości - docięła mu Ellie, słysząc jego słowa.

- Pewnie tak mówi jakiś starożytny egipski mędrzec? - zapytał Devlin.

Ellie uśmiechnęła się szeroko.

- Nie - odparła. - To ja tak mówię.

Rozdział 42

Abdul Hazred oddał cześć ołtarzowi i zaczął przygotowywać się do rozproszenia świętej energii. Wiedział dobrze o tym, że wszystkie moce przyzywane i wywoływane powinny być odesłane do swoich stałych sfer przed zakończeniem ceremonii. Niejeden celebrant zmarł jako szalowiec wskutek niewystarczającego wypędzenia mocy.

Hazred złożył podziękowanie wszystkim mocom, które raczyły tego dnia wspomóc go w magicznych obrzędach. Intensywny aromat kadzidła z drewna sandałowego, jeden z niewielu akceptowanych przez wszystkich bogów, wypełniał pokój. Czuł, jak energia wysącza się i słabnie, odpływając w aromatycznym dymie.

265

Zszedł ze schodów, wciąż twarzą do ołtarza - nie jest bezpieczne obracać się plecami do nieśmiertelnych, i wrócił do gabinetu, którego używał jako pomieszczenia do oblekania szat.

Zdjął z ulgą ciężką maskę lwa, rozwiązał tasiemki fartuszka Sech-met i ściągnął przez głowę białe szaty. Potem, oddychając głęboko, zastygł na chwilę z uniesioną głową i wyciągniętymi ramionami. Powrót po odbyciu magicznego rytuału zajmuje sporo czasu; kiedy już otworzy się swoją aurę na energię bogów, to człowiek jest bezradny w ich rękach. Nie ma nic tak oszałamiającego jak moc, która przepływa wtedy przez człowieka: elektryzująca, podniecająca i sprawiająca, że jest się czymś więcej niż człowiekiem... ale to nie jest moc ludzka, tylko ich. Tylko głupiec pozwala sobie na zapomnienie tego faktu, a głupcy, którzy praktykują magię, nie żyją długo.

Hazred przeszedł długą i krętą drogę śladami Bogini. Czy w jego życiu kiedykolwiek był jakiś okres, kiedy nie byłby świadomy swego przeznaczenia jako jej sługa? Świat oferował intelekt, bogactwo, rodzinne wpływy, ambicje... ale on, on sam został wezwany, by wykonywać tę wyczerpującą pracę, studiować latami, składać nieskończoną różnorodność osobistych wyrzeczeń, które miały go uczynić wartym Boskiej Pani. W końcu miała wynagrodzić tę gorliwość, umieszczając w jego rękach największą nagrodę.

Powrócił do normalnej postawy, już całkiem połączony z rzeczywistym światem... w swym śmiertelnym ciele znowu w pełni kierował sobą. Pośpiesznie wziął prysznic, szorując się dokładnie, tak jak robili dawni kapłani, którzy zawsze oczyszczali swe ciała przed i po rytuale. Wyszedł spod prysznica i skropił twarz i ciało wonnymi olejkami. Paczuli dla seksualności, jaśmin dla powodzenia, biały wilec dla intuicji i kilka innych, które były jego osobistą tajemnicą.

Przypomniał sobie tę kobietę. Maggie O'Connor. Te anglosaskie nazwiska mają tak mało subtelności, są tak przytłaczająco nieciekawe. Jednak ona nie była nieciekawą kobietą. Prawdę mówiąc, kiedy ją spotkał, przeżył bardzo przyjemną niespodziankę. Poświęcił wiele uwagi temu, jak zdobyć jej zaufanie. Gdyby była brzydka, wiele z tych możliwości musiałyby być wyeliminowane. Jednak w tym wypadku...

266

Erie myślał, że ona się nie liczy, ale Hazred wiedział, że w ostatecznym rozrachunku nie ma racji. Żadna figura ustawiona na szachownicy przez bóstwa nie może być uważana za nieistotną. Nie wiedział, czy ona okaże jakąś wiedzę, czy coś zrobi, czy po prostu uruchomi jakąś energię. Bez wątplenia wiedział

jednak, że ona obserwuje rozwój sytuacji.

Odświeżony, ubrał się pośpiesznie i pojechał na miejsce, gdzie miał czekać na niego agent egipskiego rządu. Nie mieszał się do polityki, ale czuł szacunek dla władzy, szczególnie wtedy, gdy mogła mu się przydać.

Stara księgarnia na Zachodniej Czwartej Ulicy wyglądała obskurnie, tak jakby czas zatrzymał się w niej pięćdziesiąt lat temu. Kilkoro młodzików w dżinsach i strojach w kolorze khaki krążyło pomiędzy zakurzonymi półkami, a wyglądający na naukowców ludzie w średnim wieku, o bladych od rzadkiego kontaktu ze słońcem twarzach, rozmawiali bibliotecznym szeptem ze starszymi sprzedawcami, którzy sprawiali wrażenie prawie równie nieożywionych jak dawno wyszłe z obiegu książki.

Hazred przejrzał kilka tomów, udając zainteresowanie, i zadał jedno pytanie człowiekowi stojącemu za solidną, obładowaną książkami dębową ladą. Sprzedawca bez słowa wskazał mu odległy kąt przepaścistego sklepu. Hazred rzucił okiem w prawo i w lewo, i uznawszy, że nie jest obserwowany przez nikogo, z wyjątkiem tych, którzy są do tego wyszkoleni, obszedł ostatni regał i otworzył drzwi z tabliczką: „Wstęp tylko dla personelu”. Wszedł po ciemnych schodach i zatrzymał się przed drzwiami z ozdobnym napisem: „Anubis Importing, Ltd.”.

Zapukał i usłyszawszy odgłos brzęczyka, wszedł do środka. Przed sobą miał małe pomieszczenie recepcyjne i obszerne nowoczesne biuro, w zaskakujący sposób odmienne od wszystkiego, co widział na dole. Wymukłe meble biurowe z metalu, zestawy komputerowe i nowoczesny system telefoniczny wskazywały, że Anubis Importing jest czymś innym, niż to, na co z pozoru wygląda. W rzeczywistości była to nowojorska siedziba sekcji specjalnej egipskiego wywiadu, noszącego nazwę Mohabarat.

Został wprowadzony do wewnętrznego biura, gdzie powitał

267

z urzędową serdecznością siedzącego za biurkiem mężczyznę, który odpowiedział w bardzo podobnym tonie. Hazred rozumiał wojskowy umysł pułkownika tajnych służb, ale po prostu nie bardzo mu się podobał. Zawsze uważał, że jeśli da się trochę władzy urzędnikowi państwowemu, to hodzi się potencjalnego tyrana.

- Nawiązał pan kontakt z tą kobietą - powiedział pułkownik, otwierając rozgrywkę. - Czego się pan dowiedział?

- Jest inteligentna i wykształcona, ale całkowicie nie zorientowana; chodzi jej tylko o dobro dziecka i, o ile mogę się zorientować, nie interesuje się Amuletami, ponieważ nie darzy wiarą legen-dy.

Jego rozmówca sceptycznie uniósł ciemne, gęste brwi.

- Znałem bardzo niewielu ludzi, którzy naprawdę nie intereso

wali się władzą - zauważył.

Hazred nie mógł nie dosłyszeć jego pouczającego tonu.

- Więc znał pan wiele kobiet, które oddałyby życie wnuczki w zamian za władzę? - odparł spokojnie. - Musi się pan obracać w interesujących kręgach.

Twarz pułkownika spochmurniała. Polecono mu tego aroganckiego uczonego jako eksperta w sprawie Amuletów, ale ani go nie lubił, ani też mu nie wierzył. On sam nie darzył żadną wiarą tej śmiesznej legendy - za długo był w armii, żeby mieć jakiegokolwiek złudzenia na temat tego, na czym opiera się prawdziwa władza i kto ją posiada. Ale dostrzegał propagandową wartość takiego nonsensu pośród ciemnych mas. Poza tym miał rozkazy do wykonania. Musiał więc tolerować tego dandysowatego mędrka, przynajmniej do czasu, kiedy stałby się ciężarem nie do zniesienia. Gdy jego przełożeni już podejmą decyzję, co zrobić z tym dzieckiem i kobietą, będzie się mógł pozbyć Abdula Hazreda, tak jak na to sobie zasłużył. Ta myśl rozweseliła pułkownika Hamida na tyle, by odzyskał serdeczne nastawienie.

- Jeszcze nie otrzymałem rozkazów dotyczących losu dziecka i jego opiekunki, panie Hazred. Ma pan po prostu kontynuować swoje rozmowy i informować nas, jeżeli cokolwiek istotnego się wydarzy. I, oczywiście, powiedzcie, na kiedy wylicza pan dokładną datę rzekomego rytuału.

268

Hazred uśmiechnął się z pewnością siebie.

- Te sprawy są bardzo złożone, pułkowniku. Musi pan zrozumieć, że starożytni dokładali wszelkich starań, żeby zachować tajność w związku z Wielkimi Tajemnicami. Jednak może być pan spokojny, że otrzyma wiadomość ode mnie natychmiast, kiedy będę pewien moich danych.

Kiedy się żegnali, każdy z nich wiedział, że ten drugi kłamie. Oczywiście, można się było tego spodziewać. Tylko głupcy zdradzają swoje zamiary.

Hazred wrócił na ulicę, zadowolony, że zostawia za sobą biurokratów i ich małostkowe zamiary. Miał przed sobą o wiele ważniejsze cele.

Wiele istnień - pomyślał, wychodząc zza rogu i zatrzymując taksówkę - przeżyłem wiele istnień,

przygotowując się na ten moment, a ten imbecyl myśli, że jestem jego płatnym agentem.

Nigdy nie zgodziłby się na prośbę rządu, żeby doradzać w tej sprawie, gdyby nie fakt, że ci wojskowi kretyni mogli mu się przydać. Po jego starciu z Vannierem wydawało się prawdopodobne, że doczesna siła może się okazać konieczna. Gdyby do tego doszło, pułkownik Hamid i jego komandosi zostaliby wprowadzeni do rozgrywki.

Hazred manipulował Vannierem i Saylesem dzięki swojej znajomości magii. Był ponad ich podejrzeniami, gdyż tylko garstka ludzi przekroczyła Otchłań i nikt nie mógł udawać, że to zrobił. Poza tym, spośród wszystkich trzynastu Adeptów, którzy mieli asystować przy materializacji, tylko on i Erie pochodzili z odpowiedniego rodu.

Hazred zapłacił taksówkarzowi i przez chwilę stał na rogu Park Street i Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy. Dla jego planów byłoby le-
siej, gdyby mógł dotrzeć do dziecka przez Maggie O'Connor, ale
tak w końcu musiał zwyciężyć. A ten głupi pułkownik miał mu
tym pomóc.

CZĘŚĆ CZWARTA

Karma

Przyszłość wkracza w nas po to, by się w nas

przekształcić na długo przedtem,

zanim się wydarzy.

Rainer Maria Rilke

Rozdział 43

Instytut do Spraw Wywiadu i Operacji Specjalnych, inaczej Ha Mossad, le Modiyn ve le Tafkidim Mayuhadim, nie istnieje oficjalnie w Izraelu ani nigdzie indziej. Jednak niewielu jest ludzi w jakimkolwiek cywilizowanym państwie, którzy nie wiedzieliby, że Mossad jest najlepszą tajną służbą na świecie. Szpiegostwo, działania antyterrorystyczne, tajne operacje, zbieranie informacji i mnóstwo innych rzeczy

wchodzi w zakres jego działania.

Sporadycznie dzieje się jakieś Entebbe: incydent, w którym świetnie wyszkoleni antyterrorysty muszą przeprowadzić niewiarygodną akcję ratunkową. Bywa, że trzeba odnaleźć jakiegoś Klause Barbie i postawić go przed obliczem sprawiedliwości. Czasami dochodzi do tajemniczego sabotażu w irackiej elektrowni atomowej albo plany bombowca Mirage znikają wprost sprzed nosa francuskiego rządu. W takich sytuacjach zawsze wypływa słowo Mossad. Podobno motto Mossadu brzmi: „Będziesz prowadził wojnę przez podstęp”. Mówi się też, że jego zasadą jest zabijanie tylko tych, którzy mają ręce splamione krwią. Pewne jest natomiast, że ze względu na jakość swych działań jest organizacją elitarną.

We wrześniu 1951 roku, premier David Ben Gurion zezwolił na stworzenie Mossadu jako agencji wywiadowczej, która zawsze miała pozostawać w ukryciu. W budżecie Izraela nie ma o niej żadnych wzmianek, a nazwisko osoby nią kierującej nigdy nie zostało ujawnione opinii publicznej. Jednak nikt nie wątpi w jej istnienie ani skuteczność.

Rafaël Abraham był jednym z zaledwie trzydziestu kilku działających na całym świecie oficerów zwanych „katsa”. Kiedy szef Sometu, czyli sekcji rekrutacyjnej Mossadu, spotkał Abrahama w 1961 roku, zaintrygowały go pewne cechy tego człowieka, które, jego zdaniem, zapowiadały niezwyklej potencjał młodego syjonisty. Abraham miał mocną budowę ciała i w jego sylwetce było coś zwierzęcego, co przenosiło się także na psyche. Trwał nie-

272

wzruszenie na swojej pozycji, niezależnie od tego, jak silnemu stresowi go poddawano; w gruncie rzeczy, im większy stres, tym był twardszy. Poza tym, dzięki swej niezwyklej, wybornej inteligencji, był bardzo bystry, zarówno w sprawach teoretycznych, jak i w życiu.

Abraham miał talent do języków i fotograficzną pamięć co do szczegółów. Czy chodziło o mapy, wykresy, kolumny cyfr czy szczegóły dyskusji, był w stanie jak komputer przechować wszelkie informacje, z jakimi się zetknął. Jednak o wiele ważniejszą od tego mechanicznego daru była jego umiejętność oddzielania plew od ziarna. Nawet jako młody rekrut wykazywał się niezwyklej rozsądkiem.

Abraham myślał o sobie po prostu jak o żołnierzu. Uważał się przy tym za bardzo dobrego żołnierza i nie był osamotniony w tej opinii.

Najnowsze zadanie wydało mu się zastanawiające. Szef jego sekcji, Uzi Eisenberg, który z pewnością nie był głupcem, wyraźnie dał do zrozumienia, że według niego, ta cała sprawa z Amuletem jest czymś poważniejszym, niż się wydaje. Prawdę mówiąc, podczas odprawy doszło między nimi do zadziwiającej rozmowy. Abraham odtwarzał ją sobie teraz w myślach słowo po słowie.

- Ten Amulet Izdy, Rafi - powiedział w zamyśleniu Eisen

berg. - Co za fascynująca idea, że jakiś przedmiot może w sobie zawierać moc dobra i zła. Co za paradoks, że legenda umieszcza ten cud w rękach dziecka, w dodatku goja. Bóg rzeczywiście musi mieć poczucie humoru.

Był zbyt pragmatyczny, by wierzyć w magię, ale najwyraźniej zaintrygowała go ta legenda.

- Musimy się dowiedzieć, jaką rolę w tym wszystkim gra ta kobieta - stwierdził. - Czy działa na rzecz jakichś innych zainteresowanych grup, czy jest niewinna?

- Nikt nie jest niewinny - odparł zdecydowanie Abraham.

- Z filozoficznego punktu widzenia masz, oczywiście, rację, ale w praktycznym sensie może być jedynie pionkiem w czyjejs rozgrywce... albo może rozgrywać swoją własną partię.

273

Posłuchaj, Rafi, będę z tobą szczery. Kiedy premier powierzył mi tę misję, roześmiałem się na głos. Gojskie bzdury! - powiedziałem mu. Boubameisa. Magiczne amulety, magiczne dzieci...

Wzruszył wymownie ramionami.

- Potem przeczytałem dossier na temat tej legendy i zdałem sobie sprawę z tego, jaką propagandową wartość miałyby dla Egipcjan, gdyby mogli twierdzić, że mają w swoich rękach taką istotę i jej amulet. Poza tym, musimy się upewnić, czy cała ta sprawa nie jest przykrywką dla czegoś innego. Więc... musimy poznać prawdę. I to dziecko, i ten amulet, jeżeli w ogóle istnieje. Premier uważa, że Tel Aviv byłby dla niego lepszym miejscem niż Kair.

- Co wiemy do tej pory? - zapytał Abraham, pukając niecierpliwie o ledwie przejrzone dossier.

- Mnóstwo plotek, śmieci, legendy, pomówienia - odparł Eisenberg. - Kobieta, całkiem do rzeczy... trzyletnie dziecko, mieszkające obecnie w Greenwich... dużo pieniędzy i władzy. Może jakiś handel bronią i narkotykami.

- A ten Vannier? - Abraham zajrzał do trzymany na kolanach papierów. -1 Sayles?

- Obydwaj siedzą po uszy w handlu bronią i heroiną. Wszyscy Kozacy mają taką samą twarz, Rafi, ale, jak dotąd, nie wiemy, co te wszystkie twarze mają ze sobą wspólnego.

Rozmawiali przez prawie godzinę o planowanym dochodzeniu, zanim „katsa” wstał, by odejść.

- Więc, Uzi, pytam cię jak mężczyzna mężczyznę - powiedział, zbliżając się do drzwi. - Czy wierzysz w ten Amulet Izidy i jego mistyczną moc? Kamienie, które czynią cuda? Amulety, które rządzą światem?

- Pytasz mnie, czy wierzę w cuda, Rafi? Wierzę w to, że nie wolno niczego przegapić.

Roześmiali się obydwaj.

- Czyż cały judaizm nie jest oparty na cudach? - dodał Eisen

berg. - Mojżesz i Morze Czerwone... tablice na Górze Synaj...

krzak gorejący... powiedz mi, Rafi, czy w twojej rodzinie nie ma

żadnych mistyków, którzy mogliby zrobić z ciebie wierzącego?

Rafi uśmiechnął się, słysząc to pytanie.

274

- Mój wuj Szlomo był zubożałym rabinem, Uzi. Był także

wielkim uczonym i znawcą Kabały. Ale ożenił się z moją ciotką Sa

rą, najbardziej nieznośną kobietą, jaka kiedykolwiek żyła w Izraelu.

Pewnie gdyby naprawdę wiedział coś o magii, to byłby bogaty

i miałby inną żonę.

Eisenberg roześmiał się głośno. • - Nie będziemy się o to spierać, przyjacielu - powiedział. -Wiesz, jak to się mówi, jedyną rzeczą, co do której dwaj Żydzi potrafią się zgodzić, jest to, ile trzeci Żyd powinien oddać na cele dobroczynne.

Podeszli do drzwi.

- Niezależnie od naszych osobistych opinii na ten temat -oznajmił Eisenberg, obracając gałkę w drzwiach - nasi egipscy przyjaciele nie mogą być tymi, którzy przechwycą amulet. Nie potrzeba nam arabskiego rządu, który posiada talizman dający, według wierzeń, moc rządzenia światem. Psychologia to też władza.

- Rządzić światem? - odparł Rafi z pogardliwym parsknięciem. - Nawet nie potrafili utrzymać się na Synaju.

To był celny argument, co jednak nie znaczyło, że Rafael Abraham nabrał nadmiernej pewności siebie. Eisenberg nie został szefem sekcji Mossadu dlatego, że był głupim człowiekiem.

To wszystko zaczęło się dla Abrahama przed tygodniem. Do tej pory zebrał już zespół ludzi, których zadaniem było obserwować i czekać. W tym fachu umiejętność wykonywania poprawnie i cierpliwie tych dwóch zadań jest kluczem do wszelkiego sukcesu. Jego rola polegała na drobiazgowym zwracaniu uwagi

na wszelkiego rodzaju szczegóły, które innych nudzą albo doprowadzają do szaleństwa. Dla Abrahama była to niezmiernie interesująca gra. Gdyby mu dano do rozwiązania węzeł gordyjski, to by się do tego zabrał z przyjemnością i radością.

Do tej chwili dossier, które otrzymał przed tygodniem, przyrastało w tempie geometrycznym. Wiedział już teraz dużo o Ericu Van-nierze i Nicholasie Saylesie. Mossad, podobnie jak MI-5 i CIA, wykorzystywał Fundację Vannierów i jej sieć bankową do różnorodnych tajnych operacji od momentu jej założenia. Abraham przestał już oceniać pod względem moralnym istnienie takich organizacji.

275

Były pr/.y«" vdatne albo nie. To było wszystko, co go obchodziło i liczyło się w j« jego fachu. Kwestie związku obydwu mężczyzn z czarną magią /osostały już dawno temu zamieszczone w ich papierach, ale, aż do tej pory, nie interesowały za bardzo Mossadu. Według Abrahama, każdy człowiek miał piętę achillesową: jedni mieli słabość do kobiet, inni byli homoseksualistami, niektórzy oddawali się hazardowi albo o pili, a jeszcze inni lubili zadawać ból. Wszyscy mieli jakiś sekret, t, który mógł być wykorzystany z pożytkiem dla Mossadu. Musiał wcięc teraz przemyśleć wszelkie możliwości.

Poza tuym był ten Egipcjanin, Hazred. Kolejny człowiek mający swój sekret. Abraham wydobył kartotekę Hazreda ze stosu papierów i prz-zyrzał się jego aroganckiej, faraonskiej twarzy. Władczy grymas, p przymrużone oczy arystokraty, który widział tylko czubek własnego t nosa... taką twarz musiał mieć Ramzes, kiedy dręczył Izraelitów i budował piramidy nad ich martwymi ciałami.

Ciekawy przypadek - ten Abdul Hazred. Bogaty, błyskotliwy, zrobił dokktorat w wieku dziewiętnastu lat. Aż do tej pory prowadził życie naukowca-dzentelmena. Nie pozwól sobie na lekceważenie go, Raii — przestrzegł się sam w myślach. - Za tą twarzą skrywa się intelekt i spryt, to człowiek, który ma swój cel.

Ot»vonrzył ostatnią kartotekę, w której były zdjęcia Maggie, Jenny i Codyy. Wpatrzył się przez dłuższą chwilę w aniołkową twarz dzieck~a, które było tak pożądane przez wszystkich. Dziewczynka miała uduachowione szare oczy, niezwykle oczy, które patrzyły nie-ruchornno i niezwykle jak na dziecko. Ale poza tym wyglądała jak każdy inny trzylatek. Pulchne policzki, długie, błyszczące blond włosy związane w dwa kucyki. Westchnął. Jego Leah wyglądała bardzc»p«odobnie, kiedy miała trzy lata, ale to było dawno temu. Teraz mb aha już swoje własne dzieci.

Skrrzywił się, patrząc na zdjęcie Jenny: taka doskonała gojska twarz i cnało. Blondwłosa, niebieskooka, młodziutka. Jednak pod tą powie-rzchnią kryło się coś zupełnie innego. Co za różnica, jak wygląda kobieta, która jest gotowa narazić swe dziecko na niebezpieczeństwo? Zastuguje najwyżej na pogardę.

Wzjął do ręki zdjęcie Maggie i przyjrzał mu się uważnie. Dojrzał w jej twarzy siłę i kobiecość. Świadczyło to o tego rodzaju cha-

rakterze, który nie poddaje się łatwo. Co by zrobiła posiadaczka takiej twarzy, żeby uratować ukochane dziecko? - zapytał się w myślach. - Coś. Coś, być może, nieoczekiwanego. Ta kobieta zasługiwała na uwagę.

Włożył kartoteki z powrotem do zamykanej szafki i opuścił pokój.

Rozdział 44

Cody rozejrzała się skrycie w prawo i w lewo. Nikt jej nie obserwował. Chwyliła z kolacyjnej tacy trzy owsiane ciasteczka i jabłko i ukryła je w plecaku pod stołem. Spojrzała z namysłem na mleko, ale nie mogła wpaść na pomysł, jak przenieść je bez szklanki. Gdyby z kolei ją wzięła, to jej brak zostałby zauważony przez kucharkę lub Ghanie. Westchnęła więc i wypła je sama. Postanowiła tej nocy pomóc Tym, Którzy Krzyczą.

Pomysł napawał ją strachem, ale coś w jej wnętrzu nalegało, żeby spróbowała. Odkąd Ghania zawlokła ją do piwnicy, Ci, Którzy Krzyczą byli cały czas obecni w każdym zakątku jej umysłu. Widziała ich twarze, słyszała ich łkanie, czuła ich ból... zemdląca po tamtej okropnej nocy. Leżała w łóżku, płacząc ze strachu i próbując zapomnieć. Potem twarz jednego z nich przypląnęła do niej w myślach: miał czerwone od gorączki oczy, a jego cierpienie było tak widoczne w zaciśniętych ustach i zapadłych policzkach... nagle przypomniała sobie swój dar. Skrzywdzone istoty, chore istoty -potrafiła przywracać je do zdrowia! Może gdyby Ci, Którzy Krzyczą poczuli się lepiej, mogliby uciec. A Ghania nie byłaby w stanie zmusić ich znowu do krzyku.

Co Ghania by jej zrobiła, gdyby ją złapała? Cody nie sądziła, żeby mogła ją zabić. Słyszała, jak Ghania i pan-tatuś rozmawiali o czymś, co nazywali ceremonią.

- Nie może się jej stać żadna krzywda przed ceremonią - powiedział, a Ghania odparła - Zostały już tylko trzy tygodnie.

Cody uznała, że znaczy to, iż nie zrobią jeszcze z niej Tej, Która Krzyczy. Nie była całkiem pewna, ile trwają trzy tygodnie, ale może gdyby pomogła uciec Tym, Którzy Krzyczą, to oni pomogliby też jej. Może nawet zaprowadziliby ją do Mim.

Kiedy służąca bez słowa zabrała tacę, Cody odczekała wstrzymując oddech, aż dziewczyna wyjdzie. Potem przeniosła swoje nowe zdobycze do małego skarbca podobnych rzeczy, które zgromadziła pod ubraniami w szufladzie toaletki.

Wszyscy spali. Wszędzie wokół Cody słyszała tylko ciszę. W nocy nie pilnowano jej zbyt uważnie.

Pokoje Ghanii były w głębi korytarza, za nimi mieszkali inni służący, ale raczej nikt nie spodziewał się, żeby małe dziecko włączyło się po nocy.

Dom był tak cichy i ciemny, że Cody prawie zrezygnowała z pomysłu, ale owoce, które zebrała w ciągu trzech dni, zaczynały się psuć, więc wiedziała, że będzie musiała to zrobić tej nocy.

Uchyliła drzwi bawialni i wyjrzała do holu. Nie bała się ciemności i dość dobrze widziała w mroku. Przełożyła cenną jak skarb żywność do plecaka, zamknęła go delikatnie, a potem wyjęła lampkę z gniazodka obok drzwi, tę, która zawsze się paliła, nawet gdy nie była podłączona do sieci... nie byłoby dobrze, gdyby zaczęła w ciemności objąć się o sprzęty i hałasować.

Bezgłośnie podkrađła się do schodów i trzymając rękę na poręczu, ostrożnie zeszła na niższą kondygnację. Wszędzie było pusto. Przeszła pospiesznie do kuchni i dojrzała z irytacją, że zasuwa na drzwiach do piwnicy jest za wysoko, by jej dosięgnąć. Powoli i ze strachem, starając się nie wywołać żadnego hałasu, przyciągnęła do drzwi podnózek, i już po chwili pełna obaw, weszła na schody.

Panujące w piwnicy ciemności zdezorientowały ją - tylko gdzieś z przodu paliło się ponure żółte światło. Zastygła bez ruchu u stóp schodów, by upewnić się, że nikt jej nie obserwuje. Ciche jęki Tych, Którzy Krzyczą, powiedziały, dokąd ma iść. Poczwała w rękach mrowienie, takie samo, jakie czwała zawsze w obecności skrzywdzonych czy chorych istot. Czwała, jak ognista energia wypełnia jej palce i ramiona uczuciem bliskim bólu.

278

Zatrzymała się na skraju klatek, by zebrać całą odwagę, i przysunęła się ku nim na palcach.

- Proszę pana - powiedziała cicho do więźnia w pierwszej klat

ce, ale nie zareagował.

Był bardzo, bardzo chory: czwała to przez narastające mrowienie w rękach. Sięgnęła do klatki i dotknęła zmasakrowanej prawej dłoni mężczyzny. Leżała obok niego na podłodze klatki: bezwładna, wykrzywiona, spuchnięta i okropnie przebarwiona. Do drugiej ręki miał podłączoną rurkę odprowadzającą krew do zbiornika. Gdy tylko go dotknęła, pocwała, jak przepływa do niego energia. Jak strumień wody przez rurkę. Taki strumień powstawał zawsze, kiedy dotykała chorych lub zranionych. Czwała cierpliwie...

Mężczyzna otworzył oczy i spojrzał z niedowierzaniem na twarz dziecka, a potem na małą rączkę, z której ożywcza energia przepływała do jego ramienia.

- Jak się tu dostałaś? - wyszeptał z trudem. - Ta wiedźma cię

zabije, jeśli cię znajdzie.

Wiedźma! Oczywiście, że ona nią jest. Jasne. Nie pomyślała o tym wcześniej, bo Ghania nie nosiła

stroju więdźmy. Ale to przecież wławnie więdźmy robiły okropne rzeczy, jak na przykłał zamykanie lułli w klatkach... całkiem jak w bajce o Jasiu i Małgosi.

- Ona nazywa się Ghania - odszepnęła. - Przyniosłam ci cia

steczko.

Nieprawłopodobieństwo tej sceny wywołało szaleńczy śmiech mężczyzny: zaczął kaszleć i łławić się.

- Szsz! - napomniała go Cody z prawdziwym przerażeniem.

Wyciągnęła ciasteczko z plecaka i podsunęła mu je.

- Nie chcę, żeby Ghania tu przyszła, bo mnie skrzywdzi. Mam jeszcze jabłko, pomarańczę i banana. Możemy je dać twoim przyjaciołom.

Inni więźniowie ocknęli się i zaczęli mamrotać.

- Cisza! - nakazał im ostro pierwszy mężczyzna. - To dziecko przyszło tu samo. Więdźma ją zabije, jeżeli będziemy hałasować.

Cody zaczęła rozłławać jełzenie, ale wiłłziła wyraźnie, że to za mało. Niektórzy lułłie nie byli w stanie unieść ręki, żeby wziąć je-

279

łłzenie, więc odłłamywała kawałki ciastka, próbując dosięgnąć przez kraty ich ust, ale nie było to łłatwe.

- Hej, mała! - wyszeptał pierwszy mężczyzna. - Co ty zrobiłaś z moją ręką? Nie byłem w stanie ruszać palcami, odkąd mi je złamali. Co zrobiłaś?

- Potrafię uzłławiać skrzyłłdzone istoty - wyszeptała Cody, nie wiłłżąc, jak wyłłśnić ten dar.

Wokół niej rozłłegły się pomruki: Pomółł mi, pomółł - aż zakręciło się jej w łłowie. Zaczęła przechodzić od klatki do klatki, nasycając energią zrozpaczonych więźniów. Czula, że energia wnika do jej ciała przez czubek łłowy i stopy, a potem wypływa przez łłonie. Robiła to tak łługo, aż poczuła się niepewnie i słabo.

- Możesz nas stąd wyłłostać? Możesz zdobyć klucz? - pytali jeden przez drugiego.

- Nie mam kluczy - powiedziała, zastanawiając się, czy zostało jej tyle sił, by wrócić na górę. -

Naprawdę mi przykro, ale muszę wracać. Spróbuję jeszcze tu przyjść.

Wycofała się ostrożnie od klatek i odwróciła ku schodom.

- Niech Bóg cię błogosławi, dziecko! - zawołał za nią pierwszy mężczyzna. - Niech Bóg cię błogosławi - powtarzali za nim wszyscy.

Wolałaby, żeby byli cicho, żeby Ghania o niczym się nie dowiedziała.

Zaczęła skradać się w górę po schodach, czując ulgę, że wraca do łóżka.

U szczytu schodów do piwnicy czekała na nią Ghania.

- Więc nie boisz się nocy, moja maleńka? - zapytała Amah przesłodzonym głosem, który był aż ponury w swej słodyczy. - Zobaczymy.

Żołądek Cody skurczył się gwałtownie, kiedy poczuła na swej ręce stalowy uchwyt Ghanii. Omal nie zwymiotowała z przerażenia. Niemal nie czuła, jak kamienne stopnie obcierają jej ciało, kiedy Ghania wlokła ją w głąb piwnicy obok więźniów. Słyszała, jak przeklinają Ghanie, ale ona się tylko z tego śmiała.

- Nie ruszaj się stąd - nakazała, kiedy dotarli do przeciwległego końca pomieszczenia.

280

W jej głosie nie było już słodyczy.

Pokażę ci, co się dzieje z dziewczynkami, które mi się sprzeciwiają-

Włożyła rękę do małej klatki i wyciągnęła z niej wielkiego białego królika. Jego różowy nos i uszy drżały, i gdyby Cody nie była tak przerażona, to wyciągnęłaby rękę, by dotknąć jego miękkiego futerka.

Patrzyła, jak Ghania przywiązuje królika brzuchem do góry na metalowym stole. Zwierzątko wierzgało łapkami w daremnym oporze i rozpaczliwie usiłowało odwrócić się na brzuch.

W dłoni Ghanii błysnął nóż, który do tej pory był ukryty pod jej szatą, a teraz pojawił się jak w magicznym tricku. Wyglądał na bardzo stary, a rękojeść miał wysadzaną drogimi kamieniami.

- Z powodu twojego nieposłuszeństwa ten królik zginie w mę

czarniach - powiedziała kobieta, a jej oczy zabłyły jak ostrze no

ża. - To ty zabiłaś to biedne zwierzątko, ty, niedobre dziecko, to ty spowodowałaś, że cierpi ból.

Rozpruła brzuch zwierzęcia od szyi po tylne łapy i krew trysnęła we wszystkie strony.

Królik zapiszczał niesamowitym, pełnym bólu głosem i omal nie odrywając sobie łap, zaczął szarpać przytrzymujące je skórzane paski. Cody również krzyknęła, podnosząc ręce do ust, żeby stłumić krzyk, ale i tak było go słychać.

- Jesteś odpowiedzialna za cierpienie tego zwierzęcia, ty niedo

bre dziecko! - powtórzyła brutalnie Amah. - Więc musisz spróbować jego krwi.

Nadstawiła dłoń pod parujący czerwony płyn, który wylewał się z brzucha umierającego królika, i rozsmarowała go po ustach i twarzy Cody. Ta szarpała się jak uwięzione w klatce zwierzę, odsuwając głowę, ale Ghania trzymała ją mocno.

- Teraz musisz za karę powyciągać mu robaki z brzucha - roz

kazała wiedźma, przysuwając twarz Cody tak blisko do nadal pulsujących jelit zwierzęcia, że widziała, jak się ruszają.

Wepchnęła rękę dziecka głęboko w parujące wnętrza. Zakrwawione, szare jelita owinęły palce dziewczynki, kiedy usiłowała wyrwać rękę z brutalnego chwytu Ghanii.

281

Krzyk, wymioty, walka, spadanie do tyłu, do tyłu, niżej, niżej-w lodowatą ciemność. Umieranie. Umieram - pomyślała. - To mój ja winna, że króliczek umarł. Teraz też muszę umrzeć. Mim! Pomocy mi!

Wtedy właśnie zobaczyła po raz pierwszy to dziwne, białe światło.

* * *

Ghania siedziała przy łóżku Cody, gładząc rozpalone czoło dziecka, nucąc łagodnie i kołysząc się przy tym.

- Malutka była niegrzeczna - powtarzała raz po raz - i doprowadziła do śmierci królika. Ale Ghania rozumie... Ghania jest jej przyjacielem.

Cody leżała nieruchomo jak trup, bardzo chora i bardzo, bardzo wystraszona. Ghania nie była jej

przyjaciółką. Była wiedźmą. Zabijała stworzenia, krzywdziła je i zmuszała do krwawienia. Ale może nikt inny też nie był jej przyjacielem. Nikt nigdy nie przychodził jej pomóc, niezależnie od tego, jak bardzo się modliła... niezależnie od tego, jak bardzo płakała i błagała. Może nikogo więcej już nie obchodziła, może tylko Ghania się nią interesowała.

Nie. To nieprawda! Mim by się zmartwiła, gdyby zrobili z Cody Tę, Która Krzyczy. Mim coś by zrobiła. Ale dlaczego nie przyjechała... dlaczego nie zadzwoniła?

Cody usiłowała pewnego razu zadzwonić do Mim, ale telefonistka powiedziała, że nie wie, jak znaleźć kogoś, kto nazywa się Mim.

Leżała nieruchomo, rozdierana okropnymi myślami i okropnym strachem. Postanowiła ukryć się na jakiś czas tutaj, w ciemnościach wewnątrz swojej głowy.

Przynajmniej nie będzie patrzyła na twarz Ghanii.

Zaciśnie oczy, będzie leżała nieruchomo i myślała o świetle. W świetle było bezpieczeństwo i odwaga. Ono pozwalało oderwać się od tego okropnego miejsca. Ruszyła do wewnątrz, a Ghania uśmiechnęła się, bo wiedziała, dokąd Cody poszła.

282

Rozdział 45

Devlin z roztargnieniem pukał długopisem w trzymany w ręku notes. Dostrzegał początki jakiegoś ładu, ale jego implikacje były zbyt wielkie, żeby mogły być prawdziwe.

Nazwiska, które podała im Cheri, okazały się rewelacją: senator, lider słynnej grupy rockowej, wiceprezes sieci telewizyjnej, sędzia Sądu Najwyższego, uznany projektant mody - wszyscy ci ludzie wykazywali powiązania, które wykraczały poza granice zwykłego prawdopodobieństwa. Im głębiej grzebał, tym więcej odkrywał łączących ich nitek. Bardzo interesujące. Zbyt wiele było powiązań, żeby to mógł być przypadek, a ich skala była zbyt wielka. Devlin pokazał Garibaldiemu listę nazwisk od Cheri. Jeżeli grupa sław, którą zajmował się Gino, wykazałaby chociaż ułamek podobnych powiązań, jakie odnotował swoim notesie, to byli na tropie ogromnej afery.

W gruncie rzeczy zbyt ogromnej, żeby mogli się nią zajmować detektywi z Szóstego Posterunku, chyba że ujawniono by jakieś konkretne lokalne powiązania. W dodatku, było zbyt dużo ważnych nazwisk, żeby kapitan miał ochotę na potencjalne problemy. Wielkie nazwiska mają wielkich adwokatów, którzy zarabiają na życie, chroniąc swoich klientów przed tego typu pomówieniami, nad którymi spekulował.

Spekulacje. Cholera! To właśnie był problem. To nadal były spekulacje, a trzydziesty kwiecień był tuż, tuż.

Devlin zatrzaskał notes i zmusił się do zwrócenia uwagi na leżące na biurku papiery, które dotyczyły

innych spraw. Sprawa Maggie była nieoficjalna, a on nadal musiał wypełniać swoje obowiązki. Musiał patrzeć na wszystko z odpowiedniej perspektywy.

- Cholera! - powiedział głośno. - Jak ci się zdaje, kogo nabierasz, Devlin?

Odsunął energicznie papiery, wziął notes z zapiskami na temat sprawy Maggie i opuścił posterunek w poszukiwaniu Garibaldiego.

283

- Poruczniku, mam informatora, który mówi, że wie, gdzie sobie robią te tatuaże - powiedział Garibaldi z szerokim uśmiechem. _

W salonie przy Christopher. Podobno ten gość to prawdziwy „arty sta”. Specjalizuje się w niesamowitych i dziwnych rzeczach. Jak chce pan sobie wytatuować pawia na małym, to facet jest do tego w sam raz.

Devlin skrzywił się.

- Nawet nie mów tego na głos.

- Dobrze, w porządku. Pana może to nie pociągać, ale umiejętności tego faceta są bardzo poważane wśród gangów motocyklowych i w środowisku sado-masochistów. Mój informator mówi, że można by się nim zająć w sprawie tego Maa Kheru. Chce się pan przekonać, co on sam ma do powiedzenia?

Devlin skinął potakująco głową.

- Co mamy na niego, żeby go przycisnąć?

- Parę starych wpadek z narkotykami i trochę złodziejstwa. Typowa drobnica. Nic istotnego. Nie świeżego. Z wyjątkiem, może, jednej rzeczy. Wygląda na to, że jest zielarzem-amatorem. Magazynuje wszelkie zioła i przepisuje swoim klientom, dorzucając parę halucynogennych grzybków czy innych środków. Może przy okazji coś jeszcze dla specjalnych klientów.

Salon tatuażu był brudnawy i obskurny. Mikroskopijną poczekalnię zaśmieszczały magazyny typu „Wilgotne nastolatki” i „Parada cipek”.

- Przydałoby mu się parę numerów „National Geographic” - stwierdził Garibaldi, przerzucając stertę czasopism. - O, tu jest wspaniały tytuł: „Miłość z małymi chłopcami”.

Odłożył pismo, jakby cuchnęło starą rybą.

Devlin odsunął zasłonę, która oddzielała poczekalnię od gabinetu, i zobaczyli niemal nagiego mężczyznę rozpartego w fryzjerskim fotelu. Dwie trzecie jego masywnego ciała było pokryte tatuażami o wprost niewyobrażalnym stopniu zawikości.

- Będziemy musieli zrobić na dzisiaj przerwę, Rudi - powie
dział chudy jak patyk mężczyzna, który trzymał w ręku igłę do ta-
tuażu.

284

Nie spoglądając nawet na przybyłych, dokończył ze staranną precyzją łapę stwora o wyglądzie gorgony, który zdobił lewe udo mężczyzny. Potem odłożył igłę i wstał, a Rudi ulotnił się pośpiesznie-

- Pewnie policja? - powiedział, zanim się przedstawili. - Je-
stem Jake. Nie chcę mieć żadnych kłopotów. Czego chcecie?

- To twój obrazek? - zapytał Devlin, podając mu rysunek Cheri.
Tatuażysta ledwie rzucił na niego okiem.

- Jakbym zobaczył sam tatuaż, to mógłbym sobie przypomnieć.
Potrafię rozpoznać swoją własną robotę. Ale to? Wie pan, ile tatu-
aży robię w ciągu roku, poruczniku?

Wzruszył swoimi kościstymi ramionami.

- A wiesz, ilu palantów wsadzam do pułda w ciągu roku, bo mi próbują wciskać kit? - warknął
Garibaldi, przysuwając się bliżej. -Zobaczmy, co masz tu w swoim sklepiku: wydawanie lekarstw bez
koncesji, pisma z dziecięcą pornografią, naruszenie przepisów sanitarnych, podejrzenie o posiadanie
narkotyków...

- Czekajcie, do cholery! - przerwał Jake. - Nie mam tu żadnych narkotyków. Czego ode mnie chcecie?
- Co wiesz o tym tatuażu - zapytał Devlin.

Jego cichy głos zabrzmiał bardziej złowieszczo niż pogróżki Garibaldiego.

- To część starożytnego symbolu - odpowiedział szybko Jake. - Ma coś wspólnego z wiecznym życiem i
manipulacją materią. Wiecie, tak jak magia. Są jeszcze słowa w enochion, magicznym języku ze
Średniowiecza, które do niego się dodaje. Nie wiem, co znaczą.

- A kto sobie robi taki tatuaż?

- Różni ludzie. Nie moi stali klienci...

Zdawało się, że powie coś więcej, ale zamilkł.

- Jeśli nie są twoimi stałymi klientami, to kim? - naciskał De-vlin. - Po prostu przychodzą z ulicy? Jak wyglądają? Płacą czasami kartami kredytowymi?

- Słuchajcie - zdenerwował się Jake. - Nie chcę mieć żadnych kłopotów, rozumiecie? Wiem tylko tyle, że przysyłają po mnie limuzynę i gdzieś mnie zawożą. Nie wiem, gdzie.

285

- Dlaczego nie?

- Bo na czas jazdy zakładają mi na głowę taki czarny kaptur. Wiem tylko tyle, że to jest duży dom, taki trochę niesamowity, na wsi niedaleko wody. Prowadzą mnie do pokoju. Robię to wszystkim, którzy chcą, czasem jeden, czasem pół tuzina. Płacą gotówką dwa razy więcej niż moja normalna stawka, a potem mnie odwożą.

- I nigdy nie pytałeś, kim są albo dlaczego robią to w ten sposób? - dopytywał się sceptycznie Devlin.

- A po co miałbym wiedzieć, w co oni się bawią? Słuchajcie, na świecie dzieje się dużo rzeczy, o których człowiek nie chciałby wiedzieć. Zgodna? Mam taką babę od dominacji, która przysyła do mnie wszystkich swoich fagasów. Nawet byście nie mieli ochoty słuchać, co ona chce, żebym tatuował tym facetom i na czym. I są różne sekty, kluby, gangi motocyklowe, kto wie, kto tam jeszcze... w tej branży przeważnie się nie zarabia na burmistrzu ani członkach rady miejskiej. Wiecie, o co chodzi.

Devlin i Garibaldi wymienili spojrzenia.

- A dlaczego przychodzą do ciebie?

- Hej, ludzie! Jake jest dla ludzkiego ciała tym, czym Michał Anioł dla sklepienia. Chcecie zobaczyć mój album?

- Są tam któreś z tych symboli?

Jake pokręcił głową.

- Nie pozwolili mi wziąć aparatu. Pytałem o to. Rysowanie tych starożytnych napisów to precyzyjna robota.

- OK - powiedział Garibaldi, podając mu wizytówkę. - Jak dostaniesz następne wezwanie od tych facetów z limuzyną, zadzwoń do mnie na ten numer, jasne?

- A po co miałbym to robić? Nie popełniłem żadnego przestępstwa! Nie chciałbym stracić interesu... Ci ludzie to dobrzy klienci.

Devlin uniósł pytająco brwi.

- Na ile dobrzy? Ile tych tatuaży robisz w ciągu roku?

- Może ze sto albo więcej tych normalnych i jeszcze ze dwadzieścia pięć specjalnych.

- Co znaczy specjalnych?

- Takich z Drzewem Życia nałożonym na Ankh.

- Wiesz, co to znaczy?

286

Jake wzruszył ramionami.

_ Nie wiem, ale ci, którzy go noszą, wyglądają na naprawdę dumnych z siebie. I to są zawsze ci, którzy wyglądają na bogatych i zadowolonych. Wicie, tak jakby to oni mieli wszystko w ręku.

_ A ta druga setka, jak oni wyglądają?

Jake zmarszczył swą szczirowatą twarz.

- Normalnie, powiedziałbym. Tak jak wy i ja.

Devlin uśmiechnął się w duchu na widok miny Garibaldiego. Musiał czuć obrzydzenie na myśl, że łączy go z Jake'em jakieś podobieństwo.

- Słuchaj - nakazał mu władczym tonem. - Zadzwonisz do mnie, jak się z tobą skontaktują, a ja ci to wynagrodzę.

- Jak?

- Nie będę spał po nocach, myśląc o tym, jak cię uchronić przed więzieniem. Możesz mi wierzyć - dodał z uśmiechem.

- Niech pan mi powie, że nie wyglądamy jak ten szcziropodobny sukinsyn - powiedział Garibaldi, kiedy już wyszli na ulicę.

- Ten szcziropodobny sukinsyn mógłby zidentyfikować każdego członka Maa Kheru, gdyby się go odpowiednio przycisnęło.

- Musiałby najpierw mieć przed sobą wystarczająco długie życie, poruczniku. Jak się dowiedzą, że pracujemy nad nim, to mu wsadzą tę igłę od tatuażu tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Rozdział 46

James i Peter szli wzdłuż alei drzew, rosnących wzdłuż rzeki. Peter trzymał ręce zanurzone głęboko w kieszeniach płaszcza i kulił ramiona, broniąc się przed wczesnym wiosennym wiatrem i przed dręczącymi go problemami. Spacer zapewniał im odosobnienie. Potrzebował tego. Potrzebował bardzo rady Jamesa, jego jasnego rozumowania i dobrego serca. Zaczynał czuć, jak niszczą go rozter-

287

ki dotyczące znajomości z Maggie i losów jego kapłaństwa. Nie miał do kogo się zwrócić.

- Całe życie, James - powiedział z wielką powagą - byłem opanowany ogromną potrzebą poznania Boga. Jakimś augustiańskim niepokojem.

- Nasze serca są niespokojne, dopóki nie spoczną w Tobie, o Panie - zacytował jego przyjaciel, a w jego oczach pojawiły się wesołe ogniki. - Powiedziałbym, że to znakomite referencje, jeśli wziąć pod uwagę drogę, którą wybrałeś.

Peter uśmiechnął się blado.

- Znasz moją historię, James. Zawsze rozumiałeś złożoność mojego dylematu. Widziałem Chrystusa zarówno poza Kościołem, jak i w nim. Widziałem go wśród pracujących ciężko świeckich i wśród wschodnich mistyków, i w niesamowitym, oszałamiającym pięknie świata! Ale znalazłem się po przeciwnej stronie Kościoła Chrystusowego, a bez wątplenia obydwie strony nie mogły mieć racji.

Jednak nie mogłem być tego pewny, czyż nie, James? Dlatego, że Chrystus jest w Chrystusie, który znowu jest w Chrystusie. Jest złożony z wielu warstw! Do której z nich należę? I dlaczego te warstwy nigdy nie są zsynchronizowane? Czy ja traciłem wiarę, czy może dokonywałem większego aktu wiary, niż potrafiłem to sobie wyobrazić?

Peter pokręcił głową. Ciężar dawnych problemów na chwilę przyćmił obecny dylemat.

- Teraz jednak odkrywam, że mam nowy kryzys wiary i staram się pogodzić go z tym wszystkim, czego mnie nauczono.

- A twoja Maggie? To ona jest tym kryzysem? - podpowiedział James.

Peter skinął głową, unikając wzroku przyjaciela.

- Wiesz, jeśli mam być szczery wobec samego siebie, to porużyła mnie już przed laty, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz. Przez całe lata po tamtym weekendzie w Fordham pamiętałem jej radość życia i dobroć... tylko ona była tam, jak sądzę, prawdziwie czystym instrumentem.

Ale teraz... nabrała dla mnie innego znaczenia, które dopiero usiłuję zakwalifikować. Jest inteligentna i autentyczna. Podziwiam

288

jej odwagę. Była hartowana przez życie i parzona przez jego płomienie. Przypuszczam, że mógłbym wymyślić i przedstawić ci pół setki powodów, ale żaden z nich nie miałby nic wspólnego z tym, jak się czuję.

Wzruszył ramionami, nie będąc nawet w stanie wyrazić wszystkiego.

- W jakiś niewytłumaczalny sposób uważam, że ona i ja jesteśmy towarzyszami w naszej duchowej podróży...

- Ja też jestem świadomy tego duchowego połączenia między wami, Peter. Widać je we wszystkim, co mi o niej mówisz - powiedział James, zaskakując przyjaciela tym stwierdzeniem. - W moim kraju cywilizacja jest jedynie cienką powłoką, a sam środek pozostał prymitywny, biologiczny. Czasami istnieją magnetyczne zauroczenia... trudne do zrozumienia, i jeszcze trudniejsze do uniknięcia.

W jego słowach nie było osądu, tylko stwierdzenie.

- Ona sprawia, że tęsknię do rzeczy, których nigdy wcześniej mi nie brakowało, James - wyznał zmieszany Peter. - Do ludzkich przyjemności, które mi umykały... dotyku, miłości, rodziny, tych wszystkich codziennych rozkoszy, które postanowiłem odrzucić bez zrozumienia ich ogromu. Teraz tęsknię do wszystkiego, czego sobie świadomie odmówiłem. I muszę wiedzieć, dlaczego tak jest, tak samo jak muszę wiedzieć, jak sobie radzić z tą tęsknotą.

- Być może ona robi z ciebie człowieka, Peter. Może przywraca równowagę, wprowadzając ciało tam, gdzie przez całe życie dominował tylko duch. Nie można ofiarować Bogu tego, co jest dla człowieka nieważne i uważać tego za wielką ofiarę. Może Bóg postanowił pokazać ci wartość daru, który mu złożyłeś, zanim zapyta cię po raz ostatni, czy wytrwasz.

Peter milczał, rozmyślając nad słowami Jamesa.

- Z jakiegoś powodu zgubiłem drogę. Dostrzegam u siebie żą

dzę i żal... podawanie wszystkiego w wątpliwość. Nie jestem w stanie... albo nie chcę oderwać się od tego, co mi zagraża.

Wzruszył bezradnie ramionami.

- Boję się, że jestem uwiedziony w równym stopniu przez moje własne człowieczeństwo, co i przez moje uczucia wobec Maggie.

Nie jestem chłopcem, żeby zejść z drogi z powodu hormonów, Ja-

289

mes. Jestem za stary, żeby mogło mnie uwieść pragnienie szalonych rozkoszy.

Wydaje mi się, że kochając ją, starając się uratować Cody, nie odwracam się od Boga, ale ku niemu. Widzę moje uczucia do niej nie jako upadek w zepsucie, cielesność i świat materialny, ale jako wielce radosne wyrażenie tego, co jest najlepsze w dziele bożym. Och James, James, wkraczam tu na niebezpieczny grunt! Kiedy człowiek zaczyna myśleć o potencjalnym grzechu jako wyrazie czci dla Boga, to wpływa na bardzo zdradliwe wody.

- Ależ masz rację, myśląc, że miłość jest najlepszym wyrażeniem Boga na ziemi, Peter. Jednak musisz pamiętać, że egzamin zdaje się z żeglugi na tych wodach, a nie z błędnej oceny intensywności fali. A kiedy już wszystko zostanie powiedziane i zrobione, mój przyjacielu, to pomyśl, kto wśród nas jest na tyle silny, żeby nie mógł być uwiedziony?

- Czy myliłem się w moich utarczkach z kościołem, James? Czy zostałem oszukany przez Wroga i moją własną dumę? Czy teraz błędnie postrzegam moje miejsce w sprawie Maggie? Ciągle przypominam sobie, że Szatan może dla swoich celów cytować nawet Pismo Święte.

Zapytuję się w ciemnościach: Czy nie jest mi dozwolony jeden grzech cielesny? - wyznał z rozpaczą. - Czy nie mogę grzeszyć, jak każdy inny człowiek, i uzyskać przebaczenia? Czy nigdy nie mam zaznać miłości, nawet przez jeden ulotny moment, a jeżeli nie, to czy mogę naprawdę kochać Boga? Czy są jakieś rzeczy, które można poznać tylko wtedy, gdy się ryzykuje popełnieniem grzechu?

Ból zawarty w głosie Petera jakby zawisnął w powietrzu pomiędzy obydwojma mężczyznami.

- Tylko ty sam możesz odpowiedzieć na to pytanie, Peter - odparł powoli James, znając prawdę. - Niektórzy ludzie spożywają jabłka bezkarnie, a Adam musiał zapłacić za to wysoką cenę. I być może, mój przyjacielu, musisz uważać, żebyś nie powtórzył modli

twy Augustyna: „O Panie, obdarz mnie czystością i wstrzemięźliwością, ale jeszcze nie w tej chwili”.

Peter patrzył przez dłuższą chwilę na Jamesa, a potem odwrócił się i przeniósł wzrok ponad ołowianoszarą rzeką ku nieskończoności.

290

- Spotkasz się z nią, James? - zapytał, odwracając się.

- Bardzo bym tego chciał, Peter. Naprawdę bardzo.

Rozdział 47

- Wypróbuję to na tobie, Gino - powiedział Devlin, kładąc ze znużeniem nogi na biurko.

Był zmęczony, ale umysł miał świeży. Garibaldi widział u niego taką minę na tyle często, żeby wiedzieć, iż ma coś na myśli, i musi to wypowiedzieć na głos.

- Co by było, gdyby okazało się że to całe Maa Kheru nie jest tylko lokalną grupką wariatów przebierających się w kostiumy z Halloween? A jeśli mamy do czynienia z jakimś międzynarodowym kartelem, który wykorzystuje sieć bankową Vanniera i wpływy Saylesa w mediach oraz związki z handlem bronią i wpływy różnych innych prominentnych ludzi, żeby organizować takie wielkie oszustwa, że nikt nie jest w stanie uwierzyć, że są prawdą?

- Coś jak BCCI?

- Dokładnie jak BCCI. Jakie są najbardziej atrakcyjne rzeczy w świecie przemytu?

- Broń i narkotyki.

- Wiemy, że rodzina Saylesa zajmuje się handlem amunicją na całym świecie... i zaczyna wyglądać na to, że Fundacja Vannierów tkwi po szyję w praniu pieniędzy z narkotyków. Więc zobaczymy, jak to wszystko może działać.

Odsunął krzesło i zdjął nogi z biurka.

- Dyktatorzy i narkotykowi baronowie potrzebują miejsca, gdzie mogą zmagazynować forszę i jakiegoś miejsca, gdzie mogą ją wyprać - zauważył Garibaldi.

Devlin skinął głową, krzyżując ręce na piersiach.

- A rządy potrzebują jakiegoś miejsca, żeby trzymać lewe fun
dusze na tajne operacje... nie można w otwarty sposób finansować

291

operacji typu Iran-contras albo przeprowadzić zamachu stanu w jakiejś republice bananowej z pieniędzy podatników, więc może wtedy idzie się do takiego gościa jak Vannier i powierza mu zrobienie porządku w papierach.

Garibaldi skinął głową i dorzucił: - A potem te same rządy, które potrzebują takiego gościa do swoich tajnych operacji, kryją go, więc jak ktoś zaczyna węszyć za blisko, gość wzywa swoich kumpli z jakiegoś CIA czy MI5 i oni uwalniają go od problemu.

Devlin wpadł w ten sam styl.

- A w międzyczasie człowiek się obraca w bardzo wykwinnym towarzystwie. Wśród prezesów wielkich firm i gwiazd rocka albo grubych ryb z Wall Street i megamilionerów. Grube portfele, rozdęte ego i wielkie marzenia o rządzeniu światem.

Więc co by było, gdyby w szeregach tej uprzywilejowanej enklawy istniała bardzo zaufana i elitarna grupka grubych graczy, którzy są zwolennikami tego jakiegoś pseudoreligijnego wariactwa, w ramach którego sprzedali dusze Szatanowi w zamian za osiągnięcie swoich celów?

Garibaldi wzruszył ramionami.

- Nie jest to takie niemożliwe do wyobrażenia, poruczniku... popatrzmy na to wprost: każdy, kto zajmuje się praniem pieniędzy Noriegi albo Husseina, sprzedał duszę Szatanowi, czy tak to nazywa, czy nie. Więc co szkodzi trochę obrzędów i fajnych ubiorów z Halloween, jeżeli to daje wstęp do zamkniętego kręgu gości, którzy naprawdę pociągają w świecie za sznurki?

- A jeśli do tego dochodzi jeszcze pokusa seksu, przemocy, krwi, rozprutych flaków i wielkiego napięcia, i jeśli to wszystko zdaje się działać? - zawtórował mu Devlin. - Pieniądze i władza są coraz większe, kobiety i narkotyki na wyciągnięcie ręki, a jedyną rzeczą, którą się zdradza, żeby urzeczywistnić to marzenie, jest coś, czym i tak się człowiek za bardzo nie przejmował, na przykład dusza.

- O cholera - westchnął Garibaldi. - To wygląda na całkiem możliwe.

- Zgadza się - mruknął ponuro Devlin. - Teraz musimy jedynie to udowodnić.

292

Devlin podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer, który rezerwował sobie na specjalne przypadki. Harry Fisk był porządnym człowiekiem, mimo że pracował w FBI. Devlin znał go od dość dawna, zdarzały im się lepsze i gorsze okresy, ale Harry nie był przyjacielem, do którego by się zwracał bez istotnych powodów.

- Harry - powiedział, kiedy już przebrnął przez różne wstępy -
potrzebuję informacji na temat paru wysoko postawionych gnoj
ków, którzy może są, a może nie są, chronieni przez waszych ludzi.

Pierwszą reakcją Fiska była absolutna cisza, a następnie słowa: - Jestem wolny w porze lunchu około dwunastej trzydzieści. Czy ten lokal, do którego mnie kiedyś zapraszałeś, nadal robi najlepsze cheeseburgery na Manhattanie?

- Cztery gwiazdki w przewodniku Michelina - odparł Devlin,
uśmiechając się do siebie.

Ludzie z FBI z reguły są ostrożni w rozmowie przez telefon. To dobry zwyczaj. Jeżeli się jest od dłuższego czasu detektywem, to na tyle często ma się kontakty z ludźmi z FBI, żeby być ostrożnym przy wymianie informacji. FBI ma komputery, jakich nie ma policja. Czasami już samo to oszczędza cholernie dużo czasu. Bywa, że federalni wiedzą o rzeczach, które mają pozostać nie znane lokalnym służbom policyjnym. To też pozwala na wielką oszczędność czasu. Jednak Harry Fisk nie był informatorem. On był po prostu przyjacielem.

Devlin zerknął na zegar, by zobaczyć, że ma akurat dość czasu na dotarcie do lokalu o nazwie MacGovern's Bar and Grill.

Harry Fisk był dobrze zbudowanym mężczyzną o gęstych, falujących włosach tego samego koloru co włosy Phila Donahue. Wysoki, muskularny i, jak wiedział Devlin, o wiele bardziej niebezpieczny, niż na to wyglądał. Został zwerbowany po Wietnamie i przystąpił do pracy w Biurze, dysponując pokaźną liczbą specjalistycznych umiejętności. Był poza tym znacznie bystrzejszy i sprytniejszy niż wielu chłopaków, którzy przychodzą do Biura z werbunku prosto po studiach.

- Więc czego ci trzeba, Malachy? - zapytał Fisk po paru wstęp
nych zdaniach. -1 kto, jak sądzisz, chroni tych, którym depcesz po
piętach, i przed czym?

W jego postawie dało się wyczuć życzliwe znużenie człowieka który już widział z bliska większość ludzkich słabostek.

- To mi przypomina starą piosenkę z Belfastu, Harry - powie dział Devlin. - „Cokolwiek mówisz, nie mów nic, jeżeli będziesz mówił o tym, no wiesz czym... bo jak wiesz, kto cię powinien usłyszeć, to wiesz, co dostaniesz”.

Harry roześmiał się.

- Czy nazwiska Erie Vannier i Nicholas Sayles z czymś ci się kojarzą? - zapytał Devlin cicho, chociaż w zasięgu jego głosu nie było nikogo.

- I to jeszcze jak. Dlaczego zajmujemy się akurat tymi peretkami?

Devlin przekazał mu starannie zredagowaną wersję wydarzeń. Zawodowcy formułują osąd w oparciu o to, kto pyta, a nie w oparciu o to, dlaczego. Harry Fisk był skończonym profesjonalistą. Słuchał Devlina, kręcąc głową.

- Automatyczna pralnia brudnej pościeli - powiedział w końcu. -
Jeżeli Sekcja Tajnych Operacji wykorzystuje ich w jakimkolwiek stopniu, to będą poza twoim zasięgiem, Malachy. Na świecie dzieje się dość dużo parszywych rzeczy, które muszą być w jakiś sposób finansowane. Zwykle to jest tak: ktoś bogaty i paskudny posiada bank, którego zasoby są gwarantowane przez kogoś jeszcze bogatszego. Zwykle taki bank ma siedzibę w Luksemburgu, a potem otwiera główny oddział w jakimś miejscu, gdzie nikt za bardzo nie przejmuje się prawem. Powiedzmy, w Abu Dhabi, Karaczi czy w Nigerii. Potem taki bank rozsyła informacje do dyktatorów, takich jak Noriega czy Marcos, i do karteli narkotykowych, jak ci z Medellin, i do różnych grup typu Organizacja Wyzwolenia Palestyny, i różnych rejonów, takich jak Libia i Irak, że nie będą zadawali zbyt wielu pytań na temat tego, w jaki sposób klienci zdobyli

swoje pieniądze albo gdzie chcą je wydać.

Następna strona w podręczniku bankowości: do CIA, MI5, Mos-sadu i wszelkich innych rządowych agencji, potencjalnie dokonujących lewych operacji, dochodzą informacje, że będzie zachowana maksymalna poufność i że mogą być nawiązane kontakty na całym świecie, i że nie będą się w to mieszać żadne instytucje kontrolne.

294

Łatwo sobie wyobrazić, że pieniądze zaczynają płynąć całą eką, Harry - stwierdził Devlin - ale jak dokładnie są potem roz-włane i jak to jest, że nikt w oficjalnym świecie bankowym zdaje się nie wiedzieć, co się dzieje?

Harry uśmiechnął się lekko.

_ Podstawowy temat z Harvard Business School, Malachy: robi się podział. Kupuje się dużą firmę przewozową w jednym miejscu i flotyllę samolotów w drugim, a jeszcze gdzie indziej sieć hoteli. Otwiera się oddział na Kajmanach, gdzie wszystko jest tolerowane, i daje cały worek pieniędzy legalnym organizacjom charytatywnym - najlepiej takim, których zwolennicy mają dużo wpływów w kręgach rządowych i bankowych. Kupuje się firmy zależne, a nawet legalne banki w różnych krajach, żeby, jeśli ktokolwiek zechce pytać, można było pokazać, że się ma w radzie nadzorczej jakiegoś Clarka Clifforda.

W końcu, co wcale nie jest najmniej ważne, tworzy się swoją własną grupę do tajnych operacji, żeby zająć się każdym, kto za dużo myśli. Zatrudnia się najemników: nazywa się ich bankowcami, ale przyucza do handlu bronią, łapówkarstwa, szpiegostwa, wymuszania, handlu narkotykami i prowadzenia przesłuchań.

Nie mówię, że w ten sposób działają twoi dwaj chłopcy, Malachy, ale biorąc pod uwagę to, co wiadomo... powiedziałbym, że są spore szanse, że to nie jest dalekie od prawdy. Zobaczą, co uda mi się dla ciebie znaleźć, ale jeżeli to, co robisz, jest naprawdę nieoficjalne, to możesz dobrze dostać po dupie, jeżeli wkurzysz niewłaściwych złoczyńców. I pozwól mi powiedzieć sobie to wprost, nigdy ich nie załatwisz, nawet, kurwa, za siedem milionów lat. Będziesz jak pchła na dupie słonia: niezauważalny trup.

- Dobrze wiedzieć, że jesteś optymistą - odparł Devlin z krzy

wym uśmiechem.

- Chciałeś, żebym szukał, to poszukam.

Porucznik skinął głową.

- Nie mam zamiaru rozbijać Imperium Zła, Harry. Muszę tylko

nazbierać dość brudnych rzeczy, aby policja zechciała się za to za

orać. Będę mógł wtedy na tyle przycisnąć pewnych złych ludzi, że ty wypuścili jedno małe dziecko.

295

Fisk wzruszył ramionami.

- Nawet w Wietnamie, Malachy, zawsze byłeś miękki, jeżeli chodzi o dzieci.

- A znałeś kiedykolwiek gliniarza, który by nie był taki? - Za_ pytał Devlin. - Tacy faceci jak ja widzą, ile wokół jest syfu, ale musi być gdzieś jakieś miejsce, gdzie da się zobaczyć, że wygrywają anioły.

Fisk uśmiechnął się ponuro.

- Zawsze jest dobrze spotkać człowieka, który myśli podobnie,

Malachy... Skontaktuję się z tobą pod koniec tygodnia.

* * *

Kiedy w mieszkaniu Devlina zadzwonił telefon, zegar wskazywał jedenastą trzydzieści. Zasnął na kanapie z książką w ręku.

- Malachy? Tu Harry - usłyszał w słuchawce. - Uważaj na siebie, mały. Mogą być więksi, niż mi się zdawało.

- Co masz? - zapytał już zupełnie przebudzony Devlin.

- Nie wiem jeszcze, ale wygląda na to, że mogą w tym maczać pałce Izraelczycy i może Egipcjanie. Różni ludzie dopytywali się dyskretnie kanałami oficjalnymi i nieoficjalnymi. Co tu się dzieje, Malachy? Czy ten dzieciak jest nieślubnym potomkiem kalifa Bagdadu, czy co?

- Czy co - odparł Devlin i Fisk już nie dopytywał się o szczegóły.

- Skontaktuję się z tobą, kiedy dowiem się więcej.

Mossad, a teraz jeszcze Mohabarat. Oczywiście, to wyglądało logicznie. Egipcjanie musieli wiedzieć o tym prorocztwie, a Izraelczycy musieli wiedzieć wszystko, o czym wiedzieli Egipcjanie. -Cholera - zaklął w myślach Devlin. Ci nowi gracze mogli tylko skomplikować mu życie.

Poszedł do łóżka, zastanawiając się, czy nadchodzi czas, żeby kimś potrząsnąć. A jeżeli tak, to kim.

296

Rozdział 48

czyWy dźwięk dzwonka wywabił Maggie z piwnicy. Była zła, ale godzina ćwiczenia kopnięć i kata oczyściła jej umysł i pozwoliła się skupić. Biorąc pod uwagę, że trzydziesty kwietnia był coraz bliżej i nie było żadnego znaku pomocy ze strony władz, to nauki pana Wonga zaczynały wyglądać na bardziej przydatne niż to, co robili wszyscy inni razem wzięci.

Devlin stał na najwyższym stopniu schodów, czekając, żeby mu otworzyła. Z jakiegoś powodu zawsze wyglądał na młodszego, niż pamiętała go z poprzedniego spotkania.

- O Boże - powiedziała, ledwie łapiąc oddech po ćwiczeniach

i biegu po schodach. - Wyglądam jak przepuszczona przez wyży maczkę. Byliście umówieni?

Otarła pot z twarzy wyćwiczonym gestem i otworzyła szeroko drzwi. Devlin pomyślał, że wygląda bardziej seksownie niż kiedykolwiek przedtem.

- Nie, nie byliście - odparł nieśmiało. - Ale postanowiłem wykorzystać pewne informacje, które zdobyłem, jako pretekst, żeby cię zobaczyć. Myślałem o tobie.

- Trudno w to uwierzyć, biorąc pod uwagę to, jak w tej chwili wyglądam - powiedziała, marszcząc nos. - Chyba że podnieca cię pot, jak tych wszystkich facetów w reklamach butów sportowych.

- To zależy od tego, kto się poci i w jakich okolicznościach - odparł z uśmiechem.

- Więc co takiego odkryłeś?

- To dotyczy Maa Kheru. Może istnieje pewien znawca sprawy... sporo ludzi pamięta reportera, który przez lata zawodowo badał sprawę rzekomego kartelu. Mówią, że cały czas usiłował zainteresować oficjalne gazety i magazyny wszystkimi danymi, jakie zgromadził na temat tych ważniaków, ale nikt nigdy nie zaryzykował opublikowania jego opowieści, bo pomawiały wielu prominentnych ludzi obojga płci. Wygląda na to, że zniknął jakiś czas temu i od paru lat nikt go już nie widział.

297

- Pewnie Erie nakarmił nim rottweilery - powiedziała Maggie z kwaśnym uśmiechem. - Myślisz, że możesz się dowiedzieć, co on wie?

- Najpierw muszę się dowiedzieć, kim on jest i gdzie jest, a potem mogę spróbować - odparł Devlin. -

Mogę też zabrać cię na kolację, jeżeli nie będziesz za ostro walczyła - dodał, spoglądając na jej strój do ćwiczeń i zaczerwienioną od wysiłku twarz.

- Mam lepszy pomysł - odparła. - Mogę zrobić porządny omlet i sałatkę, a ponieważ dzisiaj Maria ma wolny dzień, nie będziemy musieli bić się o kuchnię. Jeżeli byś zechciał pójść po butelkę wina dla siebie, kiedy ja będę brała prysznic i doprowadzała się do porządku, to będziesz mógł mi potem opowiedzieć wszystko, co wiesz o tym reporterze bez zbędnych komplikacji, OK?

- To brzmi pociągająco - odparł.

Zaniepokoił ją cień emocji, który usłyszała w jego słowach. Czyżby pomyślał, że ona go prowokuje?

- Maggie, pokaż mi swoje dojo, zanim się przebierzesz - po
prosił niespodziewanie. - Chciałbym zobaczyć, gdzie ćwiczysz.

Zaskoczona jego prośbą, sprowadziła go na dół do piwnicy. De-vlin nie spodziewał się ujrzeć tak obszernego i dobrze wyposażonego pomieszczenia. Z sufitu zwisał ciężki worek treningowy, a obok niego drugi o kształcie przypominającym sylwetkę człowieka. W jednym z kątów dostrzegł treningowego manekina wing chung, a na ścianie dwie nieźle poobijane treningowe makiwary.

Jedna z bocznych ścian była wyłożona lustrami, a przed nią stał długi na sześć stóp drążek do ćwiczeń tanecznych. Na podłodze leżały różne ciężarki, a obok nich stała ławka do wyciskania.

- Znam zawodowych bokserów, którzy nie mają takich urządzeń do treningu - zauważył z uśmiechem, a ona skinęła potakująco głową.

- To jest w pewnym sensie moje schronienie. Tak jak moja biblioteka. Ale tutaj, na dole, nie dzwoni telefon i czuję się ukryta. Mówiłeś, że pociągały cię sztuki walki, kiedy byłeś studentem... musisz wiedzieć, jak to wciąga.

- Bardzo to lubiłem... szczególnie ćwiczenia praktyczne... takie techniki, jak rozbijanie i obalanie przeciwnika przydają się w mo-

298

jej robocie. Ale trzeba dużo zaangażowania, żeby być chociaż dobrym w tej branży... a ja zawsze miałem na liście priorytetów inne, ważniejsze rzeczy. Jednak bardzo podobały mi się te zalecenia: „rozproszyc się w obliczu przygniatającej siły, tak jak mgła rozprasza się przed smokiem” - zacytował donośnym głosem. - „Zebrać się w słabym punkcie, by rozłupać głaz jak zamarzająca woda”. Maggie uśmiechnęła się, oczarowana jego oryginalnością.

- Naprawdę chciałbym cię pocałować, Maggie - powiedział
nieoczekiwanie, podchodząc tak blisko, że poczuła jego oddech na

policzku i ciepło jego ciała. - Ale myślę, że byś się rozproszyła jak mgła.

Cholera! Powinien był mnie pocałować bez pytania - pomyślała. - Teraz to ja muszę decydować.

- Nie wiem, jak bym sobie z tym poradziła... - wymamrotała, zaskoczona swoją własną reakcją. - Nie mam siły na nic innego, z wyjątkiem ratowania Cody, i Bóg wie, że mogę nie mieć siły na wet na to. Ale, do cholery, na pewno nie zemdleję...

Przerwała zakłopotana. Skąd jej się to wyrwało?

- Fajnie, że sądzisz, że mogłabyś to zrobić - powiedział ze swobodnym uśmiechem.

- O Boże! Wcale nie o to mi chodziło!

- W porządku. Ja też bym mógł.

- Przedrzeźniasz mnie!

- Może troszeczkę. Lubię patrzeć, jak się śmiejesz. Prawdę mówiąc, lubię patrzeć, jak robisz dużo rzeczy - dodał z uśmiechem. - I potrafię myśleć o cholernie większej liczbie rzeczy, których nie widziałem, jak robisz, a bardzo bym chciał zobaczyć.

Maggie zrobiła zaskoczoną minę.

- Ale nie teraz - dokończył szybko, a potem wyciągnął rękę i dotknął palcami jej policzka, tak lekko, że niemal tego nie poczuła.

- Nie? - zdziwiła się.

Devlin zawsze potrafił ją zaskoczyć.

- Nie dzisiaj. Dzisiaj wystarczy mi omlet.

Roześmiała się na głos. Był bardzo sympatyczny, kiedy żartował. Trudno było nie dać mu się przeciągnąć na swoją stronę.

299

- Zachowuję się jak głupiutka szesnastolatka. Proszę, wybacz mi, Dev. Już od dawna nie bawiłam się we flirty, a wtedy też pewnie nie byłam w tym za dobra. Chyba jestem trochę wytrącona z równowagi.

- Prawdę mówiąc, zachowujesz się jak ktoś, kto ma i tak sporo na głowie i nie potrzebuje dokładki, a przynajmniej jeszcze nie w tej chwili.

Skinęła głową z wdzięcznością i odwróciła się, by pójść na górę, on jednak ujął ją za ramię i obrócił ku sobie, by na niego spojrzeć.

- Chcę być twoim przyjacielem, Maggie - powiedział z cichą stanowczością. - Jesteś teraz tak obciążona, że kolejny problem jest ci potrzebny jak migrena. Więc nie dlatego przyszedłem - dodał z prawdziwie zatroskaną miną. - Ale jestem tutaj. I zamierzam zostać. W twoim życiu. Masz to jak w banku.

Kiedy już zjedli kolację i posprząтали po niej, przekazał jej wszystko, czego się dowiedział. Podczas kolacji pomyślała, że we wszystkich swoich sprzecznościach jest taki irlandzki: ponury i melancholijny, a potem zaraz wesoły pomimo trosk.

„Och, ci wielcy Celtowie z Irlandii, to ludzie, których Bóg nazaczył szaleństwem - jak powiedział Chesterton. - Dlatego wszystkie ich wojny są wesołe, a wszystkie pieśni smutne". Właśnie taki był Devlin, ale był też człowiekiem godnym zaufania... co za piękny i już zapomniany archaizm. I było w nim jeszcze więcej. Może o wiele więcej...

Przeszli z kawą do biblioteki i wypili ją przy kominku. Wyszedł niedługo przed jedenastą w nocy, zostawiając ją dezorientowaną i nie rozumiejącą swojej własnej fizycznej i emocjonalnej reakcji wobec niego. Chciała go poznać lepiej... Pragnęła, żeby on także tego pragnął.

300

Rozdział 49

Ojciec James siedział w milczeniu w bibliotece Maggie. Jego potężne ciało wypełniało obity perkalem fotel. Maggie zaniepokoiła się, kiedy Peter uprzedził ją, że tego dnia będzie mu towarzyszył młodszy ksiądz.

- To niepowtarzalny człowiek, Maggie - powiedział jej - i mój dobry przyjaciel. Może dojrzeć coś, co przegapiliśmy.

Spodziewała się, że ojciec James Kebede będzie obserwował ją nieufnie. Był przyjacielem Petera, a ona była jego kłopotem. Jednak wbrew jej oczekiwaniom powitał ją z autentycznym ciepłem. Jego staroświecko uprzejmy sposób bycia w czarujący sposób kłócił się z atletycznym wyglądem. Dostrzegła w nim jakąś ciszę, niezwykle spokojną, który oddziaływał łagodząco na wszystkich w jego bezpośrednim

otoczeniu.

- Dobro i zło, Maggie - rzekł Peter, stając przy kominku. - Po wiemy ci to, co wiemy, albo co myślimy, że wiemy, w nadziei, że ta wiedza może stać się dla ciebie ochroną.

Skinęła głową zachęcająco.

- Myślę, że powinniśmy zacząć od próby zdefiniowania zła - powiedział z pewnością siebie, jak zawsze, kiedy nauczał. - Czy złem są wybryki przyrody? Głód, huragany, erupcje wulkanów? Te wszystkie klęski krzywdzą niewinnych ludzi, czy więc mamy uważać Boga za odpowiedzialnego za ich cierpienie? Podczas egzorcyzmów demoniczna istota, jak wiadomo, usiłuje osłabić swych wrogów opowieściami o podłości Boga, a przynajmniej o jego niechęci do chronienia człowieka przed gniewem natury.

Moralna niegodziwość wydaje się łatwiejsza do zidentyfikowania. Nie potrzeba definicji teologicznej, żeby wiedzieć, iż szwadrony śmierci z Ameryki Centralnej są zbrodnicze, albo żeby wiedzieć o zbrodniach w nazistowskich obozach koncentracyjnych, ludobójstwie popełnionym przez Czerwonych Khmerów lub terroryzmie, niezależnie od tego, jaką kieruje się ideologią. Podobnie jest w przypadku deprawacji - wiemy, że masowi mordercy, sadyści i ludzie molestujący dzieci popełniają okropne zbrodnie. Jed-

301

nak bardziej subtelne zło czasami przenika przez nasz własny system obronny: oportunizm, drobne kłamstwa, zaniechane dobre uczynki...

James wychylił się do przodu, by wtrącić swoją myśl.

- Zło krzywdzi ludzi i sprzeciwia się samemu życiu. Sprzeciwia się cywilizacji i porządkowi. Kłamie, by osiągnąć swoje cele, bo nie jest przywiązane do prawdy. Zło jest tajemnicze i groźne. Na jego ścieżce nic nie rośnie, bo zostawia za sobą pogorzelisko.

- Jednak zło może być charyzmatyczne na swój własny sposób - wtrącił Peter. - W „Raju utraconym” Milтона Szatan był bardziej interesujący niż Bóg. Łotry i szubrawcy bywają fascynujący i urzekający. I rzeczywiście, zło jest stare i znajome, zawsze było z nami.

- Więc co dokładnie robi Bóg, kiedy to wszystko się dzieje? -zapytała zaczepnie Maggie. - Jakie stanowisko zajmuje w tej sprawie?

James uśmiechnął się.

- Jestem dopiero w połowie Księgi Stworzenia, jak powiedział kiedyś pewien brytyjski pisarz o nazwisku Ackerly, i jestem dość oburzony niegodnym zachowaniem wszystkich postaci biorących udział w akcji, łącznie z Bogiem.

Podoba mi się ten ksiądz - pomyślała Maggie, odwzajemniając jego uśmiech. Spogląda na życie z pobłażliwym nastawieniem wieloletniego kochanka.

- Nawet święty Tomasz z Akwinu przyznawał, że istnienie zła jest najlepszym argumentem przeciwko istnieniu Boga - powiedział James. - Ale pamiętaj, zostaliśmy obdarzeni wolną wolą. To nie Bóg pozwala złu na swobodne poruszanie się po świecie, ale człowiek.

Zaiste, Maggie - dodał łagodnie - zawsze wierzyłem w to, iż tajemnica dobra jest o wiele większa niż tajemnica zła. Jest o tyle łatwiej kłamać, oszukiwać i kraść, niż pracować uczciwie, sumiennie i z honorem. Jest łatwiej ulec najokropniejszym grzechom ciała, niż być moralnym, etycznym i umiarkowanym. Łatwiej jest tonąć, niż unosić się na powierzchni, wybrać złą drogę niż dobrą. A jednak, Maggie, biedna ludzkość walczy o to, by budować, a nie o to, by

302

niszczyć. By kochać, a nie nienawidzić. By pielęgnować swe dzieci, a nie czynić im krzywdy. By uzdrawiać, pomagać i dążyć do tego, by być lepszym. I pomimo przeciwieństw, nadal kocha Boga, podejmując te wszystkie wielkie wysiłki.

- Wierz w Boga i czyn dobro, jak mówi poeta - zauważyła Maggie. - Bardzo mi się podoba to, co mówisz, James, ale i tak muszę zadać ci to nierozwiązywalne pytanie: Bóg jest dobrocią, Bóg jest potężny, a jednak zło istnieje. Można pogodzić z sobą każde dwa z tych stwierdzeń, ale nie wszystkie trzy naraz.

- Pewien psychiatra o nazwisku Peck zaproponował prawdopodobną odpowiedź na tę zagadkę - odparł James. - Prawdę mówiąc, był egzorcystą. Powiedział, że Bóg jedynie tworzy, a nie niszczy. Odrzuciwszy niszczącą moc, Bóg, być może, nie jest w stanie zapobiec okrucieństwom, które

wyrządzamy sobie nawzajem, ponieważ ograniczył samego siebie, kiedy dał nam wolność. Może tylko rozpaczać wspólnie z nami. Pragnie oddać nam samego siebie i jest gotów wyczerpać się, by przywrócić nas do dobrego, ale nie może skłonić nas, żebyśmy wybrali postuszeństwo jemu, jeżeli sami tego nie chcemy.

- Jednak obydwaj odprawialiście egzorcyzmy - sprzeciwiła się Maggie - w których Bóg pokonał szatańską obecność. Czy już samo to nie sugerowałoby, że dobro jest silniejsze niż zło, że Bóg jest silniejszy niż Szatan?

Peter skinął głową.

- To prawda, Maggie. Ale musisz pamiętać, że Bóg wykorzystuje nas, biednych śmiertelników, do spełniania jego dzieła, a my jesteśmy żałośnie niedoskonałymi narzędziami.

- Jednak mimo tych wszystkich niedoskonałości, Peter - odparła - jest więcej porządku niż chaosu, więcej przejawów miłości niż nienawiści. My, niedoskonali ludzie, nadal plujemy w twarz tyranom, zabieramy umierające dzieci ze stosów nawozu w Kalkucie, wpadamy do płonących budynków, by ratować całkiem nie znane sobie osoby i zapalamy świeczkę, zamiast przeklinać ciemności.

Wiesz, Peter, im więcej o tym mówimy, tym bardziej uświadamiam sobie, że niepotrzebna mi wiedza o herezjach. Nie są mi po-

303

trzebni homiletycy czy dialektycy, którzy dostrzegają prawdę, gdy się o nią potkną. Gdyby Bóg i dobro nie byli silniejsi i lepsi niż zło, to bym dzisiaj tu nie stała. Dlatego, że źli ludzie nie budują cywilizacji, aleje niszczą. Nie pielęgnują dzieci, aleje dręczą, nie są zdolni do czynów pełnych odwagi i śmiałości, do jakich my jesteśmy zdolni, bo po prostu nie kochają dość mocno. A my tak - przerwała, żeby złapać oddech. - Nie muszę definiować zła, Peter. Mogę je dostrzec na miłą.

James spojrzał Peterowi prosto w oczy. Jego wzrok mówił: „teraz rozumiem.”

* * *

James zaproponował Maggie, że przejdzie się z nią do sklepu, żeby kupić coś na kolację. Peter, który wychwalał uprzednio kulinarne umiejętności swojego przyjaciela, zaoferował swą pomoc w przyrządzaniu wieczornego posiłku, więc Maggie postanowiła zająć się zakupami. Ku jej zaskoczeniu, Maria Aparecida od razu polubiła etiopskiego księdza i z dumą oprowadziła go po kuchni, kiedy usłyszała, że lubi gotować.

- Stańto na tym, dona Maggie - powiedziała, przepędzając

Maggie i Petera z kuchni i biorąc Jamesa pod rękę - że padre i ja

będziemy współpracować.

Podczas zakupów w supermarketach Jefferson Market i Balduc-ci's, Maggie dostrzegła, że James zachwyca się obfitością towarów. Brał do ręki każdy rodzaj owoców i warzyw, jakby to było zarówno świętym obowiązkiem jak i niewysłowioną przyjemnością. Minęło sporo czasu, zanim wybrał potrzebne mu rzeczy, ale nie chciała go popędzać, tak rozkoszował się tą czynnością.

- Chciałeś rozmawiać ze mną sam na sam, prawda, James? - powiedziała w końcu, kiedy już wracali do domu.

- Przejrzałeś mnie - potwierdził żartobliwie. - Muszę przyznać, że po prostu chciałem cię poznać, Maggie, przynajmniej trochę, a sytuacja sam na sam jest najlepsza do tego, nie sądzisz?

- Nie akceptujesz tego, że Peter tak bezinteresownie stara się mi pomóc?

304

- Wcale nie. Uważam, że robi to, co powinien. To, co musi prawdę mówiąc. Peter Messenguer jest niepowtarzalnym przykładem bożego dzieła, Maggie. Musi podążać tam, dokąd wiedzie go jego niezwykły intelekt. A w tym przypadku również jego serce.

Maggie podniosła wzrok, by dojrzeć, że James uśmiecha się nieznacznie.

- Uważam, że ty i Cody zostałyście umieszczone na jego ścieżce w jakimś celu, Maggie. I w tej chwili tylko Bóg wie dokładnie, jaki to jest cel. Peter musi to odkryć.

Przeszli w milczeniu prawie całą przecnicę.

- O co chciałeś mnie zapytać, James? - zapytała w końcu. - Całe popołudnie czułam ukłucia twoich znaków zapytania.

Skinął głową.

- Jeśli nie zdołasz uratować dziecka, Maggie... jak wtedy będziesz się odnosiła do Boga?

- Chyba tak naprawdę nie pozwoliłam sobie nawet na rozważanie takiej możliwości, James - powiedziała z namysłem, nieco zaskoczona tym pytaniem.

Czuła, że jej odpowiedź jest dla niego z jakiegoś powodu ważna.

- Kiedy umierał mój mąż - zaczęła powoli - złorzeczyłam Bo

gu. Przez trzy lata jego choroby dobijałam się do nieba z modlitwami i prośbami, wprost nie mogłam uwierzyć, że Bóg pozwoli tak dobremu człowiekowi umrzeć, bez żadnego powodu i w tak przerażających okolicznościach. Bezsens tego wszystkiego napętniał mnie gniewem. I jego utrata... okropna samotność wdowy... zjadały mnie jak żrący kwas. Potem wstrząsnęło mną odkrycie uzależnienia Jenny i jej zniknięcie. To również mnie przygniotło... czułam się jak współczesny Hiob. „Tak bardzo się starałam, Boże! - wołałam. - Dlaczego mi nie chcesz pomóc? Czego chcesz ode mnie?”.

Jej głos był przepełniony emocjami.

- I potem, jednego dnia, po bardzo długim czasie proszenia o zrozumienie, przyszło mi do głowy, że być może wszystkim, czego On chce, jest poddanie się Jego woli. Problemy i smutek tak bardzo przyczyniają się do rozwoju ducha, chociaż to nie jest to, co

305

chciałoby się dobrowolnie przyjąć, James. W końcu jednak zrozumiałam, że nie można zmienić losu, ale może da się nauczyć z niego tyle, by zmienić samego siebie... i być może właśnie tego Bóg od nas oczekuje. W pewnym sensie, jak przypuszczam, postanowiłam, że nie mogę dopuścić do tego, by śmierć mojego męża była decydującym argumentem w stosunkach między mną i Bogiem. Uśmiechnęła się smutno.

- Nie zostaliśmy postani do łatwej walki, James. Trzeba być odważnym, żeby po prostu przetrwać, a co dopiero wzrastać. Ale naprawdę uważam, że Bóg oczekuje od nas, iż będziemy starali się robić, co tylko się da, niezależnie od przeszkód.

Przerwała na chwilę, żeby się głębiej zastanowić, i ciągnęła:

- To wszystko jest po prostu okrężną drogą powiedzenia następującej rzeczy: wierzę, że Bóg chce, bym walczyła, jak tylko się da, żeby uratować Cody. Jeżeli poniosę klęskę, albo jeśli On wezwie ją do siebie z jakiegoś innego powodu, który wykracza daleko poza moją zdolność pojmowania... dołożę starań, żeby poddać się również temu.

Podniosła na niego wzrok. Jej twarz wydawała się bardzo drobna i krucha.

- Ona była Jego, zanim była moja, James - powiedziała łagodnie.

James Kebede był poruszony słowami Maggie: rozumiał wielkość jej deklaracji wiary i to, ile mogło ją kosztować jej spełnienie.

Sen zaczął się łagodnie, niosąc Maggie na swych falach przez opary czasu. Wierciła się i odwracała z boku na bok wraz z jego ruchem, rytmicznie poruszana przez niewidoczną, a jednak niezaprzeczalną siłę.

Opary czasu rozmyły się: była na dworze królewskim. Faraon siedział na złotym tronie w kształcie wielkich skrzydlatych lwów, otoczony przez dygnitarzy, a jego wojownicy - łucznicy i oszczepnicy - stali rząd za rzędem na baczność w pełnym uzbrojeniu między piaskowcowymi filarami wielkiej sali. Mieli lśniące, namaszczone

306

oliwką ciała, a ich tarcze i hełmy zdobiły szkarłatne pióra elitarnej gwardii faraona.

Obok złotego tronu stał młody mężczyzna. Był wysoki jak nilowe trzciny, które zapewniają cień świętym ibisom, i bez wątpienia wywodził się z linii faraonów. Subtelnie wyrzeźbiony nos i szczęka, ponadprzeciętna budowa ciała, postawa królewskiego syna - wszystko to wyróżniało go jako dziedzica królewskiej władzy.

Był jej obcy, ale równocześnie znajomy. Przyglądała mu się i nasłuchiwała, usiłując zrozumieć, dlaczego napełniają taką niesamowitą tęsknotą.

Młodzieniec mówił, zwracając się do faraona. Dworzanie wymieniali pomiędzy sobą uwagi na temat jego mądrości, a kapłani Ptaha znacząco kiwali do siebie głowami. Śniąca usłyszała, jak mówią, że wkrótce będzie gotów do przekroczenia Otchłani...

Poruszyła się niespokojnie przez sen. Strach zaczynał podpywać do niej, gdzieś tam w świecie ze snu...

Wróciła tam znowu, nie wiedząc dlaczego.

Karaden. Jego królewskie imię brzmiało Snefru, syn Džosera, ale nazywano go Karaden. Mówił, a raczej głośił, tak jakby był o wiele starszy niż w rzeczywistości. A jego postawa: oficjalna, władcza, była jej tak znana...

Peter! Co robi Peter w jej śnie? Nie, to nie mógł być Peter na dworze faraona. To było takie dawne... takie dawne... takie smutne.

Takie smutne... takie dawne...

Maggie otworzyła oczy i zamrugła, usiłując odpędzić sen. Dlaczego te wszystkie dziwne sny tak szybko znikają? Dlaczego były tak ulotne, że zostawały z nich tylko strzępy? Oddałyby wszystko za to, by pamiętać. Mimo że zawsze wywoływały w niej taki smutek.

307

Rozdział 50

Widoczne przez niemal przezroczystą czarną szatę ciało Jenny było wyborne: wysokie, pełne piersi z pobudzonymi brodawkami, wąska talia i łagodnie rozszerzające się biodra, przybrane piękną misterną przepaską ze złotych liści i kwiatów. Jej głowa była przyozdobiona złożonym diademem, oplecionym wygiętym ciałem kobry. Jasne włosy Jenny błyszcząły srebrzyście w blasku świec. Bez wahania podeszła do ołtarza i uniosła oba ramiona ku niebu w pozdrowieniu Sechmet.

Złowrogi posąg bogini o kociej głowie był wyrzeźbiony z czarnego granitu. Blask pochodni odbijał się oszałamiającą tęczą światła w umieszczonych wokół jej szyi i ramion wielkich drogocennych kamieniach. Jenna, która w każdym calu wyglądała na kapłankę Złej Bogini, zajęła miejsce u stóp ołtarza. Czekwała z niecierpliwością, kiedy dostąpi nowego poziomu inicjacji w rytuałach Maa Kheru.

- Nawet ty, Ghania, musisz przyznać, że robiła to w poprzednich wcieleniach - powiedział w głębi kaplicy Erie, obserwując krytycznym okiem zachowanie neofitki. - Nie można nauczyć się tego rzemiosła w pojedynczym wcieleniu.

- Gdyby nigdy przedtem nie była kapłanką, to nie zostałaby wybrana jako Naczynie, dobrze o tym wiesz. Podobnie, gdyby nie zawiodła swej bogini, to nie byłaby teraz tak bezwartościowa.

- Celna uwaga, Ghania. Masz rację, jak zwykle. Ty i ja wybraliśmy naszego Mistrza dawno temu... Jenna znalazła się na jego Szlaku Lewej Ręki wbrew swej woli. Niemniej jednak znakomicie odgrywa dzisiaj swoją rolę. Przyjemnie jest na nią patrzeć, prawda? Bogowie uformowali jej ciało perfekcyjnie, mimo że nie można powiedzieć tego samego o jej duchu - stwierdził i dostrzegając grymas Ghanii, dodał ze złośliwym rozbawieniem: - Zazdrosna jesteś o jej ciało, Ghania. Przyznaj się. Te doskonałe piersi, lędźwie tak dojrzałe do rozkoszy... nie możesz powiedzieć, że nie zazdrościsz jej mojego łóżka.

_ Wiek jest bezlitosnym panem, Erie - odparła zirytowana Ghania - Kiedyś ty też będziesz zazdrościł innym młodości.

- Ale ja byłem twoim faworytem, nieprawda, Ghania? - nie rezygnował jak natrętne dziecko. - A ty naprawdę jej zazdrościsz.

Musisz mi powiedzieć.

Ghania uśmiechnęła się chytrze.

- W tym stuleciu może być najlepszy, ty arogancki chłopcze.

Ale były inne, lepsze stulecia.

Odwróciła się i zostawiła go w upokorzeniu na łasce wszystkowiedzącego uśmiešku Nicholasa Saylesa.

- Możesz posiadać tę starą wiedźmę - powiedział Nicky - ale nigdy jej nie przechytrzysz.

- Mógłbym kazać wyciąć jej serce i usmażyć je na kolację - odparł ponuro Erie.

- To prawda. Jednak nigdy jej nie przechytrzysz.

Śmiech Nicky'ego był bardzo irytujący i Erie pomyślał, że być może pozwolił mu żyć już zbyt długo.

Rozdział 51

Kiedy przybył Gino, Devlin i Maggie już siedzieli w jej salonie. Gino był ubrany w spodnie khaki i sweter, który w jakiś sposób podkreślał jego śródziemnomorską zmysłowość. Wcale nie wyglądał tak, jak Maggie sobie go wyobrażała. Pokręciła głową z szerokim uśmiechem.

- Słyszałam tak dużo o tobie, Gino, że myślałam, iż poznałabym cię na pierwszy rzut oka, ale Devlin zapomniał mi powiedzieć, że wyglądasz jak gwiazdor filmowy.

- Byłabyś zaskoczona, gdybyś wiedziała, jak niewielu ludziom o tym wspomina - odparł Garibaldi ze śmiechem, zaskoczony jej otwartością.

- Jakby się zastanowić - odezwał się Devlin - to może pomysł, żebyście się spotkali, nie był jednak

najlepszy.

- Nie - sprzeciwił się Gino - mamy za wiele do omówienia, żeby nas mogła rozproszyć kolejna ładna twarz. Poza tym, nigdy nie wyglądał pan ładniej niż teraz, poruczniku.

Maggie z ulgą zauważyła, że obydwaj mężczyźni darzą się sympatią. Świadomość tego, że Dev nie jest całkowicie samotny w swych wysiłkach, sprawiała jej przyjemność.

- Więc co masz dla nas, Gino? - zapytał Devlin.

- Dużo rzeczy, które jednak nie wystarczą, poruczniku. Zadzwoiłem do jednego gościa, który zadzwonił do innego gościa, wie pan, o co chodzi, w Agencji Do Spraw Zwalczania Narkotyków, no i podobno przyglądają się naszym gołębkom od dłuższego czasu. W grę wchodzi wielkie pieniądze. Duży kanał przerzutowy ze Złotego Trójkąta przez Indie, wschodnią Afrykę i tak dalej, i tak dalej. Wie pan, jak to leci.

Wygląda na to, że przez rodzinną pralnię Vanniera przechodzi mnóstwo brudnych pieniędzy, ale gdzieś z góry doszedł sygnał, żeby nikt nie przerywał ich działania z powodu czegoś tam ważnego, co się dzieje, dzięki czemu ważniejsze jest, żeby ci szaleńcy byli dalej w biznesie, niż żeby ich z niego wyrzucić. Capische?

Maggie zrobiła zaskoczoną minę.

- Chcesz mi powiedzieć, że Agencja wie, iż Vannier i Sayles siedzą w biznesie heroinowym, i nic z tym nie robi?

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Chcę powiedzieć - odparł Gino - że czasami dla tych ludzi z DEA lepszy jest znajomy diabeł niż diabeł nieznajomy. Poza tym, czasami obserwują jakieś działania przez długi, długi czas, zanim położą na tym rękę. Oczywiście, bywa, że tego nigdy nie robią, bo tak im każe ktoś z góry.

- Czyli kto?

- Ministerstwo Sprawiedliwości, prezydent, FBI, a może CIA. Mnóstwo ludzi. Czasami nawet lokalny prokurator okręgowy, jeżeli ma prawdziwe wpływy. Musisz spojrzeć na to realistycznie, Maggie. Masa drani nigdy nie będzie przyskrzyniona, bo ktoś ich potrzebuje, żeby przerobić jakiegoś większego drania, albo po prostu

310

dlatego, że gdzieś zawodzi system. Dlatego właśnie często my, gliniarze, czujemy się tak, jakbyśmy cały swój czas tracili na przestawianie leżaków na pokładzie Titanica.

Gino rozsiadł się wygodnie i spojrzał na Maggie.

- Nie mogłem się doczekać spotkania z tobą - powiedział ze szczerym uśmiechem. - Wierz w to albo nie, ale ten tu porucznik jest zwykle całkiem przytomnym facetem. Chciałem zobaczyć, co za kobieta mogła go skłonić, żeby w całkowitej samotności stawiał czoła Vaderowi i Ciemnej Stronie Mocy.

- Przepraszam, że wciągam was w coś tak niebezpiecznego - odparła z troską Maggie. - Absolutnie nie miałam pojęcia, w co was angażuję, i całkowicie bym zrozumiała, gdybyście zwiali od tego jak najszybciej.

Gino przyglądał się jej przez chwilę, by ocenić, czy mówi szczerze, i stwierdził: - Ma pan rację, poruczniku. To sympatyczna kobieta.

Dopiero wtedy rozluźnił się naprawdę.

- Wiesz, co? - powiedział, nachylając się ku niej. - Może po wiesz mi coś o tym dziecku, o którym wszyscy myślimy... musi być naprawdę szczególne...

Rozdział 52

Ghania wyjęła mysz z kieszeni swojej dżelabii i trzymając ją za ogon, przysunęła zwierzątko do twarzy Cody, a potem pozwoliła mu wdrapać się po swojej ręce i przysiąść na ramieniu. Tego ranka była w wyjątkowo dobrym nastroju. Cody widziała, że Ghania ma chęć do zabawy. Wydawało się to tak nieprawdopodobne, że napełniało ją niepokojem.

Czuła teraz jakieś odurzenie od nieustannego, na zmianę, rugania i miłych słówek, którymi Ghania obdarzała ją bez żadnego widocznego powodu. Na początku usiłowała unikać prowokowania

311

tych okropnych napaści, które powodowały ból, ale bezskutecznie. Jedynym wyjściem było schować się głęboko w samej sobie, tam, gdzie była bezpieczna w światłości. Ta światłość stawała się coraz mocniejsza i czasami Cody wydawało się, że ktoś tam mieszka. Ktoś dobry.

- Możesz pobawić się z myszką - powiedziała wiedźma z po błazniwym uśmiechem. - Jest bardzo łagodna i bardzo inteligentna.

Cody wyciągnęła ostrożnie rękę i zdjęła maleńkie różowoszare stworzonko z ramienia Ghanii. Mysz wywinęła się z jej dłoni, spadła na kolana i przebiegła przez ławę tak szybko, że dziewczynka nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Potrafisz rozmawiać z małymi stworzeniami, takimi jak ta

mysz. Masz dar - powiedziała Ghania i Cody podniosła na nią za skoczone spojrzenie. - Musisz słuchać uważnie, kiedy one są blisko, i musisz wyciszyć swój umysł do słuchania, bo one mówią ci cho. Usłyszysz ich myśli, jeżeli zrobisz tak, jak mówię.

Cody pokręciła głową z powątpiewaniem.

- Nie? - zdziwiła się Ghania. - Nie sądzisz, że tak jest? No cóż, ja wiem lepiej!

Wydęła usta w obrażony grymas.

- Nie pamiętasz swojej magii - powiedziała w końcu, tak jak by ten fakt napełniał ją smutkiem.

Cody zamrugnęła oczami.

- Jakiej magii?

- Tej, która jest w twojej duszy, maleńka. Jest bardzo duża, bardzo potężna, ale zapomniałaś, jak jej używać.

Cmoknęła z żalem.

Mina Cody wyrażała zaintrygowanie.

- Nie znam żadnej magii.

Ghania uśmiechnęła się szeroko.

- Ależ znasz, dziecko! Naprawdę znasz. Właśnie dlatego Ghania cię ćwiczy... dlatego w ogóle Ghania zaprzęta sobie tobą głowę! Masz wiele magii... ja nie zawracam sobie głowy zwykłymi dziećmi.

- Nie? - zapytała Cody, myśląc przy tym, jak byłoby dobrze, gdyby Ghania nie zawracała sobie już nią głowy.

312

_ Nie, dziecko - zapewniła ją Ghania w nadzwyczaj dobrotliwy sposób. - Umiejętności Ghanii są tylko dla tych Specjalnych.

Cody zmarzył szczyła brwi, ale nic nie powiedziała. Widywała już umiejętności Ohanii. Nawet jeżeli

Ghania udawała dzisiaj, że jest miła, to nie znraczyło, że jest miłą osobą.

- Chciałabyś się dowiedzieć o swojej magii? - nie ustawała Ghania i dziewczynka skinęła niepewnie głową.

- Więc powiem ci, co masz robić, maleńka. Musisz uspokoić całkowicie swój umysł, a potem sięgnąć głęboko do swego wnętrza, do sekretnych miejsc. Jeżeli dobrze się przypatrzysz, to zobaczysz tam rzeczy, które sprawią, że sobie przypomnisz.

- Jakiego rodzaju rzeczy?

Ghania roześmiała się, a Cody zadrżała na dźwięk jej głosu. Zazwyczaj śmiech Ghanii zwiastował coś przykrego.

- Każdy widzi w głębi różne rzeczy, dziecko - niektórzy widzą demony, a inni widzą anioły. Ty masz rzadką moc widzenia jednych i drugich! Najłatwiej zobaczyć je, kiedy jest się skrzywdzonym lub przerażonym. Dlatego Ghania czasami robi ci takie rzeczy. Ghania ciebie krzywdzi, żeby pomóc ci odnaleźć swoją magię.

Cody cofnęła się instynktownie.

- Nie dzisiaj, dziecko. Nie bój się - powiedziała Ghania z wszystkimiedzącym uśmiechem. - Dzisiaj nie będzie bólu. Ale w dawnych czasach Starych Bogów trzeba było przejść wiele cierpienia, zanim nadchodziła magia. Ja sama leżałam pogrzebana przez trzy dni w mrowisku, zanim moja magia ostatecznie się uformowała...

Pokręciła głową na to wspomnienie.

- Czy mrówki cię nie gryzły? - zapytała zafascynowana i jednocześnie przerażona Cody.

- Gryzły mnie i włożyły do oczu i uszu... nie mogłam oddychać ani patrzeć. Nie mogłam krzyknąć, bo myślałam, że wtłoczą mi się

do ust i zabiją mnie...

Widać było po jej twarzy, że przeżywa wspomniane okropności.

- Ale magia nadeszła - powiedziała w końcu dziwnym, ściszo

nym głosem. - Magia nadeszła.

313

-Nie chciałabym, żeby nadeszła w ten sposób! - zawołała Cody. - Żadnej magii! - dodała zdecydowanie, jakby chcąc ją od siebie odpędzić.

- Przyjdzie też i do ciebie, malutka - zapewniła bezlitośnie Ghania tonem bliskim współczucia, jakiego Cody jeszcze nigdy u niej nie słyszała. - Jesteś pojmana przez magię, która jest w tobie, tak jak ja byłam pojmana przez moją. Być wybranym przez bogów to najokropniejszy los ze wszystkich.

Rozdział 53

Malachy Devlin obserwował kobietę, w której czuł się coraz bardziej zakochany, gdy siedziała obok niego na parkowej ławce, jedząc hot-doga. Zauważył, że zaproszenie na kolację wywoływało u niej nerwowość, niepewność, ale kiedy wpadał do niej o dziwnych porach, albo dzwonił i zapraszał na krótki spacer, by mogli porozmawiać, nie wzbudzało to w niej odruchu obronnego. Wiedział, że w końcu pokona jej opór. Cechował go typowy upór policjanta i wiedział, że ona go potrzebuje, choć może jeszcze tego nie rozumiała. Prawdziwym problemem był natomiast ten ksiądz. Coś się między nimi działo, nawet jeżeli była to sprawa ducha. Ale to musiało się skończyć w taki czy inny sposób. Devlin odnosił się do rzeczywistości z policyjnym pragmatyzmem.

- Skąd się dowiedziałas o seksie, Maggie? - zapytał, zaskaku

jąc ją.

Lubił to robić. Było coś takiego w jej spontanicznej szczerości podczas odpowiedzi, co przywracało mu wiarę w świat.

- „Rubajjaty” Omara Chajjama - odparła, uśmiechając się po między kęsami hot-doga. - Mogłabym ci pokazać dokładnie tę stronę, która na zawsze zmieniła moją cielesną wiedzę.

Devlin uniósł kącki ust w chytrym uśmiešku.

314

„Ruchomy palec pisze - zacytowała z wymownym gestem -i napisawszy, przechodzi dalej: ani twoja pobożność, ani spryt nie zwabią go z powrotem, by wykreślił pół wiersza. Nawet wszystkie twoje łzy nie zmyją z niego ani słowa". Wiedziałam od razu, jak otworzyłam tę książkę na tej właśnie stronie, że zmieni wszystko...

Uśmiechnęła się, jak lubiące psoty dziecko.

- Obrazek dokonał równie wiele, jak i słowa, Dev. Kobieta na drzeworycie była ułożona na wielkiej Księdze Losu, a cała strona była usiana jej grzechami. Byłam w stanie dosłownie posmakować jej rozpacz... jej włosy rozlewały się bezładnie, a bezradne palce chwyciły tę skażoną kartkę. Mój Boże! - powiedziałam do siebie samej. -Więc tak wygląda twój Wieczysty Zapis. Nic dziwnego, że siostra Benedykta tak się tym martwi. Pamiętam, jak chwyciłam tę książeczkę spoconymi dłońmi i schowałam się za półkami, na których stały książki na ostatnie litery alfabetu, ponieważ nikt tam nigdy nie chodził, i czytałam dalej.

- A w jaki sposób dowiedziałas się z tego o seksie? - roześmiał się rozbawiony i zaciekawiony.

- Widzisz, pragnęłam wiedzy o sprawach ciała pomimo tego, że ludzie w mojej rodzinie zdawali się go nie mieć. To znaczy, ojcowie i matki byli widziani i dotykani tylko przez ubranie - wiesz, jak te chińskie lalki, których głowa i ręce są zrobione z innego materiału niż to, co jest w środku. Ale tam, w „Rubajjatach", lubieżni mężczyźni z butelkami wina w rękach dotykali piersi kobiet! Śmierć z kosą skradała się do młodych kochanków leżących na trawie. Nadzy mężczyźni i kobiety dotykali się nawzajem, Dev. Na tych kartkach było samo życie. I dostrzegłam, że ciało jest kluczem do niego.

Jak bardzo pragnął ją objąć. Dotknąć jej ciepłych, miękkich miejsc i leżeć wplątany w jej słodycz. Była w niej taka niewinność, pomimo jej inteligencji, wieku, doświadczenia i doznawanego obecnie cierpienia.

- Wiesz co, Maggie? - powiedział z taką delikatnością w głosie, jakiej jeszcze nie słyszała - chciałbym ci dawać różne rzeczy.

- Co za rzeczy? - zapytała, połykając ostatni kęs hot-doga.

- Dokładnie nie wiem. Zwariowane rzeczy. Morskie sny. Polne kwiaty w glinianych doniczkach. Spokój ducha. Samego siebie.

315

Uniosła głowę i spojrzała na niego uważnie. Było w nim coś tak uroczego. Nie, to nie było to, o czym chciała myśleć... a może jednak tak?

Chciała odpowiedzieć, ale Devlin uniół ręce, by ją powstrzymać.

- Wiem. Wiem. Żadnych komplikacji. Nie teraz. Ale pamiętaj, co ci powiedziałem - uśmiechnął się nagle młodzieńczo - mam zamiar

być twoim najlepszym przyjacielem, nawet wbrew twojej woli.

Nie mogła zareagować inaczej, tylko śmiechem. Gdyby sprawy miały się inaczej... Nie! To było niepoważne. Kochała Petera, a przynajmniej czuła do niego coś bliskiego miłości. Nie można kochać dwóch mężczyzn naraz. Może więc nie kochała żadnego z nich? A poza tym fakt, że nie musiała kochać Devlina, sprawiał, że nie istniało między nimi żadne napięcie. Nie było żadnego niepokoju, żadnych forteli, żadnych pragnień, które nie mogłyby być spełnione, tylko szczerą przyjaźń. Potrzebowała tego. Tak łatwo było z nim rozmawiać i zawsze doprowadzał do tego, że się uśmiechała. Boże, jak potrzebowała czegoś radosnego w swoim życiu, po to tylko, żeby pamiętać, iż coś takiego jest możliwe...

- Postuchaj, Maggie - powiedział, jakby czytał w jej myślach -
bardzo mi się podoba Ellie i może nawet ten ksiądz ma swoje Zalety,
choć pręcej mnie szlag trafi, niż wpadnę na to, jakie one są. Ale
religia i metafizyka nie przyskrzyni sukinsynów, którzy mają Cody.
Natomiast dobre, staroświeckie procedury policyjne mogą tego do
konać. Więc mam zamiar pokręcić się koło tego przez jakiś czas.

I powiem ci, co jest najważniejsze, Maggie O'Connor, mój ulotny motylku. Pierwszą rzeczą, którą mam zamiar zrobić, jest dorwać tych sukinsynów, którzy zabijają dzieci, żeby zaspokoić swoje zboczone żądze. Potem oddam Cody tobie. A jak już to wszystko zostanie zrobione... - uśmiechnął się niespodziewanie, a jego ciemne oczy rozbłysły wesoło w zmęczonej twarzy. - Jeżeli będziesz tak cholernie głupia, żeby nie zakochać się we mnie, to nie ja będę temu winien.

Maggie poczuła, jak wilgotnieją jej oczy. Odwróciła głowę, żeby odzyskać panowanie nad sobą. Było w nim zawsze coś takiego, co napełniało ją nadzieją.

316

Około pół godziny po tym, jak odprowadził ją do domu, znalazłami- wsunięty pod drzwiami wejściowymi kawałek papieru. Rozwinęła B° ' zobaczyła energiczne pismo Devlina:

Bądź tak miła i powtarzaj dziesięć razy dziennie To, co jest tu napisane, aż odezwę się znowu: Nic nie jest zbyt dobre, żeby było prawdziwe, Nic nie jest zbyt dobre, żeby mi się mogło zdarzyć. Nic nie jest zbyt dobre, by trwać na wieki.

Rozdział 54

Słońce przynosi odrodzenie - pomyślała Maggie, idąc spieszenie w kierunku Bleecker Street skąpaną w blasku porannego słońca Szóstą Aleją.

Była na mszy o siódmej u Świętego Józefa, by pomodlić się o pomoc w rozeznaniu się w tym labiryncie. Teraz potrzebowała, by jej ktoś posłuchał, a że Ellie była dobrym słuchaczem, wstąpiła do piekarni, żeby kupić dla niej słodkie drożdżówki. Przyjemne zapachy wypełniające piekarnię poprawiły jej nastrój. Przypomniała sobie, jak chodziła z ojcem na poranną mszę i jak przynosili potem ze sobą drożdżówki w papierowych torebkach... ciepłe, maślane wspomnienia radości, bliskości i miłości. O Boże! Jakie wspomnienia będzie przywoływała Cody po tym wszystkim? Czy w ogóle będzie jakieś „po wszystkim”?

Dotarła spieszenie do domu Ellie, pragnąc porozmawiać z jakimś mądrym przyjacielem.

Kiedy weszła do jej mieszkania, poczuła wypełniający je intensywny aromat europejskiej kawy. Podała jej drożdżówki, dostrzegając z przyjemnością, że w kominku pali się ogień.

- Jedynie my we dwie jesteśmy na tyle stuknięte, żeby palić w kwietniu w kominku - stwierdziła z uśmiechem, gdy Ellie podała jej parujący kubek.

317

- Nieprawda! Facet od drewna mówił mi, że marzec jest jednym z dwóch najbardziej ruchliwych miesięcy w jego interesie, bo wszyscy tacy twardziele jak my przygotowują się na zimne nocy i poranki, które mogą jeszcze nastąpić.

Usiadły blisko ognia.

- Więc co cię sprowadza o tak wczesnej porze, że koguty prawie się jeszcze nie obudziły?

- Potrzebuję porozmawiać, Ellie - odparła Maggie. - Mam w głowie tyle rzeczy, które potrzebują uporządkowania... myślę, że muszę spróbować zobaczyć się z Cody, niezależnie od tego, jakie to będzie trudne. Mogę nawet stać na trawniku Vanniera i rzucać kamykami w okno jej pokoju; każdy nerw podpowiada mi, że ona musi wiedzieć, że jej nie zapomniałam. Zmęczyło mnie już poczucie bezsilności i czekanie, że ktoś inny coś zrobi.

- Myślałam coś w tym samym stylu, Mags. Ale mam przeczucie, że najłatwiej by ci było wydobyć ją w noc Walpurgii, podczas ich uroczystości.

- Dlaczego tej nocy? Przypuszczam, że będzie wtedy bardziej chroniona niż kiedykolwiek.

Ellie pokręciła głową bez przekonania.

- Nie wiem, Mags. Będą mieli Wielki Sabat, a wtedy zwykle jest cholernie dużo zabawy. Może nawet orgie, żeby wzmocnić prą

dy. Może dużo różnych rzeczy. Przypuszczam, że urzędzą wielkie przyjęcie, a na przyjęciach zawsze się pokazują i znikają jacyś ludzie... jacyś dostawcy jedzenia... dużo służby. Będą potrzebowali do tego rytuału trzynaścioro Adeptów... jeżeli mają małżonków, to już daje dwadzieścia sześć osób. W dodatku będą wszelcy ważni członkowie ich sekty. Możliwe, że zechcą pochwalić się swoją zdobyczą i mocą, jaką ona im daje, tak wielu współwyznawcom, ilu się da. Poza tym, będzie nam sprzyjał element zaskoczenia. Jeśli doszli tak daleko i nie napotkali oporu, mogą się poczuć pewni siebie i myśleć, że są niezwyciężeni.

Maggie zastanowiła się chwilę i pokręciła głową.

- Ja nie mogę czekać do trzydziestego, Ellie. Może masz rację, może nie będziemy w stanie wydostać jej aż do tego czasu, ale ja przynajmniej muszę spróbować teraz ją zobaczyć. Doprowadza

318

mnie do szału to, że nie mogę dodzwonić się do niej i mam coraz bardziej zwariowane koszmary. A sama powiedziałaś, że moje sny są prawdziwe.

- Czas i przestrzeń nie ograniczają duszy we śnie, Mags. Tak właśnie dochodzi do prekognitywnych snów, szczególnie w przypadku kogoś takiego jak ty, który przyniósł w obecne wcielenie umiejętność podróżowania poza swym ciałem.

Ellie spojrzała Maggie w oczy.

- Naprawdę musisz przed trzydziestym dotrzeć do sedna tego wszystkiego, Mags - powiedziała bardzo poważnie. - Musisz przejść regresję wcieleń, żeby rozwikłać całą tę historię.

Maggie skrzywiła twarz w grymasie nie skrywanej niechęci.

- Posłuchaj mnie, Mags. Myślę, że musimy zebrać więcej informacji, zanim wykonamy następny ruch. Erie, Jenna, Cody, ty, ja... nikt z nas nie jest tutaj przypadkiem. Pomogłoby nam to, gdybyśmy się dowiedzieli, co tak naprawdę się dzieje. Potrzebujemy każdego atutu, jaki się nam uda zdobyć. Odrobina orientacji nie byłaby najgorszą rzeczą. Znam paru ludzi, którzy specjalizują się w przeprowadzaniu regresji.

- Wybacz mi, Ellie... wiesz, że powierzyłabym tobie moje własne życie czy życie Cody, ale nie mogę ryzykować, że ktoś zasieje mi w głowie jakąkolwiek osłabiającą mnie myśl. Hipnoza śmiertelnie mnie przeraża, a hipnotyzer dokonujący regresji za bardzo pachnie historyjką z brukowej prasy.

Ellie zamyśliła się.

- Więc nie idź do hipnotyzera. Idź do prawdziwego psychiatry - hipnoterapeuty. Jest stowarzyszenie psychiatrów, gdzie pełno takich ludzi. Na pewno Amanda mogłaby znaleźć kogoś takiego na jej nie mającej końca liście znajomych.

- Pomyślę o tym - powiedziała niepewnie Maggie. - Obiecuję ci, że pomyślę.

- Nie ma już czasu na myślenie, Mags - stwierdziła twardo Ellie. - Czas działać.

Jasność jest kuszącą perspektywą - pomyślała Maggie po wyjściu z mieszkania Ellie. Gdyby wiedziała więcej, to może pojawiłoby się jakieś rozwiązanie. Rozmyślała o różnych możliwościach

319

przez kilka godzin, zanim zadzwoniła do Amandy z prośbą o rekomendację. Niemal miała nadzieję, że będzie to jedyny moment w historii, kiedy Amanda powie, że nie zna kogoś, kto zna kogoś jeszcze.

* * *

Po wyjściu Maggie Ellie zamknęła drzwi na klucz, odłączyła telefony i rozebrała się. Robiąc to, modliła się, wyciszając swój umysł i serce, prosząc o pokierowanie i oczyszczenie. Nadeszła pora na to, by sama poszukała pewnych odpowiedzi.

Zastanowiła się przed kąpielą, rozważając, której wonności dodać do wody. Sól i soda usunęłyby wszelką negatywność, która mogła przywrzeć do jej aury, podobnie jak ocet. Imbir powstrzymałby wszelką złą energię, która mogła unosić się w mieszkaniu. W końcu wybrała olejek cedrowy... stare indiańskie remedium powstrzymujące złe intencje innych. Jej zadanie było zbyt poważne, by mogła ryzykować inwazję wrogich sił.

Następnie równie poważnie przemyślała wybór stroju. W zamkniętej zawsze na klucz komodzie znajdowały się szaty w różnych kolorach: każdy z nich pasował do innej magicznej czynności. W końcu zdecydowała się na fiolet, ponieważ równoważył błękit sprawiedliwości z czerwienią miłosierdzia, a było

oczywiste, że obydwie te wartości muszą być obecne w tym, czego się dzisiaj chciała dowiedzieć. Wyjęła długą fioletową szatę z miękkiego lnu, naciągnęła ją na nagie ciało i wzięła czarny ceremonialny sznur, na który założyła dawno, dawno temu po wielu latach wytężonych ćwiczeń.

Przesunęła nabożnie palcami po sznurze, który stanowił jej magiczną opaskę. Wewnętrzne znaczenie jego złożonej symboliki zawsze ją poruszało.

„Ten magiczny sznur tworzy bezpośredni krąg, w którym jesteśmy umieszczeni przez naszą własną wolę - powiedziała jej babcia--Rosjanka, przewijając ją nim w pasie. - Jego pętla to Ankh wieczności, a wolny koniec łączy cię z innymi ludzkimi i boskimi istotami w wielkim łańcuchu życia. Za jego pomocą jesteśmy wy-

320

noszeni do góry przez przewyższającą nas inteligencję; my też mamy obowiązek używać naszej siły, by podciągać tych, którzy są poniżej nas i którzy potrzebują naszego wsparcia. Ta magiczna opaska jest pępowiną, która łączy cię z boską matką Ilianą. Noś ją tylko w prawdzie i honorze”.

Ellie przepasała szatę i ułożyła ją w regularne fałdy.

„Ubierając się odpowiednio do ceremonii, dziecko - mówiła jej ukochana babuszka - oblekasz szatę podróżnika po innym świecie... świecie ducha. Nosząc ją, możesz domagać się dostępu do Wewnętrznych Sfer. Kiedy go uzyskasz, możesz głosić się członkiem, chociaż pokornym, Świętych Tajemnic. Dzięki temu możesz domagać się przyznania szansy na to, byś mogła przyczynić się do wielkiego dzieła, w które jest zaangażowana Społeczność Światła. Ale nie zapominaj nawet na chwilę, że będziesz obserwowana przez swoich Duchowych Zwierzchników i będziesz oceniana ich rygorystyczną miarą”.

Ellie zdjęła nabożnie z komody wielką muszlę morskiego ślimaka i napełniła ją wiórami z cedru i krzewiastej bylicy, a potem dodała kawałek splecionej w warkoczyk słodkiej trawy. Podpałiła tę mieszankę świeczką i zaczęła wachlować ją delikatnie orlimi piórami, które dała jej do tego celu druga babka - Irokezka. Roznieciła mały płomień, tak że zajęły się wszystkie trzy substancje, a kiedy go zdmuchnęła, gęsty i aromatyczny dym wyłynął obficie z muszli.

- Pozdrawiam cię, o Wielki Duchu, mocą żywiołów! - zawołała melodyjnie, unosząc nad głową dymiącą muszlę. - Muszla z wody; bylica, cedr i słodka trawa z ziemi; dym do oczyszczenia powietrza i płomień, który łączy je w jedno - wyśpiewała z uczuciem. -Pozdrawiam Strażników Czterech Stron Świata i proszę o ich pomoc! - wołała. - Niech będzie wiadome, że na cztery strony świata poszukuję Drogi Światła! Niech zapanuje pokój pomiędzy mną 1 Wschodem. Niech zapanuje pokój pomiędzy mną i południem. Niech zapanuje pokój pomiędzy mną i zachodem. Niech zapanuje pokój pomiędzy mną i północą.

Nadal monotonicznie śpiewając, skierowała wachlarzem gryzący, oczyszczający dym w każdą stronę świata. W przeciągu wielu lat

została wprowadzona w wiele systemów magii z różnych stron świata, ale szlak jej babki, Tej, Która Chwyta Tęczę, nadal miał szczególne znaczenie.

- O Wielki Duchu - zawołała - przez moc Świętego Dymu wzywam cię, byś oczyścił to miejsce czci. Ojczematko Boże, proszę cię o błogosławieństwo dla ceremonii, która się tu odbędzie.

Oczyść me duszę i ducha.

Oczyść me serce.

Oczyść mój wzrok, żebym widziała tylko prawdę.

Naucz mnie, czym jest twój honor.

Przyrzekam tobie na życie,

że będę szanować twe nauki,

że będę służyć tobie,

że będę ci składać dzięki,

że zachowam w tajemnicy to, czego się dowiem.

Potem wezwała czterech potężnych archaniołów, którym Bóg powierzył obronę Strażnic Stworzenia: Rafaela, Michała, Gabriela i Uriela. Zwróciła się do każdego z nich, recytując litanię ich świętych imion i prosząc, by pozwolili jej na opuszczenie jej ziemskiego ciała i odbycie bezpiecznej podróży do Wyższych Dziedzin.

Kłaniając się w każdym kierunku, ustawiła w każdym głównym punkcie zwężającą się do góry świeczkę. Należące do niej uświęcone przedmioty spoczywały teraz przed nią na ołtarzu. Liczący kilka wieków srebrny kielich, przywieziony z Rosji przed rewolucją. Nóż o rękojeści z rogu w pochwie uplecionej z rzemienia z jeleniej skóry, który był zabierany na bitwę przez jej dziadka, a przed nim przez jego ojca. Różdżka wycięta jej własną ręką z rażonego piorunem krzewu leszczyny. Pięciobok ozdobiony wygrawerowanymi zawiłymi znakami, które niewielu na ziemi było w stanie odczytać. Woreczek z amuletami, które zostały przez nią starannie zgromadzone w okresie samosprawdzania przed Poszukiwaniem Wizji. Kryształowa kula, którą umieszczono w jej kołysce podczas narodzin.

Ellie była szamanką plemienia Irokezów, Magiem Wysokiego Stopnia i Kobiętą Tęczy. W obecnym ziemskim wcieleniu nazywa-

ła się Iliana Petrovich, ale jej bardzo stara dusza zamieszkiwała w przeszłości w wielu różnych osobach.

Tego wieczoru miała odszukać swoje miejsce w tajemnicy Amuletów. Miała to być bitwa bogini, więc pomoc bogów nie miała tu wielkiej wartości. Musiała szukać jedności z żeńską istotą wszechświata za pomocą sposobów, które były tajemnicą od początków istnienia.

Wkraczając w Ciszę nie wiedziała, czy przeżyje następne dwadzieścia cztery godziny.

* * *

Po powrocie od Ellie Maggie chodziła niespokojnie po swojej bibliotece. Czuła się jak w klatce: uwięziona przez niemoc, niezdolna do udzielenia pomocy Cody, niezdolna nawet do panowania nad własnym umysłem. Sny dotyczące Egiptu wkradały się w jej myśli nawet podczas dnia. Już cztery razy doznała takiego wrażenia, jakby grunt poruszał się jej pod nogami, ciskając nią przez zastonę czasu w jakąś niesamowitą bilokację.

Najpierw widziała, jak jej ręka przeistacza się w cudzą... potem te przeklęte dzwony powtarzały swój niesamowity dźwięk, a ostatniej nocy, kiedy stała w kuchni, trzymając szklanek z galaretką, naczynie przepoczwarzyło się w złoty pucharek pełen jakiegoś magicznego eliksiru. Już wtedy miała dość, ale jednak dzisiejsze przeżycie przekroczyło wszelkie granice. Kiedy była w połowie drogi od Ellie, poczuła, że dokonuje się przesunięcie rzeczywistości, które porywa ją w jakiś załomek czasu. W jednej chwili przechodziła obok Ashby Studio przy Cornelia Street, a zaraz w następnej znalazła się w podziemnej jaskini oświetlonej przez pochodnie. Nawet temperatura wokół niej spadła nieprzyjemnie, a na swych niemal nagich biodrach poczuła ciężar obejmującego ją złotego pasa.

Była w labiryncie, w jakimś starożytnym miejscu, gdzie poddano ją egzaminowi... ale przez kogo? W jakim celu? I dlaczego dzisiaj? Czuła w sobie strach i skrajną koncentrację, ale też pewność siebie. Po chwili załomek czasu wyprostował się, uczucie zim-

323

na zniknęło, a ona sama znalazła się na powrót na Cornelia Street opodal skrzyżowania z Szóstą Aleją. Coś stamtąd przyniosła-jakiś inny rodzaj pewności siebie. Nie potrafiła tego nazwać inaczej. Była przestraszona, ale wzmocniona, tak jakby wiedziała, że czeka ją ciężki egzamin, ale też, że została do niego przygotowana. Jak olimpijczyk, który szykuje się do ataku na złoto, wiedząc, że to nie jest niemożliwe...

Może zaczynało się jej mieszać w głowie? Cały ten stres, niepokój... Strach o Cody. Może to ją wytrąciło z równowagi? Może ludzie, którzy postradali zmysły, nie zdają sobie sprawy z tego, że są szaleni? Muszę się wziąć w garść - postanowiła.

Usiadła na podłodze w pozycji półłotosu i zamknęła oczy. Potrzebowała medytacji i musiała to zrobić już teraz. Odepchnęła od siebie dręczącą, frustrującą kakofonię starych myśli, tak jak ją tego uczył pan

Wong, i stawiała czoła fali nowych, które rzuciły się, by wypełnić pustkę.

OK: względnie czysty ekran. Dostosowała swój oddech do medytacyjnego rytmu i skoncentrowała się na przepływie powietrza przez ciało. Starożytni wiedzieli, co robią... oczyścić umysł, by odszukać stan nie-umysłu. Niech energie wszechświata przepływają przez ciało, by je uleczyć i wzmocnić.

Zaczynała czuć się lepiej: bardziej zrównoważona, mniej niespokojna.

I wtedy zobaczyła ją - żywy hologram w oczach jej wyobraźni. Siedziała na ławce w ogrodzie. Maggie nigdy nie doznała bardziej wyrazistej wizji. Zobaczyła, jak wzrok dziecka powoli zwraca się w jej kierunku... samotny i niezmiernie smutny.

Jestem tutaj, kochanie! - zawołała do niej w duchu Maggie. Zobaczyła na moment błysk zrozumienia w oczach dziecka, który zaraz jednak zniknął. Coby z rozmysłem odwróciła głowę od Mim i wróciła do swojego własnego, pełnego udręku świata.

- Słodki Jezu - wyrzuciła z siebie na głos Maggie, gdy boleśnie ogarnęła ją nowa i jeszcze bardziej przerażająca świadomość. -Poddała się! Odebrali jej nawet nadzieję!

Gniew, potężniejszy niż strach czy rozpacz, poderwał ją na równe nogi. Chwyciła telefon i zadzwoniła do Devlina. Było coś takie-

324

ipi głosie, że od razu porzucił swoje zajęcia, przekonany, że

20 W JCI 6 ,

musi natychmiast do niej dotrzeć.

1 Muszę spróbować ją zobaczyć, Dev - powiedziała od razu, dy tylko się pojawił. - Gdziekolwiek się obrócę, widzę ją. Widok każdego dziecka na ulicy wyrywa mi serce. Nie mogę już tego znieść. Minęły ponad dwa miesiące, odkąd ją zabrali, a nawet me wiemy, czy żyje! My jedynie przypuszczamy, że noc Walpurgii jest momentem, który zaplanowali na tę materializację, ale niczego me wiemy na pewno.

Devlin widział po Maggie, ile kosztowały ją przeżycia ostatnich tygodni. Ile godzin spała od czasu, kiedy zabrano jej dziecko? Miała podkrążone oczy, a zmarszczki na jej twarzy, które wyglądały tak pociągająco, gdy się poznali, były teraz bardziej wyraziste.

- Jednak wiemy pewne rzeczy, Maggie - powiedział, usiłując ją uspokoić. - Wszyscy eksperci wskazują ten sam moment: astrologowie, egipci, nawet Ellie. Wiemy z pewnością, której nocy okultyści będą usiłowali dokonać swoich rytuałów. To są solidne

poszlaki. A co do tego, czy Cody żyje... wiemy, że nieżywa na nic im się nie przyda.

- Póki nie minie trzydziesty kwiecień - przerwała mu. - To dwa tygodnie od dzisiaj! Dwa tygodnie!

- Póki nie minie trzydziesty kwiecień - zgodził się niechętnie.

Nie potrafił wymyślić niczego, co mógłby zrobić, żeby złagodzić jej całkowicie uzasadnione obawy. Dziecko rzeczywiście mogło już nie żyć.

- Jadę tam, Dev. Teraz. Dzisiaj. Zastukam do tych przeklętych drzwi i zażądam widzenia z moją wnuczką. Jestem gotowa stać na trawniku i wrzeszczeć... muszę jej dać znać, że nadal ją kocham. -

Wzięła głęboki oddech. - Miałam nadzieję, że pojedziesz ze mną.

Devlin widział wystarczająco wiele dramatów, by wiedzieć, kiedy emocje są silniejsze od wszelkich argumentów.

- Pojadę - odparł spokojnie. - Będzie mniej prawdopodobne, żeby cię aresztowali za najście, jeżeli ja tam będę.

Droga do Greenwich upłynęła im w bolesnym milczeniu. Maggie siedziała w samochodzie Devlina z głową opartą o zagłówek. Miała otwarte oczy, ale nie patrzyła na drogę. Wysunął ku niej rękę

325

i ujął jej dłoń. Nie protestowała, ale też nie reagowała, jednak trzy. mał ją mocno aż do Greenwich, tak jakby chciał przelać swą żywą energię do jej naruszonych zasobów.

- Wiesz, Dev - rzuciła ze smutkiem - pytam się ciągle, co będzie, jeśli ona umrze i nigdy się nie dowie, że próbowałam ją uratować.

- Nie wydaje mi się, żeby... - zaczął z przekonaniem, którego wcale nie czuł.

Wiedział, że dzieci często padają ofiarą szaleńców.

- Myślę, że ją stamtąd wydostaniemy - oznajmił. - Tylko że nie zrobimy tego dzisiaj.

Maggie musiała trzykrotnie załomotać do drzwi rezydencji, zanim stanęła w nich służąca, która oświadczyła, że nikogo nie ma w domu. Zrozpaczona Maggie wtargnęła do wnętrza, a Devlin podążył za nią, nie zważając na protesty służącej.

- Nie mów mi, że ich tu nie ma - rzuciła ostro Maggie. - Chcę zobaczyć moją wnuczkę i wiem, że jest w domu.

Nie zatrzymując się, ruszyła ku skrzydłu dziecięcemu. Devlin zapytywał się w duchu, jak daleko Maggie zamierza się posunąć.

Jednak zanim zdążyła minąć bibliotekę, na jej drodze pojawił się Erie Vannier.

- Niestety, będę musiał prosić cię o opuszczenie mojego domu - oznajmił stanowczo, blokując jej drogę swym masywnym ciałem.

- Chcę zobaczyć Cody, Erie - rzuciła Maggie. - Mam dość tego odprawiania z kwitkiem, kiedy dzwonię. Chcę ją natychmiast zobaczyć!

- Niestety, to niemożliwe. Dziecko jest chore i nie przyjmuje gości.

- Nie dziwię się, że jest chora, ty potworze! - Maggie usiłowała przecisnąć się obok niego, ale chwycił ją boleśnie za rękę i przytrzymał w miejscu.

- Nie rób tego! - odezwał się Devlin.

W jego głosie było tak wiele cichej groźby, że Maggie spojrzała na niego zaskoczona, a Erie wypuścił jej ramię i utkwiał wzrok w mężczyźnie.

326

__ jesteście oboje intruzami w moim ^mu. Jeśli zadzwonię po olicję to chyba wiem' c0 bcdzie dalej"

P Devlin chciał mu odpowiedzieć, ale Nfcggie bez wahania rzuciła się biegiem przed siebie.

- Cody! - krzyknęła tak głośno, jak tylko mogła. - Cody! Jestem tutaj! Gdzie jesteś?

Gdzieś wyżej, w przepastnym wnętrzu domu rozległ się niesiony echem piskliwy krzyk Cody.

- Mim! - w jej głosie brzmiała bezdenne rozpacz. - Pomóż mi!

Pomóż...

Wołanie urwało się gwałtownie i gdzieś na piętrze trzasnęły drzwi.

Maggie była już na schodach wiodących do bawialni, lecz Erie dopadł ją i przewrócił na schody. Devlin natychmiast wylądował przy szmoczących się postaciach i siłą zaczął odciągać ręce Erica od gardła Maggie. Kiedy mężczyźni zmagali się ze sobą, Maggie, korzystając z zamieszania, zdołała się oswobodzić i rzuciła się w górę

schodów.

Na podeście półpiętra ujrzała blokującą jej drogę Ghanie: stała

twardo jak gład.

- Zabrano dziecko z domu! - wyszczała, gdy Maggie usiłowała ją wyminąć. - Zobacz sama! Przez okno!

Maggie obróciła się ku wielkiemu oknu na półpiętrze, by zobaczyć dwóch mężczyzn niosących do samochodu szarpiające się dziecko. Cody krzyczała, uderzając daremnie rękami swych prześladowców. Maggie słyszała jej wrzaski, które przebijały się przez szyby. Z beznadziejności porwała ciężki wazon, który stał na stoliku pod oknem, wyrwała z niego kwiaty i cisnęła nimi w Ghanie, a potem, zanim Amah ochłonęła, roztrzaskała wazonem wielką szybę w oknie. Kawałki szkła posypały się z brzękiem na patio.

- Cody! - krzyknęła, akurat, gdy dwaj mężczyźni wpychali

dziecko do samochodu. - Kocham cię! Wróć!

Zobaczyła, jak przerażona twarz Cody obraca się ku niej gwałtownie, lecz zaraz drzwi limuzyny zostały zatrzasknięte. Wiedziała jednak, że dziewczynka usłyszała obietnicę.

- Ona umrze - warknęła Ghanie, strzepując z siebie mokre

kwiaty. - A ty będziesz to oglądać!

327

Maggie odwróciła się do groźnej olbrzymki, czując, jak tę do opanowania gniew wypełnia jej piersi

- To ty umrzesz! - wyrzuciła z siebie. -1 ja będę to oglądać!

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w dół schodów, gdzie P •

i Devlin stali niczym dwaj chłopcy przytapani na bójce. Ochron' rze Erica nie dopuszczali do kolejnego starcia.

- Wyrzucicie ich z mojego domu! - rozkazał Vannier ochryłym głosem.

Ochroniarze ruszyli ku nim, by wykonać polecenie, ale nagle dojrzelili broń w dłoni Devlina. Cofnęli się obydwoj niepewnie.

- Wychodzimy - powiedział Devlin z niewzruszonym spokojem. - Jeżeli zostaniecie na miejscu i nie będziecie nam wchodzić w drogę, to nie będzie żadnych problemów.

Wycofali się ostrożnie i rzucili biegiem do swojego samochodu, ale limuzyna z Cody w środku już zniknęła.

Maggie trzymała się do momentu, kiedy minęli pierwszy parking przy autostradzie. Dopiero wtedy zaczęła płakać: najpierw cicho, a potem, kiedy w pełni dotarło do niej, co się stało, rozpaczliwe łkanie zaczęło targać jej ciałem.

Devlin zatrzymał samochód na poboczu Merritt Parkway i wziął ją w ramiona. Trzymając w objęciach, szeptał słowa pocieszenia i głaskał ją jak dziecko, aż w końcu, wyczerpana, ucichła.

Nie pytając o nic, pojechał prosto do domu Ellie. Nie miał zamiaru zostawić Maggie samej w takim stanie, a musiał wrócić na posterunek, bo tylko tam mógł znaleźć materiały na tego aroganckiego sukinsyna. Chciał zabrać się do tego natychmiast.

- Jest takie słowo w jidysz, które określa to, co się teraz z tobą dzieje, Mags - powiedziała troskliwym głosem Ellie, gdy już posadziła przyjaciółkę w wygodnym rogu kanapy.

Devlin miał rację: była w nienajlepszym stanie.

W oczach Maggie widać było ból i gniew, a kiedy zaczęła mówić, jej głos był przepełniony dramatyzmem wszystkiego, co zaszło.

328

zi śmierć a' b° jeszcze coś gorszego. Jenna sprzeda-

diabłu, a ja jestem taka wyczerpana, że nawet nie pa-

łaSWą jak się wiąże sznurowadła. Jakie może być dla tego okre-

Slemi'zerrissenheit - odparła łagodnie Ellie. _ A co to znaczy? _ Rozdarcie.

Maggie nie odpowiedziała. Nagłe łzy wypełniły jej oczy. Mam nazwisko hipnoterapeuty, Mags - oznajmiła Ellie. -

Dzwoniłam do Amandy.

Maggie chciała jej odpowiedzieć, ale Ellie uniosła dłoń, by się nie odzywała.

- Wiem już pewne rzeczy - powiedziała z naciskiem. - Nie masz wyboru: też musisz je poznać!

- Więc powiedz mi do cholery, co to jest!

- Jeżeli ci powiem, to nie uwierzysz... nie w głębi duszy, gdzie musisz to wiedzieć. Dla własnej obrony musisz zadzwonić do niego, Maggie. Jesteś wchłonięta przez kosmiczny konflikt. Daję ci słowo honoru, że ty i Cody nie będziecie w stanie przeżyć, jeżeli nie będziesz miała do dyspozycji wszystkich możliwych broni. Zadzwon do tego lekarza, Mags... Amanda już uprzedziła, że się z nim

skontaktujesz.

Przekonana stanowczością Ellie i dręczącym ją obrazem zrozpaczonej twarzy Cody, Maggie zgodziła się.

Rozdział 55

Fakt że doktor Heinrich Strater jest wiedeńczykiem, stanowił dla Maggie pewne pocieszenie, kiedy siedziała w jego gabinecie, nerwowo zastanawiając się, jak będzie odczuwać regresywną hipnozę. Strater przynajmniej wyglądał tak, jak powinni wyglądać psychiatrzy: brodaty, w średnim wieku i w okrągłych okularach na subtelnym

329

nym semickim nosie. Uspokajało ją to nieco, mimo morza niepewności.

- Jak już mówiłem przez telefon, Maggie - powiedział z namysłem - hipnoza nie jest salonową zabawą. Jest natomiast uznawanym narzędziem medycznym, za pomocą którego można badać psyche w takim stopniu, jaki jest niemal niemożliwy, gdy pacjent znajduje się w stanie normalnej świadomości.

- Dlaczego tak jest, doktorze?

- Ponieważ hipnoza sięga do tej części podświadomości, która jest jak magnetofon - wszystko, co człowiek kiedykolwiek widział, myślał, mówił i słyszał, jest tam zapisywane na zawsze. Czasami materiał jest ułożony w sposób linearny i rozpoznawalny, czasami bywa zatopiony w symbolach, czyli, jak by to powiedzieć, w specyficznym języku umysłu. Jednak, niezależnie od tego, jak to nam się objawia, w regresywnej hipnozie umysł pozwala „przewinąć taśmę do tyłu”, do przeżyć z innych przedziałów czasowych i odtworzyć ich historię, nasyconą westchnieniami, dźwiękami, emocjami i wrażeniami nawet tak ulotnymi, jak zapach lub smak.

- Czy kiedykolwiek próbował pan cofnąć kogoś do przeszłego życia, doktorze? - zapytała Maggie wprost. - Amanda mówi, że właśnie o to pana prosiła.

Zaśmiał się krótko.

- Nie próbowałem tego robić, bo nic mi nie wiadomo na temat istnienia takich wcieleń! Oczywiście, cofałem ludzi aż do okresu życia płodowego i czasami ich przeżycia z tego okresu są przedstawiane z niezmierną jasnością. Ale wcześniej... - wzruszył wymownie ramionami. - Kiedy Amanda powiedziała mi o twoim pragnieniu cofnięcia się do przeszłego życia, wyjaśniłem jej, że uważam to za mało prawdopodobne. Ona jednak ma dużą siłę perswazji, jak chyba wiesz, i zapewniła mnie, że będziesz chciała cofnąć się na tyle daleko, na ile zdołamy. - Przerwał na chwilę. - Byłoby dla mnie istotne, gdybyś mi powiedziała, dlaczego uznajesz taką podróż za coś tak pilnego.

- Doktorze Strater - odparła Maggie, przyjmując pozytywnie jego bezpośredniość, ale jednocześnie nie chcąc mu dać za wiele naprowadzających informacji. - Doświadczam serii coraz bardziej

-

330

wyrazistych snów, a wszystkie wydają się dotyczyć starożytnego Egiptu. Zdają się próbować opowiedzieć mi o czymś, co ma wielki wpływ na moje życie, ale nie mogą przedrzeć się przez jakieś bariery, które we mnie istnieją. Tak przynajmniej to odczuwam. Setki fragmentów tych snów krążą po mnie, ale są ulotne. Są poza moim zasięgiem. Budzę się pełna niepokoju... przerażona, smutna... usiłując czegoś osiągnąć...

Przerwała, by zaczerpnąć oddech.

- Moja przyjaciółka, która jest zorientowana w różnych dyscyplinach okultystycznych, zaproponowała, żebym udała się do osoby odczytującej przeszłe wcielenia, ale, szczerze mówiąc, podeszłam do tego nieufnie. Nie chcę, żeby ktokolwiek, kto może być szarlatanem, wkładał mi do głowy jakieś wyobrażenia na temat tego, co te strzępy snów mogą znaczyć. Jeżeli są prawdziwe i pochodzą z jakichś starożytnych przeżyć, których doznałam, chcę to wiedzieć. Ale nie chcę, żeby to, czego się dowiem, było zamazane przez jakiś bełkot w stylu New Age. - Spojrzała na niego, by przekonać się, czy ją rozumie. - Czy ma to, pana zdaniem, jakiś sens,

doktorze?

- Rzeczywiście, ma - odparł, wyraźnie rozbawiony jej szczerością. - Więc postanowiłaś spróbować z autentycznym psychiatrą w nadziei, że to, co z tego wyniknie, będzie przynajmniej wiarygodne, tak?

- Właśnie tak.

- Dobrze. Mamy podobne podejście do sprawy. Nagramy, jeżeli sobie tego życzysz, nasze sesje, żebyśmy mogli później przedyskutować w szczegółach to, co wyniknie z naszych wysiłków. Czy takie rozwiązanie jest dla ciebie do przyjęcia?

Maggie skinęła głową.

- Najlepiej będzie, jeśli położysz się na kozetce - oznajmił

Strater, podchodząc do okna, by opuścić żaluzje. - Hipnoza wymaga osiągnięcia głębokiego stanu relaksacji, co pozwala na wgląd, o jakim mówiliśmy wcześniej.

Maggie położyła się. Kozetka była nadspodziewanie wygodna, ale ona nadal czuła się nieswojo i niespokojnie. Strater siadł obok niej i włączył magnetofon.

331

- Jest wiele sposobów osiągnięcia transu, który nazywamy stanem hipnozy, Maggie. Osobiście preferuję wprowadzanie w niego pacjenta za pomocą głosu. Poproszę cię, żebyś kilka razy odetchnęła głęboko, a potem po prostu słuchała moich słów, nie wymagając od siebie niczego więcej.

Jego głos był głęboki, miły i dźwięczny. Kiedy przeprowadzał ją przez serię ćwiczeń oddechowych i stopniowanych technik relaksacyjnych, Maggie czuła, jak stopniowo opuszczają nieufność. Techniki stosowane przez doktora nie różniły się tak bardzo od tych, które wykorzystywała, ćwicząc jogę i sztuki walki.

W pewnym momencie uświadomiła sobie, że jej świadomość jakby się rozdwała. Nadal wiedziała dokładnie, gdzie jest, czuła bardzo wyraźnie obecność doktora, a jednak, gdy jego głos skierował ją do jej wnętrza, zaczęła rozpoznawać drugi poziom świadomości, tak jakby wynurzyła się wewnątrz siebie w spokojnym otoczeniu. Słyszała, jak głos Stratera naprowadza ją, by skupiła się na jakimś wydarzeniu, które miało miejsce w jej życiu przed rokiem i z zaskoczeniem stwierdziła, że od razu je sobie wyraźnie przypomniała.

- Teraz cofamy się w czasie, Maggie - prowadził ją głos doktora. - Płyniemy, niesieni rzeką twoich wspomnień, dryfujemy łagodnie, cofamy się w czasie. Na tej rzece jest piękna łódź, płyniesz spokojnie cofając się do bardzo odległego czasu. Masz pięć lat, Maggie, powiedz mi, co widzisz?

- Jestem na moim przyjęciu urodzinowym - odpowiedziała cieniutkim głosem. - Mamusia upiekła tort

z klaunem na wierzchu, kiedy wszyscy pójdą do domu, będę mogła zjeść ten kawałek z klaunem.

- To bardzo miłe, Maggie - pochwalił ją głos. - Wszystkiego najlepszego! Jak się dzisiaj masz?

- Dobrze - odpowiedziała. - Dostałam laleczkę z rudymi włosami od mamusi i kotka od tatusia.

- Śliczne prezenty, Maggie, śliczne - powiedział zachęcająco głos. - Musisz być bardzo grzeczną dziewczynką. Teraz zabierz mnie z powrotem na rzekę i wsiądź znowu do tej ładnej łódki. Dryfujesz do tyłu w czasie i czujesz się bardzo, bardzo bezpiecznie. Masz teraz dwa lata, Maggie. Możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś?

332

- Jestem w kuchni - oopirła, sepleniąc dziecinnie. - Zlewozmywak jest wysoko. Ch'?' w,dy, ale nie mogę się na niego wspinać.

- Dlaczego?

- Nie wolno mi. ManlUSianówi, że mogłabym się potłuc.

- To prawda, Maggie Tw'ia mamusia dobrze się tobą opiekuje. Przesuńmy się jeszcze tnxie, dobrze? Wróćmy do dnia, kiedy się urodziłaś, i zobaczymy J^1' to jest...

. Doktor Strater ujrzał. jak c:<ło dorosłej kobiety przyjmuje pozycję płodową, wierząc si? ' Wracając, jakby odczuwało ból. Jej twarz nagle zmarszczyła s'? ; zaczęła płakać jak noworodek, cieniutkim, miaukliwym gfc'sem Doktor zawahał się na moment, ale zaraz odezwał się znowu

- Wszystko w porządku. Maggie - powiedział łagodnie. -

Wszystko w porządku. Wracaiy do rzeki, będziemy znowu dryfo

wać. To złagodzi twoje <l'legiwości. Tym razem szukamy czegoś

bardzo specjalnego, więc mus"« mi pomóc. Chcę, byś płynęła rze

ką tak daleko, jak jest ci t0 Potrzebne, aż będziesz mogła znaleźć

okres najbardziej istotny dla Woich obecnych problemów. Możesz

płynąć spokojnie... i możesz Poświęcić tyle czasu, ile chcesz, żeby

odszukać ten okres, który P°J<wia się w twoich snach.

Maggie przestała płakać^ * 'nieruchomiała całkowicie.

- Gdzie jesteś, Maggie? (Zy możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś?

- Jestem w świątyni ~ ocparła czystym i młodzieńczym głosem.

- W jakiej świątyni?

- Oczywiście, w świątyni™ Wielkiej Matki. Uczę się być jej kapłanką.

Strater zmarszczył brzoś" opisując coś w swoim notatniku.

- Czego się nauczyła* do tej pory, Maggie?

- Dlaczego nazywas/ mnie tym imieniem?

- Słucham?

- Nazywam się Min1' niczego nazywasz mnie innym imieniem?

Doktor Strater wyduł usta i zanotował coś pośpiesznie.

333

- Wybacz mi moją pomyłkę, Mim. Będę cię nazywał twoim właściwym imieniem. Chciałbym dowiedzieć się czegoś o twojej nauce.

- Wiele jest zakazane człowiekowi. Nie będę mówiła o Tajemnicach Matki.

- Nie, oczywiście, że nie. Czy jest coś, co możesz mi powiedzieć?

- Jestem Patrzącą Dziewczyną. Ujawnianie tego nie jest zakazane.

- Patrzącą Dziewczyną? Kto to jest Patrząca Dziewczyna?

- Czytamy przyszłość w zwierciadle albo w kryształach. Zostałam też nauczona zawracać piaski.

- Zawracać piaski? Co to takiego?

Zauważył, że Maggie stara się przytknąć już zamknięte oczy.

- Czy jesteś cudzoziemcem? Wygląda na to, że niewiele wiesz o naszym życiu.

Strater uśmiechnął się.

- Jestem podróżnikiem, Mim. Ale pragnę zrozumieć wasze zwyczaje. Czy możesz mi opowiedzieć o zawracaniu piasków?

- Nie wolno mi mówić o tym, jak to się dzieje, tylko o tym, że potrafię czytać przeszłość i przyszłość, kiedy przybieram postać owada.

- Rozumiem. Czy masz jeszcze jakieś inne specjalne umiejętności?

- Nauczono mnie uzdrawiania... znam sposoby na wyprowadzenie Ka z ciała podczas operacji, tak że nie ma bólu. Wielu ludzi mówi, że to dobra umiejętność.

- Powiedziałbym, że tak - odparł szczerze Strater. - Czy możesz mi powiedzieć, jak to robisz?

- Czy masz Czwarty Stopień?

- Co to jest Czwarty Stopień?

- Nie mogę ci powiedzieć, jak to się dzieje, jeżeli nie zostałeś sprawdzony.

- Rozumiem. Rozumiem. Może będzie lepiej, jeśli porozmawiamy o czymś innym, Mim. Moje stopnie są chyba trochę inne od waszych.

334

Skinęła aprobującą głową i poweselała na twarzy, jakby przypomniała sobie coś, o czym wolno jej było mówić.

_ Nauczono mnie wędrować po astralu i w świecie podziemnym - oznajmiła. - Towarzyszyć świeżo zmarłym w transformacji. Mówią, że mam szczególny talent i że Anubis darzy uznaniem moje wysiłki. Ale muszę uważać, żeby unikać dumy. Matka Izyda byłaby urażona, gdybym się chwaliła.

- Mim, przybyłem z daleka, żeby spotkać cię tutaj w świątyni.

Sądzę, że zostałem tu sprowadzony w jakimś specjalnym celu. Czy

możesz mi powiedzieć, jaki to cel?

Wyraz twarzy Maggie zmienił się.

- Nie znam tego celu - odparła z wahaniem.

- Czy jest możliwe, żebyś zajrzała do lustra i dowiedziała się?

- Spróbuję - odpowiedziała i niezmierną nieruchomością ogarnęła leżące na kanapce ciało.

Przez kilka minut Maggie leżała, oddychając głęboko i równo. Nagle jej oczy otworzyły się gwałtownie z wyrazem niesamowitego przerażenia, a z ust wydobył się krzyk rozpaczony i bólu. Drżała tak gwałtownie, że omal nie spadła z kanapy.

Doktor Strater wyciągnął rękę i chwycił mocno przegub Maggie, by zbadać jej puls. Zmarszczył czoło,

rozpoznając, jak jest zakłócony, a potem pochylił się do niej.

- Mim, moja droga, nie bój się - powiedział z naciskiem. - Po
mogę ci. Jesteś bezpieczna.

Jej krzyki przeszły w ciche łkanie.

- Przywróć mnie teraz do Maggie - polecił i odczekał chwilę,
patrząc, jak zmienia się wyraz jej twarzy. - Maggie, chcę, żebyś
wróciła do rzeki. Natychmiast. Będziesz tam bezpieczna. Kiedy do
trzesz do rzeki, daj mi znak, unosząc prawą dłoń.

Prawa ręka Maggie zaczęła się podnosić.

- Dziękuję, moja droga. Bardzo dobrze. Możesz opuścić rękę.
Teraz wsiadasz do swej pięknej, szybkiej łodzi i zaczynasz płynąć
ku mnie po rzece czasu. Popłyniesz nią z powrotem do miejsca,
gdzie zaczęłaś dzisiaj podróż. Możesz poświęcić tyle czasu, ile
chcesz, na powrót do terażniejszości. Mój głos będzie cię prowadził
po rzece, więc nie musisz się martwić o to, czy znajdziesz drogę.

335

Ciało Maggie znów zaczęło gwałtownie drżeć i Strater ponownie ujął jej rękę z wyrazem
autentycznego niepokoju na twarzy.

- Powiedz mi, co się teraz dzieje, Maggie. Gdzie jesteś? - zapytał rozkazującym tonem.
- Klasztor. Idą po mnie. Zostałam zadenuncjowana.
- Kto idzie, Maggie?
- Dominikanie. Wezmą mnie do Inkwizytora.
- Który jest teraz rok?
- Tysiąc czterysta osiemdziesiąty trzeci!
- Maggie, wracaj natychmiast do rzeki! Musisz robić dokładnie to, co mówię. Biegnij szybko do rzeki

czasu i płyn w kierunku mojego głosu. Dominikanie nie mogą cię tknąć na rzece. - Odczekał chwilę, obserwując ją uważnie. - Czekam na ciebie w roku 1993, Maggie. Przybliżasz się... jesteś bardzo blisko mnie na rzece. Jesteś absolutnie bezpieczna w zasięgu mojego głosu!

Jej drżenie znowu złagodniało, a wykrzywiona twarz odprężyła się.

- Będę liczył od pięciu do jednego, Maggie, by przywrócić cię do normalnej świadomości. Kiedy dojdę do liczby jeden, będziesz całkowicie przebudzona i świadoma tego, co się wydarzyło przed chwilą. Będziesz się czuła zdrowa i silna. Skiń głową, jeżeli mnie rozumiesz, Maggie.

Jej głowa poruszyła się powoli w potakującym geście.

- Pięć... cztery... trzy... jesteś z powrotem w moim gabinecie w 1993 roku, Maggie. Wszystko jest w porządku. Policzę teraz do tyłu od trzech do jednego, a kiedy skończę, otworzysz oczy. Trzy... dwa... jeden - powiedział delikatnie i zachęcająco, panując nad swoimi nerwami.

Maggie otworzyła oczy i spojrzała wprost na Stratera. W jej szeroko otwartych oczach widać było strach.

- Byłam tam - powiedziała drżącym głosem. - O Boże! Wszyscy tam byliśmy.

Uniosła się z wysiłkiem się do pozycji siedzącej, a łzy błysnęły w jej oczach i spłynęły po policzkach. Potem ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

336

Doktor Heinrich Strater odłożył notatnik i ołówek i wyciągnął rękę, by wyłączyć magnetofon. W gabinecie nie słychać było żadnego dźwięku oprócz łkania Maggie.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, zanim się odezwał.

- Nie wiem, co powiedzieć - mruknął, podając jej opakowanie

chusteczek higienicznych. - Po prostu nie wiem, o co tu chodzi.

- Co się ze mną stało, doktorze? - wychrypiała Maggie.

Strater pokręcił powoli głową w zamyśleniu.

- Prawdę mówiąc, Maggie, nie wiem. Mogę tylko spekulować... Wygląda na to, że zostałaś wplątana w jakiś sposób w równoległą rzeczywistość. Czy ma to podstawy w faktach, czy tylko w twojej własnej psychice, tego nie mogę rozstrzygnąć.

- Innymi słowy, doktorze, istnieje wyraźne prawdopodobieństwo, że mogę być stuknięta? - powiedziała z naciskiem.

Strater uśmiechnął się do niej z wielce dobroduszną miną.

- Kiedyś ktoś powiedział tak o Williamie Blake'u, a chyba

Edith Sitwell odpowiedziała na to: „To tędy weszła Światłość”.

Maggie patrzyła na niego ponuro.

- Kto może powiedzieć, co jest możliwe? - ciągnął Strater, usiłując ją ukoić. - Niektórzy uważają, że pamięć istnieje na poziomie komórki albo nawet DNA. Są też wśród psychoanalityków tacy, którzy raczej są skłonni myśleć o tym w kategoriach rozwoju edypowego lub też wszelkich neuroz czy psychoz. Osobiście wolę mieć otwarty umysł.

- Nie jestem w stanie opisać, jakie to wszystko było prawdziwe - powiedziała drżącym ze zdenerwowania głosem. - Byłam tą inną kobietą, tą kapłanką. Czułam młodość i siłę jej ciała, czułam jej wahanie... jak mogłabym opisać, jakie to wszystko było dla mnie wyraziste, doktorze Strater?

Całym ciałem czułam obrzędy, przez które przechodziłam podczas tego przyuczenia. Kapłanki nie były po prostu sługami bogów czy bogiń... były pośredniczkami samych bogów! To dlatego musiały być czyste, dlatego musiały żyć w celibacie. Tak naprawdę były wykorzystywane przez boga lub boginię jak błysk pioruna do sprowadzania na ziemię energii! Zmienionej na innym poziomie, żeby energia bóstwa mogła przeniknąć... były... były stacją odbior-

337

czą dla przesyłu energii! Dlatego mówimy o oddaniu się Bogu... one oddawały samo swoje istnienie na użytek ich boga lub bogini. W moim przypadku była to Izysda.

- Czy Izysda nie była boginią pamięci i wszystkich innych talentów? - zapytał doktor Strater. - Zgodnie z legendą, o ile wiem, przeszukiwała Egipt wzdłuż i w szerz, by znaleźć ciało Ozyrysa,

a potem złożyła go na powrót!

Maggie opadła na kanapę. W jej głowie panował chaos.

- Muszę tam wrócić - powiedziała cicho. - Tam są wszystkie odpowiedzi. Wiem, że tam są. Muszę wrócić tam dla dobra Cody.

Doktor Strater wyduł usta, a jego krzaczaste brwi złączyły się w pochmurnym grymasie.

- Jedynym miejscem, do którego powinnaś dzisiaj wrócić, Maggie, jest twój dom. Jeżeli życzysz sobie spróbować kolejnej regresji, po tym, jak już odpoczniesz i będziesz miała czas to przemyśleć, chętnie będę z tobą pracował. Ale musisz zrozumieć, że jestem lekarzem i pierwszorzędne znaczenie ma dla mnie twoje fizyczne bezpieczeństwo w tym wcieleniu.

Maggie skinęła głową, wstając z kanapy.

- Jestem panu bardzo wdzięczna, doktorze Strater. Myślę, że mógłby mi pan dać klucz do większej tajemnicy, niż pan sądzi... o ile tylko zdołam znaleźć dość odwagi, by otworzyć ten zamek.

Strater pomógł jej narzucić płaszcz na ramiona i otworzył drzwi. Wyszła już na korytarz, gdy zawołał za nią.

- Jeszcze jedna rzecz, Maggie, zanim odejdziesz, proszę. Czy wiesz, co się wydarzyło z tobą na końcu tej regresji? Czy wiesz, co cię tak przeraziło?

Odwróciła się do niego z niemożliwym do rozszyfrowania wyrazem oczu.

- Zasłużyłam na gniew bogini - odparła wprost. - I nadszedł czas, by za to zapłacić.

338

Rozdział 56

Kiedy wracała do domu z gabinetu Stratera, ulice wydawały się jej obce. Były nienormalnie szare, tak jakby słońce pustyni, które oświetlało jej hipnotyczne wspomnienia, zostało wbrew jej woli wyrwane ze świata i wszystko, co pozostało, było ponure i niesamowite.

Przestań, Maggie! Jest ciemno, i to wszystko - napomniała się ostro w myślach. - Nowy Jork, zmierzch. Cały szary brud miasta i ponure, rozdrażnione twarze ludzi, śpieszących po pracy do domu. Tylko tyle.

Przekręcając klucz w zamku drzwi wejściowych, dostrzegła, że jej dłoń drży. Pomyślała, żeby zadzwonić do Deva albo Petera czy Ellie, ale nawet sam wysiłek telefonowania wydał jej się niemożliwy.

Zmęczona. Czuła się tak znużona, że nawet wejście po schodach do sypialni było męką. Mechanicznie usunęła makijaż, zwilżyła twarz zimną wodą i, nie rozbierając się, położyła w poprzek łóżka. W głowie jej łomotało, jakby coś w niej zostało uwięzione i teraz usiłowało się wydostać. Zawroty głowy były coraz silniejsze. Działo się z nią coś niedobrego, ale była zbyt zmęczona, by się tym przejmować.

Zamknęła oczy i... obudziła się w Sakkarze.

Otoczony kolumnadą świątynny ogród był sielankową enklawą, pełną zarazem cienia i słońca. Kiedy wiele lat temu ogrodnicy świątynni tworzyli tę oazę godną bogów lub faraonów, zasięgaliby rad ogrodników królewskich. Piaskowiec z kraju Sumerów, marmur z Babilonu. Kanały nawadniające, które mogły zamienić w raj nawet pustynię.

Mim uwielbiała ten ogród z jego spokojną sadzawką i koronkowymi kołyszącymi się cieniami, rzucanymi przez rosnące wokół niej drzewa owocowe. Ale dzisiaj była niespokojna i pełna buntu. Był sezon wylewu Nilu: okres, kiedy krew burzyła się, by dorównać szczodrości rzeki, tak przynajmniej mówiła jej nauczycielka Meri--Neyt.

339

Nie lubiła oszukiwać Meri-Neyt, tak jak to zrobiła dzisiaj. Ta piękna, młoda kapłanka była zarówno jej przyjaciółką, jak i nauczycielką, a jej radosny sposób bycia sprawiał, że nawet nużące, nie kończące się nauki stawały się do zniesienia. Matematyka, astronomia, architektura, filozofia, historia, uzdrawianie, religia. Było tak wiele do nauczenia się i musiała stawić czoło tak wielkiej presji...

Tak więc podeszła do Meri-Neyt: powiedziała, że nie może dzisiaj się uczyć, ale musi odpocząć w swojej celi. Kłamstwo dręczyło jej sumienie, ale trudno było oprzeć się zewowi wolności.

Sadzawka została wykonana na okazję odwiedzin wysoko postawionych dygnitarzy, ale o tej porze roku była rzadko używana. Mim ostrożnie przekradła się do ogrodu, podniecona swoim nieposłuszeństwem i perspektywą samotnego pływania. Jednak nie była samotna. Ledwie wyszła z korytarza, gdy dojrzała nurkującego w wodzie chłopca. Przecinał wodę jak delfin swym młodym zgrabnym ciałem. Przepłynął bez wysiłku całą długość sadzawki i z powrotem, zanim zobaczył, że mu się

przygląda.

- Poczekaj! - zawołał, gdy odwróciła się do wyjścia. - Nie od

chodź!

Później miała wiele czasu na rozmyślanie, jaki byłby jej los, gdyby wtedy, w tamto tak nasycone przeznaczeniem popołudnie, nie odpowiedziała na jego wezwanie.

Wyszedł z wody, otrząsając się jak szczeniak, a jego długie, ciemne włosy błyszcząły w słońcu. Mim miała dziewięć lat, a on wyglądał tylko na rok lub dwa więcej, ale nie był tak nieśmiały jak ona.

- Nie powinnaś być tutaj - stwierdził nadzwyczaj władczym tonem jak na kogoś tak młodego, a ona zachichotała niespodziewanie dla nich obojga.

- Mieszkam tutaj - odparła, usiłując opanować wesołość. - Przyuczam się do inicjacji.

Chłopiec przyjrzał się jej badawczo.

- Ja też - odparł tym samym poważnym tonem, ale zaraz na je

go twarzy wykwitł uśmiech i dodał konspiracyjnym szeptem: - Po

winiem teraz się uczyć, ale... Jak się nazywasz?

340

- Mim Atet-Ra. Ale nazywają mnie Mim. A ty?

- Możesz nazywać mnie Karaden. To wielki przywilej móc nazywać mnie moim sekretnym imieniem.

Mim znowu zachichotała. Nigdy dotąd nie znała żadnego chłopca, z wyjątkiem okresu, kiedy była malutka w rodzinnym domu w Mennofer. Tutaj, w świątyni, zawsze była świadoma tego, że jej dziewictwo jest obiecane bogini Izydzie. Może wszyscy chłopcy udają takich ważnych - pomyślała ale nie była tego pewna. Ten przynajmniej był interesujący.

- Nie obawiasz się, że znajdą nas tutaj razem? - zapytała.

Zbył jej pytanie gestem ręki.

- Ja jestem Karaden - powiedział. - Słudzy muszą być postusz

ni, kiedy ja mówię. Wszyscy muszą być postuszni.

Karaden. Jego imię brzmiało ładnie i elegancko, więc powtórzyła je cicho.

- Czy ty naprawdę nie wiesz, kim jestem? - zapytał, zdziwiony

brakiem oczekiwanej przez niego reakcji.

Mim pokręciła głowę.

- Jestem Snefru, najstarszy syn faraona. Dziedzic Podwójnej

Korony.

Jego oświadczenie poruszyło Mim, ale była już ośmielona dotychczasową rozmową.

- Jeśli naprawdę jesteś dziedzicem tronu faraona, to dlaczego jesteś tu sam? - zapytała, niepewna, czy może wierzyć w jego przechwałki.

Twarz chłopca spochmurniała i kiedy jej odpowiedział, nie mówił już jak chłopiec usiłujący być królem, ale po prostu jak ktoś szukający zrozumienia.

- Ciężko być ciągle samemu w pałacu - powiedział. - Mam wiele obowiązków, które muszę codziennie wykonywać. Mój ojciec wymaga, żebym siedział u jego boku, kiedy wydaje wyroki, żebym się nauczył być sprawiedliwym. Wszyscy mnie obserwują: dostojnicy i sługi. Nawet nikczemny sługa, który próbuje jedzenie, szpieguje mnie, bo się lęka, że jakiś mój błąd może skierować truciznę do jego gardła.

Chłopiec pokręcił głowę. Sprawiał wrażenie smutniejszego i bardziej kruchego niż przed chwilą.

341

- Nie wygląda na to, żeby ludzie mieli ci czego zazdrościć - stwierdziła Mim. - Masz jakichś przyjaciół?

Karaden pokręcił głowę pokrytą grzywą ciemnych włosów.

- Trudno mieć przyjaciela, kiedy każdy tylko zabiega o względy. Za wiele można zyskać, będąc blisko syna faraona, więc trudno uwierzyć, że ktokolwiek może pragnąć mojego towarzystwa i niczego poza tym.

Mim przechyliła głowę na bok i przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

- Ja mogę być twoim przyjacielem - powiedziała. - Nie ma niczego takiego, co mogłabym zyskać od ciebie czy twojego ojca. Zo stałam przy narodzinach obiecana bogini i moje życie będzie takie, jak ona zechce. Nic poza tym. - Spojrzała na przygnębionego chłopca szczerym wzrokiem. - Ja też jestem samotna - oznajmiła. - Moja nauczycielka Meri-Neyt jest cudowną osobą... bardzo mądrą i czasami bardzo dowcipną. Ale jest o wiele lat starsza ode mnie.

Zamilkła na chwilę i zaraz dodała:

- Daję słowo honoru, że nigdy nie zawiodę twojego zaufania, Karadenie, jeżeli zechcesz, żebym była twoim przyjacielem.

Chłopiec w milczeniu rozważał jej propozycję. Była tylko dziewczynką i wyglądała na trochę młodszą od niego. Jednak miała sympatyczną twarz, szczerą i wolną od skrytych zamiarów. I miała rację: nie było wiele rzeczy, o które mogłaby prosić faraona. Kapłanki bogini wznosiły się ponad potrzeby typowe dla śmiertelników.

- Będę twoim przyjacielem - orzekł, jakby nakładał jej królewską koronę, a potem ściągnął z palca pierścień i podał jej. - Możesz to zachować jako dowód mojej przyjaźni.

Mim zaśmiała się znowu i podeszła do sadzawki.

- Nie potrzebuję nic twojego, Karadenie - zawołała, wchodząc do orzeźwiającej wody. - Ale będę ściagała się z tobą na drugi koniec i wygram.

Pomknęła jak piskorz pod srebrzystą powierzchnią, a Karadeni zawahał się tylko na tyle, by zadać sobie pytanie, dlaczego ktokolwiek miałby odmówić przyjęcia daru od syna faraona?

* * *

Meri-Neyt siedziała na kamiennej ławie, a jej szata opadała na leżące obok księgi. Lubiła swą młodą uczennicę. Rozumiała udrękę dwudziestoletniej podróży, którą dziewczynka musiała odbyć w jej towarzystwie, zanim mogła mieć nadzieję na inicjację.

Wesołe usposobienie Meri-Neyt sprawiało, że na jej lekcjach panował swobodny nastrój. Mim leżała teraz na ziemi u jej stóp, słuchając uważnie, gdy nauczycielka opisywała jej rygory duchowego szlaku, który miała przebyć.

- Podróż Neofity przez pierwszy stopień wtajemniczenia da ci wiedzę o zejściu duszy do Hadesu, Mim - mówiła Meri-Neyt.

- Jest to, oczywiście, symbol wniknięcia duszy w ludzkie ciało.

Ten etap jest konieczny, abyś zrozumiała swoje przeznaczenie.

Potem odbędziesz podróż Nowicjuszki, podczas której osiądziesz wiedzę o znaczeniu karmy i o tym, jak ostatecznie można uciec od ziemskiego cyklu ponownego narodzenia. Wstępując po drabinie iluminacji, będziesz przechodziła wiele prób coraz nudniejszych. W końcu dojdiesz do fazy Hierofanta, dzięki której do wiesz się, jak poszukiwać wielkich tajemnic, a może nauczysz się jednoczyć swą indywidualną duszę z boską nadduszą. Dopiero potem możesz ubiegać się o przyjęcie do Zakonu Melchizedeka.

Przerwała, żeby zobaczyć, czy Mim słucha.

- By przystąpić do tego Zakonu, musisz przejść ostateczną inicjację w Knut - budzącym strach Domu Ukrytych Miejsc. To miejsce próby, z którego niewielu powraca. Właśnie dlatego jestem tak wymagająca w moim nauczaniu, Mim. Dlatego tak wiele ci przekazuję tajemnych nauk Thota-Hermesa i karmię cię tylko najlepszymi owocami, ziarnem, orzechami, zbożem, warzywami i odżywczymi roślinami, które sycą twój mózg i serce. Musisz mieć silne ciało, umysł i duszę, by przetrwać czekająca cię Mękę.

- Rozumiem twoją troskę o mnie, Meri - powiedziała Mim, zmuszając się do słuchania - i jestem całkiem zadowolona z życia, moja droga nauczycielko. Studia w świątyni napęłniają mnie przyjemnością i kocham Boginię bardziej, niż nawet ty to wiesz.

Zwróciła swą szczerą twarz ku Meri.

- Kiedy poddaję się jej boskiej energii, czuję się najszcześliw

szą ze śmiertelnych.

343

Rzeczywiście, Mim czuła tak głęboką łączność z Boską Matką, że często odszukiwała ją, gdy była strapiona, całkiem tak, jakby była jej ziemską matką. Przy niej płakała i śmiała się, jej przedstawiała codzienne wydarzenia ze swojego życia.

Meri uważnie przyglądała się uczennicy. Doprawdy, dziewczynka miała tak niezwykłą łączność z hydą, że gdyby nie jej wyjątkowa niewinność i pobożność, mogłoby to być uznane za świętokradztwo. Od samego początku Mim zdawała się odczuwać nieomal przyjaźń z Boską Matką. To było niezwykle.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, Mim - zapytała po
ważnie dziewczynkę - że możesz popełnić błąd na ścieżce prawości,
która wiedzie cię do stóp jej wiecznego tronu?

To pytanie wyraźnie wstrząsnęło Mim.

- Jestem, niestety, niedoskonała, Meri-Neyt, jak dobrze wiesz. I czasami naprawdę się martwię, że przez ignorancję mogę zawieść matkę Izydę. Ale nie sądzę, żeby utraciła zaufanie do mnie z powodu mojej niedoskonałości.

- Droga ku niej jest długa i nużąca - powiedziała Meri ze współczuciem kogoś, kto sam już zaznał cierpienia. - Sama miłość nie wystarczy, by chronić cię na twej pielgrzymiej drodze.

Mim zmarszczyła brwi.

- Dam Matce wszystko, czego ode mnie zażąda - oznajmiła.

Nie wiedziała wtedy, że w przyszłości będzie miała powody, by
wspominać te słowa.

###

Mimo panujących w trakcie nauki rygorów, MimAtet-Ra dobrze znosiła ten okres. Była obdarzona szczególnym darem uzdrawiania i spędzała o wiele więcej godzin w świątyniach uzdrawiania, niż tego wymagano. Jej umiejętność oddzielania Ka od ciała w czasie zabiegu sprawiała, że była bardzo ceniona przez medyków dokonujących trepanacji czaszki i przez chirurgów.

Miała też talent do gier i w swych sportowych umiejętnościach była równie sprawna i zaangażowana jak młody chłopiec. Meri--Neyt żartowała w rozmowach z inną nauczycielką, że jeśli jej mło-

344

da uczennica nie przejdzie egzaminu kapłańskiego, to zawsze będzie mogła poprosić o przyjęcie do gwardii faraona jako wojownik.

Mim ochoczo studiowała wszystko, czego wymagano i bez skargi wypełniała swe obowiązki. Ale w miarę jak dorastała, jej serce napełniało się radością nie podczas nauki, ale raczej w czasie tego jedynego słodkiego miesiąca w roku, kiedy była serdecznym przyjacielem najstarszego syna faraona.

Karaden został oddany bogu Ra i większość jego nauki odbywała się w On, świątyni słońca w Heliopolis. Jednak dzięki temu, że jego ojciec był w równym stopniu mistykiem, jak i królem, Karaden pobierał też nauki w zakresie tajemnic Wielkiej Matki, aby jako władca traktował wszystko równą miarą. Dlatego przez jeden miesiąc w roku zamieszkiwał i studiował w Sakkarze.

Każdego roku, w okresie wylewu Nilu, przybywał w Królewskim Orszaku składającym się z dworzan, kapłanów, sług, kurierów i wielu, wielu innych, którzy towarzyszą panującemu. Najpierw dokonywał wymaganych obrzędów, a potem posyłał po Mim. Odnawiali swą znajomość nad lotosową sadzawką, by zobaczyć, jak każde z nich urosło i zmieniło się... by dzielić się swą nowo nabytą wiedzą... by wyznawać sobie sekrety, które zachowywali na tę chwilę, żeby się od nich uwolnić. Dzielili się swymi marzeniami i aspiracjami: tylko jej mógł zwierzyć się ze skrytych obaw, ponieważ tylko ona ze wszystkich poddanych nie domagała się od niego niczego poza przyjaźnią.

Mówił jej, że bycie faraonem jest największym zaszczytem, ale niesie ze sobą ogromne obowiązki. Podwójne Królestwo było wspaniałym dziełem cywilizacji, które bogowie oddali ludziom pod opiekę, ale podjęcie królewskich obowiązków po kimś takim jak Dżoser nie było łatwym zadaniem. I jeszcze czekało go spotkanie z Otchłanią, gdzie nawet fakt, że jest synem faraona, nie mógł go uratować, gdyby nie zdał próby.

Mim żyła dla tych błogosławionych rozmów. Ta, która nie miała żadnego innego bliskiego, której rodzina, chociaż dobra i kochająca, mieszkała w Mennofer, kiedy ona zamieszkiwała z dala, w świątyni Izydy, ona, która nigdy w życiu nie będzie mieć wolnego wyboru, tęskniła do tych momentów bliskości.

345

Później, kiedy ich czas dobiegł końca, zastanawiała się, czy członkowie starszyny świątyni pozwalali im na taką swobodę, ponieważ wiedzieli, że jest oddana życiu w celibacie i nigdy nie mogłaby uwieść Karadena... a może dobrze wiedzieli, jakie pokusy ich czekają, i uważali to za ich karmę.

*

Latem tego roku, gdy skończyła piętnaście lat, Mim pośpieszyła do lotosowej sadzawki jak zwykle w dniu przybycia Karadena. Była podniecona jak dziecko perspektywą ujrzenia go i musiała zmuszać się do zachowania odpowiedniej wyniosłości, by inne kapłanki nie szemrały, widząc jej ożywienie. Zamiast

chłopca, który odjechał poprzedniego lata, nad sadzawką oczekiwał jej mężczyzna.

Stał wspaniały - w białej lnianej todzie, będącej symbolem królewskości, przepasany złotym pasem następcy tronu, i w zdobiącym mu głowę diademie, przedstawiającym świętego węża. Mim jak zaczarowana patrzyła spod kolumnady, onieśmielona jak sarenka. Serce uwięzło jej w gardle, gdy odszukał wzrokiem jej oczy i wezwał ją ku sobie. Ruszyła ku niemu, nie wiedząc, gdzie stawia stopy.

Gdy tylko się dotknęli, wiedziała, że wszystko zmieniło się między nimi: nieodwołalnie i bez jej zgody, gdyż zobaczyła w oczach Karadena tę samą zaskoczoną miłość, jaką czuła w swych własnych piersiach.

Przez większość popołudnia oboje siedzieli oczarowani swą wzajemną obecnością, aż złociste słońce zaszło za wielką schodkową piramidą. Słudzy przychodzili i odchodzili zdziwieni, gdyż Ka-raden nie zwracał uwagi na ich wezwania do wypełniania różnorodnych obowiązków, a kiedy Meri-Neyt przyszła przypomnieć Mim o jej obowiązkach, książe rozkazał, by Mim pozostała u jego boku.

Rozmawiali wiele godzin - później wcale nie była pewna, o czym - ale pozostała jej w pamięci melodia jego głosu. Tonęli nawzajem w swych oczach, a ich dusze dotykały się, tak jak zawsze w ich dzieciństwie, ale teraz było w tym coś więcej niż w przeszłości.

346

- Tak się zmieniłeś - wyrzuciła z siebie, pragnąc sięgnąć do niego, dotknąć go, ale bojąc się to zrobić.

- Nie, jestem taki sam - powiedział. - Jesteś jedynym człowiekiem, który wie, kim jestem.

- A ty jesteś mężczyzną, Karadenie. Po raz pierwszy widzę cię bardziej jako syna faraona niż chłopca, z którym ścigałam się w lotosowej sadzawce.

Ujął jej dłoń w rękę i przycisnął do swych ust.

- Nigdy tego nie mów, Mim. Dla wszystkich innych jestem faraonem... ale dla ciebie jestem Karadenem. Przez ten ostatni rok rodzącej się świadomości myślałem o tobie dniami i nocami, Siedziałem na radzie królewskiej i marzyłem o poproszeniu cię o radę... asystowałem przy wydawaniu wyroków i wiedziałem, że dobroć i mądrość twego serca wydałyby wyrok sprawiedliwszy niż mój... leżałem nocami w łóżku i tęskniłem, by trzymać cię w mych ramionach. Jesteśmy zaprzyjaźnionymi duszami, Mim Atet-Ra. Z pewno

ścią bogowie nie zamierzają nas rozdzielić.

* * *

Następne dni były jednym ciągiem niespodziewanych emocji. Każdego ranka, pomimo pomrukiwań jego orszaku i dezaprobujących spojrzeń starszyny, wzywał ją, by przy nim była. Nikt z nich nie ośmielał się kwestionować władzy Karadena. A może lepiej, niż dwoje młodych ludzi, będących w oku rodzącego się cyklonu, rozumieli, do czego wszystko zmierza.

Mim odkryła u Karadena wzruszające poczucie osamotnienia.

- Czy kochasz swojego ojca? - zapytała pewnego dnia, gdy wędrowali w cieniu akacji.

- Jest mądry i dobry - odparł z wahaniem Karaden. - Posiadł mistrzostwo w tak wielu rzeczach, do których ja dążę, Mim, że czasami jestem bliski zazdrości. Podziwiam go i pragnę uczyć się od niego. A jednak...

Przeszli kilka kroków w milczeniu, zanim Karaden znów zaczął mówić.

347

- Kiedy byłem mały, marzyłem o tym, by mnie uwolniono od ograniczeń władzy. Widziałem, jak syn szewca podbiega do swojego ojca ze śmiechem, trzymając piłkę w ręku... słyszałem, jak rybak rozmawia z ojcem o drobnostkach... i zazdrościłem im.

Pewnego razu zostałem bardzo dotkliwie potłuczony podczas zabawy i pobiegłem do faraona po pociechę. Przywitał mnie surowo i powiedział, że królowie nigdy nie mogą pozwolić na to, by poddani widzieli ich słabość... że jesteśmy winni naszym poddanym odwagę przekraczającą odwagę śmiertelnych, gdyż jesteśmy nasieniem bogów. - Uśmiechnął się lekko, ale widziała, że ma wilgotne oczy. - Tamtego dnia nie czułem się jak bóg, moja droga Mim. Czułem się jak mały chłopiec z obolałą nogą, który potrzebuje pociechy.

Teraz, gdy osiągnąłem wiek męski, widzę, że słabość nie jest łatwym stanem dla królów. Zbyt często jest ich stanem ostatnim... - roześmiał się krótko. - Więc rozumiem wartość lekcji, którą mi ojciec przekazał. Jednak czasami pragnę, by mógł być moim przyjacielem.

Mim ujęła delikatnie jego rękę w swoją dłoń.

- Syn faraona ma tyle władzy i dóbr, a tak mało radości, mój drogi. Pragnęłabym to zmienić...

Właśnie wtedy wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie. Pozwoliła przygarnąć się do ciepłej ziemi i młodej energicznej siły jego ciała. Jego usta odszukały gwałtownie jej wargi, poznając jej wnętrze w taki sposób, o jakim nigdy nie marzyła. Została porwana przez fale tak silne, że dopiero po paru minutach uświadomiła sobie, jak bardzo oddaliła się na falach odpływu od bezpiecznego brzegu.

Podniosła się z jego objęć, chwytając ciężko oddech, wstrząśnięta świadomością tego, że czuje pożądanie. Ponieważ była poświęcona Izydzie, nigdy nie poruszano z nią kwestii miłości do mężczyzny. Akceptowała całkowicie fakt, że ma zachować celibat po to, by być czystym naczyniem dla Istoty Matki. Wiedziała także, że w jakimś momencie w przyszłości może być wymagane, by została zapłodniona i urodziła dziecko, ale gdyby nawet tak było, to ten mężczyzna miał zostać wybrany przez Czcigodną Matkę i nie

348

rniał być dla niej niczym więcej, tylko dawcą nasienia zapładniającego ofiarne jajo.

- Karadenie, ukochany - wydyszała, radując się tymi słowami, chociaż w tej samej chwili napętniały ją przerażeniem. - Jak to możliwe? Jestem obiecana Bogini...

- Inni bywali zwalniani ze swoich przysięg - powiedział, sięgając po nią znowu.

Dotyk jego ciała wypełnił ją żądzą, pulsującą, nagłą, nie do oparcia. A to był tylko początek.

* * #

Tamtego lata Karaden przybył, przygotowując się ostatecznie na próbę śmierci i ponownych narodzin, która miała mieć miejsce rok później. Trzy dni miał leżeć w kamiennym sarkofagu, podczas gdy jego Ka miała odbyć podróż na drugi brzeg Styksu, a potem do Kryształowej Świątyni Mistrzów Wewnętrznej Sfery i w końcu przebyć Egipt wzdłuż i wszerz. Jeżeli przeżyłby zadawane na każdym etapie męki, to miał zostać faraonem.

Każdego ranka pracował z kapłanami i kapłankami, by nauczyć się wszystkiego, co było konieczne, ale po południu przychodził nad lotosową sadzawkę i polecał, by Mim robiła to samo. Meri--Neyt ostrzegała swą uczennicę przed okropnymi niebezpieczeństwami pokusy, ale nie miała możliwości zabronić słuchania wezwań dziedzica tronu faraona. Była również zbyt mądra, by myśleć, że jest w stanie uchronić dziewczynę przed jej przeznaczeniem.

* * *

Karaden leżał na plecach nad spokojną wodą, a Mim siedziała obok, zapamiętując każdy szczegół jego twarzy i ciała.

- Czy nigdy nie zastanawiasz się nad tym, dlaczego istniejemy na tej ziemi? - zapytał nagle, jakby to było najważniejsze.

- Żeby służyć bogom - odparła.

- Ale dlaczego, Mim? Dlaczego oni pragną, byśmy im służyli? Dlaczego uczynili grę życia tak niesprawiedliwą? Dobrzy umierają

349

młodo, a biedni cierpią na choroby, których nie mogą uleczyć- Zachłanni często zwyciężają, podczas gdy czyści sercem są porzucani na pastwę cierpienia...

- Wszystko ostatecznie będzie sprawiedliwie, mój książę - odpo-
wiedziała wstrząśnięta jego pytaniem. - Biedny w jednym życiu, bo-
gaty w następnym... król i niewolnik, i wszystko inne pomiędzy nimi.
Kiedy przeżyjemy dość wcieleń na to, by odnaleźć swoją drogę z po-
wrotem ku Bogu, zobaczymy, że to wszystko było sprawiedliwe.

Karaden podparł się na łokciu, a na jego twarzy odmalował się wyraz koncentracji.

-Ale dlaczego, droga Mim, wymagają od nas tej ciężkiej drogi? Dlaczego, po pierwsze, jesteśmy od nich oddzielani, wyrzucani z raj, zostawiani, byśmy się błąkali z życia do życia i w męce dowiadawali się tego, co już kiedyś wiedzieliśmy? Czy nigdy nie zastanawiałaś się nad tym, czy nie jest to po prostu okrutna zabawa, podczas której przyglądają się naszym wysiłkom?

- Spoglądasz teraz w mroczny wir, Karadenie. Są rzeczy, których nie możemy wiedzieć, których wiedzieć nam nie wolno.

- Aleja chcę wiedzieć, Mim! Będę faraonem i będę kapłanem, i jeśli będę mógł się tego dowiedzieć, to zrobię to.

- Wzywasz bogów, mówiąc w ten sposób, Karadenie - powiedziała z niepokojem.

- Nie - odparł z wielką powagą. - Ja po prostu wzywam ich do tego, by mi odpowiedzieli. To uczciwe pytanie.

- Może dlatego, że jesteś królem!

- Nie... - zaprzeczył pośpiesznie. -Dlatego, że jestem człowiekiem.

Podczas tych spotkań Karaden mówił o byciu władcą, a Mim o przepowiedni. Dzielili się ze sobą swymi tajnymi obawami... ale kiedy rozstawali się na noc, Mim śpieszyła do swej celi, czując ekstazę i strach. Klękała przed Boginią i wylewała swoje zadziwienie i strapienie.

- Co mam robić? Och, wielka królowo niebios - błagała. -

Wcale nie chciałam, żeby tak było!

Błagała o pokierowanie nią, jak to miała w zwyczaju, ale bogini nie odpowiadała.

350

Następne dni i noce stały się dla niej torturą, każdy oddech miał nowe znaczenie. Modliła się do bóstw, rozumiała i pokierowała nią. Karaden również był bóstwem, nie czuła się w stanie dorównać żadnemu z nich. Jej namiętność, która zdradziła ją, bo nie potrafiła zająć go żadną myślą poza myślą o nim, nie była jej pomocą, bo nie widziała tego jako grzechu, ale jako wyraz energii bogini, którą nauczono ją przekazywać.

- Czyż nie kochałaś Ozyrysa ponad wszystkich na świecie? - wołała w swych modlitwach. - Czyż nie poruszyć meoziemią swą

siłą miłości do niego?

Jednak bogini milczała i w żaden sposób nie odpowiadała na jej pytania.

Dzień mijał za dniem, a Mim i Karaden zalewani byli w rozkoszy narastającej miłości. Mówili sobie, że nic nie może ich rozdzielić. Inne kandydatki do kapłaństwa bywały uwalniały się z czystości... inni faraonowie dokonywali samobójstwa, a miast przyjmować układ planowany przez dwór,

W niewinności swej Mim uważała, że ich miłość, jak wschód słońca lub fazy księżyca, nie miały nymi przyjaciółmi i znali nawzajem swe kroki w wielkiej spirali miłości. Karaden mówił jej, że będzie jego królową, a ona była tak pewna tego, że mogą się pobrać, iż niemal w ten sposób Wlen (a. Przypominał jej, że jest ziemskim wcieleniem boga) mógłby się z boginią bez żadnych strasznych konsekwencji.

- Uproszę mojego ojca - mawiał - a on porozmawia z Najwyższą

Kapłanką. Na tronie Chemu zasiadali jej kapłani, a nie piątki.

Jeszcze nie złożyłaś ostatecznej przysięgi czystości - Nuwyższa Kapłanka

rozumie, że najlepiej będziesz mogła służyć twój bogini

i ludziom jako moja królowa.

Żywiła więc z całego serca nadzieję, że jej miłość. Jednak prośby Karadena nie zostały wysłuchane.

* * *

Kiedy Mim przybyła na wezwanie Karadena, zastała go chodzącego w tę i z powrotem jak bestia w klatce. Gniew promieniował z niego, bijąc od jego zaciśniętych pięści, tak jakby trzymał w nich piorun. Nigdy przedtem nie widziała jego wściekłości.

- Faraon przemówił! - rzekł z ironią.

Nigdy wcześniej nie słyszała, by mówił bez szacunku o swoim ojcu, więc zmartwiła ją moc jego gniewu.

- Mamy nakazane nigdy się więcej nie spotykać! Powiedziano mi, że stanę przed Otchłanią natychmiast. Jeśli przeżyję, moja nauka będzie uznana za ukończoną i nigdy tu nie powrócę, z wyjątkiem dworskich uroczystości.

Mim skamieniała, cała nadzieja zniknęła z niej w mgnieniu oka. Życie rozciągało się teraz przed nią jak piaski pustyni: nagie i nieskończone. Gdyby serca mogły pękać, to jej własne pękłoby natychmiast. Czuła, że ten ból pozostanie w niej, nawet kiedy klepsydra odmierzy pięć tysięcy lat.

Karaden podszedł do Mim i chwycił ją za ramiona, zmuszając, by spojrzała na niego zapłakаныmi oczami.

- Nie myślałem o niczym innym przez noc, tylko o tym, ukochana. Możemy jeszcze zwyciężyć. Ale droga przed nami jest pełna niebezpieczeństw. Musisz wysłuchać mojego planu.

Mim skinęła głową, zbyt oszołomiona, by dziwić się jego gwałtowności. Tylko król mógł myśleć o stawieniu czoła zarówno faraonowi, jak i Bogini.

- Jeżeli nie będziesz dziewicą, nie będą mogli cię poddać ceremonii poświęcenia, którą planują.

Podniosła wzrok, wstrząśnięta do głębi duszy. Czyżby sugerował, że mogą oszukać Boginię?

- Tak, ale zostałam obiecana!

- Ale nie przez siebie samą, ukochana - sprzeciwił się. - Nie widzisz tego? Twoi rodzice poświęcili cię bez twojej zgody. Masz prawo się sprzeciwić. - Wyprostował się, ale nadal więził jej spojrzenie swoim wzrokiem. - Tak samo jak ja mam prawo odrzucić dokonany przez mojego ojca wybór narzeczonej.

Wyciągnął ręce i chwycił ją w szalony uścisk. Począł ją całować, dając upust skrywanej od tak dawna namiętności, obejmując ją, do-

352

tykając, poznając. Ją też ogarnęła żądza przerastająca wszystko, co kiedykolwiek mogła sobie wyobrazić. Pragnęła go, a targające nią pożądanie było potęgowane rozpaczliwym strachem przed jego utratą- Jego ręce pieściły jej piersi, twarz i samą duszę. Oszał z miłości i w tym momencie gotowa była pozwolić mu na to, czego chciał... ale cofnął się, usiłując zachować panowanie nad sobą.

- Nie tutaj - powiedział. - Dzisiaj wieczorem, za świątynią, przez labirynt. Poślę po ciebie Zęba, mojego sługę. Doprowadzi cię do mnie. Potem złożymy naszą miłość w ofierze obojgu naszym bogom i poprosimy ich o błogosławieństwo.

- Ale Bogini będzie się gniewała...

Karaden cofnął się o krok i spojrzał na nią. Cała jego postawa świadczyła o mocy jego boskiego pochodzenia.

- Jestem z rodu faraonów - powiedział. - Też wywodzę się od bogów, a Ra jest potężniejszy niż Bogini. On będzie miał więcej do powiedzenia.

- Ale ja jestem śmiertelniczką, Karadenie! - zaprotestowała Mim, przerażona jego sugestią. - Co się stanie ze mną, jeżeli bogowie będą walczyli o nasze dusze?

Nie odpowiedział jej, gdyż, ogarnięty miłością i pewnością siebie, nie był w stanie patrzeć trzeźwo. Ale Mim nagle doznała wizji i przez ułamek sekundy dojrzała prawdę: kiedy bogowie walczą o śmiertelników, to wśród zwycięzców są tylko bogowie.

Opuściła go, ogarnięta jakimś szaleństwem. Powiedziała Meri--Neyt, że jest chora i musi pozostać sama w swej komnacie, a Meri, znając dobrze przyczynę jej choroby, poprosiła ją tylko, by się strzegła. Ale Mim była oślepią miłością.

W podziemiach kompleksu świątynnego znajdował się labirynt katakumb. W dawnych czasach stała tu inna świątynia, bo Sakkara była świętym miejscem w sieci energii Ziemskiej Matki i była poświęcona jej płomieniowi. Stare ruiny zawsze przyciągały Mim, czuła moc w tym dziwnym jaskiniowym świecie, rozciągającym się pod świątyniami, moc, która była bardziej kojąca niż jakakolwiek inna. Być może, to energia Ziemskiej Matki pulsowała ze starożytnych kamieni i piasków, a może to niepojęta cisza sprawiła, że czuła, iż wkracza do ciszy bogów.

353

Pośpieszyła do tego sekretnego miejsca pociechy, bo tam mogła się uporać ze swoim żalem,

strachem i strapieniem. Błąkała się wśród starożytnych zakamarków, należących do dawno zmarłych kapłanek, odbywając w myślach dziwne, rozpaczliwe rozmowy i nie wiedząc nawet, dokąd idzie.

Być może, prowadziła ją jakaś niewidoczna ręka, bo po pewnym czasie, którego upływu nie potrafiła nawet dostrzec, znalazła się w miejscu, którego nigdy przedtem nie odwiedziła. Była to wielka okrągła komnata wykuta w bazalcie i piaskowcu, której dwanaście wielkich nisz, stworzonych przez człowieka albo przez naturę, tworzyło sanktuarium.

Zdziwiona Mim podeszła do najbliższej niszy, z której wnętrza dobywał się mieniący kolorami blask. To był blask nie z tej ziemi, odmienny od światła dochodzącego z góry, tak jak muzyka sfer niebieskich musiała być różna od muzyki ziemskiego harfisty.

Blask przyciągał ją nieodparcie.

Na ołtarzu wyciosanym z największego kryształu, jaki kiedykolwiek widziała, stał Amulet Izdy. Ale nie taki, jakim go widziała w domu ojca.

Teraz pulsował energią Bogini. Promienisty, zapierający dech w piersiach, potężny, przekraczający zdolność pojmowania zwykłego śmiertelnika... pobłogostawiony przez samą Wielką Matkę. Bo-jaiń wypełniła młodą kapłankę, bo w tej chwili rozumiała, że zabłąkała się do miejsca najświętszego ze świętych. Ta komnata była Jej Macicą.

To był znak. Bez wątpienia sama Bogini doprowadziła ją tutaj, do tego skarbu, żeby mogła rozwiązać swój okropny dylemat. Mim Atet-Ra uklękła i wzniosła dzięki za to, że jej modlitwa została wysłuchana. Wszystko wydawało się teraz tak jasne, że później zadawała sobie pytanie, czy może oszalała wówczas z miłości. Dotknęła magicznego amuletu.

W tymże niesamowitym momencie moc Bogini przepłynęła przez nią, jakby była grotem pioruna! W przebłyku niewysłowio-nej mocy naprawdę rozumiała wielkość kapłaństwa. Energia Bogini przepłynęła przez nią, napełniając każdą jej komórkę jaskrawym światłem. Poczwała, jak jej miednica rozszerza się w nie-

354

skoni „nos'ć, stając się Tygłem Matki. Była esencją kobiecości! Wyni>nona poza swe materialne granice dojrzała wieczny plan: szczt -ófowy plan dla ludzkości. Dostrzegła męski i żeński składnik i <[a w całej ich odwiecznej kruchości. Rozumiała, że chociaż "ęzczyźni czują, iż mają moc w swoich lędźwiach, to w rzeczy- <tości jest to ich najśłabszy punkt, bo prowadzi ich do szaleńczych czynów i marnowania czasu. Ale u istot rodzaju żeńskiego te jest Boski Oórodek, rdzeń mocy tak potężnej, że utrzymuje świaiprzy życiu, ponieważ kobiety są tygłem, z którego wywodzi się życie.

B ta oczarowana... pijana mocą, której jeszcze nie nauczono ją pozymwać.

Ivtedy zrobiła coś rozpaczliwego. Dopuściła się czynu, który na wieczność pozostanie niepojęty.

Zajęła Amulet z ołtarza. W pobliżu nie było nikogo. Przez kilka godz.i nikt by nie zauważył jego zniknięcia. Czyż to nie sama Matka dc prowadziła ją tutaj, by pomóc jej w potrzebie? Weźmie go do Karadena. Będą razem modlić się do Wielkiej Matki o łaskę, a ona zobaczy czystość ich miłości i wysłucha ich modlitwy.

Wóciła do siebie, by odpocząć nieco przed planowanym spotkaniem z Karadenem. Ukryła Amulet lzydy pod tuniką blisko serca i po fewnym czasie usnęła.

W-: śnie przyszła do niej Bogini lzyda. Była odziana w chwałę przekraczającą to, co kiedykolwiek znali śmiertelni... dosiadała sierpa księżycy, a najwspanialsze gwiazdy na firmamencie oświeślały swym blaskiem jej koronę. Była cudowna i groźna na sposób nieśmiertelnych, a jej głos brzmiał potężniej niż wszystkie trąby na świecie.

- Kapłanko, córko, powstań i wysłuchaj mnie! - zażądała.

Mim poczuła, jak jej astralne „ja” unosi się z granic jej leżącego na łóżku fizycznego ciała, związane z nim tylko za pomocą srebrnej eterycznej nici, która karmi Ka.

Stała w pozycji kapłanki, z uniesionymi przed sobą rękami, a potem skłoniła się, przerażona i krucha, tak jakby Tehuti odmierzał resztkę jej życia na swej wielkiej wadze. Wszelka arogancja opadła z niej pod Wieczystym Spojrzeniem, bo było ono Wcieloną

355

Prawdą. Jej dusza drżała przed Matką, gdyż łuski opadły z jej oczu i już wiedziała, jak strasznie zgrzeszyła.

- Grzech jest w sercu i myśli tak samo jak w czynie - zagrzmiała Bogini. - Zgodziłaś się oddać Karadenowi to, co obiecałaś mnie.

Nie pozwolę, by ze mnie kpiono!

Mim mogłaby się spierać z sędzią-człowiekiem, bo nadal wierzyła w swoje argumenty, ale nie z Nią, gdyż racjonalizm nie jest prawdą.

- Skradłaś mój Amulet dla osobistej korzyści...

Przysięgam na życie, Wielka Bogini, że nie myślałam o tym w ten

sposób! - chciała zawołać i upaść przed jej okropnym gniewem, by błagać o przebaczenie, ale była kapłanką, więc takie zachowanie obrażałoby Boską Matkę. Bogini widziała wszystko, co przenika serce dziewczyny, i nieco złagodziła swój gniew.

- Dam ci jednak ostatnią szansę poprawy - oznajmiła — bo większa wina leży po stronie tego, który doprowadził cię do tego

szaleństwa. Mimo twojego grzechu, Mim Atet-Ra, w twym sercu jest czystość i dobroć, a Tehuti różnymi miarami waży grzechy tych, którzy kierują się uczuciem i tych, którzy kierują się wyrachowaniem.

Ja również.

Jest pewna wada w konstrukcji śmiertelnych, która musi tu być wzięta pod uwagę: wolna wola, którą daliśmy im podczas stworzenia. To był nasz jedyny błąd.

Uniosła dłoń i wtedy niebiosa rozdzieliły się, jakby rozsunięto zasłonę, zabierając z nią gwiazdy, planety, galaktyki i wszystko, co było dalej...

- Dwie przyszłości... - zagrzmiały jej słowa, które odbity się echem w korytarzach czasu, podczas gdy Bogini zniknęła sprzed oczu Mim.

Wtedy przed wstrząśniętą kapłanką roztoczył się widok świata.

Zobaczyła w swej wizji Karadena. Był wielkim i szanowanym faraonem, ukochanym przez lud dwóch królestw, bo dawał im samo dobro. Patrzyła, jak rozwija się jego życie: od młodości, przez wiek męski, do starości... widziała, jak staje do walki przeciw Etiopczykom i zapobiega klęsce głodu, dokonując zręcznych manipulacji handlowych i otwierając przed ludem spichlerze faraona. Jego rzą-

356

dy były długie i owocne, błogosławione pięcioma córkami i synami, których kochał, i spokojnym dostatnim królestwem.

Przez cały ten czas u jego boku znajdowała się królowa: dobra i kochająca go kobieta, która dbała o ład w jego domu i wносиła radość do jego serca. Mim myślała, że serce jej pęknie z bólu, kiedy zobaczyła inną na miejscu, o którym ośmielała się myśleć, że należy do niej.

Wizja zniknęła. Znowu noc pełna diamentowych gwiazd przesłoniła jej widok, a głos Wielkiej Matki wypełnił przestrzeń wieczności.

- To też przyszłość - obwieściła grzmącym głosem, który mógłby zetrzeć góry w proch.

Welon niebios odsunął się ponownie, odsłaniając godzinę jej planowanego spotkania z Karadenem.

Wstrząśnięta i do głębi zafascynowana Mim zobaczyła samą siebie, leżącą w objęciach Karadena. Patrzyła, jak uprawiają akt miłości, jak mogą robić tylko ci, którzy narodzili się po to, by być razem, czując wspólnotę swoich istot w ciele i duszy. Ona, która nie wiedziała nic o tym, jak kochać mężczyznę,

wiedziała wszystko. On, który wiedział wszystko, uczył się jeszcze więcej z jej ufności. Przyglądała się, ledwie zdolna oddychać, gdy ich indywidualna siła tycia opuściła swe naturalne miejsce i zaczęła zamieszkiwać w obojgu, by mogli być jednością. Czuła jego dłonie i usta na swych sekretnych miejscach, czuła wilgoć narastającej żądz i gwałtowny puls, który spycha wszystko do błogości. Przeżywała swą miłość do Karadena w każdym zmysłowym, skrajnym szczególe.

Opuścił ją, zanim nastał ranek. Czuła jeszcze ciepło jego pocałunków na ciele, a jego nasienie już kiełkowało w jej macicy. W bo-łości swojej wzmocnionej wizjonerskiej mocy Mim dojrzała, że został wezwany do przejścia próby Otchłani.

Mówiono, że Karaden jest największym talentem ze wszystkich, których kapłani kiedykolwiek uczyli. Jednak wstąpił na drogę Męki zdekoncentrowany przez ich miłość i osłabiony przez ich ekstazę.

Patrzyła, jak umiera.

Z bólem serca, którego nawet nie można wyrazić, widziała, jak nowy faraon zajmuje miejsce Karadena na lotosowym tronie. Był

357

mniej godnym człowiekiem o nikczemnych zwyczajach i niestałej moralności. Zobaczyła, jak doprowadza krainę Chemu do zniszczenia, głodu i wojny. W ślad po wojennej rzezi przyszła straszna zaraza.

Zobaczyła także, że poczęła córkę z Karadenem. Obserwowała wzrastanie tego nadzwyczajnego dziecka w świecie, który stał się niebezpieczny dla obdarzonych darem, i wiedziała, że urodziła istotę wybraną do specjalnego losu.

Uszła z dzieckiem na pustynię, by uciec od niebezpieczeństw, jakie zapanowały w Chemu-Amenti. Prowadziły życie ascetycznych uciekinierek na obrzeżach tego, co było niegdyś jej światem. Wychowywała córkę zgodnie z naukami Matki.

Lud wołał do bogów w rozpacz, gdyż niegodni kapłani opanowali świątynie i Moce Ciemności przytłoczyły Światłość. Zanim wizja zbladła, Mim zobaczyła, jak jej córka idzie do świątyni Sechemet, by walczyć z jej kapłanami w obronie Matki. Nie zobaczyła już jednak, czy przegrała, czy odniosła triumf.

Wizja rozmyła się w nicość i Mim została ze wzrokiem utkwionym w Otchłani Wieczności, gdy Bogini znowu zapełniła firmament przed jej pełnymi łez oczami.

- Wybieraj! - zażądała tonem nie dopuszczającym litości.

Mim dokonała wyboru.

O Karadenie, wieczny ukochany! Czy czekałeś na mnie w wyznaczonym miejscu? Czy wołałeś w rozpacz i myślałeś, że jestem okrutna lub płocha, bo cię zawiodłam? Bogowie nie pozwolą na to, by śmiertelnicy z nich kpili, najdroższy przyjacielu. Zostaliśmy wezwani po to, by służyć albo cierpieć. Wybór

należy do nich.

Czasami w moim smutku myślałam - niech Izyda przebaczy mi, jeśli zbłądziłam - że bogowie są o wiele mniej sprawiedliwi niż ludzie.

Maggie poczuła, że jest przenoszona nieubłaganie z powrotem do normalnej świadomości. Głos Mim nadal rozbrzmiewał jej w uszach. Wszystko było jasne. Pamiętała każde słowo.

Usiadła w łóżku oszołomiona i zdezorientowana, a potem, chwiejąc się, zmusiła się do wstania. Podeszła do okna i zapatrzyła

358

się niewidzącym wzrokiem w nowojorską noc, która teraz wydawała się tak obca. W jej ciele żyły obrazy Egiptu, równie wyraźne jak wspomnienia tego, co widziała poprzedniego dnia. Serdeczni przyjaciele dostrojeni do nie spełnionej przez pięć tysięcy lat miłości... wiem, kim jesteśmy dla siebie nawzajem.

Ta historia miała jakiś koniec, wiedziała to z absolutną pewnością. Ale czy ten koniec był wtedy i tam... czy tutaj?

I teraz.

Drżącymi rękami wybrała numer telefonu Petera i prosiła go żeby przyszedł, bo powinien się czegoś dowiedzieć.

Rozdział 57

Maggie leżała na kozetce w gabinecie Stratera, mając nadzieję, że znajdzie w sobie siłę, by przejść przez to, co ją czeka. Nie miała już teraz wyboru: musiała dowiedzieć się zakończenia. Peter stał ze zmarszczonym z troski czołem przy regale na książki, który przysłaniał ścianę za biurkiem doktora. To była również opowieść o nim.

Heinrich Strater opuścił żaluzje, włączył magnetofon i usiadł przy Maggie z cichym westchnieniem człowieka, który ma przystąpić do trudnego zadania. Kiedy opowiedziała mu o wizji, jakiej doznała w nocy, zaniepokoił go stan jej umysłu. Dzisiaj miał spróbować znaleźć rozwiązanie tej niesamowitej historii, które pozwoliłoby jej na odnalezienie spokoju.

Wziął rękę Maggie w swoją dłoń i trzymając mocno, wprowadził kobietę w stan hipnozy.

- Moja droga Maggie - powiedział, kiedy był pewien, że już jest w transie. - Odbędziemy podróż wstecz w czasie, by znaleźć odpowiedzi, których tam poszukujesz. Proszę cię, byś powróciła do czasu kapłanki Mim po jej konfrontacji z Boginią Izydą. Kiedy dotrzesz do tego momentu, podnieś prawą rękę, by mnie o tym powiadomić. Rozumiesz?

359

Głowa Maggie poruszała się somnambulicznie w tę i z powrotem. Wyglądała na całkowicie spokojną. Po około dwóch minutach jej ręka uniosła się do góry.

- Bardzo dobrze, Maggie. Dziękuję. Teraz chciałbym, byś nam powiedziała wszystko, co uważasz za możliwe na temat tego przeżycia sprzed wieków. Rozumiesz?

- Zapłaciłam wysoką ceną za te wspomnienia - odparła Mag-gie-Mim. - To ja decyduję o ich ujawnieniu. Nawet Bogini nie może mi tego odmówić.

Peter i Strater wymienili spojrzenia. Psychiatra przyłożył palec do ust, nakazując księdzu, by zachował ciszę. Mim była teraz z nimi... zaczęła mówić.

- Zostałam obudzona na długo przed świtem przez Meri-Neyt.

Miała ponurą minę i byłam całkiem pewna, że ona dobrze wie, co się stało, ale prawdę mówiąc, byłam zbyt obalana i znużona, by bardzo się tym przejmować. Czym była ziemską reprimenda dla mnie, tej, która została ukarana przez Boginię? Bez słowa ubrała mnie w ceremonialną suknię, założyła mi złotą opaskę na biodra i zaprowadziła do sanktuarium Najwyższej Kapłanki.

„Będziesz poddana dzisiaj próbie, Mim Atet-Ra” - powiedziała obojętnym tonem Czcigodna Matka. Jednak gdy stałam przed tronem Najwyższej Kapłanki, widziałam wyraźnie współczucie wypisane na twarzy Meri-Neyt. Wiedziałam od razu, że moja ukochana nauczycielka myśli, iż umrę podczas Męki. Czułam, że pomiędzy nimi dwiema doszło wcześniej do sprzeczki, ale czy ktokolwiek może się sprzeczać z Najwyższą Kapłanką? - zapytałam w duchu. - Czy ktokolwiek by się ośmielił? Kości zostały rzucone i ja, chociaż nie przygotowana, musiałam tego dnia przejść przez wielką próbę. Też przypuszczałam, że zginę, ale wcale o to nie dbałam.

Meri-Neyt zbliżyła się, by mnie przygotować zgodnie z zasadami.

„Oto są prawa Męki” - powiedziała swym ceremonialnym głosem i wiedziałam już, że cała moja niewinność została za mną i teraz muszę przejść próbę, czy się skończy dobrze, czy źle. Nie byłam już dzieckiem ani uczennicą, ale wojownikiem na polu walki bogów.

360

„Traktuj wszystkie pokusy podejrzliwie. Wiele z nich jest pułapkami umysłu, serca i ducha, które będą na ciebie zastawione” - ostrzegła mnie Meri-Neyt. - „Nikommu nie ufaj, tylko własnemu sercu.

Udzielaj mądrej rady wszystkim, którzy jej poszukują, ale nie trać sił na tych, którzy pozbawiają cię energii, a nie mają dość woli, by zmienić samych siebie. Nawet w ostatecznym momencie czystość i prawda pokonają armie. Otocz swe ciało ich pancerzem.

Ta męka jest mikrokosmosem. Twoja śmiertelna inkarnacja ma służyć doskonaleniu duszy. Całe życie jest jedynie wstępem do twej podróży ku domowi. To, przed czym stoisz dzisiaj, spotyka wszystkich przed powrotem. Życie nie zna litości, więc bądź dzielna.

Pamiętaj te zasady: wiedzieć, mieć wolę, ośmielać się, zachować milczenie. Jeśli nie spełnisz którejś z tych zasad, przegrasz wszystko".

Uśmiechnęła się wtedy do mnie i zobaczyłam w jej twarzy miłość i dobrą wolę.

„Czekam, by powitać cię zwycięską!" - zawołała głośno na koniec.

Zdało mi się, że widzę, jak posyła buntownicze spojrzenie w kierunku Czcigodnej Matki, ale to mogło być tylko złudzenie. Potem klepnęła mnie mocno między łopatki w Rytuale Łączącej Nici, który oznaczał przekazanie mocy od nauczyciela do ucznia. Ta nić miała nas łączyć na zawsze, gdyż nosiłam w sobie dar jej mądrości.

Obwiązała mnie jeszcze fartuszkami Wyższych Tajemnic, a potem nałożyła mi przepaskę na oczy i zaprowadziła do podziemnej komnaty, gdzie miała się zacząć moja próba.

Nie mogę pod groźbą śmierci mówić o szczegółach samej Męki. Ale wolno mi podzielić się z tobą niektórymi rzeczami, gdyż ludzkość potrzebuje teraz wiedzy w równym stopniu jak wtedy.

Zobaczyłam Komnatę Tortur - okropny świat nie kończącej się ciemności, gdzie ci, którzy dręczą innych, zbierają żniwo swego okrucieństwa.

Pokonałam krainę, gdzie Szerzący Nienawiść cierpią męki swych zatrutych języków.

Zobaczyłam krainę, gdzie przebywają fałszywi kapłani i prorocy, skazani na wieczne życie ze swoimi kłamstwami.

361

Przebyłam krainę, gdzie przebywają bogaci i potężni, którzy wykorzystywali dobra tego świata dla samolubnych celów. Tam cierpią głód, pragnienie i noszą łańcuchy tych, których mogli uratować swoim miłosierdziem.

Potem zobaczyłam Krainę Wiecznej Ciemności, gdzie są posyłani ci, którzy czynili zło w kolejnych wcieleniach, by zbierali bolesne żniwo tego, co zasiali. Skazani na towarzystwo im podobnych i na chaos, który chcieli sprowadzić na innych.

A potem zobaczyłam Wielkich, którzy przyglądają się ziemi i jej dzieciom i wspomagają tych, którzy pracują dla dobra człowieka. Jest to miejsce, gdzie odpowiada się na wszystkie szczere modlitwy.

Przybyłam dalej do Krainy Ksiąg, gdzie jest zapisana cała długa historia ludzkości, i odczytałam tam spiralę ludzkiej drogi, która pnie się do góry z chaosu do Królestwa Matkiojca.

Słyszałam Muzykę Sfer i widziałam Krainę Mądrości, gdzie wszyscy są sądzeni nie w oparciu o to, co wiedzą, ale o to, na ile hojnie się tym dzielili.

Potem doprowadzono mnie do Siedmiu Wielkich Mąk, gdzie zostałam zmuszona do stawienia czoła moim najgłębszym i najokropniejszym obawom. Przebrnęłam ruchome piaski Mokradła Niespełnionych Marzeń, przebiegłam po Równinie Łuczników, gdzie każda strzała jest wykonana z rozpaczliwego strachu... przepłynęłam Rzekę Krwi, której strumień zasilany jest przez tych, którzy mogli byli umrzeć, gdybym ja nie wyciągnęła ku nim pomocnej ręki... pokonałam Równinę Płomieni, które żywią się dumą, żądzą, zazdrością i gniewem... stawiłam czoła Siedlisku Żmij, gdzie złudzenia oplatają stopy człowieka jak macki, a trucizna zazdrości lub zachłanności wysysa każdą komórkę.

Doktor Strater zerknął na Petera, który wyglądał tak, jakby coś go gnębiło: miał zmarszczone czoło, może z troski o Maggie? A może było to coś więcej...

Zwrócił ponownie uwagę na pacjentkę. - Myślałam wtedy, że już po wszystkim - powiedziała Mim -ponieważ zobaczyłam emanującą dobrem postać, która kroczyła ku

362

mnie, niosąc olbrzymią kobrę będącą znakiem wzniesionej kunda-lini i otwartym Trzecim Okiem iluminacji. Więc zbliżyłam się do tej postaci z ulgą, a nie z obawą. Gdy zrównałam się z nią, okropny wąż uniósł się i zwinął do ataku, a ta postać cisnęła go na moje wyczerpane, nie spodziewające się niczego ciało! Głowa jadowitego gada błyskawicznie wysunęła się ku mnie i byłam w tym momencie bliska zguby. Jednak refleks wyprzedził myśl i rzuciłam skręcającego się gada na ziemię. Odszukałam Promień Oka czyli magiczną różdżkę umysłu Jttóra ma moc podpalenia całego świata, kiedy skupi się ją w soczewce oka.

Wezwałam resztki siły, jakie mi zostały, i zwróciłam promień na węża. Ale akurat gdy już miałam go zabić tą siłą, zrozumiałam, że mi nie wolno, dlatego, że o wiele większym zwycięstwem byłoby pokonanie go miłością.

Zebrałam moc myśli, zwalczając odrazę i strach, i zastąpiłam je miłością do tak pięknego choć śmiertelnie groźnego przeciwnika. Zahipnotyzowałam węża Promieniem Oka, a potem posłałam mu z

serca promień miłości. Gdyby wyczuł nasze pokrewieństwo, nie pragnąłby mnie skrzywdzić. Cofnęłam się i zebrałam siłę do centralnego promienia, który jest wolą i siłą potrzebną do czynienia cudów.

Peter podniósł się z krzesła, na którym dotychczas siedział. Wyglądał na tak poruszonego, jakby w jego wnętrzu toczyła się jakaś okropna walka. Strater zmarszczył brwi. Na tym etapie zakłócanie hipnotycznego transu Maggie nie było wskazane. Można wyrządzić pacjentowi krzywdę przez zbyt gwałtowne przywrócenie go do teraźniejszej świadomości. Nakazał Peterowi gestem, by się nie ruszał.

- Kobra zwinęła kaptur - ciągnęła podnieconym tonem Mim -i zobaczyłam, jak maleje moc jego obrony. Jej ruchome oczy odszukały moje... przesłałam jej miłość i przyjaźń. Potem po prostu zniknęła, ale razem z nią zniknęły resztki mojej energii. Wiedziałam, że będę zgubiona, gdyby oczekiwano ode mnie jeszcze czegoś więcej.

363

Nagle ukazało się przede mną dwoje drzwi i usłyszałam donośny głos - Za jednymi zwycięstwo... za drugimi unicestwienie!

Taki prosty test po wszystkim, co zniosłam? Sięgnęłam moją intuicją i dotknęłam nią drzwi - za jednymi wyczułam bezpieczeństwo, a za drugimi tylko pustkę.

Wtedy ukazała mi się najdziwniejsza wizja... całkiem wyraźnie dojrzałam Meri-Neyt pokazującą mi gestami, bym wybrała te drugie drzwi! Całe życie była moim przewodnikiem i doradcą, więc zatrzymałam się natychmiast i jeszcze raz sięgnęłam przed siebie moją wewnętrzną wiedzą. Ale znowu dostrzegłam życie za drzwiami po lewej stronie, a śmierć za tymi po prawej.

Stałam na tej dziwnej, pustej równinie sparaliżowana wahaniem. Meri nie mogła mi źle radzić... jednak czułam każdym włókmem swego ciała, że wybór, na który wskazuje, jest zły. Desperacko usiłowałam przypomnieć sobie słowa jej napomnień i wtedy przyszło mi to do głowy... nie ufaj...

Maggie nie dokończyła zdania, ale zrobił to Peter.

- Nie ufaj nikomu, tylko własnemu sercu! - wykrzyknął, dopadając jej boku.

- Co robisz? - krzyknął z przestraszeniem Strater.

Jednak Peter porwał bezwładne ciało Maggie w ramiona, nie zwracając uwagi na psychiatrę.

- Naga i samotna, ukochana, ty podejmujesz własny wybór! -

wyszeptał do niej gorączkowo. - Wszystko inne jest jedynie iluzją.

To była próba, której nie pokonałam, Mim. Próba Otchłani. Ty nie możesz jej nie pokonać!

Maggie dalej mówiła głosem Mim. Było oczywiste, że albo nie słyszy słów Petera, albo nie chce ich słyszeć.

- Otworzyłam drzwi po lewej stronie - podjęła na nowo swoją opowieść. - Powitał mnie za nimi chór aniołów... Wiedziałam bez wątpienia, że ostateczna próba jest taka: w chwili prawdy nago i samotnie musisz dokonać własnego wyboru. Wszystko inne jest jedynie iluzją.

364

Peter oparł głowę na piersiach Maggie, a tzy zaczęły mu spływać o policzkach. Wyglądało na to, że był w takim samym transie jak Dojrzał, jak Maggie-Mim kładzie dziwnie obronnym gestem • dna rękę na ramionach mężczyzny i wraca do swej opowieści.

_ Nagle znalazłam się znowu przed obliczem Najwyższej Kapłanki w jej złocistych ceremonialnych szatach, i kiedy patrzyłam na nią jak oczarowana, rozmyła się w nicość, a tam, gdzie stała, pojawiła się Bogini. Jej chwata była wspanialsza niż cały świat.

„Stawiłaś czoła otchłani. Mim Atet-Ra, córko Izdy. Zgrzeszyłaś i odpokutowałaś. Zostałaś poddana ciężkiej próbie, ale wyszłaś z niej zwycięsko. Dlatego zostaniesz ukarana i nagrodzona, bo to wszystko, co występuje w ludzkim wcieleniu, jest własnym dziełem śmiertelnych.

Powstań, Strażniczko Amuletu Izdy! Dziecko, które urodziłabyś Karadenowi, będzie ci oddane kiedyś w przyszłości.

Będzie moją Wysłanniczką i przez wieczność posiadaczką mojego Amuletu. Ty będziesz jej Strażniczką. Kiedy ludzkość popełni tak wielkie błędy na swej ścieżce, że zagrozi to jej własnemu istnieniu, zostaniecie posłane obydwie. Do śmierci i po niej musisz chronić powierzoną ci tajemnicę, moją Wysłanniczkę i mój Amulet. Ludzkość jest niedoskonała, ale często zadowala mnie, gdyż posiada umiejętność przewyższania siebie samej na takie sposoby, jakich sobie nie wyobrażaliśmy przy pierwszym Stworzeniu. Dlatego da-my Jej jeszcze jedną, ostatnią szansę wzniesienia się ponad swoje wady, chociaż wszyscy inni bogowie mogą się odwrócić.

Jednak wiedz, Strażniczko: wykuto również inny Amulet. Sech-met namówiła moce zła, by sprzeciwiły się mojemu darowi dla ludzkości, i nasyciła wielki onyks sumą wszystkich niszczących sił, które istnieją na tym świecie. Wolna wola może nadal triumfować. Jest tak, gdyż człowiek będzie musiał wybrać pomiędzy naszymi darami. Mogę zrobić tylko jedno, by cię wzmocnić: Kamień Sechmet nie da się nigdy zmaterializować, jeżeli na świecie nie będzie jeszcze Wysłanniczki Izdy. Dlatego gdy Wysłanniczką pojawi się w ludzkiej postaci i zmaterializuje Amulet, wtedy rozpocznie się gra. Zatriumfuje dobro albo

zło. Człowiek wybierze swój własny los.

365

Przez to, że dar, jaki ci daję, jest równie okrutny, jak wspaniały, Mim Atet-Ra, pozwolę ci wypić łyk eliksiru, który złagodzi twój ból.

Zobaczyłam przed sobą złoty kielich i w odrętwieniu przyłożyłam go do ust, ale coś powstrzymało moją rękę.

- Co to za napój? - zapytałam nieustraszenie.

- To Woda Zapomnienia... żebyś nie pamiętała swojego grzechu.

Ani Karadena - pomyślałam. - Ani naszego dziecka.

Oddałam kielich, bo lepiej jest pamiętać miłość pomimo cierpienia. Można to nazwać krnąbrnością lub odwagą... ale nie żałuję mojego wyboru.

Zatem mój ból został stworzony dawno temu moją własną ręką. "Byłam wiele lat po tamtym dniu i wydawały mi się coraz dłuższe, "anim przeszłam przez wrota ziemskiego istnienia, byłam najwyższą kapłanką Bogini Izdy w Sakkarze. Uzdrawiałam i pocieszałam wielu za mojego życia. Wiernie służyłam Wielkiej Matce. Zawsze, we wszystkich wcieleniach od tamtego czasu robiłam to w taki czy inny sposób.

Kiedy moja dusza odbywała swą ziemską podróż, patrzyłam, jak Tajemnice Matki są szargane. Widziałam, jak naruszona zostaje równowaga ludzkości - Pierwiastek Żeński porzucony, Pierwiastek Męski, niosący ze sobą męskie wybryki - u władzy. Kiedy 'udzkość zrozumie, tak jak ja tego pamiętnego dnia objawienia, że życie może rozkwitnąć tylko wtedy, gdy Pierwiastek Męski i Żeński znajdą się w równowadze? Nadmiar któregośkolwiek pierwiastka przynosi wypaczenie i upadek.

Stoimy teraz na wielkim rozdrożu. Wysłanniczka i Strażniczka zostały posłane do ostatecznego zadania, a rywale już się stawili na Polu walki. O Izdo, Ra, brońcie nas i dajcie nam siły! Jesteśmy zhyt ludzcy do tego zadania.

Doktor Heinrich Strater widział wstrząśniętą twarz Petera Mes-songuera wpatrującego się w Maggie, która podniosła powieki i spojrzała głęboko w jego oczy, a potem powiedziała głosem Mim: - Karadenie, ukochana bratnia duszo, gdybyśmy byli prostymi rybakami, mogliśmy przeżyć naszą miłość i zostawić po sobie potom-

366

stwo. Zamiast tego jesteśmy przymusowymi uczestnikami w najstraszniejszej grze ze wszystkich, a los wszechświata zawisł na nitce naszych żądz. O Bogini, pomóż mi, najmniej godnemu ze swych dzieci! Nie

dopuść, bym się zachwiała, aż zostanie zapłacona cena. Wstrząśnięty tym, czego był świadkiem, Strater sięgnął ostrożnie po dłoń Maggie.

- Mim, moja droga - powiedział delikatnie, uświadamiając sobie boleśnie, że również dla niego Mim stała się niewysłowienie prawdziwa. - Dziękujemy ci za podzielenie się z nami twoją wspólną opowieścią... i życzymy ci jak najlepiej w twojej podróży. Będziemy się modlić za ciebie.

Rzucił okiem na Petera, który usiłował dojść do siebie. Wyglądał tak, jakby w ciągu godziny postarzał się o dziesięć lat.

- Proszę, przywróć nam teraz Maggie... Pora, żeby wróciła do nas, do domu - powiedział psychiatra. - Czy podniesiesz prawą rękę, kiedy Maggie wróci?

Dłoń Mim zaczęła się unosić do góry.

- Dziękuję - Strater zamilkł na chwilę. - Pora wejść z powrotem do łodzi na rzece czasu. Pamiętaj pouczyć pilota, że pod żadnym pozorem ma nie być postojów, aż dołyniesz bezpiecznie do roku 1993... tu, do mojego gabinetu.

Po kilku minutach Maggie, Peter i doktor Strater siedzieli w gabinecie, spoglądając na siebie nawzajem. W końcu psychiatra zabrał głos.

- Mówiąc szczerze, nie rozumiem do końca tego, co właśnie przeżyliśmy. Ale wygląda na to, że jest dużo do zrobienia...

- Dziękuję, doktorze Strater - powiedziała zdecydowanym głosem Maggie. - Doceniam to, co pan zrobił, by mi pomóc. Myślę, że wiem teraz, czego miałam się tu dowiedzieć. Obawiam się jednak, że rozwiązanie tej historii nie leży w mocy psychiatrii.

* * *

Peter uważnie obserwował Maggie, gdy usiadła przy małym stoliku. Wyglądała na poranioną przez wspomnienia, które się w niej uwolniły, wypaloną przez wewnętrzny płomień.

Namówił ją, by w drodze z gabinetu Stratera zatrzymali się w kawiarni, ponieważ uznał, że gdy tylko wejdzie do swojego domu, to świadomość nieobecności Cody spłynie na nią jak lodowaty strumień. Była, jego zdaniem, za słaba w wyniku ostatnich przeżyć, by to znieść.

Zamówił dla obojga grzany jabłecznik. Maggie siedziała ze wzrokiem wbitym w parujący kubek, w roztargnieniu przesuwając z boku na bok laskę cynamonu. Wyglądała na słabą i wyczerpaną.

- Byłeś tam ze mną, Peter - powiedziała w końcu.

- Tak - odparł. - Widziałem wyraźnie niebezpieczeństwo w tym labiryncie. To była próba, której sam nie przeszedłem, musiałem bronić cię przed podobnym losem.

Skinęła ze zrozumieniem głową.

- To jest rzeczywiste, czyż nie, Maggie? - zapytał szorstkim głosem. - Dzisiaj po raz pierwszy zrozumiałem, że to jest rzeczywiste.

- Tak, to jest prawdziwe, Peter. Na tym polega problem - rzuciła ostro, omal nie przewracając kubka. - Jezu! Czuję jej młodość, wigor, tęsknotę. Ty jesteś Karadenem. Ellie to Meri-Neyt. Ale co to oznacza, Peter? - Widział po jej twarzy, że jest wstrząśnięta. -1, na rany boskie, dokąd to zmierza? Jest jakieś okropne zakończenie tej historii... czuję, jak się zbliża i przeraża mnie śmiertelnie.

- Wiem, moja droga Maggie - usiłował ją uspokoić. - Wiem, że cię przeraża. Mnie też.

Dokończyli jabłecznik i Peter odprowadził ją do domu, ale wszechobecne poczucie nadciągającego rozwiązania sprawiało, że wszelkie próby rozmowy brzmiały sztucznie. Nie zaprosiła go do środka.

Weszła do swojego pokoju. Czowała się tak niezmiernie zmęczona, że mogłaby spać przez tysiąc lat.

Przechodząc koło sypialni Cody, poczuła ogromne pragnienie poszukania u niej pociechy. Ostrożnie usiadła na krawędzi łóżeczka, bojąc się rozproszyć pamiętane obrazy, które były ukryte w tym sanktuarium. Obrazy małej dziewczynki, pięknej i uroczej jak księżniczki w starych opowieściach bardów. Dziecko o włosach koloru wybielonego na słońcu lnu i tajemniczych szarych oczach, jak ocean przed letnim sztormem. Znowu usłyszała w ciszy pustego pokoju żywe srebro śmiechu, pełnego starożytnej mądrości, i ujrzała

368

cień tego dziecka, które byb tajemnicze i nieśmiałe, jak sfinks. Jak złocista chmura na niedoskonałym firmamencie lub mewa unosząca się nad niebezpieczną falą, nie cała była z tego świata.

- Jak mogłam nie dojrzeć, że nie jesteś stąd? - wyszeptwała w głuchoj ciszy. - Stąd nic uk pięknego jak ty nie może pochodzić.

Dała się zalać fali nieznośnego bólu, wspięła się na nią, unosząc na jej grzbiecie i tonąc w niej. Położyła się na ozdobionej falbankami poduszce, która nadal pachniała talkiem dla dzieci, i ukotysała się płaczem do snu.

Sen zasysał Maggie i włókł ją za sobą w niemiłosiernym uchwycie. Czowała się porwana przez kosmiczny wir i ciśnięta daleko w czasoprzestrzeń... wznosiła się na firmament, mijając gwiazdy i planety, podążając w próżnię.

O Boże, znowu mnie zabierają - pomyślała przerażona, kiedy przed jej oczyma zaczął migać kalejdoskop przeżytych wizji. Zobaczyła siebie i Cody, jak przechodziły przez tuziny wcieleń pod wieloma różnymi postaciami, czasami męskimi, a czasami żeńskimi. Życie za życiem przesuwano się przed nią... jak slajdy w wieczystej przeglądarce. Kapłanki-druidki opiekujące się świętym dębem... kochający się, ale ubodzy małżonkowie w walijskiej wiosce rybackiej... dwie zakonnice w klasztorze z czasów hiszpańskiej inkwizycji... matka i dziecko wśród pionierów z początków kolonizacji Ameryki... wojownicy walczący ramię w ramię na różnych polach bitew. Dziesiątki wcieleń przelatwały przed nią, zyskując ostrość, a potem ją tracąc, przyprawiając o zawroty głowy, aż w końcu Maggie zobaczyła istotę-Cody jako sza-mankę Indian Hopi na wysokim poziomie wtajemniczenia i istotę-Maggie jako Dziadka, który uczył ją szamańskich sekretów.

Nagle hipnotyczny sen znikł i Maggie obudziła się mokra od potu, z żywymi w jej wnętrzu obrazami: pulsującymi, promieniującymi informacjami. Jest w tym pewna reguła - pomyślała. W końcu była w stanie ją dojrzeć.

Więź między tymi dwiema duszami była zawsze absolutna... zawsze jedna z nich była obecna przy śmierci drugiej.

CZĘŚĆ PIĄTA

Sojusznicy

... samotnemu biada, gdy upadnie, a nie ma drugiego, który by go podniósł

(z Księgi Koheleeta)

Rozdział 58

Dwa dni później Peter i Maggie siedzieli nad nietkniętymi hamburgerami w Broom Street Bar.

- Sądzę, że naprawdę musimy o tym porozmawiać, Peter - po

wiedziała w końcu. - Cały czas od regresji czuję strach przed by
ciem blisko ciebie... i ty w oczywisty sposób czujesz to samo... -
przerwała na moment. - Nie wiem, co z tym zrobić.

Peter odsunął filiżankę po kawie, którą obracał w dłoniach, i spojrzał jej w twarz. Jego własna twarz
była ściągnięta od bezsenności.

- Przepraszam, Maggie. Nie byłem ci za bardzo pomocny przez
ostatnie kilka dni. Starałem się odzyskać równowagę. Ciągłe zada
ję sobie pytanie: Kim jesteśmy dla siebie nawzajem? Kim byłem
i kim jestem?

Widać było, że jest równie strapiiony jak ona.

- Wiesz, że poszłam do Stratera - powiedziała Maggie z odro
biną goryczy w głosie - myśląc, że „poznanie” historii Mim spra
wi, że rzeczy będą przedstawiały się jaśniej, lepiej. Ale jest jeszcze
gorzej. Skąd teraz w ogóle możemy wiedzieć, co jest rzeczywiste,
Peter? Borykam się z uczuciami, które wyglądają na miłość do cie
bie, ale jeżeli tak naprawdę to Mim kocha Karadena, i wcale tu nie
chodzi o mnie ani o ciebie? Albo jeśli Mim i Karaden są po prostu
zjawami wytworzonymi przez moją wyobraźnię, a ja po prostu tra
cę zmysły?

Wcale nie chciałam czuć do ciebie tego czegoś, Peter. Spójrz na mnie! Nawet nie potrafię powiedzieć
słowa „miłość”... Ale do cholery, czuję coś niezwykłego wobec ciebie i ty też to czujesz - powiedziała
napiętym głosem.

- Będę z tobą boleśnie szczerą, bo nie wiem, jak inaczej mogła
bym się zachować. Kiedykolwiek jesteśmy razem, odkrywam, że
chcę cię dotknąć... objąć, być obejmowana... i mówić rzeczy, któ
rych nie mam prawa mówić... i to wszystko wydaje się być w jakiś
sposób nieuniknione. Teraz wiem, że to wszystko jest splątane z ty

mi innym wcieleniami.

372

Uniosła ręce do góry w geście rozpacz, nie mogąc tego inaczej wytłumaczyć.

Peter spojrzał jej prosto w oczy i przytrzymał jej spojrzenie. Jego surowe rysy twarzy złagodniały ogrzane wewnętrzną czułością.

- Maggie, Maggie, czyż nie widzisz tego? - zapytał, sięgając po jej ręce i ujmując je mocno w swoje dłonie. - Ja kocham cię teraz! Teraz i być może wtedy... kto wie, gdzie to się zaczęło? I jestem przekonany, że ty mnie kochasz. To jest czyste uczucie. Nieskazitelné. To nie jest coś, czego można by się wstydzić. To, co postanowimy zrobić ze swoją miłością... to niestety może być całkowicie inną sprawą. Ale na teraz, na ten maleńki moment w wieczności, myślę, że musimy postarać się nie dopuścić do tego, by miłość osłabiła nas w jakikolwiek sposób. Jeżeli możemy zyskać siłę z tego, co czujemy do siebie nawzajem, to dobrze. A jeżeli nie... - powiedział, ignorując zaciekawione spojrzenia ludzi siedzących przy innych stolikach.

- W tej chwili jesteś w stanie myśleć tylko o Cody. Nic innego nie jest nawet odrobinę ważniejsze. Zostały nam dwa tygodnie, żeby ją uratować, więc liczy się każda minuta. Nie możesz się rozpraszać, wątpiąc w swoje własne zdrowie psychiczne albo zastanawiając się nad tym, czy kochamy się naprawdę, czy nie. Po prostu kochamy się. Może musisz zwyczajnie się z tym pogodzić. Do trzydziestego kwietnia wszystko ma drugorzędne znaczenie wobec ratowania Cody. Potem... - westchnął wymownie.

Nie powiedział jej, że nie spodziewa się być wśród żywych po trzydziestym kwietnia. Nie było jeszcze potrzeby, żeby to wiedziała. Nie był nawet pewien, dlaczego czuje, że to prawda, ale nosił w sobie niewzruszone przekonanie, że trzydziestego kwietnia czas zatrzyma się dla Petera Messenguera.

Odprowadził Maggie do domu i przekazał ją Marii, polecając jej dobrze się nią opiekować. Kiedy gosposia otworzyła im drzwi, poczuł ulgę również z tego powodu, że już nie będzie sam na sam z Maggie.

Udał się pieszo w długą drogą do swojego wynajętego mieszkania, lecz po pewnym czasie skręcił i ruszył w kierunku Trzynastej Ulicy. Postanowił spędzić tę noc w hospicjum dla chorych na AIDS

373

i przetworzyć to, co czuł, na dobre uczynki. Dzięki temu, gdyby znowu nie udało mu się zasnąć, jakaś biedna dusza w potrzebie skorzystałaby z jego bezsenności.

Rozdział 59

- Wiesz, Amando - powiedziała Maggie następnego ranka,

wpychając papiery do szuflady w biurku, zbyt roztrzęsiona, by się nimi zajmować - cały czas od tej regresyjnej hipnozy zauważam, że zaglądam w każdą szczelinę mojego życia, szukając związków ze starożytnością, jak jakiś kosmiczny inspektor Clouseau. Czuję się rozdarta... jakbym żyła w dwóch przedziałach czasowych.

Amanda podniosła na nią wzrok i zmarszczyła brwi.

- To zupełnie tak jak wtedy, kiedy wszyscy zaczęli się poddawać terapii. Pamiętasz? Wszyscy zaczęliśmy analizować nasze motywacje równie często, jak spoglądaliśmy na zegarki. Uważano, że kluczem do wszystkich działań w życiu jest pytanie: Dlaczego to sobie robię? Jeśli ktoś szedł ulicą i spadł mu na głowę sejf, to na pewno znalazł się tam z jakiegoś powodu. Jak człowiek zachorował, to usiłował przed czymś uciec. Jeżeli umierał, to pewnie miał stary, nie rozwiązany problem, z którym nie potrafił sobie poradzić - stwierdziła ze śmiechem.

- Pamiętam - odpowiedziała Maggie, kręcąc głową.

Amanda potrafiłaby mnie rozśmieszyć nawet u stóp szubienicy - pomyślała z kwaśnym uśmiechem.

- Pamiętam, jak myślałam, jakim to musi być utrapieniem dla Ponurego Kosiarza. Przed Freudem mógł po prostu przyjść po czło wieka, kierując się zwykłym rozkładem: dziadkowie umarli w wie ku osiemdziesięciu sześciu lat, więc mógł umieścić człowieka w swoim planie przyjęć pod osiemdziesiątką szóstką. Kraj przystę pował do wojny, to mógł sobie poprawić wydajność pracy. Głód? Zaraza? Więc przyda się większy wóz. A potem, ni z tego ni z owe-

go, musiał się przyglądać motywilcjom wszystkich ludzi) kt6rych chciał załatwić, żeby zobaczyć, jakie mają stare obciążenia.

Amanda roześmiała się głośno.

_ Chodziło mi o to, moja drogit, ze czy jest w tym regresja; czy nie, to i tak musisz wstać rano i postawić jedną nogę przed drugą. Więc co to kogo obchodzi, co się wydarzyło picć tysiecy ,gt temu albo czy twoja motywacja jest uc/.ciwa? Ważne jest to, co Maggie robi dzisiaj. W każdym razie właśnie to doprowadza cię do szaleństwa. To dzisiaj nie jesteś w stanie wymyślić, jak pomóc Cody.

Maggie wstała i wyłączyła lampkę na biurku.

- Masz absolutnie rację, Amando. Ta beczynność mnie dobija. Ona jest tam, a ja tutaj, a wszystkie moje WySiłki; niepokój i regre-sywna hipnoza nic, do cholery, nie zmieniły. A w dodatku, teraz zastanawiam się, czy nie jestem zakochana w Peterze i nie sądzę, by mogło to być chociaż odrobinę lePsze w tym stuleciu, niż trzy tysiące lat przed Chrystusem.

Amanda, która już podeszła do drzwi sklepu) spojrzAła z troską na Maggie. Miesiąc temu pomyślałaby, że każdy, kto mówi o przeszłych wcieleniach, wykazuje brak piątej klepki, ale teraz dbała o to, z którego tysiąclecia nadej(jzie pomoc dla Maggie, byle by tylko by nadeszła.

* * *

Maggie szła Madison Avenue, próbując zdecydować, czy powinna powiedzieć Devlinowi o tym, czego dowiedziała się podczas hipnozy. W czasie seansu odbierała w ,/ystko j-^ bardzo rzeCzywiste, ale teraz sprawa zaczynała wyg]^ absurdalnie. Chory produkt strapionego umysłu. W jakiś sposób nie byłoby fair nie powiedzieć mu... a poza tym i tak miała do niego zadzwonić. Nie chciała pozwolić sobie na myślenie, że wykorzystuje g0 jako osłonę przed swymi uczuciami do Petera, ale istniała wyraźna możliwość, że to może być prawda. Cholera! Kto mógł wiedzieć, co jest prawdą?

* * *

- Dev - zaczęła niepewnie Maggie, kiedy przybył wezwany jej telefonem. - Naprawdę muszę powiedzieć ci cos' o tym, co działo się ze mną przez ostatnie parę dni, ale to wszystko brzmi tak zwa riowanie, że boję się, że założysz mi kaftan bezpieczeństwa.

Jej telefon poprzedzający tę wieczorną wizytę tylko nieznacznie go zaskoczył. Maggie zniknęła mu z widoku na parę dni po ich wyprawie do Greenwich i nie odbierała jego telefonów. Zamierzał więc dzisiaj sprawdzić, co się z nią dzieje, ale uprzedziła jego wizytę.

Siedział w milczeniu w jej salonie, kiedy opowiadała mu historię Mim. Nie zadawał pytań, ale było wyraźnie widoczne, że słucha uważnie. Przymknął oczy dla lepszej koncentracji i odwrócił od niej twarz. Zanim dokończyła opowieść, Devlin zdjął marynarkę i krawat i nalał sobie szkockiej.

- Usiłowałam dojść do tego, czy ty też byłeś gdzieś w tej historii, Dev - powiedziała poważnie - a jeżeli tak, to kim byłeś.

- Liczy się to, kim jestem teraz, Maggie - odparł zdecydowanie. W jego słowach pobrzmiwały jakieś nie wypowiedziane emocje.

- Widzę, jakie to musiało być dla ciebie popieprzone przeżycie, ale, szczerze mówiąc, nie uważam, żeby to było warte funta kłaków. Po pierwsze, nie ma sposobu przekonać się, czy to prawda. Po drugie, nawet jeśli to prawda, nie przywróci ci to Cody. A po trzecie, i co najważniejsze, jeżeli Malachy Devlin nie był jedną z głównych postaci tej historii, to rozwiązanie obecnych problemów będzie, do cholery, inne.

- Dev, bądź poważny! - poprosiła, rozczarowana jego reakcją. Nie wiedziała, jakiej reakcji oczekiwała od niego, ale na pewno nie takiej.

- Jestem poważny, Maggie O'Connor. Mamy do czynienia z prawdziwymi złoczyńcami z krwi i kości, tu i teraz, więc kogo obchodzi, co się stało pięć tysięcy lat temu? „Obecne zło wystarcza”, Maggie. Tym, czego potrzebuję, by odzyskać dla ciebie dziecko, są konkretne dowody, które wiążą Vanniera z narkotykami i morderstwem w 1993 roku.

Przerwał na chwilę, żeby podejść do sprawy z innej strony.

- Ten reporter, który był znawcą Maa Kheru... to jest rzeczywi-
stość. Rozpoznane przez FBI związki Yanniera i Saylesa z narkoty-
376

ł , . • , -t .Ten tatuażysta... i to jest rzeczy Wi-
kami... to też jest rzeczywisto-¹ J J J
- „... .nóc ci odzyskać Cody, Maggie. Nie
ste. To są rzeczy, które mogą p ' " 6&
, . • albo wróżenie z fusów czy wycie
odczytywanie dawnych istnie¹ ' J
do księżycy. ...

.. ^istosc to więcej, niż my widzimy,

- Ale ty wiesz, że rzeczN T J * "

„ , " ięta jego gniewem. - Wiesz, że to

Dev - zaprotestowała, wstrzą T J ° °

wszystko może być prawdą!

„ , , , . v to prawda, Maggie. To me ma nic

- Gównu mnie obchodzi, r- r ec

„ . • czy nie, albo jakieś tam pośrednie,

do rzeczy, czy to jest prawdzie J J

„ . . „ . , .leżyć coś wystarczająco poważnego

Dla mnie liczy się to, zęby zv

„ . „ .. Nie mogę pozwolić sobie na to, że-

na Enca Vanmera i jego szajki OT r

, „... „totne rzeczy. Muszę stać twardo no-

... , mógłby od innego poetv J T °
ry ? , . iela oferowany prezent. W tym mo-
Zaintrygowana Maggie wz'Y J r . .
m . „ .. . , ,ftownie ręce i porwał ją w objęcia,
mencie Devhn wyciągnął gwr T r»?

0. ... , . . , . ich przyciśniętymi do siebie ciałami,
a książka znalazła się pomiędzy / r J T' . . , ,
T , , a drugą otoczył ją w pasie... całował
Jedną rękę miał w lei włosach b^ , .

• , . . «, . j tęsknotą, które doprowadzały go do
ją z całą wybuchową miłością r n „ . .

377

szaleństwa. Czula dzikość i de'peraC*^° p0całunku- CzyZ™ P°''

winniśmy być wszyscy szalenie kochani? - pomyślała gorączkowo, porwana tym szałem. Oddawała mu pocałunki, bo nie wiedziała, jak inaczej mogłaby zareagować, a poza tym naprawdę tego chciała. Czula jego miłość i siłę, które promieniowały z niego jak rzeka: ener-gizująca i elektryzująca. „Oddaj wszystko miłości - jak mówił stary wiersz. - Słuchaj serca. Przyjaciele, krewni, dni, majątek, dobra sława, plany, kredyty, przemyślenia - niczego jej nie odmawiaj!". Och, dobry Jezu, jak dobrze jest odczuwać i już nie myśleć! Gdyby mogła tylko dawać i brać i nie musiała myśleć o konsekwencjach...

Devlin nagle zwolnił uścisk. Stali, wpatrując się sobie nawzajem w oczy i żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć lub zrobić.

Bez słowa sięgnął po płaszcz, włożył go i podszedł do drzwi.

- Mogę cię kochać teraz, Maggie - wyrzucił z siebie gwałtownie, nie patrząc na nią. -1 niech diabli porwą wszystko inne.

Zamknął za sobą drzwi, zostawiając Maggie, oszołomioną i z łomocącym sercem. Zobaczyła leżącą u stóp książkę, która, upadając, otworzyła się na zaznaczonej stronie. Podniosła ją.

Ciemnością ogarnięty Czarną i jak otchłań rozłożoną Dziękuję wszelkim Bogom Za duszę mą niewyciężoną.

Skąd, u licha, znał Henleya? O Boże, skąd znał tak wiele rzeczy? Jej myśli wypełniły wspomnienia uwolnione przez ten tomik poezji. W dzieciństwie nigdy nie kładła się spać bez nauczenia się na pamięć jednego wiersza. To ojciec przekazał jej ten dar.

To jest na zawsze twoje, Margaret - mawiał. - To, co zapamiętasz, jest na zawsze twoje. Ile jest w tym życiu innych trwałych skarbów? Ile jest rzeczy, których nie można człowiekowi odebrać?

Pozwoliła się unosić morzu wspomnień... jej ojciec, który tak szanował poezję, recytował ją tylko tym, którzy ją kochali. Nigdy nie używał swego wielkiego repertuaru tak jak inni, żeby przytłoczyć zaskoczonych słuchaczy mocą swego klasycznego wykształcenia. Dla niego był to zbyt osobisty i cenny skarb, by dzielić się nim z głupcami.

378

- W okrutnych objęciach losu - wyrecytowała do siebie po cichu słowa wiersza, wdzięczna za niesioną przez nie pociechę i kochając Devlina za to, że wiedział, czego jej potrzeba - Nie mrugnąłem okiem, ani nie krzyknąłem na głos. Krwawię, smagany przez los, ale mam podniesioną twarz.

Wiersz przypominał jej o tym, że nie jest sama, że właśnie o to chodziło Devlinowi. Los nie wybrał jej do cierpienia.

Przypomniała sobie stary dowcip: Dlaczego ja, Boże? - pyta Hiob, a Bóg na to: - Nie wiem, Hiobie. Po prostu cię, kurczę, nie lubię.

Roześmiała się mimo wilgotnych od łez policzków. Znowu tego dokonał: sprawił, że poczuła się żywa i nie pozbawiona nadziei. Tym razem postanowiła nie próbować dochodzić, w którym miejscu Malachy Devlin wpasowuje się w złożoną konstrukcję jej życia.

Poszła na górę do łóżka i położyła tomik wierszy na nocnym stoliku obok zdjęcia Jacka. To było oczywiście absurdalne, ale ciągle myślała, że gdyby Jack teraz żył, to pomógłby jej rozwiązać zagadkę tych dwóch mężczyzn, którzy pojawili się w jej życiu. Był jej przyjacielem tak samo jak mężem... czy Peter albo Dev byli w stanie wypełnić tę najważniejszą z miłosnych ról?

Rozdział 60

Ghania ścisnęła mocno dłoń dziecka, żeby nie mogło jej uciec. Cody zamrugała oczami, patrząc na rozgrywającą się przed nią scenę... Mały koziołek stał przywiązany do słupa pośrodku kamiennej zagrody w piwnicy, a olbrzymi wąż pełził ku niemu. Obserwował ofiarę i zatrzymywał się leniwie, a jego rozszczępiony język wysuwał się i cofał w oczekiwaniu. Uderzył tak błyskawicznym ruchem, że wyglądał jak rozmazana strzała, a potem znowu popadł w bezruch, owijając sobą meczącego bezradnie koziołka... Zaciskał bezlitośnie swe zwoje, aż ustała walka o życie i pozostało tylko przerażenie.

379

Cody patrzyła w niemym przerażeniu, jak wielkie szczęki pytona rozchyliły się, by pochłonąć wciąż żywy posiłek. Połykał koziołka w całości. Widziała zarys jego ciała, głowę i kłęb, a nawet kopytka zaznaczające się pod skórą węża, gdy był bezlitośnie przepychany ku żołądkowi.

- Pomyśl, malutka - powiedziała Ghania łagodnym, ciepłym głosem. - Pomyśl, jak ciemno jest koziołkowi w brzuchu węża.

Wiesz, on tam krzyczy, ale nikt go nie słyszy. Pomyśl o tym, kiedy następnym razem odmówisz zrobienia tego, co ci każe Ghania.

Cody odepchnęła te przerażające słowa wraz z Ghanią i wężem, daleko, daleko od siebie, gdzie już nie mogli jej skrzywdzić. Odwróciła twarz ku ścianie szukając wewnątrz siebie ulgi niesionej przez Światłość.

* * *

Mim! Mim! Mim! - krzyk Cody przedarł się do snu Maggie. -Nie pozwól, by mnie skrzywdzili- Mim! Pomóż mi...

- Tu jestem, dziecko! - odpowiedziała krzykiem, przyciskając zbiegłe dłonie do jakiejś niewidzialnej szklanej ściany, która je od dzieliła. Czyjeś ręce odciągały ją do tyłu, do tyłu w wirującą ciemność. Koszmar senny. Spadanie. Krzyk. Pomóż mi, Mim! Echa.

Echa. Ciemności!

Czarna woda podnosi się wokół niej... gdzie jest Cody? Słyszy jej krzyki, ale skąd one pochodzą? Coś przesuwa się u jej stóp w czarnej, kotłującej czeluści. Wąż! Wąż... okropny, wijący się, śmiertelnie groźny wąż, przesuwa się niewidoczny pod wodą. Czai się, by zabić Cody. Zaczęła walczyć rozpaczliwie z falą z mrocznego koszmaru, gęstą jak melasa, ciemną i cuchnącą.

- Matko, pomóż mi! - usłyszała wyraźne wołanie i wiedziała od razu w swym śnie, że to jej własny głos.

Jej matka nigdy nie pozwoliła się nazywać mamą lub mamusią, bo to były zbyt nieeleganckie określenia. Ale słowo matka jest takie pozbawione bliskości, zimne. To termin, a nie słowo miłości.

- Pomóż mi, matko, pomóż mi!

Ze śmiercionośnych wód wyłoniły się schody, na których pokazała się pełna spokoju matka Maggie.

- Nie krzycz, to nie przystoi damie - napomniała córkę, trzyma

jąc Cody za rękę.

Cody umiera -przeraziła się Maggie. - Moja matka przyszła, by ją zabrać.

Ta myśl pobudziła ją na nowo do daremnej walki z kleistą wodą, ale ramiona bolały ją ponad wszelką wytrzymałość. Czuła, że jest wciągana pod powierzchnię, gdzie czai się wąż- Zobaczyła, jak matka opuszcza rękę, by dotknąć zwiniętego potwora, który szykował się do ataku. Wąż zadrżał, a potem spoczął cicho na dnie morza. Pomogłaby matce w pojedynku z morskim wężem, ale skąd ona tu się wzięła? Umarła tak dawno temu...

Scena ze snu zmieniła się gwałtownie: Maggie znowu była na ładzie. Czuła, jak świat zamyka się dusząco wokół niej. Palące słońce w pustynnym krajobrazie. Była bezsilna, osłabiona. Okropne poczucie daremności zdawało się wysysać całą jej siłę życiową. Nie dam już rady iść dłużej wbrew ciemnościom.

- Co mam robić? - wykrzyczała w gorący pustynny wiatr, który parzył równinę wokół niej.

- Jeżeli będzie trzeba, będziesz walczyć przeciwko Losowi i Szatanowi, przeciwko światu i Bogu, przeciwko wszystkim - odparł jakiś głos. Czyżby to był jej własny głos? -Na tym polega godność, Maggie! Nie jesteś w stanie kierować tym, co ci robią. Tylko tym, co robisz w odpowiedzi-

Skąd dochodził ten głos?

- Zostaliśmy wysłani do walki, która nie jest prowadzona uczci

wie, Maggie - usłyszała skądś kobiecy głos. - Dzieją się okropne

rzeczy. Ludzie umierają. Cierpią. Przychodzą na świat bez kończyn,

wzroku i słuchu. Odwagi, Margaret. Tylko to się liczy.

Nie potrafiła rozpoznać, kim jest ta kobieta. Jej matka? Ellie? A może to był głos Boga?

Obudziła się. Senna zjawa była nadal wyraźna, prawdziwa w jej Wnętrzu. Leżała całkowicie nieruchomo. W tym śnie była prawda, musiała ją szybko wydobyć, zanim się rozmyje. Wąż! Właśnie o to chodziło. Teraz w każdym jej koszmarze pojawiał się wąż. Wąż

miał jakieś znaczenie. Ale jakie? O Boże, wytłumacz mi, co powinnam wiedzieć!

* * *

- Te sny śmiertelnie mnie przerażają, Ellie - powiedziała rozstrojona Maggie po zdaniu relacji przyjaciółce.

- Wiesz co Jung powiedział o snach, Mags? - odparła Ellie. - Powiedział, że sen to ukryte drzwiczki w najbardziej ukrytym sanc-tum duszy. Te sny są ważnymi elementami zagadki, nawet jeżeli trudno ci z nimi żyć. Twoja dusza mówi ci o rzeczach, nad którymi powinnaś się skupić.

- Nie wiem, Ellie - odpowiedziała w rozterce. - Zaczynam odchodzić od zmysłów... nawet moje modlitwy są teraz szalone. Ciągłe powtarzam: Proszę, nie rób tego, Boże. Ona jest tylko dzieckiem i nie zrobiła nic złego. To ja jestem tą, którą chcesz doświadczyć. Jeżeli raczysz ją uratować, oddam ci wszystko, czego zażadasz. Słyszysz mnie? Wszystko! Zrób coś. Określ się. Wymieii swoją cenę.

Ellie spojrzała na przyjaciółkę z autentycznym współczuciem.

- Pewien mój nauczyciel... - zaczęła - to był bardzo mądry człowiek... powiedział mi: „Bogowie czasami się z nas śmieją, Ellie. Ale to jest hołd dla naszej odwagi”. Pomyślałam, że oszalał, i powiedziałam mu to wprost, a on na to: „Oni nam nie współczują. Muszą nas uważać za bardzo odważnych. Może składają nam w ten sposób wielki hołd”. Byłam zbyt młoda, żeby to zrozumieć.

- Ja też nie rozumiem - stwierdziła z rozgoryczeniem Maggie.

- Zrozumiesz. Mags - zapewniła Ellie nadzwyczaj łagodnym głosem. - Jestem pewna, że zrozumiesz.

382

Rozdział 61

Rabin Icchak Levi liczył osiemdziesiąt trzy lata. Jego włosy i broda przerzedziły się i posiwiały ćwierć wieku temu, lecz za to obfite białe brwi rekompensowały wszelkie inne braki w owłosieniu.

Ale to jego oczy najbardziej zaskoczyły Raphaela Abrahama, oczy, które skupiały na sobie całą jego uwagę. Abraham przywykł do obserwowania ludzi i oceniania ich po oczach, ale takich nigdy wcześniej nie napotkał. Czy to możliwe, by mogły być jednocześnie dobrotliwe i niebezpieczne? Czy tak mogły wyglądać oczy Mojżesza, kiedy zszedł z góry? Abraham musiał odwrócić wzrok, jakby zerknął na plutonowy rdzeń reaktora atomowego bez ochronnych okularów, jakby mógł oślepnąć, gdyby tego nie zrobił.

Rabin uśmiechnął się nieznacznie i wszystko skryło się pod zastoną dobroci, ale Raphael Abraham już to widział i nie mógł zapomnieć.

- Przynoszę pozdrowienia, rebe - powiedział, wyciągając ko

pertę, która zawierała listy od premiera oraz od rabina Lutza z Tel

Awiwu.

Starzec wziął kopertę z dłoni Abrahama i uprzejmym gestem nakazał mu, by usiadł. Nie otworzył listów ani w żaden sposób nie wyglądał na zaintrygowanego ich zawartością.

- Byłoby dobrze, gdyby mi pan powiedział, co pana sprowadza do mych drzwi z poparciem tak ważnych osób - powiedział rabin z lekkim uśmiechem, który zdawał się negować znaczenie jakiegokolwiek doczesnej władzy.

Kiedy Abraham opowiadał mu legendę o amuletach, rabin siedział, słuchając go w milczeniu. Coś w cichym skupieniu starego człowieka sprawiło, że opowiadając tę absurdalną historię, Abraham powstrzymał się od swej zwykłej kąśliwości. Jakiś wewnętrzny impuls nakazał mu: delikatnie... przy takim człowieku nic nie jest takim, na jakie wygląda.

- No tak - powiedział Rabin Levi, kiedy już wysłuchał całej opowieści. - Taka historia nie zdarza mi się codziennie.

383

Przymknął powieki, co Abraham przyjął z ulgą, i zdawał się przez mgnienie oka nawiązywać kontakt z samym sobą, a potem uśmiechnął się.

- Więc czego oczekuje ode mnie premier? - zapytał uprzejmie.

- Chce wiedzieć, czy to wszystko jest możliwe, rebe - odparł Abraham, zbity z tropu spokojem starca. Spokój rabina otaczał go i, co więcej, sprawiał, że czuł się oceniany i niedoskonały.

- Czy jakiś przedmiot, albo nawet dwa, mogą posiadać w sobie taką moc?

„Jeśli chcesz poznać prawdę o wojnie, zapytaj generała - powiedział premier. - A jeżeli chcesz znać prawdę o magii, zapytaj mistyka”.

Abraham był bliski powtórzenia tych słów rabinowi, ale się powstrzymał.

- Zadaje mi pan złożone pytanie - odparł starzec. - Prosta odpowiedź brzmi: tak. Napierśnik Salomona posiadał taką moc, Arka Przymierza... i parę innych przedmiotów w historii. Bardziej ostrożna odpowiedź brzmi: bardzo mało prawdopodobne, żeby coś takiego mogło istnieć. Proszę pamiętać: nie niemożliwe,

ale mało prawdopodobne.

- A gdyby te dwa amulety rzeczywiście zawierały taką magiczną moc, czy mógłbyś ją opanować, rebe?

Starzec wyjął w zamyśleniu usta i zmarszczył brwi.

- Może - odparł. - A może nie... Są w to zaangażowane tajemnice, majorze, o których nie można swobodnie rozmawiać. Musiałbym spotkać to dziecko. Byłoby też przydatne spotkanie z tą kobietą. Warto by było poznać szczegóły starożytnych zapisów na ten temat. Zakładam, że jest pan w stanie zapewnić mi materiały do studiowania.

- Wszystko, co zechcesz, rebe, będzie ci dostarczone.

Oczy rabina uśmiechnęły się, ale jego usta pozostały nieruchome.

Głupi chłopak - wyczytał Abraham w tych oczach. - To, czego mogę wymagać, jest poza zakresem możliwości twoich czy jakiegokolwiek rządu.

384

- Gdzie jest teraz to dziecko, jeśli mogę zapytać?

- Jest ze swoją matką narkomanką i ojczymem w Greenwich. Sądzimy, że on przewodzi sekcji o nazwie Maa Kheru.

Niezwykłe oczy rabina uwięziły wzrok Abrahama.

- Najlepiej by było, gdyby się pan powstrzymał przed wypowiadaniem głośno takich słów, majorze Abraham. To są Słowa Moicy... otwierają takie wrota, które lepiej pozostawić zamknięte.

Milczał przez chwilę, jak nauczyciel, który udzielił reprimendy swojemu zazwyczaj błyskotliwemu uczniowi, a teraz chce, by ten się zastanowił nad swoim błędem.

- Ten ojczym... - podjął na nowo rabin. - Z tego co zrozumiałem, jest adeptem szkoły magii Szlaku Lewej Ręki?

Abraham skinął potakująco głową.

- Więc możemy zakładać, że nie pozwoli jej odejść.

- Jeżeli będę miał rozkazy przechwycić dziecko, rebe, to nic mnie przed tym nie powstrzyma.

Rabin Levi znowu się uśmiechnął samymi oczami.

- Taka pewność, majorze... to musi być bardzo wygodne.

Abraham spojrział z niepokojem na starego nauczyciela. Dlaczego ten człowiek sprawiał, że czuł się jak pozbawiony wszelkich doświadczeń chłopiec?

- Daję słowo, rebe, że nie pozwolę na to, aby nadmiar pewności siebie uczynił mnie nieostrożnym. Chodziło mi tylko o to, że mam dobry zespół... nieraz byliśmy w ogniu walki.

- A jeśli chodzi o Inny Świat, mój chłopcze, to jak wiele z niego widzieliście? - zapytał rabin i nie czekając na odpowiedź, zmienił temat. - Czy mogę wiedzieć, co dokładnie państwo Izrael zamierza uczynić z tym dzieckiem i jego amuletami po tym, jak pan i pańska świetna grupa tak dzielnie je przechwycą?

- Mają być przywiezione do Tel Awiwu.

- Ach, rozumiem. Rozumiem. Proszę mi wybaczyć, jeśli powiem, że Tel Awiw nie jest, być może, miejscem, w którym jest wielu rozważnie myślących ludzi. Proszę mi to wybaczyć, ale zadaję sobie pytanie, kto w Tel Awiwie może być tak święty, żeby wiedzieć, co zrobić z tym dzieckiem i jego magicznymi amuletami?

385

Zaśmiał się krótko i powstał z krzesła - tylko nieznaczna ostrożność ruchów zdradzała jego wiek. Abraham zorientował się, że spotkanie dobiegło kofica.

- Rebe - powiedział tonem odległym od swego zwykłego zawodowego sposobu mówienia. - Kiedy tutaj przyszedłem, byłem pewien tylko jednej rzeczy: że ta historia jest śmieszna. Teraz... zadaję ci pytanie, co by się stało ze światem, gdyby to była prawda?

- Ach, więc poszukujesz czegoś nowego, czego możesz być pewien? Więc, co się stanie? Tylko to, czego chce Bóg, mój chłopcze - odparł rabin z wesołym błyskiem w oczach. - Tego możesz być pewien.

* * *

Abraham wracał samochodem z domu rabina, zamyślony i poważny. Automatycznie sprawdził, czy nie jest śledzony, i uznawszy, że jest sam, pozwolił sobie na luksus wewnętrznego dialogu. „Tylko wtedy, gdy rozmawiasz sam z sobą, możesz być pewien swojego towarzystwa” - jak powiedziałaaby jego babka. Uśmiechnął się na to wspomnienie, zadając sobie w duchu pytanie, co myślałaby o tym rabinie.

A w gruncie rzeczy, co on sam myślał o rabinie? Gdybym nie był tak zdecydowanym agnostyką, powiedziałbym, że byłem u świętego męża - odpowiedział sobie w myślach. - Inteligentnego. Takiego, z którym nie można sobie pozwolić na jakieś gry. Rebe robi to, co będzie chciał zrobić. I to wszystko.

Dla potwierdzenia swojego wniosku zatrąbił na zaparkowany przed nim nieprawidłowo samochód.

- Dla takiego człowieka, majorze - powiedział mu tydzień wcześniej w Tel Awiwie premier - Mossad, rząd Izraela, premier, prezydent Stanów Zjednoczonych... wszystko to są nieistotne rzeczy. W końcu, jeżeli się rozmawia bezpośrednio z Bogiem, to po co komu ci mieszający się pośrednicy, co?

Abraham roześmiał się na głos. Premier był w porządku. Twardy i sprytny. Zaslugiwał na podziw pod każdym względem.

386

Wygląda na to, że jest jak mój stary wuj Szlomo, kabalista - A owiedział premierowi. - Muszę przyznać, że uważałem go za

myszogene-

premier spojrział na niego w zamyśleniu i odparł: - Ktoś mądry

owiedział kiedyś, majorze: „młodzi ludzie myślą, że starzy są

głupcami, ale starzy wiedzą, że to młodzi są głupcami”.

Abraham wrócił myślami do aktualnego problemu. Przydzielił ludzi do śledzenia babci i dziecka, a ulokowany w Izraelu zespół ekspertów od spraw egipskich pracował nad ustaleniem daty, kiedy Vannier zechce zdobyć amulety. Dziecko prawdopodobnie było dość bezpieczne do tej niejasnej daty, więc im szybciej poznałby plan, tym lepiej. Martwił go tylko fakt, że Egipcjanie mają w swoim zespole wybitnego specjalistę od spraw legendy amuletu: Abdula Hazreda. Naukowca, a przy okazji bardzo bogatego człowieka, zawdzięczającego swój majątek temu, że pochodził ze starej rodziny wykształconych złodziei.

Abraham zatrzymał samochód, spojrział w prawo, w lewo, jeszcze raz do tyłu, a potem wysiadł i zamknął drzwi. Jego zespół posługiwał się techniką obserwacji opartą na korzystaniu na zmianę z trzech samochodów, co sprawiało, że ich wykrycie było prawie niemożliwe. Ale jakaś inna grupa mogła być równie sprytna. Wykrywanie prawdziwych profesjonalistów było interesującym urozmaiceniem. Gra w kotka i myszkę o wyższe stawki niż te, o które grają dzieci.

Czy Hazred jest równie dużym problemem co Vannier? - zapytał się Abraham w nieprzerwanym wewnętrznym dialogu, idąc do budynku, gdzie miał spotkać się ze swoim agentem. - A czy Begin jest Żydem?

387

Rozdział 62

- Odszukałem naszego zaginionego reportera, Maggie - oznajmi! Devlin, idąc z nią przez Washington Square Park. - A raczej wiem. co się z nim stało. Nazywał się Fellows i wygląda na to, że zginął parę lat temu na drodze Jersey Turnpike w wypadku samochodowym.

- Więc nie możesz się dowiedzieć, czy miał jakiegokolwiek prawdziwe dowody przeciwko Maa Kheru?

Pokręcił głową.

- Jeszcze tego nie wiem. Ale miał żonę. Zamierzam spotkać się z nią jutro. Reporterzy mogą trzymać język za zębami, jeśli chodzi o źródła ich informacji, ale jeżeli naprawdę miał obsesję na ten temat... niektóre żony wiedzą prawie wszystko o sprawach męża, a inne nie mają o tym pojęcia. Zależy od tego, jakiego rodzaju to było małżeństwo.

Szli kilka minut w ciszy, zanim Maggie przerwała milczenie.

- Dlaczego nigdy się nie ożeniłeś ponownie, Dev? - zapytała cicho.

Dzień był przyjemniejszy niż poprzedni, a obietnica wiosny poprawiła nieco nastrój obojga.

- Bo dotąd nie spotkałem ciebie - odparł z uśmiechem.

Roześmiała się.

- To mi bardzo pochlebia, ale bądź poważny. Musiałeś mieć jakieś okazje.

- Nie wiem, Maggie. Powstrzymywało mnie chyba wiele rzeczy. Praca... dręczące wspomnienia. Wcale nie jest tak łatwo rozszyfrować kobiety, a ja nie chciałem spieprzyć wszystkiego drugi raz. - Zamilkł na chwilę i dodał: - Jesteśmy bardzo różni... to znaczy mężczyźni i kobiety. Inne priorytety, inne potrzeby. Trudno wiedzieć na pewno, czy możemy kiedykolwiek pomóc sobie nawzajem w zrealizowaniu swoich marzeń czy nadziei. Myślę, że chyba najgorsza rzecz, jaką można powiedzieć kobiecie, brzmi: „chcę się rozwieść”. A najgorszą jaką może usłyszeć mężczyzna, to: „jesteś wylany z pracy”. To dość trudna do zniwelowania różnica emocjonalna.

Odwróciła się ku niemu, chcąc zobaczyć jego twarz. Wyglądał na strapionego twierdzeniem, które właśnie wypowiedział.

- Jak myślisz, co Bóg miał na myśli, czyniąc nas tak nie dopasowanymi? - zapytała, bojąc się, że to może być prawda.

- Nie wiem. Ale za każdym razem, kiedy rozmyślałem nad starym pytaniem Freuda „czego chcą kobiety?”, zastanawiałem się, dlaczego nikt nigdy nie sporządził jakiejś listy. Wiesz, takiej ściągawki... „Rzeczy, które mężczyźni powinni wiedzieć o kobietach”. To może by nie rozwiązało wszystkich problemów mężczyzn, ale na pewno by nie zaszkodziło.

Maggie uśmiechnęła się.

- Chcesz, żebym ci zrobiła taką listę?

Popatrzył na nią, by zobaczyć, czy mówi poważnie.

- To musiałyby być absolutnie szczerze, Maggie - odparł. - Nie jakieś tam dziewczęce wykręty... żadne „powiedz mu to, co chce usłyszeć...” żadne „nie mogę mu tego powiedzieć”. Po prostu szczerza, naga prawda, bo w innym przypadku dopiero byś mi na-mieszła w głowie.

- Zobaczę, co się da zrobić - odparła rozbawiona.

Gdyby była zakochana w tym wspaniałym człowieku, to wcale nie miałaby ochoty podejmować się takiego zadania, Ale biorąc pod uwagę sytuację...

Wróciwszy do domu, zaparzyła filiżankę herbaty i odtworzyła sobie w myślach ich rozmowę, a potem wzięła do ręki notes i usiadła przy kuchennym stole blisko najbardziej słonecznego okna w domu. To rzeczywiście intrygujące pytanie - pomyślała - co chcę, żeby mężczyźni wiedzieli z tego, czego chyba nie wiedzą? Przez ułamek sekundy zastanowiła się, czy nie powinna poprosić Ellie i Amandę, by pomogły w stworzeniu tej listy.

Nie - postanowiła. - To moja lista.

Niemal bezwiednie zaczęła przeglądać lata swojego życia i myśleć o wszystkich mężczyznach, których znała: członkach rodziny, kochankach, przyjaciołach. Czego potrzebowała, o czym marzyła, na co miała nadzieję w związku z nimi? Co mogło zmienić rozwój wypadków, gdyby o tym wiedzieli? Rozmyślała przez długą chwilę, a potem sporządziła swoją listę, starając się unikać nieudomów-

389

wień. Wykreśliła jedno ze zdań, które wprowadziło ją w zakłopotanie a potem zapisała je po raz drugi. Absolutnie szczerze albo wcale Ale czy on to zrozumie?

Przeczytała kartkę dwa razy, a potem umieściła ją w kopercie i napisała na niej adres Devlina. Jakiś impuls nakazał jej dostarczyć list własnoręcznie. Lepiej zrobić to szybko, zanim stracę tupet - uznała. Jakie będzie jego mieszkanie - przeleciało jej przez myśl. - Co powie jej o nim? I co on będzie myślał o niej, gdy już przeczyta ten dziwny zlepek pragnień, które wypływały z samej głębi jej istoty.

Rozdział 63

Devlin zapatrzył się w trzymaną w ręku kartkę z adresem pani Fellowes w New Jersey. A to niespodzianka. Kraina posiadłości myśliwskich. Kraina Jackie O. Trudno w takiej okolicy spodziewać się wdowy po reporterze. Oczywiście, mogła mieć jakieś pieniądze ze strony swojej rodziny...

Spojrzał na zegarek: przy odrobinie szczęścia byłby tam przed szóstą trzydzieści. Przesunął na róg biurka nigdy nie malejący stos papierów i ruszył do garażu.

Dom był duży i rozłożysty, zbudowany niedawno, ale pozorujący wiekowość i tradycję. Na podjeździe stały dwa uginające się na resorach samochody. Devlin zapisał numery rejestracyjne obydwu, a potem zadzwonił do drzwi.

- Pani Fellowes? - zapytał ubraną w jedwabny szlafrok wysoką brunetkę, która otworzyła drzwi.

- Tak?

Pokazał jej swoją odznakę.

- Porucznik Devlin, policja nowojorska. - Chciałbym zadać pani parę pytań na temat pani nieżyjącego męża, jeśli to pani nie przeszkadza.

390

Zmarszczyła brwi.

- Prawdę powiedziawszy, poruczniku, przeszkadza. Jak pan widzi, szykuję się na przyjęcie.

- Tylko dziesięć minut, pani Fellowes - odezwał się przymilnie ze swoim najwspanialszym irlandzkim uśmiechem. - Ani chwili dłużej. Daję pani słowo. Naprawdę byłoby to dla mnie wielką pomocą, gdyby zmieniła pani zdanie. Mam terminowy problem.

Odrobina wdzięku jest w stanie dużo zdziałać.

- Ale ani minuty więcej - powiedziała nieufnie, otwierając drzwi na tyle, żeby wszedł.

Wnętrze było równie imponujące jak fasada. Dobre dzieła sztuki, dobre meble, dobre dywany. Mnóstwo pieniędzy, ale ani trochę starej fortuny. To nie były starannie przechowywane rodzinne pamiątki ludzi, którzy od zawsze byli bogaci.

- Proszę usiąść, detektywie - zaproponowała lodowatym tonem. - Czym mogę panu służyć?

- Chodzi o wypadek pani męża, pani Fellowes. Przykro mi otwierać stare rany, ale gdyby pani mogła mi trochę o tym opowiedzieć...

- Nie ma tu nic do opowiadania. Wypadek na Jersey Turnpike. Policja uznała, że mógł mieć zawał serca albo wylew. Zjechał z drogi i uderzył w skałę z prędkością osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę. Samochód wybuchł, a on zginął. Koniec sprawy.

Niech pani postara się zapanować nad swym żalem, pani Fellowes - pomyślał z ironią. Nie dostrzegł u niej śladu choćby wymuszonych nawet łez.

- Rozumiem. A czy były jakieś podejrzenia co do udziału osób trzecich? Czy pani mąż miał jakichś wrogów, którzy mogli chcieć usunąć go z drogi?

- Trzecie osoby? - powtórzyła ze zdziwieniem. - Skąd to panu przyszło do głowy? Jim nie miał wrogów. To był wypadek.

- Żadnych wrogów, pani Fellowes? W jego branży to chyba byłoby trochę niezwykle - odparł Devlin z podobnym zdziwieniem. -Dobre dziennikarstwo śledcze zwykle miesza ludziom szyki... on zajmował się jakiegoś rodzaju okultystyczną grupą, prawda? Maa Kheru, tak się chyba to nazywało...

391

Pani Fellowes roześmiała się sztucznie.

- Te bzdury? Przepraszam, detektywie, ale mój mąż miał nie p() kolei w głowie, jeśli chodzi o te idiotyzmy. Marnował dużo cenne go czasu na zwykłe wymysły.

Podniosła się i otuliła bardziej szlafrokiem.

- Przepraszam, detektywie, ale naprawdę nie mam czasu.

Devlin wstał z przymilnym uśmiechem.

- Bardzo mi pani pomogła, pani Fellowes. I naprawdę przepraszam za przybycie w niewłaściwym momencie. Mam jeszcze tylko jedno pytanie do pani, a potem wychodzę, żeby mogła się pani przygotować na przyjęcie. Jest to nieco impertynenckie pytanie, jak sądzę, ale moja praca nie zawsze daje mi możliwość dbania o dobre maniere...

- O co chodzi, detektywie? - zapytała, a w jej czujnych niebieskich oczach pojawił się wyraz niejasnego rozbawienia.

- Ten dom... wyposażenie... nie jestem ekspertem, ale wyglądają na drogie. Czy pani mąż miał dużą polisę ubezpieczeniową czy coś takiego? Reporterzy zwykle nie są bogaczami.

Pani Fellowes uśmiechnęła się. Jej uśmiech był o wiele szerszy, niż to było potrzebne.

- Miał ubezpieczenie, detektywie, a ja jestem genialna, jeżeli chodzi o operacje giełdowe. Absolutnie genialna.

Devlin skinął głową. Nie była dobrym kłamcą, była tylko bezczelnym kłamcą.

- A tak, a propos, żeby oszczędzić sobie czasu na poszukiwaniach... czy pani mąż miał jakichś krewnych? - zapytał, kiedy otworzyła mu drzwi.

- Nie - odparła sympatycznym tonem. - Ani jednego.

- A czy nie zostawił przypadkiem jakichś papierów, które łączą się z jego poszukiwaniami w sprawie Maa Kheru?

- Tu też ma pan pecha - stwierdziła. - Niestety, wszystko spaliło się razem z nim.

Devlin wrzucił bieg i skontaktował się z posterunkiem, by przekazać numery zaparkowanych na podjeździe samochodów, a potem poprosił o połączenie z Garibaldim.

392

_ Chcę, żebyś znalazł mi krewnego, Gino - powiedział, kiedy detektyw podniósł słuchawkę.

_ Może pan sobie wziąć jednego z moich - odparł Garibaldi ze śmiechem.

Devlin również się roześmiał. Garibaldi zwykle działał na niego w ten sposób. Dobrze było go mieć przy sobie w trudnych momentach.

_ Chodzi o reportera o nazwisku James Fellowes, który zginął dziewiątego stycznia 1987 roku w wypadku na Jersey Turnpike. Pisał do „Timesa” i „Newsweeka”, miał dobre publikacje... Potrzebuję znaleźć żywego krewnego - nie pogrążoną w żałobie wdowę. W porządku?

- Jasne. Wraca pan?

- Tak. Może za jakieś dwie godziny. I, Gino... trzymaj język za zębami.

- Tak jest, poruczniku. Buzia na kłódkę. Do zobaczenia.

Pani Fellowes jest interesującym dodatkiem do powiększającej się menażerii - pomyślał Devlin. Co

takiego miała do ukrycia? Nie była pogrążona, w żalu ani nie wyglądała na przestraszoną. Może też była jednym z czarnych charakterów. Zaczynało wyglądać na to, że jest ich w krzakach całkiem sporo.

Rozległ się sygnał telefonu.

- Devlin - powiedział, podnosząc słuchawkę.

- Czy uwierzyłby pan, że to zakonnica? - zapytał Garibaldi rozbawionym jak zwykle tonem.

- W tej chwili uwierzyłbym nawet, że to papież.

- Fellowes miał siostrę - Janice. Teraz nazywa się siostra Ceci-lia Concepta od Blue Chapel w Parsippany. To jakiś rodzaj kontemplacyjnego karmelitańskiego czegoś... wie pan, takie, co składają śluby milczenia. Zawsze uważałem, że to dobry pomysł, jeżeli chodzi o kobiety.

Devlin uśmiechnął się.

- Masz adres? Właśnie jestem w Jersey.

- Tak, jasne. 1803 Troy Hills Avenue, Parsippany 201-555-"023. Matka przełożona nazywa się Immaculata Stevens.

- Jak, do diabła, tak szybko to załatwiłeś?

393

- Nadzwyczajna robota policyjna, a poza tym mąż mojej siostry ma siostrzenicę w sąsiedniej parafii.

- Powinienem był wiedzieć, że to czysty przypadek.

- Immaculata Stevens pewnie wolałaby myśleć o tym jako o boskim akcie - odparł Garibaldi z udawaną powagą. - Hej, poruczniku, a co pan powie na to? Stara Janice, a propos: ma trzydzieści dwa lata, wstąpiła do klasztoru dopiero dwa tygodnie po ognistym zejściu brata.

- Dzięki, Gino. Bardzo mi pomogłeś.

Devlin uśmiechnął się, odkładając telefon. Boski akt byłby mile widzianym dodatkiem.

Klasztor Blue Chapel stał na łagodnym, porośniętym drzewami wzgórzu w cichym miasteczku, z dala od gwaru Manhattanu. Budynek nawet wyglądał na klasztorny - jak uznał Devlin, zatrzymując się przed jego frontem. Wjazd przegradzała żelazna brama, a surowy styl architektoniczny nie sugerował, że mogłyby tu się odbywać przyjęcia ogrodowe. Usiłował odszukać w pamięci wszelkie strzępy swojej wiedzy na temat karmelitanek. Wiedział, że składają śluby ubóstwa, czystości, posłuszeństwa i milczenia. Zawsze go dziwiło, co mogłoby opętać młodą dziewczynę, by wstąpiła do tak ponurego świata. Teraz przyszło mu do głowy, że nigdy nie zadał sobie pytania, o co się modłą z takim zaangażowaniem. Może mógłby zapytać Immaculatę Stevens.

Nacisnął na przycisk dzwonka. Po pewnym czasie w bramie otworzyła się mała klapka i w szparze pojawiła się zaciekawiona para oczu. Devlin podsunął do otworu swoją odznakę i zapytał o siostrę Cecilie Conceptę. W oczach za bramą dojrzał wstrząs, a klapka zamknęła się z groźnym szczęknięciem jak drzwi izolatki.

Po chwili w otworze pokazały się nowe oczy - starsze i mądrzejsze.

- Jestem matką przełożoną tego zakonu - usłyszał słowa wypowiedziane typowym tonem zakonnicy, jaki pamiętał z dzieciństwa, tym samym rodzajem głosu, który napętniał bożą bożnią ministranta, jeżeli za późno podniósł dzwonek przy ofiarowaniu.

394

_ Jesteśmy zamkniętym zakonem i jest już późno. Devlin znowu miał dziewięć lat.

- To siostra mówi? - zapytał zaskoczony.

- Bardzo mądre spostrzeżenie, detektywie - odparła ironicznie. -Widzę, że jest pan odpowiednim człowiekiem na odpowiednim miejscu. Może zechciałby pan powiedzieć, o co chodzi, ale bardzo krótko.

Pewne rzeczy są zawsze takie same - pomyślał, czując respekt dla ciętego języka zakonnicy.

- Zajmuję się sprawą prawdopodobnego morderstwa, siostrze, i wykorzystywania dziecka w sprawie, która może być związana z satanizmem. Jest tutaj pewna siostra, Janice Fellowes, która może być w stanie nam pomóc. Przepraszam za zakłócenie spokoju o tej porze, ale to pilna sprawa. Daję słowo honoru, siostrze, że jestem w tym wszystkim po bożej stronie.

- Lucyfer też był, przez jakiś czas, detektywie - odparła, jednak rozległ się dźwięk odsuwanej rygli i brama uchyliła się nieco.

- Siostrze Immaculato - zwrócił się do niej. patrząc badawczo na arystokratycznie prezentującą się kobietę: wysoka, pewna siebie, nieprzenikniona. Albo ją przeciągnie na swoją stronę, albo się okaże przeszkodą niemożliwą do przebycia. - Jestem detektyw porucznik Malachy Devlin. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby to nie była pilna sprawa.

Skinęła potakująco głową i poprowadziła go ciemnym korytarzem w głąb cichego budynku.

- Może mi pan przedstawić, z czym pan przychodzi do siostry

Cecylii, poruczniku? - zapytała, kiedy już usiedli w pomieszczeniu wyglądającym na jej gabinet. - Wtedy zdecyduje, czy jest to sprawa na tyle pilna, by zakłócać spokój ducha siostry i jej przysięgę "uleżenia.

Przedstawił sprawę, a ona uważnie wysłuchiwała jego relacji.

- To bardzo niepokojące - stwierdziła z namysłem, kiedy skończył. - Będę się modlić o tę babcię i o dziecko. Nie mogę gwarantować nic więcej. Dobro siostry Cecylii jest w moich rękach, a niestety, po tym, co od pana usłyszałam, nie wyobrażam sobie, żeby istniał jakikolwiek powód na świecie, dla którego dałabym się przegnać, że jest w jej interesie angażować się w to okropieństwo.

395

Devlin spojrzał wprost w niewzruszone, stalowe oczy.

- Więc niech siostra nie robi tego dla żadnego powodu na świecie - powiedział. - Niech siostra to zrobi dlatego, że to jest słuszne.

Przypatrzyła mu się przez chwilę, a potem wybuchła śmiechem.

- Czyżby odebrał pan jezuickie wykształcenie, poruczniku? Ignacy Loyola byłby z pana dumny.

Przełożona podniosła się. Czując się tak, jakby był w towarzystwie osoby panującej, Devlin również powstał.

- Zwolnię siostrę z przysięgi milczenia, żeby mogła z panem porozmawiać... ale pod warunkiem, że sama będzie tego chciała.

Przypuszczam, iż będzie na tyle nierozważna, by to zrobić.

Odwróciła się, by odejść.

- Według Franciszka z Asyżu - powiedział cicho do jej oddala
jących się pleców - każdy z nas czasami musi być Bożym głupcem,
siostrzo.

Nie widział twarzy zakonnicy, ale wyczuł jej uśmiech.

Zapatrzył się przez okno gabinetu na spokojną, ciemną ulicę. Trudno było uwierzyć, że zło może
osiągnąć tak ciche, senne miasteczko jak to. Westchnął. Za długo był policjantem, by wyobrazić sobie,
że jakiegokolwiek miejsce może być całkowicie bezpieczne.

Po chwili siostra Immaculata wróciła w towarzystwie idącej za nią młodej kobiety w habicie. Była
delikatna i wrażliwa jak sarenka i wyraźnie było po niej widać, że przed chwilą płakała.

Kiedy zaczęła mówić, jej głos drżał. Devlin nie wiedział, czy jest to spowodowane długim milczeniem,
czy emocjami, które tłumiła w sobie.

- Bardzo kochałam mojego brata, porucznika - zaczęła; jej
cierpienie przydawało znaczenia tym prostym słowom. - Był wspa
niałym człowiekiem. Wspaniałym reporterem. Był taki wrażliwy--

Jej głos załamał się. Opuściła wzrok na dłonie, które splatała i rozplatała przed sobą, a potem
spojrzała na matkę przełożoną, szukając pomocy.

- Byliśmy bardzo pobożną rodziną. Jimmy zawsze przystępo
wał do sakramentów. Był bardzo dobrym człowiekiem... bardzo
moralnym, szczerym, honorowym... miał same zalety...

396

Znowu przerwała, by wziąć głęboki oddech.

_ Był taki, mimo, że jego praca często sprawiała, że przebywał w towarzystwie dziwnych i
niebezpiecznych ludzi. Martwiłam się o niego z tego powodu.

Dziesięć lat temu Jimmy pisał do „Newsweeka” o satanistycznym morderstwie... coś go pochłonęło w
tej sprawie i po prostu nie potrafił przestać o tym myśleć. Miał na tym punkcie obsesję. Najpierw nie
chciał rozmawiać o tym ze mną, ale potem, krok po kroku, zaczął ujawniać pewne rzeczy. Powiedział mi,
że odkrył dowody na istnienie grupy bardzo wpływowych osób, kobiet i mężczyzn, którzy sprzedali swe
dusze Szatanowi w zamian za nieograniczoną władzę, bogactwo i sławę. Nie mógł uwierzyć, że są to
właśnie ci ludzie... był wstrząśnięty, bo były to bardzo znane osoby. Pamiętam teraz tylko niektóre z tych

nazwisk, ale to byli okropnie ważni ludzie, poruczniku. Wyglądało to wprost niewiarygodnie, ale Jimmy powiedział, że ma prawdziwe dowody, że są w to zamieszani tacy ludzie jak senator James Trant, gwiazdor rocka Iscariot, generał John Pin-kham i ten prowadzący telewizyjny „talk show” Nicholas Sayles... -spojrzała z rozpaczą na Devlina. - Ta lista była jak „Who's Who” prominentnych osób. Jeżeli okazałaby się prawdziwa, to miałyby to niewyobrażalnie groźne konsekwencje dla kraju. Mój brat zaczął sobie chyba wyobrażać, że prowadzi jakąś świętą krucjatę, której celem jest zdemaskowanie okropnego niebezpieczeństwa, ale ludzie z mediów nie chcieli dać wiary jego zarzutom.

Zakonnica przerwała na chwilę, by odzyskać panowanie nad sobą* a matka przełożona podała jej szklanekę wody, którą przyjęła z wdzięcznością.

Devin postanowił jej nie przeszkadzać, chciał, by opowiedziała te historie na swój własny sposób. Później mógł zająć się wypełnieniem luk w jej relacji. Zorientował się, że Janice Fellowes myśli metodycznie.

- Pewnego wieczoru cztery lata temu - zaczęła znowu - Jimmy Pojechał do mnie. Był okropnie poruszony, nigdy przedtem nie ^działam go takiego roztrzęsionego. Mój brat był w Wietnamie, POruczniku... pisał o ulicznych starciach i morderstwach. Nie był

owiekim, którego można było łatwo wystraszyć.

397

Ale tamtego wieczoru Jimmy był jednym wielkim kłębkim ne wów. Powiedział mi, że uważa, iż jego żona, Terry, przeczytała je go materiały i w jakiś sposób sprzedała go satanistom. Twierdzi- że jeżeli tak się stało i jeżeli naprawdę są na jego tropie, to nie mop;, pozostawić go przy życiu, bo miał o wiele za dużo dowodów prze^ ciwko nim.

Zagryzła wargę, usiłując się opanować.

- Przekazał mi kluczyk i kartę kodową do skrytki w banku Chase Manhattan przy Czterdziestej Trzeciej Ulicy i powiedział, że bym nigdy, w żadnych okolicznościach nie pozbyła się go, ani nie zdradziła nikomu, że go mam. „Są wszędzie wokół nas, Jan - stwierdził z rozpaczą. - Są wszędzie, kochana. Nie wiadomo, komu wierzyć, dokąd się zwrócić. Przechowaj ten kluczyk, aż wymyślę, co robić. Jesteś jedyną osobą, na którą teraz mogę liczyć!”.

Powiedział, że jest umówiony na spotkanie następnego ranka z ważną osobą w Quantico. Ten ktoś

był starym kolegą Jimmy'ego z Wietnamu i obiecał, że mu pomoże.

Spojrzała prosto na Devlina. W jej oczach i na policzkach błyszczały łzy.

- Mój brat nie dojechał do Quantico, poruczniku. Stracił panowanie nad samochodem i uwiązł w nim, aż się spalił. - Musiała znowu przerwać, by zapanować nad sobą. - Wzięłam kluczyk i dzień po pogrzebie brata spędziłam osiem godzin w Chase Manhattan, czytając jego papiery. Byłam tak wstrząśnięta, że nie potrafię tego wyrazić. O Boże, gdybym tylko tego nigdy nie widziała! Gdyby mój kochany Jimmy nigdy nie usłyszał o Maa Kheru! Zamknęłam te papiery w skrytce. Są tam nadal.

Następnego dnia poprosiłam matkę przełożoną o przyjęcie do zakonu karmelitanek. Zostałam przyjęta do nowicjatu i od tamtej pory już stąd nie wychodziłam.

Spojrzała na matkę przełożoną. Wymieniły się znaczącym spojrzeniem, które oznaczało, że znalazła tu swoje schronienie.

- Dopóki nie przeczyta pan notatek Jimmy'ego, poruczniku Devlin, nie zrozumie pan, dlaczego tu jestem. Nie ma świeckiego sposobu, by ich pokonać. Są zbyt silni, zbyt potężni, zbyt źli. Tylko tutaj, z Bożą pomocą, mogę robić to, co się da, by z nimi walczyć.

398

' Daj? Panu ^ucz> ^° matka przełożona mówi, że powinnam to

bić- Niech Bóg ma pana w swojej opiece, poruczniku... i niech litość nade mną za postawienie pana przed tak okropnym niebezpieczeństwem.

_ Jeżeli siostrze przydarzy się jakakolwiek krzywda, poruczniku Devlin - powiedziała z naciskiem matka przełożona - to będę ważyła, że jest pan za to osobiście odpowiedzialny.

Tradycyjny głos Boży - pomyślał Devlin, uśmiechając się w duchu.

_ Uważam, że w twojej obecności, matko przełożona, jest równie bezpieczna jak ta skrytka bankowa

w Chase Manhattan - odparł z powagą.

Siostra Cecilia została odprawiona, a matka Immaculata powstała z krzesła, by wyprowadzić Devlina. Kiedy przesunęła rygiel na ciężkiej bramie i odstąpiła w bok, by go przepuścić, zapytała: - Czy wie pan, co my tu robimy, poruczniku?

- Wiem tylko, że modlicie się, matko, w ciszy przed najświętszym sakramentem.

- Od chwili, kiedy te żelazne wrota zatraskują się za nami, poruczniku - powiedziała z wielką powagą - oddzielając nas od domu, rodziny, przyjaciół i świata, my, które wступujemy do kontemplacyjnego zakonu karmelitanek, oddajemy się tylko jednej rzeczy: walczymy po Bożej stronie o dusze gnębione przez szatana i jego zastępy.

Dwadzieścia cztery godziny dziennie, przez siedem dni w tygodniu, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku czuwamy przed najświętszym sakramentem. Zmieniając się co osiem godzin, modlimy się za tych, którzy są dręczeni przez złego. Może pan przekonać się, poruczniku, że niewielu jest księży, którzy zechcą przeprowadzać eg-zorczyzny bez wezwania najpierw na pomoc nas lub nam podobnych.

Uśmiechnęła się lodowatym, ale jednak autentycznym uśmiechem władcy, który pragnie nawiązać kontakt z krnąbrnym poddanym na jakimś nieco bardziej ludzkim poziomie.

- Nie mówię tego panu, kierując się dumą, poruczniku Devhn, ale dlatego, że chcę, by pan wiedział, iż nie można wyruszyć do Walki przeciwko temu wrogowi, nie mając nikogo, kto by chciał udzielić swego wsparcia.

399

Czując wzruszenie, Devlin spojrzał w jej nieprzeniknioną, stanowczą twarz.

- Chociażby piekło stawało mi na drodze, matko... - oznajmił z uśmiechem - będę zawsze walczył u twego boku.

Przyjęła tę obietnicę drgnieniem ust, które można było wziąć za uśmiech.

Po chwili stał samotnie na schodach, patrząc w ciemność. Miał teraz wiele do przemyślenia.

Devlin wrócił do domu znużony i strapiony. Nie mógł się dostać do banku aż do następnego ranka, ale czuł, że czekają go złe wiadomości. A im bardziej były one złe, tym bardziej martwił się o Maggie.

Zanim włożył klucz do zamka drzwi wejściowych, zajrzał odruchowo do skrzynki na listy. Rachunki. Przesyłki reklamowe. Wszelkie inne śmieci. To wprost zbrodnia niszczyć drzewa, żeby produkować takie śmieci. Na spodzie stosu przesyłek była pozbawiona znaczka koperta z wypisanym kobiecą ręką

adresem.

Devlin spojrział na kaligraficzne pismo i uśmiechnął się. Katolicka szkoła - bez wątpienia. Na odwrocie widniało nazwisko Margaret Cavan O'Connor. Maggie. Otworzył kopertę, wciąż stojąc w holu, i zobaczył dwie zapisane ręcznie kartki. Pośpiesznie wepchnął resztę przesyłek do torby z zakupami, które niósł z pobliskiego sklepu spożywczego, i wszedł do mieszkania. Rzucił torbę na stół, włączył światło i skupił się na trzymanym w ręku liście. Nie nadszedł pocztą. Dostarczyła go osobiście. Nie było w nim żadnego wyjaśnienia, tylko zapisane na liniowanym papierze zdania:

Co chciałabym, żeby mężczyźni wiedzieli o kobietach: Kobiety chcą być słuchane. Nie prowokują gwałcicieli.

Pragną romantyzmu i czułości, tak jak tonący ludzie łodzi ratunkowej.

Kierują się instynktem i sercem i dlatego są niezmiernie racjonalne.

400

Chcą, by pamiętano o ich urodzinach i rocznicach z takim samym entuzjazmem, z jakim tsani'cta się o datach meczów bokserskich, rozgrywek hokejowych i mistrzostw baseballa. Ich techtaczki pragną być pies^c/one, a nie kaleczone. Nie czerpią niezmiernej radości z mycia piekarników i łazienek.

Rozumieją intuicyjnie dzieci, ho dzieci rosną pod ich sercem. Płaczą nie dlatego, że są słabe, ale dlatego, że mają kontakt ze swoimi uczuciami.

Nawet kiedy są silne, lubią się czuć chronione. Czasami chciałyby się kochać wtedy, kiedy mają na to ochotę, a nie wtedy, gdy chce tego mężczyzna. Są na wskroś seksualne, co nie znaczy, że są jakoś szczególnie rozpustne.

Niewierność mężów rani ich duszę.

Nie chcą, by w wieku czterdziestu pięciu lat nazywano je dziewczynkami, a w żadnym wieku „dziewuchami”. Kiedy mają okres, to nie znaczy, że dostają szalu, są nieczyste czy narażone na atak ze strony dzikich zwierząt. Pragną wiedzieć, że ich mężowie chcą się kochać, zanim się położą do łóżka bez diafragmy. Cierpią, kiedy ich dzieci przychodzą i kiedy odchodzą. Kochanie się trzydzieści minut po nałożeniu makijażu, ułożeniu włosów i ubraniu w strój wyjściowy nie jest ani spontaniczne, ani przyjemne.

Czytają romanse, bo nadal marzą o tym, by ktoś je kochał nad życie.

Pragną być kochane, pożądane, darzone ufnością i szacunkiem nie tylko podczas zalotów, ale na zawsze. Nie można nie mówić im pewnych rzeczy.

Usiadł przy stole i dwukrotnie odczytał tę listę, zadając sobie w duchu pytanie, dlaczego wywołuje w nim taki smutek.

* * *

401

Następnego dnia Devlin spotkał się o ósmej rano z siostrą cec-lią Conceptą przed Chase Manhattan Bank, akurat gdy go otwiera no. Zakonnica wprowadziła go do pomieszczenia ze skrytkami i odjechała w sprowadzonym przez niego policyjnym wozie, a on usiadł z tekturową filiżanką kawy nad szczegółowymi notatkami Jima Fe]_lowesa. Po piętnastu latach pracy w policji nowojorskiej myślał, że widział już wszystko. Jednak się mylił.

- Jezu Chryste! - wyszeptał trzy godziny później, odkładając ostatnią wymiętą kartkę. - Jezu Chryste... o kurwa...

Wepchnął papiery z powrotem do kasetki, jakby były skażone i tkwiąc nieruchomo przy stoliku, zagapił się na pomalowaną na służbowy beż ścianę. Po jakimś czasie wyjął chusteczkę, przetarł oczy i wydmuchał nos, usiłując się pozbierać, a potem zwrócił kasetkę do bankowej skrytki.

To było coś ogromnego. Miało wielki zasięg. I było bardzo, bardzo złe.

Rozdział 64

Cody leżała w łóżku smutna i chora z głodu. Najpierw Ghania powiedziała, że nie dostanie śniadania ani lunchu, a potem, że nie dostanie też obiadu. Brzuszek naprawdę ją bolał. Nie jest łatwo zignorować taki palący ból. Starła się o tym nie myśleć, ale było to naprawdę trudne, bo może jutro też miała nie dostać śniadania. Tylko dlatego, że nie chciała pić tego okropnego napoju. Nie mogła go pić. Nawet gdyby chciała, to coś dziwnego się działo za każdym razem, kiedy kubek zbliżał się do jej ust.

Weszła do łazienki i nalała sobie szklankę wody, ale to nic nie pomogło, więc wyjęła misia i przejrzała swoje skarby. Miała ich teraz sześć, ale guzik nadal był jej ulubionym przedmiotem.

Położyła się na łóżka przy misiu i włożyła guzik do ust. Był chłodny i miły w dotyku. Sprawił, że zaczęła myśleć o lodach.

402

iała teraz lodów bardziej niż czegokolwiek innego. Takich njiowych, które Mim zawsze kupowała w cukierni Haagen-nasz przy Ósmej Ulicy. To ugasiłoby płomień w jej brzuszku. „ ała guzik przez dłuższy czas, aż w końcu zapadła w niespokojny sen.

* * *

Maggie odwróciła się z boku na bok w łóżku i spojrzała na stojący na stole zegar. Zamrugła oczami: trzecia czterdzieści osiem nad ranem. Obudził ją głód, ale dlaczego była tak głodna w środku nocy? Nie

wiedziała, ale uporczywe poczucie pustki w żołądku zmusiło ją do wstania z łóżka. Narzuciła na siebie szlafrok, włożyła klapki i poszła do kuchni. Na wprost śpiąc, otworzyła drzwiczki zamrażarki i wyjęła napoczęty karton lodów waniliowo-orzecho-wych Haagen-Dazs. Zjadła ich już połowę, kiedy spostrzegła, że je łyżeczką Cody.

Rozdział 65

Ellie otworzyła drzwi i uśmiechnęła się, widząc jego zatroskaną minę. Najwyraźniej myślał, że zadzwoniła do niego, bo coś się stało z Maggie.

- Dobrze, że przyszedłeś, Dev - powiedziała, wprowadzając go

do pokoju gościnnego, gdzie na kanapie siedział już Peter.

Ksiądz wstał pośpiesznie i wyciągnął dłoń do przybysza, ale widać było, że dzieląca ich naturalna antypatia sprawia, iż jest to gest Pozbawiony serdeczności.

- Poprosiłam was obu, żebyście tu przyszli, z pewnego szczególnego powodu - zaczęła Ellie. - Potrzebuję waszego wsparcia, żeby pomóc Maggie, ale najpierw muszę wyjaśnić, o co chodzi.

403

Zaczerpnęła tchu i usiadła.

- Przejdę od razu do rzeczy... nie ma czasu na głupoty i nj,,d nie byłam zwolenniczką okrężnego mówienia - powiedziała, na trzając wprost na Petera, a potem na Devlina.

- Wiem, że obydwa kochacie Maggie - oznajmiła. - Jak bardzo czy w jaki sposób, to nie moja sprawa. Wiem także, że obydwa bardzo chcecie jej pomóc. Mam pewną wiedzę na temat tego, co zajdzie pomiędzy obecną chwilą a trzydziestym, i przez co antagonizm pomiędzy wami jest czymś niebezpiecznym.

Zasykali ją lawiną pytań, ale uniosła dłoń, by ich uciszyć.

- Nie. Nie! Nie znam ostatecznego rozwiązania, bo pokazano mi tylko parę scen całego dramatu, ale wiem, że każdy z was ma do odegrania ważną rolę, by doprowadzić do pozytywnego rozwiązania sprawy. Nie możecie pozwolić sobie na to, by dzielący was an

tagonizm zmałował waszą jasność widzenia lub emocjonalną stabilność. Zazdrość bywała przyczyną przegranych wojen.

Jesteście obydwaj silnymi, odważnymi mężczyznami i każdy z was pozostaje, na swój sposób, jej faworytem. Gdybyście się byli spotkali w innych okolicznościach, to możliwe, że uznałibyście swoje zalety i może nawet zostalibyście przyjaciółmi.

Uśmiechnęła się nagle szczerym uśmiechem.

- Dobrze sobie zdaję sprawę z tego, że ty, Dev, myślisz, że jestem trochę nienormalna - powiedziała i zwróciła swą uśmiechniętą twarz do księdza. - A ty, Peter, uważasz, że jestem odrobinę podejrzana, bo patrzę na bogów z innej perspektywy niż twoja. Jednak sądzę, że w gruncie rzeczy obydwaj instynktownie mnie lubicie, a będąc dobrymi sędziami charakterów, prawdopodobnie obaj wyczuwacie szczerą moją przyjaźń dla Maggie.

Proszę was obydwu, żebyście darzyli siebie nawzajem takim samym zaufaniem, jakim darzycie mnie, i żebyście to zrobili z tego samego powodu.

Rozbawił ją niepewny wyraz twarzy obydwu mężczyzn. W każdym mężczyźnie jest mały chłopiec - jak powiedziałaaby z głębokim zrozumieniem jej rosyjska babcia. Wycofała się pod pretekstem potrzeby dopilnowania czegoś w kuchni. To, czym musieli się zająć, wymagało dyskrecji.

404

nevlin wstał. Napięcie promieniowało od niego jak pole elektromagnetyczne.

Słuchaj, Peter - powiedział, z rozmysłem nie używając ko'cielnego tytułu, żeby nie dawać przeciwnikowi przewagi. - Jestem niej zakochany. Nie mam pojęcia, czy mnie zechce... teraz albo w Ogóle kiedykolwiek. Ale kocham ją i zrobię, co tylko, do cholery jestem w stanie, żeby pomóc uratować Cody. Przerwał, ale po chwili mówił dalej.

- Nie wiem, co jest pomiędzy wami dwojgiem i nie chcę tego wiedzieć. Dlatego, że myślę, że nic z tego nie może wynikać. I absolutnie nie myślę, że coś powinno. Z tego, co widzę, jedyną rzeczą, jaką możesz jej oferować, jest jakieś nie kończące się grzebanie w duszy, które ją wykończy, gdy będzie pomagała ci uporać się z twoim obciążonym sumieniem. Ona zasługuje na coś lepszego.

Wiem, że jesteś inteligentny, i szanuję to. Nawet jestem skłonny wierzyć, że masz uczciwe zamiary wobec Maggie i Cody. Ale sedno sprawy polega na tym, że jesteś księdzem, a nie mężczyzną.

Peter zmarszczył brwi na tę obraźliwą uwagę, ale nic nie powiedział.

- A nawet gdybyś ją zdobył - ciągnął Devlin - nie wiedziałbyś, co z nią robić. A ja tak. Dlatego, że byłem w różnych sytuacjach, jeżeli chodzi o kobiety. I jestem w odpowiednim wieku, żeby wiedzieć, co się liczy w życiu i jak się o to zatroszczyć. Bo widziałem, jak nierozważni potrafią być mężczyźni w stosunku do kobiet, które, jak twierdzą, kochają. Jezu, ja sam byłem taki nierozważny. I wiem, jak łatwo uznać, że są nam dane raz na zawsze i wyobrazić sobie, że zawsze się trafi jakaś kolejna. Ale po drodze nie ma żadnej drugiej Maggie. A jeżeli ona mnie zechce, to, do cholery, zaopiekuję się nią jak trzeba. - Spojrzał Peterowi prosto w oczy. - Czy ty możesz powiedzieć to samo? - zapytał głosem zduszonym od gotujących się w nim emocji. - Bo jeżeli tak, to jest inna rozgrywka.

Ellie znieruchomiała w drzwiach z dzbankiem herbaty w rękach.

Peter wstał, zbyt poruszony, by nadal siedzieć, a może po prostu była to nieświadoma próba wykazania wyższości. Chociaż Devlin nie był niskim mężczyzną, Peter przewyższał go wzrostem. Spoj-

405

rzał na Ellie, która dojrzała w jego oczach chaos targających • emocji.

- Wejdz, Ellie - powiedział napiętym głosem. - Nie ma powodu, żebyś miała nie słyszeć tego, co mam do powiedzenia.

Skinęła głową i weszła do pokoju, a potem usiadła z boku.

- Jako mężczyzna, Devlin, niczego bardziej na świecie nie pragnę, niż wybić ci zęby - powiedział Peter tonem, który nie pozostawiał żadnych złudzeń, co do jego szczerości. - Ponieważ życzysz sobie, żeby to była rozgrywka bez ograniczeń, to spójrzmy na twoje kwalifikacje jako ubiegającego się o jej rękę. Z tego, co powiedziała mi Maggie, wynika, że twoje osiągnięcia, jeżeli chodzi o małżeństwo i rodzinę, nie są za bardzo przykładowe, a twoja profesja zdaje się jej wróżyć co najmniej tyle samo potencjalnych cier

pień, co moja.

Zatrzymał się, by popatrzeć wprost na rywala.

- Czy nie myślisz, że ona doświadczyła już dość tragedii i przez moc, żeby teraz siedzieć po nocach i czekać na wiadomość, czy żyjesz, czy nie? Czy to by nie wypruło z niej flaków, że użyję twojej wyszukanej terminologii, w równym stopniu jak obciążenie mego sumienia? Czy przyszło ci do głowy, że może nie miała aż takiego szczęścia, jeśli chodzi o potencjalnych zalotników, jak ty i ja chcemy wierzyć w naszej arogancji? Odpowiem na twoje nie zadane pytanie: tak, kocham ją. Bardziej, prawdę mówiąc, niż mógłbym przypuszczać, że to możliwe. Masz całkowitą rację, sugerując, że nie mam takiego doświadczenia, jeśli chodzi o kobiety, jak ty, ale wcale nie jestem pewien, że to wada. Może miłość, którą mogę jej dać, byłaby mniej skażona niż twoja. I mniej samolubna.

Ale masz rację, przynajmniej częściowo, Devlin, ponieważ, poza moją miłością dla niej, nie mam nic więcej do oferowania. Nie mam grosza przy duszy, jakby to ujęła moja mama. Żadnego domu ani pieniędzy, ani perspektyw. Moje akademickie referencje umożliwiłyby mi podjęcie pracy na jakimś prowincjonalnym college'u czy uniwersytecie, który zechciałby przymknąć oko na moją dziwnie okrężną drogę do nich, i być może zarobiłbym na życie pisaniem, ale to wszystko. Miałem moje piętnaście minut sławy i nie spodziewam się, żeby mnie czekało jeszcze więcej.

406

7V będę o nią walczył? Chyba o to ci tak naprawdę chodzi. s' mi rękawicę i mam wszelkie prawo odpowiedzieć, więc 'Trnoja najlepsza próba odpowiedzi. ' <% iszył głos, by dodać niemalże nabożnym tonem:

Dla Maggie walczyłbym z tobą, z całym tym światem i następni gdybym naprawdę wierzył, że na końcu tej walki ona odniesie rzyści z mojego zwycięstwa. Ale widzisz, nie uważam tak. Gdyby wsZystkim, co biorę pod uwagę, były moje własne potrzeby, moje własne samolubne przyjemności, moje własne ułomne nadzieje czy marzenia, to wydałbym ci taką walkę, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyłeś. Ale w tej sprawie nie chodzi tylko o to. Chodzi o Maggie i Cody. O przyszłość Maggie, o jej serce, może nawet jej duszę. Czy moja miłość daje mi prawo narażać ją w jakimkolwiek stopniu, po to, bym spełnił własne potrzeby? Sądzę, że nie.

Oskarżyłeś mnie o wahanie. Tak, masz rację, przynajmniej pod tym względem: jestem dręczony niepewnością. Ale mogę ci powiedzieć z absolutną pewnością: zrobię wszystko, co jest w mojej mocy, żeby pomóc Maggie uratować dziecko. - Zawiesił znacząco głos. - Nawet jeśli ma to znaczyć, że muszę współpracować z tobą. Devlin nie wyglądał na zachwyconego siłą, bezpośredniością i miłością, które były tak wyraźnie widoczne w monologu Petera.

- A niech mnie szlag trafi - mruknął z ponurą twarzą.

Wstał, przeganiał sobie palcami włosy i w końcu spojrzął księdzu w oczy.

- Chyba wycofam mój zarzut co do twojej męskości, Peter - powiedział niechętnie. - Co powiesz na to, żebyśmy ogłosili zawieszenie broni do czasu, kiedy to wszystko się skończy? Gdyby to było możliwe, to nie musiałbym już się czuć dalej jak dupa wołowa, "ewnie problem polega na tym, że wybór należy do Maggie, a nie do nas... pod warunkiem, że pomożemy jej przeżyć trzydziestego kwietnia.

Peter skinął głową.

- Zgoda - powiedział, ujmując wyciągniętą dłoń Devlina
1 mruknął: - Cras amet qui nunquam amavit.

Devlin poderwał głowę, rozpoznając znajome mu słowa, 1 uśmiechnął się chytrze.

407

- Quique amavit cras amet - odparł.

Na twarzy Petera odmalował się wyraz prawdziwego zaskoczenia.

- Wygląda na to, że podziwiamy tych samych poetów - zauważył rozbawiony.

- Moja łacina nie równa się waszej - powiedziała Ellie, odprowadzając ich obojgu do drzwi. - Co powiedzieliście?

- To fragment z „Pervigilium Veneris” - odparł Peter. - Ja zacytowałem: „Jutro pokocha, kto nigdy nie kochał”, Devlin odpowiedział na to: „Kto kochał - jutro pokocha”.

Ellie zamknęła drzwi i oparłszy się o nie, roześmiała z satysfakcją. Trudno jej było zdecydować, którego z tych dwóch mężczyzn lubi bardziej.

Rozdział 66

Ojciec James Kebede obserwował dyskusję pomiędzy Maggie i Peterem. Była w niej pewna płynność, jakiegoś rodzaju wzajemna energia, która ożywiała ich oboje. Wracał tego dnia do Reinbeck i przybył, żeby pożegnać się z Maggie. Czuł się zaskoczony tym, jak bardzo dotkliwe jest dla niego to rozstanie, tak jakby się rozstawał ze starym przyjacielem, którego mógł już nigdy więcej nie zobaczyć.

Dziwnie polubił ją podczas swego pobytu w Nowym Jorku, chociaż wcale nie miał takiego zamiaru. Nie było w niej fałszu, lecz wiele dobroci, która go poruszała. Urodził się jako najstarsze z czternaściorga rodzeństwa w jednym z najbiedniejszych krajów świata, więc szanował siłę charakteru, szczególnie u kobiet. Przypominał sobie z dogłębną wyrazistością odwagę swojej matki i jej dobroć, wbrew bezlitosnemu ubóstwu i nowej ciąży każdego roku. Pomimo przerażających trudności urodziła ich, kochała i wychowywała, pielęgnując w chorobie, grzebiąc czwórkę, której nie zdo-

408

. uratować i ucząc ich wszystkich miłości Boga i surowego systemu wartości, który nadal wydawał mu się jedynym, jaki Wszech-oaący zamierzył dla ludzkości.

Teraz przyglądał się z uwagą ożywionej rozmowie, myśląc, że jedyne nie widział Petera tak ludzkim. Maggie wywoływała w nim coś, co nie istniało przedtem, czyniąc go kimś więcej, niż był poprzednio. I być może kimś mniej.

Rozmyślał nad tą metamorfozą przez dziesięć dni, które spędził w Nowym Jorku, kiedy poznawał Maggie, uczył ją, naciskał i zadawał pytania, starając się odkryć, co jest w niej takiego, co tak potężnie oddziałuje na Petera.

Doszedł już do wniosku, że w końcu zrozumiał ten mechanizm, ale co miał począć z tą wiedzą? I czego to nowe odkrycie wymagało od jego sumienia?

Przyglądał się swobodnej bliskości mężczyzny i kobiety, rozmyślając, tak jak często w przeszłości, jak dziwne i straszne zarazem są sposoby, jakimi Bóg objawia swoje tajemnice.

Musiał wrócić do domu, by się tam modlić. Tutaj panowała krucha równowaga, a on nie czuł się w stanie sprostać zadaniu jej podtrzymywania. Gdyby tylko był bardziej świętym i mądrzejszym, pełniejszym łaski, może mógłby zręczniejsz dokonać tego, czego Bóg od niego oczekiwał...

Pytanie, które zadała mu Maggie, wyrwało go z rozmyślań, przywracając bieżącej chwili.

- Wybacz mi, Maggie - powiedział z nieśmiałym uśmiechem -

chyba się zamyśliłem. O co mnie pytałaś?

Uśmiechnęła się i powtórzyła pytanie.

Nie można było nie lubić Jamesa, jak powiedziała wcześniej Peterowi, bo był jednym z bożych ludzi.

- Zapytałam cię, jak to możliwe, żebyś uważał, iż warto ryzykować własną duszę dla kogoś, kto jest opętany?

- Ach, Maggie - odrzekł, całkowicie skupiając swą uwagę na Zagadnieniu - pozwól, że spróbuję to wyjaśnić. - Przerwał, by zastanowić się chwilę. - Uważam, że niezliczone dusze, może milio-ny dusz na ziemi, są już opętane przez Złego, ale ich posiadacze są Zadowoleni z dokonanej transakcji! Niezależnie od tego, czy ci lu-

409

dzie sprzedali swe dusze świadomie, czy po prostu pozwolili, by się wymknęły przez ich duchowe lenistwo, to sycą się bez granic tym złem i czerpanymi z niego korzyściami. Są zadowoleni z tego, że wstąpili do zastępów Szatana i wcale im nie w głowie proszenie o egzorcyzmy. Ale ci inni, Maggie - ci, którzy przychodzą do nas błagać o pomoc - oni dlatego cierpią, że tak rozpaczliwie walczą z Wielkim Wrogiem. I właśnie dlatego są opętani przez demony, że walczą za pomocą całej swej kruchej ludzkiej siły przeciwko Nieśmiertelnemu Wrogowi ludzkości.

Wołają do Boga, by o nich nie zapominał w tej opresji, a my jako kapłani otrzymaliśmy ten wielki przywilej, że możemy przyjść im z pomocą. Gdybyśmy nie ruszyli na pomoc, to nie oni, ale my znaleźliby się na drodze do potępienia.

- Jesteś wspaniałym człowiekiem, James - rzekła Maggie po ruszona mocą jego odpowiedzi. - Zawsze będę się cieszyła, że cię poznałam. - Ujęła jego rękę w swoją dłoń. - Jeżeli kiedykolwiek będę potrzebowała egzorcyzmów, to mam nadzieję, że będziesz gdzieś blisko.

Jego oczy złagodniały.

- Ten moment nigdy nie nastąpi - odparł cicho. - Wróg zawsze wie, kto walczy po stronie aniołów. Może próbować cię zniszczyć... ale będzie wiedział, że nigdy cię nie uwiedzie. Ci, którzy kierują się miłością - jak mówi święty Jan - kierują się Bogiem.

Maggie usłyszała coś nowego w jego głosie, jakiś delikatny podziw, który ją zastanowił.

- Dziękuję, James - powiedziała wzruszona jego zaufaniem.
- Mimo wszystko chciałabym wiedzieć, że byłbyś w takiej sytuacji po mojej stronie.

Wyraz jego oczu był tak smutny, że kiedy wspięła się na palce, by go pocałować na do widzenia, pomyślała, że może niechcący obraziła go w jakiś sposób.

Ojciec James powiesił purpurowy ornat na wieszaku i umieścił go ostrożnie w szafie ze strojami mszalnymi. Jego ruchy były rozważne i przepełnione szacunkiem, gdyż łaska świętej ofiary, którą właśnie złożył, nadal wypełniała jego serce.

410

Odwrócił się, słysząc za sobą jakiś cichy odgłos, i z zaskoczonym niem dojrzał stojącego w drzwiach Petera.

- Nie chciałem ci przeszkadzać, James - powiedział, dostrzegając pobożny nastrój młodszego kapłana - ale otrzymałem wiadomość, że chciałeś mnie zobaczyć.

James skinął głową. Wyglądało na to, że chce zachować milczącą nie.

- Mogę przyjść później... - zaczął Peter.

- Nie, nie, mój przyjacielu - odparł James z uśmiechem. - Je->-coś, co muszę ci powiedzieć, Peter... gnębiło mnie to tak długo.

Opuścili zakrytą i ruszyli długim marmurowym korytarzem w kierunku kuchni.

- Kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy o twoim dylemacie zaczął James - poprosiłeś, żebym był blisko ciebie w tej rozterce

duszy. I ja się zgodziłem.

Peter skinął potakująco.

- Ta zgoda nałożyła wielkie zobowiązanie na moje sumienie, po nieważ wymaga ode mnie szczerości, która wykracza ponad reguły przyjaźni. W rzeczywistości, wymaga szczerości, która może w końcu podkopać naszą przyjaźń, co byłoby dla mnie okropną stratą.

Przerwał na chwilę, a grymas na jego twarzy świadczył, że James musi wypowiedzieć niechcianą prawdę.

Peter uspokajającym gestem położył dłoń na jego ramieniu.

- Miejmy nadzieję, że nasza przyjaźń nie jest tak krucha, że mogła ją zniszczyć prawda - powiedział, czując ścisnięcie w sercu-

- Modliłem się, by łaska Boża była dla ciebie lustrem w tej roli, mój przyjacielu - oznajmił smutnym tonem James. - Wiesz już wszystko, co mam ci do powiedzenia... a jednak obowiązek, który nałożyłeś na mnie, wymaga, żebym to ja był tym, który głośno wypowie te słowa. Kiedy ostatnio zobaczyłem cię z Maggie, wiedziałem, że nie mam innego wyboru, niż powiedzieć to, co mam w sercu.

- Czy myliłem się, myśląc, że ją lubisz, James? Wyraźnie widziałem, że czuwałem w ciągu ostatnich kilku dni łączącą was sympatię.

- Nie tylko ją lubię, Peter, ale myślę o niej z troską. Tym, że zmusza mnie do mówienia, jest fakt, że tak wyraźnie widzę jej szlachetność.

411

- A więc co musisz mi powiedzieć, stary przyjacielu?

James spojrzał na Petera z ogromnym współczuciem, ale jego słowa były twarde.

- Powołanie kapłańskie jest ogromnym darem Bożym, trudno mi sobie wyobrazić większe, a ty, Peter, jesteś ogromnie złożonym człowiekiem. Sam twój intelekt stawia cię na wyższym kręgu spirali... a twoje emocje bez wątpienia nie są wcale prostsze.

Nie uważam, że Maggie jest twoim problemem... ale raczej, że jest symptomem o wiele większej dolegliwości. Sądzę, że wpadłeś w ramiona tej kobiety, Peter, gdyż poszukujesz Chrystusa, ale go nie

znalazłeś.

Przerwał na chwilę, by ta istotna wiadomość dotarła do przyjaciela.

- Wydaje ci się, że twój Kościół cię zawiódł, przyjacielu, swoją podwójną mową i karzącym stosunkiem do twojej pracy i myślisz, że ty sam również zawiódłeś, nie będąc w stanie znaleźć możliwej do przyjęcia odpowiedzi na te bolesne pytania, które postawiłeś przed tronem Boga. Powaga tych niepowodzeń wywołała kryzys twojego kapłaństwa i jedynym miejscem, w którym znalazłeś po ciele, jest ta kobieta, która stała się dla ciebie transcendentalną prawdą przekraczającą wszelki rozsądek.

Uważam, Peter, że oparłeś się na bezpieczeństwie absolutnie niewzruszonej wiary Maggie. To nie ta kobieta cię uwodzi, Peter... ale jej zrozumienie Boga, które jest większe niż twoje!

Peter stał nieruchomo jak skała. Moc tego, co mówił przyjaciel, wstrząsała nim tak, jakby ktoś uderzył w gong we wnętrzu jego duszy.

Głos Jamesa brzmiał już łagodniej.

- Jako mężczyzna, Peter, rozumiem twoją samotność. Jako ksiądz, rozumiem twój zawód w stosunku do Kościoła i twoje poczucie porzucenia. Jako przyjaciel, rozumiem twoją miłość do kobiety, która jest tego warta.

Ale jako twój spowiednik i przyjaciel, który jest lustrem twojego sumienia, nie uważam, żeby to zrozumienie liczyło się w ostatecznym rozrachunku - dodał znowu stanowczym głosem.

- Kiedy wstąpiłeś w stan kapłański, Peter, byłeś już mężczyzną i jako taki złożyłeś uroczyste zobowiązanie wiecznej czystości.

Wszedłeś w święte porozumienie z Bogiem, mój przyjacielu. Teraz

412

możesz powiedzieć - ach, przecież w młodości nie wiedziałem, jakie ciężary nałoży na mnie ta przysięga!

Ale zapytam cię, czy mężczyzna, który poślubia kobietę na dobre i na złe, rzeczywiście pojmuję, jak gorzkie mogą być wyrzeczenia, których wymaga jego przysięga? Z pewnością nie.

Dzięki wielkim, cudownym darom, jakie otrzymałeś od Pana, i z powodu twej własnej niezwyklej miłości do niego, zawsze uważałeś się za specjalnego wybrańca Bożego, Peter. Tak samo uważał Lucyfer. Więc teraz usiłujesz renegeować swoją umowę, ale nie wolno ci myśleć, że możesz tego dokonać bez poniesienia konsekwencji. Nie czepiaj się śmiertelnie groźnej iluzji, że możesz mieć jedno i drugie, Peter. Nie możesz. Może jakiś inny człowiek mógłby... ale nie ty.

Potykasz się z Bogiem, ale nie możesz się z nim równać! Jesteś błyskotliwy, pełny dobrej woli, pobożny i obdarzony talentami ponad zwykłą miarę, ale jednak nadal nie jesteś na miarę Boga.

Szatan w Szóstym Kręgu, Peter! Kosmiczny paradoks. Miłość do Maggie oznacza zniszczenie jej i ciebie samego.

Peter wciąż stał nieruchomo, z opuszczoną na piersi głową.

- Bóg podąża za tobą, Peter - powiedział z naciskiem James. - Musi cię bardzo pragnąć. Nie uciekaj przed nim na rozstajach dróg.

* * *

Peter szedł brzegiem Potomaku, znajdując ukojenie w widoku opustoszałej, szarej rzeki. Gubił się w plątaninie gwałtownych emocji. Zaledwie parę dni temu rozmyślał nad starciem z Devli-nem, wyszukując w swym sumieniu absolutne pewniki, odtwarzając wielokrotnie w myślach ich rozmowę i doszukując się w niej przegapionych wątków. Ale w końcu czuł ulgę, że ich antagonizm został ujawniony i zneutralizowany... że Ellie miała na tyle rozsądku i sumienia, by zmusić ich aby stanęli naprzeciw siebie twarzą w twarz... Ale największe poczucie ulgi przynosił mu fakt, że ich potyczka zakończyła się remisem. Żaden z nich nie pokonał drugiego, obydwaj odeszli z nienaruszoną godnością.

413

Jednak konfrontacja z Jamesem była czymś zupełnie innym. Nie było tu zwycięzców, ale i nie było remisu. Może konfrontacja nie była nawet właściwym słowem na określenie tego, co zaszło między nimi, chociaż zostało odegrane jakieś bitewne hasło. Czyżby James był tylko kurierem wysłanym po to, by zapowiedzieć nadchodzącą bitwę, a właściwa konfrontacja miała się rozegrać przeciwko jego własnej duszy?

Deus meus, deus meus, ut quid dereliquisti me? Panie mój, panie, czemuś mnie opuścił?

Peter podniósł garść kamyków i cisnął jeden z nich ponad brudną zielonoszarą wodę.

Buntował się. Samo to, że powiedział to właśnie James, nie znaczyło, że to prawda. A przynajmniej nie jedyna prawda.

A może po prostu nadszedł czas, by odejść? Może długa walka Petera Messenguera o to, by pozostać w Kościele, w końcu dobiegła kresu. Nie z hukiem, lecz ze skomleniem.

„Mądrość nie jest nam dana - powiedział Proust. - Musimy odkrywać ją dla siebie samych, po podróży, której nikt nie może za nas odbyć ani jej nam oszczędzić”. A może jego własna podróż miała się odbywać u boku Maggie? Może był zablokowany, jak ten człowiek w opowiadaniu Kafki, przez drzwi, które nie dawały się otworzyć? Czy tą blokadą był Kościół? A może Maggie?

Et clamor ad meus ta veniat! I niech dojdzie do ciebie moje wołanie...

Peter cisnął ostatni kamyk i ze znużeniem oparł łokcie o żelazne ogrodzenie.

Domine, non sum dignus... Panie, nie jestem godzien, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja.

Stał się lepszym człowiekiem od poznania Maggie... wiedział to w głębi duszy. Może to samo w sobie było znakiem. Był mniej arogancki, mniej oziębły jezuicki, mniej pewien wszystkiego czy w ogóle czegośkolwiek. Bardziej współczujący, bardziej szczerzy, bardziej ludzki.

A może ona była dla niego Chrystusem w przebraniu? Może była miłością, a miłość jest wszystkim, co się liczy?

414

Albo może to wszystko było prymitywną racjonalizacją, a ona była po prostu śmiertelnym grzeczem przebranym w anielskie stroje?

Może demon naznaczył go po ra: ostatni, kiedy opuścił gardę!

Ojciec Kłamstwa. Kosmiczny Pan Śmierci.

Obserwuje.

Czeka.

Potrząsnął głową, by pozbyć się tych myśli. Maggie nie była instrumentem zła. Była dobra. Wiednął to ponad wszystko. Ale co wiedział o sobie samym?

I niech dojdzie do ciebie moje wołanie, Panie - modlił się niemal bezwiednie. - Bo jeżeli ty, Panie, miałbyś potępić nasze niedoskonałości, to kto z nas by to zniósł!

Odwrócił się od rzeki i ruszył zdecydowanym krokiem ku bibliotece, ale dotarwszy do drzwi, nie wszedł do środka. Postanowił wrócić do Nowego Jorku i dokończyć przygotowanie Maggie do tego, co miało nastąpić. Wszystko inne mogło być rozwiązane po trzydziestym kwietniu.

Rozdział 67

Skończywszy wyliczanie faktów, Devlin popatrzył ze zdziwieniem na wyraz twarzy kapitana. Była to twarz starego irlandzkiego policjanta, twarz jakich dawniej było pełno w nowojorskiej policji. Kapitan Francis X. O'Shaunessy służył w policji na tyle długo, że można było uznać, iż zna lokalizację każdego szkieletu ukrytego w siedzibie władz miasta od czasu, kiedy La Guardia odszedł z urzędu.

W tym momencie jego twarz stanowiła studium doskonałej obojętności.

- A jaki jest dokładnie pana powód zainteresowania się tą sprawą, poruczniku? - brzmiało jego pierwsze pytanie.

415

Samo to zaskoczyło Devlina. W normalnych sytuacjach doszłoby do szczegółowych pytań jeszcze podczas jego relacji, do wypytywania opartego na irlandzkiej intuicji i czterdziestu latach doświadczenia w pracy w policji. Jednak tym razem było inaczej. Devlin przez chwilę miał ochotę ukryć swoją osobistą motywację, ale postanowił zrobić inaczej.

- Lubię tę O'Connor - oznajmił. - Myślę, że wplątała się w coś bardzo poważnego i brudnego. I jestem przekonany, że to dziecko znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie.

O'Shaunessy rozparł się wygodnie w krześle, a jego potężna klatka piersiowa i masywne ramiona poruszyły się w wymownym geście.

- Nie widzę w tym, co pan mi powiedział, niczego, co by skłaniało nas do jakichkolwiek działań - oświadczył.

Devlin zmarszczył brwi. Żadnego „może tak, może nie”? Żadnego przeanalizowania możliwości?

- Ale, kapitanie - nie poddawał się - sam materiał Fellowesa zawiera wiele rzeczy, które podchodzą pod naszą jurysdykcję. Ten klub przy Bleecker, pranie pieniędzy z narkotyków...

Kapitan przerwał mu gestem ręki.

- Wszystko nie potwierdzone, poruczniku. Wszystko od niegojącego świadka. Jeśli myśli pan, że znalazł coś aktualnego, proszę to przekazać ludziom od narkotyków. Cała reszta to kompletne bzdury. Zrozumiano?

Devlin wstał, by odejść. Odprawa była równie wyraźna, jak i zaskakująca.

- Kapitanie - powiedział, zbliżywszy się do drzwi. - Czy wie

pan o tym wszystkim coś, czego ja nie wiem?

Zawsze istniała możliwość, że przypadkiem wkroczył na teren dochodzenia prowadzonego aktualnie przez jakąś inną instytucję.

Oczy O'Shaunessy'ego były nieruchome i niemożliwe do rozszyfrowania.

- Wiem, poruczniku, że mądrze jest wycofać się ze ślepej

uliczki.

Devlin skinął głową i otworzył drzwi, kiedy kapitan znowu się odezwał.

416

- Te papiery od tego reportera... jak on się nazywał... Fellowes.

Może mi je pan zostawić do przejrzenia.

Devlin odwrócił się do kapitana, instynktownie szukając w jego twarzy czegoś, co tłumaczyłoby to polecenie.

- One nadal są w skrytce w banku, kapitanie - odparł spokojnie.

- Więc niech pan je wydobędzie i dostarczy na moje biurko - polecił kapitan, odprawiając go znowu ruchem ręki.

To było dziwne. To było bardzo dziwne... Devlin postanowił wydobyć papiery z Chase Manhattan jeszcze tego samego wieczoru.

- Co powiedział kapitan? - zapytał Gino, poznając już odpowiedź z wyrazu zaciśniętych ust porucznika.

- Bardzo wyraźne: nie - odparł Devlin. mając jeszcze w uszach echa rozmowy.

- Tak, tak, mogłem się domyślić. Nie podlega naszej jurysdykcji. Żadnych dowodów, tylko poszlaki. Mamy już dość kłopotów. I tak dalej, i tak dalej... Mam rację?

- Trafiałeś w dziesiątkę - rzekł zamyślony Devlin.

Samo to, co kapitan powiedział, nie było jakieś niezwykle, ale zastanawiał go sposób w jaki to mówił.

- Skąd taka mina? To nie było całkiem niespodziewane.

- Nie wiem, Gino. Zachowywał się dziwnie i poprosił mnie o papiery Fellowesa, zaraz po tym, jak powiedział, że to wszystko bzdury i nie powinniśmy się czepiać.

Gino spojrzał na niego uważnie.

- O co tu chodzi, poruczniku?

Devlin pokręcił głową.

- Nie wiem. Ale przenoszę papiery na wszelki wypadek, bo a nuż się okaże, że nie jestem chorobliwie podejrzliwy.

Garibaldi skinął głową. Był w branży na tyle długo, by wiedzieć, że nic nie jest niemożliwe w sytuacjach, w których wielkie pieniądze mogą przechodzić z ręki do ręki.

- Więc co pan chce, żebym zrobił?

- Pogrzeb tu i ówdzie, zobaczymy, co się da wytrząsnąć. Ja zajmę się Saylesem, a ty spotkasz się z Yannierem, bo Erie już wie, że

417

mnie nie lubi. Niech myślą, że mamy na nich więcej, niż mamy rzeczywiście.

Garibaldi skinął głową, zamyślony.

- Prawdę mówiąc, wiemy dużo, poruczniku. Po prostu nie mamy dowodów. Ile z tego, co mamy, mam ujawnić temu facetowi?

- Czy to pytanie zadaje mi najlepszy w miejskiej policji poke-rzysta? - odparł Devlin. - Nic mu nie pokazuj i zgarnij kasę, tak jak zawsze.

Mistrz gier karcianych uśmiechnął się szeroko.

- Nie lubię facetów, którzy wyzywają się na małych dzieciach i kobietach, poruczniku - powiedział. - Naprawdę miałbym niezłą radochę, jakbym mógł dołożyć panom Tweedledum i Tweedledee.

Devlin skinął głową. Garibaldi był dobrym człowiekiem i dobrym przyjacielem.

- Gino - powiedział, zanim zamknęły się za nim drzwi. - Uważaj na siebie. Tutaj nic nie wygląda normalnie.

Gino wyszczerzył zęby.

- Co? Zakłócenie w boskim planie? - powiedział z udawanym niedowierzaniem. - Czyż to możliwe, że już nie jesteśmy w Kansas, poruczniku?

Zamknął za sobą drzwi, a Devlin zdjął z wieszaka marynarkę i ruszył do Chase Manhattan Bank.

Rozdział 68

Abdul Hazred czekał w bibliotece Vanniera na przybycie pozostałych. Mając mniej niż dwa tygodnie do materializacji, musieli zadbać o to, by każdy uczestnik w pełni rozumiał swoją rolę, ale że miało to być spotkanie na szczycie wybitnych indywidualności, nie zapowiadało się to na łatwe zadanie.

Tego wieczoru miało się tu spotkać trzynastu najpotężniejszych magów na ziemi: przedstawiciele każdego poważnego sys-

418

temu magicznego, który potrafił dysponować prawdziwą mocą. Reprezentowali oni bantu, czyli złowrogą odmianę santerii, a poza tym pało monte, pało mayombe, haitańskie voodoo, can-dombre, obeah, dwie ważne sekty satanistyczne, intelektualnie elitarna Korona Choronzonu, Gnoza Xanthy i egzotyczna sekta mitraistyczna, o której prawie nic nie słyszano poza tym środowiskiem.

On sam, Sayles, i Vannier mieli reprezentować Tajemnice Egiptu, a Ghania... ach, Ghania, cóż mógł powiedzieć o jej mal-gaskiej magii, narodzonej w ostatnich konwulsjach lemuriańskiej dekadencji, zanim zatonała na zawsze pod falami południowego Pacyfiku? Tylko tyle, że była najbardziej krwiożercza z nich wszystkich.

Każdy z uczestników dzisiejszego spotkania przebył Próbę Otchłani i każdy poświęcił swoje życie gromadzeniu okultystycznej władzy nad światem materialnym. Niektórzy zdobyli swą moc w prymitywnych szamańskich kulturach, inni przez intelektualną edukację, tak rygorystyczną i zaawansowaną, że jej zakres ledwie mógł być ogarnięty przez pomniejsze umysły. Jediną rzeczą, która ich łączyła, była gotowość służenia jakiemuś Złemu Mistrzowi w zamian za realizację ich ambicji. Niektórzy doszli do swej tajemnej wiedzy przez dynastyczne związki rodzinne, inni przez osobistą zachłanność, a jeszcze inni przez intelektualną dumę. Był jeszcze jeden dotyczący ich pewnik: żadne z nich nie dotarło do tego etapu w pojedynczym wcieleniu.

Życiorysy ich wszystkich były różne od jego własnego - pomyślał chłodno Hazred, patrząc, jak samochody przybyszów zaczynają wypełniać kolisty plac pod oknami biblioteki. On był tutaj nie z powodu oddania Złemu, ale z miłości do Bogini i jej legendy. Z powodu rozpaczliwego i gorączkowego pragnienia posiadania amuletów, które wypełniały jego sny od tamtego momentu w dzieciństwie, kiedy

dowiedział się o ich istnieniu. Zło było dla niego koniecznym składnikiem równania, ale nie było całym równaniem, bo który mag mógłby uważać się za mistrza, gdyby nie potrafił wykorzystywać zarówno Magii Szlaku Lewej, jak i Prawej Ręki?

419

Miał trzynaście lat, kiedy wszedł dla zabawy do Muzeum Kair-skiego i błąkał się bez celu po chłodnych, pogrążonych w półmroku korytarzach, kiedy wezwał go posąg Sechmet. Służ mi, kapłanie! - zażądał paraliżujący głos, wywołując w nim pulsowanie od dawna skrywanych energii. Stał jak oczarowany przed wielką granitową postacią, rozumiejąc każdą swą cząsteczką moc tego wyzwania. Jeżeli się jest raz kapłanem Bogini, to zostaje się nim na zawsze. Został wezwany i stawiał się na to wezwanie.

Stojąc przed posągiem, zobaczył, jak otwierają się jego oczy i płomienista aura pochłania posąg razem z nim samym. Informacje spływały do niego, a może po prostu były odtwarzane w jego wnętrzu, z ukrytej wiedzy, kiedyś posiadanej i od dawna porzuconej.

Szkielety podsycaty płomienie w jego wizji, a przed jego oczyma materializowały się legiony, by służyć okrutnej Bogini. Zaprowadzono go uroczyście do ołtarza, gdzie drapieżne postaci o głowach jastrzębi strzegły tajemnic Sechmet. Ściany muzeum rozmyły się w nicość, gdy przed rosnącą świadomością Abdula Hazreda pojawiała się wizja po wizji, wplatając się w jego istotę, pulsując w jego komórkowej pamięci, aż w końcu znowu był Najwyższym Kapłanem Sechmet, wywodzącym się z dawno wymarłej dynastii.

- Pouczę cię! - obwieścił głos Bogini. - Wysłanniczka będzie posłana podczas twojego żywota. Mój kamień przeznaczenia będzie w zasięgu ręki ludzkości. Praca zostanie wykonana. Zostanie pokazana droga...

Przybycie kolejnych gości gwałtownie wyrwało Hazreda z jego rozmyślań.

- Numer trzy! - zawołał pod jego adresem wesoły głos. -

W końcu się spotykamy!

Wysoki, dystyngowane wyglądający mężczyzna, który mówił z oksfordzkim akcentem, uczynił w

powietrzu tajemny znak pełnego szacunku powitania i uśmiechnął się.

- Witam, Numer Jedenaście - odparł Hazred z równie udawanym zachwytem. - Długo musieliśmy czekać na tę generalną próbę.

Drobna Azjatka, promieniująca, mimo swych filigranowych kształtów, złowrogą mocą, usłyszała tę wymianę zdań.

420

_ Całe eony, mówiąc ściśle - powiedziała z olśniewającym uśmiechem, który pomimo jej oszołamiącej urody przypominał Hazredowi uśmiech rekina w porze karmienia.

- Numer Pięć - zwrócił się do niej z powitaniem. - Jesteś, jak widzę, równie piękna jak zwykle. Uważaj, żeby Bogini nie poczuła ukłucia zazdrości.

Uśmiechnęła się, dziękując za komplement i w tej samej chwili do salonu wpadł potężny mężczyzna o wyraźnych negroidalnych rysach, ubrany w pelerynę i turban.

- Numer Sześć jest równie delikatny jak zwykle - stwierdziła z ochrypłym śmiechem.

Odwróciła się, by powitać przybysza, gdy pojawiło się jednocześnie kilku kolejnych gości. Krępy, biały mężczyzna z czarną kozią bródką; wysoka, tyczkowata kobieta ubrana od stóp do głów w czerni i nieduży, wyglądający na naukowca mężczyzna w wygniecionym tweedowym ubraniu.

Erie i Nicky weszli do pokoju zagłębieni w ożywionej rozmowie. Na widok zgromadzonych rozdzielili się, aby każdy z nich zajął się powitaniem swojej połowy gości.

Za nimi w salonie pojawiła się Ghania, ubrana o wiele bardziej ceremonialnie niż zwykle, w dżelabiję i turban z jakiegoś nadzwyczajnego srebrzystego jedwabiu, który mienił się jak tęcza, tak jakby tkanina żyła swoim własnym życiem.

- A propos delikatnego wejścia - roześmiała się Numer Pięć, wskazując wiedźmę ruchem głowy z odrobiną zazdrosnego podziwu. - Nieźle jak na dziewczynę w tym wieku.

Wzrok Ghanii od razu obrócił się w kierunku mówiącej, chociaż normalne ludzkie uszy nie byłyby w stanie usłyszeć jej komentarza. Numer Pięć skłoniła głowę pod jej adresem w uznaniu wyjątkowych

umiejętności, a Ghania uśmiechnęła się swym niesamowitym uśmiechem.

- Usiądźmy, moi drodzy współpracownicy - zaprosił obecnych

Erie.

Stanął przed nadzwyczaj bogato zdobionym osiemnastowiecznym biurkiem, które dominowało pod ścianą salonu naprzeciw licznych krzesel i kanap.

421

- Zebraliśmy się tego wieczoru po raz ostatni przed Wielką Uczą. Jeśli są jeszcze jakieś pytania, to powinny być wyjaśnione tu i dzisiaj, by nie było żadnych wątpliwości, które mogłyby zakłócić energię podczas Materializacji.

Zebrani przywitani jego zagajenie pomrukiem różnych komentarzy.

- Proszę, proszę, moi Adepci - uciszył ich Erie, wykonując ręką władczy gest. - Chcecie dowiedzieć się, kto będzie zajmował jakie miejsce podczas Ceremonii. To absolutnie zrozumiałe, że jesteście ciekawi. Numer Dwa i Numer Trzy? - powiedział, zwracając wzrok na Saylesa i Hazreda. - Może zechcielibyście przedstawić rolę każdego uczestnika.

Obydwaj mężczyźni wystąpili przed zgromadzenie.

- Postępujcie. Trzeba postawić sprawę jasno - zaczął Nicky - każdy w tym salonie jest w stanie przeprowadzić wszystkie konieczne rytuały i każdy chce odgrywać najlepszą rolę, więc przydzielenie ról jest naprawdę cholerną robotą. Nie ma szans obdarzyć każdego w sprawiedliwy sposób, więc ktoś po prostu musi zdecydować, kto co robi. Dlatego wziąłem pod uwagę talenty wszystkich tam, gdzie się dało, a jeśli chodzi o resztę, to po prostu będziecie

musieli się podporządkować.

Erie Vannier wystąpi jako Najwyższy Kapłan, co do tego nie ma wątpliwości. Doktor Abdul Hazred, który posiada rangę ipsissimu-sa i mówiący do was magister templi będą asystować przy ołtarzu.

Kazak Ra zajmie się przygotowaniem astralnej obrony. Jego przynależność do Braterstwa Mitry gwarantuje, że nadaje się najlepiej do tego zadania.

Wywołania demonów dokona Varielli Le Res, ponieważ są chlebem powszednim dla pała mayombe.

Wygłoszenie Formuły Rytuału przypada naszej diwie Tanis Fio-dorownej, jedynej z nas, która potrafi zaśpiewać C dwukreślne.

Wstępne przywołanie bóstw będzie zadaniem Sir Reginalda, ponieważ niebiański protokół to jego działka. Morrigan odbierze przysięgę. Madame Chan obsadzi Północną Bramę. Profesor Teo-polis Południową Bramę. Giles Moreau Wschodnią Bramę, a Gha-nia Zachodnią. Ojciec Duchesne rozda komunię.

422

Teraz przyszedł czas na Vanniera.

- Ghania będzie miała, oczywiście, podwójną rolę. Jako że to ona obudziła W/słanniczkę, teraz poprowadzi ją podczas astralnej podróży - oznamił i odchrząknął. - Należy tu podkreślić jeszcze jedną ważną srrawę. Pragniemy zmaterializować Amulet Izdy i Kamień Sechnet za pomocą Starożytnych Tajemnic mojej ojczyzny, więc jest o:zywiste, że Główny Rytuał i Materializacja zostaną dokonane według egipskich zasad sformułowanych w świątyni Izdy przed tysiącami lat. Jednak w podziękowaniu Mistrzowi za zgromadzenie ntaj tak nadzwyczajnych talentów, które ma pomóc nam w osiągnięciu celu, oddamy cześć różnym reprezentowanym przez nas wcie eniom zła, wykorzystując Klucze Enocha, Tunele Seta, zaklęcie rebańskie, drugie zaklęcie Clavis Rei oraz zaklęcia primae i oranti

Ze strony słuchaczy dobiegł pomruk zachwytu. Kazak Ra wyszedł przed zgromadzonych.

- To bardzo szlachetne rozstrzygnięcie - oznajmił z aprobatą. - Wyrażam zdanie większości z nas, mówiąc, że mieliśmy zamiar negocjować twoją osobistą rolę kierowania ceremonią, ale, być może, był to zbyt pośpieszny zamiar. Wyrażam uznanie dla twojego zmysłu przewidywania.

- Brawo, brawo - zawtórowało mu kilka głosów.

- Cel jest w zasięgu ręki - wtrąciła lodowatym tonem Madame Chan. - Jeżeli ja sama godzę się z rolą odzwiernego przy Północnej Bramie po to, by zapewnić osiągnięcie wielkich trofeów, to kto tutaj miałby prawo narzekać na niegodne zadanie? Wszyscy podpisaliśmy nasze zobowiązanie... i wszyscy otrzymamy to, czego najbardziej pragniemy, kiedy Amulet i Kamień znajdą się w naszych rękach. Czy jesteśmy neofitami, by kłócić się o drobnostki?

Hazred uśmiechnął się do siebie, słysząc te pochlebstwa. Widział, jak Erie i Nicky wymieniają spojrzenia. Każdy z obecnych w tej sali miał swoje ukryte cele... każdy był gotów bez wahania zabić pozostałych, gdyby to służyło jego czy jej osobistemu celowi. Ale w tej chwili wszyscy byli zjednoczeni przez swoją chciwość. Potem...

Podczas gdy Madame Chan zwracała się do zgromadzonych, wysoka, trupioblada kobieta o imieniu Morrigan zaczęła drżeć jak

423

trzcina na wietrze. Dwaj mężczyźni podeszli do niej pośpiesznie by podtrzymać jej ciało w pionowej pozycji. Wszyscy widywali ją w przeszłości w konwulsjach wywołanych energią: taka była cena bycia wyrocznią.

- Strzeżcie się ofiary! - zawołała piskliwym jękiem, równie nieprzyjemnym jak pisk kredy na tablicy. - Strzeżcie się materii tam, gdzie się łączy wschód z zachodem. Tam, gdzie spotyka się przeszłość i teraźniejszość, przyszłość pisze swą własną opowieść.

Jej ciało zwiotczało nagle i gdyby nie trzymający ją mężczyźni, byłaby upadła.

- Co to znaczy? - zapytał Teopolis.

- To, że strzegący czterech stron świata mogą mieć więcej do roboty, niż sobie wyobrażaliśmy - wtrącił szybko Sayles. - Wschód i zachód muszą być nadzwyczaj dobrze bronione. Przeszłość i teraźniejszość spotykają się w Amulecie i Kamieniu. Każdy, kto je będzie posiadał, będzie decydował o kształcie przyszłości. Wyrocznia przewiduje korzystne rozwiązanie naszych wysiłków.

Ghania uśmiechnęła się. Słowa wyroczni nie znaczyły nic w tym rodzaju, ale Nicholas znakomicie wybrnął z sytuacji.

W sali zapadła nieco niepokojąca cisza, gdy wszyscy uczestnicy zgromadzenia zaczęli przechodzić gęsiego do kaplicy, aby ostatecznie przećwiczyć swoje indywidualne role.

Ghania z zastygłym na twarzy uśmiechem zamknęła drzwi za ostatnim Adeptem. Odczekała, aż ostatni samochód odjechał z podjazdu, a potem udała się do biblioteki. Postanowiła odwiedzić tej nocy kilkoro z gości na planie astralnym. Musiała to zrobić jeszcze wtedy, kiedy osobiste zamiary nadal zajmowały pierwsze miejsce w ich myślach. Wielu na pewno miało się zabezpieczyć przed snem, ale doprawiła im eufrazją wino do kolacji, licząc, że to na tyle osłabi ich obronę psychiczną, by mogła dokonać penetracji.

Była sama w bibliotece. Hazred został z Nicholasem i Erikiem, gdyż jako trzeci kapłan w triumwiracie mającym dokonać Materializacji cieszył się specjalnymi przywilejami. Ghania nie lubiła Egipcjanina ani mu nie wierzyła. Oczywiście, nie lubiła ani nie wierzyła żadnemu z Adeptów, chociaż uważała, że zna niektórych

424

nich na tyle dobrze, by zrozumieć ich głęboko skrywaną motywację. Hazred był inny. Próbowwała przy licznych okazjach przeniknąć przez jego psychiczną zbroję, ale albo był najwybitniejszym czarownikiem z nich wszystkich, albo, jak sam twierdził, był chroniony przez jego Boginię. Po głębszym zastanowieniu musiała przyznać, że nie ufa także jego Bogini.

Sechmet była przejawem zła energii Bogini, a nie prawdziwą boginią- Wiedziała z własnego doświadczenia, że mogłaby zaufać Asztarte albo Lilith, ale Sechmet była równie niegodna zaufania pod względem zła, jak i pod względem dobra. Była za bardzo nieprzewidywalna. Niektórzy nawet twierdzili, że jest złą stroną Izidy.

Kiedy weszła do salonu, Hazred powstał, by ją powitać, ale dwaj pozostali nawet się nie ruszyli.

- Ghania - pozdrowił ją. - Jak idzie z dzieckiem?

Spojrzała na Erica, który skinął nieznacznie głową w geście przyzwolenia.

- Skorzystałam ze starych metod. Chwieje się na krawędzi

Przebudzenia. W tym tygodniu popchnę ją na skraj szaleństwa...

jej Strażnicy nie pozwolą na jej unicestwienie, więc będą zmusze

ni się ujawnić. Kluczem do naszego sukcesu jest właściwe roz

mieszczenie w czasie moich wysiłków. Pomiędzy jej Przebudzeniem a Materializacją nie może upłynąć więcej niż czterdzieści osiem godzin. Jeżeli przebudzę ją zbyt szybko, będzie miała dość czasu, by nauczyć się wykorzystywać swoją moc, i wtedy już nie będziemy w stanie nad nią zapanować. Jeżeli zrobię to za późno, nie będzie miała dość umiejętności, by znieść astralną podróż i powrót. W związku z tym, może będzie musiała być poddana działaniu narkotyków albo uroku do momentu Materializacji.

Hazred dobrze rozumiał, w czym tkwi niebezpieczeństwo.

- Pochwalam te wysiłki, Ghania. Tylko ktoś mający tak niezwykłe umiejętności jak ty mógłby się podjąć tak trudnego zadania z jakiegokolwiek widokami na sukces - oznajmił tonem króla wygłaszającego szczodłą pochwałę pod adresem utalentowanego sługi.

Ghania nie mogła tego nie zauważyć. Pochyliła lekko głowę w jego kierunku w geście podziękowania.

425

- Służę mojemu Mistrzowi - odparła zimnym tonem.

Nie była pewna, czy Hazred mógłby powiedzieć coś podobnego

Rozdział 69

Raphael Abraham rozejrzał się po poczekalni gabinetu rabina Leviego, zadając sobie w myślach pytanie, co, do cholery, tu robi. Już rozlokował wszystkie zespoły obserwacyjne potrzebne do wykonania misji. Przesłał też do Tel Awiwu swoje raporty zakodowane w standardowym podwójnym systemie Mossadu, w którym każdy dźwięk znajduje odpowiednik w postaci liczby, a każda z tych liczb posiada kolejny odpowiednik literowy lub liczbowy. Zlecił jednemu z pracowników Shicklut przygotowanie sprzętu podsłuchowego i skontaktował się też z mieszkającymi w okolicy lojalnymi Żydami, członkami siatki Sayonim, którzy mogli być wezwani do oddania przysługi Izraelowi. Wszystko zrobił tak, jak nakazywała logika.

Wszystko, z wyjątkiem tej wizyty.

To był jakiś wybryk. Uśmiechnął się do siebie, myśląc, że nikt nigdzie i w żadnym czasie nie mógłby użyć takiego słowa, mówiąc o Raphaelu Abrahamie.

Więc dlaczego tu był?

Mały, przenikliwie patrzący rabin, który wyglądał na strzegącego wejścia, stanął w drzwiach gabinetu i przywołał go gestem-Abraham podniósł się natychmiast, czując się jak mały chłopiec wzywany do gabinetu dyrektora szkoły z powodu popełnienia jakiegoś nieświadomego przewinienia.

- Rebe - powiedział z szacunkiem, stając przed starcem-- Dziękuję za przyjęcie.

Rabin nie zareagował ani słowem na jego podziękowanie, lecz tylko nieznacznie skinął głową. Abraham czuł się zmuszony do wyjaśnienia celu swojej wizyty, więc wskazał na trzymane w ręce papiery.
- Zebrałem wszystkie informacje na temat legendy Amuletu,

426

be - powiedział - i trochę biograficznego materiału na temat zystkich zaangażowanych w to ludzi, szczególnie tej kobiety i jej

wnuczki.

Rabin znowu skinął głową, ale nadal się nie odzywał.

_ Jeśli będzie potrzeba więcej materiałów, to z przyjemnością dostarczę wszystko, czego zażadasz.

- Nie potrzebuję nawet tego, co trzymasz w ręce - odparł rabin

spokojnym tonem. - Już widziałem tę kobietę i dziecko.

Abraham zmarszczył brwi.

- Wybacz mi, rebe, ale to niemożliwe... mamy je obydwie pod

obserwacją i nie meldowano mi wcale o takiej wizycie.

Rebe wyjął usta, jakby chciał powiedzieć: po co cokolwiek tłumaczyć oczywistemu matołowi?

- Być może twoja obserwacja nie sięga tak daleko jak moja -

odparł z nutą pobłażania dla ignorantów. - Wiem to, co potrzebuję

o nich wiedzieć. Kiedy przyjdą, będę wiedział więcej.

Abraham zrobił zaskoczoną minę.

- Chcesz przez to powiedzieć, rebe, że mam je do ciebie sprowadzić? Moje rozkazy są w tej kwestii

niejednoznaczne.

- Twoje rozkazy nie mają nic wspólnego z odpowiedzią na to pytanie - odparł wprost rabin. - Zostaniemy doprowadzeni do siebie, jeżeli będę potrzebny. Ani ty, ani ja, ani ten, kto ci rozkazuje, niezależnie od tego, kim jest, nie mamy żadnego wpływu na tę decyzję.

Mina Abrahama świadczyła o braku zdecydowania. Nie był w najmniejszym stopniu pewien, o co powinien zapytać, czy co powinien powiedzieć.

- Rebe - rzekł w końcu. - Kiedy tu przychodzę, jestem jak dziecko. Niepewny. Dobrze rozumiem świat, w którym żyję. To niełatwy świat, pełen rzeczy, o których najlepiej nie mówić. Myśla-
•em, że to jest jedyny świat. Zdaje się, że chcesz mi powiedzieć, że jest więcej spraw, niż mi się wydaje, związanych z zadaniem, jakie °trzymałem... może nawet więcej takich, którymi będę musiał się Zająć, chociaż nie jestem do tego dobrze przygotowany...

Przerwał, nie wiedząc, jak to wytłumaczyć. Tym razem oczy rabina rozjaśniły się, zachęcając Abrahama do tego, by mówił dalej.

427

- Zaczynam myśleć, że mogę mieć problemy, bo nie wiem czegoś, o czym nawet nie sądziłem, że istnieje... Jeżeli tak jest, to być może, nie będę w stanie wykonać mojego zadania.

- Ach - odparł starzec. - Piasek ci się poruszył pod nogami i wszystko może nie być takie, jak sobie wyobrażałeś.

Zamilkł na chwilę, przyglądając się stojącemu przed nim mężczyźnie.

- Co wiesz o kabale? - zapytał w końcu. - Czy twój wuj niczego cię nie nauczył?

W oczach Abrahama pojawił się natychmiast wyraz niepokoju.

- Mój wuj? Co wiesz o moim wuju, rebe? - zapytał podejrzliwie.

Rabin pokiwał lekko głową i wzruszył ramionami, jakby mówił:

wiem to, co potrzebuję.

- Mój wuj był badaczem - powiedział Abraham, starannie do bierając słowa. - Ceniłem jego wiedzę, ale go nie rozumiałem.

Rabin uniósł z dezaprobatą brwi.

- Może prawda jest taka, że nie szanowałeś jego wiedzy. Może myślałeś, że on jest myszygene, bo wiedział o rzeczach, których ty nie byłeś w stanie dostrzec i usiłował uczyć cię o rzeczach, których nie potrafiłeś pojąć w zwykły sposób.

Abraham uświadomił sobie, że znowu został przejrany... Nie było sensu kłamać człowiekowi, którego wgląd sięgał dalej niż jego własny.

- Przyjmuję tę reprimendę - szepnął.

- To dobrze - odparł rabin. - Teraz możemy zaczynać. Ta sprawa amuletów... dotyczy tajemnic, których sobie nie wyobrażasz i o których nawet nie śniłeś. Kabała nie jest czymś, o czym można powiedzieć: opowiedz mi o tym... i nauczyć się. Świat, który znasz, jest złożonym zjawiskiem, ale jest tylko jednym z czterech takich światów. To za wiele, żeby je poznać w ciągu dnia czy roku, czy całego życia. Więc idź do domu. Przeczytaj jakąś książkę albo i dwie. Jeśli chodzi o kabałę, to na początek dobry byłby Gershom Scholem. Dowiesz się, jak wiele nie wiesz. Przestanieś wy ciągać wnioski, do których wyciągania nie jesteś uprawniony. I przestanieś myśleć o tym, że masz władzę nad czymkolwiek. To będzie początek.

428

Naśmiewasz się ze mnie, rebe - odparł Abraham całkowicie zdezorientowany. Odrobinę. Być może. Bóg lubi, kiedy się śmiejemy.

- Ja chcę, rebe, jedynie wykonać zadanie, które mi zostało powierzone. Nic poza tym ani nic mniej.

- A jak sobie wyobrażasz to zadanie?

- Przechwycić amulety, o ile istnieją, co wydaje mi się niemożliwe.

Jego rozkazy zawierały jeszcze inne elementy, których nie ujawniał.

- No tak. Chcesz, żebym ci powiedział, że niemożliwe jest możliwe. Odpowiedź brzmi: tak. Ale twoja misja może okazać się inna od tego, co sobie wyobrażasz. Miej umysł otwarty.

- Rebe - rzucił zdesperowany Abraham. - Po co tu dzisiaj przyszedłem?

- Dobry z ciebie chłopak, Rafi - powiedział niespodziewanie Rebe.

Abraham podniósł na niego wzrok, zaskoczony tą poufałością.

- Jednak ty myślisz, że odpowiedzi na twoje pytania będą wywodzić się z otaczającego cię świata. Ale to nieprawda. Znajdziesz w nim tylko iluzje, bo logika, którą tak cenisz, stanowi więzy, które sobie sam zakładasz.

Raphael Abraham zerwał się na równe nogi, uświadamiając sobie, że zna te słowa.

- Boże! - zawołał w szoku.

Miał jedenaście lat, kiedy wuj Szlomo skierował do niego dokładnie te same słowa. Chłopcy w szkole śmiali się z odzianego w chałat starego rabina, który był kabalistą, a więc głupcem. Rafi wrócił wtedy do domu zły, zawstydzony, i zaczął mówić do wuja niemiłe i przykre rzeczy. Niepożądane rzeczy, za które jego ojciec spuściłby mu lanie, gdyby się o nich dowiedział. Ale nikt o nich nie wiedział... tylko wuj Szlomo. Uśmiechnął się ze smutkiem, zraniony przez niegrzeczność ulubionego dziecka, ale był zbyt dobry, by odpowiedzieć czymś podobnym. Jak często potem Abraham żałował tej rozmowy i nie wiedział, jak załagodzić powstały między nimi rozdział, z wyjątkiem tego, że ciągle próbował udowodnić, że to on ma rację, a stary wuj się myli. Jak odmiennie mogło się potoczyć je-

429

go życie, gdyby tamten dzień i wszystko, co potem z niego wynika nigdy się nie zdarzyły?

- Czego chcesz ode mnie? - wyrzucił z siebie, wstrząśnięty i przerażony jak nigdy dotąd.

- Ja nic nie chcę - odparł cicho rabin. - Ale Bóg... - wzruszył lekko ramionami. - On może chcieć

więcej. Powie ci o tym. Powie nam obu.

Mały rabin, który odprowadził Raphaela Abrahama do drzwi odwrócił wzrok, by nie widzieć łez w oczach człowieka, który nie miał prawa płakać.

* * *

- Maa Kheru zamierza przeprowadzić materializację w nocy trzydziestego kwietnia - rzekł Hazred do pułkownika Hamida i do dał: - Będę potrzebował zbrojnego wsparcia w dwóch miejscach.

Podał pułkownikowi skrawek papieru z adresami.

- W sprawę wmieszał się Mossad - oznajmił pułkownik. - Mamy z nimi problem.

- To mnie nie obchodzi - odparł Hazred. - Gdy tylko amulety przyjmą materialną postać, musi pan przechwycić je wbrew wszystkim, jeżeli Egipt ma zająć przysługujące mu miejsce jako wielka światowa potęga. To dlatego bierze pan udział w tej operacji.

- Nie potrzebuję pana wyjaśnień, doktorze, żeby rozumieć istotę moich rozkazów - odparował krótko Hamid. - Już miewaliśmy do czynienia z Mossadem. - Rzucił okiem na kartkę. - Po co umieszczać naszych ludzi w dwóch miejscach?

- To jest nadzwyczaj delikatna operacja - stwierdził Hazred. - Muszę mieć zakonspirowany lokal z pełnym wyposażeniem, do którego można ją będzie przywieźć po przechwyceniu amuletów-

Hazred widział po ledwie skrywanym grymasie twarzy, co pułkownik Hamid myśli o magicznych amuletach. Mniejsza z tym. Jeżeli jego plan miał przynieść zamierzony rezultaty, to wkrótce niewiele miało znaczyć to, co jacyś urzędnicy albo całe rządy czy nawet Maa Kheru myślą o czymkolwiek.

430

Rozdział 70

porucznik Devlin, tak? - przywitał swojego nie zapowiedzianego-ścia Nicholas Sayles z odpowiednio zaafowanym wyrazem twarzy - - Czy mogę coś dla pana zrobić?

Oparł się o swoje robione na zamówienie biurko z życzliwą, ale zniecierpliwioną miną. Jak każda osoba publiczna, już dawno opanował po mistrzowsku sztukę odprawiania nieproszonych gości w zdecydowany, lecz grzeczny sposób.

Devlin stał po przeciwległej stronie salonu z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Prawdę mówiąc, panie Sayles, jest całkiem sporo rzeczy, któ

re mógłby pan dla mnie zrobić, ale podejrzewam, że może pan nie
chcieć.

Sayles uniósł pytająco brwi.

- Policja zwróciła uwagę na to, że jest pan członkiem organiza-
cji o nazwie Maa Kheru. Czy to prawda?

Na twarzy Saylesa pojawił się arogancki grymas.

- Należę do University Club, Metropolitan Club i New York AC, poruczniku. Ale nie należę do
organizacji, o której nawet nie słyszałem.

- A słyszał pan o heroinie, panie Sayles? Zdaje się, że organizacja, o której pan nie słyszał, finansuje
swoje liczne przedsięwzięcia dzięki prowadzeniu bardzo dochodowego handlu heroiną.

Sayles zmarszczył swe ciemne brwi.

- Przypieprza się pan nie do tej osoby, poruczniku. Rzucanie ta-
toch pomówień może skończyć się tym, że dobiorą się panu do du-
py szybciej, niż zdąży pan sobie zapiąć rozporek. Pomówienie to
bardzo poważna sprawa... podobnie jak bezpodstawne aresztowa-
me. Jeżeli ma mi pan cokolwiek jeszcze do powiedzenia, proszę
Przekazać to przez mojego adwokata. On jest osobą, której płacę za
to żeby rozmawiała z takimi jak pan.

Devlin podszedł bliżej.

- Tacy jak ja - powiedział absolutnie spokojnym tonem - mo-
głoby wsadzić podobnych panu do Attica. Ciekawe, jakby to się po-

431

dobąo pana wiernym telewizzom i bankom, które finansują pańskie telewizyjne przedsięwzięcia, gdyby
dowiedzieli się, że spędza pan noc ubrany w prześcieradła, jedząc dzieci, panie Sayles. A może chcieliby
usłyszeć o pańskim eksporcie broni do Libii albo o pana heroinowych kontaktach w „złotym trójkącie”,
albo o tym drobnym biznesie pornograficznym, który założył pan na boku do spółki z Vannierem. Nawet
gdybyśmy nie byli w stanie udowodnić tego wszystkiego, to trochę gnoju przylepi się panu do butów,

zanim pana adwokat zdąży cokolwiek zrobić.

- Proszę wyjść z mojego biura - polecił Sayles cichym i opanowanym głosem. - Nie ma pan dowodów na cokolwiek, nawet żeby mi wypisać mandat za złe parkowanie.

- My wiemy, jak działa wasza siatka. Mamy dość dowodów na to, żeby wsadzić pana tam, gdzie przez długi czas nie będzie musiał się pan martwić mandatami za parkowanie. Być może, pan i Erie Vannier powinniście bardziej na siebie uważać.

Odczekał na tyle długo, by zobaczyć, że cios sięgnął celu i obrócił się na pięcie. Przeszedł tu po to, by sprawdzić, na ile twardy jest ten gwiazdor telewizyjny, i teraz już wiedział. Nicholas Sayles przywykł do władzy i towarzyszącego jej parasola ochronnego; nie można było go poruszyć groźbami, ale można było przynajmniej wprawić go w niepokój. Na razie to musiało wystarczyć.

Po wyjściu Devlina Sayles kilkakrotnie na przemian zacisnął i otworzył pięści, by odzyskać panowanie nad sobą. Najwyższy czas nauczyć tego detektywa, co to znaczy władza, a przysparzającej problemy Maggie CTConnor pokazać, co to strach.

Sayles nie czekał, by go zapowiedziano. Przeszedł jak burza obok służącego, który otworzył drzwi rezydencji Vanniera, i nawet się nie zatrzymał, by zdjąć płaszcz. Zastał Erica przy stole, gdy ten akurat podnosił do ust filiżankę z kawą.

- Musimy porozmawiać - powiedział rozkazująco. - W tej chwili!

Erie ledwie skrył swą irytację tak niespodziewanym wejściem.

- Usiądź, Nicky. I, proszę, zdejmij płaszcz.

432

Sayles zsunął z siebie płaszcz wprost w ręce czekającego służącego, ale nawet nie rzucił na niego okiem.

- Dzisiaj był u mnie w biurze policjant - zaczął szorstko. -

Twardy sukinsyn, mocno zaangażowany i bardzo dumny z tego, co wie.

Erie jadł dalej, nie przejmując się.

- To znaczy, co takiego?

- O Maa Kheru... o tym, co nas łączy. O operacjach narkotykowych, banku i handlu bronią. Powiedział,

że ma dowody i świadka. Ten sukinsyn bardzo uważał, żeby oficjalnie nie posunąć się zbyt daleko. Żadnych zarzutów, tylko same sugestie... ale nie podoba mi się, jak ktoś jednym tchem mówi o broni i narkotykach i wymienia przy tym moje nazwisko.

- Więc tak naprawdę nie miał nic - stwierdził Erie, lekkimi do-denięciami wycierając usta wytworną lnianą serwetką rozmiarów małego obrusa. - Przywykłem do radzenia sobie z rządami, Nicky. Lokalna policja to drobnostka.

- Zapytał mnie, czy jestem członkiem Maa Kheru, Erie. Nikt z wyjątkiem Fellowsa nigdy nie kojarzył mnie z Maa Kheru, nawet te cuchnące brukowce. Nie potrzebuję tego. Nie teraz. Nigdy.

Erie zobaczył mięśnie napinające się w twarzy gościa. Gardził płaczącymi. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby Nicky okazał się

jednym z nich.

- Co konkretnie chcesz, żebym zrobił z tą drobnostką, Nicky? Za tydzień amulety będą w naszym posiadaniu i nie będziemy musieli się wcale martwić o jakiegoś nowojorskiego policjanta i jego bezpodstawne pomówienia.

- Właśnie Materializacja jest powodem, dla którego nie chcę, żeby jakieś sukinsyny się w to wpięprzały i mąciły wodę, Erie -obstawał przy swoim Sayles. - Jestem gotów postawić każdą sumę Pieniędzy na to, że stoi za tym ta dziwka O'Connor. Mówiłem ci, że Przesłanie nie unieszkodliwi tej cipy, ona, kurwa, czuje powołanie! Chcę, żeby zniknęła i chcę to zrobić na swój własny sposób.

Erie zmrużył nieco oczy. W żądaniu Saylesa pobrzmiwało coś jeszcze. Zbyt wiele razy widywał ten groźny błysk w oczach Nicky'ego, by teraz nie rozpoznać mocy jego gniewu.

433

- A więc, czego chcesz, Nicky? Uszu policjanta przy swoim pa. sku? To nie powinno być trudne. Mamy przyjaciół w mieście. I uszy Maggie do kompletu?

- Nic tak prostackiego, Erie. Domagam się rytualnej ofiary. Takiej, która na śmierć wystraszy Maggie O'Connor.

- Mianowicie jakiej?

- Jenny.

Spojrzał Ericowi prosto w oczy.

- Ona jest teraz zbędnym obciążeniem, Erie. I sprawia choler

ny kłopot, jak na kogoś tak mało ważnego. Chcę ją wykorzystać, by załagodzić Moce... i dla swojej własnej przyjemności. Chcę też sprawić, żeby jej matka wiedziała dokładnie, co się stało z jej po pieprzoną córką, i co się stanie również z nią, jeżeli będzie wpychała nos tam, gdzie nie trzeba.

Erie poczuł, jak puls przyspiesza mu w skroniach. Jego wściekłość na bezczelność Nicky'ego była drobnostką w porównaniu z wściekłością na samego siebie z powodu tego, że został wyprowadzony w pole. Sayles zawsze pożył Jenny, od pierwszego razu, kiedy zobaczył ją nagą. I Ghania! Na pewno to ta wiedźma pomogła mu zostawić pułapkę.

- Pozwól mi pozbyć się Jenny w taki sposób, który na zawsze pozostanie w koszmarach jej matki - powiedziała wtedy w ogrodzie.

Kipiący gniew skrywany pod zewnętrznym spokojem Erica nie był dostrzegalny dla nikogo, kto nie znał go blisko. Jednak Nicky dojrzał go wyraźnie i uśmiechnął się w duchu.

- Kiedy chcesz przeprowadzić rytuał? - zapytał Vannier, nie będąc w stanie wymyślić żadnego powodu, który pozwalałby mu na odmowne potraktowanie tej prośby.

Kobiety były do użytku wszystkich Adeptów i Jenna pozostawała nietykalna tylko w uznaniu jego przywództwa i z powodu niezwykłego potencjału jej dziecka.

- Jutrzejszy wieczór będzie odpowiedni - odparł Nicky bez zastrzeżeń. - Będziesz miał dzięki temu czas na pożegnanie z żoną - dodał, pogardliwie akcentując ostatnie słowo.

Erie spojrzał swemu towarzyszowi w oczy z na tyle obojętną miną, na jaką potrafił się zdobyć.

434

po co się żegnać. Ta dziewczyna nic dla mnie nie znaczy.

_ Więc wyświadczyć mi przysługę - powiedział swobodnym tonem Sayles. - Złóż ją w ofierze osobiście.

_ Wezmę to pod rozwagę, Nicky - odparł spokojnie Erie. - Jestem już w trakcie psychicznego przygotowania do Wielkiego Święta, ale przemyślę twoją propozycję.

Po wyjściu Saylesa wzburzony Erie pozostał za stołem. Czuł do Jenny niewiele poza pożądaniem, ale jego instynkt posiadania cierpiał na myśl o tym, że ma się nią podzielić. Dawało to Nicky'emu aurę zbyt wielkiej mocy w stosunku do trzynastu Adeptów, więc musiał postarać się przedstawić to tak, jakby postanowił złożyć ją w ofierze dla ich wspólnego dobra.

CZĘŚĆ SZÓSTA

Ciężka próba

Nie nazywam świętości stanem, ale moralnym procesem do niej wiodącym.

Jean Genet (cytat według Sartre'a)

Rozdział 71

Ogień w kominku przygasał, ale żadne z nich od pół godziny nie zadało sobie trudu, by się nim zająć.

Maggie siedziała za biurkiem w swojej bibliotece. Jej opuszczone ramiona zdradzały znużenie, a włosy wysuwały się beładnie spod spinki, która miała je utrzymywać. Pracowała nad tym z Peterem od wielu, wielu godzin. A może dni... tygodni... lat! Nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, jak długo to trwało. Peter chodził w tę i z powrotem, wyrzucając z siebie pytania. Ona odpowiadała. Czasami mieszała ezoteryczne kwestie, o których dowiedziała się od Ellie, z teologią Petera. Czasami brakowało jej odpowiedzi na pytanie, czy ten wielki wysiłek ma jakikolwiek sens. Peter zaś zachowywał się tak dziwnie od czasu, gdy wrócił z Rheinbeck. Był taki skupiony i oddalony.

Patrzyła na niego z rosnącą irytacją, jak chodzi w tę i z powrotem przed kominkiem, wybijając stopami rytm, którego już nie słyszała przez zgiełk panujący w jej głowie.

Peter zadał jej kolejne pytanie, lecz nagle w jej umyśle zapanowała całkowita pustka. A raczej jej umysł był tak pełen odpowiedzi, że żadna z nich nie mogła wydobyć się na powierzchnię. Przeciężenie systemu. Chroniczne przemęczenie. Za wielka presja... za wiele informacji... za mało snu... zbyt straszne konsekwencje niepowodzenia.

- Nie wiem! - rzuciła gwałtownie, odpychając od siebie papiery, których dotykała, nerwowo podnosząc się zza biurka.

- Ależ wiesz! - sprzeciwił się ostro.

Napięcie w jego głosie nie uszło jej uwadze.

On też był pod wielką presją, chociaż innego rodzaju... Kościół, wybór, Maggie. Powtórzył pytanie.

- Mówię ci, Peter, że nie wiem - jej głos podniósł się do niebezpiecznej wysokości. - Nie pamiętam niczego! Nie rozumiesz, że już nie mogę? Tego jest po prostu za wiele, to zbyt beznadziejne. Zostało tak mało czasu, a ja nadal nie wiem, jak uratować Cody, a ty nie potrafisz zrobić nic poza zadawaniem bezsensownych pytań, na które nie znam odpowiedzi.

438

Dojrzała ból w jego oczach i nagle jej gniew zniknął. Została

tylko frustracja i strach.

- Och, Peter - westchnęła, przerażona tym, jak blisko była krawędzi. - Jeżeli mi się nie uda... a nie może się nie udać. Ona jest sama z tymi potworami, a ja nie wiem, jak ją uratować i wkrótce będzie za późno.

W miejsce gniewu była w niej już tylko rozpacz. Opuściła głowę i zaczęła cicho łkać. Był to najbardziej smutny płacz, jaki kiedykolwiek słyszał; brzmiał tak, jakby na świecie było tak mało szans na pomoc, że nawet łzy były niepotrzebne.

Podniosła na niego oczy, błagając, by zrozumiał jej okropne cierpienie. Każdą komórką ciała pragnął jej pomóc... Stał jak urzeczony, czując w sobie jej przerażenie, sparaliżowany intensywnością jej bólu. Tonęła w oceanie nieznanego, a on był jedynym stałym punktem. Gdyby tylko umiał pomóc jej utrzymać się na powierzchni jeszcze trochę...

Niemal bezwiednie podszedł do Maggie i wziął ją w ramiona. Czyż nie jest ludzkim odruchem pocieszenie tych, którzy tak bardzo cierpią? Czy nie jest to...

- Nie, Peter - powiedziała, zaskoczona tą nieoczekiwaną reakcją i czując się winna, że ją sprowokowała.

Czuła jednak przy sobie jego twardą moc, czuła, jak jego napięcie przetamuje bariery. Wiedziała, że nie wolno jej zareagować, jednak jakaś jej część pragnęła tego... część, która wydawała się nie być Maggie.

- Proszę, Peter. Nie rób tego! - jęknęła, usiłując wyrwać się z jego objęć.

Ale jak mogę odrzucić tę jego ofiarę? - pomyślała gorączkowo. Kochała go za bardzo, by go odrzucić... a Peter już przekroczył granicę, znalazł się tam, gdzie jednocześnie bał się i pragnął być. Tam, gdzie nie liczyło się nic oprócz pożądania. Tak starannie wzniesione bariery... zakazy Kościoła. Zaprogramowanie na całe życie. Wojna o czystość duszy. Co to wszystko znaczyło wobec ludzkiego poddania?

Pragnąłem być częścią Boga - pojawiła się w nim szaleńcza myśl - poszukiwałem go w jego własnym sanktuarium. Uczyniłem

439

siebie jednym z jego boskością... jednak nie jestem Bogiem! Jestem tylko człowiekiem!

Czuł bardzo wyraźnie wahanie Maggie, ale czuł także jej ufność i przepływającą pomiędzy nimi miłość, która domagała się spełnienia.

Jakże to piękno może być nieczyste? Jak takie przepiękne pragnieniem złączenie może być czymś innym niż sakramentem?

Maggie czuła, że jakiś wir wciągają wbrew jej woli. Nie jestem w tobie zakochana, Peter - chciała krzyknąć, ale gdyby to była prawda, to skąd by wiedział o niej to wszystko? Skąd by wiedział, jak dotykać i całować? Jak mógłby rozumieć wzajemne pragnienia, starsze niż wszystko oprócz Boga? Czuła się zdezorientowana, zagubiona.

Porywał ją, chociaż wiedziała, że nie powinna za nim pójść, nie powinna pozwolić mu rozbudzić w niej namiętności do niego. A może powinna? Czyżby oni zawsze... coś ją przyciągało, naruszając jej osobiste granice...

Peter trzymał ją w ramionach, pogrążony w poznawaniu jej na nowo. Czy ma również kości, nie tylko ciało? Była miękka i twarda, krucha i tajemnicza. Jej skóra była jedwabistym cudem, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał. Jakże tak szybko odszukał jej nagie piersi? Gdzie zniknęło jej ubranie... jego własne?

- Och Maggie, moja Maggie... jak mogłem tego nie wiedzieć?

To ty byłaś zjawą podczas bezsennych nocy... srebrzystą grzywą
jednorozca widzianą przez mgnienie oka w lesie... to ty byłaś tym
marzeniem...

Niepewność targała nim na przemian z pewnością. Jestem mężczyzną. Boże, przebacz mi! Właśnie tym jestem!

- Peter, proszę! Tak nie można! - wydyszała, bojąc się go urazić.

Nie wiedziała już, co sprawi mu większy ból: poddanie się jego

miłości czy odrzucenie jej. Czuła się teraz jego częścią... Może nigdy nie była kompletna bez niego, a jej poprzednie poczucie tożsamości było tylko iluzją? Nie było dla niej nic pewnego, pragnienia z przeszłości stawały się coraz mocniejsze, gwałtowne wołanie ciała pragnącego innego ciała. A może było to pragnienie duszy pożądającej innej duszy? Czy ten moment ekstazy był im dany przez los.

440

wtórego sami nie wybierali? Karaden i Mim - spełnieni w końcu po

ekach oczekiwania? Dar Bogini dla tych, którym kazała cierpieć?

Oczy Maggie wypełniły się łzami; teraz już nie było odwrotu, ostała porwana przez kosmiczny nurt, który uniósł ją z dala od brzegu- Przestała się opierać, bo on nie był już Peterem, a ona nie była Maggie i nagle wypełniła ją całą potrzeba przedwiecznej miłości. Sięgnęła ku niemu...

peter również czuł, jak jego umysł dryfuje, znikając w światłości, jak supernowa... jakieś nie znane mu ramiona i nogi zastępowały jego własne kończyny... napięte ciało, znające swoje przedwieczne przeznaczenie i niewysłowione ciepło, które pragnęło poddać się jego wtargnięciu. Za chwilę miała być całkowicie jego, pogrążona w zakazanej miłości... zakazanej... zakazanej... o dobry Jezu, dlaczego to piękno musi być mi zakazane?

Dlatego, że musi.

Dlatego, że jego moc przesłoniłaby wszystko inne. Dlatego, że gdy się już raz spróbuje owocu jabłoni, to nie przynosi nasycenia, ale potępienie.

Z jękiem bólu, tak strasznym, jakby żywcem wyrwano mu serce, Peter oderwał się od Maggie. Odsuwał od niej z wysiłkiem swe ciało, oczy i serce... Dysząc, niemal oszalały od żądz i nie spełnionych marzeń, wyswobodził się z jej objęć i przysiadł przy niej na podłodze jak wielki ranny lew.

Maggie leżała nieruchomo, sparaliżowana szokiem, obawiając się nawet oddychać. Była śmiertelnie przerażona. Patrzyła, jak Peter walczy, by zapanować nad sobą... nad tą chwilą... nad życiem, które jest bliskie rozsypania się. Kim jestem? Co zrobiłem?

Wokół panowała cisza, zmącona tylko cichym sykiem i trzaskaniem ostatniej szczapy na kominku.

Kocham cię, Maggie - wyszeptał Peter obcym, wypełnionym

"erPieniem głosem. - Proszę, proszę, musisz wiedzieć, że cię kocham...

^ Jego słowach słycać było odgłos przegranej. Całe życie przegrane w jednej chwili.

~ Wybacz mi, Maggie - wyszeptał. - To moja żądza, nie twoja, Powadziła nas do tego...

441

Chciała zaprotestować, ale wyraz jego twarzy powstrzymał ją

- Jeśli to zrobimy - dodał gorączkowo, pragnąc, by go zrozu
miała - jeśli złamię moje przyrzeczenie... to będzie właśnie ten
grzech, który sprawi, że znajdę się w ich zasięgu i nie będę w sta
nie cię chronić.

Obrócił się, by spojrzeć na nią, nagą i bezbronną w ostatnich blaskach ognia... w jego wzroku był taki
ból, że pragnęła go dotknąć, pocieszyć, ale nie śmiała.

- Dla tej chwili, moja najdroższa Maggie - powiedział Peter
pewnym głosem - za ten jeden moment... myślę, że mógłbym od
dać moje własne zbawienie... - przerwał na chwilę. - Ale nie mogę
poświęcić twojego.

Zamknęła oczy, porażona tą okropną świadomością. Łzy wypłynęły spod jej powiek i nie widziane
przez nikogo potoczyły się po twarzy. Co ja zrobiłam? - wybijało jej serce miarowym rytmem. - Co
zrobiłam?

Usłyszała, jak on zbiera swoje rzeczy, a potem opuszcza dom.

- Ja też cię kocham, Peter - wyszeptwała cicho w ogłuszającej ci
szy.

Wiedziała, że ich miłość jest stara, i że nie spełni się teraz.

Peter stał na najwyższym stopniu za drzwiami Maggie, walcząc z rozpaczą w swym sercu. Jakim
szaleństwem z jego strony było myśleć, że zna życie! Nigdy, aż do tej pory nie był żywy. Co za arogancją
było myśleć, że zna Boga i może udzielać dzięki temu rad innym! Jak ktokolwiek mógł poznać Boga, nie
znając przedtem miłości innego człowieka?

Jesteś równie zręczny i przebiegły jak Szatan, Boże - pomyśle świętokradczo. - Zwodzisz swoich
kapłanów... pozwalasz im uwie' rzyć w ich wyższość w porównaniu z resztą ludzkości, kiedy w
rzeczywistości jest odwrotnie. Nic dziwnego, że powstrzymujesz nas

przed jedzeniem tego owocu z drzewa wiedzy... Który z nas

miałby

dość sił, żeby to znieść? Jaką zarozumiałą dumą i ignorancją JeS myślenie, że to my jesteśmy wybranymi...

Wciągnął głęboko haust zimnego powietrza w swe rozedrgane płuca i zszedł po schodach. Czy tak upadł Lucyfer? - pomyślał

442

holem- - Próbował być podobny do Boga i upadł całkowicie. Czy

też nauczył się pokory?

Nigdy nie będę żałował spotkania z tobą, Maggie - powiedział buntowniczo, dochodząc do rogu opustoszałej ulicy.

Jednak zanim jeszcze ucichły te słowa, uświadomił sobie drugą nrawdę: w każdej chwili mojego życia będę żałował tego, co mogło być się stać.

Maggie leżała na łóżku z podkurczonymi nogami, ledwie mogąc oddychać. Nawet nie widziała, jak się tam znalazła. Czuła się zdezorientowana i przeraźliwie samotna.

Miłość nigdy nie umiera - wołał w jej wnętrzu jakiś okropny głos. Miłość nigdy, nigdy nie umiera, a ty, żałobniczko, zostajesz na zawsze z jej wiecznym cierpieniem. Prometeusz na skale... rozrywany przez sępy, a potem przywracany do zdrowia, by cierpieć następnego dnia. Samotny. Samotny. Samotny. Nawet pięć tysięcy lat nie wystarczy, by wyzbyć się tego bólu.

Osunęła się w zapomnienie snu i „obudziła się” w sennym marzeniu: mężczyzna był wysoki i przystojny, miał smukłe ciało i poruszał się swobodnie jak ktoś, kto czuje się pogodzony ze światem. Kobieta u jego boku była ciemnowłosa i szczupła. Śmiała się, spoglądając miłosnym spojrzeniem w twarz mężczyzny.

Trzymali się za ręce swobodnym gestem tych, którzy wiedzą, iż ich miłość nie musi być skrywana. Każde z nich miało na ręce złotą srebreną opaskę i nie można było nie dostrzec ich radosnej przyjaźni.

Położyli się na miękkim, letnim dywanie trawy i dzikich kwiatów, uśmiechając się w łagodnym ciepłe słońca. Powietrze przepętlone było aromatami, a słodkie trele przylatujących ptaków błogo-sławiły spokój łąki.

Ich śmiech przycichł, a mężczyzna przesunął palcami po war-

stach kobiety. Uśmiechnęła się pod dotykiem jego palców i przysu-

? a bliżej, zamykając oczy, by lepiej wczuć się w miłosny dotyk.

-go ręką pieściła jej szyję i ramiona, a potem wsunęła się pod

l?kki, cieniutki materiał sukienki. Jęknęła cicho i ściągnęła przez

StOwe

sycic

? przeszkadzającą tkaninę, rzucając ją niedbale za siebie, by SI? ciepłym dotknięciem słońca.

443

Mężczyzna rozebrał się ze spokojnym pośpiechem człowiek który zna rytm kochanki lepiej niż swój własny. Kobieta leżała nQ' grążona w przyprawiającym o zawrót głowy pięknie zmysłowego oczekiwania. Śniąca Maggie czuła się jednością z kobietą ze snu każdą żywą komórką i każdym zakończeniem nerwów łącząc się z nią w jakiejś kosmicznej symbiozie.

Poczuła cień mężczyzny, który padł na twarz kobiety, chłodząc ją

- Jesteś taka piękna - wyszeptał, a jego słowa brzmiały tym mocniej, że był wszystkim, co kiedykolwiek kochała.

Leżała bez słowa na brzuchu na ciepłej trawie, osłabła z pragnienia. Odwróciła twarz, by widzieć, jak on sięga ku niej i przesuwa delikatnie ręką po jej ciele, bawiąc się długimi rozpuszczonymi włosami, dotykając mocnymi, ale lekkimi jak ważki palcami, jej ramion, pleców, ud i sekretnych miejsc. Rozsunął jej nogi z pożądliwą łagodnością i wszedł w nią nagle, bez żadnych przygotowań.

Jęknęła, czując to gwałtowne wtargnięcie. Nie poruszał się wcale, tak jak się tego spodziewała, ale, wyczuwając jej zaskoczenie, przybliżył usta do jej ucha i wyszeptał: - Leż nieruchomo...

Maggie czuła, jak radość wypełnia jej duszę, jak syci się radością kobiety leżącej na trawie. Być kochaną. Porzucić opory. Poddać się. Skąd wiedział tak dokładnie, jak go pragnęła? Potrzebowała go. Tęskniła do niego.

Mężczyzna zaczął poruszać się z niezmierną delikatnością. Pieścił jej włosy, uszy i szyję i poruszał się w niej delikatnie. Panował nad wszystkim i świadomość tego była właśnie tym, czego każde z nich potrzebowało.

Otoczył ją ramionami, przesuwał dłonie w rytm ruchu jego męskości w jej wnętrzu. Było inaczej niż przedtem; czuła, jak całkowicie traci panowanie nad sobą, czuła się posiadana, rozumiana i odkrywana. Nie chciała, żeby to niesamowite uczucie kiedykolwiek ustało, żeby kiedykolwiek ustał ten ruch, żeby uczucie kompletności kiedykolwiek osłabło.

Napięła mięśnie, by napotkać jego pchnięcia, ale wyszeptał jej wprost do ucha: - Nie. Pozwól, że ja się tym zajmę.

Znowu osunęła się w przepaść, w kosmos, ponad tęczę, głęboko w swą własną kobiecość.

444

JeSzcze nie - jęknęła, usiłując spowolnić dopełnienie tej roz-ale jego ruchy nasiliły się i już nie była w stanie powstrzy-

' pulsującego wrażenia kataklizmu, wstrząsu, błogich fal spełnia, aż było po wszystkim.

Jednak nie było po wszystkim... czuła go teraz jeszcze bardziej niż przedtem: napierał, dotykał, sprawdzał.

_ Teraz zrobimy to razem - wyszeptał.

Wiedziała, że nie może zrobić nic innego.

W jakim czasie się znajdowali? Nawet przez sen Maggie wiedziała, że dwoje kochanków to ona i Peter, razem, tak jak było im przeznaczone. Gdzieś. Gdzieś w czasie. W transcendentnym połączeniu serca i duszy. Wszystkie słowa zostały wypowiedziane, wszystkie pragnienia spełnione, wszystkie pytania znalazły odpowiedzi, a cała pustka tysiąca wcieleń została wypełniona po brzegi.

Maggie obudziła się.

Zasypiała, obawiając się następnego poranka, ale gdy się już rozbudziła, czuła się wzmocniona i uspokojona. Leżała w łóżku, pragnąc zatrzymać przeżyte piękno i odtwarzając sobie ten sen wielokrotnie w myślach. Robiąc to, czuła, jak jej duszę wypełnia pewność, co do jego znaczenia. To było wszystko, czego mogli oczekiwać... to było ich słodko-gorzkie pożegnanie.

Peter Messenguer leżał w łóżku spełniony i oszołomiony. On też przeżył ten sen...

Rozdział 72

Nie sądzę, żeby to był sen, Mags - oznajmiła autorytatywnie El-

- Przebywaliście oboje w astralu, gdzie wasze ciała zostały wy-

° one z ograniczeń nałożonych przez obecne wcielenie... albo po-

zowaliście w czasie do innej rzeczywistości, gdzie wolno wam by-

'? kochać. Sądzę, że był to dar za dokonanie właściwego wyboru.

445

Maggie pokręciła niepewnie głową. Może sprofanowała sen opowiadając go przyjaciółce?

- Wtedy nie wyglądało to na właściwą decyzję, Ellie. Kiedy

Peter opuścił mnie wczoraj wieczorem, czułam niezmierny smutek.

Ellie uśmiechnęła się lekko do przyjaciółki. Maggie wyglądała na pokonaną. W jakiś sposób było to prawdą.

- „Jesteś kapłanem na zawsze, zgodnie z prawem Melchizede ka” - zacytowała niespodziewanie. - Tak się mówi podczas wyświęcenia, Mags. Nie ma odwrotu, nawet ci, którzy uciekli od tego stanu, wiedzą to w głębi serca. To dlatego Czarni Magowie zawsze szukają do zwerbowania kapłanów, którzy złamali swe przysięgi... uważają to za największe zwycięstwo. Prawdę mówiąc, bez takiego kapłana nie są w stanie właściwie przeprowadzić czarnej mszy. Żeby dokonać największych czarów, mag musi być kapłanem, który zrzucił sutannę, ponieważ już został poświęcony niewidzialnemu światu. Maa Kheru muszą mieć kogoś takiego do ceremonii, którą planują, bo inaczej nic z tego nie wyjdzie.

Moja droga Maggie, musisz wiedzieć, że Peter dokonał wczoraj jedynego możliwego wyboru, i, na Boga, musisz mu to przyznać. Po życiu w celibacie, powstrzymanie się w tak istotnym momencie wymaga kogoś z jajami, przepraszam za wyrażenie. To się musi liczyć tam na górze.

- Nie wiem, Ellie. Jestem tak rozstrojona tym wszystkim. Rozumiem teraz, że nie jestem zakochana w Peterze, przynajmniej nie w tym życiu. Jednak kocham go... i pomimo tego, co się stało wczoraj wieczorem, naprawdę wierzę, że jego przeznaczeniem jest bycie kapłanem. Był kapłanem wtedy i jest kapłanem teraz. Myślę, że to

jest przeznaczeniem jego duszy. Ale obawiam się, że nasz związek go zdezorientował, wyrządził mu szkodę, i nie wiem, jak to naprawić.

Maggie wyglądała na tak przygnębioną, że Ellie spróbowała podejść do niej z innej strony.

- Posłuchaj, Mags, jesteś kochana przez niesamowitego czło-
wieka, takiego, który ryzykuje wszystko, co uważa za święte na
tym świecie, by ciebie uratować. To jest, do cholery, o wiele wię-
cej, niż większość ludzi doświadcza w swoim życiu. Myślę, że to
dobrze, że dotykaliście się w tak intymny sposób... dobrze, że zo-

446

baczyłaś w nim to, co zobaczyłaś. Wczorajszy wieczór przyniósł wam rozwiązanie, doprowadził sprawę do zakończenia: prawdziwego i pełnego miłości. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, Mags, że Peter należy do przeszłości? Musisz uwolnić przeszłość po to, żeby nastąpiła przyszłość.

Maggie patrzyła nieruchomo przed siebie, poruszona budzącą się w niej świadomością.

Ellie spojrzała na nią krytycznie i westchnęła.

- Nie mówię, że będzie ci z tym łatwo, moja biedna przyjaciół-
ko. Mówię po prostu, że to ci pomoże. A poza tym, kto, do diabła,
powiedział, że życie ma być łatwe? Daj temu na razie spokój. Masz
już dość książek - potrzebujesz fizycznego odprężenia, a nie dal-
szego męczenia mózgu. Więc może byś poszła do pana Wonga i tro-
chę pokopała w coś, żeby odzyskać równowagę. Wyglądasz jak
przepuszczona przez wyżymaczkę.

Maggie westchnęła głośno i wstała, by odejść, ale Ellie zatrzymała ją.

- Postanowiłam stanąć z tobą do bitwy, Mags - powiedziała na-
gle całkowicie poważnie. - Wygląda, że to również moja sprawa,
więc możesz mnie doliczyć. Mogę być trochę roztrzepana na pozio

mie ziemskim, ale tam, na poziomie astralnym, naprawdę trzymam się w garści. Więc idź, pokop w worek albo pookładaj pięściami słupek, czy co tam jeszcze robisz z tym fajnym małym Chińczykiem, a potem razem zaplanujemy naszą strategię. Te sukinsyny nie mają wszystkich asów, bo w takim wypadku to nie byłaby uczciwa walka... a wszechświat lubi uczciwą walkę, Mags, szczególnie wtedy, gdy wygląda na całkowicie beznadziejną. Pamiętaj, że to Dawid poszedł do domu na kolację, a nie Goliat.

Wzmocniona tak wyraźną miłością przyjaciółki, Maggie poszła *a jej radą. Udała się do pana Wonga, by odnaleźć równowagę.

Cody siedziała skulona u wezłowania łóżka, a łzy spływały jej po policzkach. Tak mocno zagryzała dolną wargę, że aż zaczęła krwawić. Była chudsza niż dawniej, bo za każdym razem, kiedy odma-

447

wiała picia koktajlu, Ghania wysyłała ją spać bez jedzenia. Ale t raz nie to było najgorsze.

Ghania powiedziała, że jeśli nie wypije tego tym razem, to z0. stawi ją samą z wężem.

Och, Mim! Dlaczego nie wróciłaś po mnie? - zawołała w duchu ze złością. - Dlaczego mnie nie uratowałaś?

Przycisnęła mocno do siebie sfatygowanego misia. Czasami była bardzo zła na Mim za to, że już się nią nie interesuje. Czasami niemal nienawidziła jej. Ale jednak...

Nie miała niczego innego, na czym mogłaby się oprzeć poza skarbami Mim.

Wyjęła je z misia jeden po drugim: złoty guzik, kawałek włóczki, muszelka; obrazek z książeczki z panią, która wyglądała jak Mim; zeschnięty kwiatek, którego zapach przypominał perfumy Mim... Może tej nocy wąż ją zje. Będzie całkowicie sama w jego wnętrzu, wołając, żeby ktoś ją wyostał... Niemalże czuła dotyk ciasnej, wilgotnej ciemności, która dręczyła ją w snach. Pociągnęła nosem, usiłując odepchnąć strach. Wezmę ze sobą wszystkie skarby - postanowiła. Przyłożyła złoty guzik do policzka i sięgnęła po muszelkę. Coś skłoniło ją do podniesienia wzroku: w drzwiach stała Ghania i obserwowała ją z uśmiechem.

- Ukrywałaś przede mną jakieś sekrety? - zapytała wiedźma,

zbliżając się do łóżka.

Cody odruchowo wcisnęła się w jego róg. Usiłowała ukryć pod sobą skarby, ale Ghania dopadła jej błyskawicznie jak kobra i wyrwała z rączek cenne przedmioty. Dziewczynka rozpaczliwym gestem zacisnęła palce na guziku, ale wiedźma odgięła je jeden po drugim, aż Cody krzyknęła z bólu. Guzik wpadł do otwartej dłoni Ghanii.

- Nie! - wrzasnęła dziewczynka, usiłując go odebrać. - Nie-

Nie! Daj mi go. On jest mój!

Nie zważając na konsekwencje, rzuciła się na Ghanie, drapiąc ją i tłukąc rękami. Całe obecne w niej przerażenie, strach i nienawiść do prześladowczyni narosły w niej i eksplodowały. Ghania trzymała ją na wyciągnięcie ręki, jak agresywnego kociaka.

- On nie jest twój - syknęła do bezradnego dziecka. - Teraz jest

mój! Tak samo jak ty jesteś moja.

448

Cisnęła ją na łóżko jak worek szmat, a potem zmiażdżyła obca-

delikatną muszelkę i porwała na strzępy obrazek. Następnie

? dny1 gwałtownym szarpnięciem oderwała głowę misiowi, a cen-

suzik wrzuciła do sakiewki, którą miała zawieszoną na szyi. Co-dy wiedziała, że już nigdy, przenigdy go nie zobaczy.

Ghania opuściła pokój, zostawiając siedzącą na łóżku dziewczynkę. Jej twarz przypominała marmurową maskę. Nawet nie płakała.

Już nic nie zostało.

Nic, co mogłaby kochać.

Nic, co pozwalałoby jej żywić nadzieję.

Żadnego tajemnego miejsca, w którym mogłaby się ukryć przed Ghanią.

A Mim już nigdy miała nie wrócić.

Rozdział 73

Rafael Abraham zamrugał oczami, usiłując pozbyć się nieprzyjemnych wspomnień, które go opadły podczas długiej drogi powrotnej do domu. Od momentu, kiedy postanowił przestudiować kabałę, ca-ty

czas myślał o wuju Szlomo. Miał w sobie wielki zasób wiedzy, którą wpojono mu podczas dzieciństwa spędzonego w ortodoksyjnej rodzinie, ale z własnego wyboru pogrzebał tę wiedzę w podświadomości. Teraz musiał ją wydobyć, wzbogacić, żeby sprostać naJnowszemu zadaniu wynikającemu z jego profesji. Profesji, która, sam wybrał, częściowo z tego powodu, że była tak bardzo odległa od religijnego nonsensu jego dzieciństwa. Paradoksalność tej sytuacji była niemal humorystyczna.

Sprawdził automatycznie zabezpieczenia, które umieścił w od-

°wiednich miejscach przed wyjściem rano z domu. Uznawszy, że

szystkie znaki są w tym samym stanie, w jakim je pozostawił,

^czył światło, zrzucił kurtkę i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Na stoliku leżał stos zamówionych przez niego książek, które

449

t dostarczono pcrzedniego wieczoru oraz notatnik, dwa długopjs : dwa kolorowa -isaki. Spojrzał na nie z we?.:stchnieniem. Oprócz da_ —jych z książek nusiał uporać się z wieJomiła irytującymi wspomnie. cniami, a to niezło to, czego by pragnął. ^Wspomnienia łączyły sje zz bagażem emu. jonalnym, a emocje mogą | mieć śmiertelne konse-_ wencje w jeg: fachu, więc pozwalał im jedynie na sporadyczne r-DOJawianie się l jego świecie.

Poluzował towat, zawiął rękawy i zapatrzył filizankę mocnej kawy po turecku 'igdy nie nabrał upodobania do słabej, wodnistej kawy, którą tak luną Amerykanie, a przebywaj ąc w domu, pozwalał sotnie na tę niewiędę przyjemność. Tak wiele jdni w życiu spędzał z da-Lia od rodziny, z eżeli chodzi o różne czynm iości domowe, był w nich r^ównie sprawn iak kobieta. Był całkiem roiiieżłym kucharzem, cho-iaż tego wiecitu nie miał wielkiej chęci ma jedzenie, a dzięki jego jmysłowej i fizycznej systematyczności w zi:ajmowanych przez niego ^mieszkaniach w było nigdy nawet śladu m> ieporządku.

Ruszył do siionu, ale zatrzymał się, przechodząc koło lodówki.

I ,epiej będzie. :śli zrobi sobie teraz kanapkę i weźmie ją ze sobą,

rmiż jeśli będzit nusiał później przerwać piracę. Wiedział, że jeżeli rрма przeczytać iszystko, co zamierza, to n_ le obejdzie się bez posił-LKU przed świta- Przystudiowanie do ran-ja kabały było zadaniem —podobnym do MtCZenia się starogreckiego w czasie przerwy na kawę, ale nie mia wielkiego wyboru.

Kabała. Z jurajskiego gabbala, co znuaczy „tradycja tajemna". Pamiętał nabo3?e słowa wuja Szlomo, mc .wiącego, że wszelka ta-j -lemna doktryn; est przekazywana ustnie, a nie ma nic bardziej tajemnego niż karała. Dlatego wszystko, co się da znaleźć w książ-): ach, jest równi niekompletne jak alfaber pozbawiony połowy li-t rer, ale miał na;: ieję, że to wystarczy, by pwobudzić jego wspomnienia z dzieciństwa, które uzupełniłyby to, c > przeczyta.

Wiedział, że ta użyteczność ludzi z zewnątrz kabała jest przedstawiana w wygładzonym sposobie, jako system filozoficzny i teozoficzny, tworzony po to, aby odpowiadać na pytanie „Kto jest człowiekiem o Boga i wszechświat”. Mówiono im także, że jest oparta na liczbowych związkach pomiędzy życiem człowieka i prawem uniwersalnym. Ale była to równie dobra definicja, jak stwierdzenie, że rozszcze-
450

ienie atomu powoduje świecenie żarówek. Było to do pewnego stopnia prawdą, chociaż ta prawda nie sięgała zbyt głęboko.

Przygotował sobie miejsce przy stole, postawił na nim pierwszą tego wieczoru filiżankę kawy i usiadł, aby dowiedzieć się tego, co wiedział wuj Szlomo.

Wziął do ręki pierwszy tom, nie mając wcale pewności, czego ma szukać. Rebe poradził mu czytać Szolema, więc postanowił zacząć właśnie od tego:

„«Kabała» jest tradycyjnym i najpopularniejszym terminem używanym do określenia ezoterycznej nauki judaizmu oraz żydowskiego mistycyzmu, szczególnie w formach, jakie przybrała w średniowieczu od dwunastego wieku. Nie ma wątpliwości co do tego, że niektóre kabalistyczne kręgi (włącznie z istniejącymi po dziś dzień w Jerozolimie) zachowały obydwa elementy (mistyczny i okultystyczny) w swej tajemnej doktrynie, która jest przekazywana za pośrednictwem objawienia lub za pomocą obrzędów inicjacyjnych”.

Mistyczne i okultystyczne - to te właśnie słowa odpychały go, kiedy był chłopcem. Nawet kiedy czytał je w tej chwili, czuł, że się jeży wewnątrz.

O ile pamięć go nie zawodziła, kabała mówiła o skomplikowanym szyfrze literowym opartym na hebrajskim alfabecie, którego dwadzieścia dwa dźwięki miały być fundamentem wszystkich rzeczy. Bóg w jakiś sposób używał tych dźwięków w akcie stworzenia, a ci, którzy byli dopuszczeni do jego tajemnicy, mogli ich używać, aby doprowadzać do pewnych wydarzeń.

- Alegorie i metafory, Rafi! - zabrzmiały mu w myślach słowa wuja Szlomo. - Musimy w oparciu o ten szyfr szukać w Torze ukrytych znaczeń. „Bereszit Bara Elohim Va Ath Ha-Arec”. „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię”. Użyj szyfru literowego, Rafi, aby zrozumieć, co to naprawdę znaczy. Interpretuj! Sięgaj poza siebie...

A więc Tora mówiła jedno, a znaczyło to tak naprawdę coś innego. Religijne bzdury! Całkowity bełkot, dobrze to zapamiętał. Nic innego. Biedny Szlomo. Całe życie spędził na interpretowaniu religijnych

bzdur.

451

Wtem jego uwagę przyciągnął tytuł rozdziału brzmiący: „Tajemne imiona Boga”. Musiały być ważne; pamiętał, z jakim nabożeństwem wypowiadał się wuj o tej tajemnicy.

„Imiona Boga - mawiał - zawierają moc Boga, gdyż ich wibracja jest Jego boską wibracją”.

Wiele jego imion było powszechnie znanych: Jehowa, Elohim, Gebor, Jahwe Tzabaoth, Adonai-ha-Aretz, ale inne były znane tylko wybranym. Były to Tajemne Imiona, które posiadały tak wielką magiczną moc, że mogły doprowadzić do unicestwienia świata. Niewielu ludzi w historii dostąpiło kiedykolwiek zaszczytu poznania ich. Kto może poznać taki sekret? - zapytał się w duchu Abraham - i w jaki sposób? Przekartkował książkę, szukając potrzebnych mu fragmentów.

„Według Eleazara z Wormacji, słynnego kabalisty z trzynastego wieku, Imię jest przekazywane tylko tym, którzy są specjalnie wybrani i nie są skorzy do gniewu, którzy są pokorni i odczuwają bo-jaźń bożą i którzy przestrzegają przykazań swojego Stworzyciela” -przeczytał.

To powinno zawęzić zakres poszukiwań - pomyślał z ironicznym uśmiechem.

„Imię jest samo w sobie nasycone mocą, by móc spełniać życzenia tego, który je wymawia. Ta wiedza może być przekazywana jedynie ustnie od Mistrza do ucznia i obecnie jest na świecie bardzo niewielu kabalistów, którzy posiadli znajomość Imienia”.

Imiona. Imiona. Było coś jeszcze na temat imion w którejś z tych książek o magii egipskiej, gdzieś w prawym, dolnym rogu strony... Abraham potrafił przypomnieć sobie, co widział i gdzie to widział, bez względu na to, ile źródeł przeglądał. W jego profesji była to przydatna umiejętność. Ach, jest:

„Egipcjanie twierdzili, że imiona Bogów - a przynajmniej bez wątpienia imiona Ra i Izydy - są potężniejsze niż nawet sami Bogowie”.

452

Interesujące. Więc kabaliści nie byli jedynymi magami wyznającymi przekonanie, że Imiona Bóstw posiadają moc.

Demony - przyszło mu nagle do głowy. - Sechmet była jakiegoś rodzaju demonicznym bóstwem, a ta satanistyczna grupa też ma powiązania z demonami, lepiej więc odszukać, co kabała ma do powiedzenia na ich temat.

Marszcząc brwi, przejrzał indeksy książek: w każdej z nich było wiele stron poświęconych demonom. Nie brak w nich było też obfitych informacji na temat reinkarnacji oraz wędrówki dusz. Obydwa pojęcia

tak kłóciły się z racjonalizmem, że wydawało się niepojęte, by uczeni marnowali na nie tyle miejsca w książkach. Abraham pokręcił znowu głową i zajął się czytaniem niektórych definicji:

Transmigracja. Bahir podaje, że transmigracja może trwać przez tysiąc pokoleń... Dla dobra świata Prawi transmigrują bez końca.

Ibbur. Wniknięcie innej duszy w człowieka nie w czasie ciąży ani podczas narodzin, ale podczas jego życia. Przeważnie taka dodatkowa dusza zamieszkuje w człowieku tylko przez ograniczony czas w celu wykonania pewnych działań czy nakazów.

Dybuk. Zły duch lub potępiona dusza, która wstępuje w żyjącą osobę, wczepia się w jej duszę, wywołuje chorobę psychiczną, przemawia jej ustami i przedstawia sobą oddzielną i obcą osobowość.

Abraham wstał, przeciągnął się i poruszał głową, by złagodzić sztywność karku po wielu godzinach czytania. Zaparzył kolejną filiżankę kawy, wziął ze stołu ostatnią książkę i skierował się do swojego ulubionego fotela.

Otworzył tom na rozdziale poświęconym Magicznemu Rytuałowi, by zobaczyć, ku swojemu zaskoczeniu, że zaczyna się on od modlitwy. Znowu przypomniały mu się słowa wuja:

„Najlepiej byłoby nie prosić Boga o żadne przywileje, Rafi -powiedział kiedyś i dodał z wesołym błyskiem w oku: - ale jeżeli nie będziesz mógł się temu oprzeć, to możesz powiedzieć co następuje: Byłbym niezmiernie wdzięczny i szczęśliwy, gdybyś zechciał mnie oświecić i pokazać, w jaki sposób mogę osiągnąć to, czego pragnę, w zgodzie z twym Świętym Prawem. Oczywiście,

453

najpierw musisz poddać swą wolę Jego woli, Rafi... a to, jak s-obawiam, drogi chłopcze, nie jest czymś, co przychodzi ci łatwo" Abraham uśmiechnął się bezwiednie na to wspomnienie, a p0 tern spojrział z powrotem na tekst i zatrzymał wzrok na cytacie z „Abulafii" dotyczącym praktykowania magii:

„W wyniku skoncentrowania twych czynności na literach twój umysł przywiąże się do nich. Włosy na twej głowie zjeżą się i będą drżeć. Krew zacznie wibrować z powodu żywych przemian, które ją wzburzą... Będziesz doznawał rozkoszy i drżenia. Rozkoszy duszy i drżenia ciała".

Odzyskiwał już spokój, ale te absurdy wzburzyły go na nowo. Nieszczęsny stary Szlomo: marnował całe życie, czekając na mityczną ekstazę, chociaż było to tylko głupim żartem. Odłożył książkę... Nie było nic przydatnego w tym całym nonsense. Sekretne Imiona Boga, tajemne szyfry literowe, magiczne zaklęcia, magiczne dzieci. Bzdury. Normalne bzdury. W jego świecie okrutnej rzeczywistości nie było miejsca na takie bzdury. Był człowiekiem czynu, a nie człowiekiem ducha.

Umył naczynia, których już sporo zdążyło się nagromadzić, zgasił światło i poszedł spać.

Rozdział 74

- Chciałeś mnie zobaczyć, Nicky? - zapytała Jenna tym samym uwodzicielsko mruczącym tonem, którego zazwyczaj używała, zwracając się do niego.

Zawsze wiedziała, że jej pożąda i odczuwała satysfakcję na myśl, że ten arogancki sukinsyn pragnie tego, co jest poza jego zasięgiem. Podobało jej się to, że jako żona Erica jest jedyną kobietą w sabacie niedostępną dla innych.

454

Tsjicky zamknął energicznie drzwi i stanął, przypatrując się jej. brana w jasnozielony jedwabny szlafrok, który nie zmuszał u o^ni do wysiłku i teraz pod jego natarcz.wym wzrokiem nie-wyoDra^i» J

dziewanie poczuła się naga i zagrożona. Lubisz się ze mną drażnić, prawda, Jenna? - zapytał ochrypłym głosem.

Przerwała czesanie włosów, słysząc ten ton, i odwróciła się od

lustra, by spojrzeć na niego pytająco.

_ Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć - odparła niepewnie - Nigdy nie miałam wobec ciebie żadnych złych zamiarów. Słuchaj... dzisiaj przychodzi dużo ludzi na jakiś nowy rytuał, który Eric przygotował i muszę się jeszcze skończyć ubierać, więc lepiej byłoby, gdybyś poszedł, zanim on wróci do domu.

Nicky zbliżył się o krok, zsuwając z siebie marynarkę garnitur i rzucając ją niedbale na krzesło. Jenna patrzyła na jego ruchy równie zahipnotyzowana jak mangusta, którą obserwuje kobra. Zaczął luzować krawat i pasek: w jego ruchach było coś tak niezmiernie złowieszczonego, że od razu obudził się w niej instynkt samoobrony. Spędziła sporo czasu na ulicy, więc potrafiła rozpoznać, kiedy zanosi się na kłopoty. Uśmiechnęła się na tyle rozbrajająco, na ile pozwalał jej narastający strach i odwróciła się od niego z, jak miała nadzieję, nonszalancją. Gdyby tylko zdążyła do garderoby, którą wiała za plecami: w jej drzwiach był zatrask.

- Właśnie miałam się naszprycować, Nicky — rzuciła niedbale, Podnosząc się z krzesła i ruszając ku drzwiom. - Chcesz się dołączyć? Trzymam w garderobie zapas...

Sayles dopadł jej, dając dwa wielkie kroki i zacisnął palce na jej

^dgarstku, wywołując paraliżujący ból. Poczuła, jak jej kości ocie-

^ ° Słobie z przeraźliwym chrzęstem.

- Tak, chcę do ciebie dołączyć - powiedział groźnym, niskim

lem. - Myślę, że wiesz to od bardzo dawna i miałaś dużo zaba-

'y moim kosztem, kiedy o tym myślałaś, prawda?

eJ Przenikliwy krzyk sprawił tylko tyle, że ścisnął jej rękę jeszcze mocniej.

455

cjj 7 ProszC - jęknęła, osuwając się w bólu na kolana, kiedy wykręciła rękę za piecy. _ To boli Zwariowałaś, Nicky? Erie cię zabije.

- Nic nie obchodzisz Erica, suko - warknął.

Szarpała się nadaremnie, a on trzymał ją jedną ręką, a drugą zrywał z niej szlafrok.

- Ghania mówiła, że lubisz być naga - wyrzucił z siebie go

rączkowo, dotykając jej ciała.

Twarz poczerwieniała mu z żądy, a Jenna zaczęła wrzeszczeć przenikliwym, przeszywającym krzykiem, wystarczająco głośno, by służba przybiegła na ratunek. Jednak jedyną reakcją na jej krzyki był śmiech Nicky'ego.

Będę musiała sama się ratować - przeleciało jej przez głowę i od razu wzięła się w garść.

Nicky zwolnił uścisk, żeby zrzucić z siebie ubranie, i wtedy wyrwała się mu i poderwała na nogi, rozglądając się przy tym na lewo i prawo jak schwytny w sidła lis. Dlaczego nikt nie nadbiegał? Służący musieli ją usłyszeć! Rzuciła się do drzwi garderoby, ale Nicky chwycił ją i nie zważając na jej ból, powłókł za sobą po podłodze. Zadra z deski wbiła się jej w ciało.

Zdobywając się na siłę możliwą tylko w takim przerażeniu, Jenna znowu wyrwała rękę z jego uchwytu i przejechała mu po twarzy długimi paznokciami. Chciała go jeszcze kopnąć w krocze, ale bez trudu odparował cios i powalił ją z nóg potężnym uderzeniem w głowę. Usiłowała wyswobodzić się spod jego ciężkiego ciała, ale przygniótł ją złowrogą samczą siłą. Znowu wrzasnęła tak głośno, że mogłoby to obudzić umarłych.

Poczuła, jak Nicky wdziera się boleśnie i bezlitośnie w jej wnętrze, akurat gdy drzwi sypialni otworzyły się gwałtownie. Dzięki Bogu! Ktoś przybył na pomoc!

- Ghania - wrzasnęła z wściekłością - pomóż mi! Sprowadź

Erica! Pomóż mi! - krzyczała w rytm męskiej pulsującej siły, któ

ra ją rozrywała...

Za Ghania pojawiły się w drzwiach kolejne osoby. Goście w wieczorowych sukniach i frakach wchodzili gęsiego do pokoju, mijając wiedźmę. Rozmawiali ze sobą wesoło, wskazując na miotającą się na podłodze parę. Na ich lubieżnie rozradowanych twarzach widać było wypisane wyraźnie: na

przyjęciach Erica są zawsze najlepsze rozrywki. Jenna odwróciła głowę i zaczęła łkać ci-

456

cno i bezsilnie, gdy Nicky parzył się z nią, dogadzał sobie i zaspokajał się, ujawniając w tym akcie całą brutalność swej natury.

Kiedy po dłuższym czasie goście opuścili pokój, mężczyzna podniósł się ze swej ofiary i odszedł chwiejnym krokiem do łazienki. Jenna leżała zakrwawiona i obolała na drogim dywanie, zbyt nieszczęśliwa i upokorzona, by się ruszyć. Ghania obejrzała wprawnym okiem jej obrażenia: nie krwawiła bardzo, ale tak trudno jest sprać krew z cennego dywanu. Cmoknęła z irytacją i podeszła do łkającej dziewczyny, nie przejmując się jej cierpieniem.

- Dlaczego, Ghania? Dlaczego? - wyjęczała Jenna, czując na sobie dotyk podnoszących ją z podłogi silnych rąk.

- Bo cię chciał - odparła wprost. - Bo jesteś nieważna i teraz bardziej się nam przydasz nieżywa.

Jenna uniosła gwałtownie głowę.

- Nieżywa! Dlaczego mówisz: nieżywa?

Niespodziewana groźba sprawiła, że wyrwała się swej nowej prześladowczyni, ale nie miała większych szans w starciu z gargantuiczną siłą Ghanii niż z Nicky'em.

- Dzisiaj podczas mszy złożymy z ciebie ofiarę - oświadczyła

Amah takim tonem, jakby mówiła o nieuniknionych opadach desz

czu. - Przygotuję cię.

Ogrom niespodziewanej zdrady wstrząsnął Jenną.

- Przecież jestem żoną Erica... - wyrzuciła z siebie. - To niemożliwe. Nigdy by na to nie pozwolił.

- Głupia - warknęła pogardliwie Ghania. - Nie byłeś dla Erica niczym więcej jak dodatkiem do zakupu. Jemu chodziło o dziecko. Tylko o dziecko... Dziecko, które tak chętnie nam oddałeś. Nawet hiena byłaby lepszą matką niż ty.

Jenna poczuła, jak żółć podływa jej do gardła. Okrutna rzeczywistość była równie dręcząca jak gład narkotykowy. Chodziło mu o Cody? Dlatego się ze mną ożenił?

- Ożenił się z tobą tylko po to, żeby móc adoptować dziecko -

odparła z satysfakcją Ghania. - Gdybyś miała mniej piękne ciało,

to, możesz mi wierzyć, iż dawno by się ciebie pozbył. I nie mów, że nie wiedziałaś, iż dziecko będzie złożone w ofierze.

Oczy Amah błyszcząły okrutną wesołością.

457

- Złożona w ofierze? O czym ty mówisz? - głos Jenny był pj_ skliwy ze strachu. - Przysięgam, że nie wiedziałam. Erie powie, dział, że jest specjalna, ale nigdy nie mówił o ofierze.

- Kłamiesz. Sprzedałaś siebie i swoją córkę: nie ma większego grzechu. Nawet nie zadałaś sobie trudu, żeby zapytać, co się z nią stanie. Ale opowiem ci w szczegółach, żebyś zabrała ze sobą całą winę na wieczystą mękę.

Wiesz, jak ostrożnie cię podchodziliśmy, kiedy Księżę dowiedział się, że urodziłaś Dziecko Gwiazd? Wzniecał w tobie pragnienie narkotyków, wabił cię dzięki twoim słabościom w nasze sidła. Czy wiesz, jak łatwo jest zapanować nad nałogowcem? Jak każda działka otwiera twą duszę coraz szerzej przed niższym astralem, gdzie czekają niecierpliwie nasi wysłannicy? Jak każdy nowy narkotyk, którego próbujesz, daje dostęp demonom, które od prawieków tłoczą się na obrzeżach ludzkości, czekając na taką okazję? Ty i twoje pokolenie potępieńców zaprosiliście Księcia Ciemności do Cytadeli. Otworzyliście bramy jego legionom! - oznajmiła Ghania triumfalnie. - Jesteś zbyt głupia i samolubna, żeby chociażby zdać sobie sprawę z tego, co zrobiłaś - dodała, kręcąc pogardliwie swą ogromną głową.

Muszę powiedzieć, że nieźle nas zaskoczyłaś, kiedy się dowiedzieliśmy, że zostawiłaś dziecko u matki. Oczywiście, to nie był przypadek, bo druga strona też ma moc kierowania wypadkami...

Och, naprawdę rozprawialiśmy nad tym, co zrobić z twoim drobnym wypadem w kierunku samodzielności. Ale w końcu dowiedzieliśmy się, że musimy przechwycić dziecko na kilka tygodni przed datą ceremonii. To wystarczy, żeby rozbudzić jego moce i nie musieć przy tym długo walczyć z konsekwencjami przebudzenia.

- Moce? Jakie moce? O czym ty mówisz? - wyrzuciła z siebie

Jenna przez mgłę wspomnień wywołanych monologiem Ghanii.

Erie nigdy jej nie kochał: wykorzystał ją jedynie, wszyscy ją wykorzystali. Nawet narkotyki były sposobem na to, żeby nią rządzić.

- Ty mała idiotko - rzuciła pogardliwie Ghania. - Urodziłaś je dyną nadzieję ludzkości i nawet nie rozpoznałaś jej wartości. O, będziesz cierpieła za swe grzechy, możesz być tego pewna. Chociaż..-

może Księżę zechce trochę złagodzić twoje cierpienia, bo tak uła
twiłaś nasze zadanie. Twoja córka jest Wysłanniczką Izydy! Dziec-
458

Ictóre posiada klucz do materializacji wielkich Amuletów Do-
iZła, przechowywanych od pięciu tysięcy lat w Sferach We-
trzných! Szukaliśmy ich w korytarzach wieków, a teraz, już za
dzień. Cody da Maa Kheru władzę panowania nad każdą okrop-

ścią na tej planecie. A to wszystko dlatego, że byłaś za bardzo za-? ta sobą, żeby zapytać, dlaczego taki
człowiek jak Erie Vannier zechciał być z takim niczym jak ty.

_ Co stanie się z Cody? - wyszeptła oszołomiona Jenna.

Wysłanniczka Izydy? Amulety Dobra i Zła? Co za głupoty wygaduje ta wiedźma?

- Jej dusza będzie na wieki uwięziona przez demony, a ciało stanie się nieśmiertelną świątynią dla
płomienia Bogini Sechmet.

Kiedy przywołani przez Ghania mężczyźni zabierali ją, Jenna prawie się im nie opierała. Czowała tak
okropne i paraliżujące mdłości, że ledwie mogła oddychać. Dusza Cody miała być potępiona z jej winy...
jej własne życie miało być złożone w ofierze! Wyrzuty sumienia zalały ją jak nagła powódź, porywając
wszystko ze sobą. Dlaczego o tym nie pomyślała? Dlaczego nie zostawiła dziecka u matki? Działanie
narkotyków już ustępowało, a rzeczywistość dochodziła do głosu, paląc jej umysł i ciało. Była nawet
bliska tego, by modlić się do Boga o pomoc, ale została przechrzczona w imię innego bóstwa i wiedziała
w głębi serca, że wszystko stracone.

Ghania patrzyła, jak otępiła dziewczyna idzie na spotkanie ze swoim losem. Nie żałowała jej, ale
irytowało ją, że takie wspaniałe ciało zostanie stracone.

Wpływ ostatniej dawki skończył się już przed wieloma godzina-mi i teraz Jenna czowała głód
narkotykowy. W głowie jej łomotało, wymiotowała, a w całym ciele czowała jakby pełzające robaki.
Żela-Zna obręcz przerażenia ograniczała jej oddech, ale była to reakcja na "kropną rzeczywistość, a nie na
brak narkotyków. Początkowo y>a zbyt oszołomiona napaścią Nicky'ego i ogromem zdrady Eri-Ca> żeby
nawet się opierać. Wszystko bolało ją po gwałcie, czowała się P°tłuczona i poraniona. Ale zgwałcono nie
tylko jej ciało...

Erie nigdy jej nie kochał, nie pragnął, nigdy nie chciał dzielić się

459

z nią swym światem. Wykorzystał ją, jej ciało, umysł, nawet jej dziecko. O Jezusie, ten sukinsyn zmusił ją, żeby sprzedała swoje dziecko. Nie wiedziała, czy jej mdłości wywołane są przez brak narkotyków, czy przez tę przerażającą świadomość.

Na początku wszystko szło tak świetnie: pragnął jej interesująco, cy, bogaty i ważny mężczyzna. Wybrał ją na żonę odrzucając wszystkie inne. Kiedy w końcu podzielił się z nią tajemnicą swych sukcesów: całym światem magii Maa Kheru, jakaś jej część powitała z radosnym podnieceniem ceremoniałą, rozpustą i pierwotną nieokiełznaną siłą wynikającą ze świadomości bycia tak daleko ponad prawem. Uwielbiała strojenie się i odgrywanie kapłanki... nie chciała, oczywiście, nikogo zabijać, ale nawet te opory zostały stłumione przez prochy. Erie wiedział więcej niż jakikolwiek aptekarz o tym, co zrobić, aby wszystko działało tak, jak on chce. Jak ją pobudzić, albo jak powoli i pewnie osłabić. Jak sprawić, żeby czuła się królową świata: mądrą i wszechmocną, wolną od tych pieprzonych ograniczeń, które hamują słabeuszy. Wiedział, jak wywołać w niej takie seksualne szaleństwo, że nic innego już się nie liczyło, że była gotowa zabijać, sprzedać duszę za możliwość zaspokojenia swojego rozedrganego ciała. W świecie Maa Kheru nie istniało też sumienie, nie było takiej potrzeby. Jedyna uznawana zasada mówiła: „To, co czynicie, będzie stanowić całe prawo”.

Wraz z tym jak słabł wpływ narkotyków, w jej umyśle pojawiała się coraz wyraźniejsza myśl o Cody. Kochała ją kiedyś... naprawdę kochała, nawet pozostawienie jej u Maggie było czynem wynikającym z miłości. Całkiem tak jak przejście na metadon, kiedy była w ciąży. Jezus! Naprawdę chciała być czysta przez cały ten czas. Nie chciała już nigdy wbić sobie igły w rękę. Ile razy było tak, że już niemal była gotowa pójść do domu. Ale potem urodziło się dziecko i były mu potrzebne różne rzeczy: płakało, kiedy nie mogła mu ich dać. Opieka nad niemowlęciem była prawdziwym utrapieniem. Potrzebowała pieniędzy i cierpliwości, żeby się nim opiekować, i wszystko znowu zaczęło wyglądać beznadziejnie. Zostawiła Cody u matki. Ona też była cholernym utrapieniem, ale można było na niej polegać, więc przynajmniej to było właściwym posunięciem. Wróciła na ulicę, dostała pracę w klubie... a potem po-

460

e Erie i wszystko wskazywało na to, że jednak postępowała jawił się

słUSszj^d mogłam wiedzieć, że to wszystko podstęp? Skąd mogłam

edzieć, że nie chodzi mu o mnie? V! Szarpnęła z wściekłością pętające ją sznury: gniew i strach dodały jej na nowo sił. Jednak więzy były zbyt mocne, a nadgarstki

? krwawiły od tych wysiłków. Co, do cholery, chcieli dzisiaj z nią JUObić? Widziała ludzi składanych w ofierze. Bywała świadkiem ich przepętnionej męką śmierci. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogą zrobić coś tak okropnego z nią samą.

W drzwiach stanęła Gnania ubrana w rytualny strój: czarną dże-labiję, wyszywaną srebrnymi i złotymi

symbolami i turban ze złotej lamy. Na jej twarzy i ramionach widniał tajemnicze znaki wypisane czerwoną i żółtą farbą.

Dała znak czterem muskularnym mężczyznom, by weszli za nią do pokoju. Oni też mieli na sobie ceremonialne stroje. Jenna dojrzała, że to nie służący, ale członkowie Maa fceru.

- John - wyszeptała gorączkowo do rriodego maklera z Wall

Stret, który w przeszłości nieraz spoglądał na nią pożądlwym

okiem. - Pomóż mi! Nie pozwól, by mr- skrzywdzili! Proszę,

John!

Zanim odwrócił wzrok, dojrzała w jego jeżach iskrę wahania.

- Nie pozwól się odwieść od swego zaimia, Johnie Menton! -

zagrzmiała Ghania. - Ty też będziesz ocniony! Ty też zostałeś

związany przysięgą. Jeśli zachwiejesz się i swoim postanowieniu,

utracisz wszystko, co zyskałeś.

Menton chwycił ramię Jenny ze świeżą tnergią. Stawka była na tyle wielka, że nie mógł sobie pozwolić na ryzyko dla dobra dziewczyny, która nigdy nie dała mu zaznać rozoszy.

Ten Erie Vannier, który wkroczył do stu/iistycznej kaplicy, bardzo różnił się od eleganckiego, międzymndowego finansisty, jakim był za dnia. Przebrany w wyrafinować egipskie szaty z wyhaftowanymi kartuszami i skomplikowanym ymboiami, nosił się po królewsku, tak jakby świadomość czekącego go zadania napełniała energią każdą komórkę jego ciała.

461

Ghania podążała dostojnie kilka kroków za nim, wyposażona we wszelkie atrybuty kapłanki Obeah. W dłoniach trzymała wielK madagaskarską kulę z opalizującego krystalicznego kwarcu. Ta kula przekazywana była od jednej Najwyższej Kapłanki do następnej od czasów królestwa Mu i została nasycona mocami zła każdej z posiadaczek.

Erie dał gestem znak ludziom trzymającym szarpiącą się Jennę, żeby zaczynali. Zawlekli ją brutalnie na środek sali i wprowadzili po marmurowych stopniach ołtarza. Zmarszczył brwi, widząc jej stan. Wyglądała na wyczerpaną brakiem narkotyków i tak przeżartą strachem, pierwotnym i wprost dotykającym, że komnata niemal wypełniła się jego intensywnością. Nawet jej zazwyczaj doskonałe ciało poznaczone było siniakami i zadrapaniami po długiej udręce. Mijając Erica, zawołała do niego żałośnie, błagając, by przypomniął sobie, czym byli dla siebie, żebrząc o litość. Jej tchórzostwo napełniło go

skrajnym obrzydzeniem.

Wokół rozległy się monotonne śpiewy. Przez wypełniającą ją mgłę przerażenia Jenna rozpoznała magiczny język enoch. Opierała się swym prześladowcom resztkami sił, ale wlekli ją bezlitośnie ku ostatecznemu losowi. Inne odziane w długie szaty postacie obserwowały jej szaleńcze próby walki z jakimś specyficznym podnieceniem, wywołanym przez gwałtowność oporu ofiary. Przerażenie Jenny wypełniało salę swą energią i wszyscy uczestnicy rytuału wyraźnie zauważyli zmianę panujących we wnętrzu wibracji.

- Będzie z niej nadzwyczajna ofiara, Numer Cztery - zauważył jeden z obecnych afektowanym głosem, nieco tylko przytłumionym przez osłaniający twarz obfity kaptur.

- Byłem naprawdę zaskoczony jego wezwaniem, Numer Siedem - odparł z paryskim akcentem ktoś inny. - Chociaż jestem zachwycony możliwością sycenia się niespodziewanym sakramentalnym posiłkiem przed Wielkim Sabatem, to mam nadzieję, że to pośpiesznie wezwane zgromadzenie nie oznacza, że wydarzyło się coś niekorzystnego.

Jego rozmówca wzruszył ramionami.

- Myślę, że to było nieuniknione, by Erie pozbył się swej ma'

żonki, nieprawdaż? Nigdy nie można do końca wierzyć matko <

462

jeżeli chodzi o dzieci. Mogłaby stracić panowanie nad sobą w nieodpowiednim momencie.

Kolejna zakapturzona postać dołączyła do rozmówców. Widać było po szacie, że skrywa pod sobą ciało kobiety.

- Nigdy nie była odpowiednią towarzyszką dla Najwyższego Kapłana - rzekła zdecydowanie.

- Ale mogę się założyć, że była odpowiednia do łóżka - zażartował Numer Siedem, wywołując rozbawienie pozostałych.

Kobieta chciała odpowiedzieć, ale przeszywający dźwięk tybetańskich dzwonek uciszył gwar rozmów wypełniający kaplicę. Ich dźwięk miały też za zadanie przekształcenie wibracji w komnacie i obwieszczenie początku ceremonii.

Jenna leżała rozciągnięta na marmurowym ołtarzu, z unieruchomionymi w nadgarstkach i kostkach kończynami. Jej głowa zwisała za obrzeże ołtarza od południowej strony, co utrudniało oddychanie. Stopy ofiary zwrócone były w kierunku północnym. Jej łkanie mieszało się z rzęzącym oddechem, a nagie ciało napinało konwulsyjnie, usiłując obronić się przed nieuniknionym. Świadomość niebezpieczeństwa powstrzymała jej błagania o litość. W takim miejscu nie mogła liczyć na współczucie. Rytualne śpiewy opływały ją falami, wznosząc się i opadając, a jej myśli przeskakiwały od jednego przerażającego obrazu

do następnego w poszukiwaniu zapomnienia.

Przed oczami Jenny przepływały fragmenty jej życia, nieruchome jak w stop klatce. Zatrzymywały się w każdym punkcie, w którym podjęła złą decyzję. Myśl o Cody przepełniała ją bólem. Uratowałaaby swoje dziecko przed tą potwornością, gdyby tylko mogła. Pragnęła odpokutować, pragnęła dokonać chociaż jednego sprawiedliwego czynu, by zabrać go ze sobą do wieczności. Pragnęła pozbawić Erica jego trofeum.

Nóż Najwyższego Kapłana zamigotał nad nią niesamowicie

w blasku świec oświetlających przepaścistą kaplicę. Erie uniósł stary athame o wysadzonej klejnotami rękojeści i wykonał nad ofiarowym ciałem tajemnicze zamaszyste znaki. Jenna modliła się w dużej nadziei, żeby nie planował Śmierci Dwustu Cięć - najdłuższej i najbardziej okrutnej formy męki. Starła się nie myśleć, jak to może być, że jest się żywcem obdzieranym ze skóry.

463

Erie uniósł ramiona w starożytnym pozdrowieniu Mocy i potem wezwał Księcia Ciemności i Boginię Sechmet, używając ich sekretnych imion mocy, i poprosił ich, by przyjęli ofiarę z na czynią, które sprowadziło na świat Wysłanniczkę.

Pomocnicy kapłana przestali kołysać kadzielnicami, które wydawały gryzący zapach i podali Ghanii dwie miseczki. Wymamrotała nad nimi jakieś zaklęcia i przekazała je Ericowi. Miseczki były wypełnione krwią i ekskrementami, do których wrzucano skradzione hostie, by je zbezpieścić. Używając tej odrażającej substancji, wypisał tajemne znaki na konwulsyjnie szarpiącym się ciele Jenny. Zakapturzeni uczestnicy ceremonii wyjęli uwagę. Śpiewali cicho i monotennie, a ich śpiew mieszał się z żalnym łkaniem Jenny.

Erie znowu uniósł święty sztylet nad ciałem dziewczyny i zaintonował starożytne zaklęcie, przywołujące przewoźnika z Hadesu, który miał zabrać potępioną duszę do zaświatów. Następnie wydobyl z tabernakulum zwinięty dokument - szatański pakt, który Jenna podpisała krwią podczas ich zaślubin. Odczytał jego słowa donośnym głosem, ale nie była w stanie ich zrozumieć.

Spojrzał na żonę. W jego twarzy nie było śladu współczucia, nawet żadnej oznaki, że ją rozpoznaje. Dziewczyna była wybranym naczyniem, które miało sprowadzić Wysłanniczkę Izdy. Był dobry dla niej, kiedy to było konieczne, i okrutny, kiedy trzeba. W tym momencie jej skomlenie zaczynało przeszkadzać mu w koncentracji, zakłócało piękne rytualne słowa towarzyszące składaniu ofiary.

Jenna nie chciała żebrać o litość, ale pomyślała, że może gdzieś w nim tkwi pamięć o tym, czym byli dla siebie... że może jakieś wspomnienie wywoła u niego litość.

Zawołała jego imię; to była niewybaczalna obraza...

Gdy nóż dotknął języka Jenny, jej wrzaski przerodziły się w bełkot. Tonę - pomyślała szaleńczo. Nagle stało się to dla niej ważniejsze niż strach czy ból.

Potem już nie myślała. Cierpiała tylko, aż do śmierci. Ostatnią rzeczą, którą widziała na ziemi, była uśmiechnięta twarz Ghanii-

Wraz z ostatnim świadomym oddechem Jenna O'Connor Vafi' nier zaprzysięgła zemstę.

464

Rozdział 75

Koszmary wypełnione krwią i cierpieniem przepełniły sny Maggie

j chwili, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Rzuciła się

orzech sen tak niespokojnie, że kiedy o trzeciej nad ranem obudził ją

przenikliwy dzwonek telefonu, splątana pościel leżała wokół łóżka.

- Czy pani Margaret O'Connor? - usłyszała w słuchawce czyjś głos.

Usiłując otrząsnąć się ze snu, sięgnęła ręką do kontaktu. Rozmówca przedstawił się jako funkcjonariusz policji.

- Miał miejsce wypadek w pobliżu Cloisters - oznajmił. - Muszę panią z przykrością zawiadomić, pani O'Connor, że samochód pani córki wypadł z trasy. Ciało jest całkowicie spalone, ale znaleźliśmy torebkę, która wypadła z samochodu. Była w niej wizytówka ze sklepu Antiquarian Quest, więc dlatego tak szybko panią znaleźliśmy. Przykro mi.

- O Boże! -jęknęła Maggie, usiłując mówić zrozumiale. - Czy w samochodzie było dziecko?

- Nie. Żadnego dziecka. Była sama. Nadal badamy, jak to się stało, proszę pani. Oczywiście, będziemy musieli, dla pewności, porównać uzębienie ofiary z dokumentacją dentyścyczną pani córki... Czy może mi pani podać nazwisko jej dentysty?

Zadawał oczywiste pytania, tak jakby potrafiła na nie odpowiedzieć. Ale to było nienormalne. Czy nie wiedział, że ona nie znała żadnej odpowiedzi? Może na całym świecie nie było żadnych odpowiedzi... przez dłuższy czas trzymała w ręku słuchawkę, czekając, kiedy na tyle zapanuje nad drżeniem ręki, by ją

odłożyć. Sie-z'ala jak sparaliżowana na brzegu łóżka, patrząc w przestrzeń 1 Próbując sobie przypomnieć, jak się oddycha.

Jenna odeszła. Na zawsze. Już nic nie mogło jej pomóc. Nigdy le wróci do domu. Nigdy nie będzie matką Cody czy dzieckiem aggie. Nigdy już nie dostanie szansy nadrobienia straconego czasu straconej miłości i nadziei. Erie ją zabił: to było oczywiste, nieznie °d tego, co sądziła policja. Ten pozbawiony serca sukinsyn, ~y był mężem Jenny, zabił dziecko Maggie.

465

Teraz, po zabójstwie matki, Cody została zupełnie sama... Na-gle, ku swemu absolutnemu przerażeniu Maggie usłyszała swój własny rozpaczliwy krzyk, dobywający się z najgłębszych zakamarków jej duszy, prawie atawistyczny... bardziej przypominający skargę rannego zwierzęcia niż głos człowieka.

Słyszając ten dźwięk, Maria Aparecida wybiegła ze swojej sypialni i przybiegła do Maggie, nie wiedząc, jaka tragedia się wydarzyła ani nie wiedząc, co zrobić, więc po prostu otoczyła Maggie w macierzyńskim geście swymi pulchnymi ramionami i tuliła ją aż do chwili, kiedy ta przestała się miotać i krzyczeć.

- Płacz, córeczko - wymruczała Maria, jakby zwracała się do dziecka. - Wypłacz wszystkie łzy, które chowałaś w ukryciu. Maria rozumie smutek twojego serca... Maria rozumie...

Maggie otworzyła podpuchnięte oczy, mrużąc je w świetle wczesnego poranka. Przez jeden błogosławiony moment pomyślała, że wszystko było tylko okropnym snem, ale zmartwiona twarz Marii Aparecidy uświadomiła jej, że to prawda.

- Proszę mi wybaczyć, dona Maggie. Wcale bym pani nie obudzila... spała pani ledwie ze dwie godziny. Ale ten człowiek powie dział, że muszę to pani dać od razu. Powiedział, że to ma związek z Jenną.

Zniżyła głos, wymawiając imię nieboszczki, i czyniąc znak krzyża.

Maggie skinęła głową, niczego nie rozumiejąc. Nie miało to wcale więcej sensu niż wszystko inne. Kto mógł coś wiedzieć o Jennie? Usiadła z łomotaniem w głowie: nie pamiętała, kiedy zasnęła. Pamiętała

tylko płacz, krzyk. No i telefon.

Wstała niepewnie i wsunęła stojące obok łóżka domowe pantofle. W ustach miała posmak przypominający krew i ogólnie czuła się źle. Rozerwała szary papier, w który zapakowana była przesyłka: zawierała kasetę video pozbawioną jakiegokolwiek opisu. Maggie spojrzała zdziwiona na Marię, a potem podeszła do stojącej naprzeciw komody i włączyła telewizor, by zobaczyć, co to może być. Przysiadła na brzegu łóżka i wskazała Marii krzesetko, aby usiadła i obejrzała nagranie razem z nią.

25

466

Jakość nagrania była słaba: obraz początkowo był ciemny i ledwie można było dojrzeć cokolwiek. Maleńkie, jasne punkty błyskały na ekranie, a potem pojawił się dźwięk - niesamowicie monotonne śpiewy, które sprawiły, że Maggie spojrzała na ekran z wytężoną uwagą.

Nagle ostrość poprawiła się, jakby ktoś włączył jupiter, i Maggie dojrzała zapłakaną, przerażoną twarz córki, zwisającą z krawędzi ołtarza. Jej wspaniałe jasne włosy były mokre od potu jak grzywa konia po ciężkim biegu. Erie Vannier odziany w dziwaczny strój robił coś... nie widziała, co... O Jezu! Krajał jej ciało przyozdobionym klejnotami nożem! Jak rzeźnik dzielący wołowinę, sprawnie ciął i zanurzał dłonie w otwartych ranach jej umierającego dziecka! Maggie patrzyła w ekran sparaliżowana z przerażenia.

Czy to głos Marii Aparecidy rozebrzmiał w monotonnym chórze? Nie, nie! To jakaś okropny pomyłka... „Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna...” - odmawiała różaniec! - „Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami, grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej...”.

Maria Aparecida odmawiała modlitwy zdruzgotana tym, co zobaczyła. Wymazać tę okropność... „Teraz i w godzinę...”! Wymazać tę okropność! „Pan z tobą” - Maggie wciąż patrzyła na ciemny już ekran, ale nie widziała go. Zamiast tego przed jej oczyma pojawił się obraz roześmianego niemowlęcia o imieniu Jenna w dniu jej chrztu: niewinnego dziecka, kochanego i drogiego Rogu. I obraz młodej matki, która stała przed kościołem, trzymając / dumą dziecko na rękach, pełna miłości, nadziei i błogostawionej niewiedzy o tym, co przyszłość jej wydrze i zniszczy.

Ledwie zdążyła dobrnąć do łazienki, gdy zaczęła wymiotować. Usiadła na białej podłodze, przywierając do toalety, a łzy nieopisanego cierpienia potoczyły się jej po twarzy. Nic na świecie nie było w stanie wymazać z pamięci tego, co widziała.

- Słodki Jezu, miej nad nią litość! - powtarzała raz po raz w myślach po to, by żadna inna okrutna myśl nie pojawiła się jej w głowie. - Słodki Jezu, miej nad nią litość!

Słodki Jezu, miej litość nade mną!

Otępiła z rozpaczy Maggie z trudem pokonała schody Szóstego Posterunku. Podoficer dyżurny ledwie ją rozumiał, ale w końcu

467

udało się jej dotrzeć do Devlina. Łkając niepowstrzymanie, wyrzuciła z siebie relację o tym, co widziała na kasecie, którą przyniosła ze sobą. Devlin wezwał Garibaldiego, który przekazał kasetę innemu detektywowi z poleceniem, by przygotował ją do odtworzenia na magnetowidzie stojącym w pokoju przesłuchań. Detektyw odszedł, kiedy obydwaj usiłowali na tyle uspokoić Maggie, by zrozumieć, co się stało.

- Pozwól nam rzucić okiem na tę kasetę, Maggie - powiedział

Garibaldi, patrząc porozumiewawczo na Devlina. - Poczekaj tutaj

u porucznika, a my zobaczymy, czy to nam w czymś pomoże. Ty

już to raz widziałaś, i wystarczy.

Devin objął ją ramionami. Oparła głowę zrezygnowanym ruchem na jego piersiach. Była niepokojąco pozbawiona energii, tak jakby wypompowano z niej całą siłę życiową. Posadził ją w fotelu najdelikatniej jak potrafił i poszedł za Garibaldim do pokoju przesłuchań.

Usiedli bez słowa z ponurymi minami, lecz kiedy nacisnęli przycisk odtwarzania, na ekranie pokazał się tylko śnieg. Wymienili zdziwione spojrzenia i Garibaldi kilkakrotnie przewinął taśmę do przodu. Była czysta.

- Chyba nie jest aż tak rozstrojona, żeby mogła to sobie wymyślić, poruczniku? - zapytał Garibaldi z autentyczną troską.

- Na pewno nie. Nikt nie potrafiłby wymyślić takiej historii. Znasz ją, Gino. I widziałeś, w jakim jest stanie...

Siedział przez chwilę bez słowa, mając przed oczami wyraźny obraz łkającej w jego pokoju Maggie.

- Daj tę cholerną kasetę do laboratorium i zobacz, czy są w stanie dojść, co te sukinsyny zrobiły, żeby skasować nagranie. I powiedz im, że nie dam się nabrać na żadne opowieści o czarnej magii.

Gino skinął głową i odszedł z kasetą. Devlin westchnął głęboko, zadając sobie w duchu pytanie, co może zrobić, aby przekonać Maggie, że jest w pełni władz umysłowych.

Kiedy wrócił do swojego pokoju, Maggie siedziała na fotelu za biurkiem. Zwinęła się jak szmaciana lalka, podciągając kolana obronnym gestem do piersi i oplatając nogi ramionami, z głową opartą o ko-

468

lana. Widywał już tę instynktownie obronną postawę. Kiedy ludzie otrzymują od losu cios w splot słoneczny, to jakby zwijają się w sobie, uciekając do jakiejś sekretnej krainy. Czasami nigdy z niej nie wracają. Pragnął dotknąć jej, pocieszyć, ale wiedział, że ona przeżywa swą własną, przeraźliwą rozpacz i nie powinien się w to wtrącać.

- Chodź, Maggie - powiedział łagodnie. - Wyjdziemy stąd.

Poszła za nim jak automat aż do samochodu, ale gdy już myślał, że wsiądzie zatrzymała się.

- Muszę się przejść - oznajmiła i musiał pójść za nią.

- Wiele lat temu - powiedziała cicho - kiedy pobraliśmy się, mieszkaliśmy przez rok na południu, żeby Jack mógł pójść na studia podyplomowe na Washington and Lee. Mieliśmy pomoc domową, która przychodziła do sprząwania raz w tygodniu - czarna, biedna, ale nadzwyczaj piękna. Była wysoka i szczupła jak trzcina i miała takie wysokie, dumne piersi jak księżniczka dżungli - głos Maggie brzmiał jak we śnie.

Devlin nie miał pojęcia, do czego zmierza. Co to miało wspólnego ze śmiercią Jenny? Ale ktoś mógłby ją winić za to, że tak ją rozstroiło to przeżycie? Wziął Maggie pod rękę, a ona ani nie zaprotestowała, ani nie zareagowała, tylko dalej mówiła tym dziwnym, monotonnym głosem.

- Byłam w ciąży z Jenną - westchnęła odpowiadając na jego nieme pytanie. - Rozkoszowałam się tą zarozumiałą dumą wczesnej kobiecości. Pierwszy raz poczułam wtedy poruszające się we mnie życie i byłam urzeczona wspaniałością mojego osiągnięcia.

Zaśmiała się z siebie samej, chociaż, jak widział Devlin, była na granicy łez. Słuchał jej bardzo uważnie.

- Pośrednicy zabierali ciężarówkami biednych czarnych ze wsi i przywozili ich na cały dzień do pracy w mieście. Pracowali od świtu do nocy za trzy dolary dziennie - przerwała, by znowu westchnąć. - Naprawdę lubiłam tę kobietę, podziwiałam jej od wagę.

Devlin czuł, że jest to dla niej bolesne wspomnienie, więc ujął mocniej jej ramię, czego nie zauważyła. Łzy spływały jej po twarzy, ale nie zwracała na nie uwagi.

- Miała pięcioro dzieci i nie miała w życiu nawet chwili, która

469

nie byłaby wypełniona ciężką pracą. Gotowanie, sprzątanie, szoro wanie, wysługiwanie się nic nie wartemu mężowi. Pił i bił ją bezli tośnie. Potem znowu zaszła w ciążę, więc rozmawialiśmy ze sobą o dzieciach i nawiązałyśmy coś w rodzaju ostrożnej przyjaźni. Jecz. nego dnia nie przyszła do pracy, ale oczywiście, nie miała telefonu więc dowiedziałam się dopiero w następnym tygodniu, że urodziła dziecko, które umarło dzień później. Trzy dolary dziennie to nie jest dużo, żeby zapewnić opiekę kobiecie w ciąży, kiedy już i tak żywi pięcioro.

W każdym razie... w mojej ignorancji dwudziestojedolatki powiedziałam jej: „Chyba tak jest najlepiej, prawda, Emmy? Nie trzeba ci już kolejnej gęby do wykarmienia”.

Westchnęła żałośnie i po raz pierwszy spojrzała na Devlina. Łzy nieprzerwanie spływały jej po policzkach.

- Nie powiedziała na to ani słowa, Dev... - dodała.

Jej głos załamał się na to gorzkie wspomnienie.

- Ale wyczytałam wszystko w jej oczach. Gniew na moją niewyobraźną głupotę, przez którą myślałam, że może być lepiej stracić dziecko. Jej pełne rezygnacji pogodzenie się z tym, że życie obdarzyło mnie dobrym mężem, pieniędzmi, i w przyszłości, zdrowym dzieckiem. I pewnego rodzaju wyniosłą litość w stosunku do mnie, tak jak by chciała powiedzieć: „Wiem, że nie jesteś aż tak głupia, ale jesteś tylko rozpieszczoną idiotką i życie jeszcze cię nie doświadczyło. Kie

dyś do tego dojdzie i wtedy będziesz wiedziała to, co ja wiem".

Już nigdy szczerze ze sobą nie rozmawialiśmy. Skreśliła mnie, a ja zasłużyłam na to.

Przerwała na moment, by spiesznie otrzeć łzy.

- Dzisiaj rano Maria poinformowała moją sąsiadkę o śmierci Jenny, a ona później powiedziała mi: „Och, Maggie, tak mi było przykro, kiedy się dowiedziałam o twojej córce... ale chyba w jakiś sposób to cię uwalnia". - Wzięła głęboki, konwulsyjny oddech. - Poczułam, jak zalewają mnie te same odczucia jak te, które widziałam w twarzy Emmy. To nie jest uwolnienie, ale najokropniejsza klęska na świecie. I to już na zawsze.

Jej wyznanie usunęło blokadę skrywanego bólu i zaczęła łkać konwulsyjnie, jakby miało jej pęknąć serce.

470

s nowi przyszedł na myśl fragment wiersza jakiegoś grec-

. 0 (vety. Było to tak wyraziste, że nie mógł się opędzić od jego wicc wypowiedział je cicho: „W naszym śnie, ból, który nie „iina, kapie kropla po kropli na serce, aż w rozpacz, wbrew myin sobie, osiągamy mądrość przez okropną łaskę Boga".

Zatrzymał się, odwrócił Maggie ku sobie i wziął ją w ramiona, nie zważając na spojrzenia przechodniów.

_ Och, Maggie, Maggie, moja Maggie - wyszeptał, skrywając twarz w jej włosach, gładząc ją i kołyszając jak dziecko. - Tak cię kocham-

po pewnym czasie pozwoliła mu odprowadzić się do domu. Wyczerpana, pozbawiona wszelkiej energii, po prostu zwinęła się w kłębek na kanapie i zasnęła z głową na jego kolanach.

Spala, a Devlin siedział obok niej, nie śmiąc się ruszyć, by jej nie obudzić. Sen był jedyną ulgą, jakiej mogła teraz doznać. Czekają ją jeszcze wiele: ciało... pogrzeb... pustka w sercu w miejscu, w którym

zamieszkiwała Jenna. On sam pamiętał to wszystko. Koszmar śmierci i jej makabryczne rytuały.

To znowu może być mi odebrane - pojawiła się na peryferiach jego umysłu okrutna myśl. - Znalazłem kogoś, kogo kocham, a te sukinsyny chcą mi ją odebrać. Już mnie wyprzedzili z Jenną. Nie mogę pozwolić na to, żeby skrzywdzili dziecko, bo już nic nie zostanie z serca Maggie. To moje własne błędy kosztowały mnie utratę Daniela i Jan - pomyślał z okrutną szczerością - ale tym razem będzie inaczej. Tym razem ochronię je.

Kiedy trzy godziny później Devlin dotarł na posterunek, Garibaldi oddał mu kasetę z dziwnym grymasem twarzy.

- Fachowcy mówią, że nigdy nie była używana, poruczniku. Devlin spojrzał na niego ostro.

- Niemożliwe!

- Chyba zostaje tylko takie wyjaśnienie, że są to albo halucynacje wywołane przez stres, albo zwykłe kłamstwo - stwierdził cicho Garibaldi.

Devlin pokręcił powoli głową.

471

- Ona nie zwariowała ani nie kłamie. Jest jakieś inne wyjaśnienie

Popatrzyli obydwaj na taśmę i nagle spojrzeli na siebie wzrokiem, w którym pojawił się błysk zrozumienia.

- To nie jest ta sama taśma - powiedzieli niemal jednocześnie

- Sprawdź, czy Jackson wypuścił ją z rąk, zanim doszedł z nią do magnetowidu - polecił Devlin.

Garibaldi wyszedł, by wrócić po kilku minutach.

- Mówi, że położył ją na magnetowidzie, bo miał telefon, kiedy my nadal rozmawialiśmy z Maggie. Było dużo czasu na to, żeby ktoś podmienił taśmę, poruczniku, ale to znaczyłoby, że mamy tu kogoś z nich. To dość niewiarygodne, nieprawda?

- Może nie jednego z nich, Gino. Może kogoś, kogo opłacają od czasu do czasu. To nie jest takie niemożliwe.

- No tak, ale to znaczy, że musimy teraz uważać na swoje dupy, poruczniku. Myśli pan, że możemy

pójść z tym do kapitana?

- Jeżeli lekarz sądowy uzna, że śmierć Jenny była morderstwem, to pójde z tym do kapitana.

Znowu spojrzeli sobie w oczy: we wzroku każdego z nich pojawiła się nieufność. Teraz nawet kapitan nie był poza podejrzeniami.

* * *

Lekarz sądowy poprawił nieco okulary na swym wielkim nosie i podniósł wzrok znad ponurego zadania, którego celem było upewnienie się co do przyczyny śmierci Jenny Vannier. Ciało było spalone, zniekształcone i brakowało niektórych jego fragmentów.

Spojrzał na stojącego po drugiej stronie stołu Devlina.

- To, z czym mamy tutaj do czynienia, poruczniku, jest dość niecodzienne... może powinien pan to zatrzymać w tajemnicy, do póki nie dowiemy się więcej.

Devlin uniósł pytająco brwi. Sekcja zwłok nie należała do jego ulubionych czynności zawodowych, a tym bardziej w tym przypadku.

- Ta kobieta nie zginęła w wypadku - stwierdził stanowczo lekarz. - Została zamęczona na śmierć. Nie ma języka i kilku istotnych organów i nawet jeżeli te brakujące fragmenty spaliły się, to może się pan założyć o swoją odznakę, że nie miało to miejsca pod czas pożaru samochodu.

472

Widział pan już kiedyś coś podobnego? - zapytał Devlin, sta-• sie nie Patrzeć na leżą.ce na stole zwęglone szczątki. Przed oczyma ciągle pojawiał mu się obraz wiotkiej nastolatki e zdjęcia na biurku Maggie.

Był taki przypadek w Teksasie kilka lat temu... te satanistycz-
ofiary, które odkryli w starej stodole nad granicą... wszystkie
iały żywcem wyrwane serca - odparł lekarz, ważąc słowa. - Brak
ezyka to jednak nowy element. Może po prostu chcieli ją uciszyć,

kiedy ją masakrowali.

Devlin skinął głową, zastanawiając się, w jaki sposób ukryć najbardziej drastyczne szczegóły przed prasą. Gdyby jakakolwiek wzmianka o rytualnym morderstwie wydostała się na zewnątrz, gazety byłyby zaraz pełne szczegółów z osobistego życia Maggie O'Connor.

- Znał ją pan? - zapytał lekarz, widząc przygnębienie w oczach Devlina.
- Nie. Nigdy nawet jej nie widziałem. Ale jej matka jest moją dobrą przyjaciółką.
- Hm, to pewnie jeszcze gorzej. Ale przynajmniej ta dziewczyna już nie cierpi.

Devlin znowu pokiwał głową. Nie mógł nic na to powiedzieć.

- Kiedy matka zgłosi się po ciało, postaram się nie przekazać

jej najgorszych szczegółów.

Detektyw spojrzał na niego poważnie.

- Ona już zna te szczegóły. Ktoś przysłał jej nagranie video.

Lekarz zatrzymał na nim nieruchomy wzrok, usiłując przetrawić

te informacje, a potem zdjął okulary i ścisnął palcami nos u nasady, tak jakby chciał pozbyć się bólu głowy.

~ Żyjemy w niezłym świecie, prawda, poruczniku? Można by Pomyśleć, że Bóg nie żyje, albo że mu to wszystko wisi.

~ Homo homini lupus - mruknął Devlin.

Lekarz spojrzał na niego z zainteresowaniem, zaskoczony łacińską sentencją.

~ Człowiek może być człowiekowi wilkiem, poruczniku - zgo-" się. - Ale Bóg mógłby, do cholery, postępować lepiej.

473

Rozdział 76

Stojąc nad liczącym dwa dni grobem, Maggie czuła, jak nieodparta rzeczywistość śmierci Jenny wypełnia ją z mdlącą intensywnością. Przetrawiała w otępieniu pogrzeb, a Amanda i Ellie robiły za nią wszystko, pomagając jej jak lunatycze wykonywać wymagane czynności.

Aż do tej chwili udawało się jej wysiłkiem woli odpierać okropne wspomnienie nagrania video. Starła się pozostać przy życiu i przy zdrowych zmysłach na tyle długo, by mogła zrobić to, co było jej

obowiązkiem. Walka o Cody była jeszcze przed nią. Cody żyła. Potrzebowała jej. Jednak jej wewnętrzna tama już nie wytrzymała i do jej snów, do jej świadomości poczęły przesączać się nieodparte i nie dające się powstrzymać straszne wspomnienia. Żywa istota sącząca krople krwi przez szczeliny, pod drzwiami jej ducha i serca. Obudziła się tego ranka, wiedząc, że musi spojrzeć temu okropieristwu prosto w oczy, by zachować zdrowy umysł.

Usiłujecie przetrzymać zimno, kwiatki - pomyślała, patrząc na leżące u jej stóp więdnące żonkile. - Ja też.

Stała nieruchomo, pytając sama siebie w rozpacz, jak mogło dojść do tego, że taka tragedia pochłonęła ich życie.

Nikt oprócz ciebie nie wie, czym byłyśmy dla siebie w dobrych czasach, Jenna - zwróciła się w myślach do córki. - Oni wiedzą tylko o końcu miłości... ale na początku dzieliłyśmy się nią.

Poddała się przyływowi mroźnego żalu, który zaczął podnosić się w niej jak fala przyływu.

Jak mogło dojść do tak okropnego końca, skoro było między nami tak dużo miłości? Czy za mało cię pielęgnowałam, a może za bardzo cię kochałam? Może na zbyt długi czas zostawiłam cię samą sobie, kiedy umierał twój ojciec? Nie chciałam tego zrobić, kochanie. Oddałabym własne życie, gdyby to cię mogło uratować. Zrobię to dla Cody. Czy rozumiesz, że wszystko, co robię dla niej, robię również dla ciebie?

- Nie pogodziłam się z twoim odejściem, Jenna - wyszeptwała. - Nie potrafię się z tobą pożegnać.

474

Pomyślała nagle, że zamordowana dziewczyna, która leży u jej stóp P°d ziemią, wcale nie jest Jenną. Jej córka umarła bardzo, bardzo dawno temu, gdy po raz pierwszy zatopiła w ręce zatrutą igłę. „Ukłujesz się zatrutym wrzecionem w szesnaste urodziny” - powiedziała zła wróżka na chrzcinach Śpiącej Królowej. I tak się stało.

Przeżegnała się i odeszła. Oddalając się od cichego cmentarza, zadała sobie w duchu pytanie, ile czasu upłynie, zanim sama będzie spała obok córki na tym cichym wzgórzu. I czy, kiedy to już się stanie, Cody również będzie spoczywała przy nich w wiecznym śnie.

Rozdział 77

Ghania pogłaskała węża z czułością.

- Och, moja Malikali - wyszeptwała uwodzicielsko. - Dlaczego wybrałam cię na asystenta, zamiast pająka albo kota? - zapytała z chichotem. - Byłoby łatwo nosić ze sobą któregośkolwiek z nich, a ty zrobiłaś się taka opasła i długa, że bardzo ciężko cię podnieść.

Pogłaskała kołysząc się głowę gada, usiłując spojrzeć w jego pozbawione wyrazu oczy.

Wychowała tego węża od wylęgnięcia się z jaja, wy karmiła krwią i wytresowała starannie do zadań, których wykonywania oczekiwała od asystenta wiedźmy. Miała już wiele takich węży, gdyż nawet jej umiejętności nie były w stanie wydłużyć ich życia więcej niż dwa lub trzy razy w porównaniu z naturalnym, wyznaczonym przez naturę wiekiem. Ten przynajmniej miał taką dodatkową zaletę, że przerażał już samym swoim wyglądem. Wężę są dla większości ludzi wyklętymi istotami. Dziwiło ją to, jak przerażenie samą obecnością Malikali potrafi rozwiązywać większość języków.

Wąż był pod pewnymi względami wystarczającym narzędziem, ale zazwyczaj brakowało mu inteligencji. W przypadku kotów

475

i psów występowała przynajmniej inteligentna reakcja na zachcianki maga. U Malikali i podobnych jej istot liczył się tylko prosty rodzaj ociążonej lojalności. Oczywiście, wąż był nadzwyczajnym dobrym kanałem dla wizjonerskich umiejętności swej pani: Kiedy Malikali była przy niej, służyła jako nadzwyczajny wzmacniacz energii, ułatwiający Ghanii obserwowanie tych, których nie powinna mieć na oku.

Ghania westchnęła jeszcze raz, poklepała odruchowo węża i wstała. Postanowiła wykorzystać gada do pełnego przebudzenia talentów Cody. Wymagało to sporej ostrożności, bo dziecko było akurat odpowiednich rozmiarów na kąsek dla Malikali, której po-słuszeństwo mogło być ograniczone przez jej ogólną głupotę. Pokręciła głową, myśląc o tych wymogach: przy budzeniu śpiących mocy trzeba było pamiętać o tak wielu rzeczach... ale nigdy nie było perspektywy tak wspianego trofeum jak teraz.

Ghania otworzyła klatkę z królikami i wyciągnęła z niej dwa największe. Uznała, że wężowi przyda się trochę ruchu. Rzuciła szarpiące się króliki do cementowego zagłębienia, w którym wąż dostawał swoją karmę i odeszła. Nie potrzebowała obserwować tego widowiska: wiedziała, że Malikali pobawi się torturowaniem królików, a potem je pożre. W porównaniu z innymi zwierzętami, wąż może wyglądać na nudne stworzenie, ale Malikali sprawiała przynajmniej bardzo mało kłopotów.

Idąc z powrotem do bawialni, Ghania zastanawiała się nad sposobami postępowania, które miała wykorzystać wobec dziecka, skoro już nadszedł czas. Nie ulegało wątpliwości, że Cody nawiązała kontakt ze strażniczkami. Epizod z królikiem był doskonałym katalizatorem. Miękkie serce dziecka sprawiło, że była bardzo wrażliwa na cierpienie zwierząt i została doprowadzona do krawędzi, gdzie czekali jej strażnicy. Nawiązała kontakt. Naprawdę. Porozumiewała się również telepatycznie ze zwierzętami, Ghania wiedziała o tym od nich samych. Zaczęła nawet podejmować próby nawiązania kontaktu z królestwem minerałów i roślin, jak informowały ją oryzy, chociaż wyglądało na to, że nadal nie wierzy w swoje umiejętności-

Nareszcie wszystkie składniki znalazły się w kosmicznym tyglu! teraz Ghania potrzebowała tylko wymyślić doskonałą udrękę, która

476

Iniaby alchemiczną formułę, pozwalającą przemienić dziecko

VVysłanniczkę.

Musiła, oczywiście, zasięgnąć rady Inferalnych Imion: frygij-

• BO Sabaziosa, fenickiej Asztarte, Cimerisa - władcy całej Afry-• Nergala z Babilonii, hebrajskiego Abaddama... Stała przed ołta-

m wymawiając nabożnie ich imiona i czekając na odpowiedź, fi wszyscy głupi adepci, którzy byli na próbie generalnej, myśleli, że znają, prawdziwą magię. Ale każdy z nich był ograniczony do swojego własnego systemu i swoich własnych demonów, podczas gdy Ghanii nie krępowały żadne takie sztuczne więzy. Była bliska Księciu Ciemności we wszystkich jego postaciach: z Babilonu, Sumerii, Niniwy, Tyru, Grecji. Rzymu, Egiptu i z każdego miejsca, gdzie kiedykolwiek rozkwitało zło. Miała wpływy wszędzie, gdyż władza jej mistrza nie znała granic. Tylko Erie, Nicky i Hazred podejrzewali, jakie są jej prawdziwe moce, inni z lekceważeniem uważali ją za chełpliwą służącą. Głupcy.

Zrzuciła swoją szatę na podłogę i stanęła ubrana tylko w przepaskę ibante, w której przechowywała swą potężną magię. Była to stara, przesączona krwią szmata, której nie zdjęła z siebie ani razu od dnia swojej inicjacji. W razie potrzeby potrafiła przyćmić umysł mężczyzn, żeby nie odstręczał ich odrażający wygląd przepaski, ale nigdy nie wolno jej było zdejmować tego ju-ju.

Uniosła swe potężne ramiona w pozdrowieniu demonów i wstą-P'ła do siedliska prawdziwego zła. Zamierzała poprosić o radę dotyczącą ostatecznej męki Dziecka Gwiazd.

Rozdział 78

** Jest pani dzisiaj jak lwica w klatce, dona Maggie - zauważy-a Martwiona Maria. Widziała jak Maggie przegarnia jedzenie na talerzu, by potem je stawić. Widziała, jak zabiera się za tuzin różnych rzeczy po to

477

tylko, żeby z nich później zrezygnować. Teraz obserwowwała ją, ja^ chodzi niespokojnie z miejsca na miejsce.

- Myślę o Cody, Mario - odpowiedziała Maggie pełnym niepc-. koju głosem. - Miałam dzisiaj wieczorem takie okropne przeczu -cie... Dzieje się z nią coś strasznego... coś duszącego. Czuję to. Narasta cały czas - pokręciła głową, nie mogąc pozbyć się męczącego tj niepokoju. - Nie wiem, jak to wyjaśnić.

- A detektyw, dona Maggie? - zasugerowała ostrożnie Maria. -Nie może przekonać policji, żeby coś dla nas zrobili? On jest dc -brym człowiekiem. Dlaczego nie wyrusza na jej ratunek? Czy on nic nie zrobi?

Maggie wzruszyła wymownie ramionami.

- A ksiądz? Nie widziałam go w tym tygodniu. Może pojecha:

odwiedzić mojego przyjaciela, ojca Jamesa?

Maggie wiedziała, że James urósł w oczach służącej niemal do rangi świętego dzięki umiejętnościom kulinarnym i podziwowi dla kuchni Marii.

- Może pojechał - odparła bez przekonania, a Maria Aparecida uniosła swe wyraźnie zarysowane brwi i wyduła usta na tę niezadowalającą odpowiedź.

- Jesteśmy okropnie zmęczone - powiedziała, zaliczając się do grona cierpiących. - Ale Bóg nas nie opuści.

- Dlaczego tak mówisz, Mario?

- Mamy wobec małej tylko dobre zamiary, dona Maggie. Kiedy Bóg zagłąda w serce i widzi tylko czystość, posyła swoich aniołów. Przypomni sobie pani moje słowa, dona Maggie.

Maggie odprowadziła wzrokiem odchodzącą gosposię, żałując że sama nie odczuwa takiej pewności. Rzuciła okiem na zegar. Jedenasta zero sześć. Jedenasta zero sześć dwudziestego ósmego kwietnia. Blisko nocy Walpurgii. Początek lub koniec. Poczwała nagle lęk: wewnętrzny i nowy w jakiś sposób. Jakieś duchowe stłam-szenie, jakby nieznana, obca siła czała się w kątach domu, nasycając go strachem. Czy jakkolwiek loch jest równie ciemny, jak własne serce człowieka? Jej życie pustoszało... nieodwołalnie znikali z niego kochani ludzie. Jenna odeszła na zawsze. Peter również. Miejsca, które zajmowali w jej duszy wypełniły się teraz pustką:

478

/Ciei,n;; mr<'c/ną. i bezkształtną, jak okropny głód, które-0 nie

o/nil zaspok*i(* albo jak ważne zadanie, które nie zostało wykonane- i-, to mii'1 °dejść następny? Nie Cody. Boże, proszę, nie -Wy!

Zła n» sani.i siebie poszła do kuchni zrobić herbatę. Od°bina ruchu i gwizd c/ajnika w pustym domu rozproszyły te mys Maria bytu teraz na górze i nawet zegar z kukułką w holu zda*ał się tykać i iszej niż zwykle.

Dlaczego nagle poczuła się tak winna swej samotności? Tac jakby nie zaliczyła jakiegoś podstawowego testu wartości i teras właśnie ponosiła za to karę. Może gdyby była lepszym człowiekiem, może gdyby lepiej rozumiała Jennę. Może gdyby Peter nie by księdzem. Może gdyby wiedziała, jak zareagować, kiedy Dev pwie-dział: kocham cię. Może gdyby Cody nie została porwana Może gdyby... może gdyby...

Musiła przetrwać dzisiejszą noc. Musiała zebrać myśli ni tyle, by zaplanować, co zrobi jutro. Czas szybko upływał. Dlaczego tak trudno było jej postanowić, co ma zrobić? Dlaczego nie była niniejsza, sprytniejsza i bardziej przygotowana do tego, by doprowadzić do szczęśliwego rozwiązania?

Czy to skrzywienie dochodzi z sypialni na górze? Trzeba e uciszyć! Pozwalasz wystraszyć się samotności - pomyślała. Zlana samą siebie, że nie potrafi się temu oprzeć, przeszła na palcact" przez sypialnie, zaglądając do szaf w poszukiwaniu źródła hałasi- Nie znalazłszy niczego, włączyła wszystkie światła i zaciągnęła zasłony w poczuciu zagrożenia.

Próbowała minąć sypialnię Cody, ale nie mogła tego zrobić, więc weszła do niej ostrożnie i stanęła, patrząc na porzucon; żałośnie zabawki.

- Przybyłam do tego miejsca zagubioną ścieżką... - wysreptała donośnym szeptem w pograżonym w ciszy pokoju. -1 jaką snieżką teraz wróć ę?

Ten pokój był kiedyś sypialnią Jenny. O Boże! Nie pozwól, bym o tym mywała. Podeszła do biblioteczki i odruchowo wyjęte z niej mały, opnwny w skórę tomik poezji, który kiedyś należał >io niej samej, później do Jenny, a w końcu do Cody. Otworzyła go w dobrze znanVm miejscu i zaczęła czytać:

479

Panie, wejrzyj na naszą zgromadzoną tu rodzinę, Obdarz nas pokojem, radością i spokojem ducha. Uczyni nas lepszymi dla naszych przyjaciół i twardszymi Wo_ bec naszych wrogów, byśmy mogli być odważni w niebezpie_ czeństwie, niezmienni wbrew kolejom losu i byśmy do samych wrót śmierci byli sobie oddani i kochali się nawzajem.

- Aż do wrót śmierci - powtórzyła.

Może właśnie do tego wszystko zmierza. Jack będzie czekał. Może Jenna też...

Nie mogła się zdobyć na opuszczenie pokoju, więc z westchnieniem położyła się na łóżku Cody i tuląc w ramionach ulubionego misia wnuczki, zapadła w niespokojny sen.

* * *

Pomieszczenie, w którym Gnania zostawiła Cody, było pozbawione okien i bardzo, bardzo zimne. Zamiast mebli stało w nim tylko parę kartonów, a na podłodze leżał stary materac, który cuchnął zastarzałym potem.

Cody wcisnęła się w najdalszy kąt, przyciskając swe drżące ciało tak blisko ścian, jak tylko się dało. Nie miała pojęcia, dlaczego Ghania robi jej coś tak strasznego. Nie robiła nic, co byłoby wbrew regułom. Jednak bez żadnego ostrzeżenia Ghania wyrwała ją z ciepłego łóżka i przyniosła do tego zimnego, okropnego pomieszczenia. Potem otworzyła klatkę Malikali i zostawiła ją samą w tej lodowatej ciemności.

Jeszcze zanim Ghania zgasiła światło, dziewczynka dostrzegła, jak wąż wysuwa się z klatki. Przysiadła nieruchomo, starając się być jak najmniejsza i nasłuchując w okropnym napięciu... wąż był gdzieś blisko. Nie otwierała oczu, bojąc się, że go zobaczy.

Ghania powiedziała, że ona dzisiaj umrze, że Malikali owinie się wokół niej i będzie ją ścisnąć, ścisnąć... a potem ją połknie, tak jak to zrobiła z koziołkiem, i będzie w niej uwięziona, i będzie krzyczała, i krzyczała, ale nikt jej nie usłyszy... Cody załkała w ciemności cieniutkim zduszonym głosem.

- Mim... proszę, Mim... Proszę, nie pozwól mu mnie zjeść.

480

Zaczęła płakać cichutko, bojąc się pociągać nosem ze strachu, że zwabi to węża. Słyszała przesuwające się wielkie cielsko, zmierzające ku niej po betonowej posadzce. Wąż zbliżał się. Podpełzał lcu niej. Przywarła do ściany, błagając Mim, by przybyła po nią. Dlaczego nie przychodzisz mnie uratować? - wykrzykiwała to straszne pytanie od tak dawna, że wypaliło w jej sercu dziurę, przez którą wszystko z niej uszło.

- Mim - wyszeptała gorączkowo.

I wtedy zobaczyła go wyraźnie... Jego oczy: błyszczące w ciemności żółte szparki. Nie mogła już dłużej się powstrzymać.

- Mim - wrzasnęła w absolutnym przerażeniu. - Mim! Mim!

Miiiiiii--

* * *

- ...iiiiim!

Przeraźliwy krzyk przeszył świadomość śpiącej Maggie. Rzuciła się biegiem ku temu dźwiękowi. Cody raz po raz wykrzykiwała jej imię, a echo krzyku niesło się w całym jej wnętrzu. Skąd on dochodził?

Maggie we śnie rozejrzała się pośpiesznie na wszystkie strony. Dokąd ma biec?

- Mim! Pomóż mi!

Tam! Za tymi czarnymi drzewami! Maggie rzuciła się w tamtym kierunku.

- Biegnę! - wykrzykała, ale Moszczący wiatr wepchnął jej

słowa z powrotem do ust. - Biegnę, kochanie! Gdzie jesteś?

Splątane pnącza wysuwały się ku niej, by uwięzić jej stopy. Gmnt usuwał się spod nóg...

- Miiiiiiiiimm... - Przeciągły krzyk cichł. - Miii...

Maggie usiadła w łóżku. Była mokra od potu, a po twarzy spływały jej łzy.

Drżąc na całym ciele, podniosła się i włączyła lampkę przy łóżku. To był prawdziwy sen. Coś okropnego

działo się z Cody, i to w tej chwili.

Pobiegła do swojego pokoju, zerwała przemoczoną koszulkę, naciągnęła spodnie treningowe i chwyciła z toaletki klucze. Musia-

481

musi-i e nad -

łapomys'leć... r'lusia*a ruszać.. -\j

teraz, w nocy. z ka ?*j * lr »

Zdjęta z półki w holu bluz<' ,,, ; ne ; *>

siała biec. Biec do Cody. Nie, t'^^ ,,, ,vszy^ ^ '>

żeby ją uratować było przemy-' dny]

•

Ruszyła bi^em. Bteg by/Q ,, Luk? ,,

myslec. Wybiega zza ciemne: #i}ab}

wiając się nad fasą, która nk'(o s? licy . ,, ^

bezpieczne mielce. Najpierw (udzi(a]ez ku

tam już będą śv> iatła uliczne. J

i

jest godzina. tf. ej pŁ. Hko

Zimne, wilg,'tne powietrze jasn^|(jvślen:_

dawka tlenu całkom Przywrócił'iomj e m,... . . ,.fi m

Nadszedł cza" działania. Całt ^^ tydob ;o p

ze uratować CodV, jeżeli nikt ni- ^ kona,: w p

przonego domu. Policyjna robo' ^ ^ pra, N|I p

rządku, bo bez lefO me znałaby , ^ ,, t0 rv „iąz,

licja nie chciała dW me mogła in \ zg „tuje, , ;kał

ne ręce. Nie było <ensu liczyć n;> J^ .!0ania. Lł:vi.^niła

Został tylko j. den możliwy v . ,,,,[i sk:: ?raw

sobie, gdy dotarło do rogu Chris" dl|r,g0 doQ* :orzą.;

Musiła sama wyzbyć Cody z tt-f^ ^ jeśh bpK rzeb,

ku! Ale co potem-' Potem uciek' .>dybe: : piec,

Uciekać dokądś', dokądkolwiek. 1 S' K.iedv c, ? cvtyc/

A ? ? , gnov - ? ?'.'

na. Enc w końcu K*dzie musiał zr- ' . ,,,-zono>j ńedzą

na data, po co miałby s'cigać Cod'

w dodatku, gdzie <'na Jest? . m-pr7vj:mniałj<;

.. . .. !j** as ti- r •

Ale oni mogą i ialezc cię w pi," .ustnie postanie, tt

wewnętrzny głos. - Jeżeli potraP' , „ę cho

równie dobrze potr tfi4 dowiedzieć . , czyną' vleć a

Pałacy boi wyp.miał jej płuca.« . „ /erpać pond wsze:

wysiłku. Musiała sW zmęczyć. Muv . tuacji.

7. I Cl '

kie granice. Musiał*' być jakieś wy l . () &a mógł osłabi

Biegła, wytężaj? resztkę sił. \$ hm .wały w /? nysłaci

- powiedział pan WnS- Jego słów ^w była zb ;tębok<

zgodnie z rytmem ,iegnących stor

L ptak, Nawet zbyt głęboka, żeby można ją by™^? dj^cn. Paka troska osadza się w sercu, w mózg, » *
-RUra acha jak kwas i wcisk, się w szczelny s ^ , Nicktór troski pokonują członka. Nie mogę do
, F Czują. ,k jej serce, dusza i duch natężają sxe do , ? ta ur,ow. Muszę uratować. Muszę
zapanować na. . ^ łanowa- Kolejne słowa rozbrzmiewały w mej ^ Ta,oy uczne zdawały się tańczyć
przed mą. 1*** w^tołka smykały poza jej polem widzenia jak P«? ^ Łała * już nie być czymś stałym.

Zgubiłam s,c; P- ; J ak długa roga, żeby się odnaleźć. Jestem w mezna> ^ . myśllbył
.oszarpanczmąconealejednakk.ys^c «* ^ jakN b, w stanie przejrzeć samą siebie. Kryś-E^uiwy
ból. Pomóż mi, Boże! Pomóż rru jąuj™ Nagle uczyła w sobie Mim. Rosnącą świadome- T me
,ty. Oś zaczynało się budztć. Proszę, Boże, me*

I wyst.ircz. ące. . :e; gfcw-ie na-

Człov ek żyje i umiera samotnie - pojawiła się v J ^ ^
gła. ,ueP,iważalna myśl. - Ale po drodze doznaje ,J
pochodź ,d innych. Od opętanych, smutnych, ^*^.
w potrze -e. Wszyscy wysysają człowieka. Wypijaj. <***
Psychic; e wampiry. Wampiry miłości. któ_
? i tak łaśnie ma być. Bo miłość jest jedyną rze< l-Jea-
ra się lkry. Jest wszystkim, co się zbliża do Boga ^

Cod) jest Wyśłanniczką, a ja jestem Strażniczo jedyną, i:óra może ją uratować.

* * *

m

Prze .żenię Cody spychało ją w głąb, z dala ^.^ Spa.

stwa, ktre wpatrywało się w nią w złowrogich c,e- ^ ^

dala de środka, głęboko, głęboko w pustkę. Po-^ ^ miejsca swój unył, uykając do bezpiecznego ^^T^ ^
przekro-fragmeitacji, gdzie kryją się normalne dzieci, WJ^ sk oderwać czył JUJ wszystkie granice. Do
miejsca, gdzie •'. (Sybilli. ośrod-od stałego centrum i schronić w „inności . > l

483

ka, w którym osobowości mnożą się, by uratować swego zrozpaczonego gospodarza.

Jednak Cody nie była normalnym dzieckiem.

I już nie była sama w ciemnościach. Wielkie złote skrzydła zamieszały powietrze wokół niej, otarły się o jej policzki i otoczyły usiłujące się skryć ciało. Ciepło, spokój i światłość promieniowały z oferowanego przez skrzydła schronienia. Zdezorientowana Cody podniosła twarz. Wspaniałe istoty, uczynione ze światłości, jaśniejsze niż słońce, przemieszczały się w pomieszczeniu, promieniując daleko poza jego granice. W porównaniu z nimi wąż nagle wydał się mały i nieistotny. Wiedziała, że te istoty przybyły z Miejsca Światłości, by ją uratować.

Zadziwiona, czuła, jak jej ciało przemienia się i nasyca energią. Pomyślała, że może już umarła. Gdyby była na tyle dorosła, by rozumieć biologię molekularną, wyczuwałaby zmianę częstotliwości wraz z tym, jak każdy drżący atom jej ciała ulegał przekształceniu. Światło zaczynało promieniować z jej drobnego ciała, które teraz przejmowało energię z niebiańskiego źródła. Robiła się coraz większa.

Cody już nie czuła się dzieckiem. Świetliste promienie światła wylewały się z dłoni i oczu Strażników - rozpoznała w nich tę samą energię, która przepływała przez jej ręce do chorych i skrzywdzonych, ale o wiele potężniejszą. Z radością kąpała się w mieniących się promieniach. Każda jej myśl miała teraz w sobie moc. Gest jej dłoni wystarczał, żeby się mogła osłonić. Wiedziała to w jakiś sposób, tak samo, jak wiedziała o innych niewyobrażalnych rzeczach... o całych istnieniach zebranych w spirali DNA... molekułach pełnych pamięci... o kruchej i wspaniałej historii ludzkości wypisanej w każdej komórce.

I miłość! Cudowna miłość, przekraczająca wszystko, o czym kiedykolwiek marzyła, wyrrywająca się z każdego poru. Miłość nawet do jej prześladowców, nie za ich podłość, ale za ich chwiejne człowieczeństwo, które pozwoliło im dawno, dawno temu wybrać zło. Miłość do całej ludzkości. Miłość do Boga/Bogini. Miłość nawet do śmiertelnie groźnego węża, który teraz zatrzymał się, kołysząc tułowiem przed jej porażającą postacią.

484

Cody obróciła wzrok na wielką bestię i dostrzegła nie jej okrutne zamiary, ale wewnętrzne piękno i siłę, którymi obdarzyła ją natura. To, że został wykorzystany do jej dręczenia, nie było winą pytona, pozostawał pod wpływem czarów Ghanii.

Przypomniała sobie pewną próbę w świątyni bardzo, bardzo dawno temu.

Wąż cofnął się przed naporem miłości, która wylewała się z oczu Cody. W wielu kulturach węże są świętymi stworzeniami bogini, w innych bywają miażdżone jej stopami... Cody wyrażała to wszystko swoim wzrokiem i kiedy pyton przysunął się do niej znowu, uczynił to, by złożyć jej hołd.

Ghania z napięciem obserwowała dziecko i węża przez weneckie lustro. Specjalne elementy optyczne wtopione w szkło zapewniały jej dobry widok pomimo panującego w pomieszczeniu mroku. Była to pochodna urządzenia wykorzystywanego w wojskowych okularach noktowizyjnych - Erie i Nicky zawsze mieli dostęp do najlepszych rządowych urządzeń, szczególnie jeżeli mogły być przydatne podczas wojny.

- Przebudziła się do swoich mocy! - oznajmiła triumfalnie.

Nicholas Sayles stał obok niej w niewielkim pomieszczeniu, obserwując rozgrywający się za ścianą dramat.

- Przerażenie jest zawsze najlepszym bodźcem - dodała.

- Dziesięć lat nauki albo dwa tygodnie tortury, co, Ghania? - odparł.

Lubił obserwować cierpienia innych, ale nienawidził tego węża. Miał kiedyś starcie z pupilem Ghanii i do tej pory nie mógł o tym zapomnieć.

- Zawsze można polegać na twojej szybkości. Na ile jej obecność tutaj może być niebezpieczna, skoro została już w pełni przebudzona?

- W tym wcieleniu jest tylko dzieckiem, Nicholas. Potrzebowałyby wiele czasu, żeby się w pełni nauczyć wykorzystywać moce, które teraz posiada... a w dodatku nie ma żadnego wzorca, który by jej pomógł ich używać. Każdego dnia przypominałaby sobie coś nowego, ale został jej tylko jeden dzień. To wystarczy, żeby

485

w momencie złożenia ofiary była >już prawdziwą Wysłanniczką. Gdyby była starsza, sprawy mogłyby się potoczyć inaczej, ale skoro jest tak, jak jest...

- Zostawisz ją samą ze swoim ukochanym pupilem, moja ty

okrutna? - zapytał, jak zwykle zafascynowany niewzruszonym

złem więdźmy.

Ghania roześmiała się chrapliwie.

- Zapewniam cię, Nicholas, że jedynym stworzeniem, które znajduje się w niebezpieczeństwie, jest mój pyton - powiedziała i odwróciła się ku drzwiom prowadzącym do sąsiedniego pomieszczenia.

- Muszę teraz do niej pójść - powiedziała, odprawiając go wyraźnie.

Nicholas Sayles przełknął tę zniewagę; Ghania była bardzo dobra w swoim fachu.

Ghania weszła do pokoju i spojrzała na dziecko, które stało cicho na środku pomieszczenia. Trzyletnia twarz Cody O'Connor miała tak błogi wyraz jak twarz buddyjskiego mnicha, a przynajmniej była w równy sposób opanowana. Była teraz inną osobą, patrzyła niewzruszenie na swą prześladowczynię.

Więdźma uważnie przyjrzała się dziecku. Była w nim siła, władczy upór i odwaga. Przebudzenie dokonało się wspaniale, całkiem jak planowała. Czowała satysfakcję, że stara magia podziałała tak dobrze, ale do materializacji pozostał jeszcze cały dzień.

Zauważyła też, że Maliki wróciła z własnej woli do klatki. Ghania uśmiechnęła się do Cody i dojrzała, że przebudził się w niej inny duch. Stary, mądry i nieokiełznany duch, który przez tysiąc wcieleń był przygotowywany do jednego zadania.

Patrzyła zafascynowana na dziecko, czytając jego myśli równie wyraźnie, jakby je słyszała.

Nie lekceważ mnie, wiedźmo - mówiły myśli Cody do kapłanki Obeah. -To, że zamieszkuję ciało dziecka, nie sprawia, że jestem neofitą. Nawet Chrystus musiał się uczyć od swojej matki, jak chodzić i wymawiać swoje imię. Moja Matka również mnie uczy. Nie

486

myśl, że mnie złapałaś, ponieważ jestem w twojej pułapce. Gra się jeszcze nie skończyła.

Niech będą dzięki Ciemności, że jej ciało jest nadal tak małe i liczy tak niewiele ziemskich lat - pomyślała Ghania - ale i tak trzeba ją będzie przytępić narkotykami aż do czasu ceremonii. Nie można ryzykować.

Wbiła igłę strzykawki głęboko w ramię dziecka i nacisnęła tłok.

* * *

Wybiegając zza rogu Cornelia Street, Maggie zobaczyła w połowie kwateru dom Devlina. Wbiegła bez zwalniania po starych schodach z piaskowca, przeskakując co drugi stopień, otworzyła zewnętrzne drzwi i nacisnęła natarczywie przycisk dzwonka. W starym głośniku domofonu rozległy się trzaski i jego rozespany głos.

- Kto tam?

- To ja, Dev - wysapała, z trudnością chwyając oddech. -Wpuść mnie. Muszę cię zobaczyć.

Rozległ się brzęczyk i już zaraz był przy niej, bez koszuli, ubrany tylko w pośpiesznie naciągnięte szorty. Jego mina zdradzała zmartwienie i zaskoczenie. Nie uczesane włosy spadały mu na czoło, przydając chłopięcego wyglądu.

- Postanowiłam ją stamtąd wydostać, Dev - oznajmiła bez wstępow, kiedy wprowadził ją do mieszkania. - Znajdę sposób, że by ją uprowadzić, zanim dokonają swojego rytuału. Coś się dzisiaj z nią stało. Nie wiem co, ale to było coś okropnego. Biegłam tu... i składałam to wszystko w jedną całość.

Devlin wpatrywał się w nią, nadal półprzytomny ze snu. Uniósł rękę, żeby powstrzymać potok jej

słów.

- Na rany boskie, Maggie. Dasz mi chwilę, żebym mógł się pozbierać? Jest druga nad ranem.

- Nie obchodzi mnie, która jest godzina, Dev. Oni dzisiaj ją męczą. Nie pytaj mnie, skąd to wiem. Po prostu wiem. Te sukinsyny ją dręczą, a ja jadę tam, żeby ją wydostać.

487

- Na rany boskie, Maggie - powtórzył znowu, tym razem ze złością. - Zwariowałaś? Zabiją cię albo trafisz do aresztu. Gdybym nie był tam ostatnim razem, byłaby już z ciebie siekana wątróbka. Pozwolisz mi zająć się tym na mój sposób?

- Nie. Nie pozwolę ci zająć się tym na twój sposób! - wybuchła. - Nie pojmujesz tego? Nie ma już czasu, żeby czekać, aż ktoś coś zrobi. Cody jest moją wnuczką i muszę wiedzieć, że zrobiłam wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby ją uratować.

- Więc pozwolisz, żeby twoje pieprzone ego stanęło na drodze jej i twojego bezpieczeństwa?

Maggie otworzyła szeroko oczy.

- Ty sukinsynu! - wrzasnęła - O czym ty mówisz! To nie moje ego sprawia, że jestem gotowa poświęcić życie. To miłość!

Ona jest częścią mnie samej, nie rozumiesz? Nauczyłam się wszystkiego, co Ellie i Peter mogli mi przekazać, bo miałam nadzieję, że znajdzie się jakieś magiczne zaklęcie, które sprawi, że cały ten cholerny koszmar zniknie. Ale nie ma czegoś takiego. Potem czekałam na to, że uratuje ją twoja legendarna policyjna robota, ale teraz wiemy, że nic z tego nie będzie. Nie uważasz, że byłabym zachwycona, gdyby ktoś gdzieś wiedział, jak ją uratować? Nikt nie wie lepiej ode mnie, jak żałośnie jestem nie przygotowana do tego zadania - nie jestem wyposażona w nic poza miłością.

Ale mam właśnie tę jedną rzecz, Devlin: kocham ją. Wystarczająco, żeby stawić czoła tym szaleńcom. Wystarczająco, żeby umrzeć, jeżeli będę musiała. I nie przemawia przeze mnie moje ego! Nie jestem głupia! Do diabła! Gdyby na świecie była chociaż jedna osoba, której mogłabym powierzyć wydostanie jej z tego parszywego domu, to bym się na to zgodziła w mgnieniu oka, ale nie ma nikogo takiego.

Cody ma trzy lata, Dev! I jest sama w domu pełnym potworów, które zabijają dzieci. Powiedziałam jej, że wrócę. Więc, na Boga, wrócę! Nawet jeśli uda mi się zrobić tylko tyle, że nie będzie umierała sama, myśląc, że nikt jej nie kochał na tyle, by próbować ją uratować... wrócę tam.

Uporczywy grymas na jego twarzy, z którym słuchał jej wybu-

488

doprowadzał ją do wściekłości. Dlaczego tak bardzo chciała,

lby zrozumiał?

Och, do cholery - rzuciła, zdenerwowana do ostatecznych

anie. - Nawet nie wiem, po co tu przyszedłam...

Odwróciła się, żeby odejść, ale Devlin chwycił ją za ramię • przyciągnął mocno do siebie. Usiłowała protestować, ale nakrył ustami jej usta. Jedną jego dłoń wplątał się jej we włosy, a drugą trzymać ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

Próbowała mu się wyrwać, ale odpowiedział na jej siłę swoją siłą.

- Chodź ze mną! - powiedział, trzymając twarz tak blisko niej,

że czuła jego oddech.

Żądanie? Prośba? Dokąd? Iść dokąd?

- Wypuść mnie - powiedziała, odpychając go.

Nagle jego ręce znalazły się wszędzie i uwolniły wszystkie powstrzymywane dotąd emocje. Pragnienie i potrzeba. Kochać. Być kochanym. Eksplodować na zewnątrz i do wewnątrz w kim, kto może odebrać ten dar. Otoczyła ramionami jego twardy kark i ukryła przeszłość w jego pocałunku.

Potem znaleźli się na jego łóżku, choć nie miała pojęcia, jak tam trafili. Zamiast ubrania czuła dotyk ciała i nagle poznała prawdę. Kochała tego mężczyznę. Pragnęła go teraz i wcześniej, od długiego czasu. Pragnęła, żeby jej dotykał, poznawał ją i kochał. Chciała oddawać mu jego miłość z głębi swego ciała i duszy.

- Chodź ze mną - poprosiła gorączkowo i tym razem jego sło

wa wypełniły się treścią.

Chłodne powietrze wywołało gęsią skórkę na jej ciele i usztywniło jej brodawki, a może spowodowało to oczekiwanie? Usłyszała skrzypienie sprężyn, kiedy się na niej położył, dojrzała jego uśmiech, gdy dotykał jej piersi... gwałtownie, delikatnie i gorączkowo, pierwszy raz. I inne miejsca. Czuła gorąco jego bioder naciskających jej biodra, dodających swą siłę do jej siły. Jego męskość unosiła się nad nią: przedmiot godny dotyku miłości, gdy jego dłonie i usta porażały ją.

Nachylał się nad nią nisko, muskając wargami jej usta, policzki, szYJe> uszy. Mówił głosem zarezerwowanym tylko dla miłosnego aktu, łagodnymi słowami, słowami zachęty. Czuj... Pragnij... Prze-

żyj to ze mną... Tak dobrze. Tak pięknie. Potem to on leżał na łóżku, unosząc jej ochocze biodra, gdy na nim usiadła. Gibkie, dziko wznoszące się ciało mające ogień w swym centrum. Wyborny, palący ogień.

- Nie! - usłyszała swój głos, ale nie wiedziała, czego się boi. -Nie Dev...

- Tak! - powiedział nagle, całą siłą swojego ciała wkładając w pchnięcie.

Krzyknęła, zaskoczona dzikos'cią tego uczucia. Prymitywnego, nie poddającego się kontroli. Wychodzącego poza wszystko racjonalne.

- Tak! - powtórzył, przyciskając do siebie jej biodra, żeby nie mogła umknąć.

Kolejne, nagłe pchnięcie i jeszcze jedno, jak ruchy ogiera. Osunęła się w fale przyjemności, rozlewające się po sobie kolejno bez końca. Zatraciła się w nich. Czowała, słyszała i widziała wszystko przez mgłę oszałamiającej przyjemności.

- Nie... - usłyszała znowu swój własny jęk, przebijający się przez zakłócone fale, krzyk negacji wobec wszystkiego, co było przeszłością i co zostało zepchnięte na zawsze przez ten akt miłości.

- Maggie! - zawołał do niej z oddali i znowu poczuła się unoszona siłą jego ciała wnikałą do jej wnętrza.

Potężny, niemożliwy napór. Eksplozja gwiazdy. Szaleństwo. Życie...

Obejmowali się w radosnej i doskonałej miłości.

Leżała obok niego na łóżku, na wpół przykryta jego ciałem, a wszystkie jej nerwy, mięśnie, włókna i kości rozpyływały się od miłostnego aktu. Cała gorączkowość przemieniła się teraz w leniwe spełnienie. Co się właśnie stało z nami? - zapytała się w myślach. Ekstaza, błogość, przesłanie do przeszłości, afirmacja życia w śmiertelnie niebezpiecznym świecie. I, och, o wiele więcej niż to...

Poruszył się, żeby znowu objąć ją ramionami. Żeby dotykać jej i poznawać. Pieścić i wznosić się, i opadać inaczej niż przedtem-Teraz łagodniej dotykać nawzajem swych pragnień, z czułością i niespieszną jednością.

490

A potem znieruchomieli, uśmiechając się, z twarzami przytulonymi do siebie, zmęczeni i spełnieni.

- To dopiero początek, Maggie - powiedział, przyciągając ją znowu do siebie. - Planuję niespodziankę na nasze setne urodziny.

- Mmm? - mruknęła pytająco, poruszona jego pragnieniem połączenia ich przyszłych losów.
- Najlepsze zostawiam na koniec - powiedział sennie. - Nazywam to apokaliptycznym pieprzeniem.
- To miłe - powiedziała, rozbawiona i w pełni nasycona. - Będę miała na co czekać.

Jak przyjemnie jest śmiać się z kimś, kogo się kocha - pomyślała nagle, przypominając sobie, że śmiech umiera ostatni. Nie było seksu między nią a Jackiem przez bardzo długi czas z powodu jego choroby. Ale od czasu do czasu coś zwariowanego wywoływało ich śmiech. I wtedy przepęłniała ich miłość. Przesycała kojącymi falami. Wspomnieniem o dobrych czasach, kiedy doznawała radości. I nadziei. I śmiechu, który wystarczał, by wypełnić wszechświat.

- Kocham cię, Maggie - powiedział Dev, wyczuwając nagłą ciszę, która ją ogarnęła.
- Ja też cię kocham - odpowiedziała poważnie, zadając sobie pytanie, czy mają czas na to, by się kochać. I szczęśliwa z tego powodu.

Oboje spali przez jakąś godzinę czy dwie, zanim wschodzące słońce zaświeciło przez pozbawione zasłon okna, przynosząc z sobą rzeczywistość nowego dnia.

- Chcę, żebyś dzisiaj była w pogotowiu, Maggie - powiedział Dev, stojąc nago w łazience, mokry po wzięciu prysznicza.

Popatrzyła na niego zaskoczona, z na wpół wciągniętymi spodniami.

- Powiedziałam ci, Dev: muszę dzisiaj wydostać Cody.

Miał taką minę, jakby go uderzyła.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - zapytał ostro. - Wydawało się, że ustaliliśmy to w nocy?

Tym razem Maggie zrobiła zaszokowaną minę.

- Więc ty myślałeś, że to ustaliliśmy? - zapytała, nie wierząc

491

w K co słyszysz. - W jaki sposób lw1 Przez to, że poszliśmy do tó... Że się kochaliśmy? Och.: i śmiało. Panienska nie panuje na; :bą, więc ją uspokoję w trać?.-?•-•. sposób!

Oiarnięta nagłą wściekłością n«y stawionym smutkiem, naciągnęła gwałtownie bluzę i odw: .i »ię do drzwi.

- To, że cię kocham, Dev... c: ; się z tobą kochałam, nic tu :: zmienia, do cholery. Jester uci sobą... i

nadal muszę wy-dosuc Cody z tego domu.

: czekała na odpowiedź, tyk nzasnęła za sobą drzwiami. De\ zn stał w miejscu owinięty w ; - .
ściskając pięści z frustracji i niewnej bezradności.

Ora była tak idiotycznie dziel;,. v<idiotycznie głupia! Ale on też Ir.' głupi, myśląc, że seks moźra yi tego odwieść. Co za idiota u unie - pomyślał z niechęci rzucając ręcznik na podłogę i wcjgając szorty. Wszedł do kucnn. nalał sobie filiżankę kawy, wy: yk i wylał resztę do zlewoznwika. Jeżeli policja mi nie pomoże 3ędę musiał zrobić to sam -xmvśłał.

Miggie oceniła swoją sytuację JE ujściu od Devlina. Żałowała, że rozstali się w ten sposób, al; eonie można już było zmienić. Czuła się osłabiona na każdyr renomie. Przez żal, strach, nawet przez miłość. Przez więcej em:cr. niż była w stanie określić, a co zopiero zapanować nad nim: Była też piekielnie zmęczona i w srroej formie, jak na ten rodzaj vua. która ją czekała. Musiała pernić o pomoc.

Sunęła na rogu ulic, usiłując nav; ;hać się tyle tlenu, żeby odzyski: siły, ale jej oddech był zduśmy Nie była w stanie sprowadzić .olechu do dan Hen, jak ucz;, r,-. Wong, żeby robić w moment- wielkiego stresu. Widziah LW raźnie. Był to oczywisty znak. a wybuchem gniewu osłabił; .-. ? kanał wątroby.

Sihbędzie wiedział, co robić -myślała, ruszając w kierunku jego drtnu. Nie pozwoli, by upadła i amego wejścia.

Pa: vWong wpuścił ją do domu z adom, miłym uśmiechem na

49:

twarzy- Jego mina w najmniejszym stopniu nie zdradzała faktu, że odczytał intensywność jej osłabienia, gdy tylko otworzył drzwi. Głos, twarz, język ciała, kolor skóry - każdy szczegół wyraźnie mówił o jej stanie. Wiedział od początku, że nadejdzie taki moment.

Sporządził jej horoskop, kiedy zgłosiła się do niego jako nauczyciela, i od początku wiedział, że będzie poddana wielkiej próbie Bogów. Przeznaczenie zesłało ją do niego po naukę, więc przyjął zadanie przygotowania jej do bitwy, o której nawet nie wiedziała, że będzie musiała ją stoczyć.

Jej umiejętności walki były minimalne, jak w przypadku wszystkich, którzy nie trenowali od dzieciństwa. Pięć lat treningu pod jego kierunkiem i rok przedtem nie wystarczały na to, by poznać zakres tego, czego się musiała nauczyć. Ale to los układał plan, a nie mistrz Wong, więc przyjął to dodatkowe utrudnienie bez protestów. Maggie miała w sobie odwagę i wytrzymałość. Jej duch był stary, jeśli chodzi o umiejętności walki; jeżeli nawet jej umysł już tego nie pamiętał, to było pewne, że jej ciało przypomni sobie wszystko, kiedy będzie zagrożone unicestwieniem.

- Muszę stanąć do strasznej walki, Sifu - powiedziała, zbyt zmęczona na długie wyjaśnienia i wiedząc, że on ich nie wymaga. - Przyszłam prosić cię o pomoc.

- Trudno jest ujeźdźać tygrysa, nieprawdaż? - odparł łagodnym tonem, który rzadko u niego słyszała.

Skinął głową. Mógł się tego spodziewać. Wskazał jej gestem wała kanapkę, na której poddawał zabiegom tych nielicznych uprzywilejowanych, którzy rozumieli jego mistrzowską znajomość tradycyjnej, chińskiej medycyny.

Ci, którzy umieją zabijać, muszą nauczyć się leczyć - mawiał dawno temu jego własny mistrz. - To kwestia równowagi.

Przyłożył z wielką uwagą palce do jej nadgarstków. Wyczuwamy puls przekazał mu skomplikowaną opowieść.

- Wiele kanałów jest zamkniętych - powiedział wprost. - Musimy opracować strategię przywrócenia równowagi ducha, a także ciała.

493

- Muszę rozumieć, co będziesz robił, Sifu - odparła.

- Strach osłabił ci nerki - wyjaśnił. - Smutek zaatakował pęcherz. Gniew osłabił kanał wątroby. Woreczek żółciowy i jelito cienkie zostały obciążone przez zbyt wiele pytań, z których żadne nie mają jasnej odpowiedzi.

Nerki są źródłem mocy, Maggie. Muszą wykarmić całość. Ducha stały wyczerpane przez zbyt wiele żądań. Duch odszedł, ponieważ ciało nie jest w stanie go utrzymać. Musimy z wielką ostrożnością zwabić energię fizyczną, psychiczną i emocjonalną z powrotem do ciała. Dopiero potem będziemy mogli zwabić ducha.

Umieszczając igły w jej ciele, podawał nazwy odpowiednich punktów.

- Tai Chong: punkt wielkiego przepływu... Hegu: dolina jedności. - Nazwy brzmiały poetycko, bardziej filozoficznie niż medyczne. - Shen Men: brama ducha, Bal Hui: sto zbieżności, Shen Ting: dziedziniec ducha...

Jeżeli ciało jest zbyt osłabione, Maggie - objaśnił spokojnie - duch nie może w nim pozostać. Ciało i duch są siłami magnetycznymi zdolnymi do przyciągnięcia ich biegunowych odpowiedników tylko wtedy, gdy ciało jest zdolne utrzymać ducha.

Dał krok do tyłu, żeby przyjrzeć się zmianom w wyglądzie Maggie. Wiedziała, że ogląda kanały energii

- niewidoczne dla niej samej - tak, jak potrafili to wszyscy mistrzowie Kung Fu.

- Potrzeba więcej energii Yang, Maggie - powiedział w zamy

śleniu. - Żeby walczyć, trzeba mieć bardzo mocną Yang.

Twoja siła życiowa musi być nasycona energią szczególnej, wojowniczej natury, która jest w stanie przetrwać wielkie przeciwieństwa. Istnieje pewna starożytna technika, dzięki której można wpompować taką wojowniczą energię. Nazywa się Fa Gong. Nie używa się do niej igieł. - Przerwał, zastanawiając się, jak jej to lepiej wyjaśnić.

- Żeby to zrobić, muszę przesłać energię z mojej duszy do

wszechświata, żeby uchwycić istotę energii, której potrzebujesz -

w jego ustach brzmiało to zupełnie jasno i wydawało się proste

i normalne. - Potem muszę przekazać tę wojowniczą siłę wprost do

494

. O ciała. Zrobię to, umieszczając dłonie nad górnym i dolnym ,pffl Oi. Znasz dobrze te ośrodki z treningów, jsjje czekał na jej pozwolenie, lecz zaferował jej rzadki dar, ? dzac, że ona nie może go odrzucić.

Zobaczyła, jak ten mały, ale potężny człowiek staje pewnie, pragnąc by JeS° silne ciało dokładnie połączyło się z ziemią. Dojrzała, jak wyciąga ręce do góry, aby przyjąć energię wszechświata, jakby był anteną nastawioną na niewidoczne źródło mocy. Gdy opuścił ręce ku jej podbrzuszu i klatce piersiowej, Maggie poczuła, jak magnetyczna moc wpływa w nią, pulsując, nasycając energią i wzmacniając. Jej ciało i ducha, jej postanowienie.

Zobaczyła, że mistrz uśmiecha się, zadowolony ze swojej pracy. Wstała po kilku minutach z kanapki, dziwiąc się odzyskanemu wigorowi.

- Jak mam ci dziękować, Sifu? - zapytała. - Jestem ci bardziej wdzięczna, niż potrafię to wyrazić.

- Pamiętaj o wszystkim, czego cię nauczyłem, Maggie. Nie stajesz bezbronna do tej walki. Sun Tzu powiedział: , Jeżeli znasz wroga i znasz siebie, nie musisz obawiać się wyniku setki bitew! Jeśli znasz siebie, ale nie wroga, to każde zwycięstwo będzie równoważone klęską. Jeżeli nie znasz ani siebie, ani wroga, ulegniesz w każdej bitwie".

Masz teraz ducha wojownika, Maggie. Ostatecznie jest to ważniejsze niż wszelkie umiejętności. „W walce -jak mówi Sun Tzu -waleczny duch jest wszystkim. Wartość całej armii zależy od jednego człowieka: taka jest wartość ducha!".

Zrobiłem to, co zależało ode mnie... teraz ty zrobisz swoje. Wynik jest w rękach bogów. Stanie się to, co musi się stać.

Spojrzała na dobrotliwego starca, który tak nadzwyczajnie zmienił jej życie, nie wiedząc, czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczy.

- Dziękuję, że byłeś moim przyjacielem, Sifu - powiedziała.

Chciała go uścisnąć, ale wiedziała, że może poczuć się urażony:

niewielu ośmielało się chociażby podać mu rękę.

- Przyjaźń też jest w ręku bogów - mruknął.

I wtedy, w nieoczekiwanym geście otworzył ramiona i wziął ją na długą chwilę w objęcia. Czuła moc jego siły i mądrości, zdając sobie w duchu pytanie, czy może czytał w jej myślach.

495

Rozdział 79

- Mam świadka, poruczniku - oznajmił Gino, uśmiechając się od ucha do ucha. - Porządnego świadka.

- W jakiej sprawie?

- W sprawie Erica Vanniera, tego wytwornego, błękitnokrwistego sukinsyna, który przewodził rytualnej ofierze, podczas której pewna młoda dama została pokrojona na karmę dla psów.

Devlin odłożył trzymane w ręku papiery i spojrzał na niego z uwagą.

- Jak, do diabła, ci się to udało?

Garibaldi przysiadł na brzegu biurka Devlina z jedną stopą opartą o podłogę i uśmiechnął się krzywo.

- Pojechałem do Greenwich, zobaczyć się z Vannierem, i kiedy odbywałem rozmowę z Jego Wysokością, a zdarzało mi się mieć bardziej owocne rozmowy ze słupkami w płocie, wydało mi się, że znam jednego z goryli.

Więc kiedy ten gnojek wkurzył mnie tak, że ledwie mogłem ustać na nogach, pomyślałem, że może uda mi się zlokalizować tego faceta.

No i rzeczywiście, okazał się być absolwentem jednej z naszych znamienitszych instytucji penitencjarnych. Pogrzebałem trochę głębiej i odkryłem, że jak wpadnie jeszcze raz, to trafi do pudła do

końca życia... więc uciąłem sobie z nim drobną pogawędkę o możliwościach wystawienia do wiatru jego szefa, którego, jak się okazuje, i tak za bardzo nie lubi...

Uśmiech Gino był pełen zadowolenia.

- Fantastyczne - stwierdził Devlin. - Gwiazdy musiały się dzisiaj odpowiednio ułożyć, Gino. Dzwonił Jake, ten Michał Anioł tatuażu, żeby powiedzieć, że został wezwany do wykonania nowych dzieł, dokładnie rzecz biorąc, siedmiu. Słyszał, jak rozmawiali o jakiejś poważnej ceremonii, która ma mieć miejsce trzydziestego kwietnia, więc wygląda na to, że Ellie trafiła w dziesiątkę.

- Już nie mówiąc o tym, że ma najlepsze cycki, jakie miałem w życiu zaszczyt widzieć - dodał Gino.

496

I Zauważyłeś?

' Nawet Stevie Wonder by zauważył.

pevlin uśmiechnął się. Sprawy zaczynają wyglądać lepiej, Gino. Może mimo

ws.

- tko ucja sic nam czegoś dokonać. Nie szkodzi mieć nadzieję, poruczniku.

I Poproszę kolegę z sekcji narkotyków, żeby sprawdził ich pod

•m prochów. Zobaczymy, czy uda nam się trochę nimi potrzą-'. ? nrzed imprezą. Myślę też, że mamy pewien trop w sprawie tej fermi hodowli dzieci w Nyack, więc można jeszcze raz pojsc z tym do kapitana.

_ To brzmi obiecująco - odparł Gino, już idąc do drzwi. - Mam informatora, który mówi, że może mi przekazać nazwiska niektórych ważnych gości, którzy się często pokazują w Loopy Jupiter. Zobaczę, czy dzięki temu uda się coś znaleźć w tym bagnie.

- Mam lokalne powiązanie, o które panu chodziło w przypadku O'Connor, kapitanie - oznajmił Devlin, gdy O'Shaunessy odłożył słuchawkę telefonu i obrócił swoją pulchną twarz w jego kierunku. - I od cholery więcej spraw, dzięki czemu to wszystko zaczyna mieć sens.

- Zdawało mi się, że prosiłem pana o materiały od tego reportera, poruczniku - przerwał O'Shaunessy wcale nie przyjaznym tonem.

- Nie mam już dostępu do tych papierów, kapitanie - odparł zdecydowanie Devlin. - Zostały zabrane ze skrytki bankowej przez członków rodziny.

Nie czuł się dobrze, okłamując kapitana, ale sprawa podmienionej kasety sprawiła, że był bardziej ostrożny niż zwykle.

- Więc co to za lokalne powiązanie? - zapytał kapitan.

Kiedy Devlin zdawał relację, O'Shaunessy świdrował go wzrokiem.

- Zdaje się, że pogubił się pan w tej sprawie, poruczniku - oznajmił, kiedy detektyw skończył. - Nie chciałbym dojść do wniosku, że

497

pana podejście zostało wypaczone przez osobiste związki... _ A nie kończąc myśli. - Dziecko mieszka w Connecticut, więc tutejlega naszej jurysdykcji. A jedynych papierów, które mogą mieć znaczenie, nie może pan przedstawić.

Rozparł się w krzesło, wypinając z niezadowoleniem swoją pierś jak stroszący się gołąb.

- Ta sprawa w żaden sposób nie interesuje naszego posterunku poruczniku. Czy wyrażam się jasno?

- Bardzo jasno, kapitanie - odparł Devlin.

Widząc, że nie mowy o żadnych negocjacjach, wstał i ruszył do drzwi.

- Jest pan dobrym policjantem - rzucił kapitan, gdy Devlin był już przy drzwiach. - Tylko dlatego jestem gotów przeczytać te papiery, kiedy mi je pan dostarczy. A spodziewam się, że to nastąpi nie później niż dzisiaj wieczorem. I to jest rozkaz. Rozumie pan?

Devlin skinął głową i opuścił gabinet kapitała.

Był zadowolony z faktu, że Matka Immaculata błyskawicznie zareagowała na jego prośbę, by ukryć raport Fellowes'a gdzieś daleko od Chase Manhattan Bank.

- Myśli pan, że kapitan może być jednym z nich? - zapytał Gino, kiedy Devlin zrelacjonował mu na ulicy przed posterunkiem swoje spotkanie z O'Shaunessym.

Porucznik pokręcił głową.

- To, moim zdaniem, daleko posunięte podejrzenie, Gino... ale coś tu jest nie tak. Może chodzi o polityczny nacisk gdzieś z góry. Może ktoś mu kazał trzymać się z dala od tej sprawy.

- Więc po co chce papiery?

- Może to nie on sam, tylko ktoś inny.

- Na ile są bezpieczne tam, gdzie pan je ukrył?

- To zależy od tego, jak bardzo będą chcieli je znaleźć.

Devlin pomyślał, że nikt poza samym Szatanem nie jest w stanie znieść gniewu Immaculaty Stevens i niemal się uśmiechnął-

- Postanowiłem rozbić ich sabat, Gino. Maggie jest przekonana, że zabiją dziecko, a ja nie mogę pozwolić, by do tego doszło. Muszę przynajmniej spróbować im przeszkodzić. Jeżeli ja tam ydę, to może ona zostanie w domu.

498

Gino pokiwał głową.

K co pan powie na trochę wsparcia, poruczniku? Biorę to wyłącznie na siebie, Gino. Jedną potencjalnie złamanożariera całkiem wystarczy.

Niech pan zapomni o tych bzdurach, poruczniku - sprzeciwił

. Garibaldi. - Nie da pan rady wejść tam bez pomocy, więc niech nawet nie próbuje się ze mną spierać, tylko lepiej powie doładnie, na czym polega ten sabat. Mamy wziąć ze sobą własne skrzydła nietoperza i oko traszki?

_ Według Ellie, to będzie prawdziwa uczta. Biesiadowanie, być może orgia. Potem, około północy, materializacja. Dokładnie o jedenastej czterdzieści trzy... potrzebują jakiegoś rodzaju dokładnej astrologicznej konfiguracji, żeby zrobić swoje abrakada-

bra.

- Nigdy nie byłem na orgii - stwierdził Garibaldi z wesołym

uśmiechem. - Może opłaci się tam wybrać, jeżeli chociaż niektóre z tych wieźm wyglądają w miarę porządnie.

- Od kiedy one muszą wyglądać porządnie? - zapytał Devlin

z uśmieszkiem.

Doszli do samochodu i Garibaldi włożył kluczyk do zamka.

* * *

- Może pana dokądś podwieźć, poruczniku?

- Jadę do Maggie, żeby spróbować naprawić dziurę w płocie. Możesz mnie podwieźć na róg St. Lukę.

- Nie ma problemu.

Maggie zobaczyła migające światełko automatycznej s<*retarki. Podniosła słuchawkę, by wysłuchać gorączkowego głosu Amanay i automatycznie wybrała numer.

- Myślę, że wiem coś, co ty też powinnaś wiedzieć, moja droga - oznajmiła Amanda. - Trzydziestego ^etma^byc zwariowana impreza, i to nigdzie indziej tylko w po Vanniera. Bal kostiumowy, z ogromnie szykowną listą gości. Bardzo wyszukana banda koniokradów wystrojonych jak na majówkę, że tak to nazwę. Mój tato mówił „to jeszcze me trend, do-

499

póki nie zobaczysz czegoś dwa razy". Mam sześć nazwisk ludzi z twojej listy, którzy mają brać udział w tej potańcówce dla wyższych sfer.

To wszystko jest na razie sza-sza, bo nie chcą, żeby prasa do nich wpadła, więc mówi się o tym w odpowiednich kręgach po cichu... ale ze sporą zazdrością. To górna półka, kochanie... Same tuzy.

Dzięki Bogu, że Amanda ma takie kontakty - pomyślała Mag-gie, odkładając słuchawkę. - Może fakt, że to jest bal maskowy, będzie coś znaczył dla Ellie.

Przesłuchała jeszcze jedną wiadomość, która pochodziła od De-vlina.

- Proszę, uważaj na siebie, Maggie - powiedział po prostu. -Nie chcę musieć żyć bez ciebie.

- Bal maskowy, hm - powtórzyła Ellie, gdy Maggie opowiedziała jej o odkryciach Amandy. - Oczywiście! To jest Wielki Sabat. Pewnie każdy z nich wybierze Nom du Diable i przyjmie tożsamość jakiegoś wyznawcy czarnej sztuki z przeszłości. Tak to właśnie robią w Europie, Mags. Mogę się założyć, że to właśnie planują.

- A czy będą mieli maski? - zapytała gorączkowo Maggie. - Jeśli tak, to byłoby mi o wiele łatwiej dostać się tam niezauważenie.

Ellie zmarszczyła brwi.

- Może będą w maskach, a może nie. Najlepiej będzie, jeśli znajdziemy dla ciebie jakiś strój, który będzie dopasowany do ich stylu, ale mimo wszystko zapewni ci maksimum swobody ruchu. Żadnych długich sukni czy obcisłych spódnic.

- Nie było gdzieś w historii wiedźmy-włamywacza, która wspinała się po ścianach jak kot? - zapytała Maggie z nadzieją w głosie.

- Raczej nie. Ale było dużo kotów. Może mogłabyś wystąpić jako bogini Bast. Miała ciało kota i głowę lwicy. Mogłabyś ubrać się w odpowiedni trykot i pomalować sobie twarz tak, jak to robią do przedstawienia „Cats”. Byłoby cię wtedy trudno wypatrzeć.

500

- Czy Bast była na tyle zła, żeby się zakwalifikować?

- Nie bardzo, ale jest wymieniana w litanii wielu magicznych zaklęć w białej czy czarnej magii, więc wystarczy na ten sabat. Pamiętaj, że bogowie i boginie mogli robić, co im się do cholery podobało, czy to było dobre, czy złe... Więc nie sądzę, żeby ktokolwiek czepiał się życiorysu Bast. Szczególnie na Wielkim Sabacie, gdzie będzie dużo rozrywek: alkohol, narkotyki i seks we wszelkich wyobrażalnych odmianach. Wystarczy, żeby byli zajęci. Prawdę mówiąc, im bardziej skąpo będziesz ubrana, tym bardziej będzie im się to podobało.

- Ja pójdę jako Tanith, kartagińska bogini księżycy - dodała Ellie - dzięki temu nie będę musiała mieć na sobie za dużo. Może go-lizna sprawi, że nie będą się za bardzo przyglądać naszym twarzom.

- Chwileczkę, Ellie - zaprotestowała stanowczo Maggie. - Nie mogę pozwolić, byś poszła ze mną. To moja sprawa.

- Moja też, Mags. Zostałaś wysłana do mnie nie bez powodu, więc tkwimy teraz w tym razem. Może będę musiała pomóc ci nawiązać słowny kontakt na sabacie - znam ich żargon, a ty nie. Poza tym, nikt nie powinien wchodzić do piekła sam.

Co za idiota rozpowszechnił historię o tym, że kobiety są wobec siebie nieprzyjazne? - myślała Maggie, wracając do domu. - Prawda jest taka, że kobiety są jedynymi przyjaciółmi, którzy pomagają w życiu, tylko one szczerze oceniają i mówią człowiekowi, kiedy jest do niczego, w ciężkich czasach trzymają za rękę i zawsze nadchodzą z pomocą w kłopotach.

Całym sercem żywiła nadzieję, że Ellie nie zapłaci życiem za swoją przyjaźń.

Rozdział 80

Podczas rozmowy Harry Fisk rozglądał się w prawo, w lewo i za siebie. Kiedy tego nie robił, widać było wyraźnie, z jak napiętą

501

uwagą śledzi drogę przed sobą. Wybrał miejsce oddalone od mja sta, ale był wystarczająco długo w tej branży, by wiedzieć, że ni gdzie nie jest bezpiecznie, jeśli człowiek jest na celowniku. Ma razie nie sądził, żeby znalazł się w tej kategorii, ale nawy^ ostrożności nie jest czymś, czego się nabywa tylko na pewien czas.

Devlin szedł obok niego z rękami głęboko w kieszeniach. Wiedział, że Harry nie zadzwoniłby z prośbą o spotkanie o szóstej rano w lesie, jeżeli nie chodziłoby o przedyskutowanie niebezpiecznych tematów.

- A więc to się przedstawia w ten sposób - zaczął Fisk bez swoich zwykłych grzecznościowych wstępów. - Obydwaj nasi goście są chronieni przez każdą możliwą służbę wywiadowczą na ziemi. Wyświadczają wielkie przysługi wszystkim ważnym facetom i siedzą tak głęboko w dupie Waszyngtonu, że trzeba by mieć wziernik, żeby ich tam znaleźć.

- Chcesz mi powiedzieć, że nikogo nie obchodzi, że zjadają dzieci na kolację, już nie mówiąc o całej reszcie bagna?

- Chcę ci powiedzieć, że nikogo nie będzie obchodziło, czy robią z dzieci przystawki na przyjęcie na trawniku Białego Domu, pod warunkiem, że zachowają dyskrecję w tej sprawie i nikt się o tym nie dowie. I pod warunkiem, że Vannier i Sayles będą robili dalej to, co robią na rzecz lewych operacji wykonywanych przez nich wszystkich. Do diabła, każdy ukrywa jakieś mroczne sekrety, tak sobie to tłumaczą, więc co za znaczenie ma odrobina czarnej magii wśród przyjaciół?

Devlin zatrzymał się.

- Nie wierzę, kurwa, że ktokolwiek może mieć w tym kraju tego rodzaju tajną władzę, Harry.

- Bądź dorosły, Malachy! - odparł twardo Fisk. - Kennedy nie zabił się sam, jak wiesz. I z tego, co ostatnio się zorientowałem, nikt za to jeszcze nie zapłacił.

Devlin wziął głęboki oddech, usiłując zapanować nad swym gniewem.

- A handel narkotykami? Może dałoby się namówić DEA, że

by najechali na ten sabat?

502

_ i co znajdują? Kupę gołych bogatych facetów, palących skręty dychających działki? Rzeczywiście, byłoby

to bardzo niezręcz-Przez dziesięć minut, dopóki nie uruchomią kontaktów i nie za-ie dzwonić dużo ważnych ludzi. Niespodziewanie sprawa nie fi do gazet „ze względu na interesy bezpieczeństwa narodowe-0" a szef policji, któremu podlega ten teren, dowie się, że „powinien się zająć innymi sprawami, które są o wiele pilniejsze". I może każdy, kto zacznie coś mieszać, dowie się, że będzie uznany za zdrajcę ojczyzny, jeśli powie to, co wie. Jak ci lekarze w Dallas Memoriał Hospital, którzy zostali tak kurewsko przestraszeni przez FBI, że jeszcze po trzydziestu latach boją się jak diabli. Harry kopnął leżący na ziemi kamyk.

- Czyje pieniądze, jak myślisz, utrzymują teraz banki, Malachy? To pieniądze z narkotyków. Wycofaj je i połowa bankierów w Ameryce pójdzie na zieloną trawkę. Czy myślisz, że nie mogli byśmy powstrzymać napływu narkotyków, gdybyśmy naprawdę tego chcieli? Pomyśl! Każdego piątku walizki pełne pieniędzy trafiają do senatorów, sędziów i dowódców policji w całym naszym pięknym kraju, po to tylko, żeby coś takiego się nie stało.

Devlin musiał jakoś rozładować swoją wściekłość.

- Więc co mi, kurwa, mówisz, Harry? Że powinniśmy się położyć i udawać zabitych, bo nie można walczyć z władzą? A może powinniśmy przestać uganiać się za złymi ludźmi, bo jest ich więcej niż nas? A z czym zostają tacy ludzie, jak ty i ja, Harry? Z palcami w dupie?

- Z palcami w grobli kanału, Malachy. Powstrzymujemy powódź tam, gdzie się da. Zatykamy małe dziurki, żebyśmy mogli spać w nocy, myśląc o tym, że dokonaliśmy dobrego uczynku w brudnym świecie. I to mi wystarcza. Jeżeli dam się, kurwa, zabić, bo będę próbował robić coś, co jest nie do zrobienia, to te Wszystkie drobne pęknięcia, które mogłem zatkać palcem, w końcu doprowadzą do rozwalenia grobli. Wiesz, o co chodzi, równie dobrze jak ja, Malachy. Człowiek robi to, co potrafi, kiedy jest w stanie to zrobić, a nie rzuca się bez przygotowania na kruczatę, która może go kosztować jaja, bo wtedy nie przyda się już nikomu.

503

Nie da się pokonać tych ludzi, Devlin. Nie za naszego i

imię brzmi „Jegior” , ary, całkiem jak w Biblii. Więc musisz ^

Ich

co się da, żeby oo droł. „• wyrównać wynik, i musisz starać T^' zostać przy życiu, - żel,, powalczyć

jeszcze jeden dzień. 'Po~

- Wiesz, Harry V, to „szystko to takie egoistyczne pieprzeni

do czego to prowa<adzi >

- Na tym pole^ga u N ścig szczurów, Malachy.

- Tak. To wystarczające wyjaśnienie, jeśli się chce być szCzu. rem, Harry, ale nie-ewy.starczające, jeżeli to człowieka chociaż trochę obchodzi. Wiesz, co myślę? Miałem w college'u profesora etyki który mawiał: „ki&eruję się taką prostą zasadą: czy Superman by to zrobił? Robię tak, bo wszystko, z czym on się kojarzy, czyni świat lepszym". On się t^ak bardzo nie mylił, Harry.

Harry Fisk pars" skną) ironicznym śmiechem.

- Jesteś stuknięty sukinsyn, Devlin, wiesz o tym? Jak ci się zda je, że możesz odgśnywać Supermana, to trzymaj się budki telefonicznej, żebyś mógł do niej zwać, bo w prawdziwym świecie bohaterowie dostają Kulę.

Devlin zatrzymał się i odwrócił twarzą do przyjaciela.

- Jest taka sztuka „A11 My Sons", Harry - powiedział śmiertelnie poważnie. - W' tej sztuce ojciec robił dużo złych rzeczy i jego chłopak zaczął tracić do niego szacunek, więc ojciec mówi do niego: „Synu, nie jestem gorszy niż wszyscy inni". A chłopak patrzy na niego i mówi: „. Wiem. tato. Ale ja myślałem, że jesteś lepszy".

Pamiętam ciebie z czasów, zanim zostałeś cynikiem, Harry. I pytam cię po raz ostatni, c/.y nie ma ani jednej rzeczy, którą byś, kurwa, mógł zrobić dla mitie w tej sprawie?

Harry Fisk zamilkł i, a dłuższą chwilę, wpatrując się w Devlina.

- Jest jeden facet o nazwisku Rafi Abraham - powiedział w końcu głosem pełnym jakiejś emocji, której Devlin nie słyszał do tej pory. - Jestem prawie pewien, że stoi na czele ekipy Mossadu, która zajmuje się tą sprawą- Ma wobec mnie pewien dług i jest dość porządnym człowiekiem, biorąc pod uwagę specyficzne standardy

mojego fachu. Postaram się go namówić, żeby jego chłopcy nie odstrzelili cię w trakcie swojej roboty.

Spojrzał poza Evelyną. obserwując drogę.

504

- st kierowana przez pułkownika Hamuła. Nie-
rrupa egiPskaJ6S\]:Zcl nie lub! mnie bardziej niż ja jego
" H suKinSyn' " Abr^am więc stawiałbym na to, że Rafi
* ZS tak! ^ J8k^S dodał: - To wszystko, co mam

^^^~USZUCAłkiemjakJimmy01SON'

li**** winien rewanz, Harry - stwierdził z powagą Devlin_

I jestem ci wimenJ ^.^ wyświadczyć mi zadnej

N° ^Z wtc uważaj na swoją idealistyczną irlandzką rzystugl mezywy, «* ^ e i każdy pojechał z powrotem do miasta inną drogą.

Rozdział 81

Maggie usiłowała oddać się medytacji w bibliotece, gdy Maria

Aparecida zapukała delikatnie do drzwi. ^

- Dona Maggie - powiedziała - ksiądz. Mówi,

nią zobaczyć. rozmawiała z Pete-

Maggie, zaskoczona podniosła wzrok. m

„już po wszystkim" - pomyślała * MagP"g° ala

Przez jakąś osmozę właściwą służącym, Mam zaw o wszystkim, co się działo w domu, nawet podczas jej

Ści- • „u WPid7ie - odparła, zadając sobie

- Proszę, powiedz mu, "-hJ^ ^^ które kazde

w duchu pytanie, w jaki sposób przełamia

z nich czuło po ostatnim spotkaniu. zapragnęła

Usłyszawszy na schodach znajomy odgłos kroków, p

505

przez chwilę być w jakimkolwiek innym miejscu.

Peter stanął w drzwiach, jakby nie chciał przestąpić progu. Miał znużoną twarz o podkrążonych oczach, i opadłe, jakby ogromnie przeciążone ramiona.

- Nie miałam odwagi do ciebie zadzwonić, Peter - powiedziała, napotykając jego wzrok. - Dlatego, że nie wiedziałam, co po. wiedzieć.

- Droga Maggie... - zaczął.

Słyszała w jego głosie miłość i ogromne napięcie.

- Proszę, nic nie mów, dopóki mnie nie wysłuchasz. Mam ci tak wiele do powiedzenia, ale nie mam pojęcia, czy wystarczy mi odwagi, by powiedzieć chociaż połowę.

Zaczerpnął tchu i wszedł do pokoju. Zobaczyła, jak rzuca okiem na swój ulubiony fotel, ale postanowił rozmawiać z nią, stojąc.

- Mogę się tylko modlić, Maggie, żebyś zrozumiała, co na prawdę chcę powiedzieć, ale jeśli moje słowa będą całkiem nieadekwatne, musisz wysłuchać mnie sercem.

Skinęła głową w oczekiwaniu.

- Kiedy się spotkaliśmy, już przeżywałem kryzys, kryzys, którego nigdy nie miałem odwagi ci wyjaśnić... a może po prostu nie wiedziałem, jak to zrobić. Teraz zaczynam sobie uświadamiać, że muszę postarać się, byś zrozumiała... bo jeśli nie, to nigdy nie będziesz wiedziała, co mam w sercu.

Wziął kolejny głęboki i bolesny oddech.

- Celem dla każdego księdza jest Chrystus, Maggie... To jest ten niemożliwy do osiągnięcia ideał, do którego dąży. Ksiądz po

strzeża instytucję Kościoła jako wyraz obecności Chrystusa na ziemi. To Kościół daje mu siłę przez jego kapłaństwo... Kościół dostarcza wiedzy, na której się opiera i łaski, z której czerpie dla wzmocnienia ducha.

Uczono nas, że Kościół jest matką, Maggie, wieczną karmicielką, która wspomaga lub gani wedle potrzeby, ale której miłości możemy być zawsze pewni.

Peter przemieszczał się teraz, nie tyle chodził, co przemieszczał niespokojnie z miejsca na miejsce, popychany siłą wspomnień.

- Kiedy nastał mój kryzys i sumienie sprowadziło mnie na dziwną ścieżkę... zadawałem sobie istotne pytania na temat tego, na ile ta

506

matka naprawdę jest karmicielką. „Nawet kiedy się myli, to ma rację” - jak uczą w seminarium... Kościół może się mylić w pewne chwile, ale zaraz potem może mieć rację, więc należy trwać przy nim, bo to jest najwyższy akt wiary. Jednak zostałem zepchnięty na manowce i już nie byłem w stanie dokonać tego aktu wiary.

Czy podążam za Chrystusem, kierując się swoim sumieniem. czy po prostu zachowuję się z pychą i uporem, kiedy sprzeciwiam się moim przełożonym? Czy poddawałem się, czy też wyrażałem opór, pisząc „Długą drogę z Kalwarii”? Czy byłem na tej słynnej drodze do piekła, która jest wybrukowana dobrymi chęciami? A może walczyłem z rozczarowaniami na drodze do nieba? Był blisko postradania zmysłów. I byłem całkiem sam. Przerwał znacząco, wyraźnie wstrząśnięty.

- Kiedy po raz pierwszy do mnie przysłałaś, Maggie, miotak i się właśnie w tej przeraźliwej samotności...

- Mam nadzieję, że nie chcesz powiedzieć, Peter, że bylin przejściowym portem wśród eklezyjastycznego sztormu - powiedział lodowatym tonem. - To byłoby niegodne i okrutne.

Zatrzymał się, porażony jej słowami.

- Na Boga, nie! - wyrzucił z siebie. - Mówię, że zostałaś... , -

ślana przez niebo, Maggie. Nie widzisz tego: cały czas myślałem

że cię ratuję, ale to ty ratowałaś mnie!

Twoja wiara jest absolutnie czysta. Nie wypływa z teologii dialektyki albo z dwóch tysięcy lat duchowej

mocy Rzymu. W\ ;<. wa z miłości do Boga! Pierwiastek żeński, Maggie! W każdej rtii-gii najwyższy jest pierwiastek kobiecej siły. Każdy kapłan o -wie, ale my zapominamy! Żyjesz wiarą w tak bezinteresowny sób... to właśnie mi pokazałaś! Pomimo wszelkich moich intelektualnych osiągnięć, mojej gry w szachy Dobra i Zła, mojego har-,t-tyzowania, które wplątało mnie w koła poruszające inne kok n wszystko było bezużyteczne. Umierałem, ponieważ byłem ireic-ziony w paradoksie. Ale ty byłaś wolna!

Och Maggie, moja Maggie, czyż tego nie widzisz? Krótko i>> więc, powiedziałaś mi: „Do cholery, przestań gadać i zrób co spokoj tym paradoksom i ratuj dziecko. Żeby uratować Cod) ae wystarczy dyskusja, to walka na śmierć i życie. Rusz się! To vh-

507

śnie jest najwyższym aktem wiary". Wstrząsnęłaś mną, powodując że zrozumiałem.

Ty nie jesteś prosta, Maggie, ale twoja wiara tak. „Jeśli potra. fię żyć w zgodzie z własnym sumieniem - mówiłaś mi na tysiąc różnych sposobów - i robić, co tylko mogę dla wszystkich wokół mnie, to jestem po stronie Boga. Staram się być uczciwym człowiekiem i czynić dobro na świecie w małych i wielkich sprawach. Staram się nigdy nikogo nie krzywdzić i zawsze kochać Boga. To jest wszystko, co jestem w stanie robić, i biorę na siebie pełną odpowiedzialność za to, co robię. Ale nie mogę ugrzęznąć w trzęsawisku teologii. Nie mogę pozwolić na to, żeby Kościół za mnie myślał, bo to nie jest to, czego Bóg ode mnie wymaga. Nie obchodzi mnie, czy to jest intelektualna pycha albo czy ignoruję wspólnotę myślicieli liczącą dwa tysiące lat. Odróżniam dobro od zła, a jest dobrem ratowanie dziecka, nawet jeśli mam przy tym zginąć". To właśnie mi powiedziałaś, zarówno w słowach, jak i w uczynkach.

Spojrzała w jego szare oczy, by zagłębić wzrok wprost w jego duszy.

- Sprawiałaś, że pogodziłem się z życiem na jego warunkach, Maggie. Nie na moich. I nagle przypomniałem sobie... że Chrystus objawia człowieczeństwo, a nie jedynie boskość, i że nieodwołalnie łączą jedno z drugim. To jedna z wielkich tajemnic wiary... i właśnie ją zobaczyłem w tobie.

Byłaś strażniczką mojej przemiany, a nie tylko Cody. Byłaś współczującym świadkiem i katalizatorem.

Kairos! Taki moment w życiu, kiedy sens nadchodzi z przyszłości. Kiedy trzeba postanowić, czy jest się w stanie zaakceptować ryzyko nieznanego... przyjęć wyzwanie tego, co nigdy nie było twoim planem.

Bez ciebie, Maggie, nie byłbym w stanie powiedzieć „tak" temu kairos. Nie byłbym w stanie powiedzieć: niech się tak stanie teraz, Panie.

W życiu Chrystusa były kobiety, które wcielały w życie boski plan, podczas gdy mężczyźni psuli wszystko albo z rozpaczy, albo starając się ochronić samych siebie... Nie wiem, dlaczego tak trud-

508

;eSt nam zapamiętać, że kobiety posiadają zdolności tak odmienne i często potężniejsze niż nasze własne.

Maggie spojrzała na niego; zrozumiała nagle tak wiele.

_ Kochasz Boga, który cię powołał - rzekła cicho. - Jeśli pomogłam ci z powrotem znaleźć drogę do Niego, to ciesz się bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

_ Jak mógłbym cię nie kochać, Maggie? - zapytał Peter tak żałośnie, że łzy stanęły jej w oczach. - Zwróciłaś mi moje kapłaństwo... i mnie samego.

Widziała, jak boryka się z emocjami. Opuścił głowę i powiedział z niezmiernie głębokim westchnieniem.

- A ja w zamian domagałem się od ciebie tego, czego nie byłaś gotowa dać.

Chciała zaprotestować, ale uciszył ją pełnym bólu gestem.

- Wiem już, Maggie, że nie jesteś zakochana we mnie... nie w tym wcieleniu. Ani ja w tobie. Wiem także, że kochamy się nawzajem w bardzo istotny sposób. Jesteśmy nawzajem częścią swojego duchowego rozwoju, to jasne. I istnieją niewytłumaczalne powiązania z przeszłości, które zdają się nas oplątywać, wprowadzać w konfuzję...

Ale nie ma wątpliwości co do tego, że jestem twoim przyjacielem, Maggie. A ty jesteś moim. Więc proszę cię, byś mi pozwoliła teraz ci pomóc. Jestem bez wątplenia tak samo wezwany do tej walki, jak ty i Cody, i muszę stanąć do niej po twojej stronie.

Zaczerpnął kolejny, pełen bólu oddech i dodał z wielką powagą:

- Jeśli chodzi o nasze „inne wcielenie”, Maggie... to, kto wie, w jaki sposób Bóg pozwala nam dążyć do domu? Całym sercem żywię tylko nadzieję, że gdzieś w innym czasie wolno nam było kochać się nawzajem.

Stanął przed Maggie, a ona zatrzymała wzrok na jego oczach, badając je.

Kim jesteś dla mnie? - pytało jej spojrzenie. - Jakie były lekcje,

których jedynie ty mogłeś mi udzielić?

Musisz być gotów oddać wszystko Bogu i niczego nie oczekiwać -jak powiedział kiedyś ktoś... ktoś, kto był świadom.

509

Patrzyła teraz na wszystko z dziwnie dalekiej perspektywy... tak. jakby jej świat skupił się na Cody i na jutrzejszej nocy, a wszystko inne wyblakło na obrzeżach jak stare zdjęcia. Pomyślała, że to zna-czy, iż umrze.

- Sądzę, że ogarnia nas tajemnica, która nas przerasta - odpo-
wiedziała, ostrożnie dobierając słowa. - Może jest głupią arogancją
z naszej strony wyobrażać sobie, że kiedykolwiek bylibyśmy w sta-
nie pojąć, czego od nas oczekiwano lub dlaczego tak było.

Jesteś moim najdroższym przyjacielem, Peter, i czuję, że zawsze nim byłeś. Niezależnie od tego, jaka czeka nas walka, byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś przystąpił do niej ze mną.

Widziała w jego oczach tylko dobroć i szczodrość ducha i cieszyła się tym, że go kochała. Nie było ważne, czy to trwało krótko, czy długo i z jakiego powodu, który daleko przekraczał jej zrozumienie. Teraz pozostało im jeszcze naprawienie tego, co ich łączyło.

- Chcę cię poprosić o pewną przysługę - oznajmiła cichym i spokojnym głosem.
- Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego dłoni. Jej gest był pełen miłości.

- Czy wysłuchasz mojej spowiedzi, ojcze? - zapytała cicho.

Peter zastygł bez ruchu, zaskoczony jej prośbą, a potem przykląkł przy krześle. Słuchając, jak ona oczyszcza swe serce, być może w przeddzień śmierci, pomyślał, że nie jest takie pewne, kto komu powinien udzielać rozgrzeszenia.

* * *

Peter otworzył tom na ustępie szóstym listu świętego Pawła do Efezjan. Od opuszczenia domu Maggie niektóre słowa listu same pojawiały się w jego myślach, ale musiał przypomnieć sobie pozostałe.

(...) Nie toczymy bowiem walki przeciw krwi i ciału, lecz przeciw Zwierzchnościom, przeciw Władzom, przeciw rządcom świata tych ciemności, przeciw pierwiastkom duchowym zła na wyżynach niebieskich. Dlatego weźcie na

siebie pełną zbroję Bożą, abyście w dzień zły zdołali się przeciwstawić i ostać, zwalczycywszy wszystko.

Właśnie do tego doszło. Wiedział to. Do momentu, kiedy trzeba stanąć do walki. To był najlepszy sposób i jedyne.

Gdzieś, w jego myślach, rozbrzmiewały słowa Ellie: „Jeżeli obiecano bóstwu ofiarę - przypomniła mu - to taka ofiara musi być złożona. To jest uniwersalna prawda. O wiele starsza niż chrześcijaństwo”.

Ojciec Peter wziął święconą hostię i zamknął ją w pudełku, które brał ze sobą, kiedy udzielał ostatniej posługi. O ile istniała na ziemi jakakolwiek substancja, która miała moc przeciwstawienia się nawet najpotężniejszemu złu, to był nią Najświętszy Sakrament. „Z nim możesz wejść bez obaw do samego piekła” - mawiał w jego studenckich czasach jego ulubiony profesor teologii. Peter uśmiechnął się na myśl o tym człowieku... co by pomyślał, gdyby wiedział, że jego słowa zostaną wkrótce poddane rygorystycznemu sprawdzianowi?

Pościł od rozstania z Maggie i trochę kręciło mu się w głowie, może dlatego, że tak wiele godzin spędził na kolanach. A może z powodu ogromu tego, co zamierzał uczynić.

Zmusił swój umysł do spokoju, by móc przemyśleć wszystko, co go czeka, i to, jakimi narzędziami musi walczyć. Sprawdził, czy ma w kieszeni mały, oprawny w skórę tomik „Rzymskiego rytuału egzorcyzmów”; znał większość tekstu na pamięć, ale czuł się lepiej, mając książkę ze sobą.

Następnie ucałował nabożnie purpurową stulę i umieścił ją w kieszeni razem z buteleczkami święconej wody i najświętszego oleju. Już wcześniej schował tam krzyżmo używane podczas chrztu, na wypadek, gdyby ośmielili się przechrzcić dziecko, oddając je Szatanowi. Mógłby przywrócić je z powrotem wierze Chrystusa.

Przeżegnał się i ukląkł zwrócony twarzą do wielkiego prostego krucyfiks, który matka dała mu przy wyświęceniu. Nie miał wątpliwości, że na uroczystości nocy Walpurgii dojdzie do złożenia ofiary. Nie zamierzał jednak dopuścić do tego, by tą ofiarą była Cody lub Maggie.

Maggie klęczała przed ołtarzem w pustym kościele, modłą gorąco o odwagę. Czowała się dziwnie spokojna... po raz pierwszy ^ czasu, kiedy zaczął się ten koszmar. Tak głęboki strach zmus człowieka do pozbycia się niepotrzebnych osadów z duszy, <j0 0H krycia raz na zawsze, kim naprawdę jest... i ona tego dokonała. 2 stanawiała się, czy tak czuli się dawni chrześcijanie w drodze na arenę, gdzie czekały lwy.

Całe życie dokonało się w ciągu trzech miesięcy. Nie jestem ta Maggie „sprzed”. Kim jestem teraz?

Wpatrzyła się w posążek Najświętszej Matki, starając się ją pO_ znać taką, jaką naprawdę była... królową świata, jak Izolda, a nie jakąś kluchowatą dziewicą, jaką pamiętała ze swojej edukacji w katolickiej szkole. Nie pozbawioną życia i płci, białą w swej czystości jak opłatek, ale prawdziwą Maryję, taką, jaką z pewnością była. Silną, pełną życia i zdecydowaną. Odważną ponad ludzką miarę. Zdolną do tego, żeby urodzić dziecko w stajni... żeby wychowywać chłopca, który miał zmienić świat bardziej niż jakikolwiek król lub armia... zdolną do tego, by stać u stóp krzyża i patrzeć, jak jej dziecko umiera w cierpieniach. Silniejszą i bardziej nieustraszoną niż silni mężczyźni, jego przyjaciele, którzy na koniec go opuścili.

Czy ona była również Izolda? - pytała w myślach, wpatrując się w posążek ukoronowany gwiazdami. - Przedwieczną Matką? Królową niebios? Może po prostu nosiła inne imiona i ubiory w różnych epokach, jednak nadal ucieleśniała sobą wszystko, co było uniwersalnym żeńskim pierwiastkiem?

Jeżeli istniejesz, najdroższa Matko, gdziekolwiek w kosmosie... proszę, wysłuchaj mojej modlitwy!

Była zadowolona z tego, że nadszedł czas działania. Zadowolona z tego, że w końcu może podjąć walkę. Może to było właściwe, może walka o dziecko, które jest w niebezpieczeństwie, jest wszystkim, co kobiety robiły od zarania czasów. Maggie wstała, przeżegnała się i wyszła z kościoła.

512

el Abraham podniósł shichawkę telefonu podłączonego Raphatnei linii: z drugiej strony usłyszał głos rabina.

d° pryWz idź do mnie teraz, Rafi - powiedział starzec bardzo wy-'. ^Nadszedł czas, byśmy wykonali swoją pracę.

^cótózapracrebe?

' Nie zadawaj głupich pytań, chłopcze. Rob, co mówię - dodał

. słuchawce rozległ się przerywany sygnał.

mej nocy to już było za wiele.

Sprawdził broń, którą miał w kaburze pod pachą, i ruszył zdecydowanie do drzwi.

' Abraham zaklął cicho Pod nosem. Druga zmiana planów tej sa-

Rozdział 82

Devlin wsunął do kabury glocka i wrzucił do kieszeni kilka zapasowych magazynków. W tej sprawie nie mógł liczyć na pomoc przełożonych i nie miał złudzeń co do tego, że Erie bez wahania odwoła się do przemocy. Dlatego glock kalibru 9 mm z magazynkiem mieszczącym siedemnaście naboju był lepszy niż jakikolwiek rewolwer. Skąd mógł wiedzieć, jakiego rodzaju armię najemników może mieć na swoje

rozkazy Vannier? On i Garibaldi stanowili cały oddział kawalerii, na który mogła liczyć

Maggie.

Miał już otworzyć drzwi, gdy rozległ się sygnał dzwonka, zaskoczony spojrzął przez wizjer i zobaczył przed drzwiami dwóch umundurowanych policjantów z jego posterunku: Nasha i Schmidta. Nie znał bliżej żadnego z nich, ale wiedział, kim są.

- Wiadomość od Garibaldiego, poruczniku - oznajmił Nash. -

Powiedział, że to pilne.

Devlin odsunął rygiel i nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadli obydwaj potężni mężczyźni z bronią w ręku.

513

- Zabierz mu gnata! - polecił Nash i Schmidt wyrwał jego g]0c. ka z kabury. - Co pan jeszcze ma, poruczniku? - zapytał, obszuku-jąc Devlina w poszukiwaniu zapasowej broni.

- O co, kurwa, chodzi? - krzyknął Devlin.

- Kapitan nie chciał, żeby się pan dzisiaj wieczorem wpakował w kłopoty, poruczniku. Mówi, że coś się panu pomieszało przez jakąś panienkę, więc nie chce, żeby pan wpychał nos tam, gdzie nie trzeba.

- Sukinsyn! - warknął Devlin, wściekły, że nie był bardziej ostrożny po dziwnym zachowaniu kapitana.

- Zabijecie mnie, Nash? - zapytał. - A może zdaje się wam, że nie powiem o tym jutro ani słowa i będziecie mogli po prostu zapomnieć, że to w ogóle miało miejsce?

Nash uśmiechnął się.

- To nie będzie miało znaczenia po dzisiejszej nocy, poruczniku. Kapitan mówi, że do rana to wszystko będzie historia. Nawet jeśli będzie pan kłapał gębą, kogo to będzie obchodzić? Pana słowo przeciwko naszemu.

- To nigdy nie przejdzie, dobrze o tym wiecie - odparł Devlin, rzucając okiem na zegar na przeciwległej ścianie.

- No dobra, więc skąd można wiedzieć, że nie przytrafi się panu jakiś tragiczny wypadek podczas służby?

Schmidt pchnął Devlina brutalnie na kuchenne krzesło i spiął mu z tyłu ręce kajdankami. Porucznik patrzył z rosnącym niepokojem, jak minuta upływa po minucie, wściekając się na własną głupotę i rozmyślając, czy Gino jest w takich samych opałach,

Tuż przed dziesiątą jakiś dźwięk na korytarzu zwrócił uwagę obydwu policjantów. Nash dał ręką znak Schmidtowi, by sprawdził, co się dzieje. Schmidt mruknął potakująco, wy dobył rewolwer i wykradł się na zewnątrz, a Nash zamknął za nim drzwi.

Mijały kolejne minuty, ale zza drzwi nie było nic słychać. Nie było też śladu Schmidta.

Zegar odmierzył dwanaście minut. Potem piętnaście. Devlin patrzył, jak Nash robi się coraz bardziej niespokojny. W końcu, zbyt zaniepokojony, by usiedzieć spokojnie, uchylił drzwi i zawołał po nazwisku swojego partnera.

514

Nagle do mieszkania wpadło czterech uzbrojonych po zęby mężczyzn a Nash runął do tyłu z trzaskiem łamanych kości. Devlin wiedział, że policjant nie żyje, zanim jeszcze uderzył o podłogę.

Wywrócił się z krzesłem, by odsunąć się z drogi, uderzając boleśnie o podłogę, gdyż kajdanki uniemożliwiły mu złagodzenie upadku. Za czwórką komandosów wpadł do środka krępy mężczyzna o ciemnej cerze. Zamknął za sobą delikatnie drzwi i zatrzymał się, dokonując przeglądu wnętrza. Widać było, że to on dowodzi i że jest zawodowcem.

- Jesteśmy po tej samej stronie, poruczniku Devlin - powie
dział z wyraźnym izraelskim akcentem. - Nazywam się Abraham.
Jeżeli zechce pan się do nas przyłączyć, to pojedziemy razem na tę
samą imprezę.

Dał znak jednemu ze swoich ludzi, żeby rozpiął mu kajdanki. Devlin wstał, pocierając nadgarstki, by przywrócić w nich krążenie krwi.

- Pewien człowiek o nazwisku Fisk wstawił się za panem - wyjaśnił krótko Abraham. - W moim fachu odnosimy się z szacunkiem do interesów innych. Nie mamy zamiaru wyrządzić krzywdy tej kobiecie ani dziecku, poruczniku, a ta kobieta wierzy panu. To może się nam przydać.

- A to się może przydać panu - dodał, zwracając Devlinowi jego broń, jakby chciał udowodnić swoje dobre zamiary.

Porucznik sprawdził broń i umieścił ją w kaburze.

- Mamy tutaj trupa i pewnie drugiego w korytarzu - powiedział spokojnie.
- Ekipa od sprzątnięcia zajmuje się odpadkami - odparł zdecydowanie Abraham. - Mamy napięty plan, poruczniku. Proponuję ruszać.

Po chwili wsiedli do stojącego przed domem mikrobusu, który ruszył w kierunku autostrady 1-95.

- Jeśli się pan martwi o swojego przyjaciela, Garibaldiego - po
wiedział krótko Abraham - to go mamy. Będzie trzymany przez
resztę nocy w bezpiecznym miejscu.

* * *

515

Konwój złożony z jednego samochodu osobowego i kilku różnych mikrobusów mknął trasą New England Thruway w drodze do Greenwich. Izraelczycy zabrali ze sobą rabina jeszcze przed zatrzymaniem się w domu porucznika. Kiedy Devlin wsiadł do pojazdu przedstawił się starcowi, zadając sobie w myślach pytanie, co on ma wspólnego z tą skomplikowaną zagadką.

Przywiązanie do porządku Abrahama cierpiało na myśl, że do jego ekipy dołączyło dwóch cywilów. Detektyw pewnie mógł sobie dać radę pod kulami. Ale ten rebe... skąd można było wiedzieć, co może zrobić rebe?

- Musimy omówić to, co się wydarzy - powiedział starzec cicho
po hebrajsku, jakby śledził myśli Abrahama.

- Skoro to ty zadzwoniłeś do mnie, rebe, to czy mam zakładać, że wiesz o czymś, czego ja nie wiem? - odparł Abraham ironicznie.

- Okazuje się, że dusza dziecka jest uwięziona przez złe duchy - odparł rabin, nie zwracając uwagi na jego ton. - Można je na razie określić dybukami. Muszę pracować nad tym, by ją uwolnić za pomocą sposobów, których ty nie zrozumiesz. Inni sojusznicy dziecka też zostaną wezwani. Nie będę pracował samotnie.

Abraham przyjął to do wiadomości. Nie było sensu spierać się z tym człowiekiem, jeśli nie zachodziła taka konieczność.

- A jeśli chodzi o amulety?

- Powiedz mi coś - powiedział starzec, wpatrując się w Abrahama w półmroku wnętrza pojazdu. - Czy myślisz, że ludzkość, taka jaką znasz, jest dostatecznie rozwinięta, by dać sobie radę z mocą, która jest podobno zawarta w tych amuletach?

Abraham odwrócił wzrok od niepokojących oczu rabina i spojrzał na swoje dłonie.

- Nie jest moim zadaniem spekulowanie na takie tematy, rebe. Jestem żołnierzem. Wykonuję rozkazy.

- Ach - mruknął rebe - dajesz mi taką odpowiedź? Jak dobry Niemiec? Zadałem ci pytanie!

Abraham odchrząknął, ale nadal miał ochryply głos. Rzucił okiem na Devlina, aby się upewnić, że detektyw nie rozumie ich rozmowy.

516

- Ludzie są głupi - powiedział. - Nikt nie może posiadać takiej mocy i pozostać nie zepsutym.

- Więc dostałeś rozkaz, żeby poprosić mnie o zniszczenie kamienia Sechmet i dostarczenie Amuletu Izidy do Izraela.

Abraham chciał zapytać, skąd rabin to wie, ale ten go ubiegł.

- Powiem ci, dlaczego to się nie może stać. Musimy zakładać, że Bóg pozwala istnieć złu, ponieważ dzięki temu człowiek może sam wybierać, w którym kierunku ma pójść jego dusza. Jak człowiek mógłby skorzystać ze swej wolnej woli bez istnienia zła? Jak można by mierzyć jego drogę do Boga, bez konieczności walki ze złem?

Świat, ten tutaj, i inne, o których nie wiesz, są utrzymywane w delikatnej równowadze zaplanowanej przez samego Boga. Nie możemy przypuszczać, że spiszemy się lepiej niż On. Nie możemy usuwać z tych światów tego, co On w nich umieścił.

Ton rabina nie dopuszczał jakiegokolwiek sprzeciwu.

- Jeżeli nie chcesz zniszczyć amuletu zła, rebe - odparł ugodowo Abraham - to zabiorę je obydwu do Izraela. To zapewni równowagę.

- Ach - westchnął rabin. - Rozważmy ten pomysł. Przypuszczalnie, jeżeli amulety w ogóle istnieją, to należą do Wyścanniczki Izidy. Wykradniesz je od niej, żeby wykonać swoje rozkazy? A może zabijesz dziecko i jego babcię, żeby je zdobyć? A może po prostu je uwięzisz, by mieć gwarancję działania tych magicznych zabawek? A po tym, jak już zdobędziesz te skarby, przekażesz je ludziom z rządu i będziesz spodziewał się, że wykorzystają je w słuszny sposób? Pytam cię, Rafi, o konsekwencje takiego czynu. Czy ten rząd pozostanie u władzy na zawsze? Czy Izrael wykorzysta amulety do zniszczenia swoich arabskich sąsiadów, tylko dlatego, że ma takie możliwości? Jeśli tak, to co jeszcze może zniszczyć? Czy ty, Raphael Abraham, ufasz, że będą wybierać mądrze, jeśli moc do tej pory zastrzeżona dla Boga znajdzie się nagle w rękach Knessetu? I jeśli Izrael już nie będzie musiał się obawiać o swą egzystencję, to powiedz mi jeszcze coś: czy myślisz, że będzie taki sam, jeśli chodzi o siłę, odwagę i wytrzymałość? A może zmieni i ulegnie rozkładowi?

- Nie znam odpowiedzi na te pytania, rebe - odparł głęboko zmieszany Abraham.

- Nie znasz odpowiedzi? - powtórzył rabin z patriarchalnym dostojeństwem. - Czy znasz kogokolwiek, kto zna te odpowiedzi?

- Nie znam odpowiedzi na tak głębokie pytania, rebe - odparł Abraham, trzymając się kurczowo jedynej rzeczy, którą wiedział na pewno. - Ale dostałem zadanie do wykonania. Jeżeli jego wykonanie jest w mojej mocy, muszę to zrobić. Taki jestem. Tym jestem.

- Jesteś tego taki pewny, Rafi? - zapytał rabin, więżąc go spojrzeniem, w którym była może odrobina współczucia. - Człowiek jest tym, kim jest... nie tym, kim był - powiedział i przeniósł wzrok na drogę przed samochodem.

- Musimy się śpieszyć - rzucił rozkazująco. - Teraz liczy się czas.

Powiedziawszy to, zamknął oczy i przez resztę podróży tkwił zatopiony w myślach, a może w modlitwie.

Rozdział 83

Imitujące futro lwicy nakrycie głowy ze sklepu Brooka było wygodniejsza niż Maggie się spodziewała. Sprzedawca wręczył jej pisemną instrukcję jak sobie zrobić lwią twarz za pomocą teatralnego makijażu, i, jak się okazało, zaskakująco łatwo udało się jej ukryć rysy twarzy bez maski. Sam kostium składał się z czarnego trykotu i obcisłej kamizelki z pręgowanego futra, a czarne pantofle z namalowanymi pazurami dopełniały stroju. Dzięki płaskim obcasom były wygodne i łatwo się było w nich poruszać.

Egzotyczny strój Ellie składał się w przeważającej mierze z czarnej peruki w stylu Kleopatry i dużej ilości henny wokół oczu. Bardzo skąpa reszta stroju odsłaniała większość ciała. Maggie była przekonana, że nikt z członków sabatu nawet nie zada sobie trudu, by spojrzeć na twarz Ellie.

pojechały razem do Greenwich i zaparkowały samochód na tej-nej posesji państwa Randolphów, przyjaciół Ellie, którzy własnie zebywali w Scottsdale. Dozorca terenu zaprowadził je na przy-tań wioślarską, gdzie mogły wybierać spośród łodzi wiosłowych • pontonów, które, jak ryby z gatunku pilotów, otaczały zacumowany tam duży katamaran.

_ Wyobrażasz sobie, co on dzisiaj powie żonie o dwóch wariatkach w łódce? - zaśmiała się Ellie, gdy już się usadowiły.

Ellie wiosłowała, a Maggie po raz ostatni zajęła się objaśnianiem jej rozkładu pomieszczeń w domu

Vanniera.

- Chcę, żebyś posłuchała czegoś, Mags, zanim dotrzemy do plaży - powiedziała w końcu Ellie.

Maggie spojrzała na nią pytająco.

- Pewnego razu najważniejsze męskie bóstwa wschodniego panteonu, Brahma, Siwa, Wisznu i tak dalej, opuściły swą wioskę, ruszając w góry w swoich sprawach. Zostawiły Kali, Szakti, Lakszmi i wszystkie inne bóstwa żeńskie same, by opiekowały się dziećmi i wioską.

Naczelnny Demon zauważył ich odejście i uznał, że jest to wielka szansa. Był pewien, że gładko pokona żeńskie bóstwa, co na tyle zakłóci równowagę bóstw męskich, że będzie mógł pokonać je również. Wezwał więc demony z otchłani, by wydały walkę kobietom, które, jak myślał, będą łatwe do pokonania.

Walka trwała cały dzień, a kobiety walczyły tak dzielnie w obronie swoich domów i rodzin - czasami trzymając na rękach dzieci - że powstrzymały demony prawie do zmierzchu, kiedy w ostatniej dramatycznej chwili Durga, bogini wojny, powróciła z podróży na swym białym tygrysie. Korzystając z jej pomocy, boginie pokonały demony i zepchnęły je na powrót do otchłani.

Wkrótce potem męskie bóstwa wróciły do domu. by zobaczyć wieś w ruinach i kobiety opatrujące sobie rany i pocieszające przerażone dzieci.

- Czy coś się tu dzisiaj stało? - zapytał bóg Brahma, a matka Kali wystąpiła przed pozostałe i oznajmiła: - nic takiego, z czym my, kobiety nie mogłybyśmy sobie poradzić, mój drogi.

519

Maggie roześmiała się.

- Co za wspaniąta opowieść!

Ellie pokręciła głową.

- To nie jest tylko opowieść, Mags. To metafizyczna alegoria. Mówi ona, że mężczyźni muszą polegać na rytuale, by pokonać de

mona, ale kobiety mogą stawić mu czoła dzięki mocy. w którą wy
posażyla je Bogini. Powinnaś o tym pamiętać.

Widoczne na brzegu światła powiększały się i były coraz wyraźniejsze.

- Zrobili dekorację jak w Wersalu przed Le Deluge - zauważyła Maggie, zerkając ponad ramieniem przyjaciółki na widniejący za plażą dom.

- Więc gdzie lądujemy? - zapytała Ellie, obracając głowę, by zobaczyć, co jest za jej plecami.

- Chyba gdziekolwiek w pobliżu przystani. Przy zalesionym skraju wyspy jest kawałek plaży. Nie ma tam żadnych dekoracji ani niczego podobnego. Myślę, że powinniśmy spróbować wylądować właśnie tam.

Ellie wygląda na całkowicie spokojną i skoncentrowaną - pomyślała Maggie, patrząc na zbliżający się ląd. Jej przyjaciółka emanowała jakąś napiętą wojowniczą energią: silną, skoncentrowaną i uduchowioną. Tak jak pan Wong przed walką.

Maggie zajęła się oceną stanu własnego umysłu i ciała. Sporządziła przed wyruszeniem nowy testament i, na ile mogła, uporządkowała swoje sprawy. Nie zostawiła wielu nie rozwiązanych problemów, więc w jakiś sposób czuła się wolna.

Łódka zadygotała, szorując o piasek. Maggie i Ellie zaciągnęły ją po pokrytej kamykami plaży w kierunku lasu, tak daleko, jak tylko zdołały. Objęły się jeszcze raz na szczęście, a potem wdrapały na urwisko i przebyły zarośla, pokrywające obrzeża posiadłości.

Dom Vanniera był jasno oświetlony i pełen ruchu. Pomiedzy drzewami widniały rozciągnięte sznury światełek, które zdobiły również balustradę domu. Setki świec migotały w lekkiej bryzie wiejącej od zatoki Long Island, a wyrafinowane roślinne dekoracje przemieniły teren we wspaniały ogród sprzed wieków.

520

Wokół domu przechadzali się mężczyźni i kobiety w wymyślnych kostiumach. Swobodnie wchodzili do środka i wychodzili na zewnątrz. Było tam może stu albo nawet więcej gości i dziesiątki odzianych w liberię służących, którzy śpieszyli tam i z powrotem jak mrówki robotnice usługujące wymagającej królowej. Na południowym skraju loggii Maggie dojrzała Ghanie pogrążoną w ożywionej rozmowie z mężczyzną przepasanym kardynalskim pasem.

- Popatrz, Mags - wyszeptała Ellie, kryjąc się pod drzewami na skraju ogrodu. - To papież Honoriusz, ten Antychryst! A tam, ten tłustawy z kocią bródką, to doktor John Dee, osobisty alchemik królowej Elżbiety I. Lepiej trzymajmy się razem, aż ci przedstawię z tuzin tych kostiumów, bo ktoś może chcieć zabawić się z tobą w dwadzieścia pytań, jak już się rozstaniemy.

- Dwadzieścia pytań! Zapewniam cię, Ellie, że nie mam zamiaru brać udziału w konwersacjach tych przebranych szaleńców.

- Słuchaj, Mags, część zabawy w tym przebieraniu się za słynnych łotrów polega na tym, żeby goście starali się nawzajem zidentyfikować. To taka gra, którą oni uprawiają. Każdy z nich wcielił się dzisiaj w jakąś podziwianą przez siebie diaboliczną istotę, więc pochlebia im, kiedy ktoś inny rozpozna ich tożsamość.

- Brr! - odparła Maggie, na co Ellie zareagowała uśmiechem.

- Ten wysoki człowiek o dystyngowanym wyglądzie, w operowej pelerynie... według mnie to Cagliostro. Oczywiście, to może być też Aleister Crowley przebrany za Cagliostra. Nie, jednak mój pierwszy domysł był słuszny. A tamta kobieta w czarnym habicie zakonnicy: to może jedna z wielu różnych postaci... na przykład siostra z zakonu w Loudun, chyba że to jest zbyt plebejskie dla tych tutaj. - Zastanowiła się przez chwilę. - Mam! To przeorysza Zgromadzenia Niewiniątek koło Paryża, gdzie, jak podają, złożono w ofierze pięćset dzieci. Nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć jej imienia. - Popatrzyła na prawo od wejścia. - Tamta, w peruce w stylu Marii Antoniny jest łatwa do rozpoznania, Mags. To madame D'Urfe, wiedźma i przyjaciółka Ludwika XV.

Wielu z gości nosiło maski, ale niektórzy byli dość łatwo rozpoznawalni mimo przebrania.

521

- Mój Boże, Ellie - westchnęła Maggie, kiedy pokazała się przed nimi nowa grupa. - Czy to nie doktor James Ambrose, ten słynny chirurg plastyczny; ten przebrany za Judasza Iskariotę?

Dość szybko rozpoznali znaną dziennikarkę telewizyjną, dwóch senatorów, pół tuzina gwiazd filmowych i więcej biznesmenów, niż były w stanie policzyć.

- Jeżeli te wszystkie grube ryby są w służbie Szatana, Ellie, to nawet jeżeli nie ma tu żadnej prawdziwej magii i tylko w ich chorych umysłach wydaje się im, że się oddali złu, to i tak mamy przed sobą niesamowicie destrukcyjną siłę.

- To sprawia, że człowiek ma chęć przemyśleć na nowo swój stosunek do kary śmierci - mruknęła Ellie. - Ale nie oszukuj się, Mags. Mamy tu do czynienia z masą prawdziwej magii. Moja antena aż się skręca od pola mocy wytwarzanego przez ich połączoną energię.

Jeśli Cody jest naprawdę Wysłanniczką Izdy - pomyślała ponuro Maggie - to zanim skończy się ta noc, najpotężniejsze narzędzie we wszechświecie może się znaleźć w rękach okropnych ludzi, a Cody będzie stracona na zawsze.

Weszły do ogrodu, gdzie z ulgą stwierdziły, że łatwo jest im się zgubić wśród przebranych gości.

Wysoki mężczyzna w pelerynie, którego widziały już wcześniej, rozpoczął rozmowę z Ellie, dając Maggie szansę na wymknięcie się.

Czując, jak serce więźnie jej w gardle, Maggie - Kotka - Bogini Bast, ruszyła w kierunku głównego budynku, mijając gromady gości i służących, z wysiłkiem utrzymując normalny krok. Dotarłszy do niego, zaczęła przechodzić z pomieszczenia do pomieszczenia, odpowiadając miłym uśmiechem tym, którzy uśmiechali się do niej. Rozpoznana wcześniej przez Ellie kobieta w eleganckiej peruce osiemnastowiecznej francuskiej damy dworu chwyciła Maggie za ramię, akurat gdy zdawało się jej, że już przedostała się do podwójnej klatki schodowej, która wiodła na wyższą kondygnację.

- Moja droga - zawołała afektowanym głosem - co za dziwny pomysł występować jako kolejny kociak na własnym terytorium Sechmet. Wiesz, że koty pilnie strzegą swojego terenu. Nie boisz się, że nie będzie miała ochoty dzielić się swoim gniazdkiem?

522

Maggie zdołała wydobyć z siebie głos, chociaż przerażenie ścisnęło jej gardło.

_ Nie żartuj - powiedziała, przywołując na usta coś, co, jak miała nadzieję, było odwracająca uwagę uśmiechem. - D'Urfe! jyladame D'Urfe, prawda?

Jej rozmówczyni, przysadzista, niska kobieta, rozpromieniła się z satysfakcji, że została rozpoznana, a Maggie ruszyła dalej.

Serce łomotało jej tak mocno, że musiała zatrzymać się na chwilę, by uspokoić oddech. Uspokój się, Maggie, musisz być spokojna _ powtarzała sobie w duchu, idąc ku tylnym schodom w nadziei, że jest tam mniej ludzi.

- Co pani tu robi? - zawołał do niej jakiś kelner, kiedy już była w połowie drogi na pierwsze piętro.

Stał u stóp schodów kuchennych i patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami.

- Szsz! - odparła konspiracyjnym szeptem, przykładając palec do ust. - Tam jest kocur, czeka na mnie.

Udało się jej mrugnąć okiem i pomachać mu ręką. Resztę schodów pokonała już bez żadnych trudności.

* * *

Peter Messenguer minął posiadłość i przejechał prawie pół mili do miejsca, gdzie postanowił zostawić samochód.

Zaparkował i siedział przez chwilę za kierownicą, zbierając siły. Potem wysiadł z samochodu i wyprostował swe długie kończyny.

Zrzucił marynarkę i nałożył dominikański habit z kapturem, który pożyczył od przyjaciela - gdyby ktokolwiek pytał go o strój, powiedziałby, że jest Inkwizytorem. Poprawił sobie sandały, obwiązał SIC sznurem i napełnił kieszenie habitu przedmiotami, które przyniósł z domu. Woda święcona, święte krzyżmo, Najświętszy Sakrament... „Rzymski rytuał” umieścił już wcześniej w kieszeni spodni, które miał pod habitem. Sprawdził jeszcze raz, czy ma wszystko, a potem odetchnął głęboko i ruszył pieszo ku posiadłości. Dobrze, że strategia, którą zaplanował z Ellie i Maggie, zakładała, iż się rozdziela, gdyż w wypadku, gdyby kobiety zostały zdemaskowane, on

523

zostawał w odwodzie. Odpowiadało mu to również dlatego, że dawało parę chwil refleksyjnej samotności. Czuł tej nocy, że potrzebuje być sam na sam z Bogiem.

* * *

Dziecięce skrzydło było całkowicie opustoszałe, więc Maggie musiała podjąć systematyczne przeszukiwanie domu. Pięćdziesiąt pokoi - powiedziała Jenna. Perspektywa spenetrowania ich wszystkich była przygnębiająca. Nie myśl teraz o Jennie. Zwariujesz, jeżeli będziesz myślała o Jennie w tym okropnym miejscu.

Na pierwszym i drugim piętrze nie dostrzegła żadnych śladów Ody. Jej niepokój wzrastał z każdą przeszukiwaną bezowocnie sypialnią. Na tym piętrze było przynajmniej mniej gości, którzy przeszkadzaliby jej w działaniach. Miała już otworzyć małe drzwi w alkowie, gdy usłyszała dochodzący zza nich odgłos ciężkiego stąpania. Pośpiesznie uskoczyła do najbliższej sypialni, zostawiając nieco uchylone drzwi. Z alkowy wyszła Ghania z uśmiechem na twarzy. Bojąc się oddychać, Maggie zamarta bez ruchu, gdy Amah szybko przeszła korytarzem ku głównej klatce schodowej i zeszła na dół.

Czując, jak serce nadal łomocze jej w piersiach, zawróciła i ostrożnie obróciła gałkę w drzwiach. Zobaczyła za nimi kolejne schody, a nad głową, w miejscu, gdzie powinien być sufit, dojrzała z zaskoczeniem niebo pełne gwiazd.

Obserwatorium! Oczywiście. Doskonałe miejsce do ukrycia Cody w tę gwieździstą noc. Och, proszę, drogi Boże - westchnęła, stąpając po schodach ostrożnie, by nie skrzypiały - niech ona tam będzie! I nie pozwól, by była pilnowana przez cały sabat.

Z duszą na ramieniu wspięła się prawie do szczytu schodów, zaczerpnęła głęboki oddech i wyrzała ponad podest. Cody leżała na skórzanej kanapie, nieruchoma jak Śpiąca Królowna na marach. Była

ubrana w coś, co przypominało miniaturową suknię ślubną. Wybornie uszyta biała sukienka spadała koronkowym trenem na połtęgę, otaczając dziecko niecodziennym blaskiem. Jasne włosy Cody okalały jej aniołkową twarz, a czoło zdobił wianek białych kwiatów. Wyglądała tak, jakby leżała na katafalku.

524

Oczy Maggie wypełniły się łzami na ten widok. Cody wyglądała tak krucho, że była niemal przezroczysta. Zmusiła swe bijące pośpiesznie serce do spokoju i przyjrzała się kobiecie, która siedziała na fotelu obok maleńkiej więźniarki i z zainteresowaniem czytała książkę- Dziękuję Bogu, siedziała twarzą do Cody, a nie do schodów.

Niepostrzeżenie, jak włamywacz, Maggie podkradła się cal po calu do pilnującej. Pojedyncze uderzenie w tył głowy pozbawiło kobietę przytomności. Maggie związała ją i zakneblowała bez najmniejszych skrupułów i odwróciła się do leżącego dziecka. Cody nawet nie drgnęła.

Podniosła ukochaną wnuczkę, przytulając ją, całując jej twarz i szepcząc do niej gorączkowo, ale nie doczekała się najmniejszej reakcji. Pośpiesznie ściągnęła ślubną suknię z pogrążonej w letargu Cody. Panna młoda? Do czego? - zadała sobie w duchu pytanie, nie chcąc wcale znać odpowiedzi. Nie mogła nieść dziewczynki w tej ciągnącej się sukni, ale nie miała jej w co przebrać. Ściągnęła z siebie futrzaną kamizelkę, która stanowiła część jej stroju, i owinęła nią ciało dziecka, które wyglądało na przerażająco pozbawione życia.

Usiłując zachować trzeźwość umysłu, przyjrzała się oknom obserwatorium, szukając drogi ucieczki. Wysokość była niebezpieczna, a przecież musiałyby jeszcze nieść Cody... Poczuła, jak traci wiarę w siebie... to niemożliwe, żeby nie udało jej się uciec, skoro dotarła tak daleko. Musiała dostać się na pierwsze piętro i ukryć tam, aż nadarzy się sposobność, by wykraść się na dół po schodach dla służby. A może w innej części domu dach był bardziej płaski i mogłaby uciec tamtędy? Jedno było pewne: nie mogła zostać tam. gdzie była.

Usiłowała znaleźć jakiś wygodny sposób niesienia śpiącego dziecka, ale było to prawie niemożliwe. Cody ważyła trzydzieści funtów i była całkiem bezwładna. Starając się uporać z ciężarem. Maggie zeszła ostrożnie po schodach obserwatorium, a potem, ogarnięta coraz większym niepokojem, ruszyła ku głównej klatce schodowej. Zdołała bez przeszkód dotrzeć na pierwsze piętro, gdzie wsunęła się do pustej sypialni i z ulgą ułożyła Cody na szezlongu. Mogła przez chwilę odpocząć od ciężaru dziecka.

525

Wyrzała pośpiesznie przez okno, lecz zobaczyła, że dach opa(ja pod bardzo ostrym kątem. Do cholery! Nie było żadnej droo' ucieczki, z wyjątkiem przejścia przez tłum gości lub personel kuchenny. Obydwa rozwiązania były beznadziejne.

Maggie dotknęła twarzy śpiącej dziewczynki, delikatnie odsuwając pasemko złotych włosów. Cody miała czoło pokryte potem i lepką skórę. Niech Bóg na wieczność ześle tych drani do piekła za to, co jej zrobili! - pomyślała, uświadamiając sobie nagle, że czuje w tej chwili równie silny gniew co strach. Może to dobrze.

Pocałowała miękki, blady policzek dziewczynki i znowu wzięła ją w ramiona.

- Zrobię, co tylko będę mogła, kochanie - wyszeptwała stanowczo. - Niech Bóg pomoże nam obu.

Głowa Cody oparła się bezwładnie o ramię Maggie, a jej rączki zawisły w powietrzu. Maggie wyszła ostrożnie na korytarz i skierowała się ku schodom.

Gdyby tylko zdołała wydostać się z tego okropnego domu, to do łódki miałyby już nie więcej niż sto jardów.

Ghania rozmawiała na plaży z senatorem Edmondsem, kiedy nagle podniosła głowę i zaczęła węszyć w powietrzu, jak ogar na tropie.

Ktoś zabierał Wyśłanniczkę!

Do licha, ktoś usiłował wydostać dziecko z domu.

Zawołała na ochroniarzy i pospieszyła ku jaskrawo oświetlonej rezydencji.

Maggie spojrzała w dół schodów dla służby i zobaczyła u ich stóp gromadę służących. Była wśród nich pokojówka Vanniera, która widziała ją dwa razy i mogła teraz rozpoznać. Wycofała się, tracąc oddech i usiłując wymyślić, co robić dalej. Każda spędzona w domu minuta przybliżała ich do jedenastej czterdzieści trzy.

526

Wróciła do głównej klatki schodowej i popatrzyła z niepokoin w dół, lecz stwierdziła z ulgą, że wszyscy chyba zebrali się w Ogrodzie albo na plaży, bo położone niżej pomieszczenie było ouste. Przyciskając do siebie Cody, ruszyła w dół schodów, akurat edy z przeciwnej strony wpadła do foyer Ghania w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Nie mając wyboru, Maggie pospiesznie zbiegła po schodach i rzuciła się rozpaczliwie ku drzwiom do ogrodu, a potem puściła biegiem przez trawnik, osłaniając Cody własnym

ciałem.

Usłyszała krzyki Ghanii i zobaczyła biegających we wszystkie strony ludzi. Jakiś mężczyzna rzucił się na nią, ale zdołała trafić go mocnym kopnięciem w żebra, aż się zachwiał, ale za nim był drugi. Nie mogła walczyć z Cody na rękach i nie mogła ryzykować położenia jej na ziemi. Ktoś uderzył ją od tyłu, na co odpowiedziała morderczym kopnięciem z obrotu, które musiało mu połamać szczękę. Otoczył ją jakiś niesamowity spokój: wszystko działo się na zwolnionych obrotach. Nie było ani przeszłości, ani

przyszłości... Nic, tylko chwila obecna, walka i dziecko.

Słyszała odgłos łamanych kości, nie wiedząc, do kogo należą. Cody leżała na ziemi u jej stóp, chociaż nie pamiętała, by ją tam położyła. Pochyliła się nad nią, przeradzając w każdą kobietę, która gdziekolwiek i kiedykolwiek walczyła o swoje dziecko. Wokół niej rozlegały się krzyki, migwały ręce i nogi i lała się krew, a ona była wojownikiem oczekującym, że zginie z podniesionym

czołem...

Ale był też Peter. Dzięki Bogu! Szukał czegoś w kieszeni dominikańskiego habitu.

- Cofnąć się! - krzyknął, wydobywając hostię z srebrnego pudełeczka i unosząc ją przed sobą. - Ta hostia jest poświęcona!

Wśród tłumu rozległ się jęk przerażenia, a krwawa mgła opadła sprzed oczu Maggie, która znowu znalazła się w normalnej rzeczywistości, dysząc, ze ściekającymi po ciele kroplami krwi i potu. Nadal stała na trawie nad ciałem Cody. Na skraju otaczającego ją tłumu zobaczyła Ghanie. Na znienawidzonej twarzy więdźmy widniał wyraz zastanowienia, a może nawet i niechętnego podziwu.

527

Wszelki ruch zastygł w jakiś magiczny sposób, nikt nie ruszył się w ich kierunku. Resztkami sił Maggie podniosła Cody i razeil. z Peterem zaczęli się wycofywać się ku wodzie, a otaczający ich krąg ludzi rozstępował się jak Morze Czerwone.

To było zbyt piękne, by było możliwe... gdzie jest Ellie?

Prawie już przedostali się przez tłum, kiedy wypadł z niego potężny mężczyzna w stroju renesansowego kardynała. Rzucił się na Petera i ku zaskoczeniu Maggie wyrwał hostię z jego wyciągniętej ręki.

- Kapłan na zawsze - syknął tryumfująco, obalając oszołomionego Petera na ziemię. - Czy czarna, czy biała magia, ojciec Messenguer, ten opłatek nie może powstrzymać księdza, a ja bez wątpienia jestem księdzem. Wiedziałaś z pewnością, że podczas tej ceremonii będzie wśród nas ktoś taki? Pozwól mi się przedstawić. Jestem ojciec Dominie Duchesne, obecnie zawieszony na podstawie dziwnych wymogów tej archidiecezji, ale w oczach tych, którzy oceniają przyrzeczenia człowieka, teraz i na zawsze ksiądz.

Peter podniósł się chwiejnie na nogi, a napastnik chwycił go za habit i szarpnął do siebie.

- Pozwól, że cię uwolnię od twojego arsenału święconych rze

czy... nasz gospodarz czuje się przy nich bardzo nieswojo.

Dwaj masywni ochroniarze chwycili Petera od tyłu za ramiona, a „kardynał” wyjął święty olej, wodę święconą i krzyżmo z jego kieszeni.

Maggie stała, przyciskając Cody do serca ostatnim rozpaczliwym uściskiem. Była całkowicie wyczerpana i ostatecznie pokonana. Ghania podeszła do niej i wyrwała jej dziecko z rąk z atawistycznym grymasem, jak hiena nachylająca się nad łupem. Maggie odwróciła twarz. Niemal nie zauważyła, kiedy unieruchomiono jej ręce i zaczęto gdzieś wlec razem z Peterem wśród gromady ochroniarzy. Nie wiedziała, dokąd ją zabierają, ale już jej to zbytnio nie obchodziło.

* * *

528

po rozstaniu z Maggie, Ellie z coraz większym niepokojem obserwowała przygotowania do orgii. Za ogrodem dojrzała wielki krąg o średnicy pięćdziesięciu stóp. Na jego obwodzie rozstawiono w regularnych odstępach dwanaście olbrzymich czarnych świec wykonanych z łożu i siarki, których odór przyprawiał ją o mdłości. Natomiast wewnątrz kręgu stały długie stoły, zastawione z przesadną obfitością wszelkiego rodzaju jedzeniem i napojami. Pośrodku każdego stołu widniała wielka rzeźba z lodu - pierwsza przedstawiała olbrzymiego fallusa, następna kozła Mendesa z wielkim członkiem w stanie erekcji i tak dalej, i tak dalej. Dotkliwie zimno wznosiło się wokół niej jak opary bagienne: widocznie kapłani-sa-taniści wzywali wszelkiego rodzaju wcielenia zła, by towarzyszyły im podczas mającej nastąpić orgii.

Wiedziała, że wszystko dokona się na zasadzie dokładnego przeciwieństwa do chrześcijańskiej mszy. Będą ucztować, a nie pościć, objadać się i pić do nasycenia. Ucztowanie będzie przeplatane ekscesami seksualnymi bez żadnych ograniczeń, ludzie będą odchodzić od stołu dwójkami, trójkami i czwórkami, by parzyć się na trawie jak zwierzęta na oczach wszystkich obecnych.

W pewnym momencie podszedł do niej groźnie wyglądający mężczyzna w obszytej futrem z gronostajów papieskiej pelerynie i bez żenady dotknął grzbietem dłoni jej piersi. Ellie wytężyła siły, by stawić czoła tej napaści i złości, które wyczuwała w intruzie. Tego typu seksualne zachowania były całkiem normalne przed orgią. Posłała mu zimny uśmiech.

- Wiesz, kim jestem? - zapytał głosem pełnym arogancji wynikającej z poczucia władzy.

- Dzisiaj jesteś papieżem Honoriuszem-Antychrystem - odparła tonem zbliżonym do jego własnego. - W innych momentach jesteś senatorem Jamesem Edmondsem - odprężyła się na tyle, żeby go nieco sprowokować. - A za parę chwil, jak podejrzewam, zostaniesz kolejnym przyjacielem Erosa - dodała,

uśmiechając się rozbrajająco.

- Nie widziałem cię jeszcze - zauważył. - Zapamiętałbym cie

bie. Jesteś Tanith, jak sądzę. Czy jesteś równie jak ona wytrawna

w sztuce erotycznej?

529

- No chyba dlatego wcieliłam się w jej postać do dzisiejszych rozkoszy? - odparła cierpkim tonem. - O ile pamiętam, Honoriusz nie był w tych sprawach bezradny. Może moglibyśmy połączyć naszą wiedzę - uśmiechnęła się tajemniczo i odeszła, zanim zdążył odpowiedzieć. - Do zobaczenia! - zawołała jeszcze, oddalając się pospiesznie ku zgiełkowi, który dochodził z drugiej strony domu.

Dotarła tam akurat w porę, by zobaczyć ostatnie momenty walki Maggie i pojawienie się Petera. Obserwowała rozwój wypadków, ale nie była w stanie nic zrobić wobec tak wielkich przeciwieństw. Uznała więc, że będzie lepiej, jeśli wróci do łódki i uda się po pomoc. Z pewnością Dev mógłby coś zrobić, gdyby dysponował relacją naocznego świadka, zeznającego, że Maggie i Peter zostali uwięzieni wbrew ich woli. A jeśli nie, to być może mogła liczyć na pomoc tutejszej policji.

Szła, omijając innych gości. Większość rozmawiała albo o pojmaniu intruzów, albo już lokowała się przy stołach bankietowych. Idąc w kierunku lasu, mijała wiele par kopulujących na trawie.

Łódka była tam, gdzie ją zostawiły. Westchnęła z ulgą, gdy już udało się jej do niej dotrzeć. Pchając i ciągnąc, dowlokła ją do wody i weszła do środka. Była dobrą wioślarką i łatwo oddaliła się od plaży, kierując ku przybrzeżnemu prądowi.

Pierwsza fala pojawiła się nie wiadomo skąd. Wyrzuciła dziób łódki wysoko w powietrze i cisnęła ją gwałtownie z powrotem w dolinę. Wstrząśnięta niespodziewanym atakiem, Ellie przywarła do wiosła i zdołała obrócić łódkę w ostatniej chwili, by ochronić ją przed uderzeniem w burtę przez kolejną falę.

Do cholery! Skąd wzięły się te fale? Kiedy oddalała się od plaży, morze było spokojne jak tafla szkła, a teraz wiatr wzniecał szaleńcze bałwany, a tarcza księżycy, która oświetlała ich drogę w tę stronę, przestłoniła się wielką czarną chmurą. Ghania! To na pewno Ghania wezwwała demony morza. Ellie dojrzała w lodowatej wodzie ondyne, akurat gdy następna fala uderzyła w dziób łódki, wyrwijąc jej wiosła z rąk. Zanim zdołała się otrząsnąć, uderzona kolejną falą łódka wyskoczyła wysoko nad

530

odę, a potem przekoziołkowała w powietrzu i spadła ciężko

z powrotem.

Wyrzucona z łódki Ellie zdołała wydostać się na powierzchnię i chwycić oddech, zanim została znowu wciągnięta pod wodę, w mroczne wiry zatoki. Walcząc z lodowatymi falami i usiłując rozpoznać, w którym kierunku jest brzeg, zawołała na pomoc swych sprzymierzeńców w Wewnętrznych Sferach, zanim po raz ostatni poszła pod wodę.

Rozdział 84

- Matko Boska! -jęknęła bezwiednie Maggie. - Jesteśmy w piętnastym wieku.

Peter przyjrzał się niewiarygodnemu widokowi, który rozciągał się przed nimi w półmroku lochu, czując pierwotny strach wywołany świadomością tego, co widzi.

- Raczej w trzewiach bestii - mruknął bardziej do siebie niż do niej.

Ręce ochroniarzy popychały ich brutalnie w dół schodów wiodących do kamiennej komnaty.

W skale pod rezydencją wykuto trzy wielkie pomieszczenia. Pierwsze, w którym teraz stali, było laboratorium alchemicznym wyposażonym w kowadło i piec, który promieniował żarem kontrastującym ostro z dotkliwym zimnem i wilgocią przedwiecznego granitu. W świetle pochodni niesionych przez ich oprawców widzieli półki pełne odczynników, wielkich szklanych retort i rurek, palników i zwojów miedzianego drutu.

Erie nacisnął kontakt i piętnastowieczna sala wypełniła się dwudziestowiecznym światłem.

- Nie powinniście myśleć, że pozwalamy się wyprzedzać czasom, moi przyjaciele - powiedział uprzejmym tonem. - Używamy nowoczesnych urządzeń, kiedy są przydatne, i starożytnych metod,

531

kiedy to one są bardziej korzystne. A to się zdarza często, jeśli chodzi o rytualną magię. Obecne pragmatyczne czasy nie są, niestety, odpowiednie dla najwyższych rytuałów.

Spojrzał krytycznie na Maggie i Petera, brutalnie wleczonych przez kilku mężczyzn.

- Nie ma potrzeby tak brutalnego zachowania, panowie -stwierdził rozkazującym tonem. - Nasi goście nie mają dokąd uciekać i zostało im piekielnie mało czasu, więc ośmielam się zaproponować, żebyśmy traktowali ich chwilowo z nieco większą uprzejmością. Podejdźmy ku tej wielkiej mównicy, moja droga - powiedział do Maggie, biorąc ją pod ramię. - Wiem, że jako antykwariuszka będziesz zainteresowana obejrzeniem mojego „Grimorium verum”.

- To jest historyczna wycieczka? - warknęła, z trudem wrywając rękę z jego uchwytu.

- Wojownicza do samego końca, Maggie, co? Muszę powiedzieć, że podziwiam to w tobie. Szkoda, że

twoja córka nie miała tej samej twardości. Poszła na śmierć jak płaczące niemowlę. Błagała o litość, szlochała, ale, oczywiście, już to wiesz. Ty się spiszesz lepiej, jak sądzę.

- Będziesz się smażył w piekle za twoje wszystkie zbrodnie, ty sukinsynu! - rzucił Peter.

- Bardzo słusznie - odparł spokojnie Erie. - To oczywiste, że piekło jest moim ostatecznym celem. A jeśli chodzi o smażenie się... to naprawdę zostało w ciągu wieków przerysowane przez waszych chłopaków, Peter. Spodziewam się, że będę po prostu rozkoszował się towarzystwem takich jak ja...

- Już to samo będzie wystarczającym piekłem - powiedziała hardo Maggie.

- Bardzo to dowcipne z twojej strony, Maggie. Jaka szkoda, że twój dowcip niedługo zostanie unicestwiony... Ale powróćmy do tej cudownej księgi przed nami.

Wysadzana klejnotami skórzana oprawa błyszczała czterechset-letnią patyną, a pergaminowe karty roztaczały zapach wybornego kadzidła, a nie zapełniającej wilgoci starych książek. W przyćmionym świetle księga zdawała się emanować fosforyzującym blaskiem. Przypominało to Maggie błędne ogniki na bagnach.

532

To Grimorium verum" pochodzi z szesnastego wieku. Oczywiście, jest to pierwsze wydanie. Niestety, późniejsze wydania zostały zniekształcone błędami. Na przykład ta księga, którą przed nami, podaje, że podczas hartowania magrznego żelaza należy schładzać stal za pomocą krwi kreta, soku z kurzy-Su Późniejsze wydania dopuszczają użycie krwi srokr, soku Sy nazwie/.^, co jest, według mnie, pośledmm rozwrą-

zaniem.

Spojrzawszy w oczy Petera, Maggie wyczytała w nich tę samą rozpaczliwą świadomość, jaką odczuwała: byli na łasce szaleńca.

Erie uśmiechnął się swym zimnym uśmiechem i nakazał im gestem, by przeszli do następnej komnaty.

- Pozwólcie, że zademonstruję wam mój salon de verite - powiedział uprzejmie, gdy do ich świadomości dotarło prawdziwe

przeznaczenie komnaty.

W przyćmionym wnętrzu na wprost wejścia widniały stół do tortur i „żelazna dziewczyna". Diaboliczne urządzenia były w dobrym stanie i pomimo ich bezsprzecznej wiekowości wyglądały na niedawno używane. Wszędzie była zaschnięta krew.

- Jesteśmy w letnim domu Torquemady - szepnęła Maggie do

Petera.

Po prawej stronie stały beczki ze smołą: pamiętała, że używano jej, by przykładać ogień do stóp ofiar, które były „poddawane przesłuchaniu”.

- Znacie oboje moją ulubioną zabawkę? - zapytał Erie, dotykając dziwnego urządzenia składającego się z przewleczonych przez bloczki i obciążonych ciężarkami lin, które wspinały się do łukowatego sklepienia przypominającej forteczny loch komnaty.

- Strappado - powiedział cicho Peter ze zgrozą w głosie.

Jego niepokój rozbawił Erica.

- Zaiste, to strappado. Czy wytłumaczymy jego wyborną użyteczność tej damie, która zdaje się nie znać subtelnych szczegółów?

- W czasach Inkwizycji - rzekł Peter napiętym tonem - strappado było ulubionym narzędziem tortur ekipy Torquemady. Kiedy jakaś nieszczęsna była poddawana przesłuchaniu na temat utrzymywania kontaktów z Szatanem, umieszczano ją na tym urządzeniu...

533

ze skrępowanymi z tyłu rękami i nadgarstkami przywiązanymi do bloczków. Podciągano ją pod sufit, gdzie wisiała z odważnikami przymocowanymi do stóp, a siła ciężkości wyrywała jej stawy jeden po drugim.

- Bardzo szczegółowy opis, Peter - zawtórował mu Erie - ale żałośnie niekompletny. Największy urok nie polegał na samym wiszeniu, a na tym, że raz po raz bloczki były podnoszone - przerwał, by podciągnąć liny ku sufitowi, zmuszając ich, by spojrzeli w tym kierunku. - A potem były zwalniane... tylko odrobinę!

Ciężarki opadły gwałtownie, gdy Erie zwolnił linę, a potem zatrzymały się z głośnym trzaskiem, kiedy nagle je zahamował.

- Ofiara, oczywiście, opadała razem z nimi. Za każdym razem, kiedy spadała i była podciągana z powrotem, wywoływało to niesamowite

mowity ból. Wyrwane stawy, pękające kości... najpierw puszczały barki, potem łokcie i kolana. Czasami rozpręgała się wybornie cała miednica. Na początku krzyki były ogłuszające, przesywały za każdym razem mózg jak rozpalone do czerwoności sztylety. Ale późnym popołudniem czy wieczorem było słycać tylko głuchoe jęki agonii... już nie za bardzo ciekawe. Nicky był w tym najlepszy. Zawsze potrafił dłużej niż ktokolwiek inny utrzymać je wrzeszcząc przy życiu.

Peter posłał Maggie ostrzegawcze spojrzenie: nie prowokuj go.

- Nicky? - zapytała zaskoczona. - Ale to wszystko działo się pięćset lat temu... chcesz powiedzieć, że Nicky tam był?

Erie spojrzał na Maggie z bolesną miną, jakby go rozczarowała głupim pytaniem.

- Wszyscy tam byliśmy - odpowiedział. - Peter pamięta, prawda, ojciec? Wy, księża, byliście tak znakomitymi katami. Oczywiście, dominikanie byli w tym najlepsi. Kto wtedy spełniał dzieło Szatana? Ilu niewinnych zamordowali wasi ludzie w imię waszego dobrego Chrystusa?

- To były okrutne czasy - odparł Peter. - Kościół musi odpowiedzieć za nie przed boskim tronem.

- Nie pochlebiaj sobie, Peter. Tamci księża nigdy nie widzieli boskiego tronu. Pan Ciemności czekał tuż za ich Gwiazdną Komnatą, by zabrać ich do otchłani. W piekle jest specjalne miejsce za-

534

rezerwowane dla wykolejonych księży. Wiedziałeś o tym, Peter? Są skazani na słuchanie nawzajem swoich kazań i wieczne dyskutowanie o świętym Tomaszu z Akwinu - powiedział Erie i roześmiał się ze swojego żartu.

- Dlaczego raczysz nas tą naukową rozprawą? - zniecierpliwził się Peter. - Bez wątpienia nie masz czasu na to, by wypróbować na nas którąś z tych twoich zabawek przed godziną Materializacji.

- To, niestety, rzeczywiście prawda, ale pomarzyć można, nie sądzisz?

Przeszli pod wielkim kamiennym łukiem, prowadzącym do ostatniej komnaty. Była bez porównania większa od poprzednich i bez wątpienia była kaplicą Szatana.

Gdy tylko znaleźli się w tym wielkim pomieszczeniu, Maggie usłyszała głośny oddech Petera. Ona też to poczuła: błyskawiczną falę lodowatej energii i czystego, nie osłabionego zła, tak dotykającego, że trudno jej było oddychać.

Na podłodze widniał wymalowany ogromny krąg opisujący odwrócony pentagram o wielkich rozmiarach.

- Wielki krąg - powiedział z dumą Eric. - Widzisz paski skóry w centralnych punktach, Peter? To ludzka skóra zebrana od składowanych w ofierze. Tamten pasek od południowej strony, Maggie, pochodzi z twej nieodżałowanej córki. Gwoździe, oczywiście, były wyjęte z trumny mordercy własnych rodziców.

Maggie poczuła, jak zaczynają ją dusić przywołane przez słowa Erica obrazy Jenny. Cofnęła się ogarnięta mdłościami, ale silne ręce ochroniarza popchnęły ją brutalnie z powrotem.

- Odwagi, Maggie! - usłyszała głos Petera, przebijający się przez ciemną mgłę, która ją otoczyła.

Z wysiłkiem powróciła do tego dźwięku, usiłując odpowiedzieć Peterowi dodającym otuchy uśmiechem, ale zdołała tylko skrzywić usta w grymasie.

W centrum drugiego kręgu znajdował się ołtarz: zdobiony płaskorzeźbami marmurowy stół. Okrywające go obrusy z czerwonego aksamitu i czarnego jedwabiu były przyozdobione drogocennymi kamieniami, a płaskorzeźby przedstawiały sceny morderstw i perwersji seksualnych. Podobne tematy powtarzały się na wi.szą-

535

cych na ścianach przepastnej komnaty gobelinach, obok których widniały dopełniające wystroju widoki orgii, tortur i różnych kruk, wych scen autorstwa Hieronima Boscha.

- Przywiążcie ją do słupa na lewo od ołtarza - rozkazał Eric swym przybocznym, porzucając wszelkie pozory uprzejmości Księdza zawieszając na krzyżu - dodał, wskazując ruchem głowy na umieszczony nad ołtarzem odwrócony do góry nogami krzyż.

- Spodoba ci się to, Peter - to takie zgodne z waszą tradycją Będziesz bardziej tradycjonalistą w śmierci, niż kiedykolwiek byłeś za życia.

- Nie! - wyrzuciła z siebie Maggie. - To moja sprawa, nie Petera. On nie jest twoim wrogiem.

- Nie jest? - powtórzył Erie z wielkim zdziwieniem. - Czyś ty zwariowała? On jest Wrogiem. Adwersarzem. Myślisz, że to ty go tutaj sprowadziłaś, Maggie? Nie oszukuj się! Został tu wezwany przez starego Wroga, który będzie się bardzo cieszył, patrząc, jak on w końcu umiera!

- Co zrobisz z Cody?

- Prawdę mówiąc, dość dużo - odparł spokojnie Erie. - Mimo wszystko jest honorowym gościem. Po orgii zostanie odprawiona czarna msza, a Amulet Izydy i Kamień Sechmet zostaną poddane ostatecznej materializacji. Kiedy obydwa znajdą się bezpieczne pod moją opieką, zniszczę raz na zawsze Amulet Izydy, więc oczywiście Cody nie będzie już potrzebna, żeby go chronić. Jej Ka zostanie umieszczona na wieki pod odpowiednią demoniczną strażą, żeby Sechmet miała swą siedzibę w ludzkim ciele. Cody posiada wielkie moce, więc trzeba będzie dość nieprzyjemnych istot, by je zneutralizować. Jest mi wiadomo, że dwaj Książęta Krwi z Piekieł zaproponowali swoje usługi, ale Sechmet ma w tym względzie swoje własne plany. Nada ciątu, w którym będzie mieszkać, nieśmiertelność, więc jest w tym chyba pewna pociecha dla ciebie...

Maggie wyszarpnęła rękę z uchwytu ochroniarza i zdzieliła Eri-ca prawym sierpowym prosto w szczękę. Cofnął się z zaskoczenia i z bólu.

- Nie, Maggie! - zawołał Peter, równie wstrząśnięty jak wszyscy inni.

536

Och, drogo za to zapłacisz, ty suko! - warknął Erie, gdy jego

<vstenci go podtrzymali. P włożył dłoń do szczęki, pocierając ją, by złagodzić ból, i na-• 20 ręka wystrzeliła do przodu, chwytając Maggie za szyję. Za- 'śniał uchwyt powoli, aż oczy omal jej nie wypadły z oczodołów, " ? e mogąc złapać oddechu, osunęła się na kolana. Zwolnił uścisk ? Inadłaby, gdyby nie jego pomocnicy, którzy podtrzymali osuwa-ace się ciało. - Nie chcę, żebyś umarła, dopóki nie zobaczysz potępionego dziecka - wysyczał.

Dał znak katom, by kontynuowali swe dzieło, obrócił się na pięcie i wyszedł z komnaty.

- Augustyn, Maggie! - zawołał Peter, kiedy wleczono ich w przeciwnych kierunkach. - Wtedy, gdy rabowali miasto!

W jego słowach było słycać gorączkowe pragnienie pokrzepienia jej. Walcząc z bólem szyi, usiłowała odzyskać trzeźwość myślenia. O co mu chodzi? Co powiedział święty Augustyn?

Nagle przypomniała sobie: kiedy jego kapłani błagali o pozwolenie na ucieczkę z miasta, by ująć śmierci z ręki nadciągającej armii Wandalów, posłał do każdego z nich następujące słowa: „Jeśli my porzucimy nasz posterunek... to kto wtedy stawia im czoło?”

Miała oczy pełne łez, gdy przywleczono ją do słupa i przywiązano do niego. Nie mieli być pierwszymi, którzy cierpią za słuszną sprawę... inni w przeszłości wykazywali odwagę wobec śmierci i tortur. Nie wykraczało to poza możliwości ludzkiego ducha. Maggie zamknęła oczy i zaczęła się modlić.

Rozdział 85

Na krótko przed jedenastą asystenci zaczęli chodzić pomiędzy leżącymi na trawie, nakłaniając ich do zakończenia swych rozkoszy, gdyż zbliżał się czas ceremonii. Nasyceni jedzeniem, napojami i seksem we wszelkich możliwych konfiguracjach goście porzucali

537

swe kostiumy i przywdziewali habity z kapturami, wręcZa

przez służbę. II*i

Nastrój zabawy zniknął: było widać, że wyznawcy traktują
żający się rytuał ze skrajną powagą. Zaczęli gromadzić się k^
by sformować orszak. le>

W bibliotece zgromad^oło się już trzynaścioro Adeptów. Dla nich cały wieczór upłynął na przygotowaniach, nie na rozkoszach. Żadne z nich nie jadło, gdyż post jest konieczny dla przewodzeń energii. Żadne z nich też nie wzięło udziału w erotycznych ekskach, gdyż osłabiłoby to energię tak istotną dla wykonania ich obowiązków. Seksualne pobudzenie uczestników orgii w zupełności wystarczyło, by podnieść do skrajnego poziomu natężenie pola energii wokół rezydencji, a w trakcie ceremonii monotonne śpiewy wiernych miały wzmocnić wibracje.

Maggie stała bezradna obok satanistycznego ołtarza. Peter wisiał na odwróconym krzyżu. Żadne z nich nie odezwało się od prawie godziny i nie była pewna, czy on jeszcze jest przytomny. Miała twarz tak nabrzmiałą od krwi, jakby miała pęknąć, i od pewnego czasu nie widziała, żeby się poruszył.

W komnacie panowało przenikliwie zimno, przez co zdrętwienie ogarniało jej drżące nogi. Czując coraz większy strach, obserwowała procesję odzianych w habity postaci, które w milczeniu wchodziły do komnaty i zajmowały miejsca przy kłęcznikach.

Za procesją niesiono ceremonialne mary. Maggie napięta więzy, by lepiej widzieć, i wstrzymała oddech na widok Cody.

Dziewczynka była w głębokim transie albo znajdowała się pod wpływem narkotyków. Leżała na wyszukanych, ozdobionych kwiatami noszach, a jej głowę zdobił wianek. Miała na sobie egipską szatę z cieniutkiego lnu. W dalszym ciągu była nieruchoma i błada jak śmierć. Maggie zawołała jej imię, ale jedyną reakcją było bolesne uderzenie w twarz przez jednego z pilnujących. Tracąc nadzieję, Maggie zawisała na swych więzach, bojąc się patrzeć na to, co ma nastąpić.

Aromatyczny dym wydobył się ze złotych kadzielnic, a powietrze zdało się gęstnieć od wywołujących zawrót głowy aro-

538

'w i niesamowitego, nieprzerwanego dźwięku monotonnych tti3t0

' W widocznych za ołtarzem drzwiach pokazała się kolejna gru-Doliczyła się trzynastu ubranych w długie szaty postaci. Wszystkie przyodziane były w różne ceremonialne stroje: niektóre załamiająco ozdobione drogimi kamieniami, a inne niezmiernie r0ste. Na tyłach tego orszaku Maggie dojrzała Erica w towarzystwie trzech asystentów ubranych w wyszukane ceremonialne szaty egipskie. Erie, Nicholas Sayles... przeglądała w myślach listę podchodzących do ołtarza. Ksiądz, który pojmał Petera i... O Boże! -jęknęła, rozpoznając Abdula Hazreda. Nic dziwnego, że ten dbający tylko o swój własny interes sukinsyn nigdy się jej nie podobał. Czuła, jak atmosfera w komnacie zaczyna się zmieniać, tak jakby każda cząsteczka we wnętrzu pomieszczenia była wprawiana w vibracje o gwałtownie narastającym rytmie.

Maggie chciała odwrócić twarz, gdy Erie i inni kapłani zaczęli odprawiać czarną mszę, ale nie ośmieliła się tego zrobić. - Ojciec nasz, któryś jest w niebie - szeptała - święć się imię twoje... - Usiłowała przynajmniej w myślach zwalczyć to przerażające świętokradztwo. - Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy... -powtarzała bez przerwy modlitwę jak mantrę przeciwko złemu, dopóki nie usłyszała szurania sandałów ludzi wracających do klęczni-ków po dokonaniu parodii komunii. -1 nie wódź mnie na pokuszenie... - Rozległy się dzwonki i obecni w komnacie powstali gromadnie. - Ale nas zbaw ode złego...

Maggie patrzyła w skrajnym przerażeniu, jak Erie zaczyna za pomocą jakiejś różdżki kreślić dziwne znaki nad ciałem Cody.

- Przyzywam cię, Szatanie - zawołał - wszystkimi imionami,

Pod którymi możesz przebywać! Niech będą błogosławione nasze wysiłki w służbie Ciemności!

Nastąpiła litania imion Szatana, z których większości nigdy wcześniej nie słyszała.

- Ty, który posyłasz zło, wojnę, nienawiść i rozpacz, przygotuj

swe wspaniałe zastępy, by tej nocy ukoronować zwycięstwem nasze wysiłki!

539

Erie uniósł ramiona w pozdrowieniu niewidzialnej mocy i zawołał grzmącym głosem: - Ja, Erie

Vannier, mistrz nad mistrzami, theurgista nad theurgistami, sługa starych bogów, najwyższy kapłan Sechmet, w prostej linii dwieście dwudziesty ósmy potomek pierwszego Najwyższego Kapłana Matki Ciemności, otwieram niniejszy Sabat, którego pieczęcie były nałożone osobiście przez samą Wielką. Dzisiaj Amulet Izdy zostanie odebrany jej Wysłanniczce. Zważ, Wielka Matko Ciemności i Zarazy, stawiam przed tobą Wysłanniczkę twojej rywalki przebudzoną do jej zadania.

Zaczął przemawiać w starożytnych językach... egipskim, hebrajskim, greckim, enoch i innych, których nie była w stanie rozpoznać. Gdy zaczął wymawiać słowa mocy, Maggie ujrzała, że widok przed jej oczyma zaczyna się zmieniać. Czyżby w tym kadzidle były jakieś środki halucynogenne? Coś działało na jej umysł... z trudem udawało się jej panować nad zmysłami...

Ujrzała, jak ze śpiącego ciała Cody wydobywa się jakaś postać, która zaczyna oblekać wyraźny kształt. To była ta młoda kapłanka, którą Maggie tak boleśnie pamiętała ze swoich snów: córka Mim i Karadena. Na jej szyi połyskiwał złoty Amulet, roztaczający słoneczny blask. Świat Mim otoczył ją z grzotem wielkiej fali; czuła, jak moc amuletu, który kiedyś sprofanowała, wypełnia każdą jej komórkę. Pragnęła pozostać przy własnym umyśle, gdy bilokacja uniosła ją na swej nieodpartej fali.

Eteryčna postać Wysłanniczki Izdy stanęła w postawie cichego posłuszeństwa nad śpiącym ciałem Cody i Erie uśmiechnął się z dumą i zadowoleniem.

Uniół jeszcze raz ramiona, by wezwać Sechmet o udzielenie błogosławieństwa i począł zwracać się do niej, wymieniając długą litanie jej imion mocy; najpierw po angielsku, a potem w jej własnym języku. To również przyniosło efekty.

Nie wierząc własnym oczom, Maggie ujrzała, jak jakaś eteryczna istota opuszcza ciało Ghanii. Tym razem była to postać wojownika: czarnoskórego i okrutnego bez granic. Na jego szyi widniał Kamień Sechmet, który połyskiwał zimnym, ołowianym płomieniem.

540

niem, przypominającym czarny opal. A więc Sechmet również miała swego faworyta.

Wśród zgromadzonych rozległ się pomruk podziwu na widok tak wyrazistych, nieomal materialnych zjaw. Erie odwrócił się ku zgromadzonym z uśmiechem błęgiego zadowolenia na twarzy. Dokonywał niezmiernie precyzyjnych magicznych zabiegów i, jak do tej pory, wszystko przebiegało zgodnie z jego wolą.

- Och, Wielka Matko Zła - zawołał - twe wierne dzieci wzywają cię, byś pokierowała wydarzeniami tej brzemiennej w skutki nocy. Amulet Izdy i Kamień Sechmet zostały wezwane, by się objawiły w eterycznej postaci. Teraz, za pomocą wielkiego zaklęcia

ustanowionego w dawnych czasach, przemienimy Amulet Izdy
w materialną formę. Ja, który wydaję rozkazy aniołom i diabłom,
wzywam cię, byś przybyła nam na pomoc w tym wielkim dziele!

Dał gestem znak pozostałym dwanaścioru Adeptów, by otoczyli kołem Amulety i noszące je zjawy, i
śmiertelnie poważni magowie zaczęli zajmować miejsca wokół mar dziecka.

I wtedy nagle rozpętało się piekło. Odgłosy gwałtownej walki dobiegły z korytarza na zewnątrz
komnaty, wprawiając w dygot zamknięte na rygiel drzwi. Do śpiewów zgromadzonych dołączyły odgłosy
wyrznięć i wrzaski. Po chwili rozległ się trzask pękającego drewna i drzwi do kaplicy runęły do środka.

Do komnaty wpadła grupa ubranych w maskujące stroje komandosów. Uczestnicy ceremonii zamarli
bez ruchu, ale Erie szybko odzyskał panowanie nad sobą. Wykonał rękami gwałtowny magiczny gest i
zaczął wzywać ochrony samego Szatana.

- Cisz! - krzyknął Hazred, wydobywając spod szaty pistolet -
powiedz jeszcze jedno słowo i pójdziesz na spotkanie z tymi dwu
stu dwudziestoma siedmioma, którzy cię poprzedzali.

Erie przerwał w pół słowa.

Hazred odwrócił się do dziecka i nakreślił nad jego ciałem jakieś magiczne znaki, mamrocząc coś,
czego Maggie nie mogła dosłyszeć. Zjawy zniknęły jak mgła pod promieniami słońca i już nie wiedziała,
czy rzeczywiście tam były, czy też padła ofiarą jakiejś zbiorowej halucynacji.

541

- Pilnujcie go! - krzyknął Hazred do żołnierzy, którzy najwy,
rażniej wypełniali jego rozkazy. - Pilnujcie też tych dwanaścioro
jeśli ktoś chociażby się odezwie czy ruszy palcem, zabijcie go
Zależy od tego wasze własne życie i zdrowie umysłu.

Jednak nagle okazało się, że komandosi Mohabratu mają na głowie więcej kłopotów niż
zgromadzona przed ołtarzem trzynastka Adeptów, gdyż za ich plecami rozległy się nowe odgłosy
wyrznięć.

Odwrócili się błyskawicznie ku drzwiom kaplicy, gdy do środka wpadła grupa Abrahama. Ze
wszystkich stron padły strzały. Jeden z pocisków wytrącił broń z ręki Hazreda i Erie dojrzał w tym swoją
szansę. Porwał Cody i osłaniając się jej ciałem, przedarł się przez ogień. Ogólne zamieszanie pomogło mu

w ucieczce. Ghania w jakiś sposób już zdołała zniknąć z kaplicy.

Po kilku sekundach Devlin był już u boku Maggie. Przeciął więzące ją sznury i objęli się szaleńczo na ułamek sekundy.

- Uwolnij Petera! - zawołała, gdy ciągnął ją w osłonięte miejsce, ale ludzie Abrahama już to robili.

- Erie ma Cody! - dodała, przekrzykując hałas.

Wokół siebie widzieli leżące na podłodze ciała i żołnierzy z pistoletami uzi.

Abraham krzykiem wydawał rozkazy po hebrajsku swoim komandosom, którzy dotarli do drzwi kaplicy z podążającym tuż za nimi Peterem. Wszystko działo się tak szybko, że trudno się było zorientować w kolejności wydarzeń.

Maggie usłyszała wołającego do niej gorączkowo starego rabiną, którego nigdy wcześniej nie widziała.

- Pani O'Connor, pani i ksiądz chodźcie ze mną. Wiem, dokąd zabrał dziecko!

- Biegnij - zawołał zza jej pleców Devlin. - Będę cię osłaniał. Izraelczycy są po naszej stronie.

Huragan strzałów ponaglił ją do biegu.

Ze wszystkich części domu dobiegały odgłosy wystrzałów. Kto wie, ilu tam było ochroniarzy i żołnierzy? Sataniści mogli mieć swoją własną armię. Maggie biegła korytarzem za rabinem, nie mogąc pojąć, jak taki starzec potrafi tak szybko biegać.

542

_ Kto to jest? - krzyknęła przez ramię do Petera, który już zdawał się dochodzić do siebie i biegł za nią.

- Bóg jeden wie! - odkrzyknął - ale on chyba wie, dokąd biegnie-

podążali za rabinem w coraz głębsze czeluści starego domu, ścigani przez strzały i krzyki. Zbiegli za nim po krętych kamiennych schodach prowadzących do przepastnych lochów położonych poniżej właściwych piwnic. Ich wykute w skale ściany błyszcząły od wilgoci.

Maggie usłyszała kolejną serię z broni palnej i krzyk Devlina oraz donośne hebrajskie rozkazy. Klekot broni maszynowej był za blisko, by mogła się czuć bezpieczna, ale Devlin był w samym środku tego zamieszania, a ona musiała znaleźć Cody, więc parła

przed siebie.

Pokonali drzwi na końcu krętego korytarza i rabin uniósł rękę, dając znak, by się zatrzymali. Oparł się ciężko o ścianę, usiłując złapać oddech, a Maggie zaryglowała za sobą drzwi, zmartwiona tym, że Dev

został po drugiej stronie.

- Mamy mało czasu, proszę księdza - zwrócił się rabin do Petera. - Za mało na uprzejmości. Jestem Rabbi Icchak Levi i ja również zostałem wezwany.

Peter spojrzął w oczy rabina i dojrzał wyraźnie, że jest to człowiek stojący jedną nogą na tym, a drugą na tamtym świecie, chociaż miało to bardzo mało wspólnego z jego podeszłym wiekiem. Coś poruszyło się w jego wnętrzu pod przenikliwym wzrokiem starca. Znał nadzwyczajną reputację rabina jako badacza, ale teraz przemawiało do niego coś o wiele głębszego - jakaś wspólnota dusz. Rabin był kolejnym człowiekiem, który dotknął mistycznej ekstazy Boga i pragnął jej w wystarczającym stopniu, by dążyć za nim na niebezpieczny teren, gdzie nie było żadnych granic ani znaków.

Rabin skinął głową, nie odrywając ani na moment wzroku od oczu księdza i Peter wiedział, że jest w tej chwili oceniany jak Na-buchodonozor.

- Uważam, że dusza tego dziecka została w jakiś sposób pojmana przez demoniczną energię wezwaną do tego celu przez złych ludzi - powiedział Peter. - Widziałem na własne oczy Amulet i Kamień w eterycznej formie bliskiej materializacji, więc nie mogę ne-

543

gować ich potencjalnego istnienia. Gdyby ich wywoływanie nie zostało zakłócone, to sądzę, że znajdowałyby się już teraz w sferze materialnej.

Wyraz twarzy rabina pokazywał, że się z nim zgadza.

- W tej chwili dusza dziecka jest atakowana - oznajmił. - Widziałem Demona. Pytam cię, co proponujesz, żebyśmy zrobili?

- Musimy ją odzyskać, rebe - odparł zdecydowanie Peter. - Cody znalazła się w opresji nie z własnej winy. Uważam, że jedynym dostępnym dla nas sposobem jest jakiegoś rodzaju egzorcyzm.

- Sposoby, jakimi walczymy z demonami, są bardzo odmienne - powiedział z namysłem rabin. - To nie będzie łatwe zadanie. Nie słyszałem, żeby to się kiedykolwiek udało.

Maggie nie potrafiła już opanować gniewu.

- Nie musicie czekać, aż ci za nami was zabiją, bo zrobię to, do cholery, sama, jak nie przestaniecie gadać i nie weźmiecie się do roboty!

Rabin uśmiechnął się nieoczekiwanie i ruszył ciemnym korytarzem.

- O co prosi pani Boga w imieniu tego dziecka, pani O'Con-nor? - zawołał przez ramię.

- Żeby była ocalona, jeśli taka jest wola Boża - odparła Maggie, śpiesząc za nim - żeby była chroniona przed tym wszystkim, co jest złe.

- A dla siebie samej?

- Żebym miała odwagę znieść wszystko, cokolwiek Bóg postanowi.

Rebe odwrócił głowę, przesywając ją do głębi duszy swym przenikliwym wzrokiem. Nie miała najmniejszej wątpliwości, że on potrafi odczytać, co jest tam wypisane.

- Czy powierza nam pani to zadanie, które proponuje pani

przyjaciel ksiądz?

Maggie skinęła potakująco głową.

- Dlatego, że jesteśmy uczonymi mężami?

- Nie - odparła zdecydowanym głosem. - Dlatego, że uważam, iż jesteście dobrymi ludźmi.

544

- Wie pani, oczywiście, że moja wiara jest bardzo różna od waszej. Jeżeli spróbuję dokonać tego, co proponuje ojciec Peter, to muszę to zrobić zgodnie z misteriami judaizmu. Czy to panią niepokoi?

- Nie.

- A dlaczego nie?

- Bo prawda jest prawdą, rebe - rzekła bez wahania. - To, jaką ścieżkę człowiek do niej wybiera, z pewnością jest nieistotne dla

Boga.

Rabin skinął głową, a na jego ustach pojawił się ślad uśmiechu.

- Więc zaczynamy - oznajmił.

Spojrzał na widniejący na wprost przed nimi wielki kamienny łuk i ruszył przed siebie jak Jozue na równinie Jerycha.

Przestrzeń nad łukiem była ozdobiona precyzyjnie wyrzeźbionymi odrażającymi gargulcami. Rabin zatrzymał się przed portalem i Maggie dostrzegła, że ciemność za nim jest inna od tej, jaką kiedykolwiek widziała. Była w jakiś sposób lepka i tak smolście czarna, że czuła się tak, jakby patrzyła w nieskończoność.

- To jest zamknięty portal pomiędzy wymiarami - powiedział

rabin do Petera. - Czujesz emanację zła?

Otoczyło ich dotkliwe zimno, a mdlące zło poczęło wyciekać z komnaty, utrudniając im oddychanie.

- Otwórz nam te drzwi! - zażądał rabin, zaskakując Maggie po

tężnym brzmieniem głosu.

W odpowiedzi na jego wołanie rozległo się trzeszczenie przypominające wyładowanie ładunków elektrycznych, a powietrze wokół nich zadrżało. Po kilku sekundach pojawił się przed nimi widok oświetlonej przez świece komnaty. Dojrzeli leżącą Cody, a obok niej Erica.

- Witam u Wrót Szatana - zawołał Erie - możecie pokonać bra

mę piekieł, ryzykując własną duszę.

Peter i rabin wymienili spojrzenia i ruszyli do środka, a Maggie przestąpiła ze strachem próg, myśląc o tym, że nic, absolutnie nic na świecie poza Cody nie byłoby w stanie skłonić ją do wejścia do tego przerażającego wnętrza.

Erie uniósł lewą ręką intonując jakąś niezrozumiałą dla niej formułę, i Maggie poczuła, jak wejście zamyka się szczelnie za ich plecami.

545

Rozdział 86

Dysząc ciężko po szaleńczej ucieczce, Ghania dotarła do swoje»0 pokoju, zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie, z trudem chwytając oddech. Niech będzie przeklęty ten Hazred - zdrajca! Otworzyła p0_ spiesznie komodę i odetchnęła z ulgą na widok swych nietkniętych narzędzi. Niech dzięki będą Ciemności za to, że była Najwyższą Kapłanką Złego Pana na tyle długo, by wiedzieć, że nie można zostawiać niczego przypadkowi.

Erie poniósł klęskę, ale to nie znaczyło, że ona też musi przegrać. Nie mogła sobie pozwolić na tracenie czasu, rozpamiętując porażkę.

Szybko wydobyła potrzebne jej rzeczy i przygotowała ołtarz. Ona również posiadała starożytną wiedzę, która pozwalała jej uwięzić Ka dziecka i przechwycić podwójne trofeum.

- Ach, maleńka Wystanniczko Izdy - mamrotała, przygotowu

jąc się do rytuału. - Pragniesz uciec przed swym losem, ale Ghania

jest stara i przebiegła i myśli o wszystkim. Twoje paznokcie, wło

sy, krew, pot... mam to wszystko. Ciebie też będę miała, kiedy prze

prowadzę swój rytuał!

Wkroczyła w Rytualną Ciszę i wykonała trzy okrążenia w kierunku przeciwnym do kierunku ruchu wskazówek zegara. Nalała porcję krwi do pucharu i, mamrocząc zaklęcia, zanurzyła w niej lalkę przedstawiającą Cody. Potem wyjęta z leżącej na ołtarzu poduszki długą, śmiercionośną szpilę i już miała przebić serce lalki, gdy potężne uderzenie od tyłu wytrąciło z jej rąk puchar z krwią.

Ellie, mokra i prawie naga, stała przed kapłanką z zakrwawionym krisem w jednej ręce i z labrysem w drugiej. Zdobyła je w kolekcji na dole: ona też miała swój awaryjny plan.

- Próbowałaś mnie utopić, wiedzmo? - zapytała niskim, groźnym tonem. - Myślałaś, że jesteś jedyną, która kiedyś znała bogów morza?

Ghania chwyciła swój nóż, rozpinając dżelabiję. Szata zsunęła się na podłogę, a ona odsunęła ją od siebie kopniakiem. Stały twarzą w twarz. Ghania była większa i cięższa, ale patrząc w oczy Ellie, wiedziała, że stoi przed godnym siebie przeciwnikiem.

546

_ Na śmierć! - rzuciła wyzywająco.

_ Będziesz mogła dziękować swoim bogom, jeśli nie będę cię ' jeała jeszcze dalej, wiedzmo! - odparła Ellie z ponurą i wściekłą

miną-

Zaczęły krążyć wokół siebie, badając się z gotową do użycia

bronią. Ghania uderzyła pierwsza: ostrze jej noża rozpruło powietrze o włos od podbrzusza Ellie, która wykonała unik w lewo i z gracją baleriny sięgnęła głową Ghanii mocnym kopnięciem. Przeżyła jedno ze swych wcieleń na kreteńskiej arenie walki z bykami i nigdy nie zapomniła umiejętności, których tam nabyła w obliczu śmierci. Ghania jęknęła, gdy jej głowa odskoczyła do tyłu, ale dalej parła do przodu.

Każda usiłowała wpatrzeć się w oczy rywalki, tak jak to robią magowie, ale były sobie równe w umiejętnościach i żadna nie pozwalała drugiej na dostęp. Ellie zacisnęła zęby, gdy nóż wiedzmy przejechał jej po udzie, obróciła się w uniku i pchnęła kris w jej ramię.

Okręzały się jak tygrysyce. Ellie zadała cios dwusiecznym toporem, którego ostrze przecięło powietrze przed piersiami Ghanii. Gdyby sięgnęło celu, rozplątałoby ją od szyi do podbrzusza. Wiedzma odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się, ale Ellie odpowiedziała na jej przeraźliwy śmiech wojennym okrzykiem Iroke-zów, który mroził krew w żyłach wojowników wroga od czasów, kiedy lud Adoni nauczył jej plemię tego zawołania. Wojenny okrzyk na chwilę zakłócił pole energii Ghanii - magia amerykańskich Indian była jej obca - jednak zdołali na tyle odzyskać równowagę, by rzucić się przed siebie i potężnym uderzeniem w nadgarstek wytrącić topór z ręki Ellie.

Walczyły jak Amazonki, parując ciosy, zadając uderzenia i wykonując uniki. Ich umiejętności bojowe były równe w takim stopniu, że tylko wyczerpanie lub los mogły przechylić szalę zwycięstwa.

Ghania wyrzucała z siebie magiczne formuły, a Ellie usiłowała zrozumieć, do czego zdążają te zaklęcia. Jezu! Wzywała demony. Otwierała psychiczne drzwi, by otworzyć dostęp od świata spektralnego. Chryste! Wszystko mogło teraz pokonać astralne wrota...

547

Ellie gorączkowo usiłowała wymyślić sposób na powstrzymanie astralnych istot, ale coś już się materializowało przed jej oczami, chociaż nadal walczyły. Kobieca postać, chuda i bezkrwista, z oczyma tak pełnymi żądy krwi, że spojrzenie w nie wywoływało ból. Ellie cofnęła się przerażona. Utraciła już za wiele sił, by walczyć jednocześnie w obydwu sferach.

Jednak ta zjawa nie była jej wroga, lecz rzuciła się zaciekle na Ghanie, odrzucając Ellie na przeciwległy skraj komnaty.

Jezu Wszechmogący! To Jenna!

Zjawa uczepliła się jak eteryczna pijawka, dusząc wiedźmę mocą jej własnej, odwróconej o sto osiemdziesiąt stopni magii.

Ellie, ranna i dysząca z wyczerpania, osunęła się na komodę, patrząc z fascynacją, jak Ghania usiłuje uwolnić się z oplątującego ją eterycznego uścisku.

Stara wiedźma próbowała przekląć swą prześladowczynię, wyrzucając z siebie zaklęcia w tuzinie różnych języków, ale każde z nich było odrzucane przez zjadłość zjawy Jenny, zanim jeszcze je skończyła. Jej zaciekłość była tak intensywna, że Ellie musiała odwrócić wzrok i wtedy dojrzała upuszczony topór. Sięgnęła po niego instynktownie, gdy Ghania, chwając się, znowu ruszyła ku niej.

- To za Cody! - wrzasnęła zjawa tłukąc wiedźmę we wszystkie

wrażliwe części ciała. - A to za mnie!

Chwyciła ją od tyłu za szyję i potężnym pchnięciem cisnęła ku Ellie, która uniosła topór nad głowę i jednym ciosem rozplatała wiedźmę od czoła do obojczyka. Ghania osunęła się na podłogę z wbitym w ciało toporem.

- A to było za Boga - rzuciła Ellie pod adresem masywnych

zwłok, które legły u jej stóp.

Podniosła wzrok, by zobaczyć, że eteryczna istota już zaczyna znikać. Nigdy wcześniej Ellie nie widziała twarzy wyrażającej jednocześnie większy tryumf i zarazem większy smutek.

Uklęła i zaczęła się modlić.

* * *

548

Devlin przykucnął na lewo od Abrahama w jedynym osłoniętym miejscu, jakie znaleźli w tej części długiego, kamiennego korytarza. Rozgrywająca się za ich plecami potyczka była krwawa i szybka: Izraelczycy byli prawdziwymi zawodowcami. Odgłosy walki dochodziły nadal z różnych rejonów domu. Vannier i jego kompani najwyraźniej nie tylko zatrudnili na wypadek takiej sytuacji uzbrojonych strażników, ale też przygotowali miny-pułapki.

Ludzie Abrahama walczyli zarówno z komandosami Mohabratu, jak i z ochroniarzami, którzy wyglądali bardziej na najemników niż miejskich ochroniarzy, zarówno jeśli chodzi o wyszkolenie bojowe, jak i uzbrojenie. Było to prawdopodobne, gdyż biorąc pod uwagę jego powiązania w światku handlarzy bronią i narkotykami, Vannier miał dostęp do najlepszych najemników, jakich można było znaleźć.

Devlin dojrzał snajpera, akurat gdy Abraham miał wysunąć się na korytarz. Nie było łatwo oddać strzał w tym półmroku, a poza tym snajper był lepiej ukryty niż oni, lecz detektyw trafił go pierwszym strzałem.

Abraham dotknął jego ramienia w geście uznania i wyszedł cicho na pusty już korytarz. Zanim dotarli do zamkniętych drzwi na jego końcu, wszelkie odgłosy strzałów za ich plecami już ustały.

- Sprzątanie? - rzucił krótko Dev.

Abraham skinął głową.

- Musimy znaleźć dziecko i wynieść się stąd, zanim ta strzelanina sprowadzi policję.

- Mamy tu dwadzieścia akrów prywatnego terenu plus zatokę Long Island - zauważył Devlin. - To da nam trochę czasu.

Abraham mruknął coś niezrozumiale w odpowiedzi, usiłując pokonać drzwi. Kiedy nawet nie drgnęły, roztrzaskał serią zamek i po kilku sekundach byli po drugiej stronie, patrząc na czarną czeluść portalu na wprost nich. Wewnątrz ciemnej komnaty dojrzeli niewyraźne kontury osób. Wymienili się spojrzeniami i Devlin ruszył w kierunku wejścia oddzielającego go od Maggie i Cody, jednak nie mógł się przez nie przedostać.

Wstrząśnięty spotkaniem z jakąś energią, która odrzuciła go do tyłu, naparł całym ciałem na pole siłowe. Tylko nieznaczny elektryczny impuls zdradził istnienie psychicznej bariery.

549

Zaskoczony Abraham przyłączył się do ;g0 wysiłków, również bez rezultatu. Devlin zawołał Maggit jednak dźwięk nie mógł przeniknąć do środka. Zdezorientowani spojrzeli sobie. Jak ci inni tam się dostali? Co za energ,, odpychała ich mych?

Abraham podniósł rękę, by obmacać krawęd/e portalu, w pos,<. kiwaniu odpowiedzi na pytanie, co wytwarza tę x>wstrz\ mującą , siłę.

- Moi ludzie zaraz tu będą - powiedział. - V.ejdziemy tam, gi,
tylko dotrą posiłki.

* * *

Znalazłszy się we wnętrzu mroźnej komnat Maggie musiał podjąć walkę o zachowanie psychicznej i fizyczn^j równowagi, f nujące tam zło było tak namacalne i intensywne że oplatało jej fr łę witalną, wysysając ją i odciągając energię, jak • zarna dziura, kfc-ra połyka wszystko na swojej kosmicznej ścież-;e. Wyregulowa,,; oddech, modląc się o obronę, ale miała wrażenie że nawet jej nr, dlitwy nie mogą się wydostać z tego miejsca i w;acają do niej.

Zbliżyła się do Cody, która leżała, blada jak lilia, na wielkim k; miennym ołtarzu pośrodku komnaty. Kamień wyglądał na prastar i emanował zimnem arktycznego lodowca.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć dziecka, i oczy G,dy otworzyły s\ -raptownie. Maggie cofnęła się wstrząśnięta. Cody patrzyła na nią złymi, obcymi oczami.

Peter również wyraźnie dostrzegł Złą Istotę. U-zynił znak krz> za i otworzył „Rzymski rytuał egzorcyzmów”. Ludzie, którzy gt pojмали, na szczęście nie zauważyli książki, ponieważ nie ukrył je w habicie, ale w kieszeni spodni.

- O Boże! - rozpoczął modlitwę. - Niech moje ułomności nit
przechylą szali przeciwko nam.

Maggie cofnęła się instynktownie przed nies,imowir.m zlen. wypełniającym spojrzenie dziecka, nie dotknąwszy g0_ p^eniosłci wstrząśnięty, pytający wzrok na Petera, ale ra.l.jn odezwał się pierwszy.

550

_ Są tutaj - rzekł. - Demony. Jest ich wielu, ale jeden im przewodzi.

Peter spojrzał na starca, który stał z zamkniętymi oczami. Było oczywiste, że widzi oczyma duszy.
_ Ty sukinsynu! Co zrobisz Cody? - krzyknęła Maggie.

- Wypędziliśmy jej duszę, moja droga Maggie, do miejsca,

w którym będzie uwięziona na wieczność - odparł Erie. - Teraz nie jest niczym innym, tylko siedliskiem demonów. Gdybyśmy byli do końca Materializację, to sama Sechmet wcieliłaby się w jej osobę i zapewniła nieśmiertelność. Ale ponieważ przeszkodzono nam w raczej nieuprzejmy sposób, nie miałem innego wyboru, tylko przenieść ją tutaj. Teraz, oczywiście, zmaterializuję Amulety i zabiję was.

Niespodziewanie dla siebie samego Peter poczuł nagle większą śmiałość. Może wynikało to ze świadomości, że dotarł na pole ostatecznej bitwy. Zbliżył się do Erica.

- Najbardziej korzystna pora Materializacji minęła, Vannier - powiedział zdecydowanie. - A jeśli chodzi o zabicie nas... to nie masz żadnej broni, a nas jest więcej.

- Więc po prostu wezwę Księcia, by was zabił - odparł z pogardą Erie.

- A dlaczego miałby to zrobić? Twój Książę bez wątpienia pogardza przegranymi, przynajmniej w takim samym stopniu, jak książęta w świecie doczesnym.

- Nie ma tu mowy o żadnym niepowodzeniu. Po prostu nastąpiła zmiana planów.

Erie odwrócił się od nich, kończąc rozmowę i w tej samej chwili powietrze wokół nich zaczęło trzeszczeć złowieszczo.

- Przegranym śmiertelniku - rozległ się nie wiadomo skąd grzmiący głos. - Wybrałeś swój los!

Ściany zadrżały od mocy tego głosu, a Erie nagle chwycił się za gardło, jakby dusiła go jakaś niewidoczna dłoń. Wszyscy troje widzieli, jak usiłuje chwycić oddech, niby człowiek z katowską pętlą na szyi.

- Pora zapłacić! - zagrział ten sam okropny głos, napelniając ich wszystkich okropnym drżeniem.

551

Erie został porwany przez jakieś istoty, których nie widzieli, ale których siła musiała być niewyobrażalna. Poczęły miotać jego masywnym ciałem po całej komnacie, tak jakby było woreczkiem do zabawy w rękach oszalałych dzieci. Przez chwilę zdało się zawi-snąć do góry nogami na jakimś

niewidocznym rzeźnickim haku, a potem powielokroć uderzyło o ściany i sufit z odgłosem łamanych kości.

Demony ze śmiechem rozrywały Erica na strzępy. Oderwały mu żywcem ręce i nogi od tułowia, a jego wrzask nieomal zagłuszył okropne odgłosy pękającego ciała. Komnatę wypełniły odgłosy masakrowanego ciała i miażdżonych kości, odór spalenizny i ryk jakiejś bestii, która z pewnością nigdy nie opuszczała Otchłani, ale żyła w rozlewisku krwi u stóp swego infemalnego Mistrza.

Wstrząśnięta tym niesamowitym widowiskiem Maggie usiłowała odwrócić głowę, ale rabin powstrzymał ją twardym głosem.

- To nie jest nic gorszego niż to, co on robił innym, pani

O'Connor. To sprawiedliwe.

Odgłosy masakry ucichły, a oni stali, oszołomieni i niepewni, co robić dalej.

- Peter, Peter, Peter! - rozległ się nagle męski głos, przykuwa

jąc na powrót ich uwagę do ołtarza.

Głos wydawał się wydobywać z Cody, ale usta dziecka nawet nie drgnęły.

- Tak się cieszę, że odpowiedziałeś na moje wezwanie! Użyłem

tym razem sprytniejszej metody, nieprawdaż?

Peter zmarszczył brwi. Znał ten głos. Słyszał go ostatnim razem w indyjskiej wiosce dwanaście tysięcy mil od Greenwich.

Zebrał w sobie siły przeciwko nagłemu przyptywowi strachu, który wywoływał w nim ten głos i przez chwilę niemalże zapomniał o spoczywającym na ołtarzu dziecku. Zaczerpnął głęboki oddech i spojrzawszy na trzymany w ręce „Rytuał egzorcyzmów”, zaczął nabożnie odczytywać formuły pochodzące z pierwszych wieków chrześcijaństwa.

- Nie pomnij, o Panie, na grzechy nasze i grzechy naszych

przodków... - czuł, jak moc rytuału wypełnia go poczuciem odno-

552

w\ Wszelkie myśli o samym sobie zaczęły znikać, zostawiając tylko :e przepiękne mocą słowa. - Nie wódz na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego... Zbaw to dziecko, twojego sługę, gdyż pokłada w "obie nadzieję, mój Boże.

- Odpierdol się, ty tchórzliwa sterto gnoju! - wyrzuciło z siebie

dz: *cko obcym głosem. - Ona została nam oddana za darmo na ca

łą wieczność... ty też będziesz, zanim skończymy.

Peter czuł, jak ogarnia go Zła Istota, cieknie wokół niego jak ścima lodowatego śluzu, szukając miejsc, przez które może wniknąć: - Jestem sam! - pojawiła się w jego mózgu nagła myśl, a *raz z nią irracjonalne przerażenie. Czuł się tak, jakby jakaś niewidzialna ręka chwyciła jego struny głosowe w akcie gwałtownej napaści. Wiedział, że tego rodzaju starcia zazwyczaj powoli nabierają gwałtowności, ale ten atak już teraz porażał swoją zajadłą ścią.

Sam. Sam. Sam! - powtórzyła przedrzeźniająco Zła Istota gdzieś w środku jego umysłu. - Zawsze będziesz sam!

- Nie jesteś sam! - zaprotestował rabin.

Jego głos zabrzmiał czysto, mocno, spokojnie. Potrząsnął Peterem, przywracając go na powrót do rzeczywistości.

- Nie próbuj ze mną, kurwa, sztuczek, świński kapłanie! - za

piszczął ponuro demoniczny głos. - Będę ssać twojego kutasa

w piekle!

Z ust dziecka wydobył się szaleńczy śmiech, rozrywający powietrze na strzępy. Maggie była sparaliżowana z szoku. To wprost niepojęte, żeby to coś na ołtarzu było Cody. Opuściła głowę, usiłując się modlić.

Peter spojrzał na rabina i dostrzegł, że jego opanowanie nie zmałało ani odrobinę. Było widoczne, że nie ma zamiaru wdawać się w rozmowę z Istotą.

Czuł wyraźnie, że starzec śledzi konfrontację na jakimś innym, wewnętrznym poziomie jasnowidzącej świadomości.

- Duchu nieczysty! - wygłosił Peter. - Kimkolwiek jesteś ty i wszyscy twoi towarzysze, którzy opętali tego sługę bożego...

- Ty wiesz, kim jestem, Messenguer! - zawołał triumfująco głos. - Spędziłem całe życie u twego boku. Jestem Księciem Du-

553

my! Twoim kosmicznym odpow"dnikiem. Jestem tym, który tajj sprytnie wiódł cię ścieżką w ogniu, że nigdy mnie o to nie podejrzewałeś. To ja obdarzyłem ci; intelektem... to ja sprawiłem, że twoja rozbuchana, krwiożercza d~ma utopiła twą wiarę w racjonalizacjach. Och, te twoje głupie żaosne wysiłki

poznania Boga! Peter wielki! Peter dumny! Peter, kury myśli, że może pieprzyć tę sukę, a Bóg nie zauważy!

- Skoncentruj się! - gwałto i y głos rabina przedarł się do świadomości Petera.

- A ty, stary hipokryto! - rykroł demon, przenosząc nagle całą uwagę na rabina. - Myślisz, że ze-tawię cię w spokoju?

Rabin poczuł, jak grunt zaczyr.i drzeć, a wokół niego unosi się okropny odór. To był odór, którego ligdy nie mógł zapomnieć. Płonące ciała, krematoria. Devora!

Odór zelżał, ale żelazny uściw. który chwycił jego serce, nie zniknął.

- Cierpliwości, człowieczku! - zawołał demon ustami Cody. -

Zabawię się z tobą później.

Rabin poczuł, jak włosy jeżą nu się na karku i ściska go w żołądku. Co za szaleństwo, bym ba) Ę czegokolwiek w moim wieku - napomniał się, ale odór Auschv tz pozostał w jego nozdrzach, a wspomnienie Devory sprawiło, :-? - stracił siły. Zmusił się do skoncentrowania uwagi na powrót na gęsie księdza i znowu posłał swój umysł w kosmos, szukając nieskoi.zoności.

Peter z wysiłkiem wypowiada: yrażnie słowa rytuału. Ostrożnie, Peter - napomniał się - nie s&' panowania nad sobą.

- Długa droga z Kalwarii, rzec wiście - wysyczał demon, za

nim Peter dokończył tę myśl. -\ udęty balonie! Nigdy nie przy

szło ci do głowy, że droga była tak -Uga, ponieważ szedłeś w złym

kierunku?

Szaleńczy śmiech demona pchnął się po wnętrzu komnaty przyprawiającymi o mdłości falar raniąc do żywego nerwy ich wszystkich. Maggie odszukała ocuni wzrok Petera i zobaczyła w nich żywy ból.

- Jak bezmyślnie pozwoliłeś m wprowadzić się prosto do Ge

henny - drobny skręt tutaj, prz em iny skręt tam, i twój wybitny

55-

intelekt sprawnie doszedł do wyłącznie błędnych wniosków! Sam powiedziałaś, że to nie wielkie decyzje zaprzędają człowieka, Peter, ale że to drobne zaniedbania, drobne folgowanie sobie otwierają drzwi Wrogowi.

Czy to może być prawda? - umysł i serce Petera nieodwołalnie zsuwały się ku Otchłani. - Drogi, wszechmogący Chryste, a jeśli to jest prawda?

Przerazająca myśl wybiła go z rytmu, nagle nie był w stanie przypomnieć sobie, w którym miejscu tekstu się zatrzymał.

- On kłamie! - zawołał zdecydowanie rabin. - On nie jest związany Prawdą!

Głowa dziecka obróciła się gwałtownie ku rabinowi z niesamowicie lubieżnym uśmiechem na ustach.

- Was Du erlebst, kann keine Macht der Welt Dir rauben - powiedział głośno doskonałym niemieckim. - To, czego doświadczyłeś, nie może być odebrane przez żadną ziemską moc.

Wszystkie oczy zwróciły się na rabina.

- Była tak delikatna i czysta, prawda, liebchen! - wyszeptał zmysłowo demon. - Jej włosy, skóra, sposób, w jaki nocą wymawiała w łóżku twoje imię. Dlaczego jej nie uratowałeś? Tchórz! Samo lubna glista! Zgwałcili ją, wiesz o tym. Wszystkich sześcioro. Też myśleli, że jest delikatna i ładna. Kazali jej, żeby im obciągała, wiesz o tym, Icchak? Powiedzieli, że jak nie wypije każdej kropli, to zamęczy cię na śmierć. Myślała, że ratuje cię, takie nieszczęsne, przerażone niewiniątko. Ale uratowała tylko nieszczęsnego starego oszusta, który mówi ludziom, że jest święty, chociaż prawda jest taka, że pozwolił, żeby za niego zamęczono jego żonę. Umarła w cierpieniu, Icchak. Oczywiście, do tego momentu już całkiem odeszła od zmysłów. Wiedziałaś, że patrzyła, jak zabijają dzieci?

Ból ściągnął twarz starca, a łzy niepowstrzymane potoczyły się po jego policzkach, ale nie ustępował.

Devora... Devora. Przyłóż mnie do swego serca... Miłość jest równie potężna jak śmierć. Cekał całe życie, by znaleźć ją na nowo. Śmierć mogła mu przynieść tylko spokój...

Z wielkim wysiłkiem zmusił swą świadomość do powrotu do teraźniejszości. W jego uszach

rozbrzmiewały gwałtownie słowa To-

555

ry: „gdyż Bóg, twój Pan, wystawia cię na próbę, by wiedzieć, czy kochasz Pana swego całym sercem i duszą”.

Peter widział, jak zręcznie złowroga Istota umieściła zatruty harpun w sercu starca. Natarł na demona rozwścieczony jego złem.

- Wyklinam cię, duchu nieczysty! - zagrzmiął. - Podstępny wrogu! Wszystkie duchy! Was wszystkich! W imię...

- Rozmawiajcie ze mną, panowie! - wrzasnął głos, zagłuszając słowa Petera. - Rozmawiajcie ze mną! To wcale nie wystarczy! Chowacie się za drukowaną kartką. Wezwałem was na zapasy, a nie szachową rozgrywkę. Będziecie ze mną walczyć wprost, bo jak nie, to zabiję dziecko, zanim jeszcze skończysz czytać ze swojej głupiej książeczki!

Dla potwierdzenia groźby demona ciało na ołtarzu zaczęło nabrzmiewać: ramiona i nogi dziecka nadymały się jak balony. Mag-gie stała sparaliżowana, patrząc na tę okropność i nie wiedząc, co robić. Twarz Cody wykrzywiała się z bólu, a okropny jęk wydobywał się z jej ust.

- Rozkazuję ci wyjść z tego dziecka bez czynienia mu żadnej krzywdy! - rozkazał rabin. - Nie masz tu żadnej władzy!

- Żadnej władzy! - wściekły głos demona wstrząsnął komnatą. - To ja zniszczyłem Świątynię.

Jego śmiech raz po raz nabierał intensywności, to znowu cichł, tak jakby wszystkie domy wariatów na świecie wypuściły swych najbardziej wykolejonych pensjonariuszy.

- Użyję Słów Mocy, by wyprzęgnąć... - zaczął rabin.

- Słowa Mocy! - wykrzyknął demon. - Och, porozmawiajmy o Słowach Mocy. Tchórz. Nikczemnik. Łajdak. Dezerter. Nie chcieli od ciebie nic poza jednym Imieniem. Nie pamiętasz, liebchen! Proszę... Pomogę ci...

Rabin cofnął się chwiejnie, jakby ktoś zadał mu potężny cios w splot słoneczny i zanim zdołał odzyskać równowagę, poczuł, jak jest przenoszony wstecz w czasie...

Wokół niego leżeli martwi i umierający. Zaprowadzili go na skraj zbiorowej mogiły. Zmusili go, by patrzył, jak kopią swój grób w ostatnim upokorzeniu. Zmusili go, by patrzył na wychudłych jak szkielety ludzi, niewiele różniących się od łopat, które trzymali

556

w rękach. Byli zabijani pałkami lub strzałami w tył głowy przez śmiejących się żołnierzy. Zmusili go do słuchania jęków o litość niedobitych, którzy czuli rzucaną na nich łopatami ziemię.

- Możesz ich uratować! - mówili mu. - Powiedz nam Imię.

Jednak jego usta były zamknięte, a ci ludzie zginęli, chociaż ich ból został w nim na zawsze.

Potem pokazali mu kobiety i dzieci w szpitalu. Wygłodzone, cierpiące na gangrenę i umierające.

- Możesz je uratować - powiedzieli. - Powiedz nam Imię!

Jednak on trwał w uporze, chociaż serce krajało mu się i krwa wiło w jego piersiach.

Potem pokazali mu jego ukochaną. Devorę o łagodnych oczach i jeszcze łagodniejszym sercu. Matkę jego dzieci, towarzyszkę jego duszy. Jedyłą prawdziwą miłość, jaką miał znać. Naga usiłowała zakryć dłońmi swe zwiędłe od głodu piersi, kiedy ją obmacywali. Nie błagała o litość tam, gdzie jej nie było, ale w ostrym świetle wiszącej u sufitu gołej żarówki widać było błyszczące łzy, które spływały z jej pięknych, zrozpaczonych oczu. Wepchnęli go do środka, żeby patrzył. Umarła wtedy w swej duszy, wiedział o tym. Spojrzała w jego oczy i dojrzał przerażenie i poniżenie, które były okropniejsze niż śmierć.

- Możesz ją uratować! - powiedzieli. - Podaj nam Imię!

- Rebe, rebe! - krzyknął Peter, potrząsając go za ramiona. - Słuchaj mnie! To demon ci to robi! Musisz mnie słuchać.

- Nie mogłem im powiedzieć - wyszeptał zdruzgotany starzec.

Peter wiedział, że demon może tego dokonać. Przyssać się do

najokropniejszego przeżycia człowieka i wykorzystywać je od środka, wywołując poczucie bezbronności, zdruzgotania i bezsily. Rabin był stary, a zniesienie tak gwałtownego ataku wymaga wielkiej siły fizycznej.

- Chcieli tajemnego Imienia Boga - wyszeptał. - Nie mógłbym go wypowiedzieć nawet po to, by ją uratować...

- Nie. Nie, oczywiście, że nie - powtórzył Peter, trzymając w ramionach tego silnego duchem starca, który teraz osłabł z bólu.

- To byli Ludzie Kłamstwa, rebe. Nie dotrzymaliby umowy. Zrobiłeś to, co musiałeś zrobić.

Peter obrócił się do demona. Czuł wściekłość na to niewyobrażalne zło, które miażdżyło wszystko, co stało na jego ścieżce. Wiedział, że uczyni to samo z całą ludzkością, jeśli nie zostanie powstrzymane.

- Dałeś mi to zaproszenie, demonie! - krzyknął, starając się pannać nad swym gniewem. - Zobaczmy, dlaczego.

Był świadom tego, że odchodzenie od przepisane go rytuału jest niebezpieczne: „Nigdy nie wdawaj się w dyskusję ze złą istotą” -zasada, której nie wolno naruszyć. Ale on musiał sprowokować tę Istotę do odsłonięcia się.

Cody zwróciła ku niemu swe niewidzące oczy, krzywiąc usta w złowrogim grymasie.

- Egotysta do samego końca - zaśmiał się demon z satysfakcją. -

Przekonany, jak zawsze, że to on jest najważniejszy. Ale to nic nie szkodzi, Peter. Zabawimy się. Masz więcej wad, którymi się można zabawić, niż ten starzec.

Peter zmusił się do przeniesienia wzroku na powrót na książkę. Nie wolno mi dać się skusić przez tego stwora, bo zginiemy - pomyślał i na nowo zaczął wygłaszać formuły egzorcyzmów.

- Ten, który tobie rozkazuje, jest tym, który kazał strącić cię z niebios w otchłań piekła. Ten, który ci rozkazuje, jest tym, który zapanował nad morzem, wiatrem i gwiazdami. Słuchaj więc i lękaj się, szatanie! Wrogu wiary. Wrogu ludzkiej rasy!

- Och, ludzka rasa! - wysyczał demoniczny głos. - Rasa łajna! Rasa trupia! Czy nie wiesz, że już przegraliście w tej walce? Mamy wszystkie karty, Peter, ty oszuście! Naprawdę myślisz, że ludzka rasa chce, żeby wygrał Bóg, ty eklezjastyczny idioto? Czy kiedykolwiek widziałeś coś, co wskazywałoby na to, że świat nie jest po naszej stronie? Rozejrzyj się wokół siebie! Twoi ukochani ludzie gwałcą, torturują, okaleczają i zabijają. Z chciwości i skąpstwa, a nawet dla swoich wydumanych świętoszkowatych ideałów. Ludzie wydają sobie nawzajem walkę na śmierć i życie! Przecież oni wydają wojnę nawet swojej własnej planecie, bo dysponują odpowiednią techniką. Twoja ukochana ludzka rasa jest tak chciwa, że wysysie cały ozon, aż wszystkie żywe istoty umrą na raka. Zniszczy lasy tak, że już nie będzie wcale powietrza, żeby nim oddychać i za-

558

truje strumienie i rzeki, aż nie pozostanie przy życiu nic oprócz mutantów. Nie zapominajmy, jak nieludzki jest człowiek dla człowieka, Peter, mój święty, nabożny głupcze!

Messenguer czuł, jak myśli wymykają mu się, uciekają... usiłował je przywołać, gdy dotarł do niego głos rabina intonującego modlitwę.

- Hofked alav rasha v' Satan al y' min...

Peter rozpaczliwie usiłował skoncentrować się na hebrajskich słowach, gdy rabin powtórzył ten sam werset, tym razem od tyłu. Pamiętał, że istnieją pewne kabalistyczne zaklęcia, które mogą przyzwać anielskie moce...

Zmusił się do spojrzenia na tekst, wdzięczny rabinowi za wsparcie, i zaczął znowu głośno czytać.

- Boże, stwórcu i obrońco ludzkiej rasy, wejrzyj na swego sługę...

- Rzeczywiście, stwórcu i obrońcu ludzkiej rasy! - zawołał przedrzeźniająco demon. - Peter: zbrukany kapłan, który usiłuje dyskutować z większymi od siebie... ale nie uważam tego za zarzut przeciwko tobie. Mogę ci nawet dać szansę wygranej. Oczywiście, będziesz musiał przyjąć moje wyzwanie, żeby do tego doszło.

Głos demona przybrał uwodzicielskie brzmienie.

- Mogę dać ci wszystko, czego pragnie twoje serce, wiesz o tym... - zachęcał go. - Każdy człowiek ma swoją cenę. Spójrz, co ja oferuję...

Znowu w ich umysłach pojawiły się wizje. Tym razem wizje ich najbardziej skrytych marzeń... Och, jak trudno było je odepchnąć, gdyż demon pokazywał im rzeczy, których pragnęli ponad życie. Najbardziej rozpaczliwe potrzeby ich serca i duszy... Czym w końcu były te głupie amulety w porównaniu z tak ogromnymi pragnieniami? I dlaczego taki ciężar miałby spaść na ramiona kogoś, kto jest tylko człowiekiem?

* * *

Ellie pokonała ostatni zakręt podziemnego labiryntu i dotarła do schodów akurat w momencie, gdy znaleźli się tam dwaj ludzie Abrahama.

559

Jeden z nich chwycił ją za lewe ramię gdy próbowała przebiec obok niego, ale zakrwawiony topór, który trzymała w prawej ręce świsnął w powietrzu tak szybko, że komandos padł, zanim jego towarzysz zdołał zareagować.

- Puście ją! - rozległ się echem w ciemnym korytarzu głos Abrahama. - Przepuście tę kobietę!

Po kilku sekundach już była u ich boku. Wpatrzyła się w widniejący przed nimi portal z wyrazem głębokiej koncentracji na twarzy.

Wojownicza - zauważył Abraham. Znał ją z dossier, ale to był dla niego nowy fakt. Nie znała skrupułów. Prawdopodobnie właśnie zabiła jego żołnierza, ale nie widział w jej twarzy żadnych dziewczęcych wyrzutów sumienia, tylko koncentrację na postawionym sobie celu.

- Są tam, w środku, Ellie - rzucił pośpiesznie Devlin. - Nie możemy się do nich przedostać.

Ellie skinęła głową i podeszła do przodu, by dotknąć dłonią pola siłowego. Po chwili cofnęła się i zaczęła przyglądać wyrzeźbionym nad łukiem znakom i zaszyfrowanym wyrazom.

- To są Wrota Szatana - powiedziała w końcu. - Ten napis mówi, że ten, kto tu wkracza, wstępuje do piekła. Słowa „Maa Kheru” otwierają Wrota Piekieł... To muszą być jedne z nich. Pewnie jakiś wir energii, który umożliwia łatwe przechodzenie w tę i z powrotem pomiędzy demonicznymi wymiarami.

- Słuchaj, Ellie - przerwał Devlin. - Będę gotów uwierzyć, że to jest kurort dla demonów, jeżeli tylko pomożesz mi tam się dostać.

- Erie zamknął to wnętrze za pomocą potężnych sił, Dev. Nie jestem w stanie sama ich rozbroić... Będę musiała zwrócić się o pomoc do swoich przodków i do Sfery Anielskiej. Zobaczę, co się da zrobić - oznajmiła i zwróciła się do Abrahama: - Przypuszczam, że ci żołnierze są pod pana komendą?

Skinął potakująco głową.

- Kiedy będę w transie, niech pan trzyma ich i wszystko inne z dala ode mnie. Mój system nerwowy będzie wrażliwy na dźwięk i ruch.

- Jesteśmy tu głęboko pod ziemią - rzekła pod adresem Devli-na. - Poproszę duchy moich irokezkich przodków, żeby poprosili Matkę Ziemię o pomoc. Magia indiańska ma czystsze korzenie niż

560

magia Erica. Dla Irokeza nie istnieje czarna magia. Cała magia, tak jak całe życie, należy do Wielkiego Ducha. To może nam dać pewną przewagę.

Powiedziawszy to, zwróciła się twarzą do portalu, uniosła ramiona w szamańskim pozdrowieniu Mocy Czterech Stron Świata i wygłosiła prośbę o wpuszczenie do świata cieni. Po kilku minutach zaczęła monotonicznie śpiewać: najpierw niskim, jęklwym głosem, a potem coraz mocniejszym, który wypełniał przepaściste wnętrze jak ryk wodospadu w głębokim kanionie. Powietrze wibrowało wokół nich z narastającą częstotliwością, aż włosy zjeżyły się mężczyznom na karku. Czerń portalu zaczęła się rozmywać jak migotliwa zasłona poruszana przez wiatr.

- Ruszajcie, gdy ten blask zacznie znikać! - wyszeptwała chrapliwie Ellie.

Wyraźnie było widać, że walka z mocami chroniącymi dostęp do komnaty pochłania całą jej energię.

- Nie jestem w stanie przełamać zamknięcia, ale mogę je osłabić na tyle, byśmy się mogli przez nie przedostać.

Obydwaj mężczyźni zajęli wyczekujące pozycje, gotowi rzucić się do przodu.

Wstrząśnięta swą słabością, Maggie z trudem wycofała się już na skraju zgody na ofertę demona. Dojrzała wzrok Petera i zobaczyła w nim to samo przerażenie, które kołatało się w jej własnych piersiach. O czym on mógł marzyć... Dostrzegła, jak w rozpaczliwym wysiłku zbiera w sobie siły, by stawić czoła wrogowi. Demoniczna Istota też to widziała.

- Więc nasze księżowskie narośle stroi się do walki? Czy to znaczy, że rozumiałeś, iż nie jest to twój zwykły przypadek towarzyskich egzorcyzmów, pobożny Peterze?

- To znaczy, że przyjmuję twoje wyzwanie - odparł spokojnie Peter. - Powiedz, jakie ono jest!

„Nigdy nie wdawaj się w konwersację z demonem, chłopcze. Tylko twoja duma sprawia, iż myślisz, że możesz zwyciężyć.”

561

- Wybornie - zaskrzeczał demon. - Grzesznik wstąpił? Wychodzi z za swej książeczki. Cóż, moje wyzwanie jest bardzo proste. Nie potrzebujesz zrobić nic więcej, tylko udowodnić mi, że dobro jest silniejsze niż zło. Oczywiście, nigdy nie przekonasz, bo twój świat jest teraz i zawsze będzie prawdziwym miejscem zła. Spójrz!

W umyśle wszystkich obecnych w komnacie pojawiły się okropne obrazy. Wbrew własnej woli

zobaczyli Holocaust bodziańskie pola śmierci... dwór Kaliguli. Molestowane dzieci i stare kobiety mordowane w łózkach. Płonące szyby naftowe Kuwejtu i chude jak trupy postaci za płotami z drutu kolczastego. Katów przy swej pracy, uśmiechających się szeroko nad zmasakrowanymi ciałami ofiar. Ścierające się armie i rozsadzające bębny w uszach wycie syren. W każdym z nich narastał nieznośny ból, chłostząc ich i atakując każdy czuły punkt. Nieludzkość człowieka wobec człowieka była zbyt okropna, by można ją było ogarnąć duszą.

Maggie jęknęła bezwiednie, ale Peter i rabin dzielnie stawiali czoło atakowi i rzeka myśli zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Peter wyprostował się z wielkim wysiłkiem.

- To nie wszystko, czym jesteśmy! - wykrzyknął gwałtownie. - Jesteśmy czymś o wiele więcej! My, ludzie, jesteśmy w stanie kochać się nawzajem bez myślenia o sobie. Bez chciwości. Bez skąpstwa. Bez dbania o własny interes. Czysta miłość. Matki oddają nerkę, by uratować umierające dziecko, ojcowie wyprawiają żyły w kopalniach węgla, wiedząc, że wypływają po kawałku swoje płuca, by zapewnić lepsze życie swoim dzieciom. Chrześcijańskie rodziny ratowały żydowskie dzieci przed nazistami za cenę własnego życia. Żołnierze pozwalali się torturować, żeby uratować swojego towarzysza. Ludzie nie robią takich rzeczy dla korzyści czy dla sławy... Robią je z dobroci. W każdej godzinie dokonują miliona nieznanym aktów heroizmu, które równoważą wszelkie okropności, jakie jesteś w s nie przywołać.

- To nie wystarczy - wychrypiął demon. - W najlepszym razie to remis!

562

peter zrozumiał, co ma uczynić. Całe jego życie, każdy

^ oszukiwań Boga był przygotowaniem do tego momentu.

rn°inentbiecano złożenie ofiary, to ofiara musi być złożona.

Sk*0 j^ cię pokonać, demonie - zawołał wyrazistym,

vm głosem. - Oddam ci moje życie za życie dziecka! ^X\ ie westchnęła głośno, a rabin zrobił krok ku Peterowi. De-rvknął śmiechem, aż powietrze wokół nich zawiroowało niczym galaretka.

_ Ja nie chcę ciebie, ty aroganckie nic - rzucił gwałtownie. - Ja chce wszystko: dziecko, Amulety, całą moc na świecie! Czym jesteś w porównaniu z tym? Intelktualnie pretensjonalnym, przegranym księdzem. Przecież nawet nie udało ci się zostać heretykiem! Nie chcę ciebie! Jesteś niczym! Rozumiesz mnie? Niczym. Niczym. Niczym!

Pogarda demona skruszyła ostatnie linie obrony Petera. Napastliwe słowa rozbrzmiewały gdzieś w jego wnętrzu, chłostząc go, obnażając i raniąc. Złożył najwyższą ofiarę z samego siebie, przekonany, że to wystarczy. Brutalne odrzucenie tej ofiary wstrząsnęło nim, poniżyło go. Widział swą duszę z jej wadami odsłoniętymi jak otwarte rany. Wykorzystał Maggie, by odzyskać swą własną tożsamość... nie cierpiał słabości swoich przełożonych, ale nie swoich własnych... poszukiwał Boga umysłem, podczas gdy

tylko serce zna prawdę.

Cały sens jego życia zniknął w bolesnym momencie unicestwienia. Obrazy wszystkiego, czym był i wszystkiego, czym kiedykolwiek mógł zostać przeleciały przez jego myśli jak kosmiczna burza.

Eloi! Eloi, lema sabachthani! Boże mój! Boże mój, czemuś mnie opuścił?

Samotność duszy... Nie ma dokąd pójść... Nie ma gdzie się ukryć...

Zamknięcie zatrzeszczało za nimi. Ellie wydała triumfalny

okrzyk i padła na kolana przed otwierającym się portalem, a Devlin

rzucił się ku Maggie. Rafi, mimo wytężonych wysiłków, nie był

w stanie pokonać bariery.

- Nie masz wstępu! - zawołała Ellie. - Tylko ci, którzy wierzą...

563

Pobiegła za Devlinem, a Rafi, skonfundowany niemożnością p0; ściana w ich ślady, stanął w cieniu wiekowego łuku, wpatrując się we wnętrze komnaty. Teraz przynajmniej widział dość wyraźnie, co się dzieje w środku. Po ostatnim dla Erica spotkaniu z demonami wewnątrz pomieszczenia było usiane krwawymi strzępami. Natomiast ciało dziecka, nadęte i niesamowite, zdawało się unosić nad kamiennym ołtarzem. Wykrzywiona twarz Cody obróciła się gwałtownie w kierunku nowo przybyłych i wpiła wzrokiem w Devlina.

- Pomóż, tatusiu! - zawołała głosem małego chłopca. - Boli mnie!

Devlin zamarł w miejscu. Dziecko na ołtarzu nie było już Cody: widział zwróconą ku sobie twarz Daniela, z krwią wypływającą z jego nosa i ust. Tam, gdzie powinny być piersi dziecka, widniała poszarpana, zakrwawiona dziura.

Dziecko znowu otworzyło usta, ale nie jego głos, lecz wzrok paraliżował wszystkich obecnych. Było w nim bezsilne przerażenie i prośba.

Pomóż mi, tatusiu - błagały. - Nie pozwól mi umrzeć!

- Nie! - zawołał rozpaczliwie Devlin. - Nie!

Rzucił się ku umierającemu dziecku, lecz znieruchomiał, uderzając w siłową barierę, jakby wpadł na ścianę. Ból. Strach. Życie było wysysane z niego przez dziurę w jego własnych piersiach. Wypływało. Zanikało. Umierało wraz z jego synem.

Devlin walczył z bólem każdą pozostałą mu resztką sił. Wypchnął z myśli ten obraz, usuwając go bezlitośnie. To nie Daniel! Tym umęczonym dzieckiem jest Cody, tylko Cody. Uratuje ją, bez względu na to, ile to go będzie kosztowało. Tym razem nie zawiedzie.

Z krzykiem wydobywającym się z miejsca, gdzie już nie istniał ból, ruszył do przodu, rzucając się do leżącego na ołtarzu ciała.

Nagle powietrze rozdarł przeraźliwy dźwięk napełniający ich uszy takim bólem, jakby uderzono ich pięścią w błonę bębenkową. Burza wyładowań elektrycznych rozbłysła wokół Devlina, przesywając go rozpalonymi do białości błyskawicami, porywając swą wybuchającą mocą, miotając nim i raniąc go jednocześnie, jakby dotknął przewodu pod wysokim napięciem. Moc wyładowania uniosła

564

ego ciało, odrywając je od ziemi z grzmącym trzaskiem i po kilku sekundach cisnęła go bezwładnego na podłogę u stóp Maggie. Widziała jego rany i czuła woń przypalonego ciała. Przeżyła to wszystko wspólnie z nim, a teraz czuła jego zbliżającą się śmierć. Osunęła się Przy mm na kolana, ale już nic nie mogła zrobić.

To coś na ołtarzu zaniósł się pełnym satysfakcji rechotem pozbawionego sumienia zła. To już nie była jej wnuczka. To był Wróg, a Cody była całkowicie na jego łasce. Tak samo jak oni wszyscy. Nagle Maggie poczuła, jak wypełnia ją ogromny gniew, silniejszy niż kiedykolwiek doświadczyła. Już nie chodziło tylko o Cody. Chodziło o każdy podły czyn, który kiedykolwiek siły zła wyrządziły cierpiącej ludzkości. Maggie poderwała się na nogi.

- Ty tchórze! - wrzasnęła do Istoty, która ogarnęła ciało dziec

ka. - Używasz dzieci do swoich brudnych gier. Nie chowaj się za

trzylatkiem! Wyjdź i walcz z dorosłymi!

Jej głos był gwałtowny i pełen pogardy.

- Nie wyzywaj go, Maggie! - krzyknął Peter. - Nie możesz go pokonać.

- Więc matka narkomanki ma czelność walczyć o dziecko, tak? - odezwał się demon z pogardą. - A gdzie byłaś, gdy twoja córka wbiła sobie igłę w rękę? Matka? Dlaczego jej nie uratowałaś? Mogłaś to zrobić, gdyby cię to wystarczająco obchodziło.

- Nie słuchaj! - polecił jej rabin. - On jest Księciem Kłamstwa.

Rani cię, by cię osłabić!

Przysunął się bliżej do dziecka na ołtarzu, poruszając ustami w jakiejś modlitwie czy zaklęciu.

- Nie daj się złapać, Maggie! - zawołał błagalnie Peter. - Nie

rozmawiaj z nim wprost!

- Słusznie, chroń swoją kochankę! - wrzasnęła Zła Istota.

Na ciele Cody zaczęły ukazywać się wielkie granatowo-purpurowe plamy, jak po brutalnym pobiciu. Nadęta głowa obróciła się ku Maggie, ale dusza, która drwiła z niej przez otwarte oczy dziecka, nie była duszą Cody.

- Myślisz, że możesz ze mną walczyć? Co, cipo? - wysyczał

demon przez krwawiące usta dziewczynki. - Nieudana matka. Mat-

565

ka potępionej! Tak, kurwa, chcesz walczyć o tę, że pozwoliłaś nam dla zabawy pokroić na kawałki tę drugą! Słuchaj swoich przyjaciół! Nie jesteś w stanie ze mną walczyć.

Jednak coś się działo z Maggie, już się nie bała.

- Ależ tak, mogę! - odrzyknęła. - Ty tchórzliwy sukinsynu. Kobiety walczą z tobą od zarania dziejów!

- Otchłań, Mim! - zawołała Ellie, uderzając ją mocno otwartą dłonią pomiędzy łopatkami. - Lekcja Otchłani!

Wszystko powróciło do niej gwałtownym strumieniem: „W momencie prawdy ufaj tylko swojemu sercu. Wszystko inne jest złudzeniem”.

Nagle już wiedziała: naprawdę posiadała moc! Moc wszystkich dobrych uczynków, jakie spełniono od zarania dziejów. Wszystkich aktów miłości i odwagi, które zostały dokonane w całej długiej historii ludzkości. Moc wszystkich kobiet, które walczyły o dziecko z przeciwnościami losu.

- Możesz mnie zabić, demonie! - krzyknęła do tego czegoś na ołtarzu. - Ale nie możesz zwyciężyć, ponieważ ja jestem panią mojej duszy. To moja moc, która pochodzi od Boga. Możesz więc za chować sobie swoje groźby i swoje oferty... Odrzucam je, tak samo

jak odrzucam ciebie. Możesz sobie wziąć te amulety i wszystkie
dobra, i władzę, jakie one mogą dać. Zabierz je z powrotem do pie
kła, wcale o to nie dbam. Ludzkość ich nie potrzebuje ani nie chce.
Będziemy dalej borykać się z życiem wbrew naszym wadom, bo
właśnie nasze wady czynią nas wielkimi.

Walczymy z przeciwnościami losu, które mają nas złamać, i zwyciężamy. Słyszysz mnie? My
zwyciężamy! Zapalamy świeczkę miast przeklinać ciemność... i zapalimy ich jeszcze tysiąc albo i milion,
aż do czasu, gdy tacy jak ty zostaną oślepieni ich blaskiem. Gdybyśmy byli doskonali w naszej dobroci,
nie byłoby żadnego heroizmu. Ale jest inaczej: sięgamy ku Bogu nieporadnymi dłońmi, ale mimo to
robimy to. Kochamy, a ty nie możesz kochać... i dlatego, że my kochamy, ty nigdy nie będziesz mógł
zwyciężyć. Dlatego, że jeśli tylko niedoskonała ludzkość będzie w stanie kochać, to zawsze będzie istniała
dobroć, miłosierdzie i heroizm. Miłość jest w takiej samej mierze częścią nas, jak nasza krew i kości. To
jest nasza wspaniała doskonałość.

566

I pewnego dnia, może po wielu eonach, już nie będziemy niedoskonali, gdyż cały czas będziemy się
wspinać wbrew tobie. I gdy nadejdzie ten dzień, ty i całe twoje królestwo zła zniknie. Więc nie mów mi o
mocy, tchórze. Twoja moc jest przejściowa, a nasza wieczna, gdyż pochodzi od Boga.

Demon zasyczał z wściekłości.

- Nie masz broni przeciwko mnie! - ryknął.

- Nie wiesz za wiele o babciach! - zawołała Maggie. - Ale skąd mógłbyś wiedzieć? Jesteśmy po drugiej
stronie.

Czuła swą moc i wiedziała, skąd do niej przysła.

- Wiem, co jest twoją piętą Achillesową, demonie! - krzyknęła.

- Nie możesz mnie pojmać bez mojego przyzwolenia. Możesz mnie
tylko kusić. Ale ja się nie zgadzam. Odrzucam ciebie całą mocą mej
nieśmiertelnej duszy, nie możesz pojmać mnie i nie możesz pojmać
Cody. Ona ciebie nie wybrała. I ja też nie. Nigdy ciebie nie wybie
rzemy!

Zanim jeszcze ucichły jej słowa, rozległ się grzmiący huk i powietrze poruszyło się od nagłego wichru, jakby komnata została porwana w górę przez tornado i rzucona pod niebo.

Tak wiele rzeczy wydarzyło się naraz, że później nie była w stanie przypomnieć sobie, w jakiej kolejności nastąpiły. Zobaczyła, jak Zła Istota gaśnie w Cody, jak wyłączona żarówka i dojrzała nieziemską promienistość rozświetlającą pierwotne ciemności.

Jakaś część Cody podniosła się od ołtarza i stanęła przy Maggie, ale ta eteryczna zjawy nie miała już postaci dziecka. Młoda kapłanka uniosła dłoń w rytualnym pozdrowieniu i przemówiła głosem o niewyobrażalnej słodkości.

- Witaj, Strażniczko. Matka posyła ci pozdrowienia. Maggie przyłożyła swą dłoń do dłoni świetlistej zjawy.

- Witaj, Wysłanniczko - odparła. - Dziękuję ci za pokazanie mi

Drogi.

Ellie uśmiechnęła się w ciemnościach. Czekwała bardzo długo na

ten moment i cały czas ufała, że nastąpi.

Wysłanniczka Izdy uklękła przy ciele Devlina i przyłożyła promienisty amulet do jego poranionej twarzy. Maggie zrozumiała w głębi duszy, że zostało mu przywrócone życie. Potem niebiańska

567

zjawy podniosła się i uśmiechnęła po raz ostatni do Maggie, a potem rozplynęła się w nicość, zostawiając tylko dziecko. Cody usiadła i rozejrzała się po komnacie.

- Wróciłaś, żeby mnie zabrać, Mim? - wyszeptwała cicho i z radością. - Wiedziałam, że przyjdiesz.

- Tak, kochanie - potwierdziła Maggie, biorąc ją w ramiona.

- Kocham cię, Mim - powiedziała dziewczynka z uśmiechem. - Chcę wrócić do domu.

Raphael Abraham stał nieruchomo po drugiej stronie wejścia, chociaż zamykająca je bariera zniknęła. Co widział? Co słyszał? Jakiego rodzaju walka została tu stoczona? Głęboko wstrząśnięty, czekał, kiedy rabin wyjdzie z komnaty.

- Co tu się stało, rebe? Ty musisz to wiedzieć. Musisz mi powiedzieć.

- Widzieliśmy, dlaczego Bóg uczynił kobietę sercem naszej wiary - odparł rabin z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

- Ale ta światłość? Te głosy? Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego.

- Więc nie zapomnij odmówić dziękczynnej modlitwy za wielki dar, który otrzymałeś.

- A amulety, rebe? Co z amuletami?

- Gdybym powiedział ci, że nie mogliśmy uratować jednocześnie dziecka i amuletów, to co byś powiedział?

- Powiedziałbym: czym jest życie jednego dziecka, rebe, jeśli stawką jest dobro tak wielu? Dokonaliśmy niemądrego wyboru.

- A gdybym ci powiedział, że amulety zostały z powrotem odesłane do wieczności przez uczynki tej kobiety, ponieważ ludzkość jeszcze nie wykształciła w sobie mocy charakteru, która jest konieczna do posiadania tak potężnej broni?

Abraham uśmiechnął się sardonicznie.

- To też byłoby, według mnie, niemądrym wyborem.

Rabin uśmiechnął się.

- No tak. Więc teraz sam się dowiedziałeś, dlaczego ludzkość nie może być obdarzona zaufaniem, że dokona na tyle mądrego wyboru, by posiadać taką broń.

568

- A jeśli chodzi o dokonane tu wybory, rebe? Kiedy będę zdawał relację z mojej misji premierowi, to co, według ciebie, mam mu powiedzieć?

Twarz rabina miała surowy wyraz, ale w oczach widniała wesołość.

- Możesz mu powiedzieć, że istnieją wyższe moce niż on i właśnie im tu dzisiaj służono.

Abraham opuścił starego rabina, by powrócić do swoich żołnierzy. Był wstrząśnięty, poruszony i oszołomiony. Musiał zdecydować, co powiedzieć żołnierzom, co powiedzieć swoim przełożonym, co powiedzieć samemu sobie.

Potrząsnął głową, usiłując odzyskać jasność myślenia i wyszedł z domu Vanniera, by popatrzeć na morze. Nocne powietrze odświeżyło go. Podniósł oczy na księżyc i niebo usiane punkcikami gwiazd i po raz pierwszy od czasu, kiedy był chłopcem, zwrócił się z prośbą do Boga wuja Szlomo, by wysłuchał jego

modlitw.

Rozdział 87

W ciągu najbliższych dni Maggie postrzegała wszystko jako nieco nierealne. Świat normalnych, codziennych wydarzeń wydawał się niemal obcy po niesamowitych przeżyciach ostatnich trzech miesięcy. Lekarze orzekli, że Devlin doznał oparzeń i obrażeń wewnętrznych, zwykle towarzyszących porażeniu prądem. Po czterdziestu ośmiu godzinach pobytu na oddziale intensywnej terapii zaczął powracać do zdrowia. Gino zapewniał ją, że porucznik jest dla nieba jak wrzód na dupie, więc nie mają tam ochoty się nim zająć. Poinformował ją również o tym, że więźniowie z rezydencji Vanniera zostali uwolnieni i umieszczeni w szpitalu oraz o tym, że Ghania nie żyje, a masakra na terenie posiadłości Vanniera została przypisana w mediach działalności terrorystycznej organizacji

569

z Libii. Maggie jednak знаła już od Ellie prawdę na temat« •

Ghanii. m,erci

Lekarze zdołali utrzymać Deva w szpitalu przez prawie dw tygodnie, podczas których Maggie spędzała mnóstwo czasu nr?,

* y je-

go łóżku. Usiłowała pogodzić się z tym, co czuje wobec niego o z konsekwencjami tego wszystkiego, co przeszli. Od chwili OH odzyskał zdrowie na tyle, by móc łamać przepisy, stał się nieznośnym pacjentem, ale Maggie z głęboką ulgą słuchała jego narzekań na to, że trzymają go w zamknięciu. Było to takie ludzkie i tak pełne życia.

Każdego ranka chodziła na mszę u Św. Józefa, by modlić się za Petera, a także za Deva. Po tym, jak ich udręka dobiegła końca, Peter powiedział jej nadzwyczajne rzeczy. Jego słowa nadal rozbrzmiewały w jej myślach.

- To zostało ze mnie obrane, Maggie - wyznał, kiedy stali w szpitalnym korytarzu, czekając na wieści o stanie zdrowia Devli-
na; metamorfoza wciąż była widoczna w jego oczach. - To wszyst-
ko: duma, intelektualne dary, pycha, cały ten paradoks... wszystko
zostało obrane, żebym dojrzał moją nagą duszę.

Kiedy demon odrzucił moją ofiarę, czułem się zdruzgotany. Po raz pierwszy w życiu czułem się niczym. Upokorzenie doprowadziło mnie do prawdy mówiącej, że Bóg nie kocha mnie z powodu moich

wielkich darów, ale pomimo nich! Że całe życie poszukiwałem go przez intelekt, podczas gdy można do niego dotrzeć wyłącznie przez miłość. W końcu zrozumiałem, dokąd usiłowałem dojść, kiedy poszedłem za tamten róg i zgubiłem drogę. W tej oślepiającej ciemności odnalazłem moją drogę do domu.

Skinęła głową, zbyt wstrząśnięta wszystkim, co zaszło, by odpowiedzieć.

- W teologii istnieje pewien termin używany podczas wykładania zagadnienia rządów bożych, Maggie - dodał Peter głosem pełnym emocjami wywołanymi przez jego przeżycia. - Prolepsis. To jest zwiastun... prekursor ostatecznej przyszłości. Uważam, że Cody stanowi prolepsis rodzaju ludzkiego... Bóg obiecał, że na dech czasu kiedy mężczyźni i kobiety będą żyli bez zakłóceń, konfliktów i okrucieństwa, że będziemy żyli w pełni Bożej łaski. My

570

s ono

A rostała przysłana, by nam o tym przypomnieć Błogo -- . ^tłuchaj Maggie, błogosławie to dziecko i wszyto ;taWiCJą- aludzkości. ,no znaCZdyzi,ł też jej, że ma teraz mnóstwo do zrobienia» now4

e„ergtkonliczną'bytegOd°k0naĆ'

* * *

, M nietnasty maja. Maggie wracała właśnie piesko z ko-. ^—a sobie, że minęło niewiele ponad d* tygo-???łg* oni wszyscy omał me — zżyc,^ a z jakiegoś powodu miała wrażenie, jakby minęła -^ ; eczność. Poczula nagle i przemożne pragmenie zebrani wszys tóch, którzy dali z siebie tak wiele, by podziękować im z ^bi ser ca i radować się życiem.

Maria Aparecida grała z Cody w numerki na podłodze w kuchni, czekając jednocześnie, aż pieczeń nabierze odpowiedniego koloru. Maria również zmieniła się po ostatnich wydarzeniach. Po powrocie Cody do domu Maggie nie słyszała z ust gosposi żadnego utyskiwania, czy to w poważnych sprawach, czy też w drobnost-

- Bóg oddziela owce od kóz, dona Maggie - rzekła Maria, gdy Maggie podała jej w objęcia odzyskane dziecko. - Dobry paster* zawsze odchodzi od stada, by odszukać zabłąkane jagnię-

Teraz Maggie siedziała na swojej wielkiej kanapie oW* ev 1-na, słuchając z radością ich mieszającego

się śmiechu.

Devlin schudł i poruszał się ostrożnie, ale był w me/ym, C cięż nieco melancholijnym nastroju.

- Mam ci tak wiele do powiedzenia, Maggie - zaczął, sięgają

Po jej dłoń. -1 chciałem to powiedzieć, zanim wszyscy pr^J %

Przerwał, wyraźnie ważąc myśli i emocje.

- Kocham cię, Maggie O'Connor. Bardziej niż kiedykolwiek

wyobrażałem sobie, że mogę kogoś kochać... i chciałem tnie

571

szansę dowiedzenia się, czy możemy mieć jakąś wspólną przyszłość. Nie mogę prosić cię, żebyś prowadziła życie żony policjanta... Myślę, że strach, który temu towarzyszy, ściąłby twoją duszę, ale myślę, że z tym dyplomem prawa mógłbym robić coś innego poza remontowaniem mieszkania. Nie widzę siebie na Wall Street czy coś w tym rodzaju, ale może potrafiłbym znaleźć sposób, by wykorzystywać to, co umiem, żeby robić coś dobrego dla świata. Jeżeli istnieje chociaż jedna rzecz, której to wszystko mnie nauczyło, jest nią to, że cokolwiek dobrego możemy zrobić, powinniśmy to zrobić już teraz.

Wziął głęboki wdech i spojrzał jej w oczy.

- Daj mi szansę, żebym nie stracił ciebie i Cody. Kocham cię

bardziej, niż to sobie wyobrażasz.

Maggie przyłożyła palce do jego ust, tak jakby chciała powstrzymać te wymagające jej decyzji słowa.

- Ja też cię kocham, Dev - powiedziała powoli i z namysłem. -

Ale teraz jestem zbyt obolała, żeby o tym myśleć. Potrzebuję tro

chę czasu, żeby zrozumieć wszystko, co mi się przydarzyło. Gdzie

byłam... dokąd zmierzam. W ciągu ostatnich trzech miesięcy świat,

taki, jakim go znałam, dobiegł kresu. Nic nie jest takie, jak myśla

łam.

Zagryzła dolną wargę jak młoda dziewczyna. W jaki sposób mogłaby wyrazić, pod jak wieloma względami została zmuszona przez życie do gwałtownego rozwoju? Nie była nawet pewna, czy wie, kim się stała.

- Ostatnio miłość trochę szorstko się ze mną obchodzi, Dev.

Gdybyś zechciał dać mi trochę czasu, żebym uporządkowała swoje serce, zanim je będę mogła o cokolwiek poprosić, to obiecuję nie lekceważyć miłości, którą mi ofiarowałeś.

Devlin odsunął ciemne pasmo włosów z jej policzka.

- Zobaczysz, Maggie - odparł z ulgą, że mu nie odmówiła -

któregoś dnia światłość nawiedzi mnie tak, że nie będziesz w stanie się oprzeć....

Roześmiali się oboje swobodnie.

- Dev - powiedziała -jak myślisz? Co naprawdę stało się z na

mi tej niewiarygodnej nocy? Ile z tego, co, jak myślimy, widzieli-

572

śnry. było prawdą? Ciągłe to analizuję w myślach i raz jestem pewna, a za chwilę mój racjonalny umysł buntuje się. Devlin wzruszył ramionami.

- Nie wiem, Maggie. Straż Przybrzeżna podała, że nie było fal

na zatoce, z wyjątkiem tych kilku minut, kiedy zatonała łódka El-

lie. Ty widziałaś zjawy wyłaniające się z Cody i Ghanii. Widziałaś,

jak się materializowały Amulet i Kamień. Ja widziałem Daniela

w tym infernalnym portalu... do diabła, nawet umarłem z nim...

a jednak siedzę tu dzisiaj. Kto mógłby to wyjaśnić?

Maggie skinęła głową.

- Ellie przysięga, że Jenna pomogła jej skończyć z tą bestią

Ghania i ja chcę w to wierzyć, bo to ją w jakiś sposób rehabilituje.

Przerwała tę myśl, zmieszana i niepewna.

- Ale co to znaczy dla Cody i dla mnie, jeśli to wszystko jest prawdą? Co to oznacza dla reszty naszego

życia i dla reszty ludzkości?

- „Nie próbuj poznać więcej, niż jest właściwe” - zacytował cicho w odpowiedzi Devlin, myśląc o tym, że wiedza zdaje się zawsze przynosić mu ból. - Święty Augustyn powiedział to o usiłowaniach zrozumienia przez człowieka pojęcia dobra i zła. To był

bystry gość.

- Ale czy myślisz, że otrzymaliśmy nadprzyrodzoną pomoc, żeby uratować Cody, Dev? - nie poddawała się Maggie. - Chodzi mi o twoją opinię, a nie świętego Augustyna. Jest dla mnie ważne, co sądzisz o tym wszystkim. Czy Sechmet i ci sataniści naprawdę usiłovali ukraść Ka Cody, czy była to jakaś masowa szaleńcza halucynacja, sprowokowana przez to okropne miejsce i emocjonalną okropność tego wszystkiego, przez co przeszliśmy? Czy naprawdę w jakimś innym wymiarze została stoczona walka o duszę Cody, czy może był to produkt wyobraźni Petera i rabina, i mojej własnej ogromnej wiary w Boga? Czy jest możliwe, że byliśmy związani więzami miłości, które przetrwały tysiąclecia, czy też może po prostu chcieliśmy w to wierzyć, po to, byśmy mogli żyć z tym, co przeżyliśmy... - Czuję, że muszę zrozumieć tak wiele rzeczy...

Pokręciła głową, nadal przytłoczona ogromem wszystkiego, co przeżyli.

573

Niespodziewanie Devlin uśmiechnął się szeroko.

- Chciałbym móc powiedzieć, że tego dnia uratowała nas wyborna praca policji - powiedział. - Ale to by wymagało większego wysiłku twojej wyobraźni niż cała reszta razem wzięta.

Maggie roześmiała się głośno. Wiedziała, że on nie jest już tak całkowicie sceptycznie nastawiony i to było dla niej ważne. Może razem byliby w stanie to jakoś zrozumieć.

- Myślę, że największą zagadką, którą musimy rozwiązać jest: co będzie dalej? - powiedziała, odsuwając nieco od siebie te niepojęte kwestie. - Czy myślisz, że jacyś członkowie Maa Kheru będą pociągnięci do odpowiedzialności? Za zabójstwo Jenny albo za porwanie? Czy za cokolwiek innego?

Devlin pokręcił głową. Zbyt dobrze się orientował, by mieć podstawy do optymizmu.

- Zdaje się, że sprawa jest już załatwiona, Maggie. Zbyt wiele prominentnych nazwisk, za wiele pieniędzy przechodzących z rąk do rąk. Zbyt wiele osób dzwoniących na gorącą linię do Williama Kustlera i F. Lee Bailey'a. Poza tym Erie, Nicky i Ghania nie żyją, więc kto mógłby być obwiniany o sprawę więźniów, Jenny i wszystko inne, co zaszło w tym piekielnym domu? Myślę, że po prostu musimy zadowolić się tym, że Bóg wymierzył swoją własną sprawiedliwość, nie czekając na naszą.

Zamilkł, zastanawiając się nad dalszymi słowami.

- Przynajmniej te sukinsyny nie zdobyły Kamienia i Amuletu. Wyobraź sobie, co mogliby zrobić ze światem, mając w rękach takie narzędzia. W każdym razie, po tym, co się stało z Vannierem, można sądzić, że Szatan jest na nich wkurzony za to, że przegrali... i musisz przyznać, że to było ciekawe rozwiązanie, żeby demon osobiście go załatwił.

Maggie skinęła głową.

- Wiesz, Ellie powiedziała mi coś dziwnego. Mogła nas przestrzec, że Hazred jest po złej stronie, gdybym kiedykolwiek wspomniała przy niej jego nazwisko. Podobno Abdul Hazred jest imię

niem jednego z odzwierciedlonych piekieł, ale ja ciągle mówiłam o nim

„Egipcjanin”.

Devlin roześmiał się.

574

_ Wygląda to tak, jakbyśmy byli manipulowani niewidzialnymi ekami - powiedział, prostując się z westchnieniem. - Moja mama byłaby całkiem zadowolona, widząc mnie tak wpłatanego w świat strachów i duchów.

Uśmiechnął się na jej wspomnienie, a potem spojrzał na Maggie.

_ Cały czas myślę o tym, że jest już po wszystkim i że jesteś bezpieczna.

- A ja ciągle pragnę, żeby wymierzono bardziej dotkliwą karę, Dev - odparła z żalem Maggie. - Na sabacie było mnóstwo ważnych, wpływowych osób, które nadal są wolne i robią swoją brudną robotę. Jeżeli nikt nie zostanie ukarany i świat nigdy nie dowie się o tym, co tak naprawdę się z nami działo, to może Camus miał rację, mówiąc: „rozpoczęły się rządy bestii”.

- Być może. Ale też możliwe, że przypomniano nam, iż tutaj, na ziemi, Boże dzieło musi się dokonać naszymi rękami.

Maggie uśmiechnęła się.

- Myślę, że mieliśmy okazję przynajmniej trochę Mu pomóc i, prawdę mówiąc, jego przyjaciółce Izydzie też, prawda, Dev?

I niezależnie od tego, co się nam przydarzyło, Cody jest teraz bezpieczna. Psycholog dziecięcy, do którego ją zaprowadziłam, mówi, że jest w nadzwyczaj dobrym stanie, biorąc pod uwagę to wszystko, co z nią robili. I teraz znowu może być normalną, mądrą dziewczynką. Nie musi powstrzymywać demonów czy zbawiać świata, czy robić cokolwiek poza kochaniem nas i byciem kochaną. I nigdy już nie musi usłyszeć słowa „amulet”! Od tej chwili

może mieć normalne, zwykłe dzieciństwo, jak każdy inny trzyla tek w Ameryce.

Usłyszeli dźwięk dzwonka i Maggie podbiegła do drzwi, by powitać Ellie i Amandę, które przybyły jednocześnie. Wkrótce potem pojawili się Peter i Gino. Wszyscy śmiali się, ściskali Cody i zabawiali ją, aż nadeszła pora jej spoczynku. Wtedy Maggie wzięła na ręce ukochane dziecko i poszła na górę, by ułożyć je do snu.

575

Cody uśmiechnęła się do Mim spod kołderki w różowo-białą kratkę. Przyjemnie jest być w domu. Tak miło czuć, że się jest tak bardzo kochanym.

Mim posłała jej całusa od drzwi i zamknęła je za sobą. Cody, leżąc, słuchała znajomego odgłosu kroków na schodach. Wiedziała, że wszyscy, których kochały, przybyli na to specjalne przyjęcie. Słyszała łagodną muzykę z dołu i wiedziała, że jutro dostanie na lunch najlepsze smakołyki z deseru, które przemyci dla niej Maria Aparecida.

Cody zaczekała, aby mieć pewność, że Mim jest na dole, a potem wyśliznęła się z łóżka i podeszła do okna. Na zewnątrz panowała piękna, bezchmurna noc. Gwiazdy migotały jasno jak robaczki świętojańskie, a delikatny wietrzyk poruszał zasłonami w miejscu, gdzie Mim zostawiła uchylone okno, żeby do pokoju wpadało świeże powietrze.

Stała przez dłuższy czas, zatopiona w rozmyśleniach, patrząc na sierp księżyca. Miała bardzo dużo do przemyślenia. W końcu wysunęła rękę, nastawiając wewnątrz dłoni do światła księżyca i wymruczała kilka słów w starożytnym języku. W jej sposobie mówienia nie było już ani śladu dziecięcego seplenienia, ale raczej stanowczość kogoś, kto zna swoją misję.

Amulet Izydy zmaterializował się w jej małej dłoni. Jego bogaty złoty kształt, zdobiony cennymi klejnotami, zabłysnął niezmierną jasnością.

Cody uśmiechnęła się. Był to słodki uśmiech; pełen zadowolenia i starszy o tysiące lat od jej małego ciała.

- Ludzie mają wielki potencjał, Matko - wymruczała. - Dobrze uczyniłaś, obdarzając ich zaufaniem.

Potem gestem, który znany był tylko jej, Wysłanniczka Izydy odesłała Amulet na przechowanie gdzieś w kosmos.

Kiedyś miał nadejść moment próby.

Wiedziała, że będzie gotowa.

